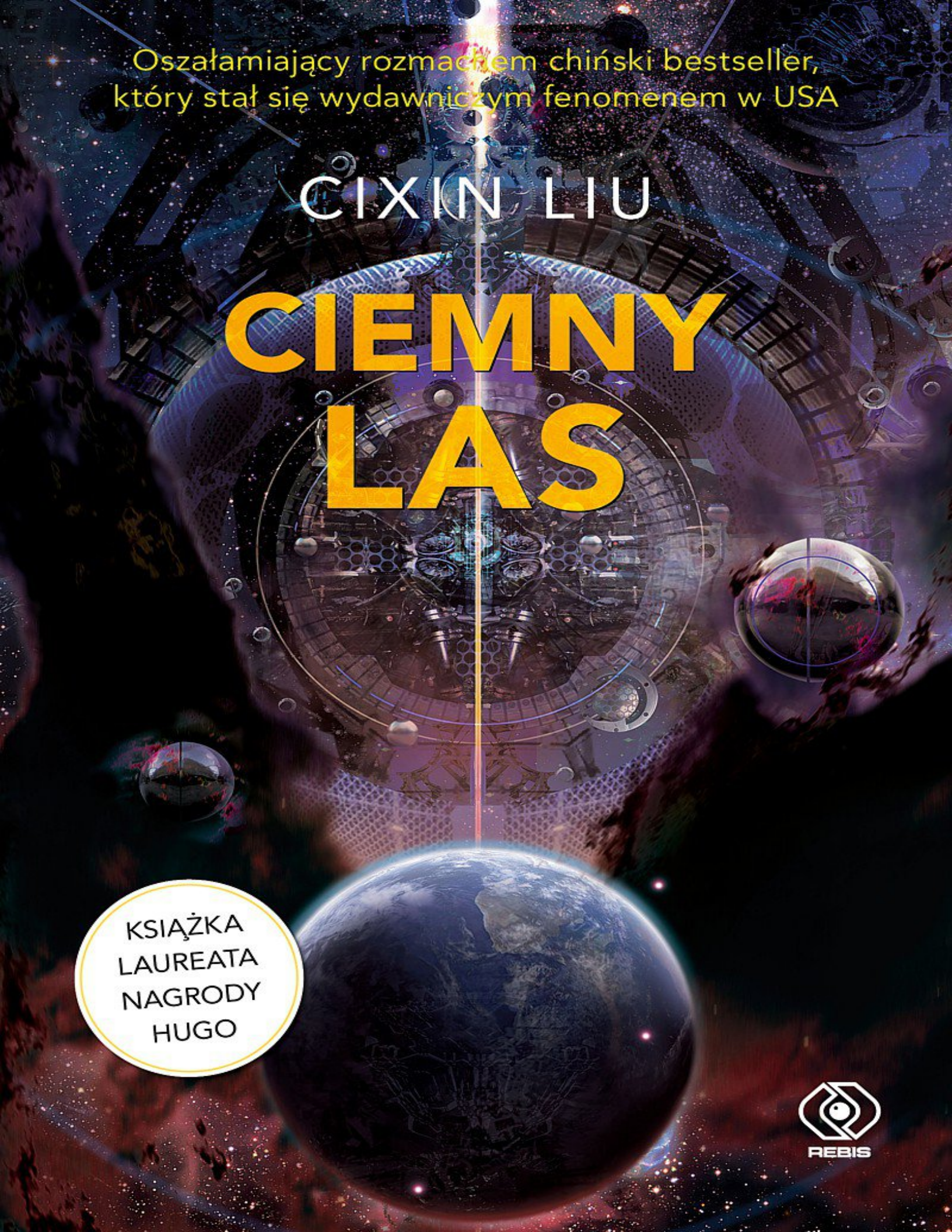
Oszałamiający rozmachem chiński bestseller,
który stał się wydawniczym fenomenem w USA
CIXIN LIU
CIEMNY LAS
KSIĄŻKA LAUREATA NAGRODY HUGO
REBIS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

CIEMNY LAS

Cixin Liu

PRZEŁOŻYŁ
Andrzej Jankowski

Dom Wydawniczy REBIS

Dramatis personae

Organizacje

RZT	– Ruch na rzecz Ziemskiej Trisolaris
ROP	– Rada Obrony Planety
PKFS	– Połączone Kolegium Floty Słonecznej

Osoby występujące w książce

(Zgodnie z chińskimi zasadami najpierw podaje się nazwisko)

Luo Ji	– astronom i socjolog
Ye Wenjie	– astrofizyczka
Mike Evans	– sponsor i główny przywódca RZT
Wu Yue	– kapitan Marynarki Wojennej Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej
Zhang Beihai	– komisarz polityczny Marynarki Wojennej ChALW, oficer Sił Kosmicznych

Chang Weisi – generał brygady ChALW, dowódca Sił Kosmicznych

George Fitzroy – amerykański generał, koordynator Rady Obrony Planety, wojskowy łącznik programu Hubble II

Albert Ringier – astronom zatrudniony przy programie Hubble II

Zhang Yuanchao – świeżo emerytowany pracownik zakładów chemicznych w Pekinie

Yang Jinwen – emerytowany nauczyciel gimnazjum w Pekinie

Miao Fuquan – szef spółki węglowej w prowincji Shanxi, sąsiad Zhanga i Yanga

Shi Qiang – funkcjonariusz Wydziału Bezpieczeństwa ROP o przydomku Da Shi

Shi Xiaoming – syn Shi Qianga

Kent – łącznik ROP

Say – sekretarz generalna ONZ

Frederick Tyler – były amerykański sekretarz obrony

Manuel Rey Diaz – były prezydent Wenezueli

Bill Hines – angielski neurobiolog, były przewodniczący Rady Europejskiej

Keiko Yamasuki – neurobiolożka, żona Hinesa

Garanin – podlegający rotacji przewodniczący ROP

Ding Yi – fizyk teoretyk

Zhuang Yan – absolwentka Centralnej Akademii Sztuk Pięknych

Ben Jonathan – komisarz specjalny Połączonego Kolegium Floty Słonecznej

Dongfang Yanxu – kapitan *Doboru Naturalnego*

major Xizi – oficer naukowy *Kwantu*

Prolog

Brązowa mrówka zapomniała już o swoim domu. Dla pogrążonej w zmierzchu Ziemi i gwiazd, które właśnie ukazywały się na niebie, czas, który minął od opuszczenia mrowiska, mógł nie mieć znaczenia, ale dla niej były to eony. W zapomnianych już dniach jej świat wywrócił się do góry nogami. Ziemia się uniosła, zostawiając szeroką i głęboką rozpadlinę, a potem opadła i wypełniła ją z powrotem. Na końcu przeoranego pasa stał samotny czarny obiekt. Takie rzeczy często się zdarzały na tej rozległej równinie – ziemia wzbijała się w górę, a po jakimś czasie opadała, rozpadliny otwierały się i na powrót wypełniały się glebą, a po każdej takiej katastrofalnej zmianie pojawiały się jakby na jej pamiątkę formacje skalne. W promieniach zachodzącego słońca mrówka i setki jej sióstr przeniosły ocalałą królową, by stworzyć nowe imperium. Wróciła tu przypadkiem, poszukując jedzenia.

Dotarła do podnóża formacji skalnej i odkryła czułkami jej nieprzezwyciężoną obecność. Stwierdziwszy, że powierzchnia bloku jest twarda i śliska, ale w miarę pewna, ruszyła w górę. W jej głowie nie zrodził się żaden cel, pojawiło się tylko przypadkowe zakłócenie w jej prostym układzie nerwowym. Zakłócenia widać było wszędzie – w każdym źdźble trawy, w każdej kropli rosy na liściu, w każdym obłoku na niebie, we wszystkich gwiazdach nad chmurami. Zakłócenia te były bezcelowe, ale z ich ogromnego nagromadzenia wyłonił się cel.

Mrówka wyczuła drgania ziemi i po ich intensywności zorientowała się, że zbliża się coś równie wielkiego. Nie zwracając na to uwagi,

kontynuowała wspinaczkę. Od podnóża formacji ciągnęła się pod kątem prostym do ziemi sieć pajęcza. Mrówka o niej wiedziała. Ostrożnie ominęła zwisające lepkie nici i przeszła obok pająka, który czyhał z rozstawionymi na nich nogami na ofiarę. Każde z tych dwojga stworzeń wiedziało o obecności drugiego, ale – jak działo się od eonów – nie było między nimi żadnej komunikacji.

Drgania nasiliły się, po czym ustąpiły. Przed skalną formacją stanęła ogromna istota. Była tak duża, że przesłaniała większą część nieba. Mrówka znała te istoty. Wiedziała, że są żywe, że często pojawiają się w tym rejonie i że jest to ściśle związane z szybko znikającymi rozpadlinami oraz mnożącymi się formacjami skalnymi.

Mrówka kontynuowała wspinaczkę, wiedząc, że stworzenia te z pewnymi wyjątkami nie stanowią zagrożenia. Z takim wyjątkiem zetknął się właśnie pająk w dole, bo ta potężna istota, najwyraźniej dostrzegłszy jego sieć sięgającą od formacji do ziemi, zmiotła go razem z pajęczyną w chwasty trzymanym w jednej kończynie pękiem kwiatów. Potem położyła delikatnie kwiaty przed formacją.

Kolejna fala drgań, początkowo słabych, lecz przybierających na sile, świadczyła o tym, że zbliża się inna istota tego samego rodzaju. Akurat wtedy mrówka napotkała długie wyżłobienie o bardziej szorstkiej powierzchni niż reszta formacji i o innym kolorze – złamanej bieli. Szorstkie podłoże ułatwiło jej wspinaczkę. Na końcach wyżłobienia znajdowały się dwa inne, krótsze i cieńsze od niego. Dolne tworzyło jego podstawę, górne skręcało pod kątem. Gdy mrówka wdrapała się z powrotem na śliską czarną gładź, miała już ogólne pojęcie o kształcie, w jaki układały się te wyżłobienia: „1”.

Wtedy stojąca istota złamała się w połowie, wskutek czego z grubsza zrównała się z formacją. Najwyraźniej osunęła się na kolana, odsłaniając

pas granatowego nieba, na którym wschodziły gwiazdy. Oczy istoty wpatrywały się w szczyt skalnego bloku, więc mrówka przez chwilę się wahała, czy powinna się znaleźć w zasięgu jej wzroku. Zdecydowała się zmienić kierunek, szybko dotarła do innego wyżłobienia i rozkoszowała się jego barwą, podobną do koloru jaj wokół królowej. Bez zwłoki ruszyła w dół szczeliny, która niebawem przybrała skomplikowany kształt wyrastającej z koła krzywej. Przypominało to mrówce proces wyszukiwania informacji zapachowych i powrotu do domu. W jej układzie nerwowym zapisał się schemat wyżłobienia: „9”.

Od istoty klęczącej przed formacją dobiegła seria dźwięków, które przekraczały zdolność pojmowania mrówki:

– Cudownie jest być żywym. Jak można szukać czegoś głębszego, jeśli się tego nie rozumie?

Potem istota ta wydała dźwięk podobny do szelestu wiatru w trawie – westchnienie – i wstała.

Mrówka nadal posuwała się równolegle do ziemi i tak doszła do trzeciego wyżłobienia. Było ono niemal pionowe, ale na końcu skręcało pod ostrym kątem, układając się w „7”. Ten kształt nie podobał się mrówce, bo ostry, nagły zakręt zapowiadał zwykle niebezpieczeństwo albo walkę.

Głos pierwszej istoty zagłuszył drgania, więc dopiero teraz mrówka spostrzegła, że do formacji dotarła druga istota. Była niższa i drobniejsza od pierwszej i miała dobrze widoczne na tle ciemnego nieba białe, srebrzyście połyskujące włosy, związane w jakiś sposób z rosnącą liczbą gwiazd.

Pierwsza istota odwróciła się i powitała ją.

– Doktor Ye, tak?

– A ty jesteś… Xiao Luo?[1]

– Luo Ji. Chodziłem z Yang Dong do liceum. Dlaczego pani… tu przyszła?

– To miłe miejsce i łatwo jest dostać się tu autobusem. Ostatnio dość często tu przyjeżdżam, żeby pospacerować.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– To się stało dawno temu…

Mrówka chciała skierować się w górę, ale odkryła przed sobą kolejne wyżłobienie, identyczne jak to w kształcie „9”, przez które przeszła przed „7”. Ruszyła więc nim, bo podobało się jej bardziej niż „7” i „1”, chociaż nie wiedziała dlaczego. Jej zmysł estetyczny był prosty, mieścił się w jednej komórce. Wzmogło się nieokreślone przyjemne odczucie, którym napełniała ją wędrówka przez „9”. Prymitywny, jednokomórkowy stan szczęśliwości. Owe dwie duchowe pojedyncze komórki, estetyka i przyjemność, nigdy się nie rozwinęły. Były takie same miliard lat temu i takie pozostaną za miliard lat.

– Yang Dong często o tobie mówiła, Xiao Luo. Wspominała, że zajmujesz się… astronomią?

– Kiedyś. Teraz wykładam socjologię na uniwersytecie. Na pani uniwersytecie, chociaż kiedy mnie przyjęto, pani była już na emeryturze.

– Socjologię? To duży przeskok.

– Tak. Yang Dong zawsze mówiła, że nie potrafię się na niczym skupić.

– Nie żartowała, gdy mówiła, że jesteś bystry.

– Tylko rozgarnięty. Nie dorównywałem pani córce. Po prostu uznałem, że astronomia jest jak bryła żelaza, w którą nie można się wwiercić. Socjologia to kawałek drewna i musi być w nim jakieś cieńsze miejsce, przez które da się przebić. Łatwiej jest sobie z nią poradzić.

Mrówka szła dalej w nadziei, że znajdzie następne „9”, ale to, co napotkała, było idealnie prostą linią, jak pierwsze wyżłobienie, tyle że poziomą i dłuższą niż „1”. I nie miało na końcach mniejszych wyżłobień. Kształt „–”.

– Nie powinieneś tego ujmować w taki sposób. To normalne życie. Nie każdy może być Yang Dong.

– Naprawdę nie mam takich ambicji. Płynę z prądem.

– Mam propozycję. Może byś się zajął socjologią kosmiczną?

– Socjologią kosmiczną?

– Wybrałam tę nazwę na chybił trafił. Przypuśćmy, że we Wszechświecie jest ogromna liczba cywilizacji, tyle, ile wykrywalnych gwiazd. Mnóstwo. Cywilizacje te tworzą społeczność kosmiczną. Socjologia kosmiczna jest badaniem natury tej superspołeczności.

Mrówka nie posunęła się dużo dalej. Po wygramoleniu się z zagłębienia „–” zamiast przyjemnego „9” napotkała „2”, z miłą początkową krzywą, ale ostrym zakrętem na końcu, który budził taki sam strach jak ten w „7”. Przeczucie niepewnej przyszłości. Dotarła jeszcze do następnego wyżłobienia, w kształcie zamkniętej linii – „0”. Wyglądało jak część „9”, ale było pułapką. W życiu trzeba unikać zakłóceń, ale trzeba też podążać w jakimś kierunku. To mrówka rozumiała. Chociaż były przed nią jeszcze dwa wyżłobienia, przestała się nimi interesować. Znowu skręciła pionowo w górę.

– Ale… nasza cywilizacja jest na razie jedyną, którą znamy.

– I dlatego nikt wcześniej tym się nie zajmował. Możesz skorzystać z tej okazji.

– To fascynujące, doktor Ye. Proszę mówić dalej.

– Myślę, że możesz połączyć dwie znane ci dziedziny. Matematyczna struktura socjologii kosmicznej jest dużo bardziej przejrzysta niż struktura socjologii ludzkiej.

– Dlaczego pani mi to mówi?

Ye Wenjie wskazała na niebo. Jego zachodnią stronę rozświetlała jeszcze zorza wieczorna i mogli policzyć ukazujące się gwiazdy. Kilka minut

wcześniej firmament wyglądał zupełnie inaczej, jak bezkresna niebieska pustka albo twarz o oczach bez źrenic, niczym u marmurowej rzeźby, ale teraz, mimo że gwiazd było wciąż niewiele, ogromne oczy miały źrenice. Pustka została wypełniona. Wszechświat zyskał wzrok. Gwiazdy były małymi, srebrnymi, migoczącymi punkcikami, co nasuwało przypuszczenie, że ich twórcę dręczył jakiś niepokój, tak jakby kosmiczny rzeźbiarz czuł się w obowiązku wykuć źrenice wszechświata, ale z drugiej strony bał się dać im możliwość widzenia. Zmaganie się strachu z powinnością doprowadziło do tego, że gwiazdy wprawdzie powstały, ale były malutkie w porównaniu z ogromem przestrzeni kosmicznej i świadczyły o ostrożności ich twórcy.

– Widzisz, że gwiazdy są jak punkty w przestrzeni? Chaos i przypadkowość rządzące naturą każdej cywilizacji są czynnikami usuwanymi w cień przez dzielące je odległości, więc cywilizacje te mogą się stać punktami odniesienia, którymi jest dość łatwo manipulować matematycznie.

– Ale w tej pani socjologii kosmicznej nie ma niczego konkretnego, doktor Ye. Nie można przeprowadzać żadnych sondaży ani eksperymentów.

– To znaczy, że ostateczny wynik twoich badań byłby czystą teorią. Podobnie jak w geometrii euklidesowej najpierw przyjmujesz kilka aksjomatów, a potem tworzysz na ich podstawie cały system teoretyczny.

– To fascynujące, ale jakie miałyby być aksjomaty socjologii kosmicznej?

– Pierwszy: podstawową potrzebą każdej cywilizacji jest przetrwanie. Drugi: cywilizacja ciągle rozwija się i rozszerza, ale ilość materii we Wszechświecie pozostaje stała.

Mrówka nie zaszła daleko, gdy zdała sobie sprawę, że znajdują się nad nią inne wyżłobienia, wiele wyżłobień tworzących skomplikowany labirynt.

Była wyczulona na kształty i pewna, że znajdzie wyjście z tej gmatwaniny, ale wskutek ograniczonej pojemności pamięci jej prostego układu nerwowego będzie musiała zapomnieć kształty, przez które przeszła wcześniej. Nie czuła żalu, że zapomni „9”, bo ciągłe zapominanie było częścią życia. Istniało kilka rzeczy, o których trzeba było pamiętać stale, ale były one wpisane przez jej geny w obszar pamięci zwany instynktem.

Po oczyszczeniu pamięci weszła do labiryntu. Pokonawszy wszystkie zakręty, wdrukowała w swoją prostą świadomość inny schemat – chiński znak *mu*, oznaczający „grób”, chociaż nie znała ani tego znaku, ani jego znaczenia. Jeszcze wyżej trafiła na następny układ wyżłobień, dużo prostszy niż poprzedni, ale by kontynuować jego eksplorację, musiała ponownie oczyścić pamięć i zapomnieć o *mu*. Potem odkryła wyżłobienie o cudownej linii przypominającej kształtem brzuch dopiero co zdechłego świerszcza, którego znalazła niedawno temu. Szybko rozgryzła tę nową formę: *zhi*, przyimek określający przynależność. Potem, nadal pnąc się w górę, napotkała jeszcze dwie kombinacje wyżłobień, z których pierwsza składała się z dwóch rowków w kształcie kropel i brzucha świerszcza, znak *dong*, czyli „zima”. Górny układ zagłębień był podzielony na dwie części tworzące razem znak *yang*, który znaczył „topola”. Był on ostatnim i jedynym kształtem, który zapamiętała z całej wędrówki. O całej reszcie ciekawych kształtów zapomniała.

– Z socjologicznego punktu widzenia te dwa aksjomaty są dość solidne… ale przedstawiła je pani tak szybko, jakby je pani już wcześniej sformułowała – powiedział nieco zdziwiony Luo Ji.

– Myślałam o tym przez większość życia, ale wcześniej nigdy o tym z nikim nie rozmawiałam. Sama nie wiem dlaczego… Aha, jeszcze jedno – żeby wyprowadzić z tych aksjomatów całą socjologię kosmiczną, musisz

przyjąć dwa inne podstawowe pojęcia: ciąg podejrzeń i gwałtowny rozwój technologii.

– Interesujące terminy. Może je pani objaśnić?

Ye Wenjie zerknęła na zegarek.

– Nie mam czasu. Ale jesteś wystarczająco bystry, by je rozgryźć. Użyj tych dwóch aksjomatów jako punktu wyjścia, a może staniesz się Euklidesem socjologii kosmicznej.

– Nie jestem Euklidesem. Ale zapamiętam, co pani powiedziała, postaram się coś z tym zrobić. Może będę jednak musiał zwrócić się do pani z prośbą o jakieś wskazówki.

– Obawiam się, że nie będzie ku temu okazji… W takim przypadku możesz po prostu zapomnieć o tym, o czym mówiłam. Tak czy inaczej spełniłam swój obowiązek. No, Xiao Luo, muszę iść.

– Niech pani dba o siebie, pani profesor.

W zapadającym zmroku Ye Wenjie odeszła na swe ostatnie spotkanie.

Mrówka kontynuowała wspinaczkę i dotarła do okrągłego wgłębienia na kamiennej płycie, na której gładkiej powierzchni znajdował się bardzo złożony obraz. Wiedziała, że jej skromna sieć nerwowa nie może zachować śladu pamięciowego czegoś takiego, ale ogólny kształt obrazu podziałał na jej jednokomórkowy zmysł estetyczny tak, jak wcześniej „9”. Zdawała się też rozpoznawać część obrazu – oczy. Była na nie uwrażliwiona, ponieważ ich spojrzenie oznaczało zagrożenie. Mimo to nie czuła niepokoju, bo wiedziała, że te oczy są martwe. Zapomniała już, że gdy olbrzym zwany Luo Ji ukląkł w milczeniu przed formacją skalną, patrzył na nie. Wygramoliła się z wgłębienia i wdrapała się na szczyt. Nie miała wrażenia, że unosi się nad otoczeniem, bo nie czuła strachu przed tym, że spadnie. Wiele razy została zdmuchnięta bez najmniejszego uszczerbku z miejsc wyższych niż to. Bez lęku wysokości nie docenia się piękna gór.

U podnóża formacji pająk, którego Luo Ji zmiótł kwiatami na bok, zaczynał odbudowywać swoją sieć. Przymocował do lica skały połyskującą nić i kołysząc się na niej jak wahadło, opuścił się na ziemię. Powtórzył to trzykrotnie i szkielet pajęczyny był gotowy. Można ją było niszczyć tysiące razy i za każdym razem ją odtwarzał. Nie złościł się ani nie rozpaczał, gdy psuto jego dzieło, nie czuł radości, gdy je naprawiał. Tak po prostu się działo od miliarda lat.

Luo Ji postał jeszcze chwilę w milczeniu, po czym odszedł. Po ustąpieniu drgań ziemi mrówka obrała inną drogę i pospieszyła do mrowiska, by poinformować o miejscu, gdzie leżał martwy świerszcz. Gwiazdy na niebie zgęstniały. Kiedy mijała pająka, wyczuli nawzajem swoją obecność, ale się nie skomunikowali.

Odległy świat wstrzymał oddech i zamienił się w słuch, ale ani pająk, ani mrówka nie zdawali sobie sprawy z tego, że byli jedynymi spośród ziemskich stworzeń, które stały się świadkami narodzin aksjomatów cywilizacji kosmicznej.

Nieco wcześniej, głęboką nocą, Mike Evans stał na dziobie *Dnia Sądu Ostatecznego*, a Pacyfik przesuwał się obok burt statku niczym pas satyny pod niebem. Lubił rozmawiać z odległym światem w takich chwilach jak ta, bo tekst, który wyświetlał wtedy sofon na siatkówkach jego oczu, wspaniale rysował się na tle nocnego nieba i morza.

To nasza dwudziesta druga rozmowa w czasie rzeczywistym. Napotkaliśmy pewne trudności w naszej komunikacji.

– Tak, Panie. Dowiedziałem się, że nie potraficie zrozumieć znacznej części materiałów o ludzkości, które wam przekazałem.

Tak. Bardzo dobrze wyjaśniłeś te części, ale nie jesteśmy w stanie zrozumieć całości. Coś tu się nie zgadza.

– Tylko jedna rzecz?

Tak. Czasami wydaje się, jakby waszemu światu czegoś brakowało, a czasami, że jest wprost przeciwnie i że ma on coś dodatkowego. Nie wiemy, jak właściwie jest.

– Jaka dziedzina was dezorientuje?

Dokładnie przestudiowaliśmy dostarczone przez ciebie dokumenty i odkryliśmy, że kluczem do zrozumienia tego problemu jest para synonimów.

– Synonimów?

W waszych językach jest wiele synonimów i wyrażeń bliskoznacznych. W pierwszym, który otrzymaliśmy od ciebie, chińskim, były słowa o tym samym znaczeniu, na przykład „zimno” i „ziąb”, „wielki” i „ogromny”, „daleki” i „odległy”.

– Jaka para synonimów stała się tą przeszkodą w zrozumieniu, o której wspomniałeś?

„Myśleć” i „mówić”. Ku naszemu zaskoczeniu właśnie się dowiedzieliśmy, że w rzeczywistości nie są to synonimy.

– Bo nie są.

W naszym rozumieniu powinny nimi być. „Myśleć” znaczy używać w procesach umysłowych narządów służących do rozumowania. „Mówić” znaczy

komunikować treść swoich myśli komuś innemu. Tymczasem w waszym świecie tego drugiego dokonuje się poprzez modulację drgań powietrza za pomocą strun głosowych. Czy te definicje są poprawne?

– Tak. Ale czy nie dowodzi to, że „myśleć” i „mówić” nie są synonimami?

W naszym rozumieniu pokazuje to, że nie są.

– Mogę przez chwilę o tym pomyśleć?

Dobrze. My też musimy to przemyśleć.

Evans patrzył przez dwie minuty na fale pojawiające się w świetle gwiazd.

– Panie, jakie są wasze narządy komunikacji?

Nie mamy narządów komunikacji. Nasze mózgi pokazują nasze myśli światu zewnętrznemu, dzięki czemu się porozumiewamy.

– Pokazują myśli? Jak?

Nasze mózgi emitują powstające w nich myśli na falach we wszystkich częstotliwościach, włącznie z tymi, które są dla nas światłem widzialnym. Mogą je pokazywać na dużą odległość.

– A więc myślenie jest dla was równoznaczne z mówieniem?

Dlatego są to synonimy.

– Ach, tak… W naszym przypadku tak nie jest, ale mimo to nie powinno to być przeszkodą dla zrozumienia tych dokumentów.

To prawda. W sferze myślenia i komunikowania się różnice między nami nie są duże. I my, i wy mamy mózgi, które dzięki ogromnej liczbie połączeń nerwowych tworzą inteligencję. Jedyna różnica polega na tym, że nasze fale mózgowe są silniejsze i mogą być bezpośrednio odbierane przez naszych partnerów, co sprawia, że narządy komunikacji nie są nam potrzebne. To jedyna różnica.

– Nie. Przypuszczam, że jest między nami dużo poważniejsza różnica. Pozwól, Panie, że jeszcze raz to przemyślę.

Dobrze.

Evans zszedł z dziobu i ruszył wolnym krokiem po pokładzie. Za burtą wznosił się i opadał w ciszy Pacyfik. Evans wyobraził sobie, że jest to myślący mózg.

– Pozwól, Panie, że opowiem ci pewną historię. Żeby ją zrozumieć, musisz najpierw poznać znaczenie następujących terminów: wilk, dziecko, babcia i leśna chata.

Łatwo zrozumieć znaczenie tych terminów, z wyjątkiem „babci”. Wiemy, że oznacza to jakieś pokrewieństwo między ludźmi i zwykle odnosi się do kobiety w podeszłym wieku, ale na czym właściwie polega to pokrewieństwo, musisz nam wyjaśnić.

– To nie jest ważne, Panie. Musisz tylko wiedzieć, że to pokrewieństwo jest bardzo bliskie. Babcia jest jedną z niewielu osób, którym dzieci ufają.

Zrozumiałem.

– Przedstawię to prosto. Babcia musiała wyjść, więc zostawiła dzieci w domu, przykazując im, by zamknęły drzwi i nikomu ich nie otwierały. Po drodze spotkała wilka, który ją zjadł i włożył jej strój, żeby się do niej upodobnić. Potem poszedł do leśnej chaty, stanął przed drzwiami i powiedział dzieciom: „Jestem waszą babcią. Wróciłam. Otwórzcie mi". Dzieci spojrzały przez szparę i zobaczyły kogoś, kto wyglądał jak babcia, więc otworzyły drzwi. Wilk wszedł do środka i je zjadł. Rozumiesz tę opowieść, Panie?

Ani trochę.

– Więc być może mój domysł był słuszny.

Przede wszystkim wilk od początku chciał wejść do chaty i zjeść dzieci, zgadza się?

– Tak.

I to właśnie jest niezrozumiałe. Żeby osiągnąć swój cel, nie powinien się komunikować z dziećmi.

– Dlaczego?

Czy to nie oczywiste? Gdyby doszło do komunikacji między nimi, dzieci wiedziałyby, że wilk chce wejść do chaty i je zjeść, więc nie otworzyłyby drzwi.

Evans milczał przez chwilę, po czym powiedział:

– Rozumiem, Panie. Rozumiem.

Co rozumiesz? Czy to, co powiedziałem, nie jest oczywiste?

– Wasze myśli są całkowicie jawne dla świata zewnętrznego. Nie możecie ich ukryć.

Jak można ukryć myśli? To, co mówisz, mnie dezorientuje.

– Chodzi mi o to, że wasze myśli i wspomnienia są dla świata zewnętrznego tak widoczne, jak publicznie otwarta książka, film wyświetlany na placu czy rybka w akwarium. Całkowicie przejrzyste. Wystarczy rzucić okiem, żeby je odczytać. A może niektóre z wymienionych przeze mnie terminów są…

Wszystkie rozumiem. Ale czy to, że nasze myśli są przejrzyste, nie jest zupełnie naturalne?

Evans przez chwilę milczał.

– A więc to tak… – mruknął. – Panie, kiedy się komunikujecie twarzą w twarz, wszystko, co sobie przekazujecie, jest prawdą. Nie jesteście w stanie oszukiwać ani kłamać, a zatem nie możecie zrozumieć myślenia strategicznego.

Możemy się komunikować na dużą odległość, nie tylko twarzą w twarz. Trudno jest też nam zrozumieć dwa inne słowa: „oszukiwać” i „kłamać”.

– Co to za społeczeństwo, w którym myśli są całkowicie przejrzyste? Jaką tworzy ono kulturę? Jaką politykę? Nie ma w nim miejsca na machinacje ani na udawanie.

Czym są „machinacje” i „udawanie”?

Evans nic nie odpowiedział.

Ludzkie narządy komunikacji są ewolucyjnym mankamentem, konieczną kompensatą niezdolności waszych mózgów do emitowania wystarczająco silnych fal. To jeden z waszych biologicznych słabych punktów. Bezpośrednia ekspozycja myśli jest lepszą, bardziej wydajną formą komunikacji.

– Mankament? Słaby punkt? Nie, Panie. Mylisz się. W tej sprawie całkowicie się mylisz.

Tak uważasz? Pozwól, że o tym pomyślę. Szkoda, że nie możesz ujrzeć moich myśli.

Tym razem przerwa trwała dłużej. Gdy minęło dwadzieścia minut i nie pokazał się żaden tekst, Evans przeszedł z dziobu na rufę i przyglądał się ławicy ryb wyskakujących z wody i kreślących na powierzchni oceanu łuki, które lśniły srebrzyście w świetle gwiazd. Przed kilkoma laty spędził trochę czasu w łodzi rybackiej na Morzu Południowochińskim, badając wpływ nadmiernych połowów ryb na formy życia na wybrzeżu. Rybacy nazywali to zjawisko „przejściem smoczych żołnierzy”. Evansowi wydawało się to słowami rzutowanymi na oko oceanu. Potem zobaczył tekst przed własnymi oczami.

Masz rację. Kiedy wracam do tych dokumentów, rozumiem je teraz trochę lepiej.

– Musisz pokonać długą drogę, Panie, zanim naprawdę zrozumiesz ludzkie sprawy. Trochę się boję, że nigdy ci się to nie uda.

Rzeczywiście są bardzo skomplikowane. Na razie wiem tylko, dlaczego nie rozumiałem ich wcześniej. Masz rację.

– Potrzebujesz nas, Panie.

Boję się was.

Na tym rozmowa się skończyła. Była to ostatnia wiadomość, jaką Evans otrzymał z Trisolaris. Stał na rufie i patrzył na śnieżnobiały kadłub *Dnia Sądu Ostatecznego* niknący w mglistej nocy jak uciekający czas.

1 Przymiotnik *xiao* znaczy „mały” albo „młody” i używany jest przed nazwiskiem w odniesieniu do dzieci lub dla okazania sympatii [jeśli nie wskazano inaczej, przypisy są pióra amerykańskiego tłumacza powieści, Joela Martinsena].

CZĘŚĆ I

WPATRUJĄCY SIĘ W ŚCIANĘ

3 rok ery kryzysu

Odległość floty trisolariańskiej od Układu Słonecznego: 4,21 lat świetlnych

„Wygląda tak staro…”

Była to pierwsza myśl Wu Yue na widok *Tanga*, ogromnego okrętu w budowie, skąpanego w błyskach łuków elektrycznych. Oczywiście wrażenie to powodowały niezliczone, pozostałe po spawaniu zaawansowaną techniką gazową plamy na płytach stali manganowej pokrywających kadłub prawie ukończonej jednostki. Bezskutecznie starał się wyobrazić sobie, jak wspaniale i nowocześnie będzie wyglądał okręt pomalowany świeżą warstwą szarej farby.

Właśnie zakończyły się czwarte manewry z udziałem *Tanga*. Podczas dwóch miesięcy dowódcy okrętu, Wu Yue i Zhang Beihai, którzy stali teraz obok siebie, pełnili niewdzięczną rolę. Dowódcy zgrupowania bojowego kierowali w morze formacje niszczycieli, okrętów podwodnych i statków zaopatrzenia, natomiast *Tang*, na którym wciąż trwały prace montażowe, stał w doku, więc zwykłe miejsce lotniskowca albo zajmował okręt ćwiczebny *Zheng He*, albo w ogóle pozostawało puste. Podczas szkoleń Wu Yue często patrzył z nieobecnym wyrazem twarzy na pusty pas morza, którego powierzchnia, zakłócona przecinającymi się kilwaterami przepływających okrętów, niespokojnie falowała, zupełnie jak jego nastrój. W takich chwilach nieraz zadawał sobie pytanie: „Czy to puste miejsce zostanie kiedykolwiek wypełnione?”.

Kiedy patrzył na nieukończonego *Tanga*, widział nie tylko jego wiek, ale sam upływ czasu. Lotniskowiec wydawał się potężnym, starożytnym, opuszczonym fortem, jego usiany plamami kadłub kamiennym murem, deszcz iskier sypiących się z rusztowania roślinami porastającymi te kamienie… jakby nie był to statek w budowie, lecz stanowisko archeologiczne.

Bojąc się podążać tym torem myślenia, Wu Yue skierował uwagę na Zhang Beihaia.

– Jak się czuje twój ojciec? – zapytał. – Jest jakaś poprawa?

Zhang Beihai pokręcił głową.

– Nie. Po prostu jeszcze się trzyma.

– Poproś o urlop.

– Poprosiłem, kiedy pierwszy raz poszedł do szpitala. W obecnej sytuacji zajmę się tym, gdy nadejdzie czas.

Potem umilkli. Tak przebiegała każda ich rozmowa. Oczywiście kiedy chodziło o pracę, mieli sobie więcej do powiedzenia, ale zawsze był między nimi jakiś niewidzialny mur.

– Beihai, nasza służba nie będzie już taka jak dawniej. Myślę, że skoro dzielimy to stanowisko, powinniśmy się lepiej porozumiewać.

– Dawniej porozumiewaliśmy się całkiem dobrze. Niewątpliwie dowództwo skierowało nas na *Tanga* dzięki naszej owocnej współpracy na *Chang'anie*.

Zhang Beihai roześmiał się, ale Wu Yue nie wiedział, co ma znaczyć ten śmiech. Zhang z łatwością zaglądał w głąb duszy każdego na okręcie, zarówno kapitana, jak i zwykłego marynarza. Przejrzał na wylot Wu Yue, ale ten nie potrafił przejrzeć Zhanga. Był pewien, że jego śmiech nie był udawany, ale nie rozumiał, jaka była jego przyczyna. Owocna współpraca nie była tożsama z dobrym zrozumieniem. Nie ulegało wątpliwości, że

Zhang Beihai był najbardziej kompetentnym oficerem politycznym na okręcie, solidnym, analizującym z absolutną precyzją każde zagadnienie, ale jego świat wewnętrzny pozostawał dla Wu Yue nieprzenikniony. Wu zawsze miał wrażenie, jakby Zhang Beihai mówił: „Po prostu zrób to tak. To najlepszy albo najwłaściwszy sposób. Ale tak naprawdę nie tego chcę". Początkowo było to niejasne wrażenie, ale z czasem Wu Yue doszedł do wniosku, że jest tak naprawdę. Oczywiście wszystko, co robił Zhang Beihai, było zawsze najlepszym albo najwłaściwszym w danej sytuacji posunięciem, ale Wu Yue nie miał pojęcia, czego on tak naprawdę chce.

Wu Yue trzymał się jednej zasady: dowodzenie okrętem jest niebezpiecznym zajęciem, a zatem obaj dowódcy muszą znać swoje myśli. Stwarzało to dla niego trudny problem. Najpierw sądził, że Zhang Beihai ma się przed nim na baczności, co mu ubliżało. Czy na stanowisku kapitana niszczyciela był ktoś bardziej otwarty i prostolinijny niż on? „Czy jest we mnie coś, przed czym trzeba się strzec?"

Kiedy ojciec Zhang Beihaia był przez krótki czas ich przełożonym, Wu Yue zwierzył mu się, jak trudno rozmawia mu się z komisarzem.

– Czy nie wystarczy dobrze wykonywać zadania? Dlaczego musisz wiedzieć, co on myśli? – odparł łagodnie generał, po czym, być może mimowolnie, dodał: – Szczerze mówiąc, ja też nie wiem.

– Przyjrzyjmy mu się bliżej – powiedział Zhang Beihai, wskazując na *Tanga* prześwitującego przez iskry.

Akurat wtedy zaterkotały ich telefony – obaj otrzymali wiadomość, by wrócić do samochodu. Zazwyczaj oznaczało to sytuację nadzwyczajną, bo tam znajdował się sprzęt umożliwiający rozmowę na linii zabezpieczonej przed podsłuchem. Wu Yue otworzył drzwi pojazdu i podniósł słuchawkę. Dzwonił doradca ze stanowiska dowodzenia.

– Kapitanie Wu, dowództwo floty wzywa pana i komisarza Zhanga do natychmiastowego stawienia się w Sztabie Głównym.

– W Sztabie Głównym? A co z ćwiczeniami piątej floty? Połowa zgrupowania jest na morzu, reszta dołączy jutro.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Rozkaz jest jasny. Może się pan zapoznać ze szczegółami, kiedy pan wróci.

Kapitan i komisarz polityczny wciąż niezwodowanego *Tanga* popatrzyli na siebie, a potem nastąpiła jedna z tych rzadkich chwil podczas lat wspólnej służby, kiedy pomyśleli to samo: „Wygląda na to, że ten pas wody pozostanie pusty”.

Fort Greely na Alasce. Kilka danieli wędrujących przez zaśnieżoną równinę nagle zamarło w bezruchu, czując drgania ziemi pod śniegiem. Przed nimi otworzyła się biała półkula, olbrzymie, do połowy zakopane jajo. Postawiono je tam dawno temu, ale daniele zawsze uważały, że nie jest naturalną częścią tego zamarzniętego świata. Z jaja wzbił się gęsty dym, a za nim cylinder, który szybko się wznosił, buchając ogniem z dolnego końca. Zaspy zostały wyrzucone przez płomienie w górę, po czym spadły w postaci deszczu. Gdy cylinder osiągnął dostateczną wysokość, ucichł ryk silników, który przestraszył daniele. Cylinder zniknął na niebie, zostawiając za sobą długi biały ogon, jakby śnieżny krajobraz był olbrzymim motkiem przędzy, z którego potężna niewidzialna ręka wyciągnęła w górę nić.

– Niech to szlag! Jeszcze parę sekund, a potwierdziłbym przerwanie odpalania pocisku! – powiedział Raeder, oficer odpowiedzialny za namierzanie celów, rzucając komputerową myszą. Znajdował się kilka tysięcy kilometrów od fortu Greely, w Centrum Obrony przed Atakiem Jądrowym Dowództwa Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni

Powietrznej i Kosmicznej (NORAD), trzysta metrów pod górą Cheyenne koło Colorado Springs.

– Gdy tylko pojawiło się ostrzeżenie przed atakiem, od razu pomyślałem, że to błąd – rzekł obserwator orbity Jones, kręcąc głową.

– No to co ten system atakuje? – zapytał generał Fitzroy. Obrona przed atakiem jądrowym była tylko jednym z obowiązków na jego nowym stanowisku i jeszcze nie zapoznał się z tym dokładnie. Patrząc na pokrytą monitorami ścianę, starał się znaleźć intuicyjne przedstawienie graficzne w rodzaju tego, jakie mieli w centrum kontroli lotów NASA – czerwoną linię pełznącą niczym wąż po mapie świata i tworzącą sinusoidę na planarnym przekształceniu tej mapy. Dla nowicjuszy było to niejasne, ale przynajmniej pokazywało, że coś wzbija się w przestrzeń kosmiczną. Jednak tutaj nie było to takie proste. Linie na ekranach tworzyły zawiłą, abstrakcyjną bazgraninę, która była dla niego zupełnie niezrozumiała, nie wspominając już o szybko przewijających się liczbach, które miały sens tylko dla dyżurnych oficerów OAJ. – Panie generale, pamięta pan, jak w zeszłym roku wymieniali powłokę odblaskową na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej? Starą stracili. To było to. Zwija się i odfruwa z wiatrem słonecznym.

– Ale… to powinno być w bazie danych systemu namierzania celu.

– I jest. Tutaj.

Raeder otworzył myszą odpowiednią stronę. Pod mnóstwem skomplikowanych tekstów, danych i wykresów znajdowało się niepozorne zdjęcie, prawdopodobnie zrobione przez teleskop z Ziemi, na którym widać było nieregularną białą plamę na czarnym tle. Świeciła tak silnym odbitym światłem, że trudno było dostrzec jakieś szczegóły.

– Skoro pan to ma, majorze, dlaczego nie przerwał pan programu wystrzelenia rakiety?

– System powinien był automatycznie przeszukać bazę danych namierzania celu. Ludzkie reakcje nie są wystarczająco szybkie. Ale dane ze starego systemu nie zostały sformatowane dla nowego, nie były więc włączone do modułu rozpoznawania – odparł Raeder nieco urażonym tonem, jakby chciał powiedzieć: „Dowiodłem, że jestem utalentowany, bo wyszukałem to ręcznie, kiedy nie potrafił tego zrobić superkomputer OAJ, a mimo to muszę odpowiadać na pańskie bezsensowne pytania”.

– Panie generale, rozkaz rozpoczęcia akcji przyszedł po ustaleniu przez OAJ kursu rakiety przejmującej, ale przed ukończeniem ponownej kalibracji programu – wyjaśnił oficer dyżurny.

Fitzroy nic na to nie powiedział. Irytował go trajkot w sali. Miał przed sobą pierwszy w historii ludzkości system obrony planetarnej, ale był to tylko istniejący już wcześniej system obrony przed atakiem jądrowym, którego pociski przechwytujące, wymierzone pierwotnie w różne ziemskie kontynenty, zostały teraz zwrócone w przestrzeń kosmiczną.

– Słuchajcie, powinniśmy zrobić zdjęcie dla upamiętnienia tej chwili! – powiedział Jones. – To będzie pierwsze uderzenie Ziemian we wspólnego wroga.

– Używanie tutaj aparatów fotograficznych jest zabronione – rzekł chłodno Raeder.

– Kapitanie, o czym pan mówi? – Fitzroy nagle się rozzłościł. – System nie wykrył żadnego wrogiego celu. To nie jest pierwsze uderzenie.

– Te pociski przechwytujące uzbrojone są w głowice jądrowe – powiedział ktoś po chwili niezręcznej ciszy.

– Tak, każdy o ładunku półtorej megatony. I co z tego?

– Na zewnątrz jest prawie zupełnie ciemno. Jeśli wziąć pod uwagę położenie celu, powinniśmy zobaczyć błysk wybuchu!

– Może pan to zobaczyć na ekranie monitora.

– Fajniej byłoby zobaczyć to na zewnątrz – zauważył Raeder.

Jones wstał nerwowo.

– Panie generale… mój dyżur się skończył – oznajmił.

– Mój też – powiedział Raeder. Był to z jego strony tylko uprzejmy gest. Fitzroy był koordynatorem wysokiego szczebla z ramienia Rady Obrony Planety i nie mógł rozkazywać personelowi NORAD i OAJ.

Fitzroy machnął ręką.

– Nie jestem waszym dowódcą. Róbcie, co chcecie. Pozwolę jednak sobie przypomnieć panom, że być może będziemy spędzali razem dużo czasu w pracy.

Raeder i Jones ruszyli biegiem na powierzchnię. Przeszedłszy przez wielotonowe drzwi, które miały chronić przed promieniowaniem radioaktywnym, znaleźli się na szczycie góry Cheyenne. Był zmierzch, a niebo czyste, ale nie ujrzeli błysku wybuchu pocisku jądrowego w przestrzeni kosmicznej.

– To powinno być tam – rzekł Jones, wskazując miejsce na niebie.

– Może nie zdążyliśmy – odparł Raeder. Nie spojrzał w górę. Potem dodał z ironicznym uśmieszkiem: – Oni naprawdę wierzą, że sofon rozwinie się w mniejszej liczbie wymiarów?

– Niemożliwe. Jest inteligentny. Nie da nam takiej szansy.

– Oczy OAJ są skierowane w górę. Naprawdę nie ma już na Ziemi niczego, przed czym powinniśmy się bronić? Nawet jeśli wszystkie kraje stosujące terroryzm stały się święte, to pozostaje jeszcze Ruch na rzecz Ziemskiej Trisolaris, prawda? – Parsknął. – I Rada Obrony Planety. Ci faceci wyraźnie chcą zapisać na swój rachunek jakieś szybkie osiągnięcie. Fitzroy jest jednym z nich. Teraz mogą oznajmić, że pierwszy etap systemu obrony planety został zakończony, chociaż nie zrobili praktycznie nic dla udoskonalenia sprzętu. Jedynym celem systemu jest powstrzymanie sofonu

przed rozwinięciem się w mniejszej liczbie wymiarów w pobliżu orbity Ziemi. Ta technologia jest nawet prostsza od tej, która jest potrzebna dla przechwytywania pocisków kierowanych, bo jeśli cel się rzeczywiście pojawi, zajmie ogromny obszar… Dlatego właśnie poprosiłem pana tutaj, kapitanie. Dlaczego jak dziecko wyskoczył pan z tym pomysłem zrobienia zdjęcia pierwszego uderzenia? Tylko zdenerwował pan generała. Nie widzi pan, że jest on człowiekiem małostkowym?

– Ale… czy to nie był komplement?

– Fitzroy jest jednym z największych reklamiarzy w wojsku. Nie oświadczy na konferencji prasowej, że to był błąd systemu. Podobnie jak cała reszta, powie, że była to udana próba. Przekona się pan. – Raeder usiadł, po czym wyciągnął się na trawie i popatrzył z tęsknotą na twarzy na niebo, na którym właśnie ukazały się gwiazdy. – Wie pan, Jones, jeśli sofon rzeczywiście znowu się rozwinie, będziemy mieli szansę, by ją zniszczyć. To by naprawdę było coś!

– I jaki byłby z tego pożytek? Prawda jest taka, że lecą teraz w stronę Układu Słonecznego. Kto wie, ilu ich jest… Zaraz, a dlaczego powiedział pan „ją”, a nie „to” czy „jego”?

Twarz Raedera przybrała marzycielski wyraz.

– Chiński pułkownik, który właśnie przyleciał do centrum, powiedział mi wczoraj, że w jego języku sofon ma japońskie imię kobiece Tomoko[1].

Poprzedniego dnia Zhang Yuanchao wypełnił formularz przejścia na emeryturę i pożegnał się z zakładami chemicznymi, w których przepracował ponad czterdzieści lat. Według jego sąsiada Lao[2] Yanga dzisiaj zaczynała się jego druga młodość. Lao powiedział mu, że sześćdziesiąt lat, podobnie jak szesnaście, to najlepszy okres w życiu, wiek,

w którym człowiek pozbywa się ciężarów noszonych po czterdziestce i pięćdziesiątce, a nie pojawiają się jeszcze niedomagania i spowolnienie siedemdziesiątki i osiemdziesiątki. Wiek, w którym można cieszyć się życiem. Syn i synowa Zhang Yuanchao mieli stałą pracę i chociaż syn ożenił się późno, niedługo sprawią mu wnuka. Nie byłoby ich stać na kupno domu, w którym teraz mieszkali, gdyby nie zapłacono im za stary, który został rozebrany. W nowym miejscu mieszkali od roku…

Kiedy Zhang Yuanchao myślał o tym, wszystko wydawało się układać pomyślnie. Musiał przyznać, że Lao Yang miał rację. Mimo to gdy patrzył z okna swego mieszkania na siódmym piętrze na czyste niebo nad miastem, nie był w pogodnym nastroju, ani trochę nie czuł, że przeżywa drugą młodość.

Lao Yang, który miał na imię Jinwen, był emerytowanym nauczycielem gimnazjum. Często radził Zhang Yuanchao, by uczył się nowych rzeczy, jeśli chce się cieszyć schyłkiem życia. Mówił na przykład: „Weźmy internet. Nawet dziecko potrafi nauczyć się z niego korzystać, dlaczego nie miałbyś zrobić tego ty?”. Twierdził, że największą wadą Zhang Yuanchao jest to, że w ogóle nie interesuje się światem zewnętrznym: „Twoja żona ociera przynajmniej łzy przy tych kiczowatych operach mydlanych, a ty nawet nie oglądasz telewizji. Powinieneś zwracać uwagę na to, co dzieje się w kraju i na świecie. To część pełni życia”. Zhang Yuanchao był wprawdzie starym mieszkańcem Pekinu, ale w ogóle na takiego nie wyglądał. Przekonującą analizę sytuacji krajowej i międzynarodowej mógł przedstawić pierwszy lepszy taksówkarz, ale nie Zhang Yuanchao. Nawet jeśli znał nazwisko obecnego prezydenta, to nie wiedział, kto jest premierem, i prawdę mówiąc, szczycił się tym. Jak mawiał, prowadził ustabilizowane życie pospolitego człowieka i nie chciał zawracać sobie głowy takimi nieistotnymi sprawami. Nie miał z nimi nic wspólnego

i ignorowanie ich oszczędzało mu bólu głowy. Yang Jinwen bacznie śledził wydarzenia i starał się codziennie oglądać wieczorne wiadomości, a potem tak zajadle sprzeczał się w internecie z różnymi komentatorami na temat polityki gospodarczej i rozpowszechniania broni jądrowej, że robił się czerwony na twarzy. I co mu to dało? Rząd nie podniósł jego emerytury nawet o jednego fena. „Jesteś śmieszny – powiadał. – Uważasz, że to nieistotne? Że nie ma z tobą żadnego związku? Posłuchaj, Lao Zhang. Każda poważniejsza sprawa krajowa i międzynarodowa, każda poważniejsza kwestia w polityce wewnętrznej i każda rezolucja ONZ ma zarówno bezpośredni, jak i pośredni wpływ na twoje życie. Myślisz, że amerykański najazd na Wenezuelę to nie twój interes? Mówię ci, że ma to związek z wysokością twojej emerytury”. W owym czasie Zhang tylko się śmiał z przemądrzałych tyrad sąsiada. Teraz jednak wiedział, że Lao Yang miał rację.

Zhang Yuanchao zadzwonił do drzwi Yang Jinwena. Gdy tamten je otworzył, wyglądał tak, jakby dopiero co wrócił do domu. Wydawał się wyjątkowo zrelaksowany. Zhang Yuanchao spojrzał na niego jak człowiek, który spotkał na pustyni innego podróżnika i nie pozwoli mu odejść.

– Właśnie cię szukałem – powiedział. – Gdzie byłeś?

– Wybrałem się do marketu. Widziałem twoją starą. Kupowała jedzenie.

– Dlaczego w naszym domu jest tak pusto? Zupełnie jak… w mauzoleum.

– Bo nie mamy dzisiaj święta. To wszystko. – Yang roześmiał się. – To twój pierwszy dzień na emeryturze. To, co czujesz, jest zupełnie normalne. Przynajmniej nie byłeś dyrektorem. Im jest ciężej, kiedy kończą pracę. Wkrótce przywykniesz. Chodźmy do osiedlowego domu kultury. Może znajdziemy tam jakąś rozrywkę.

– Nie, nie. To nie dlatego, że przeszedłem na emeryturę, ale z powodu… jak mam to ująć? Z powodu sytuacji w kraju, a raczej na świecie.

Yang Jinwen wskazał na niego palcem i wybuchnął śmiechem.

– Z powodu sytuacji na świecie? Nie myślałem, że kiedykolwiek usłyszę coś takiego z twoich ust…

– Owszem, dawniej nie obchodziły mnie problemy ogólne, ale teraz stały się ogromne. Nigdy nie sądziłem, że mogą tak narosnąć!

– To zabawne, Lao Zhang, ale teraz ja zacząłem podchodzić do tych kwestii tak jak dawniej ty. Nie przejmuję się już nieistotnymi dla mnie sprawami. Możesz mi wierzyć albo nie, ale od dwóch tygodni nie oglądałem wiadomości. Kiedyś interesowałem się tym, co się dzieje na świecie, bo ludzie są ważni. Mogliśmy mieć jakiś wpływ na bieg spraw, ale teraz nikt nie jest w stanie nad nimi zapanować. Po co w takim razie zawracać sobie tym głowę?

– Ale nie może cię to nie obchodzić. Za czterysta lat ludzkość przestanie istnieć!

– Hmm. Ty i ja nie będziemy istnieć za czterdzieści parę lat.

– A nasi potomkowie? Zostaną unicestwieni.

– Mnie nie martwi to tak bardzo jak ciebie. Mój syn, który mieszka w Ameryce, jest żonaty, ale nie chce mieć dzieci, więc naprawdę nie dbam o to. Ale ród Zhangów przetrwa jeszcze z dziesięć pokoleń, prawda? To nie wystarczy?

Zhang Yuanchao patrzył przez kilka sekund na Yang Jinwena, po czym spojrzał na zegarek. Włączył telewizor, w którym na kanale informacyjnym przedstawiano główne wydarzenia dnia:

> Associated Press donosi, że dzisiaj o 18.30 czasu wschodniego amerykański system Obrony przed Atakiem Jądrowym dokonał zakończonej pomyślnie próby zniszczenia sofonu rozwiniętego w małej liczbie wymiarów na orbicie blisko Ziemi. Był to już

trzeci test OAJ, odkąd rakiety przechwytujące wymierzono w przestrzeń kosmiczną. Celem ostatniego ataku była powłoka odblaskowa Międzynarodowej Stacji Kosmicznej porzucona w październiku ubiegłego roku. Rzecznik Rady Obrony Planety powiedział, że rakieta uzbrojona w głowicę bojową zniszczyła cel o powierzchni trzech tysięcy metrów kwadratowych. Znaczy to, że zanim rozwijający się w trzech wymiarach sofon osiągnie odpowiedni rozmiar i zajmie powierzchnię odbijającą światło, która będzie zagrożeniem dla ludzkości, system Obrony przed Atakiem Jądrowym będzie w stanie go zniszczyć…

– To nie ma sensu. Sofon się nie rozwinie – powiedział Yang, sięgając po pilota, którego trzymał Zhang. – Zmień kanał. Może będzie powtórka półfinałów Pucharu Europy. Wczoraj w nocy zasnąłem przed telewizorem…

– Pooglądasz je u siebie.

Zhang Yuanchao mocno zacisnął dłoń na pilocie i nie dał go sobie odebrać. Spiker kontynuował wiadomości:

Lekarz z 301 Szpitala Wojskowego, który zajmował się leczeniem akademika Jia Weilina, potwierdził, że zmarł on na nieuleczalną chorobę, białaczkę, a bezpośrednią przyczyną zgonu była niewydolność narządów i utrata krwi w zaawansowanym stadium tej choroby. Nie stwierdzono żadnych nieprawidłowości. Jia Weilin, znany ekspert w dziedzinie nadprzewodników, który wiele wniósł do nauki w zakresie materiałów nadprzewodzących w temperaturze pokojowej, zmarł dziesiątego. Opowieści o tym, jakoby stało się to wskutek ataku sofonu, są zwykłymi plotkami. W osobnym sprawozdaniu rzecznik Ministerstwa Zdrowia potwierdził, że kilka innych zgonów spowodowanych rzekomo uderzeniami sofonu nastąpiło w wyniku zwykłych chorób lub wypadków. Wysłannik naszej stacji rozmawiał o tym ze znakomitym fizykiem Dingiem Yi.

Reporter: Co pan sądzi o panice spowodowanej przez sofony?

Ding Yi: Wynika ona z braku wiedzy o fizyce. Przedstawiciele rządu i społeczności naukowej wyjaśniali wielokrotnie, że sofon jest mikroskopijną cząstką, która mimo iż posiada wysoką inteligencję, może wywierać bardzo

ograniczony wpływ na świat makroskopowy. Głównym zagrożeniem, jakie sofony stanowią dla ludzkości, jest to, że zakłócają eksperymenty w zakresie fizyki wysokiej energii, co prowadzi do błędnych rezultatów, oraz tworzą sieć splątania kwantowego, która śledzi, co się dzieje na Ziemi. W stanie mikroskopowym sofon nie może zabijać i nie może przypuścić ataku na nikogo i na nic. Jeśli sofon chce uzyskać większy wpływ na świat makroskopowy, może to osiągnąć tylko dzięki rozwinięciu się w mniejszej liczbie wymiarów. Zresztą nawet w takiej sytuacji skutki jego działania są bardzo ograniczone, ponieważ rozwinięty w mniejszej liczbie wymiarów w świecie makroskopowym jest on bardzo słaby. Teraz, gdy ludzkość stworzyła skuteczny system obrony, sofony nie mogą tego zrobić, nie stwarzając nam jednocześnie okazji do ich zniszczenia. Uważam, że główne środki przekazu powinny wykonywać lepszą pracę i rozpowszechniać te informacje, by nie dopuścić do szerzenia się paniki opartej na pogłoskach, które nie mają żadnych podstaw naukowych.

Ktoś wszedł bez pukania do salonu i zawołał: „Lao Zhang”, a potem: „Panie Zhang”. Po ciężkich krokach, które wcześniej słyszał na schodach, Zhang Yuanchao poznał Miao Fuquana, innego sąsiada z tego samego piętra. Miao, młodszy od niego o kilka lat, był właścicielem kilkunastu kopalni węgla w prowincji Shanxi. Miał dom w innej części Pekinu, a mieszkanie w tym budynku kupił, by móc ulokować w nim kochankę z Syczuanu, która była w wieku jego córki. Kiedy się wprowadził, rodziny Zhanga i Yanga nie zwracały na niego uwagi, jeśli nie liczyć kłótni z powodu śmieci porozrzucanych na korytarzu, ale w końcu odkryły, że mimo pewnego prostactwa był w gruncie rzeczy porządnym i przyjaznym człowiekiem. Kiedy administracja budynku załagodziła spory, stosunki między nimi trzema stopniowo zaczęły się układać harmonijnie. Chociaż Miao Fuquan twierdził, że przekazał zarząd nad kopalniami synowi, nadal był bardzo zajęty i rzadko spędzał czas w tym „domu”, więc w apartamencie z trzema sypialniami przebywała zwykle tylko owa kobieta z Syczuanu.

– Lao Miao, nie było cię tu od kilku miesięcy. Gdzie się w tym czasie dorabiałeś?

Miao Fuquan wziął niedbałym ruchem szklankę, napełnił ją do połowy wodą z karafki i wypił. Potem otarł usta i odparł:

– Nikt się nie dorabia… Są kłopoty w kopalni i musiałem tam jechać, żeby odkręcić sprawy. Mamy praktycznie wojnę. Tym razem rząd wziął się do tego na serio. Prawo zakazujące nielegalnej eksploatacji złóż nigdy dotąd nie działało, ale teraz te kopalnie już długo nie pociągną.

– Nadeszły złe czasy – powiedział Yang Jinwen, nie odrywając oczu od meczu pokazywanego w telewizji.

Mężczyzna leżał w łóżku od wielu godzin. Przez okno piwnicy, jedyne źródło oświetlenia, wpadał teraz blask księżyca, a jego zimne promienie tworzyły na podłodze jasne plamy. W panującym poza tym mroku wszystko wyglądało jak wykute z szarego kamienia, jakby pomieszczenie to było grobem.

Nikt nie znał prawdziwego nazwiska tego człowieka, ale w końcu nazwano go Drugim Burzycielem Ścian.

Drugi Burzyciel Ścian przez wiele godzin rozpamiętywał swoje życie. Utwierdziwszy się w przekonaniu, że niczego nie pominął w tych wspomnieniach, przekręcił zdrętwiałe ciało, sięgnął pod poduszkę, wyjął pistolet i powoli przyłożył go do skroni. W tym momencie przed jego oczami pojawił się tekst przesłany przez sofon.

Nie rób tego. Potrzebujemy cię.

– To ty, Panie? Od roku co noc śniłem o tobie, ale ostatnio te sny się skończyły. Myślałem, że przestałem śnić, ale teraz wydaje się, że tak nie jest.

To nie sen. Komunikuję się z tobą w czasie rzeczywistym.

Burzyciel Ścian roześmiał się chłodno.

– Dobrze. A zatem to koniec. Po drugiej stronie definitywnie nie ma żadnych snów.

Potrzebujesz dowodu?

– Dowodu, że po tamtej stronie nie ma snów?

Dowodu, że to naprawdę ja.

– Dobrze. Powiedz mi o czymś, o czym nie wiem.

Twoje złote rybki nie żyją.

– Ha! To nieważne. Spotkam się z nimi w miejscu, gdzie nie ma ciemności.

Powinieneś rzucić na nie okiem. Tego ranka, kiedy byłeś strapiony, odrzuciłeś wypalonego do połowy papierosa i wylądował on w akwarium. Nikotyna, która rozpuściła się w wodzie, okazała się zabójcza dla twoich rybek.

Drugi Burzyciel Ścian otworzył oczy, odłożył pistolet i zsunął się z łóżka. Wyszedł z letargu. Wymacał kontakt, zapalił światło i podszedł do

akwarium na stoliku. Pięć karasi chińskich unosiło się tuż pod powierzchnią wody, białymi brzuchami do góry, a pomiędzy nimi znajdował się wypalony do połowy papieros.

Przedstawię dodatkowe potwierdzenie. Evans dał ci kiedyś zaszyfrowany list, ale ten szyfr został zmieniony. Evans zginął, zanim zdołał cię powiadomić o nowym haśle, przez co nie mogłeś przeczytać tego listu. Podam ci teraz to hasło. Brzmi ono CAMEL, tak jak nazwa papierosa, którym otrułeś swoje rybki.

Drugi Burzyciel Ścian skoczył po laptopa i kiedy czekał, aż się uruchomi, po jego twarzy ciekły łzy.

– Panie, mój Panie, to naprawdę ty? Naprawdę ty? – wykrztusił przez szloch.

Gdy komputer był już gotów do pracy, Burzyciel Ścian otworzył załącznik do e-maila na czytniku zastrzeżonym dla Ruchu na rzecz Ziemskiej Trisolaris. Wprowadził hasło do wyskakującego okienka, a kiedy tekst się otworzył, nie miał głowy do tego, by go uważnie przeczytać. Padłszy na kolana, wykrzyknął:

– Panie! To naprawdę ty, Panie!

Gdy się uspokoił, podniósł głowę i powiedział z wciąż wilgotnymi oczami:

– Nie uprzedzono nas o ataku na zebranie zwołane przez komendantkę ani o zasadzce w Kanale Panamskim. Dlaczego nas opuściłeś?

Baliśmy się was.

– Dlatego, że nasze myśli nie są przejrzyste? Wiesz, że to nie jest ważne. Kiedy tobie służymy, wykorzystujemy wszystkie umiejętności, których ci

brakuje: oszukujemy, stosujemy podstępy, maskujemy się i wprowadzamy w błąd.

Nie wiemy, czy to prawda. Nawet jeśli przyjmiemy, że tak, nasz strach nie znika. Wasza Biblia wspomina o zwierzęciu, które nazywa się wąż. Czy pozbyłbyś się strachu i odrazy, którymi napawa cię wąż, gdyby podpełznął do ciebie i powiedział, że będzie ci służył?

– Gdyby powiedział prawdę, przełamałbym strach i odrazę i przyjął jego usługi.

To byłoby trudne.

– Oczywiście. Wiem, że ten wąż już raz cię ukąsił. Odkąd powiadamianie w czasie rzeczywistym stało się możliwe i udzieliłeś szczegółowych odpowiedzi na nasze pytania, nie miałeś powodu, żeby przekazać nam jakiekolwiek informacje o tym, jak otrzymaliście pierwszy sygnał z Ziemi czy jak zbudowane są sofony. Trudno nam było zrozumieć wasz punkt widzenia: skoro nie komunikujemy się, przekazując sobie bezpośrednio myśli, to dlaczego nie mieliście wybierać ostrożniej informacji, które nam przesyłaliście?

Taka możliwość faktycznie istniała, ale nie ukrywamy aż tak wiele, jak moglibyście sobie wyobrażać. W rzeczywistości na naszym świecie istnieją formy komunikacji, które nie wymagają bezpośredniego przekazywania myśli, zwłaszcza w epoce technologicznej. Mimo to przejrzyste myśli stały się kulturowym i społecznym zwyczajem. Być może jest wam równie trudno to zrozumieć, jak nam was.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, że wasz świat jest całkowicie wolny od oszustw i intryg.

I nie jest, ale i jedno, i drugie jest dużo prostsze niż u was. Na przykład podczas wojen na naszym świecie przeciwnicy uciekają się do przebrań, ale nieprzyjaciel, który nabierze podejrzeń i zacznie dociekać, czy druga strona czegoś nie maskuje albo nie ukrywa, zwykle dowiaduje się prawdy.

– Niewiarygodne.

Wy jesteście dla nas tak samo niewiarygodni. Masz na półce książkę pod tytułem *Opowieść o Trzech Królestwach*.

– *Dzieje Trzech Królestw*[3]. Nie zrozumiałbyś tego dzieła.

Rozumiem jego małą część, na przykład to, jak zwykły człowiek, który nie potrafi zrozumieć rozprawy matematycznej, może ją w pewnym stopniu pojąć dzięki ogromnemu wysiłkowi umysłowemu i puszczeniu wodzy wyobraźni.

– Ta książka przedstawia ludzkie intrygi i strategie na najwyższym poziomie.

Ale nasze sofony mogą sprawić, że wszystko w ludzkim świecie stanie się przejrzyste.

– Wszystko oprócz ludzkich umysłów.

Tak. Sofon nie potrafi czytać w myślach.

– Musisz wiedzieć o programie Wpatrujących się w Ścianę.

Wiem więcej niż ty. Wkrótce ma się zacząć jego realizacja. Dlatego się do ciebie zwróciliśmy.

– I co o nim sądzisz?

Czuję to samo co ty, kiedy patrzysz na węża.

– Ale w Biblii to wąż pomógł człowiekowi posiąść wiedzę. Program Wpatrujących się w Ścianę doprowadzi do stworzenia jednego albo kilku labiryntów, które wydadzą ci się wyjątkowo zawiłe i zdradliwe. Pomożemy ci znaleźć wyjście.

Ta różnica w przejrzystości myśli umacnia nas w postanowieniu, by zlikwidować ludzkość. Pomóżcie nam w tym, a potem was zlikwidujemy.

– Panie, wyrażasz się w problematyczny sposób. Najwidoczniej wynika to z tego, że komunikujecie się poprzez pokazywanie przejrzystych myśli, ale w naszym świecie jest inaczej. Jeśli mówisz to, co naprawdę myślisz, musisz używać eufemizmów. Na przykład to, co teraz powiedziałeś, jest wprawdzie zgodne z ideałami RZT, ale zbyt wyraźne sformułowania mogłyby zniechęcić niektórych naszych członków i spowodować nieprzewidziane konsekwencje. Oczywiście być może nigdy nie będziesz w stanie wyrażać się odpowiednio.

To właśnie wyrażanie zniekształconych myśli sprawia, że wymiana informacji w ludzkim społeczeństwie, zwłaszcza w literaturze, tak bardzo przypomina zawiły labirynt. O ile wiem, RZT jest o krok od upadku.

– Dlatego, że nas opuściłeś. Te dwa uderzenia były zabójcze – redempcjoniści się rozpadli i teraz w zorganizowanej formie pozostali tylko adwentyści. Z pewnością wiesz o tym, ale najdotkliwszy był cios psychologiczny. Ponieważ pozostawiłeś nas samym sobie, oddanie ci naszych członków poddawane jest próbie. RZT rozpaczliwie potrzebuje twojej pomocy, Panie, by utrzymać to oddanie.

Nie możemy wam przekazać naszej technologii.

– To nie będzie konieczne, jeśli wrócisz do przekazywania nam informacji za pośrednictwem sofonów.

Naturalnie. Ale najpierw RZT musi wykonać ważny rozkaz, który przed chwilą przeczytałeś. Wydaliśmy go Evansowi przed jego śmiercią, a on polecił wam, byście go wykonali, ale nie zdołaliście go odszyfrować.

Burzyciel Ścian przypomniał sobie o liście, który odkodował na swoim komputerze. Przeczytał go ponownie, tym razem uważnie.

Proste zadanie, prawda?

– Niezbyt trudne. Ale czy to naprawdę jest aż tak ważne?

Było ważne. Teraz z powodu programu Wpatrujących się w Ścianę staje się niezwykle ważne.

– Dlaczego?

Przez chwilę nie pojawiał się żaden tekst.

Evans wiedział dlaczego, ale najwyraźniej nikomu o tym nie powiedział. Miał rację, że tego nie zrobił. Szczęśliwie się złożyło. Teraz nie musimy ci wyjaśniać, dlaczego ma to dla nas tak duże znaczenie.

Burzyciel Ścian nie posiadał się z radości.

– Panie, nauczyłeś się ukrywać swoje zamiary! To postęp!

Evans dużo nas nauczył, ale nadal jesteśmy na samym początku edukacji albo – jak on mówił – dopiero na poziomie pięcioletnich dzieci. Rozkaz, który wam wydał, zawiera jedną ze strategii, których nie potrafimy się nauczyć.

– Masz na myśli, Panie, to zastrzeżenie: „Żeby nie zwrócić na siebie uwagi, nie wolno wam wyjawić, że jest to dzieło RZT”? To… cóż, jeśli ten cel jest tak ważny, to ten wymóg jest całkowicie naturalny.

Dla nas jest to skomplikowany plan.

– Dobrze. Zajmę się tym zgodnie z życzeniem Evansa. Panie, dowiedziemy naszego oddania tobie.

W zakamarku ogromnego morza informacji w internecie znajdował się zakamarek, a w zakamarku tego zakamarka inny zakamarek, w którego zakamarku był kolejny zakamarek, a w nim, to znaczy w głębi zakamarku najbardziej ukrytego ze wszystkich zakamarków, ponownie ożył pewien wirtualny świat.

Pod dziwnym chłodnym niebem o poranku nie było piramidy, budynku ONZ ani wahadła, a jedynie bezkresna pustka, która wyglądała jak olbrzymi kawał skutego mrozem metalu.

Na horyzoncie pojawił się król Wen z dynastii Zhou. Był w łachmanach i niósł zaśniedziały brązowy miecz, a jego twarz była tak samo brudna i pomarszczona jak skóra, którą się owinął. Ale jego oczy przepełniała energia, a w ich źrenicach odbijało się wschodzące słońce.

– Jest tu ktoś? – krzyknął. – Ktokolwiek?

Jego głos natychmiast pochłonęło pustkowie. Krzyczał jeszcze przez chwilę, a potem usiadł ze znużeniem na ziemi, przyspieszył bieg czasu i patrzył, jak słońca zmieniają się w spadające gwiazdy, a spadające gwiazdy z powrotem w słońca, jak słońca er stabilności przesuwają się po niebie niczym wahadła zegarów, a słońca er chaosu zamieniają świat w ogromną scenę z oświetleniem, które wymknęło się spod kontroli. Czas pędził, ale wokół króla Wena nic się nie zmieniało. Krajobraz pozostawał wieczną, metaliczną pustynią. Na niebie zatańczyły trzy gwiazdy i król Wen zamienił się w słup lodu. Potem spadająca gwiazda przeistoczyła się w słońce i gdy ten ogromny ognisty dysk przelatywał nad ziemią, pokrywający króla lód stopniał i jego ciało stało się słupem ognia. Zanim całkowicie obrócił się w popiół, zdołał jeszcze wydać głębokie westchnienie.

Trzydziestu oficerów wojsk lądowych, marynarki wojennej i sił powietrznych utkwiło wzrok w insygnium na ciemnoczerwonym tle – srebrnej gwieździe o czterech ramionach w kształcie ostrych mieczy. Po obu jej bokach znajdowały się chińskie znaki odpowiadające cyfrom osiem i jeden[4]. Był to znak chińskich Sił Kosmicznych.

Generał Chang Weisi skinął na nich, by usiedli. Potem, kładąc czapkę na stole, powiedział:

– Oficjalna ceremonia utworzenia sił kosmicznych odbędzie się jutro rano i wtedy otrzymacie mundury i odznaki. Jednak od tej chwili, towarzysze, należymy do tego samego rodzaju sił.

Zebrani popatrzyli po sobie i zauważyli, że wśród trzydziestu zebranych jest piętnastu w mundurach marynarki wojennej, dziewięciu w mundurach sił powietrznych i sześciu w mundurach wojsk lądowych. Kiedy spojrzeli z powrotem na generała Changa, trudno im było ukryć konsternację.

Chang Weisi rzekł z uśmiechem:

– To dziwne proporcje, prawda? Nie możecie oceniać przyszłych sił kosmicznych na podstawie dzisiejszego programu powietrzno-kosmicznego. Kiedy nadejdzie czas na statki kosmiczne, będą one prawdopodobnie nawet większe niż dzisiejsze lotniskowce. Przyszła wojna w kosmosie będzie się opierać na platformach bojowych o olbrzymim tonażu i ogromnej odporności, a starcia będą bardziej przypominać bitwy morskie niż powietrzne, do tego na trzy-, a nie dwuwymiarowym polu walki. Tak więc siły kosmiczne muszą się opierać na marynarce wojennej. Wiem, że wszyscy przypuszczaliśmy, że podstawą będzie lotnictwo, co znaczy, że nasi towarzysze z marynarki mogą nie być do tego przygotowani. Musicie jak najszybciej dostosować się do tej sytuacji.

– Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, że się tak stanie, panie generale – powiedział Zhang Beihai.

Wu Yue siedział obok niego bez ruchu, sztywno, jakby połknął kij, ale Zhang wyraźnie czuł, że coś zgasło w jego spokojnych oczach.

Chang Weisi skinął głową.

– Prawdę mówiąc, marynarka wojenna nie jest aż tak bardzo daleka od kosmosu, jak mogłoby się wydawać. Czy nie mówi się „statki kosmiczne”? Jest tak dlatego, że w powszechnym przekonaniu przestrzeń kosmiczna i oceany są ze sobą od dawna powiązane.

Nastrój w sali nieco się uspokoił.

– Towarzysze – ciągnął generał – w tej chwili ten nowy rodzaj sił zbrojnych składa się tylko z nas, to jest z trzydziestu jeden oficerów. Jeśli chodzi o przyszłą flotę kosmiczną, to prowadzi się badania we wszystkich dyscyplinach naukowych, koncentrując się zwłaszcza na zbudowaniu dźwigu kosmicznego i silników termojądrowych dla olbrzymich statków… Ale to nie jest pole działania sił kosmicznych. Naszym obowiązkiem jest stworzenie teoretycznych podstaw wojny w kosmosie. To przytłaczające zadanie, ponieważ mamy zerową wiedzę o wojnach tego typu, ale przyszła flota kosmiczna zostanie zbudowana na tych właśnie podstawach. A zatem w stadium wstępnym siły kosmiczne będą raczej czymś w rodzaju akademii wojskowej. Głównym zadaniem tych, którzy tutaj siedzą, jest zorganizowanie tej akademii, a następnie zaproszenie grupy naukowców i badaczy do przyłączenia się do nas.

Chang podniósł się, podszedł pod insygnium i stamtąd zwrócił się do zebranych oficerów słowami, które mieli zapamiętać do końca życia:

– Towarzysze, siły kosmiczne mają przed sobą trudną drogę. Według wstępnych prognoz badania podstawowe we wszystkich dziedzinach nauki potrwają co najmniej pięćdziesiąt lat, a zanim można będzie wykorzystać praktycznie technologię niezbędną dla dalekich podróży kosmicznych, minie kolejnych sto. Zbudowanie floty kosmicznej w planowanej skali będzie wymagało następnego półtora stulecia. Oznacza to, że osiągnięcie pełnej zdolności bojowej zajmie siłom kosmicznym trzy stulecia. Towarzysze, jestem pewien, że wszyscy rozumiecie, co to znaczy. Żaden z obecnych w tej sali nie poleci w kosmos, a tym bardziej nie będzie miał szansy zobaczenia naszej floty kosmicznej. Być może nie zobaczymy nawet wiarygodnego modelu kosmicznego statku wojennego. Pierwsze pokolenie oficerów i członków załóg urodzi się dopiero za dwa wieki od tej chwili,

a dwieście pięćdziesiąt lat potem ziemska flota spotka się z obcymi najeźdźcami. Na pokładach statków, które wejdą w jej skład, będzie piętnaste pokolenie naszych potomków.

Zgromadzeni pogrążyli się w długim milczeniu. Przed nimi była trudna droga, kończąca się gdzieś w mglistej przyszłości, gdzie oczami wyobraźni mogli zobaczyć tylko strzelające płomienie i lśnienie krwi. Świadomość krótkości ludzkiego życia dręczyła ich jak nigdy dotąd, a w sercach łączyli się z potomkami, by z nimi się zanurzyć w krwi i ogniu w lodowatej otchłani kosmosu, ostatecznym miejscu spotkań dusz wszystkich żołnierzy.

Jak zwykle po powrocie Miao Fuquan zaprosił do siebie Zhang Yuanchao i Yang Jinwena na kielicha. Jego syczuańska kochanka przygotowała wspaniałą ucztę. Kiedy popijali, Zhang Yuanchao poruszył sprawę porannej wyprawy Miao do oddziału Construction Bank po wypłatę gotówki.

– Nie słyszeliście? – powiedział Miao Fuquan. – W bankach ludzie zadeptywali się na śmierć! Przy kasach leżały po trzy warstwy klientów.

– A twoje pieniądze? – zapytał Zhang Yuanchao.

– Udało mi się trochę wyciągnąć. Reszta jest zamrożona. To karygodne!

– Jeden włos, który zgubisz, jest wart więcej, niż my mamy razem – rzekł Zhang Yuanchao.

– W wiadomościach mówili, że kiedy panika trochę opadnie, rząd zacznie stopniowo odmrażać konta – powiedział Yang Jinwen. – Może najpierw tylko częściowo, ale w końcu wszystko wróci do normalności.

– Mam taką nadzieję. – Zhang Yuanchao westchnął. – Rząd popełnił błąd, ogłaszając tak wcześnie stan wojny, bo tym samym wywołał panikę. Teraz każdy myśli tylko o sobie. Ile osób przejmuje się obroną Ziemi za czterysta lat?

– Nie to jest największym problemem – rzekł Yang Jinwen. – Mówiłem już i jeszcze raz powtórzę, że wielkość oszczędności w Chinach jest tykającą bombą. Nie mam racji? Wysokie oszczędności, niskie poczucie bezpieczeństwa socjalnego. Ludzie trzymają oszczędności całego życia w bankach, więc najlżejszy powiew wiatru wywołuje masową histerię.

– A co sądzisz o tej wojennej gospodarce? – zapytał Zhang Yuanchao. – Jak będzie wyglądała?

– To się stało zbyt nagle. Nie sądzę, żeby ktokolwiek miał pełen obraz tego, co będzie, a jeśli chodzi o nową politykę gospodarczą, to dopiero sporządza się jej zarys. Ale jedno jest pewne: Czekają nas ciężkie czasy.

– Ciężkie czasy, sranie w banię – włączył się Miao Fuquan. – Ludzie w naszym wieku widzieli już różne rzeczy. Spodziewam się, że znowu będzie tak jak w latach sześćdziesiątych.

– Współczuję tylko dzieciom – powiedział Zhang Yuanchao i wychylił kieliszek.

Akurat wtedy sygnał wiadomości przyciągnął ich uwagę do telewizora. Dobrze znany dźwięk w tych czasach, muzyka, która sprawiała, że wszyscy rzucali to, co robili, i zaczynali się wpatrywać w ekrany. Był to specjalny sygnał, zwiastujący wiadomości z ostatniej chwili, które nadawano w tych czasach częściej niż w poprzednich latach. Trzej starzy mężczyźni pamiętali, że przed latami osiemdziesiątymi dwudziestego wieku takie wiadomości często pojawiały się w radiu i telewizji, ale zniknęły w długim okresie dobrobytu i spokoju, który nastąpił potem.

Prezenter zaczął:

> Według naszego korespondenta w Sekretariacie ONZ, rzecznik organizacji oświadczył na zakończonej przed chwilą konferencji prasowej, że w najbliższej przyszłości zostanie zwołana specjalna sesja Zgromadzenia Ogólnego w celu omówienia problemu eskapizmu. Współorganizatorami tej sesji będą stali

członkowie Rady Obrony Planety, którzy dołożą wszelkich starań, by nakłonić społeczność międzynarodową do osiągnięcia porozumienia w sprawie postaw eskapistycznych i stworzenia odpowiednich przepisów w prawie międzynarodowym.

Przypomnijmy pokrótce, jak doszło do powstania i rozwoju eskapizmu.

Doktryna eskapizmu pojawiła się w związku z kryzysem trisolariańskim. Jej głównym argumentem jest twierdzenie, że skoro rozwój zaawansowanych dziedzin ludzkiej nauki został zahamowany, nie ma sensu planować obrony Ziemi i Układu Słonecznego za cztery i pół wieku. Biorąc pod uwagę stopień, w jakim ludzka technologia może się rozwinąć w ciągu następnych czterystu lat, trzeba uznać, że bardziej realistycznym celem byłoby skonstruowanie statków kosmicznych, które umożliwiłyby małej części ludzkości ucieczkę w przestrzeń kosmiczną i uniknięcie w ten sposób całkowitej zagłady ludzkiej cywilizacji.

Według eskapistów istnieją trzy możliwe cele podróży. Opcja pierwsza: nowy świat, to znaczy poszukiwanie wśród gwiazd świata, na którym ludzkość mogłaby przetrwać. Bez wątpienia jest to dla nich idealne rozwiązanie, ale wymaga statków zdolnych do osiągnięcia niezwykle dużej prędkości, a i tak podróż byłaby bardzo długa. Zważywszy na to, jaki poziom może osiągnąć nasza nauka w okresie kryzysu, należy uznać, że możliwość ta jest nierealna. Opcja druga: cywilizacja na statku kosmicznym, to znaczy wykorzystanie przez uciekinierów statków jako stałej siedziby, w której ludzkość wprawdzie przetrwa, ale będzie w wiecznej podróży. Ta opcja napotyka takie same trudności jak opcja szukania nowego świata, chociaż kładzie większy nacisk na opracowanie technologii umożliwiających stworzenie zamkniętych ekosystemów. Zbudowanie statku wielopokoleniowego z zamkniętą w jego wnętrzu pełną biosferą daleko wykracza poza obecne umiejętności techniczne ludzkości. Opcja trzecia: schronienie tymczasowe. Po zakończeniu przez Trisolarian procesu zasiedlania Układu Słonecznego może dojść do rozmów między nimi i ludźmi, którzy uciekli w kosmos. Skłoniwszy społeczeństwo trisolariańskie do złagodzenia polityki, przebywająca w przestrzeni kosmicznej resztka ludzkości będzie w końcu mogła wrócić do Układu Słonecznego i koegzystować w mniejszej skali z Trisolarianami. Chociaż uważa się, że tymczasowe schronienie jest planem najbardziej realistycznym, jest tu zbyt wiele niewiadomych.

Niedługo po narodzinach eskapizmu środki masowego przekazu na całym świecie doniosły, że Stany Zjednoczone i Rosja, liderzy w technologii kosmicznej, rozpoczęły tajne prace nad planami ucieczki w kosmos. Chociaż rządy obu krajów

zaprzeczyły, by istniały takie plany, szum, jaki się podniósł w społeczności międzynarodowej, doprowadził do powstania ruchu na rzecz „technologii uspołecznionej”. Na trzeciej sesji specjalnej ONZ liczna grupa krajów rozwijających się zażądała, by Stany Zjednoczone, Rosja, Japonia, Chiny i Unia Europejska ujawniły i udostępniły za darmo wszystkie zaawansowane technologie, włącznie z kosmiczną, społeczności międzynarodowej, dając wszystkim państwom równe możliwości stawienia czoła kryzysowi trisolariańskiemu. Zwolennicy technologii uspołecznionej powołali się na precedens. Otóż na początku naszego stulecia kilka dużych europejskich firm farmaceutycznych wymuszało od krajów afrykańskich wysokie opłaty licencyjne za produkcję najnowocześniejszych leków na AIDS, grożąc im procesami sądowymi. Zostało to bardzo nagłośnione i pod presją opinii publicznej oraz wskutek szybkiego rozprzestrzeniania się tej choroby w Afryce firmy te zrzekły się patentów na te specyfiki, zanim doszło do procesów. Głęboki kryzys, przed którym stoi teraz Ziemia, oznacza, że udostępnienie technologii jest obowiązkiem, jaki mają wobec całej ludzkości kraje wysoko rozwinięte, obowiązkiem, od którego spełnienia nie mogą się uchylić. Ruch na rzecz uspołecznienia technologii uzyskał jednogłośne poparcie krajów rozwijających się, a nawet niektórych członków Unii Europejskiej, ale wszystkie związane z tym inicjatywy zostały odrzucone na posiedzeniach oenzetowskiej Rady Obrony Planety. Na piątej sesji specjalnej Zgromadzenia Ogólnego ONZ zgłoszona przez Chiny i Rosję propozycja „ograniczonej technologii uspołecznionej”, zgodnie z którą miałaby ona być dostępna dla wszystkich stałych członków ROP, została zawetowana przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. Przedstawiciel USA powiedział, że żadna forma technologii uspołecznionej nie jest realna, że jest to naiwny pomysł i że w obecnej sytuacji bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych jest dla rządu jego kraju priorytetem, „od którego ważniejsza jest tylko obrona planety”. Odrzucenie propozycji ograniczonego dostępu do najnowszej technologii wywołało rozdźwięk między potęgami technologicznymi i przyczyniło się do upadku projektu ustanowienia Zjednoczonych Ziemskich Sił Kosmicznych.

Zawód, którego doznał ruch na rzecz technologii uspołecznionej, ma dalekosiężne konsekwencje, a ludzie uświadomili sobie, że nawet w obliczu kryzysu trisolariańskiego jedność rodzaju ludzkiego jest wciąż odległym marzeniem.

Ruch na rzecz technologii uspołecznionej zrodził się z inspiracji eskapistów. Przepaść, jaka powstała między krajami rozwijającymi się i rozwiniętymi oraz

między samymi krajami rozwiniętymi, zostanie zasypana dopiero wtedy, kiedy społeczność międzynarodowa osiągnie porozumienie w sprawie eskapizmu. W takim klimacie ma się rozpocząć sesja specjalna ONZ.

– À propos – powiedział Miao Fuquan. – Wiadomość, którą przekazałem wam kilka dni temu przez telefon, jest wiarygodna.

– Jaka wiadomość?

– Fundusz ucieczkowy.

– Wierzysz w to, Lao Miao? Nie wydajesz się łatwowierny – rzekł z dezaprobatą Yang Jinwen.

– Nie, nie – zaprotestował Miao Fuquan, zniżając głos i spoglądając to na jednego, to na drugiego. – Ten młody facet nazywa się Shi Xiaoming. Sprawdziłem różnymi kanałami jego pochodzenie i okazało się, że jego ojciec, Shi Qiang, pracuje w Wydziale Bezpieczeństwa Rady Obrony Planety! Wcześniej był dowódcą miejskiego oddziału antyterrorystycznego, a teraz jest ważną figurą w ROP, odpowiedzialną za walkę z RZT. Mam tutaj numer do jego wydziału. Sam możesz to sprawdzić.

Jego sąsiedzi popatrzyli na siebie nawzajem i Yang Jinwen roześmiał się, biorąc jednocześnie butelkę i nalewając sobie kolejny kieliszek.

– Jeśli nawet to prawda, to co z tego? Kogo obchodzi fundusz ucieczkowy? Nie stać mnie na to.

– Racja. To coś dla was, bogaczy – powiedział niewyraźnie Zhang Yuanchao.

Yang Jinwen nagle się podekscytował.

– A jeśli to prawda, to cały ten kraj jest bandą kretynów! Jeśli ktoś powinien uciec, to śmietanka naszych potomków. Dlaczego, do diabła, miałbyś dawać tę szansę każdemu, kto może zapłacić? Jaki to ma sens?

Miao Fuquan wskazał na niego palcem i wybuchnął śmiechem.

– Dobrze, Yang. Przejdźmy do tego, o co ci naprawdę chodzi. Chcesz, żeby wśród tych, którzy uciekną, byli twoi potomkowie, prawda? Spójrz na swego syna i synową – oboje mają doktoraty. Należą do elity. A więc twoje wnuki i prawnuki najprawdopodobniej też staną się elitą. – Podniósł kieliszek i kiwnął głową. – Ale jeśli o tym pomyśleć, wszyscy powinni być równi, prawda? Nie ma żadnego powodu, żeby elity dostawały darmowy obiad, prawda?

– Co masz na myśli?

– Wszystko ma swoją cenę. To prawo natury. Zapłacę, żeby zapewnić rodzinie Miao przyszłość. To też prawo natury!

– A dlaczego jest to coś, co można kupić? Ucieczka ma zapewnić ludzkiej cywilizacji przetrwanie. Ci, co to zorganizują, będą naturalnie chcieli uratować śmietankę cywilizacji. Wysyłać bandę bogatych gogusiów w kosmos, też mi pomysł! – Prychnął. – Co to da? Tfu!

Z twarzy Miao Fuquana zniknął uśmiech. Miao wycelował gruby palec w Yang Jinwena.

– Zawsze wiedziałem, że traktujesz mnie z góry. Choćbym stał się nie wiadomo jak bogaty, zawsze pozostanę dla ciebie tylko nieokrzesanym dorobkiewiczem. Nie jest tak?

– Za kogo ty się uważasz? – zapytał Yang Jinwen pobudzony alkoholem.

Miao uderzył ręką w stół i wstał.

– Nie mam zamiaru dłużej znosić wylewania na mnie całej twojej żółci. Ja…

Wtedy Zhang Yuanchao walnął w stół trzy razy głośniej, przewracając dwie filiżanki, czym przestraszył kobietę z Syczuanu tak, że aż krzyknęła. Wskazał palcem dwóch pozostałych biesiadników.

– Dobrze. Jesteście elitą i macie forsę. Ja nie należę do tego towarzystwa. Co ja, do diabła, tutaj robię? Jestem biedakiem, więc moi potomkowie

zasługują na to, żeby ich wytępić?

Z widocznym trudem powstrzymał się przed wywróceniem kopniakiem stołu, odwrócił się i wypadł jak burza z mieszkania Miao. Yang Jinwen poszedł w jego ślady.

Drugi Burzyciel Ścian włożył ostrożnie do akwarium nowe karasie chińskie. Podobnie jak Evans, lubił samotność, ale potrzebował towarzystwa innych istot niż ludzie. Często mówił do rybek tak, jak do Trisolarian, pragnąc, by te dwie formy życia istniały na Ziemi jak najdłużej.

Akurat wtedy na jego siatkówce pojawił się tekst przesłany przez sofon.

Ostatnio przestudiowałem *Opowieść o Trzech Królestwach* i przekonałem się, że – jak mówiłeś – podstępy i oszustwa są sztuką, podobnie jak wzór na skórze węża.

– Znowu przywołujesz węża, Panie.

Im piękniejszy jest ten wzór, tym groźniej wąż wygląda. Nie przejmowaliśmy się perspektywą ucieczki ludzi, byleby przestali istnieć w Układzie Słonecznym, ale teraz zmieniliśmy plany i postanowiliśmy zapobiec tej ucieczce. Byłoby bardzo niebezpiecznie pozwolić wrogowi, którego myśli są całkowicie nieprzejrzyste, uciec w kosmos.

– Masz jakiś konkretny plan?

Nasza flota poczyniła właśnie przygotowania do rozmieszczenia się w Układzie Słonecznym. Przy Pasie Kuipera[5] rozdzieli się w czterech kierunkach i okrąży ten układ.

– Jeśli ludzkość rzeczywiście zechce uciec, wasza flota przyleci za późno, żebyście mogli jej w tym przeszkodzić.

To prawda i dlatego potrzebujemy twojej pomocy. Następnym zadaniem RZT jest powstrzymać albo opóźnić ucieczkę ludzi.

Burzyciel Ścian uśmiechnął się.

– Panie, nie musisz się tym martwić. Nigdy nie dojdzie do wielkiej ucieczki ludzkości.

Nawet przy obecnej ograniczonej przestrzeni dla rozwoju nauki i postępu technologicznego ludzie mogą okazać się zdolni do zbudowania statku wielopokoleniowego.

– To nie technologia jest największą przeszkodą w doprowadzeniu do takiej ucieczki.

A zatem są nią spory między państwami? Najbliższa sesja specjalna ONZ może rozwiązać ten problem, a nawet jeśli się to nie uda, kraje rozwinięte mogą pokonać opór krajów rozwijających się i przeforsować swój zamiar.

– Spory między państwami też nie są największą przeszkodą.

A więc co nią jest?

– Spory między ludźmi o to, kto poleci, a kto zostanie.

Nam się wydaje, że to nie jest żaden problem.

– My też najpierw tak myśleliśmy, ale okazuje się, że jest to przeszkoda nie do pokonania.

Możesz to wyjaśnić?

– Może znasz historię ludzkości, ale prawdopodobnie trudno będzie ci to zrozumieć. Kwestia tego, kto poleci, a kto zostanie, wiąże się ze sprawą podstawowych ludzkich wartości, które w przeszłości sprzyjały postępowi, ale w obliczu największej katastrofy są pułapką, wilczym dołem. Większość ludzi nie zdaje sobie jeszcze sprawy z tego, jak głęboki jest ten dół. Panie, proszę, uwierz mi. Z tej pułapki nie wyjdzie żaden człowiek.

– Wujku Zhang, nie musisz podejmować decyzji już w tej chwili. Zadałeś wszystkie niezbędne pytania, a w końcu suma jest niemała – powiedział Shi Xiaoming z miną, która była obrazem spokoju.

– Nie o to chodzi. Czy ten plan jest realny? W telewizji…

– Nie wierz we wszystko, co mówią w telewizji. Dwa tygodnie temu rzecznik rządu powiedział, że zamrożenie kont jest niemożliwe, i popatrz, co się stało… Pomyśl rozsądnie. Jesteś zwykłym człowiekiem, a troszczysz się o zachowanie swego rodu. A prezydent i premier? Czy oni nie będą się troszczyli o przetrwanie narodu? A ONZ o przetrwanie rodzaju ludzkiego? Ta sesja specjalna ONZ jest w rzeczywistości międzynarodową, wspólną próbą stworzenia planu ucieczki ludzkości.

Lao Zhang powoli skinął głową.

– Rzeczywiście, kiedy się o tym pomyśli, wydaje się, że tak jest. Ale nadal mam wrażenie, że do ucieczki daleka droga. Naprawdę powinienem się o to martwić?

– Nie rozumiesz, wujku Zhang. Do ucieczki wcale nie jest tak daleko. Myślisz, że statki ewakuacyjne wystartują za trzysta czy czterysta lat? Gdyby tak miało być, flota trisolariańska mogłaby je łatwo przechwycić.

– No to kiedy odlecą?

– Niedługo będziesz miał wnuka, prawda?

– Tak.

– On zobaczy, jak te statki odlatują.

– Będzie na jednym z nich?

– Nie, to niemożliwe. Ale może się tam znaleźć jego wnuk.

– To będzie… – Zhang obliczył w pamięci – za jakieś siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt lat.

– Jeszcze później. W czasie wojny rząd wzmocni kontrolę urodzeń, a istotnym elementem tej polityki będzie pilnowanie, by ludzie mieli dzieci jak najpóźniej. Różnica międzypokoleniowa będzie wynosiła czterdzieści lat. W związku z tym te statki odlecą dopiero za około sto dwadzieścia lat.

– To i tak całkiem szybko. Da się je zbudować do tego czasu?

– Wujku Zhang, pomyśl, co było sto dwadzieścia lat temu. Wciąż panowała dynastia Qing! Podróż z Hangzhou do Pekinu trwała ponad miesiąc i cesarz przez wiele dni siedział w lektyce, żeby się dostać do swego letniego kurortu. Teraz lot z Ziemi na księżyc trwa niecałe trzy dni. Technologia szybko się rozwija, co znaczy, że tempo rozwoju stale rośnie. Jeśli dodasz do tego fakt, że świat wkłada całą energię w rozwój technologii kosmicznej, to nie ulega wątpliwości, że statki kosmiczne zostaną zbudowane za sto dwadzieścia lat.

– Czy podróże kosmiczne nie są niezwykle niebezpieczne?

– Owszem, są, ale czy życie na Ziemi też nie będzie niebezpieczne? Popatrz, jak wszystko zmienia się już teraz. Gospodarka naszego kraju nastawiona jest głównie na stworzenie floty kosmicznej, co nie jest

przedsięwzięciem komercyjnym i nie przyniesie ani fena dochodu. Życie ludzi tylko się pogorszy. Dodaj do tego wielkość naszej populacji, a przekonasz się, że problemem stanie się po prostu zdobycie dostatecznej ilości pożywienia. Spójrz też na sytuację międzynarodową. Kraje rozwijające się nie mają możliwości zapewnienia ucieczki swoim obywatelom, a kraje rozwinięte odmówiły im udostępnienia swojej technologii. Ale te biedniejsze i mniejsze się nie poddadzą. Czy nie grożą, że wycofają się z traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej? W przyszłości mogą podjąć bardziej ekstremalne działania. Kto wie, może za sto dwadzieścia lat, jeszcze przed przybyciem floty obcych, świat pogrąży się w ogniu wojny! Kto wie, jakie życie czeka pokolenie twojego wnuka. Poza tym statki ewakuacyjne nie będą takie, jak sobie wyobrażasz. Porównywanie ich ze statkiem kosmicznym Shenzhou i Międzynarodową Stacją Kosmiczną jest śmieszne. Te statki będą ogromne, każdy wielkości małego miasta, do tego z kompletnym ekosystemem. Zupełnie jak Ziemia w miniaturze. I, co najważniejsze, będzie hibernacja. Już teraz potrafimy to robić. Ich pasażerowie spędzą większość czasu w stanie hibernacji, kiedy wiek wydaje się jednym dniem, aż dolecą do nowego świata albo dostaną zgodę Trisolarian na powrót do Układu Słonecznego. Wtedy się obudzą. Czy to nie lepsze niż cierpienie na Ziemi?

Zhang Yuanchao przemyślał to w milczeniu.

– Oczywiście, żeby być całkowicie szczerym wobec ciebie – ciągnął Shi Xiaoming – muszę powiedzieć, że podróż kosmiczna jest faktycznie niebezpieczna. Nikt nie wie, jakie niebezpieczeństwa można napotkać w przestrzeni. Wiem, że robisz to głównie po to, by przetrwał ród Zhangów, ale nie martw się…

Zhang spojrzał na niego, jakby go ukłuto.

– Jak wy, młodzi, możecie mówić takie rzeczy? Dlaczego miałbym się nie martwić?

– Pozwól mi skończyć, wujku Zhang. Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to, że nawet jeśli nie planujesz wysłać swoich potomków w kosmos statkiem ewakuacyjnym, to i tak warto wykupić udział w tym funduszu, bo jest gwarantowany. Kiedy udziały pojawią się w sprzedaży publicznej, cena poszybuje w górę. Wiesz, że jest mnóstwo bogatych ludzi, możliwości inwestowania niewiele, a trzymanie pieniędzy w skarpetce niezgodne z prawem. Poza tym im więcej masz pieniędzy, tym bardziej zależy ci na przetrwaniu rodu, zgadza się?

– Tak. Wiem o tym.

– Wujku Zhang, jestem wobec ciebie całkowicie szczery. Fundusz ewakuacyjny jest dopiero w fazie wstępnej i zatrudnia niewielu sprzedawców. Nie było mi łatwo dostać się do ich grona. W każdym razie zadzwoń do mnie, kiedy to przemyślisz, a ja pomogę ci wypełnić papiery.

Kiedy Shi Xiaoming wyszedł, Lao Zhang stanął na balkonie, spojrzał na niebo, nieco zamglone nad łuną świateł miasta, i mruknął do siebie:

– Moje drogie wnuczki, czy dziadek rzeczywiście wyśle was gdzieś, gdzie noc trwa wiecznie?

Kiedy król Wen z dynastii Zhou znowu postawił nogę na spustoszonym świecie *Trzech ciał*, świeciło nad nim małe słońce. Chociaż nie dawało dużo ciepła, całkiem jasno oświetlało pustkowie. Na pustkowiu nie było nic.

– Jest tu ktoś? Ktokolwiek?

Jego oczy rozbłysły, gdy ujrzał na horyzoncie kogoś galopującego na koniu. Rozpoznawszy w jeźdźcu Newtona, pobiegł ku niemu, machając

szaleńczo rękami. Newton wkrótce zrównał się z nim, ściągnął rumakowi cugle i po zejściu z siodła pospiesznie poprawił perukę.

– Po co krzyczysz? Kto wznowił tę przeklętą grę?

Król Wen nie odpowiedział na pytanie, tylko ujął go za rękę i rzekł z przejęciem:

– Towarzyszu, mój towarzyszu, wysłuchaj mnie. Pan nas nie opuścił, a raczej opuścił nas z pewnego powodu i będzie nas potrzebował w przyszłości. On…

– Wiem o tym – przerwał Newton, niecierpliwie odtrącając rękę króla Wena. – Mnie też sofony przysłały wiadomość.

– A więc znaczy to, że Pan wysłał ją w tym samym czasie do wielu z nas. Wspaniale. Kontakt organizacji z Panem już nigdy nie zostanie przez nikogo zmonopolizowany.

– Organizacja nadal istnieje? – Newton otarł chusteczką pot z czoła.

– Oczywiście. Po globalnym uderzeniu redempcjoniści ponieśli całkowitą klęskę, a ocalali oderwali się i przekształcili w niezależne ugrupowanie. W organizacji zostali tylko adwentyści.

– A zatem to uderzenie oczyściło organizację. To dobrze.

– Skoro jesteś tutaj, musisz być adwentystą. Ale zdaje się, że nie masz z nikim kontaktu. Jesteś sam?

– Mam kontakt tylko z jednym towarzyszem, ale nie powiedział mi o istnieniu tej strony. Ledwie uszedłem z życiem z tego globalnego uderzenia.

– W erze Qin Shihuanga dowiodłeś, że masz znakomity instynkt samozachowawczy.

Newton rozejrzał się wokół.

– To bezpieczne miejsce?

– Oczywiście. Jesteśmy na samym dole wielopoziomowego labiryntu i odkrycie tego miejsca jest praktycznie niemożliwe. Nikt, komu uda się tu wedrzeć, nie będzie w stanie wyśledzić adresów użytkowników. Po uderzeniu organizacja rozdzieliła ze względów bezpieczeństwa wszystkie odgałęzienia, ograniczając do minimum wzajemne kontakty. Potrzebujemy miejsca do spotkań i obszaru buforowego dla nowych członków. Jest tu bezpieczniej niż w świecie realnym.

– Zauważyłeś, że w świecie rzeczywistym znacznie osłabły ataki na organizację?

– Oni są przebiegli. Wiedzą, że organizacja jest jedynym środkiem uzyskiwania informacji o Panu i że tylko przez nią mogą położyć łapy na technologii, którą Pan nam przekazuje, chociaż szanse, że tak się stanie, są minimalne. To powód, dla którego pozwolą jej w pewnym stopniu istnieć, ale sądzę, że pożałują tego.

– Pan nie jest taki sprytny. Nawet nie pojmuje, czym jest przebiegłość.

– A więc potrzebuje nas. Istnienie organizacji jest dla niego ważne i wszyscy towarzysze powinni się jak najszybciej o tym dowiedzieć.

Newton dosiadł konia.

– Dobrze. Muszę jechać. Zostanę dłużej, kiedy się upewnię, że jest tu bezpiecznie.

– Gwarantuję ci, że to absolutnie bezpieczne miejsce.

– Jeśli to prawda, następnym razem zbierze się tu więcej towarzyszy. Żegnaj.

Powiedziawszy to, Newton popędził konia i pogalopował w dal. Kiedy zatarły się ślady kopyt jego wierzchowca, małe słońce stało się spadającą gwiazdą i świat ogarnęła ciemność.

Luo Ji leżał bezwładnie na łóżku, przyglądając się zamglonymi jeszcze od snu oczami, jak po wzięciu prysznica kobieta się ubiera. Słońce, które było już wysoko na niebie, przenikało przez zasłony i ukazywało jej pełną gracji sylwetkę jak w scenie z czarno-białego filmu, którego tytuł zapomniał. Ale tym, co powinien teraz pamiętać, było jej nazwisko. Jakże się ona nazywała? Jeśli Zhang, to powinna to być Zhang Shan. A może Chen? Wobec tego Chen Jingjing… nie, to były poprzednie kobiety. Przyszło mu do głowy, żeby zerknąć do telefonu, ale znajdował się on w kieszeni, a ubranie leżało na dywanie. Poza tym znali się od niedawna i jeszcze nie wprowadził jej numeru do telefonu. Teraz ważne było, by nie stało się tak jak wtedy, kiedy zapytał wprost o nazwisko – miało to katastrofalne konsekwencje. Odwrócił więc wzrok na telewizor, który włączyła i ściszyła. Na ekranie siedziała wokół okrągłego stołu Rada Bezpieczeństwa ONZ – zaraz, to nie była już Rada Bezpieczeństwa, ale nie pamiętał nowej nazwy tego ciała. Był naprawdę oszołomiony.

– Podkręć dźwięk – powiedział. Bez czułych słówek jego głos brzmiał chłodno, ale teraz nie dbał o to.

– Wydajesz się naprawdę zainteresowany.

Usiadła i czesała włosy, ale nie podgłośniła telewizora. Luo Ji sięgnął na szafkę nocną, wziął zapalniczkę i papierosa, po czym zapalił go, wysuwając bose stopy z ręcznika i przebierając z zadowoleniem dużymi palcami.

– Powinieneś się sobie przyjrzeć. I ty nazywasz siebie naukowcem?

Patrzyła na jego palce w lustrze.

– Młodym naukowcem – poprawił ją – z niewieloma osiągnięciami. Ale to dlatego, że się nie przykładam. W rzeczywistości mam mnóstwo świetnych pomysłów. Czasami po chwili namysłu dochodzę do tego, nad czym inni mogliby pracować całe życie… możesz mi wierzyć albo nie, ale raz stałem się niemal sławny.

– Z powodu tych materiałów o subkulturze?

– Nie. To było coś zupełnie innego, nad czym pracowałem w tym samym czasie. Stworzyłem socjologię kosmiczną.

– Co?

– Socjologię kosmitów.

Zachichotała, potem odrzuciła grzebień na bok i zaczęła nakładać makijaż.

– Nie wiesz, że w kręgach akademickich istnieje skłonność do kreowania celebrytów? Mogłem zostać gwiazdą.

– Badaczy kosmitów jest teraz na pęczki.

– Dopiero odkąd wypłynęło to nowe gówno – rzekł Luo Ji, wskazując wyciszony telewizor, który wciąż pokazywał duży stół i siedzące wokół niego osoby. Ten przekaz był strasznie długi. Czyżby to była transmisja na żywo? – Akademicy nie badali obcych z kosmosu. Przeszukiwali sterty starych papierów i w ten sposób stawali się celebrytami. Ale później społeczeństwo znudziło się kulturalną nekrofilią starej ekipy i wtedy pojawiłem się ja. – Wyciągnął gołe ramiona w stronę sufitu. – Socjologia kosmiczna, obcy, mnóstwo rodzajów obcych. Więcej niż ludzi na Ziemi, dziesiątki miliardów! Producent programu telewizyjnego *Sala wykładowa* rozmawiał ze mną o zrobieniu cyklu, ale potem zdarzyło się to wszystko i… – Zakreślił palcem koło i westchnął.

Nie słuchała go zbyt uważnie, czytała tekst na ekranie: „W sprawie eskapizmu zastrzegamy sobie wszystkie możliwe podejścia…”.

– Co to znaczy?

– Kto przemawia?

– Chyba Karnoff.

– Mówi, że eskapizm trzeba traktować tak samo surowo jak RZT i że na każdego, kto buduje arkę Noego, trzeba wystrzelić pocisk kierowany.

– Trochę za ostro.

– Nie – powiedział z mocą. – To najmądrzejsza strategia. Wyszedłem z tym już dawno temu. I nawet jeśli do tego nie dojdzie, i tak nikt stąd nie odleci. Czytałaś książkę Lianga Xiaoshenga pod tytułem *Latające miasto*?

– Nie. Dość stara, prawda?

– Tak. Przeczytałem ją, kiedy byłem dzieckiem. Szanghaj ma się zapaść do oceanu. Grupa ludzi chodzi od domu do domu, zabiera ludziom kamizelki ratunkowe, a potem wszystkie niszczy, tylko po to, by mieć pewność, że skoro nie wszyscy mogą przeżyć ten kataklizm, nie przeżyje nikt. Szczególnie utkwiła mi w pamięci mała dziewczynka, która zaprowadziła tę grupę pod drzwi pewnego domu i krzyknęła: „Oni wciąż jedną mają!”.

– Należysz do tych dupków, którzy zawsze traktują społeczeństwo jak śmieci.

– Bzdura. Podstawowym aksjomatem ekonomii jest merkantylny instynkt człowieka. Bez tego założenia upadłaby cała ta dziedzina. Na razie nie ma w socjologii żadnego podstawowego aksjomatu, ale może byłby on jeszcze bardziej ponury. Prawda zawsze jest niemiła. W przestrzeń kosmiczną mogłaby odlecieć mała liczba ludzi, ale gdybyśmy wiedzieli, że do tego dojdzie, to po co było nam się trudzić?

– Trudzić czym?

– Po co był nam renesans? Po co Wielka Karta Swobód? Po co rewolucja francuska? Gdyby ludzkość pozostała podzielona na klasy trzymane w tym układzie żelazną ręką prawa, to gdy nadszedłby na to czas, odlecieliby ci, którzy potrzebowaliby odlecieć, a zostaliby ci, którzy musieliby zostać. Gdyby stało się to w czasach dynastii Ming albo Qing, oczywiście ja też bym odleciał, a ty byś została. Ale teraz nie jest to możliwe.

– Nie miałabym nic przeciw temu, żebyś wyniósł się od razu.

I była to prawda. Doszli do punktu, w którym rozstanie się odbywa się niejako za obopólną zgodą. Ten optymalny moment udawało mu się osiągnąć ze wszystkimi poprzednimi kochankami, nigdy nie zrobił tego zbyt wcześnie ani za późno. Tym razem był szczególnie zadowolony z panowania nad tempem, w jakim to przebiegało. Znał ją zaledwie od tygodnia, a rozstanie przebiegało gładko, równie elegancko jak oddzielenie się pojazdu kosmicznego od rakiety nośnej.

Wrócił do wcześniejszego tematu:

– Stworzenie socjologii kosmicznej to nie był mój pomysł. Wiesz czyj? Jesteś jedyną osobą, której zamierzam o tym powiedzieć, więc się nie bój.

– Jak chcesz. Z wyjątkiem jednej rzeczy i tak nie wierzę w to, co mówisz.

– Eee… zapomnijmy o tym. Jakiej rzeczy?

– Rusz się wreszcie. Jestem głodna.

Podniosła jego ubranie z dywanu i rzuciła na łóżko.

Śniadanie zjedli w głównej restauracji hotelu. Większość osób zajmujących stoliki wokół nich miała poważne miny i chwilami dobiegały do nich strzępy rozmów. Luo nie chciał tego słuchać, ale był jak świeczka zapalona letnim wieczorem. Słowa tłoczyły się wokół niego niczym owady wokół płomienia i wpadały mu do głowy: eskapizm, technologia uspołeczniona, RZT, przejście do gospodarki wojennej, baza na równiku, poprawka do karty, ROP, perymetr ostrzegania i obrony blisko Ziemi, niezależny tryb zintegrowany…

– Nasz wiek zrobił się naprawdę nudny, nie uważasz? – rzekł Luo Ji. Przestał kroić jajko i odłożył widelec.

Kiwnęła głową.

– Zgadzam się z tobą. Widziałam wczoraj naprawdę kretyński teleturniej. Ręce na przyciskach. – Naśladując gospodarza programu, wymierzyła

w Luo Ji widelec. – Sto dwadzieścia lat przed dniem zagłady będzie żyło wasze trzynaste pokolenie. Tak czy nie?

Luo Ji znowu podniósł widelec i potrząsnął głową.

– Nie będzie żadnego mojego pokolenia. – Złożył ręce jak do modlitwy. – Mój ród przestanie istnieć w chwili mojej śmierci.

Prychnęła lekceważąco.

– Pytałeś mnie, w który z twoich tekstów wierzę. W ten. Mówiłeś to już wcześniej. Taką jesteś osobą.

A więc dlatego go rzucała? Nie chciał o to pytać z obawy, że skomplikuje to sprawę, ale wydawało się, że czytała w jego myślach, bo powiedziała:

– Ja też taka jestem. To naprawdę irytujące widzieć pewne swoje cechy u innych.

– Zwłaszcza u osoby płci przeciwnej – powiedział Luo Ji, kiwając głową.

– Ale jeśli musisz to usprawiedliwić, jest to bardzo odpowiedzialne zachowanie.

– Jakie zachowanie? Nieposiadanie dzieci? Oczywiście, że tak. – Luo wskazał widelcem ludzi wokół rozmawiających o transformacji gospodarczej. – Wiesz, jakie życie będą wiedli ich potomkowie? Będą całymi dniami tyrać w zakładach produkujących statki kosmiczne, a potem stać z burczeniem w brzuchach w kolejkach do stołówek, czekając na porcję owsianki… a kiedy się zestarzeją, usłyszą: „Wuj Sam cię potrzebuje”, nie, to będzie „Ziemia cię potrzebuje”, i ruszą szukać chwały w armii.

– Pokolenie czasu zagłady będzie miało lepiej.

– Przejdzie na emeryturę, by oglądać zagładę. Jakie to żałosne. A poza tym już dziadkowie tego ostatniego pokolenia mogą nie mieć dostatecznie dużo jedzenia. Ale nie nastanie nawet taka przyszłość. Pomyśl tylko, jacy

uparci są ludzie. Założę się, że będą stawiać opór do końca, i prawdziwą zagadką jest to, jak wreszcie umrą.

Po śniadaniu opuścili hotel i znaleźli się w ciepłych objęciach słońca. W powietrzu czuć było odurzającą słodycz.

– Muszę się nauczyć żyć. Jeśli mi się to nie uda, będzie mi cholernie wstyd – rzekł Luo Ji, patrząc na przejeżdżające samochody.

– Żadne z nas dwojga się tego nie uczy – powiedziała, szukając wzrokiem taksówki.

– No to… – Luo Ji spojrzał na nią pytająco. Najwyraźniej nie będzie musiał zapamiętywać jej nazwiska.

– Żegnaj. – Skinęła głową, a potem podali sobie ręce i wymienili szybkie pocałunki.

– Może się jeszcze spotkamy.

Zaledwie to powiedział, a już tego pożałował. Do tego momentu wszystko dobrze się układało, po co więc ryzykować kłopoty? Ale niepotrzebnie się martwił.

– Wątpię.

Mówiąc to, szybko się odwróciła i zarzuciła torebkę na ramię z takim zamachem, że ta aż śmignęła w powietrzu. Luo Ji często potem przypominał sobie ten szczegół, starając się rozgryźć, czy zrobiła to celowo, czy nie. Była to torebka od Louisa Vuittona i wiele razy wcześniej widział, jak nią wywijała, ale tym razem machnęła mu nią prosto w twarz. Zrobił krok do tyłu, by uniknąć uderzenia, potknął się o hydrant i przewrócił na plecy.

Ten upadek uratował mu życie.

Tymczasem na ulicy przed nimi rozegrała się taka oto scena: dwa samochody zderzyły się czołowo, ale zanim umilkł huk, jadące za nimi polo gwałtownie skręciło, by uniknąć kolizji, i potoczyło się w stronę, gdzie

oboje stali. Upadek Luo Ji okazał się skutecznym unikiem. Tylko przedni zderzak otarł się o jego stopę, tę wciąż uniesioną, obracając jego ciało o dziewięćdziesiąt stopni, tak że Luo Ji znalazł się twarzą do tyłu samochodu. Nie słyszał głuchego odgłosu drugiego uderzenia, ale potem zobaczył, jak ciało kobiety, z którą spędził noc, wznosi się nad dach samochodu i spada za nim na jezdnię jak pozbawiona kości szmaciana lalka. Kiedy się toczyło, ślady krwi, które zostawiało na ziemi, wydawały się coś znaczyć. Patrząc na ten krwawy symbol, Luo Ji przypomniał sobie w końcu jej nazwisko.

Synowa Zhang Yuanchao miała wkrótce rodzić. Przeniesiono ją do sali porodowej, a reszta rodziny zebrała się w poczekalni, gdzie w telewizorze pokazywano informacje o stanie matki i dziecka. To wszystko stwarzało uczucie ciepła i przytulności, którego nie doznał nigdy wcześniej, bo w epoce pogłębiającego się kryzysu utrzymujący się jeszcze tu i ówdzie klimat życzliwości minionego złotego wieku coraz bardziej się pogarszał.

Do poczekalni wszedł Yang Jinwen. Zhang Yuanchao pomyślał, że sąsiad skorzystał z tej okazji, by naprawić ich wzajemne stosunki, ale wyraz twarzy Yang Jinwena wskazał mu, że jest w błędzie. Nawet się nie przywitawszy, Yang Jinwen wyciągnął go z poczekalni na korytarz.

– Naprawdę kupiłeś akcje tego funduszu ucieczkowego? – zapytał.

Zhang Yuanchao zignorował to pytanie i odwrócił się, by odejść, jakby chciał w ten sposób powiedzieć: „Nie twój interes”.

– Spójrz na to – powiedział Yang Jinwen, podając mu gazetę. – Dzisiejsza.

Zhangowi natychmiast rzucił się w oczy tytuł pierwszego artykułu:

NA SPECJALNEJ SESJI ONZ PODEJMUJE REZOLUCJĘ NR 117: ESKAPIZM UZNANY ZA NIELEGALNY

Zhang Yuanchao przeczytał uważnie początek artykułu:

Specjalna sesja Organizacji Narodów Zjednoczonych przyjęła przytłaczającą większością głosów rezolucję, w której oświadcza, że eskapizm jest pogwałceniem prawa międzynarodowego. Rezolucja potępia w mocnych słowach podział i zamieszanie, jakie eskapizm stworzył w ludzkiej społeczności, oraz stwierdza, że w oczach prawa międzynarodowego jest on zbrodnią przeciw ludzkości. W rezolucji wzywa się kraje członkowskie do jak najszybszego ustanowienia zapisów, które położą kres eskapizmowi.

Przedstawiciel Chin ponownie przedłożył w wygłoszonym na sesji oświadczeniu stanowisko swojego rządu wobec eskapizmu i powiedział, że jego kraj stanowczo popiera rezolucję ONZ nr 117. Przekazał też zobowiązanie chińskich władz do podjęcia natychmiastowych działań w celu poprawy ustawodawstwa i poczynienia skutecznych kroków dla zahamowania eskapizmu. Na zakończenie stwierdził: „W tych kryzysowych czasach musimy pielęgnować jedność i solidarność społeczności międzynarodowej i podtrzymywać uznaną przez tę społeczność zasadę, że wszyscy ludzie mają równe prawo do przetrwania. Ziemia jest wspólnym domem całej ludzkości i nie wolno nam jej porzucać”.

– Dlaczego… dlaczego to robią? – wyjąkał.

– Czy to nie oczywiste? Zastanów się nad tym chwilę, a uświadomisz sobie, że ucieczka w kosmos nigdy nie mogłaby dojść do skutku. Przede wszystkim należałoby ustalić, kto odleci, a kto będzie musiał zostać. To nie jest zwykła nierówność. To sprawa życia i śmierci i jeśli niektórzy będą musieli zostać na Ziemi, to bez względu na to, kto poleci – elity, bogaci czy zwykli ludzie – będzie to oznaczało upadek podstawowego systemu wartości i koniec etyki. Prawa człowieka i równość są głęboko zakorzenione. Nierówność szans na przeżycie jest najgorszym rodzajem

nierówności, więc ludzie i kraje zmuszeni do pozostania nigdy nie będą spokojnie czekali na śmierć, podczas gdy inni będą mogli tego uniknąć. Konfrontacje między tymi dwiema stronami będą się nasilały, aż na świecie zapanuje chaos, a wtedy i tak nikt stąd nie odleci! Rezolucja ONZ jest bardzo mądra. Ile na to wydałeś, Lao Zhang?

Zhang Yuanchao gorączkowo sięgnął do kieszeni po telefon. Wybrał numer Shi Xiaominga, ale użytkownik był nieosiągalny. Zhang zachwiał się i osunął po ścianie na podłogę. Wydał 400 tysięcy juanów[6].

– Wezwij policję! Shi nie wie o jednym – Lao Miao złożył wizytę w jednostce, w której pracuje jego tatuś. Ten kanciarz się z tego nie wywinie.

Zhang Yuanchao siedział na podłodze i tylko potrząsał głową.

– Pewnie, możemy go znaleźć, ale pieniądze zniknęły już dawno temu – rzekł z westchnieniem. – Co ja powiem mojej rodzinie?

Dobiegł do nich płacz, a potem pielęgniarka krzyknęła:

– Numer dziewiętnaście! To chłopiec!

Zhang Yuanchao pobiegł do poczekalni, jakby nagle wszystko inne przestało się liczyć.

Podczas tych trzydziestu minut, kiedy tam czekał, na świat przyszło dziesięć tysięcy dzieci, dzieci, których połączony płacz tworzył olbrzymi chór. Złoty wiek, okres, który zaczął się w latach osiemdziesiątych i skończył kryzysem, odszedł w przeszłość. Przyszłość miała być ciężka dla ludzkości.

Luo Ji wiedział tylko tyle, że jest zamknięty w małym piwnicznym pomieszczeniu. Piwnica znajdowała się głęboko. Wcześniej czuł, że winda (jedna z tych starych z ręcznie przesuwaną dźwignią) zjeżdża, a mechanizm

potwierdzał jego doznania. Liczył do tyłu i doszedł do minus dziesięciu. Dziesięć pięter pod ziemią! Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Podwójne łóżko, proste wyposażenie i stare drewniane biurko nadawały mu wygląd wartowni, nie celi więziennej. Najwyraźniej od jakiegoś czasu nikt tam nie przebywał i chociaż pościel była świeża, meble pokrywał kurz i unosił się z nich zapach wilgoci i stęchlizny.

Otworzyły się drzwi i wszedł krępy mężczyzna w średnim wieku. Kiwnął ze znużeniem głową Luo Ji.

– Doktorze Luo, mam dotrzymać panu towarzystwa, ale ponieważ dopiero pan tu przybył, nie przypuszczam, że zaczął pan już wdrapywać się na ściany.

„Przybył”. Ten zwrot go rozdrażnił – z pewnością „został zwieziony” byłoby bliższym prawdy określeniem tego, co się stało. Zamarło mu serce. Wydawało się, że jego domysł się potwierdził – chociaż ludzie, którzy go tu sprowadzili, byli uprzejmi, nie ulegało wątpliwości, że został aresztowany.

– Jest pan policjantem?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Kiedyś byłem. Nazywam się Shi Qiang. – Usiadł na łóżku i wyjął paczkę papierosów. „Nie ma szans, żeby dym wyleciał z tego zamkniętego pomieszczenia” – pomyślał Luo Ji, ale nie śmiał nic powiedzieć. Jakby czytając w jego myślach, Shi Qiang rozejrzał się i rzekł: – Powinien tu być wentylator.

Potem pociągnął za sznurek przy drzwiach i rozległ się warkot wiatraczka. Luo Ji zauważył leżący w kącie, pokryty kurzem, przestarzały telefon z tarczą. Shi Qiang poczęstował go papierosem, którego Luo po chwili wahania przyjął.

Kiedy zapalili, Shi Qiang powiedział:

– Jest jeszcze wcześnie. Może pogadamy?

– Pytaj pan – odparł Luo Ji ze zwieszoną głową, wypuszczając obłok dymu.

– O co? – rzekł Shi Qiang, patrząc na niego ze zdumieniem.

Luo Ji zeskoczył z łóżka i odrzucił papierosa.

– Jak możecie mnie podejrzewać? Przecież musicie wiedzieć, że był to nieszczęśliwy wypadek! Te dwa samochody się zderzyły, a potem ten, który był za nimi, walnął ją, kiedy jego kierowca chciał uniknąć karambolu. To jasne jak słońce.

Rozłożył ręce, bo zabrakło mu słów.

Shi Qiang podniósł głowę i przyjrzał się mu, a jego wzrok stał się nagle czujny, jakby za uśmiechem, który łagodził wyraz jego twarzy, skrywała się wyostrzona wieloletnią praktyką złośliwość.

– To pan to powiedział, nie ja. Moi przełożeni nie chcą, żebym udzielał panu informacji, a zresztą i tak nic więcej nie wiem. I pomyśleć, że martwiłem się, że nie będziemy mieli o czym rozmawiać. Niech pan siada.

Luo Ji nie usiadł. Utkwił wzrok w twarzy Shi Qianga i ciągnął:

– Znałem ją dopiero od tygodnia. Poznaliśmy się w barze koło uniwersytetu i kiedy zdarzył się ten wypadek, nie mogłem sobie nawet przypomnieć jej nazwiska. Niech mi pan powie: Co mogło być między nami, żeby skierować wasze myśli na takie tory?

– Nie mógł pan nawet przypomnieć sobie jej nazwiska? Nic dziwnego, że w ogóle pana nie obeszło to, że zginęła. Jest pan taki sam jak inny znany mi geniusz. – Zachichotał. – Wspaniałe życie doktora Luo – za każdym razem kiedy się odwrócisz, poznaje nową kobietę. I to jaką!

– To przestępstwo?

– Oczywiście, że nie. Po prostu zazdroszczę panu. W swojej pracy mam jedną zasadę: nigdy nie wydawaj ocen moralnych. Faceci, z którymi mam do czynienia, to niezłe gagatki. Podchodzę do takiego i mówię: „Popatrz, co

zrobiłeś! Pomyśl o swoich rodzicach, o społeczeństwie…” i tak dalej. Równie dobrze mógłbym ich bić po twarzy.

– Wolałbym porozmawiać o niej, funkcjonariuszu Shi. Naprawdę wierzycie, że ją zabiłem?

– Niech pan na siebie popatrzy. Mówi pan nawet, że mógł ją pan zabić. A przecież tylko tak sobie gadamy. Co się pan tak spieszy? Jest pan w tym nowicjuszem, to przynajmniej jest jasne.

Luo Ji gapił się na Shi Qianga i przez chwilę słychać było tylko szum wentylatora. Potem zachichotał i podniósł papierosa.

– Luo, człowieku – powiedział Shi Qiang. – Luo, mój chłopcze. Zetknęło nas przeznaczenie. W szesnastu ze spraw, którymi się zajmowałem, zapadł wyrok śmierci. Osobiście poprowadziłem na egzekucję dziewięciu skazanych.

Luo Ji podał Shi Qiangowi papierosa.

– Nie zamierzam pozwolić się poprowadzić panu na egzekucję. A więc może będzie pan tak uprzejmy i powiadomi mojego adwokata.

– Świetnie, mój chłopcze – powiedział Shi Qiang, klepiąc Luo Ji po ramieniu. – Stanowczość jest cechą, którą podziwiam. – Potem przysunął się do niego bliżej i rzekł przez obłok dymu: – Człowiekowi mogą się przytrafić różne rzeczy, ale to, co przydarzyło się panu, to naprawdę… – Zawiesił głos. – W rzeczywistości mam panu pomóc. Zna pan ten dowcip? W drodze na egzekucję skazaniec narzeka, że zanosi się na to, że będzie padać, a kat na to: „I czym się martwisz? Przecież to my będziemy musieli wracać w deszczu!”. To postawa, jaką pan i ja powinniśmy przyjąć wobec tego, co będzie. No dobrze. Mamy jeszcze trochę czasu, zanim ruszymy. Może się pan zdrzemnąć.

– Zanim ruszymy? – Luo Ji ponownie utkwił wzrok w Shi Qiangu.

Rozległo się pukanie do drzwi, a potem do pokoju wszedł młody mężczyzna o bystrych oczach i postawił na podłodze walizkę.

– Kapitanie Shi, sprawy posunęły się naprzód. Wychodzimy.

Zhang Beihai delikatnie otworzył drzwi do szpitalnego pokoju. Jego ojciec, pół siedząc, pół leżąc na poduszce, wyglądał lepiej, niż można było się spodziewać. Złote promienie zachodzącego słońca, które wpadały przez okno, przydawały jego twarzy nieco rumieńca i sprawiały, że nie wyglądał na umierającego. Zhang Beihai powiesił kapelusz na wieszaku obok drzwi i usiadł przy łóżku ojca. Nie pytał o jego stan, ponieważ stary żołnierz odpowiedziałby szczerze, a Beihai nie chciał szczerej odpowiedzi.

– Tato, dostałem przydział do sił kosmicznych.

Ojciec kiwnął głową, ale nic nie powiedział. Dla nich obu milczenie było bardziej wymowne niż słowa. Kiedy Beihai dorastał, ojciec wychowywał go, raczej milcząc niż mówiąc, a słowa były tylko znakami przestankowymi między okresami milczenia. To jego małomówny ojciec zrobił z niego człowieka, jakim był teraz.

– Tak jak przypuszczałeś, flotę kosmiczną tworzy się na wzór marynarki. Naczelne dowództwo uważa, że wojna w przestrzeni kosmicznej będzie najbardziej zbliżona w formie i teorii do walk na morzu.

Ojciec kiwnął głową i powiedział:

– Bardzo dobrze.

– No więc co powinienem zrobić?

„W końcu zapytałem cię o to, tato – pomyślał Zhang Beihai. – Postawiłem ci pytanie, do którego zadania zbierałem odwagę przez całą bezsenną noc. Zawahałem się, kiedy cię zobaczyłem, bo wiem, że tym pytaniem sprawiam ci największy zawód. Pamiętam, że kiedy skończyłem

podstawówkę i wstąpiłem jako kadet do marynarki wojennej, powiedziałeś mi: «Beihai, masz przed sobą długą drogę. Mówię to, ponieważ nadal łatwo jest mi cię zrozumieć, a to, że twoje zachowanie jest dla mnie takie zrozumiałe, znaczy, że twój sposób myślenia jest jeszcze prosty, nie dość subtelny. Dorośniesz w dniu, w którym nie będę już mógł tak łatwo odczytać czy przeniknąć twoich myśli, za to ty będziesz mógł łatwo zrozumieć mnie». I stało się tak, jak powiedziałeś, w końcu dorosłem i nie było ci już tak łatwo zrozumieć syna. Wiem, że musiałeś z tego powodu odczuwać przynajmniej lekki smutek, ale twój syn staje się osobą, jaką miałeś nadzieję, że się stanie, nieszczególnie lubianą, ale zdolną odnieść sukces w skomplikowanym i niebezpiecznym świecie marynarki wojennej. To, że zadaję ci to pytanie, z pewnością świadczy o tym, że szkolenie, jakiemu poddawałeś mnie przez trzydzieści lat, w jakimś decydującym punkcie zawiodło. Ale mimo to odpowiedz mi, tato. Twój syn nie jest taki wspaniały, jak sobie wyobrażasz. Odpowiedz mi, tylko ten jeden raz”.

– Dobrze to przemyśl – rzekł ojciec.

„Dobrze, tato. Dałeś mi odpowiedź. Te trzy słowa powiedziały mi bardzo dużo, więcej niż można by wyrazić w trzydziestu tysiącach. Wierz mi, słucham ich całym sercem, ale musisz mówić jaśniej, bo to zbyt ważne”.

– A gdy już przemyślę? – zapytał Beihai, chwytając obiema rękami kołdrę. Dłonie i czoło miał pokryte potem.

„Tato, przebacz mi. Jeśli cię po raz ostatni zawiodłem, to pozwól mi pójść dalej, stać się z powrotem dzieckiem”.

– Beihai, mogę ci powiedzieć tylko tyle, żebyś się najpierw długo i dobrze zastanowił – odparł ojciec.

„Dziękuję, tato. Przedstawiłeś to klarownie. Rozumiem”.

Zhang Beihai puścił kołdrę i chwycił kościstą dłoń ojca.

– Tato, nie wypłynę już w morze. Będę do ciebie przychodził.

Ojciec uśmiechnął się, ale pokręcił głową.

– To nic poważnego. Skup się na pracy.

Rozmawiali jeszcze trochę, najpierw o sprawach rodzinnych, a potem o stworzeniu sił kosmicznych. Ojciec przedstawił mu wiele pomysłów dotyczących tych sił, włącznie z radami dla niego. Wyobrażali sobie kształt i wielkość kosmicznych liniowców, dyskutowali o broni, której można by używać w wojnie w kosmosie, a nawet o Mahanowskiej teorii potęgi morskiej w odniesieniu do bitw w przestrzeni kosmicznej…

Ale nie była to już rozmowa o sprawach istotnych, lecz zwykła pogawędka ojca z synem. Istotne znaczenie miało to, co powiedzieli sobie z głębi serca w tych trzech zdaniach:

„Dobrze to przemyśl”.

„A gdy już przemyślę?”

„Beihai, mogę ci powiedzieć tylko tyle, żebyś się najpierw długo i dobrze zastanowił”.

Zhang Beihai pożegnał się z ojcem. Kiedy wychodził, odwrócił się w drzwiach i spojrzał na niego, spowitego teraz, kiedy z okna zniknęło światło zachodzącego słońca, mrokiem. Jego wzrok przeniknął przez ten mrok i spoczął na ostatniej plamce światła na przeciwległej ścianie. Chociaż słońce miało za chwilę schować się za horyzontem, było teraz najpiękniejsze. Jego ostatnie promienie padały też na fale toczące się bez końca po gniewnym oceanie, a snopy światła przebijały się przez skłębione chmury na zachodzie i tworzyły niezwykłe złociste pasy na powierzchni wody, niczym płatki, które spadły z nieba. Za tymi płatkami wisiały nad światem czarnym jak noc ciemne chmury, niby kurtyna zaciągnięta przez bogów między niebem i ziemią. Od czasu do czasu rozdzierała ją błyskawica, oświetlając śnieżnobiałą masę kropel wzbijanych w górę przez fale. W jednym z tych złocistych pasów niszczyciel starał się z trudem

unieść dziób z doliny fali, a potem przebił się z ogłuszającym hukiem przez ścianę wody. Obłok kropli żarłocznie pochłonął światło niczym ogromny Ptak-Rok rozpościerający błyszczące skrzydła.

Zhang Beihai włożył czapkę z insygniami chińskich Sił Kosmicznych. Powiedział sobie w duchu: „Tato, na szczęście myślimy tak samo. Nie przyniosę ci sławy, ale dam ci odpocząć".

– Panie Luo, proszę się w to przebrać – powiedział młody mężczyzna, który po wejściu do pokoju klęknął, by otworzyć walizkę.

Chociaż człowiek ten wydawał się niezwykle uprzejmy, Luo Ji nie mógł się pozbyć uczucia pewnego dyskomfortu, jakby połknął muchę. Kiedy jednak zobaczył ubranie, które tamten wyjął, zdał sobie sprawę, że nie jest to strój skazańca. Najwyraźniej była to zwykła brązowa kurtka. Wziął ją i pomacał gruby materiał. Shi Qiang i ten drugi mieli podobne kurtki, ale w innych kolorach.

– Niech pan to włoży. Jest wygodna i oddycha, nie tak jak te rzeczy, które dawniej nosiliśmy i które kleiły się do ciała – rzekł Shi Qiang.

– Kuloodporna – powiedział młody.

„Kto chciałby mnie zabić?" – pomyślał Luo Ji, zmieniając kurtkę.

Opuścili pokój i poszli korytarzem do windy. Pod sufitem biegły metalowe rury, minęli też kilkoro ciężkich, zamkniętych drzwi. Na jednej z upstrzonych plamami ścian Luo Ji zauważył wyblakłe hasło. Tylko część była czytelna, ale znał je całe: „Kopcie głębokie tunele, trzymajcie duże zapasy zboża, nie dążcie do hegemonii"[7].

– Cywilna Obrona Przeciwlotnicza? – zapytał.

– Nie, ta zwykła. To schron przeciwatomowy, ale już przestarzały. W tamtych czasach trzeba było być kimś, żeby się tu dostać.

– A więc jesteśmy… na Zachodnich Wzgórzach? – zapytał Luo Ji, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Słyszał opowieści o tajnym centrum dowodzenia. Weszli do staromodnej windy i natychmiast zaczęli się wznosić, czemu towarzyszyły okropne odgłosy skrobania. Operatorem był funkcjonariusz Ludowej Policji Zbrojnej z pistoletem maszynowym. Wydawało się, że po raz pierwszy wykonuje to zadanie i musiał się trochę pogimnastykować przy przyciskach, zanim w końcu zatrzymali się na poziomie –1.

Wyszedłszy z windy, Luo Ji zobaczył, że znaleźli się w dużej, niskiej hali, która wyglądała na podziemny parking. Było tam dużo różnych samochodów, niektóre miały włączone silniki i napełniały powietrze trującymi spalinami. Pośród rzędów aut stali lub chodzili ludzie. Paliła się tylko jedna lampa, w odległym rogu, więc panował tam półmrok, w którym ludzie przypominali ciemne cienie. Dopiero kiedy przeszli przez snop światła lampy, Luo Ji zobaczył, że to uzbrojeni po zęby funkcjonariusze. Niektórzy wrzeszczeli do radiotelefonów, starając się przekrzyczeć warkot silników. W ich głosach słychać było napięcie.

Shi Qiang powiódł Luo Ji między dwoma rzędami samochodów. Młodzieniec trzymał się tuż za nimi. Światło lampy i świecące tylne czerwone światła aut rzucały na Shi Qianga stale zmieniające się kolorowe wzory i przywodziły Luo Ji na myśl ciemny bar, w którym poznał tę kobietę.

Shi Qiang zatrzymał się przy jednym z samochodów, otworzył drzwi i poczekał, aż Luo wsiądzie. Wnętrze było przestronne, ale przez nienormalnie małe okna widać było, że karoseria jest bardzo gruba. Opancerzone auto z przydymionymi szybami prawdopodobnie miało zapewnić ochronę przed zamachem bombowym. Drzwi były nadal otwarte, więc Luo Ji słyszał rozmowę Shi Qianga z młodzieńcem.

– Kapitanie Shi, właśnie zadzwonili, że wzdłuż trasy przejazdu rozmieszczono posterunki ochrony.

– Ta trasa jest zbyt skomplikowana. Zrobiliśmy nią zaledwie parę szybkich przejażdżek. Za mało dla dobrego samopoczucia. A co do stanowisk ochrony, tak jak powiedziałem, musisz myśleć jak oni. Gdybyś był po ich stronie, gdzie byś się ukrył? Skonsultuj to ponownie z ekspertami z Ludowej Policji Zbrojnej. Zaraz, a jaki jest plan przekazania?

– Nie powiedzieli.

– Durnie! – rzekł Shi Qiang podniesionym głosem. – W sprawie tak ważnej części operacji nie może być niedomówień.

– Kapitanie Shi, wygląda na to, że góra chce, żebyśmy przejechali całą tę drogę.

– Mogę jechać przez całe życie, ale skoro mamy go przekazać, gdy tam dotrzemy, musi być jasny podział obowiązków. Musi być jakaś granica. Za wszystko, co się zdarzy przedtem, odpowiadamy my, a za to, co potem, oni.

– Nie powiedzieli… – W głosie młodzieńca słychać było zakłopotanie.

– Wiem, Zheng, że odkąd Chang Weisi dostał awans, użalasz się nad sobą. Do diabła, zupełnie jakbyśmy nie istnieli dla jego poprzednich podwładnych! Ale powinniśmy mieć trochę szacunku dla siebie. Kim oni są, do kurwy nędzy? Czy kiedykolwiek znaleźli się pod ostrzałem, czy kiedyś do kogoś strzelali? Ta ekipa użyła podczas ostatniej operacji tylu najnowocześniejszych sztuczek, że czułem się tak, jakbym był w cyrku. Sprowadzili nawet powietrzny system wczesnego ostrzegania. Ale z czyich umiejętności w końcu skorzystali, żeby znaleźć miejsce spotkania? Z naszych. To przyniosło nam pewien szacunek. Zheng, musiałem długo przekonywać, żebym mógł was wszystkich tutaj ściągnąć, ale teraz zastanawiam się, czy dobrze zrobiłem. Może się okazać, że wyświadczyłem wam niedźwiedzią przysługę.

– Niech pan tak nie mówi, kapitanie Shi.

– Świat stanął na głowie. Moralność nie jest już tym, czym była. Każdy obarcza winą za swoje niepowodzenia innych, trzeba więc mieć się na baczności… Mówię to, bo nie wiem, jak długo jeszcze pociągnę. Boję się, że to wszystko spadnie na twoje barki.

– Kapitanie Shi, musi pan poważnie pomyśleć o swojej chorobie. Czy góra nie wpisała pana na listę do hibernacji?

– Muszę najpierw załatwić wiele spraw. Rodzina, praca. I myślisz, że się nie martwię o was wszystkich?

– Niech się pan o nas nie martwi. W pana stanie nie może pan tego odkładać. Dziś rano znowu krwawiły panu dziąsła.

– To nic takiego. Mam szczęście. Powinieneś o tym wiedzieć. Trzy z pistoletów, z których do mnie strzelano, się zacięły.

Samochody stojące w jednym końcu hali zaczęły wyjeżdżać. Shi Qiang wsiadł do auta i zamknął drzwi, a kiedy ruszyły sąsiednie samochody, pojechali za nimi. Shi zaciągnął zasłonki z obu stron, a nieprzezroczysta przegródka między tylnymi i przednimi siedzeniami zupełnie przesłoniła Luo Ji widok na zewnątrz. Podczas jazdy bez przerwy skrzeczało radio, ale Luo nie rozumiał odpowiedzi kapitana rzucanych urywanymi zdaniami.

Po przejechaniu krótkiego odcinka Luo Ji powiedział do Shi Qianga:

– To jest bardziej skomplikowane, niż pan mówił.

– Zgadza się. Teraz wszystko jest skomplikowane – odparł zdawkowo Shi, nadal skupiając uwagę na radiu. Przez resztę drogi już nie rozmawiali.

Jazda przebiegała gładko i bez przeszkód, a po godzinie się zatrzymali.

Shi Qiang wysiadł, ale ruchem ręki nakazał Luo Ji, by zaczekał w środku, po czym zamknął drzwi. Luo słyszał dudnienie, które zdawało się dochodzić znad pojazdu. Po kilku minutach Shi Qiang ponownie otworzył drzwi i polecił mu, by wysiadł. W tej samej chwili Luo

uświadomił sobie, że znajdują się na lotnisku. Łoskot stał się ogłuszający. Luo podniósł głowę i zobaczył dwa helikoptery zwrócone dziobami w przeciwne strony, jakby obserwujące teren. Przed nim stał ogromny samolot, który wyglądał na pasażerski, tyle że na żadnej części, którą widział, nie było godła linii lotniczych. Przed drzwiami samochodu ustawiono schody, którymi Shi Qiang i Luo Ji dostali się na pokład. Gdy Luo obrócił głowę i zerknął przez drzwi, którymi weszli, najpierw ujrzał rząd myśliwców na odległej płycie postojowej, świadczący o tym, że nie było to lotnisko cywilne. Bliżej zobaczył samochody z konwoju i żołnierzy, którzy wysiedli z pojazdów ustawionych kręgiem wokół samolotu. W promieniach zachodzącego słońca samolot rzucał na pas startowy długi cień, który wyglądał jak ogromny wykrzyknik.

Wewnątrz powitało ich trzech mężczyzn w czarnych garniturach, którzy przeprowadzili ich przez kabinę przednią. Była zupełnie pusta, ale przypominała wnętrze samolotu pasażerskiego z czterema rzędami foteli. W kabinie środkowej Luo Ji zobaczył przestronny gabinet i inny przedział, przez którego na wpół otwarte drzwi dojrzał sypialnię. Urządzenia w kabinie niczym się nie wyróżniały, ale były schludne i porządne i gdyby nie zielone pasy bezpieczeństwa przy kanapie i fotelach, nie można by się było zorientować, że jest się w samolocie. Luo Ji wiedział, że w kraju jest bardzo mało samolotów czarterowych tego typu.

Dwóch z trójki, która ich tam przyprowadziła, zniknęło w tylnej kabinie, zostawiając najmłodszego, który powiedział:

– Możecie usiąść, gdzie chcecie, ale musicie mieć zapięte pasy, i to nie tylko w chwili startu i lądowania, ale podczas całego lotu. Jeśli położycie się spać, zapnijcie pasy przy łóżkach. Nie można zostawić na wierzchu niczego, co nie jest przymocowane na stałe. Pozostańcie na fotelach czy na łóżkach, a jeśli będziecie musieli się gdzieś przejść, powiadomcie najpierw

o tym kapitana. Przy każdym siedzeniu i przy każdym łóżku jest guzik interkomu. Wciśnijcie go, żeby porozmawiać. Wezwijcie nas za każdym razem, kiedy będziecie czegoś potrzebowali.

Zdezorientowany Luo Ji spojrzał na Shi Qianga, a ten powiedział:

– Samolot może wykonywać jakieś specjalne manewry.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Zgadza się. Dajcie mi znać, jeśli będziecie mieli jakieś problemy. Mówcie do mnie Xiao Zhang. Kiedy znajdziemy się w powietrzu, przyniosę wam kolację.

Po wyjściu Xiao Zhanga Luo Ji i Shi Qiang usiedli na kanapie i zapięli pasy. Luo Ji rozejrzał się. Poza okrągłymi oknami i lekko wygiętymi ścianami reszta pomieszczenia wydawała się tak konwencjonalna i dobrze znana, że siedzenie w pasach w zwykłym gabinecie wywoływało trochę dziwne uczucie. Wkrótce jednak dźwięk i wibracje silnika przypomniały mu, że siedzi w samolocie kołującym po pasie startowym, a parę minut później obaj zostali wciśnięci w kanapę. Potem drgania spowodowane kontaktem z ziemią ustały i podłoga uniosła się ukośnie. Gdy samolot się wzbijał, za oknem ponownie ukazało się słońce, które wcześniej schowało się za horyzontem, to samo słońce, którego ostatnie promienie przed zaledwie dziesięcioma minutami wpadały do szpitalnego pokoju ojca Zhang Beihaia.

Gdy samolot z Luo Ji dotarł nad brzeg morza, dziesięć tysięcy metrów pod nim Wu Ye i Zhang Beihai ponownie patrzyli na niedokończonego *Tanga*. Była to najbliższa odległość, na jaką kiedykolwiek zbliżył się do tych dwóch żołnierzy.

Tak jak podczas ich poprzedniej wizyty, ogromny kadłub *Tanga* spowity był słabym światłem zmierzchu. Snopy iskier na kadłubie wydawały się mniej liczne, a lampy oświetlające okręt znacznie przygasły. I teraz Wu Yue i Zhang Beihai nie byli już oficerami marynarki wojennej.

– Słyszałem, że Generalny Wydział Zbrojeń postanowił zakończyć ten program – powiedział Zhang Beihai.

– A co my mamy z tym wspólnego? – rzekł chłodno Wu Yue, przenosząc spojrzenie z *Tanga* na ostatnie błyski słońca na zachodzie.

– Odkąd zostałeś przydzielony do sił kosmicznych, jesteś w złym humorze.

– Powinieneś znać powód mojego złego humoru. Potrafisz czytać w moich myślach, czasami widzisz je wyraźniej niż ja i przypominasz mi, o czym naprawdę myślę.

Zhang odwrócił się do niego.

– Jesteś przygnębiony, bo wysłano cię na z góry przegraną wojnę. Zazdrościsz ostatniemu pokoleniu, które będzie na tyle młode, by do końca walczyć w szeregach sił kosmicznych i zginąć razem ze swoją flotą w otchłani przestrzeni kosmicznej. Trudno jest ci się pogodzić z tym, że będziesz musiał brać udział w beznadziejnym przedsięwzięciu.

– Masz dla mnie jakąś radę?

– Nie. Fetyszyzacja techniki i przekonanie, że jest ona lekarstwem na wszystko, tak głęboko zakorzeniły się w twoim umyśle, że nie mogę cię zmienić. Mogę tylko starać się zminimalizować szkody, jakie może spowodować takie myślenie. Poza tym nie uważam, że ludzkość nie może wygrać tej wojny.

Wu Yue zdjął maskę lodowatego spokoju i spojrzał towarzyszowi prosto w oczy.

– Beihai, zawsze byłeś osobą praktyczną. Byłeś przeciwny budowie *Tanga* i wielokrotnie, co znalazło się w protokołach, wyrażałeś wątpliwości co do celowości stworzenia floty dalekomorskiej, dowodząc, że jest niezgodna z naszą siłą narodową. Uważasz, że nasze siły morskie powinny pozostać na wodach przybrzeżnych, gdzie mają wsparcie i osłonę artylerii lądowej. Młodzi zapaleńcy wyśmiewali ten pomysł jako strategię tkwiącego w skorupie żółwia, ale ty upierałeś się przy nim… Skąd więc czerpiesz teraz wiarę w zwycięstwo? Naprawdę myślisz, że drewniane łodzie mogą zatopić lotniskowiec?

– Po odzyskaniu niepodległości świeżo utworzona marynarka wojenna używała drewnianych łodzi do zatapiania niszczycieli nacjonalistów. A jeszcze wcześniej nasza kawaleria niekiedy pokonywała czołgi.

– Chyba nie myślisz poważnie, że takie cuda liczą się jako normalna teoria wojskowa.

– Na tym polu walki cywilizacja ziemska nie będzie musiała postępować zgodnie z utartą teorią wojskową. – Zhang Beihai podniósł palec. – Wystarczy jeden wyjątek.

Wu Yue uśmiechnął się drwiąco.

– Chciałbym usłyszeć, jak zamierzasz zrobić ten wyjątek.

– Oczywiście nic nie wiem o wojnie w przestrzeni kosmicznej, ale jeśli chcesz ją porównać do walki drewnianych łodzi z lotniskowcem, to sądzę, że to kwestia odwagi i wiary w zwycięstwo. Drewniana łódź może przewieźć niewielki oddział nurków, którzy będą czekać na kursie lotniskowca. Gdy okręt wroga się zbliży, zanurzą się, a łódź odpłynie. Kiedy lotniskowiec znajdzie się jeszcze bliżej, przymocują bombę do dolnej części kadłuba i zatopią go… Oczywiście byłoby to niezwykle trudne, ale nie niemożliwe.

Wu Yue kiwnął głową.

– Niezły pomysł. Już go wypróbowano. Podczas drugiej wojny światowej Anglicy zatopili w ten sposób *Tirpitza*, tyle że użyli do tego małego okrętu podwodnego. W latach osiemdziesiątych, podczas wojny o Falklandy, kilku żołnierzy argentyńskich sił specjalnych przewiozło do Hiszpanii miny dywersyjne i próbowało wysadzić brytyjski krążownik zacumowany w Gibraltarze. Wiesz, co się z nimi stało.

– Ale przecież nie chodzi o małą drewnianą łódź. Tysiąctonową bombę jądrową można zmniejszyć do takich rozmiarów, że wystarczy dwóch nurków, by ją zabrać pod wodę, a kiedy przymocuje się ją do dna lotniskowca, nie tylko zatopi ona lotniskowiec, ale rozerwie go na drobne kawałki.

– Masz niesamowitą wyobraźnię – rzekł z uśmiechem Wu Yue.

– Po prostu wierzę w zwycięstwo.

Zhang Beihai patrzył na *Tanga*, a w jego źrenicach odbijał się odległy snop iskier tryskających spod spawarki, co sprawiało wrażenie, jakby paliły się w nich dwa małe płomienie.

Również Wu Yue spojrzał na *Tanga* i zawładnęła nim nowa wizja: okręt nie był już zniszczoną starożytną fortecą, ale prehistorycznym urwiskiem z wydrążonymi w nim wieloma głębokimi jaskiniami, a rozproszone iskry ogniskami migoczącymi w tych jaskiniach.

Po starcie i podczas kolacji Luo Ji powstrzymywał się przed pytaniem Shi Qianga o to, gdzie lecą albo co się właściwie stało, rozumując, że gdyby ten chciał cokolwiek powiedzieć, już by to zrobił. Raz odpiął pas, wstał i wyjrzał przez okno kabiny, chociaż wiedział, że w ciemnościach i tak nic nie zobaczy, ale podszedł do niego Shi Qiang i zaciągnął przesłonę okna, mówiąc, że nie ma tam nic do oglądania.

– Może byśmy jeszcze trochę pogadali, a potem poszli spać? Co pan na to? – zapytał Shi Qiang, wyjmując papierosa, którego – przypomniawszy sobie, że są w samolocie – zaraz szybko schował.

– Spać? A więc to długi lot?

– Czy to ważne? To samolot z łóżkami. Mówię tylko, żebyśmy z nich skorzystali.

– Jest pan odpowiedzialny tylko za przewiezienie mnie do miejsca przeznaczenia, tak?

– Na co pan narzeka? My będziemy musieli lecieć z powrotem! – Shi Qiang uśmiechnął się szeroko, jakby był z siebie niezwykle zadowolony. Kąśliwy humor zdawał się sprawiać mu przyjemność. Potem jednak spoważniał. – O tej podróży wiem niewiele więcej niż pan. Poza tym nie mogę panu jeszcze nic powiedzieć. Niech się pan nie przejmuje. W miejscu przekazania będzie ktoś, kto panu wszystko wyjaśni.

– Od paru godzin staram się domyślić, co tu jest grane, ale przychodzi mi do głowy tylko jedno możliwe wyjaśnienie.

– Niech pan mi je przedstawi i zobaczymy, czy ja też tak samo myślę.

– Ta kobieta była zwykłą osobą, a więc znaczy to, że ktoś z jej rodziny albo znajomych musi być ważną osobistością.

Luo Ji nic nie wiedział o jej rodzinie, tak jak o rodzinach swoich wcześniejszych kochanek. Nie interesowały go takie sprawy i jeśli któraś z nich coś o nich mówiła, szybko o tym zapominał.

– Kto? A, ta pańska kochanka? Wyrzuć ją z głowy, człowieku, tym bardziej że i tak cię nie obchodziła. Albo jeśli chcesz, możesz postarać się porównać jej nazwisko i twarz z jakimiś znanymi osobami.

Luo przeprowadził w umyśle różne porównania, ale do nikogo nie pasowała.

– Luo, człowieku, potrafisz blefować? – zapytał Shi Qiang.

Luo zauważył, że zwraca się on do niego według pewnego schematu. Kiedy żartował, mówił „chłopcze”, ale kiedy stawał się poważny, był on dla niego „człowiekiem”.

– A muszę przed kimś blefować?

– Oczywiście… No to może powiem ci, jak to robić? Oczywiście ja też nie jestem w tym mistrzem. Moja praca to raczej tropienie przekrętów. Nauczę cię paru sztuczek stosowanych podczas przesłuchań. Mogą ci się przydać, kiedy będziesz się starał zorientować, o co w tym wszystkim chodzi. Naturalnie to sztuczki najbardziej podstawowe, powszechnie stosowane. Bardziej skomplikowane trudno jest wyjaśnić. Zaczniemy od najłagodniejszej metody, która jednocześnie jest najprostsza, od listy. Sporządza się całą listę pytań, zadaje się je po kolei podejrzanemu i zapisuje się jego odpowiedzi, a potem powtarza się te pytania od początku i ponownie zapisuje odpowiedzi. Jeśli trzeba, pytania można zadawać wielokrotnie i porównywać zapisy odpowiedzi, żeby się przekonać, czy podejrzany nie kłamie w jakiejś sprawie, bo wtedy odpowiedzi będą za każdym razem inne. To prosta metoda, ale nie patrz na nią z góry. Nie poradzi sobie z nią nikt, kto nie przeszedł odpowiedniego przeszkolenia, a więc najskuteczniejszym sposobem obrony przed nią jest zachowanie milczenia.

Mówiąc to, Shi Qiang bawił się machinalnie papierosem, ale potem go odłożył.

– Niech pan zapyta załogę, czy można tu zapalić. Przecież to lot czarterowy, więc powinni pozwolić – zasugerował Luo Ji.

Podczas przemowy Shi Qiang tak się podekscytował, że wydawał się trochę urażony tym, iż Luo mu przerwał. Luo przyszło do głowy, że mógł mówić poważnie. Jeśli nie, to by znaczyło, że ma dziwne poczucie humoru.

Shi Qiang wcisnął czerwony guzik interkomu obok kanapy i Xiao Zhang powiedział mu, że może robić, co chce, więc obaj zapalili.

– Następna metoda jest tylko w połowie tak łagodna. Może pan dosięgnąć popielniczki – jest schowana, musi pan tylko ją wyciągnąć. O, właśnie tak. Tę metodę nazywa się czarno-białą. Wymaga współpracy kilku osób i jest trochę bardziej skomplikowana. Najpierw przychodzą źli gliniarze, w większości przypadków co najmniej dwóch, i są wobec ciebie naprawdę niemili. Niektórzy znieważają cię słownie, inni fizycznie, ale wszyscy zachowują się podle. Kryje się za tym pewna strategia – chodzi nie tylko o to, żeby cię przestraszyć, ale także, co ważniejsze, żebyś poczuł się osamotniony, żebyś myślał, że cały świat sprzysiągł się przeciwko tobie. Potem pojawia się dobry gliniarz. Ma miłą twarz i powstrzymuje tych złych. Mówi im, że jesteś człowiekiem, że masz swoje prawa, więc jak mogą cię traktować w taki sposób? Tamci mówią mu, żeby zjeżdżał i nie psuł im roboty, ale on nie daje za wygraną i woła: „Nie możecie tego robić!”. Na to jeden z tych złych: „Zawsze wiedziałem, że nie masz jaj do tej roboty. Jak ci się nie podoba, to spadaj stąd”. Dobry gliniarz zasłania cię własnym ciałem i mówi: „Będę bronił jego praw i należnego mu z mocy prawa sprawiedliwego traktowania!”. Wtedy zły: „Poczekaj, jutro już cię tu nie będzie!”. I wychodzi z kumplem nabzdyczony. No więc zostajecie tylko wy dwaj, a dobry gliniarz wyciera cię z krwi i potu i mówi, żebyś się nie bał i że masz prawo zachować milczenie. I wtedy, jak możesz sobie wyobrazić, staje się twoim jedynym przyjacielem na świecie, więc kiedy cię ośmieli, już nie trzymasz języka za zębami… Ta technika najlepiej sprawdza się przy przesłuchiwaniu inteligentów, ale różni się od listy tym, że przestaje być skuteczna, kiedy podejrzany zorientuje się, co jest grane.

Mówił z ożywieniem i wydawało się, że zaraz odepnie pas i wstanie. Luo Ji opanowały strach i rozpacz. Czuł się, jakby wpadł w szczelinę lodową.

Zauważywszy jego zdenerwowanie, Shi Qiang przerwał.

– No dobrze, nie mówmy o przesłuchaniu, chociaż mogłoby się to panu przydać. Nie można wchłonąć wszystkiego naraz. Poza tym miałem powiedzieć o tym, jak oszukać ludzi, więc zapamiętaj, chłopcze, jedno: prawdziwym sprytem wykazuje się ten, kto nie daje poznać, że go ma. Nie jest tak jak w filmach. Ludzie naprawdę przebiegli nie siedzą cały dzień w cieniu, przybierając różne pozy. Nie pokazują, że używają swoich mózgów. Wyglądają niewinnie i sprawiają wrażenie beztroskich. Niektórzy udają sentymentalnych i ckliwych, inni bezmyślnych i niepoważnych. Chodzi o to, by inni nie uznali, że warto jest się tobą zainteresować. Pozwól, by patrzyli na ciebie z góry albo cię lekceważyli, a wtedy nie będą cię uważali za przeszkodę. Niech cię traktują jak mebel. Szczytem przebiegłości jest doprowadzenie do tego, żeby cię w ogóle nie zauważali, jakbyś nie istniał, do chwili, kiedy zginą z twoich rąk.

– Miał pan kiedyś potrzebę albo możliwość, by stać się kimś takim? – przerwał mu Luo Ji.

– Jak powiedziałem, wiem o tym nie więcej niż pan. Ale mam przeczucie, że będzie pan musiał się stać taką osobą. Człowieku, musisz się taki stać!

Shi Qiang znowu się podekscytował i klepnął go w ramię z taką siłą, że Luo aż się skrzywił.

Potem siedzieli w milczeniu, przyglądając się, jak kłęby dymu unoszą się pod sufit, gdzie są wsysane w szczelinę.

– Pieprzyć to. Walnijmy się do wyrka – powiedział Shi Qiang, gasząc papierosa w popielniczce. Pokręcił z uśmiechem głową. – Gadałem jak idiota. Kiedy pan sobie o tym przypomni, niech się pan ze mnie nie śmieje.

W sypialni Luo Ji zdjął kamizelkę kuloodporną i zawinął się w ochronny śpiwór. Shi Qiang pomógł mu zapiąć pasy przytrzymujące go przy łóżku,

a potem postawił na szafce obok małą fiolkę.

– Tabletki nasenne. Niech je pan weźmie, jeśli nie będzie mógł pan zasnąć. Prosiłem o alkohol, ale powiedzieli, że nie mają.

Przypomniał Luo Ji, że przed wstaniem z łóżka powinien powiadomić kapitana, i odwrócił się, żeby odejść.

– Funkcjonariuszu Shi – zawołał za nim Luo Ji.

Shi Qiang zrobił w drzwiach półobrót i spojrzał na niego.

– Nie jestem gliniarzem. Policja nie bierze w tym udziału. Wszyscy nazywają mnie Da Shi.

– Dobrze. A więc, Da Shi, kiedy rozmawialiśmy, zwróciłem uwagę na to, co powiedział pan na początku. A raczej na to, co pan mi odpowiedział. Powiedziałem „ta kobieta”, a pan w pierwszej chwili nie zorientował się, o kim mówię. Znaczy to, że ona nie jest ważna w tej sprawie.

– Jest pan jedną z najspokojniejszych osób, jakie spotkałem.

– Ten spokój wynika z cynizmu. Na świecie jest niewiele rzeczy, które mnie obchodzą.

– Bez względu na to, z czego to wynika, nigdy jeszcze nie widziałem człowieka, który w takiej sytuacji potrafi zachować spokój. Niech pan zapomni o tym, co wcześniej mówiłem. Po prostu lubię się powygłupiać.

– Po prostu stara się pan jakoś zająć moją uwagę, by móc gładko wykonać swoje zadanie.

– Jeśli pobudziłem pańską wyobraźnię, przepraszam.

– O czym pana zdaniem powinienem teraz myśleć?

– Wiem z doświadczenia, że myśli trudno kontrolować. Powinien pan się przespać.

Shi Qiang wyszedł. Kiedy zamknął drzwi, w pokoju zapanowała ciemność, rozświetlona tylko małą czerwoną lampką nad wezgłowiem

łóżka. Stłumione nieustanne dudnienie silnika stało się teraz szczególnie wyraźne, jakby ten dźwięk emitowała sama bezkresna noc za ścianą.

Potem Luo Ji uświadomił sobie, że to nie złudzenie, że ten dźwięk rzeczywiście dobiega z oddali. Odpiął pas i wypełznął ze śpiwora, po czym podniósł przesłonę okna obok łóżka. Na zewnątrz księżyc oświetlał morze chmur, rozległy ocean srebra. Jego wzrok przyciągnęły inne świecące srebrnym światłem obiekty, cztery proste linie ciągnące się na czarnym niebie nad chmurami. Rozwijały się z taką samą szybkością jak samolot, a ich końce niknęły i wtapiały się w noc niczym cztery srebrne miecze. Luo spojrzał ponownie w miejsce, gdzie się zaczynały, i zobaczył, że linie te kreślą cztery metalicznie lśniące obiekty. Cztery myśliwce. Nietrudno było odgadnąć, że po drugiej stronie samolotu były inne cztery.

Luo Ji zaciągnął przesłonę i ponownie zagrzebał się w śpiworze. Zamknął oczy i siłą woli zmusił umysł do odpoczynku. Nie chciał zasnąć, lecz obudzić się z tego snu.

Mimo że był już środek nocy, zebranie grupy roboczej sił kosmicznych nadal trwało. Zhang Beihai odsunął na bok leżący przed nim notes i dokumenty, wstał i popatrzył na znużone twarze oficerów, po czym zwrócił się do Chang Weisiego.

– Towarzyszu komendancie, zanim złożę meldunek o naszych działaniach, chciałbym najpierw podzielić się paroma osobistymi spostrzeżeniami. Uważam, że dowództwo naczelne nie poświęca dostatecznej uwagi pracy politycznej i ideologicznej w armii. Na przykład wydział polityczny jest ostatnim z sześciu, które przedstawiają sprawozdania na tym spotkaniu.

Chang Weisi kiwnął głową.

– Zgadzam się. Komisarze polityczni nie zameldowali się jeszcze na stanowiskach, więc nadzorowanie pracy politycznej przypadło mnie. Teraz, kiedy zaczęliśmy w końcu pracę we wszystkich obszarach naszego działania, trudno jest mi poświęcić temu należną uwagę. Musimy polegać na was i innych, którzy zajmują się szczegółami.

– Towarzyszu komendancie, moim zdaniem obecna sytuacja jest groźna. – Ta opinia przyciągnęła uwagę kilku oficerów, więc Zhang Beihai kontynuował wywód: – Proszę wybaczyć, że będę mówił bez owijania w bawełnę. Cały dzień spędziliśmy na zebraniach i wszyscy jesteśmy zmęczeni, więc jeśli nie będę mówił prosto z mostu, nikt nie będzie mnie słuchał. – Kilka osób się roześmiało, ale reszta nadal przysypiała. – Co ważniejsze, naprawdę się niepokoję. Dysproporcja sił w walce, która nas czeka, nie ma precedensu w historii wojen toczonych przez ludzi, sądzę więc, że największym zagrożeniem przez nie wiadomo ile lat będzie defetyzm. Nie sądzę, bym przesadzał w ocenie tego zagrożenia. Szerzenie się defetyzmu doprowadzi nie tylko do podkopania morale, ale może skończyć się upadkiem całych sił kosmicznych.

Generał Chang ponownie kiwnął głową.

– Zgadzam się. Rzeczywiście w chwili obecnej naszym największym wrogiem jest defetyzm. Komisja wojskowa doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Właśnie dlatego praca polityczna i ideologiczna będą odgrywać decydującą rolę w naszych siłach. Gdy podstawowe jednostki sił kosmicznych będą już gotowe, praca ta stanie się bardziej złożona.

Zhang Beihai otworzył notes.

– Teraz przedstawię raport o naszej pracy – powiedział i zaczął czytać: – „Od chwili utworzenia sił kosmicznych w pracy politycznej i ideologicznej skupialiśmy się przede wszystkim na badaniu ogólnej postawy ideologicznej oficerów i szeregowców. Ponieważ system organizacyjny

tego nowego rodzaju sił jest w chwili obecnej prosty i składa się z niewielu osób i poziomów dowodzenia, badania te prowadziliśmy podczas nieformalnych spotkań i osobistych rozmów, stworzyliśmy też odpowiednie forum w intranecie. Rezultaty badań są niepokojące. Przeważa myślenie defetystyczne, które szybko szerzy się wśród żołnierzy. W umysłach znacznej części naszych towarzyszy strach przed wrogiem łączy się z brakiem wiary w zwycięstwo w przyszłej wojnie. Głównym źródłem defetyzmu jest kult techniki i niedocenianie lub całkowite ignorowanie roli, jaką w wojnie odgrywają ludzki duch i inicjatywa. W ostatnich latach w siłach zbrojnych coraz więcej zwolenników zdobywa teoria, zgodnie z którą o wszystkim decyduje broń. Ta tendencja jest szczególnie wyraźna wśród wyższej kadry oficerskiej. Defetyzm w siłach zbrojnych może przybrać jedną z następujących postaci: Pierwsza. Traktowanie przez członków sił kosmicznych swoich obowiązków jako zwykłej służby, wykonywanie ich wprawdzie z poświęceniem i odpowiedzialnie, ale bez entuzjazmu i poczucia misji, a także wątpienie w sens swojej pracy. Druga. Bierne czekanie – wiara, że wynik wojny zależy od naukowców i inżynierów, że zanim zostaną dokonane przełomowe odkrycia w badaniach podstawowych i technologii, siły kosmiczne pozostaną marzeniem ściętej głowy, oraz wynikające z tej wiary niezrozumienie wagi ich obecnych działań, zadowalanie się tylko wykonywaniem zadań związanych z utworzeniem tego rodzaju wojsk i brak inicjatywy. Trzecia. Snucie nierealistycznych fantazji – chęć wykorzystania technologii hibernacji w celu przeskoczenia czterech wieków i wzięcia bezpośredniego udziału w bitwie w dniu Sądu Ostatecznego. To życzenie wyraziła już pewna liczba młodych towarzyszy, a jeden złożył nawet oficjalną prośbę. Pozornie jest to postawa pozytywna, pragnienie znalezienia się na pierwszej linii i rzucenia się w wir walki, ale w istocie rzeczy to tylko inna forma

defetyzmu. Dla żołnierza, który nie wierzy w zwycięstwo i wątpi w znaczenie naszych bieżących działań, jedynym filarem podtrzymującym go przy życiu i pracy jest jego honor. Czwarta. Przeciwieństwo poprzedniej – zwątpienie w godność żołnierza, przekonanie, że tradycyjny wojskowy kodeks moralny nie odpowiada już sytuacji na polu walki i że walka do końca nie ma sensu, że honor żołnierza istnieje tylko wtedy, kiedy jest ktoś, kto to widzi, a jeśli bitwa zakończy się klęską i we Wszechświecie nie będzie już ludzi, honor ten traci znaczenie. Chociaż postawę tę przyjmuje mniejszość, podważanie wartości sił kosmicznych jest niezmiernie szkodliwe".

W tym momencie Zhang Beihai spojrzał na zgromadzonych w sali i zobaczył, że chociaż jego przemówienie wywołało pewne zainteresowanie, nie udało mu się ożywić wszystkich. Był pewien, że to, co ma jeszcze do powiedzenia, zmieni sytuację.

– Podam wam konkretny przykład towarzysza, który przejawia typową formę defetyzmu. Mówię o pułkowniku Wu Yue. – Zhang Beihai wyciągnął rękę w stronę miejsca, które tamten zajmował przy stole konferencyjnym.

W jednej chwili z zebranych wyparowało zmęczenie. Nadstawili uszu. Wszyscy zerkali nerwowo na Zhang Beihaia i na Wu Yue, który odpowiadał im spokojnym spojrzeniem niczym uosobienie opanowania.

– Przez pewien czas służyłem z Wu Yue w marynarce wojennej i dobrze się znamy. Ma silny kompleks technologii i jako kapitan okrętu jest typem technika albo – jeśli wolicie – inżyniera. Samo w sobie nie jest to złe, ale, niestety, nadmiernie polega on na technologii i chociaż tego nie mówi, podświadomie uważa, że głównym, a być może jedynym wyznacznikiem skuteczności bojowej jest postęp techniczny. Całkowicie lekceważy czynnik ludzki w walce i wykazuje się niezrozumieniem wyjątkowych zalet naszej armii, ukształtowanych przez trudne uwarunkowania historyczne.

Gdy dowiedział się o kryzysie trisolariańskim, zupełnie stracił wiarę w przyszłość, a odkąd dostał przydział do sił kosmicznych, ten brak nadziei stał się jeszcze bardziej widoczny. Defetystyczne nastawienie towarzysza Wu Yue jest tak silne i tak głęboko zakorzenione, że nie możemy mieć nadziei, że uda się nam je usunąć. Musimy jak najszybciej podjąć stanowcze kroki, by powstrzymać szerzenie się defetyzmu wśród żołnierzy, i dlatego uważam, że towarzysz Wu Yue nie nadaje się do służby w siłach kosmicznych.

Oczy wszystkich zwróciły się na Wu Yue, który patrzył na znak Sił Kosmicznych na swojej czapce. Zachował spokój.

Przez całe przemówienie Zhang Beihai ani razu nie zerknął w jego stronę.

– Towarzyszu dowódco, towarzyszu Wu Yue i pozostali towarzysze – ciągnął – proszę was o zrozumienie. Mówię to wszystko tylko w trosce o obecną postawę ideologiczną wojska. Mam też oczywiście nadzieję, że skłoni to Wu Yue do bezpośredniej, szczerej i otwartej rozmowy.

Wu Yue podniósł rękę, prosząc o pozwolenie na zabranie głosu, i na skinienie głową Chang Weisiego powiedział:

– Wszystko, co mówił towarzysz Zhang Beihai o stanie mojego umysłu, to prawda, i zgadzam się z jego wnioskiem – nie nadaję się już do służby w siłach kosmicznych. Zastosuję się do każdego postanowienia organizacji.

Atmosfera stała się napięta. Kilku oficerów patrzyło na notes leżący przed Zhang Beihaiem, zastanawiając się, o kim jeszcze jest tam mowa.

Podniósł się starszy pułkownik lotnictwa i powiedział:

– Towarzyszu Zhang Beihai, to zwykłe spotkanie robocze. Zamiast podnosić tu takie sprawy, powinieneś skierować je do odpowiednich kanałów organizacji. Uważasz, że wypada tak otwarcie o nich mówić?

Jego słowa natychmiast poparło wielu oficerów.

– Wiem, że przedstawienie tutaj moich uwag jest pogwałceniem zasad organizacyjnych i gotów jestem ponieść za to pełną odpowiedzialność – powiedział Zhang Beihai. – Sądzę jednak, że bez względu na to, za pomocą jakich środków to zrobię, muszę zwrócić waszą uwagę na powagę naszej obecnej sytuacji.

Chang podniósł rękę, by uciąć dalsze komentarze.

– Po pierwsze – zaczął – trzeba pochwalić poczucie odpowiedzialności i świadomość pilności sprawy, którymi wykazał się towarzysz Zhang Beihai. Defetyzm w wojsku jest faktem i musimy podejść do tego racjonalnie. Nie zniknie on, dopóki między obiema stronami konfliktu będzie istniała przepaść technologiczna. Problemu tego nie da się rozwiązać prostymi metodami. Wymaga to długiej i wytężonej pracy oraz wielu rozmów i dyskusji. Jednak ja też zgadzam się z sugestią towarzysza pułkownika: kwestie dotyczące indywidualnych postaw ideologicznych powinno się rozwiązywać przede wszystkim w drodze rozmów w cztery oczy, a jeśli konieczne jest złożenie raportu, trzeba to zrobić odpowiednimi kanałami.

Oficerowie wydali przeciągłe westchnienie ulgi. Przynajmniej na tym zebraniu Zhang Beihai nie wymieni ich nazwisk.

Wyobrażając sobie bezkresne niebo nad warstwą chmur, Luo Ji starał się pozbierać myśli. Mimowolnie przypomniał sobie tę kobietę; w mroku ukazała się jej roześmiana twarz i pojawił się jej głos, serce ścisnął mu smutek, jakiego nie czuł nigdy wcześniej. Za nim napłynęło samooskarżenie, pogarda dla siebie, która już wcześniej ogarniała go w niezliczonych sytuacjach, ale nigdy tak mocno. Dlaczego myślał o niej teraz? Do tego momentu jego jedyną reakcją na jej śmierć, poza strachem

i zaskoczeniem, było samorozgrzeszenie i dopiero teraz, kiedy wiedział, że jej rola w bieżących wydarzeniach była nieistotna, pozwolił sobie na rzadką u niego chwilę żalu. Jakim był człowiekiem?

Ale co mógł na to poradzić? Taki już był.

Za sprawą lekkich drgań samolotu odnosił wrażenie, że leży w kołysce. Pamiętał, że sypiał w kołysce, gdy był małym dzieckiem, a po latach zobaczył któregoś dnia w piwnicy rodziców bieguny, na których stała. Zamknął oczy, wyobraził sobie kołyszących go rodziców i zadał sobie pytanie: „Czy od dnia, kiedy opuściłeś kołyskę, zatroszczyłeś się kiedykolwiek o kogoś poza nimi? Czy zrobiłeś w swoim sercu choć odrobinę miejsca dla kogoś innego?”.

Tak, raz. Przed pięcioma laty w jego sercu zagościł złoty płomień miłości. Ale było to nierealne przeżycie.

Wszystko zaczęło się od Bai Rong, autorki powieści dla młodzieży. Pisała je w wolnym czasie, ale cieszyły się taką popularnością, że z honorariów miała większy dochód niż z pensji. Z żadną inną poznaną kobietą nie spędzał tyle czasu, co z nią, i doszedł nawet do punktu, w którym się zastanawiał, czy się z nią nie ożenić. Ich związek nie był szczególnie silny ani niezapomniany, ale byli ze sobą zrelaksowani i szczęśliwi. Pomimo pewnych obaw przed małżeństwem uznali, że warto spróbować.

Na życzenie Bai Rong przeczytał wszystkie jej utwory i choć nie powiedziałby, że mu się podobały, to przynajmniej ich lektura nie była tak męcząca jak innych książek z tego gatunku. Miała elegancki styl i pisała przejrzyście, czego brakowało jej kolegom po fachu, ale treść nie dorównywała stylowi. Czytanie ich było jak patrzenie na krople rosy na roślinach, czyste i przezroczyste, ale różniące się od siebie tylko tym, jak odbijało się i rozszczepiało w nich światło i jak toczyły się po liściach,

gdzie się spotykały i rozdzielały, gdy spadały. Kilka minut po wschodzie słońca wyparowywały. Za każdym razem, kiedy czytał którąś z jej książek, zadawał sobie pytanie: „Z czego żyją ci ludzie, skoro przez dwadzieścia cztery godziny na dobę oddają się miłości?”.

– Myślisz, że taka miłość, o jakiej piszesz, istnieje w świecie realnym? – zapytał pewnego dnia.

– Tak.

– To coś, co widziałaś albo co sama przeżyłaś?

Objęła go za szyję.

– Tak czy inaczej, mówię ci, że istnieje – szepnęła mu tajemniczo do ucha.

Czasami podsuwał jej pewne pomysły do powieści, nad którą akurat pracowała, a nawet pomagał jej wprowadzać poprawki.

– Wygląda na to, że masz większy talent niż ja – powiedziała mu kiedyś. – Nie poprawiasz fabuły, lecz postaci, a to najtrudniejsze. Za każdym razem dodajesz coś, dzięki czemu są one żywsze. Masz pierwszorzędną zdolność tworzenia postaci literackich.

– Chyba żartujesz. Jestem z wykształcenia astronomem.

– Nie zapominaj, że Wang Xiaobo[8] studiował matematykę.

W ubiegłym roku poprosiła go o szczególny prezent na urodziny:

– Możesz napisać dla mnie powieść?

– Całą powieść?

– No, liczącą co najmniej pięćdziesiąt tysięcy znaków.

– Z tobą jako bohaterką?

– Nie. Widziałam ciekawą wystawę obrazów namalowanych przez artystów płci męskiej, przedstawiających najpiękniejsze kobiety, jakie byli w stanie sobie wyobrazić. Taka sama powinna być bohaterka twojej

powieści. Możesz zapomnieć o rzeczywistości i stworzyć anioła na podstawie swoich wyobrażeń o kobiecie doskonałej.

Do dzisiejszego dnia nie miał pojęcia, co ją skłoniło do takiej niezwykłej prośby. Może nie znała samej siebie. Kiedy teraz o tym myślał, wydawało mu się, że było to przebiegłe i dwuznaczne.

Zaczął zatem konstruować postać. Najpierw wyobraził sobie jej twarz, potem zaprojektował jej ubranie, następnie pomyślał o jej otoczeniu i ludziach wokół niej, a na koniec umieścił ją w tym otoczeniu, dał zdolność poruszania się i mówienia, pozwolił jej żyć. Jednak wkrótce stało się to monotonne, więc powiedział Bai Rong o trudnościach, które napotkał:

– Ona jest jak marionetka. Każde jej słowo i zachowanie wynika z tej konstrukcji, ale brakuje w tym iskry życia.

– Obrałeś niewłaściwe podejście – odparła Bai Rong. – Zamiast tworzyć postać literacką, piszesz esej. To, co robi taka postać w ciągu dziesięciu minut, może być odzwierciedleniem dziesięcioletnich doświadczeń. Nie możesz się ograniczać do fabuły powieści, musisz wyobrazić sobie całe jej życie, a to, co w końcu ujmiesz słowami, będzie tylko wierzchołkiem góry lodowej.

Poszedł za jej radą. Odrzucił wszystko, co chciał napisać, i zamiast tego wyobraził sobie ze wszystkimi szczegółami całe życie stworzonej przez siebie postaci. Wyobraził ją sobie u piersi matki, jak z zapałem ssie sutek i mruczy z zadowolenia, jak chce dogonić czerwony balonik turlający się po ulicy, ale robi tylko krok i pada na ziemię, jak płacze, patrząc na oddalający się balonik i nie zdając sobie sprawy, że oto zaczęła chodzić, jak idzie w deszczu i pod wpływem impulsu zwija parasol, by poczuć na twarzy jego krople, jak spędza pierwszy dzień w szkole – jak siedzi w klasie, obcym pomieszczeniu, nie widząc przez okno ani przez drzwi rodziców, i już prawie zaczyna płakać, gdy nagle zauważa w sąsiedniej

ławce koleżankę z przedszkola i zaczyna krzyczeć z radości, jak spędza pierwszą noc w internacie liceum – jak leży w łóżku i patrzy na cienie rzucane na sufit przez drzewa oświetlone latarnią uliczną… Wyobraził sobie jej wszystkie ulubione dania, kolor i styl każdego elementu jej garderoby w komodzie, tapetę w jej telefonie komórkowym, odwiedzane przez nią strony internetowe, filmy, które lubi, ale nie makijaż, bo ona nie potrzebuje żadnego makijażu… Niczym stwórca istniejący poza czasem splótł różne stadia jej życia i stopniowo odkrył bezgraniczną przyjemność tworzenia.

Pewnego dnia w bibliotece wyobraził sobie, jak ona stoi przed rzędami półek i czyta. Ubrał ją w swój ulubiony strój, by jej drobna postać zarysowała się wyraźniej w jego umyśle. Nagle oderwała wzrok od książki, spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

Był zaskoczony. Czy kazał jej się uśmiechnąć? Ten uśmiech pozostawił w jego pamięci ślad jak plama na lodzie, ślad, którego nie da się zetrzeć.

Prawdziwy punkt zwrotny nastąpił następnego wieczoru. Padał coraz gęstszy śnieg, wzmagał się wiatr, spadała temperatura. Patrzył z ciepłego wnętrza pokoju w hotelu asystenta na zadymkę, na tłukące o szybę niczym drobiny piasku płatki śniegu, i słuchał wycia wiatru, które zagłuszało odgłosy miasta. Wszystko na zewnątrz pokrył gruby dywan śniegu. Miasto zdawało się nie istnieć i na bezkresnej śnieżnej równinie pozostał tylko ten hotel. Wrócił do łóżka, ale zanim zapadł w sen, przyszła mu nagle do głowy myśl: „Gdyby w tę okropną pogodę ona była na dworze, strasznie by zmarzła”. Potem przypomniał sobie: „To nie ma żadnego znaczenia. Ona nie znajdzie się na dworze, jeśli sam jej tam nie umieścisz”. Ale tym razem wyobraźnia go zawiodła i dziewczyna pozostała wśród śnieżycy jak źdźbło trawy, które w każdej chwili mógł zdmuchnąć powiew wiatru. Wciąż miała na sobie biały płaszcz i czerwony szal. Tylko to mógł dostrzec, i to

niewyraźnie, przez wirujące płatki śniegu. Była jak mały płomyk walczący z zamiecią.

Nie mógł zasnąć. Usiadł na łóżku, potem narzucił na siebie jakieś ubranie i zajął miejsce na kanapie. Zastanawiał się, czy powinien zapalić, ale przypomniawszy sobie, że nie znosiła zapachu papierosów, zaparzył sobie filiżankę kawy i powoli ją popijał. Musiał na nią zaczekać. Ciążyła mu na sercu świadomość, że jest zawieja i zimna noc. Po raz pierwszy czuł z czyjegoś powodu taki ucisk w sercu i tęsknotę.

Nadeszła cicho, gdy jego umysł zaczął się ożywiać. Jej drobną postać spowijał chłód z dworu, ale czuć w nim było powiew wiosny. Płatki śniegu w jej włosach szybko stopniały i przemieniły się w błyszczące kropelki. Zdjęła szal, przyłożyła dłonie do ust i zaczęła na nie chuchać. Ujął je, by je rozgrzać, a wtedy spojrzała na niego podekscytowana i zadała pytanie, które on miał już zadać jej: „Dobrze się czujesz?”.

Mógł tylko skinąć w milczeniu głową. Potem, gdy pomógł jej zdjąć płaszcz, powiedział:

– Chodź, rozgrzej się.

Potarł jej delikatne ramiona i poprowadził ją przed kominek.

– Jak tu ciepło. Cudownie…

Usiadła na dywanie przed kominkiem i z uśmiechem patrzyła na ogień.

„Cholera, co się ze mną dzieje?” – pomyślał pośrodku pustego pokoju. Czy nie wystarczyłoby napisać pięćdziesiąt tysięcy znaków, wydrukować je na wysokiej klasy papierze, zrobić wspaniałą okładkę i obwolutę w Photoshopie, ładnie zapakować i dać w prezencie Bai Rong? Dlaczego wpadł tak głęboko w tę pułapkę? Był zaskoczony, gdy zobaczył w jej oczach łzy. A potem uświadomił sobie coś innego: „Kominek? Skąd, do diabła, wytrzasnąłem kominek? Dlaczego miałbym myśleć o kominku?”. Ale zaraz zrozumiał – tym, czego chciał, nie był kominek, lecz blask ognia,

bo w takim blasku kobieta jest najpiękniejsza. Przypomniał sobie teraz, jak wtedy wyglądała na tle ognia w kominku…

„Nie! Nie myśl o niej. To będzie katastrofa! Śpij!”

Wbrew swoim obawom nie śnił o niej przez całą noc. Dobrze spał, wyobrażając sobie, że jego pojedyncze łóżko jest małą łódką unoszącą się na różowym morzu. Gdy się obudził następnego ranka, czuł się jak nowo narodzony, jakby był świeczką, która przez lata pokrywała się kurzem, nim podczas śnieżnej zawiei ubiegłej nocy ktoś ją zapalił. Poszedł podekscytowany do budynku wykładowego, odnosząc wrażenie, że mimo zamglenia po opadach śniegu sięga wzrokiem na odległość tysiąca kilometrów. Na topolach rosnących po bokach drogi nie było ani odrobiny śniegu, ich nagie gałęzie wznosiły się ku zimnemu niebu, ale w jego oczach były żywsze niż wiosną.

Wszedł na katedrę i jak miał nadzieję, zobaczył ją. Siedziała z tyłu amfiteatralnej sali, sama w pustym rzędzie, z dala od pozostałych studentów. Śnieżnobiały płaszcz i czerwony szal położyła na siedzeniu obok i została w beżowym golfie. Nie miała spuszczonej głowy i nie przewracała stron w podręczniku jak reszta studentów. Patrzyła na niego i posłała mu kolejny, jasny jak wschód słońca uśmiech.

Zdenerwował się. Przyspieszył mu puls i musiał wyjść na balkon, by ochłonąć na zimnym powietrzu. Wcześniej tylko dwa razy zdarzyło mu się być w podobnym stanie, podczas obrony swoich dwóch doktoratów. Na wykładzie starał się jak najlepiej zaprezentować i jego żarliwa mowa oraz długie cytaty wzbudziły, co się rzadko zdarzało, aplauz słuchaczy. Nie przyłączyła się do niego, tylko uśmiechnęła się i skinęła głową.

Po zajęciach szedł obok niej alejką wysadzaną drzewami, które nie dawały cienia, słuchając skrzypienia śniegu pod jej niebieskimi butami. Ich szczerej rozmowie przysłuchiwały się w milczeniu dwa rzędy topoli.

– Dobrze wykładasz, chociaż niewiele z tego zrozumiałam.

– To nie jest twój przedmiot kierunkowy, prawda?

– Tak.

– Często chodzisz na wykłady z innych przedmiotów kierunkowych?

– Tylko przez ostatnich kilka dni. Wybieram salę na chybił trafił i przez chwilę słucham. Dopiero co skończyłam studia i niebawem wyjeżdżam. Nagle uświadomiłam sobie, że jest tu wspaniale i że boję się tego, co jest poza uczelnią…

Przez następne trzy czy cztery dni spędzał z nią większość czasu, chociaż dla innych wyglądało to tak, jakby był wtedy sam. Łatwo mu było wytłumaczyć się z tego przed Bai Rong – myślał o prezencie dla niej. I prawdę mówiąc, nie było to kłamstwo.

W sylwestra kupił butelkę czerwonego wina, którego nigdy wcześniej nie pijał, wrócił do hotelu, zgasił światło, postawił na stole przed kanapą kilka świeczek i zapalił. Kiedy zapłonęły wszystkie trzy, usiadła bez słów obok niego.

– Och, spójrz! – wykrzyknęła, wskazując z dziecinnym podnieceniem butelkę wina.

– Na co?

– Popatrz na nie z tego miejsca, tam, gdzie przenika przez nie światło świeczki. To wino jest przepiękne.

Przesączone przez wino światło świeczki miało ciemnoczerwoną, krystaliczną barwę, kolor, z jakiego utkane są sny.

– Jak martwe słońce – stwierdził.

– Nie mów tak – powiedziała ze szczerością, od której stopniało jego serce. – Uważam, że jest jak… jak oczy zmierzchu.

– A dlaczego nie świtu?

– Bardziej lubię zmierzch.

– Dlaczego?

– Gdy mija zmierzch, widzisz gwiazdy. Gdy mija świt, zostaje tylko…

– Zostaje tylko jasne światło, w którym widzisz surową rzeczywistość.

– Tak.

Rozmawiali o wszystkim, znajdując wspólny język nawet w najbardziej banalnych sprawach, dopóki nie opróżnił całej butelki, w której były oczy zmierzchu.

Leżał sennie w łóżku i patrzył na świece płonące na stole. Dziewczyna zniknęła, ale nie martwił się tym. Mogła się pojawić na każde jego życzenie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wiedział, że pochodzi ono ze świata realnego i nie ma z nią nic wspólnego, więc je zignorował. Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Bai Rong. Gdy włączyła światło, pojawiła się szara rzeczywistość. Rong zerknęła na świece na stole, a potem usiadła na brzegu łóżka i lekko westchnęła.

– Nie jest jeszcze tak źle.

– Co nie jest źle? – Wyciągnął rękę, by osłonić oczy przed ostrym światłem.

– Nie doszedłeś jeszcze do tego, żeby postawić kieliszek również dla niej.

Zasłonił oczy, ale nic nie powiedział. Odsunęła jego dłonie, a potem patrząc prosto na niego, powiedziała:

– Ona ożyła, prawda?

Kiwnął głową i usiadł.

– Rong, myślałem, że nad postacią w powieści panuje jej twórca, że będzie ona taka, jak chce autor, i że zrobi z nią wszystko, co chce, tak jak Bóg z nami.

– No i myliłeś się! – powiedziała. Wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju. – Sam teraz rozumiesz, jak bardzo się myliłeś. Jest różnica między zwykłym gryzipiórkiem a pisarzem z prawdziwego zdarzenia. Z literaturą na najwyższym poziomie mamy do czynienia wtedy, gdy postacie powieściowe żyją własnym życiem w umyśle autora. Nie jest w stanie nimi kierować, może nawet nie być w stanie przewidzieć ich kolejnego posunięcia. Może tylko obserwować je z zachwytem jak podglądacz i zapisywać drobne szczegóły ich życia. Tak powstają klasyczne dzieła literatury.

– A zatem literatura jest, jak się okazuje, pewnego rodzaju perwersją.

– Taka była przynajmniej dla Szekspira, Balzaca i Tołstoja. Stworzone przez nich klasyczne obrazy zrodziły się z ich umysłowego łona. Ale dzisiejsi wyrobnicy literatury stracili tę kreatywność. W ich umysłach rodzą się tylko fragmenty utworów i dziwacy, których krótkie życie jest jedynie nierozsądnym, zagadkowym paroksyzmem. Potem wrzucają te fragmenty do jednego worka, który sprzedają pod etykietką „postmodernizmu”, „dekonstruktywizmu”, „symbolizmu” albo „irracjonalizmu”.

– Chcesz powiedzieć, że stałem się klasykiem literatury?

– Nie sądzę! W twojej głowie dojrzewa tylko pewien obraz, a to jest najprostsze. W głowach klasyków zrodziły się setki, tysiące postaci. Wielcy pisarze stworzyli obrazy pewnych epok, a czegoś takiego mogą dokonać tylko nadludzie. Ale i to, co zrobiłeś, nie jest łatwe. Nie myślałam, że będziesz do tego zdolny.

– A ty stworzyłaś kiedyś coś takiego?

– Tylko raz – odparła i porzuciła ten temat. Objęła go za szyję i powiedziała: – Daj sobie z tym spokój. Nie chcę już tego prezentu urodzinowego. Wróć do normalnego życia, dobrze?

– A jeśli to wszystko będzie trwało? Co wtedy?

Przez kilka sekund patrzyła na niego badawczo, potem go puściła i potrząsnęła ze smutkiem głową.

– Wiedziałam, że jest już za późno.

Podniosła z łóżka torebkę i wyszła.

Potem usłyszał, jak ludzie na zewnątrz odliczają: cztery, trzy, dwa, jeden. Z budynku wykładowego, który do tej pory rozbrzmiewał dźwiękami muzyki, dobiegły salwy śmiechu. Na boisku puszczano ognie sztuczne. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że przed sekundą skończył się stary rok.

– Dzisiaj jest święto. Dokąd się wybierzemy? – zapytał.

Leżał na łóżku, ale wiedział, że stworzona przez niego postać pojawiła się przy nieistniejącym kominku.

– Nie zabierasz jej? – odezwała się z całą swą niewinnością, wskazując wciąż otwarte drzwi.

– Nie. Tylko my dwoje. Gdzie chciałabyś jechać?

Upajała się ogniem na kominku.

– Nieważne, dokąd pojedziemy – odparła. – To cudowne uczucie być po prostu w podróży.

– Wobec tego wyjedziemy i zobaczymy, dokąd dotrzemy.

– Wspaniale.

Następnego ranka wyjechał swoją hondą accord z miasteczka uniwersyteckiego i ruszył na zachód. Obrał ten kierunek tylko dlatego, by uniknąć bólu głowy, jaki sprawiłoby mu przedzieranie się przez całe miasto. Po raz pierwszy miał cudowne poczucie wolności, którą daje jazda bez celu. Kiedy budynki zaczęły rzednąć i ukazały się pola, uchylił nieco szybę, by wpuścić zimne powietrze. Czuł, że jej długie włosy powiewają na wietrze i muskają jego prawą skroń.

– Patrz, góry. – Wskazała łańcuch w oddali.

– Widoczność jest dzisiaj dobra. To góry Taihang. Ciągną się równolegle do szosy, dalej skręcają na zachód, tarasując drogę, więc szosa przez nie przechodzi. Powiedziałbym, że jesteśmy teraz…

– Nie, nie. Nie mów, gdzie jesteśmy. Jeśli się dowiem, gdzie jesteśmy, świat skurczy się do rozmiarów mapy. Gdy tego nie wiemy, świat wydaje się nie mieć końca.

– Dobrze. No to postarajmy się zgubić.

Skręcił w mniej ruchliwą drogę, a potem, nie odjechawszy daleko, skręcił po raz drugi. Po obu stronach ciągnęły się teraz bezkresne pola, na których śnieg jeszcze nie stopniał, i pokryte nim pasy ziemi oraz bezśnieżne połacie były mniej więcej jednakowej wielkości. Chociaż słońce świeciło jasno, nigdzie nie było widać ani skrawka zieleni.

– Klasyczny północny pejzaż – powiedział.

– Pierwszy raz myślę, że ziemia bez najmniejszej odrobiny zieleni może być piękna.

– Zieleń jest zagrzebana w ziemi i czeka na wiosnę. Oziminy wzejdą, kiedy będzie jeszcze zimno, i wtedy będzie tu morze zieleni. Wyobraź sobie ten bezmiar…

– Ten krajobraz nie potrzebuje zieleni. I teraz jest piękny. Czy ta kraina nie wygląda jak drzemiąca w słońcu wielka krowa mleczna?

– Co? – Spojrzał ze zdumieniem najpierw na nią, a potem przez okno na płaty śniegu po obu stronach samochodu. – A faktycznie, jest pewne podobieństwo! Jaka jest twoja ulubiona pora roku?

– Jesień.

– A dlaczego nie wiosna?

– Wiosną… jest tak dużo zmieszanych ze sobą doznań, że robi się to męczące. Jesień jest lepsza.

Zatrzymał samochód. Wysiadł i poszedł z nią na skraj pola, żeby popatrzeć na sroki, które na nim żerowały, dopóki nie podeszli do nich blisko. Wtedy odleciały na drzewa w oddali. Potem ruszyli wzdłuż koryta praktycznie wyschniętej rzeki. Jedynie jego środkiem płynął wąski strumień, ale mimo to była to północna rzeka, więc podnieśli z ziemi małe, gładkie, chłodne kamyki i rzucali je do niej, przyglądając się, jak z dziur zrobionych przez nie w cienkim lodzie wypływa mętna, żółta woda. Dotarli do małego miasteczka i trochę zabawili na rynku. Dziewczyna przyklękła obok sprzedawcy złotych rybek, które wyglądały w blasku słońca jak ciekłe płomienie, i nie chciała odejść. Kupił jej dwie rybki i położył je w plastikowych woreczkach z wodą na tylnym siedzeniu. Weszli do leżącej obok wioski, ale nie odnieśli wrażenia, że znaleźli się na wsi. Domy i zabudowania gospodarcze były nowiutkie, przed wieloma bramami stały zaparkowane samochody, cementowe drogi były szerokie, a ludzie ubrani nie inaczej niż w miastach, ba, kilka dziewcząt paradowało w eleganckich strojach. Nawet psy były takimi samymi długowłosymi i krótkonogimi pasożytami, jakie można było znaleźć w miastach. Bardziej interesująca była duża scena u wejścia do wioski – zastanawiali się, jak taka mała wioszczyna mogła sobie pozwolić na taką wielką scenę. Była pusta, więc z pewnym trudem wdrapał się na nią i patrząc na jednoosobową publiczność, zaśpiewał jeden wiersz piosenki *Tonkaja riabina*. W południe zjedli obiad w miasteczku, gdzie dania były mniej więcej takie same jak w mieście, tyle że porcje dwa razy większe. Rozleniwieni i senni po obiedzie, posiedzieli trochę na ławce pod ratuszem, a potem pojechali dalej bez celu.

Zanim się zorientowali, znaleźli się w górach, które miały zwyczajne kształty i były pozbawione roślinności, jeśli nie liczyć zwiędłej trawy i niepokalanka pospolitego w szczelinach szarych skał. W ciągu milionów

lat znużone staniem góry położyły się, osunęły w płaskość pod działaniem czasu i blasku słońca, i każdy, kto po nich chodził, czuł się tak samo gnuśny.

– Te góry są jak starzy wieśniacy wygrzewający się w promieniach słońca – powiedziała, ale w wioskach, przez które przejeżdżali, nie widzieli ani jednego z takich staruszków, nikogo bardziej odprężonego niż góry. Kilka razy musieli się zatrzymać, bo przez drogę przechodziło stado owiec. W końcu pojawiła się wioska, jaką sobie wyobrażali, ze skalnymi domami, hurmą wschodnią, orzechami włoskimi, niskimi domami krytymi dachówkami, na których piętrzyły się stosy kolb kukurydzy. Nawet psy były tu większe i bardziej zajadłe.

Kilka razy zatrzymali się w górach i całe popołudnie minęło jak z bicza trzasł. Słońce chyliło się ku zachodowi, a droga już dużo wcześniej zaczęła się pogrążać w cieniu. Była piaszczysta i wyboista. Dojechał nią na grzbiet górski, gdzie jeszcze świeciło słońce, i zdecydowali, że będzie to kres ich podróży – obejrzą zachód słońca i wracają. Jej długie włosy powiewały w lekkich podmuchach wieczornego wiatru i zdawały się starać schwytać ostatnie złote promienie.

Zaledwie wrócili na szosę, samochód się zepsuł. Pękła tylna oś, co oznaczało, że muszą zadzwonić po pomoc. Chwilę potem Luo Ji dowiedział się od kierowcy małej ciężarówki, jak się nazywa to miejsce. Pocieszył go fakt, że jego telefon miał zasięg. Gdy powiedział pracownikowi stacji naprawy pojazdów, gdzie się znajduje, poinformowano go, że dotarcie tam zajmie mechanikom co najmniej cztery czy pięć godzin.

Po zachodzie słońca w górach szybko zrobiło się zimno. Gdy okolicę zaczął zasnuwać zmrok, Luo Ji zebrał na pobliskim polu tarasowym trochę łodyg kukurydzy i rozpalił ognisko.

– Ciepło i przyjemnie – powiedziała, patrząc w ogień, równie szczęśliwa jak tego wieczoru, kiedy siedziała przed kominkiem.

Znowu poraził go jej widok w blasku ognia, ogarnęły go emocje, jakich nie czuł nigdy wcześniej, jakby sam był ogniskiem i jedynym celem jego egzystencji było dawanie jej ciepła.

– Są tu wilki? – zapytała, rozglądając się wokół w gęstniejącej ciemności.

– Nie. Północne Chiny to wciąż interior. Okolica wygląda na wymarłą, ale w rzeczywistości to jeden z najgęściej zaludnionych regionów. Popatrz na drogę – średnio co dwie minuty przejeżdża nią samochód.

– Miałam nadzieję, że powiesz, że są – rzekła ze słodkim uśmiechem, a potem spojrzała na iskry odlatujące w niebo jak gwiazdy.

– No dobrze. Są tu wilki, ale jestem przy tobie.

Więcej już nie rozmawiali, tylko siedzieli w milczeniu przy ognisku, dokładając do niego od czasu do czasu parę łodyg.

Później – nie wiedział, jak dużo później – zadzwonił jego telefon. To była Bai Rong.

– Jesteś z nią? – zapytała.

– Nie, jestem sam – odparł i podniósł wzrok.

Nie kłamał. Naprawdę był sam, przy ognisku obok drogi w górach Taihang. Światło wydobywało z mroku otaczające go skały, a nad głową miał gwiaździste niebo.

– Wiem, że jesteś sam. Ale czy jesteś z nią?

Przez chwilę milczał, po czym powiedział cicho: „Tak”, a kiedy zerknął w bok, była tam – dokładała łodyg do ognia i uśmiechała się do płomieni oświetlających miejsce, gdzie siedzieli.

– Teraz wierzysz, że miłość, o której piszę w swoich książkach, istnieje naprawdę?

– Tak, wierzę.

Zaledwie wymówił te słowa, zdał sobie sprawę, jaka dzieli ich odległość. Oboje milczeli przez długą chwilę, a fale radiowe snuły nad górami swą pajęczą nić, by podtrzymać ten ostatni kontakt.

– Ty też masz kogoś takiego, prawda? – zapytał w końcu.

– Tak. Od dawna.

– Gdzie on teraz jest?

Usłyszał, że cicho się śmieje.

– A gdzie indziej mógłby być?

On też się roześmiał.

– No tak, gdzie?

– No cóż. Nie przejmuj się. Żegnaj.

Bai Rong skończyła rozmowę, zrywając cienką nić, która ciągnęła się po nocnym niebie, i zostawiając ich nieco zasmuconych, ale nic poza tym.

– Na dworze jest za zimno. Prześpijmy się w samochodzie – powiedział.

Łagodnie pokręciła głową.

– Chcę być z tobą tutaj. Lubisz, jak siedzę przy ogniu, prawda?

Była już północ, gdy przyjechał wóz naprawczy z Shijiazhuang. Mechanicy zdziwili się, że zastali go siedzącego przy ognisku.

– Przecież pan tu zamarznie. Silnik się nie zepsuł. W samochodzie z włączonym ogrzewaniem nie byłoby cieplej?

Po naprawie samochodu Luo Ji pomknął przez noc, wyjechał z gór z powrotem na równinę i o świcie był w Shijiazhuang. Gdy dotarł do Pekinu, była już dziesiąta.

Zamiast wrócić do pracy, poszedł prosto do psychiatry.

– Może pan potrzebować pewnej korekty nastawienia, ale to nic poważnego – powiedział tamten po wysłuchaniu jego długiej opowieści.

– Nic poważnego? – Luo szeroko otworzył przekrwione oczy. – Jestem do szaleństwa zakochany w fikcyjnej postaci z powieści, którą sam stworzyłem. Byłem z nią, podróżowałem z nią, a nawet zerwałem przez nią z moją dziewczyną z krwi i kości. To według pana nic poważnego?

Lekarz uśmiechnął się pobłażliwie.

– Nie chwyta pan? Obdarzyłem najgłębszą miłością złudzenie!

– Ma pan wrażenie, że obiekty uczuć wszystkich innych osób istnieją naprawdę?

– Czy to w ogóle podlega dyskusji?

– Oczywiście. U większości ludzi osoba, którą kochają, istnieje tylko w ich wyobraźni. Przedmiotem ich miłości nie jest rzeczywista kobieta czy mężczyzna, lecz jej czy jego obraz, który sobie stworzyli. W rzeczywistości dana osoba jest tylko matrycą dla stworzenia wymarzonej kochanki czy kochanka. W końcu stwierdzają, że wyśniona kochanka czy kochanek różni się od tej matrycy. Jeśli potrafią zaakceptować te różnice, mogą być razem. Jeśli nie, rozstają się z nią czy z nim. Takie to proste. W jednym różni się pan od większości – nie potrzebował pan matrycy.

– A więc to nie jest choroba?

– Tylko w tym względzie, na który wskazała pańska dziewczyna: ma pan talent pisarski. Jeśli chce pan nazwać to chorobą, proszę bardzo.

– Ale czy puszczenie aż do tego stopnia wodzy wyobraźni nie jest lekką przesadą?

– W wyobraźni nie ma nic przesadnego. Zwłaszcza gdy chodzi o miłość.

– No to co mam zrobić? Jak mogę o niej zapomnieć?

– To niemożliwe. Nie może pan o niej zapomnieć, więc niech pan oszczędzi sobie trudu. Może to tylko doprowadzić do skutków ubocznych, może nawet do zaburzeń psychicznych. Niech pan pozostawi sprawy naturze. Jeszcze raz podkreślam: niech pan nie próbuje o niej zapomnieć.

To nic nie da. Ale z czasem zmniejszy się jej wpływ na pańskie życie. Prawdę mówiąc, jest pan szczęściarzem. Bez względu na to, czy ona istnieje, czy nie, miał pan szczęście się zakochać.

Było to najbardziej romantyczne przeżycie Luo Ji, miłość, jaka zdarza się tylko raz w życiu. Potem zaczął żyć bardziej niefrasobliwie – szedł lub jechał, gdzie go poniosły oczy, jak tego dnia, kiedy wsiadł do swojej hondy i ruszył przed siebie. I jak powiedział psychiatra, jej wpływ na jego życie się zmniejszał. Nie pojawiała się, gdy był z prawdziwą kobietą, a w końcu zaczęła się pojawiać coraz rzadziej, nawet kiedy był sam. Wiedział jednak, że najbardziej ukryta część jego duszy należy do niej i że ta dziewczyna zostanie tam po kres jego dni. Widział nawet wyraźnie świat, w którym mieszkała: śnieżną krainę, gdzie niebo zawsze ozdabiały gwiazdy i sierp księżyca i gdzie stale padał śnieg. W panującej tam ciszy można było usłyszeć szelest płatków śniegu sypiących się na ziemię jak biały cukier. Ewa, którą Luo Ji stworzył z żebra swojego umysłu, siedziała przed starym kominkiem w swej wykwintnej chacie i w milczeniu patrzyła na tańczące płomienie.

Teraz, samotny w tej złowieszczej powietrznej podróży, chciał ją mieć przy sobie, chciał wspólnie z nią zgadywać, co go czeka na jej końcu, ale się nie pojawiła. Wciąż widział ją w odległym zakątku swej duszy, siedzącą w milczeniu przed kominkiem, nigdy nieczującą się samotnie, bo wiedziała, że jej świat jest w nim.

Sięgnął po fiolkę na szafce przy łóżku, by wreszcie zasnąć dzięki tabletce, ale w chwili gdy jego palce dotknęły buteleczki, poszybowała z szafki pod sufit, podobnie jak ubranie, które rzucił na krzesło. To wszystko wisiało tam przez kilka sekund. Poczuł, że unosi się z łóżka, ale ponieważ śpiwór był przypięty pasami, nie odleciał, a gdy fiolka wylądowała na podłodze, z powrotem ciężko na nie opadł. Przez parę

sekund czuł się tak, jakby jego ciało uciskał jakiś ciężki przedmiot, i nie mógł się ruszyć. Od nagłej nieważkości, a potem przeciążenia zakręciło mu się w głowie, a niespełna dziesięć sekund później wszystko wróciło do normy.

Usłyszał szybki szelest kroków na wykładzinie dywanowej za drzwiami. Szło tam kilka osób. Potem uchyliły się drzwi i do kabiny wsunął głowę Shi Qiang.

– Nic panu nie jest, Luo Ji?

Gdy Luo odparł, że nie, Shi Qiang, nie wszedłszy do środka, zamknął drzwi. Luo słyszał rozmowę prowadzoną ściszonymi głosami.

– Wygląda to na nieporozumienie podczas zmiany eskorty. Nie ma się czym martwić.

– Co wcześniej mówiła góra podczas połączenia? – Był to głos Shi Qianga.

– Powiedzieli, że eskorta musi za pół godziny zatankować w powietrzu i że nie powinniśmy się niepokoić.

– Tej przerwy nie było w planie, co?

– Nawet najmniejszej wzmianki. W chaosie, który teraz zapanował, siedem samolotów eskorty pozbyło się zapasowych zbiorników paliwa.

– Skąd ta nerwowość? Dajmy temu spokój. Powinieneś z powrotem położyć się spać. Nie przepracowuj się.

– Jak możemy spać w takiej sytuacji?

– Zostawcie kogoś na warcie. Jaki będzie z was pożytek, jeśli będziecie zmęczeni? Mogą próbować trzymać nas cały czas w stanie najwyższej gotowości, ale nie zmieniam zdania na temat pracy w ochronie. Jeśli pomyślałeś o wszystkim, o czym powinieneś pomyśleć, i zrobiłeś wszystko, co trzeba, to niech się dzieje, co ma się dziać. Nie można zrobić nic więcej. Nie denerwuj się.

Na wzmiankę o „zmianie eskorty” Luo Ji wyciągnął rękę, odsunął przesłonę okna i wyjrzał na zewnątrz. Na nocnym niebie wciąż rozpościerało się morze chmur. Księżyc chylił się ku horyzontowi, widać też było smugi kondensacyjne formacji myśliwców, teraz z sześcioma dodatkowymi liniami. Przyjrzał się małym samolotom, za którymi ciągnęły się te smugi, i zauważył, że to inny model niż te cztery, które widział wcześniej.

Otworzyły się drzwi i Shi Qiang wsunął przez nie tors do sypialni.

– Luo Ji, to nie było nic poważnego. Drobiazg. Niech pan się nie martwi. Od tej pory wszystko pójdzie jak po maśle.

– Jest jeszcze czas na spanie? Ile godzin już lecimy?

– Mamy jeszcze parę godzin. Proszę spać.

Zamknął drzwi i odszedł.

Luo Ji przekręcił się na łóżku i podniósł buteleczkę. Shi był skrupulatny – zawierała tylko jedną tabletkę. Połknął ją, spojrzał na czerwone światełko pod oknem, wyobrażając sobie, że to światło kominka, i zapadł w sen.

Spał bez snów przez sześć godzin i kiedy Shi Qiang go obudził, czuł się całkiem dobrze.

– Jesteśmy już prawie na miejscu. Proszę wstać i się przygotować.

Luo Ji poszedł do łazienki, by się umyć, a gdy wrócił na proste śniadanie, poczuł, że samolot schodzi w dół. Dziesięć minut później, po piętnastu godzinach lotu, stali na ziemi.

Shi Qiang powiedział mu, by zaczekał w gabinecie, i wyszedł. Wrócił z wysokim, nienagannie ubranym mężczyzną o europejskich rysach, który wyglądał na urzędnika wysokiego szczebla.

– Czy to doktor Luo? – zapytał urzędnik, spoglądając na niego. Zauważywszy, że Shi Qiang ma problemy z językiem angielskim, powtórzył pytanie po chińsku.

– Tak, to Luo Ji – odparł Shi Qiang, a potem przedstawił go krótko Luo. – To pan Kent. Przyszedł pana powitać.

– Jestem zaszczycony – powiedział Kent z ukłonem.

Gdy podali sobie ręce, Luo Ji wyczuł, że człowiek ten jest niewiarygodnie doświadczony. Za jego dobrymi manierami wiele się kryło, ale błysk w jego oku zdradzał obecność tajemnic. Luo zafascynowało jego spojrzenie, jednocześnie anielskie i diabelskie, jakby obok siebie znajdowały się bomba atomowa i drogi kamień identycznej wielkości… Z tego, co wyczytał w jego oczach, domyślił się jednego – że jest to niezwykle ważna chwila w życiu tego człowieka.

– Dobrze się pan spisał – zwrócił się Kent do Shi Qianga. – Pańska część zadania została wykonana najsprawniej. Pozostali mieli trochę kłopotów po drodze.

– Słuchaliśmy naszych przełożonych. Działaliśmy zgodnie z zasadą, żeby zmniejszyć do minimum liczbę etapów – rzekł Shi Qiang.

– Całkowicie słusznie. W obecnych okolicznościach zminimalizowanie liczby etapów służy maksymalizacji bezpieczeństwa. Będziemy się nadal trzymali tej zasady i pojedziemy prosto do sali zgromadzeń.

– Kiedy zaczyna się sesja?

– Za godzinę.

– Zdążymy?

– Początek sesji wyznacza przybycie ostatniego kandydata.

– To dobrze. A zatem dokonujemy przekazania?

– Nie. Jest pan nadal odpowiedzialny za bezpieczeństwo człowieka, którego powierzono pańskiej opiece. Jak powiedziałem, jest pan najlepszy.

Shi Qiang przez sekundę czy dwie patrzył w milczeniu na Luo Ji. Potem kiwnął głową.

– W ciągu kilku ostatnich dni, kiedy zaznajamiano nas z sytuacją, nasi ludzie natrafili na parę przeszkód.

– Gwarantuję, że od tej pory nic takiego już się nie zdarzy. Ma pan zapewnioną pełną współpracę miejscowej policji i wojska. No dobrze. – Kent zerknął na zegarek. – Możemy ruszać.

Gdy Luo Ji wyszedł z samolotu, zobaczył, że jest jeszcze noc. Wziąwszy pod uwagę czas odlotu, zorientował się, w której części globu się znajdują. Była gęsta mgła i latarnie rzucały przyćmiony żółty blask, a przed jego oczami wydawały się ponownie rozgrywać wydarzenia sprzed chwili startu: w powietrzu unosiły się patrolowe śmigłowce wyglądające we mgle jak cienie z jarzącymi się światłami, samolot szybko otoczyły pierścieniem wojskowe pojazdy i żołnierze zwróceni twarzami w przeciwną stronę, grupa oficerów z radiotelefonami dyskutowała o czymś i od czasu do czasu zerkała w stronę schodów samolotu. Od dobiegającego gdzieś z góry brzęczenia Luo Ji zjeżyły się włosy na głowie i nawet niewzruszony Kent zakrył uszy. Podniósłszy głowy, zobaczyli nisko przelatujące niewyraźne światło – formację eskorty, nadal krążącą nad nimi, kreślącą spalinami słabo widzialne koło, jakby olbrzymia ręka z kosmosu zaznaczała to miejsce na Ziemi kredą.

Wsiedli całą czwórką do czekającego przed schodami opancerzonego, co było widać od jednego rzutu oka, samochodu i szybko odjechali. Zasłonki w oknach były zaciągnięte, ale na podstawie przenikającego przez nie światła Luo Ji wiedział, że są pośrodku konwoju. Podczas drogi w nieznane w samochodzie panowała cisza. Chociaż jazda trwała tylko czterdzieści minut, podróż strasznie się dłużyła.

Gdy Kent oznajmił, że dotarli na miejsce, Luo Ji dostrzegł przez zasłonki sylwetkę oświetlonego z tyłu budynku. Nigdy nie pomyliłby tego charakterystycznego kształtu z innym: wyglądał jak gigantyczny rewolwer z zaciśniętym w lufie węzłem. Od razu zorientował się, gdzie jest – przed siedzibą ONZ w Nowym Jorku.

Gdy tylko wysiadł, otoczyli go ludzie, którzy wyglądali na pracowników ochrony – byli wysocy i wielu z nich nosiło mimo nocnej pory ciemne okulary. Nie widział nic wokół siebie, bo gromada ta ścisnęła go z taką siłą, że jego stopy straciły praktycznie kontakt z ziemią, i poniosła naprzód. Akurat w chwili, gdy ten dziwaczny nacisk doprowadził go niemal do kresu wytrzymałości, mężczyźni przed nim się rozstąpili. Przed jego oczami błysnęło światło, a potem reszta też się zatrzymała i poszedł dalej tylko z Shi Qiangiem i Kentem. Kroczyli przez duży hol, pusty, jeśli nie liczyć kilku ubranych na czarno strażników, którzy za każdym razem, kiedy mijali jednego z nich, mówili cicho do ręcznych radiotelefonów. Przeszli przez balkon ku witrażowi, na którym burza kolorów i gmatwanina linii przedstawiały ludzi i zwierzęta. Skręcili w lewo, do małego pokoju. Po zamknięciu drzwi Kent i Shi Qiang wymienili uśmiechy, a na ich twarzach pojawił się wyraz ulgi.

Luo Ji rozejrzał się wokół i stwierdził, że jest to szczególne pomieszczenie. Całą przeciwległą ścianę pokrywało abstrakcyjne malowidło, na którym zachodzące nawzajem na siebie żółte, białe, niebieskie i czarne figury geometryczne zdawały się zawieszone nad morzem czystego błękitu. Jednak najdziwniejszą rzeczą był duży głaz w kształcie graniastosłupa, umieszczony pośrodku pokoju i oświetlony kilkoma słabymi lampami. Po bliższym przyjrzeniu się widać było, że głaz ten jest rdzawo żyłkowany. Abstrakcyjne malowidło i ten kamień stanowiły jedyne wyposażenie pokoju.

– Doktorze Luo, nie musi się pan przebrać? – zapytał Kent po angielsku.

– Co on mówi? – zainteresował się Shi Qiang, a kiedy Luo Ji mu to przetłumaczył, stanowczo potrząsnął głową. – Nie, niech pan zostanie w tym ubraniu.

– Ale to oficjalne spotkanie – wydukał Kent po chińsku.

– Nie – powtórzył Shi Qiang, ponownie potrząsając głową.

– Sala jest otwarta tylko dla przedstawicieli poszczególnych krajów, nie dla środków masowego przekazu. Powinno tam być całkowicie bezpiecznie.

– Powiedziałem: „Nie”. Jeśli dobrze zrozumiałem, nadal odpowiadam za jego bezpieczeństwo.

– Dobrze – ustąpił Kent. – To nie jest wielka sprawa.

– Naprawdę powinien mu pan to jakoś ogólnie wyjaśnić – rzekł Shi Qiang, wskazując głową Luo Ji.

– Nie jestem upoważniony do składania jakichkolwiek wyjaśnień.

– Niech pan powie cokolwiek – powiedział Shi Qiang ze śmiechem.

Kent odwrócił się do Luo Ji z nagle napiętą twarzą i podświadomie poprawił krawat. Luo Ji spostrzegł, że unika jego wzroku. Zauważył też, że Shi Qiang wydaje się zupełnie odmieniony. Już się krzywo nie uśmiechał i patrzył na Kenta z poważną miną, stojąc w rzadkiej u niego postawie na baczność. W tym momencie Luo Ji wiedział już, że wszystko, co wcześniej mówił mu Shi Qiang, było prawdą – on rzeczywiście nie miał pojęcia, jaki jest cel tej wizyty.

– Doktorze Luo – rzekł Kent – mogę panu powiedzieć tylko tyle, że ma pan wziąć udział w ważnym zebraniu, na którym zostanie złożone ważne oświadczenie. Pan nie będzie musiał nic robić.

Potem zapadło milczenie. W pomieszczeniu panowała całkowita cisza. Luo Ji słyszał bicie swego serca. Potem zdał sobie sprawę, że jest to pokój

medytacji. Stojący pośrodku głaz był sześciotonową bryłą czystej rudy żelaza. Był to dar od Szwecji. Teraz jednak Luo daleki był od tego, by się oddać medytacji. Usilnie starał się nie myśleć o niczym, przekonany, że Shi Qiang miał absolutną rację, gdy powiedział: „Myśli trudno kontrolować”. Zaczął liczyć kształty na malowidle.

Otworzyły się drzwi i ukazała się w nich głowa, która skinęła na Kenta, a ten obrócił się do Luo Ji i Shi Qianga.

– Czas iść – oznajmił. – Nikt tutaj nie zna doktora Luo, więc nie zakłócimy posiedzenia, jeśli wejdziemy razem.

Shi Qiang kiwnął głową. Potem z uśmiechem pomachał Luo Ji ręką.

– Zaczekam na pana na zewnątrz – powiedział.

Luo zrobiło się cieplej na sercu. Shi Qiang był teraz dla niego jedyną duchową podporą. Potem opuścił z Kentem pokój medytacji i wszedł do sali posiedzeń Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Sala była pełna i panował w niej gwar rozmów. Najpierw, gdy Kent prowadził go przejściem, Luo nie zwrócił na siebie niczyjej uwagi, ale kiedy zbliżyli się do pierwszych rzędów, zaczęły się odwracać w jego stronę głowy zebranych. Posadziwszy go w piątym rzędzie na krześle przy przejściu, Kent poszedł dalej i zajął miejsce w drugim rzędzie.

Luo Ji rozejrzał się po miejscu, które oglądał niezliczoną liczbę razy w telewizji. Na podstawie tego, co widział, zupełnie nie potrafił zrozumieć, jakie znaczenie pragnęli nadać mu architekci, którzy zaprojektowali ten budynek, co chcieli wyrazić. Wysoka, żółta ściana z emblematem ONZ na wprost niego, na której tle stało podium, była nachylona pod kątem ostrym do wewnątrz jak płaszczyzna urwiska, które w każdej chwili może się zawalić. Kopuła, która miała przypominać rozgwieżdżone niebo, była strukturalnie oddzielona od żółtej ściany i w żadnej mierze nie zapewniała

jej stabilności, wprost przeciwnie – wyglądała jak wielki ciężar napierający na nią z góry i jeszcze bardziej zwiększający jej niestabilność, co sprawiało przemożne wrażenie, że to wszystko za moment runie. Jednak w obecnej sytuacji wydawało się, że jedenastu architektów, którzy stworzyli w połowie dwudziestego wieku projekt tego budynku, znakomicie przewidziało trudne położenie ludzkości w przyszłości.

Oderwawszy uwagę od odległej ściany, Luo Ji usłyszał rozmowę dwóch siedzących obok niego osób. Nie mógł się zorientować, jakiej są narodowości, ale rozmawiały po angielsku, używając idiomatycznych wyrażeń.

– Naprawdę wierzy pan w decydującą rolę jednostki w historii?

– Hmm, myślę, że tego nie da się udowodnić ani obalić, chyba że cofnęlibyśmy czas, zabili paru wielkich ludzi i zobaczyli, jak potoczyłaby się historia. Oczywiście nie można wykluczyć możliwości, że bieg dziejów został wyznaczony przez rzeki, które ci wielcy ludzie kazali ujarzmić i przegrodzić tamami.

– Ale jest też inna możliwość. Te pańskie wielkie postacie mogły być tylko pływakami w rzece historii i pozostawić swoje nazwiska dla potomnych dzięki ustanowionym przez siebie rekordom świata i zdobytej w ten sposób sławie i uznaniu, lecz nie miały żadnego wpływu na bieg rzeki… Ach, czy w obecnym stanie rzeczy rozmyślanie o tym wszystkim ma w ogóle sens?

– Problem polega na tym, że w całym procesie decyzyjnym nikt nie myśli o sprawach na tym poziomie. Wszystkie kraje uwikłane są w spory o takie kwestie jak równość kandydatów i równy dostęp do zasobów.

Sala ucichła, gdy do podium podeszła sekretarz generalna Say. Administracja tej filipińskiej polityczki lawirowała w erze przed- i pokryzysowej. Gdyby wybory odbyły się nieco później, nie wygrałaby

ich, bo wyrafinowana azjatycka dama nie reprezentowała sobą poczucia mocy, której szukał świat w obliczu kryzysu trisolariańskiego. Jej drobna postać wydawała się bezradna na tle pochyłej jak urwisko ściany. Gdy wchodziła na podium, zatrzymał ją Kent i szepnął jej coś do ucha. Spojrzała na salę, skinęła głową i poszła dalej.

Luo Ji był pewien, że popatrzyła w jego stronę.

Stanąwszy na mównicy, zlustrowała wzrokiem salę, po czym powiedziała:

– Dziewiętnaste zebranie Rady Obrony Planety doszło do ostatniego punktu planu obrad: ogłoszenia projektu Wpatrujących się w Ścianę i ujawnienia kandydatów na te stanowiska. Sądzę, że zanim przejdę do tego punktu, trzeba pokrótce przedstawić, na czym ten projekt polega. Na początku kryzysu trisolariańskiego stali członkowie byłej Rady Bezpieczeństwa przeprowadzili pilne negocjacje i stworzyli rzeczony projekt. Kraje, które uczestniczyły w tych negocjacjach, wzięły pod uwagę następujące fakty: coraz więcej dowodów świadczyło o tym, że po pojawieniu się pierwszych dwóch sofonów do Układu Słonecznego i w pobliże Ziemi ciągle przybywały nowe. Proces ten trwa nawet teraz. Wskutek tego Ziemia jest dla wroga całkowicie przejrzystym światem. Wszystko tutaj jest dla niego otwartą książką, którą może czytać, kiedy zechce. Ludzkość nie ma przed nim żadnych tajemnic. Społeczność międzynarodowa przystąpiła ostatnio do realizacji powszechnego programu obrony, ale zarówno opracowywanej w jego ramach strategii, jak i najdrobniejszych szczegółów technicznych i wojskowych nie da się ukryć przed wrogiem. Sofony mają wgląd do każdej sali zebrań, do każdej kartoteki, do dysków twardych i pamięci każdego komputera – nie ma miejsca, do którego nie mogłyby zajrzeć. Każdy plan, program, rozmieszczenie każdego oddziału wojskowego i każdej broni stają się

widoczne dla odległego o cztery lata świetlne dowództwa wroga już w chwili, kiedy nabiorą kształtu na Ziemi. Natychmiast wycieknie do niego treść komunikacji międzyludzkiej w dowolnej formie. Powinniśmy zdawać sobie sprawę z jednego: fortele strategiczne i taktyczne nie są skorelowane z postępem technicznym. Wywiad dostarczył niezbitych dowodów, że Trisolarianie komunikują się ze sobą, wymieniając bezpośrednio i otwarcie swoje myśli, wskutek czego zupełnie nie znają podstępów, kamuflowania zamiarów i oszukiwania, a to daje ludziom ogromną przewagę nad nimi. Jest to nasz jedyny atut, którego za nic nie możemy stracić. Twórcy projektu Wpatrujących się w Ścianę uważają, że równolegle z powszechnym programem obrony powinniśmy opracowywać inne plany strategiczne, które będą ukryte przed wrogiem, niedostępne dla wścibskich sofonów. Wysunięto wiele propozycji, ale ostatecznie przyjęto, że wykonalny jest tylko projekt Wpatrujących się w Ścianę. Jedna poprawka do tego, co przed chwilą powiedziałam: ludzie nadal mają sekrety w wewnętrznym świecie, każdy z nas. Sofony rozumieją ludzkie języki i mogą niezwykle szybko przeczytać każdy drukowany tekst i każdą informację zawartą we wszelkiego rodzaju pamięci komputerowej, ale nie potrafią odczytać ludzkich myśli. Dopóki nie komunikujemy się ze światem zewnętrznym, myśli każdej jednostki są dla sofonów nieprzeniknione. To podstawa projektu Wpatrujących się w Ścianę. Jego jądrem będzie wybrana grupa osób, które stworzą plany strategiczne i pokierują ich realizacją. Opracują te plany wyłącznie w swoich głowach, nie komunikując się w żaden sposób ze światem zewnętrznym. Prawdziwa strategia, kroki niezbędne dla jej przyjęcia i ostateczne cele pozostaną ukryte w ich mózgach. Nazwiemy ich Wpatrującymi się w Ścianę, ponieważ ta starożytna wschodnia nazwa osób oddających się medytacji dobrze oddaje charakter ich pracy. Podczas wcielania ich planów w życie myśli

Wpatrujących się w Ścianę ujawniane światu zewnętrznemu i ich zachowania będą całkowicie udawane, po to, by za pomocą zręcznie wymieszanych sztucznych póz, błędnych wskazówek i kłamstw stworzyć fałszywy obraz tego, co rzeczywiście zamierzają zrobić. Podmiotem tego kluczenia i wprowadzania w błąd będzie cały świat, zarówno wrogowie, jak i sojusznicy, aż w końcu zostanie stworzony ogromny, skomplikowany labirynt, by wróg stracił orientację i jak najpóźniej odkrył nasze prawdziwe strategiczne zamiary. Wpatrujący się w Ścianę będą mieli zapewnioną ogromną władzę, co umożliwi im mobilizację i wykorzystanie dużej części zasobów militarnych Ziemi. Realizując swoje plany strategiczne, nie będą musieli się przed nikim tłumaczyć ze swoich działań i rozkazów, choćby ich zachowania były zupełnie niepojęte. Monitorowaniem i kontrolowaniem ich działań zajmie się Rada Obrony Planety ONZ, jedyna instytucja, która zgodnie z odpowiednią ustawą będzie miała prawo wetowania rozkazów Wpatrujących się w Ścianę. W celu zapewnienia ciągłości projektu Wpatrujących się w Ścianę będą oni mogli skorzystać z hibernacji, by przetrwać wieki, które dzielą nas od bitwy w dniu Sądu Ostatecznego. Oni sami zdecydują, kiedy, w jakich okolicznościach i na jak długo się przebudzą. Dla zapewnienia realizacji obmyślonych przez nich planów strategicznych uchwalona przez ONZ Ustawa o Wpatrujących się w Ścianę będzie w świetle prawa międzynarodowego obowiązywać przez następnych czterysta lat na równi z Kartą ONZ i zgodnie z prawem poszczególnych krajów członkowskich. Wpatrujący się w Ścianę podejmują się najtrudniejszego zadania w dziejach ludzkości. Będą naprawdę sami, a ich umysły będą zamknięte dla świata, dla całego Wszechświata. Ich jedynymi partnerami w dyskusjach i jedynym wsparciem duchowym będą oni sami. Dźwigając na swoich barkach ogromną odpowiedzialność, będą samotnie kroczyć przez te długie lata, niech więc wolno mi będzie wyrazić im

w imieniu całej ludzkości nasz najgłębszy szacunek. A teraz przedstawię z upoważnienia ONZ czterech kandydatów wybranych ostatecznie przez Radę Obrony Planety.

Luo Ji, podobnie jak wszyscy pozostali zebrani, słuchał z uwagą przemówienia sekretarz ONZ, a przed ogłoszeniem listy nazwisk wstrzymał oddech. Chciał się dowiedzieć, jakiego rodzaju osobom zostanie powierzone to niewyobrażalne zadanie. Zupełnie zapomniał o swoim własnym losie, bo cokolwiek mogło mu się przydarzyć, było w porównaniu z tą historyczną chwilą drobiazgiem bez znaczenia.

– Pierwszym Wpatrującym się w Ścianę jest Frederick Tyler.

Gdy sekretarz generalna wymówiła jego nazwisko, Tyler podniósł się z fotela w pierwszym rzędzie i starannie odmierzonymi krokami podszedł do podium, z którego spojrzał na zgromadzenie z twarzą pozbawioną wyrazu. Nie było żadnego aplauzu – wszyscy siedzieli w milczeniu i patrzyli na niego. Jego wysoka, chuda sylwetka i okulary w prostokątnych oprawkach były znane na całym świecie. Ten świeżo emerytowany sekretarz obrony USA wywarł głęboki wpływ na strategię obronną swego kraju. Swoje poglądy ideologiczne wyłożył w książce pod tytułem *Prawda o technologii*, gdzie dowodził, że największymi beneficjentami postępu technologicznego są małe kraje i że nieustanne dążenie większych krajów do rozwoju techniki toruje w rzeczywistości mniejszym drogę do światowej dominacji, ponieważ za sprawą postępu technicznego ludność i zasoby naturalne większych krajów stają się nieważne, natomiast mniejsze państwa otrzymują narzędzia nacisku na resztę świata. Jedną z konsekwencji technologii jądrowej było to, że pozwoliła ona państwu o zaledwie kilkumilionowej ludności stworzyć poważne zagrożenie dla innego państwa, liczącego sto milionów mieszkańców, co dawniej było praktycznie niemożliwe. Jedna z jego kluczowych tez głosiła, że przewaga dużego kraju

była naprawdę istotna w epoce słabo rozwiniętej technologii i że zostanie ostatecznie zniwelowana przez jej szybki rozwój, który zwiększy strategiczne znaczenie małych państw. Pozycja niektórych może nagle wzrosnąć, jak niegdyś Hiszpanii i Portugalii. Nie ulegało wątpliwości, że przemyślenia Tylera stały się teoretyczną podstawą globalnej wojny Stanów Zjednoczonych z terroryzmem. Jednak nie był on tylko teoretykiem, ale również człowiekiem czynu i wielokrotnie zyskał powszechne uznanie za odwagę i dalekowzroczność, którymi wykazał się w obliczu wielkich zagrożeń. Dlatego też, ze względu na głębię myślenia i zdolności przywódcze, Tyler miał zadatki na dobrego Wpatrującego się w Ścianę.

– Drugim Wpatrującym się w Ścianę jest Manuel Rey Diaz.

Kiedy ten brązowoskóry, przysadzisty Latynos o upartym spojrzeniu wszedł na mównicę, Luo Ji nie posiadał się ze zdziwienia, bo człowiek ten w ogóle nader rzadko pojawiał się w siedzibie ONZ, ale po zastanowieniu doszedł do wniosku, że jest to całkowicie zrozumiałe, i dziwił się, że już wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Rey Diaz był prezydentem Wenezueli, która pod jego przywództwem dowiodła, że teoria Tylera o wzroście znaczenia małych państw jest słuszna. Kontynuował rewolucję boliwariańską wszczętą przez Hugona Cháveza. W zdominowanym przez kapitalizm i gospodarkę rynkową współczesnym świecie propagował w Wenezueli coś, co Chávez nazwał socjalizmem dwudziestego pierwszego wieku, a co zrodziło się z doświadczeń międzynarodowego ruchu socjalistycznego w poprzednim stuleciu. O dziwo, odniósł znaczący sukces, wzmacniając potęgę kraju we wszystkich dziedzinach i przekształcając na pewien czas Wenezuelę w istne miasto na wzgórzu, symbol równości, sprawiedliwości i dobrobytu. Za jej przykładem poszły inne kraje Ameryki Południowej i socjalizm zapanował na krótko na całym kontynencie. Rey Diaz przejął od Cháveza nie tylko ideologię socjalistyczną, ale także silną

postawę antyamerykańską, co przypomniało Stanom Zjednoczonym, że ich południowoamerykańskie podwórko – pozostawione samo sobie – może się stać drugim Związkiem Radzieckim. Przypadkiem doszło do nieporozumienia, co dało Stanom Zjednoczonym pretekst do najazdu na Wenezuelę, którego celem było obalenie rządu Reya Diaza w sposób przećwiczony w Iraku. Jednak ta wojna była końcem pasma zwycięstw odnoszonych po zakończeniu zimnej wojny przez zachodnie mocarstwa nad małymi krajami Trzeciego Świata. Gdy armia amerykańska wkroczyła do Wenezueli, odkryła, że nigdzie nie ma umundurowanego wojska. Cała wenezuelska armia została podzielona na małe oddziały partyzanckie ukryte wśród ludności cywilnej, których jedynym zadaniem było zabijanie żołnierzy wroga. Podejście Reya Diaza do wojny opierało się na jednym, jasnym pomyśle: współczesnej, zaawansowanej technologicznie broni można używać przeciwko celom punktowym, ale w przypadku celów rozproszonych jej skuteczność nie jest większa niż broni konwencjonalnej, a jej wysoki koszt i ograniczona ilość sprawiają, że przestaje się ona liczyć w tego rodzaju starciach. Diaz był geniuszem w dziedzinie tanich, zaawansowanych technicznie środków walki. Na przełomie wieków pewien australijski inżynier skonstruował z myślą o zwalczaniu terrorystów pocisk samosterujący, który kosztował zaledwie pięć tysięcy dolarów. Tysiące partyzanckich oddziałów Reya Diaza uzbrojonych było w dwieście tysięcy takich pocisków, produkowanych masowo w cenie zaledwie trzech tysięcy za sztukę. Chociaż robiono je z tanich i szeroko dostępnych części, były wyposażone w radarowy wysokościomierz oraz GPS i mogły z dokładnością do pięciu metrów razić cele w promieniu pięciu kilometrów. Podczas wojny celność ich trafień mogła być mniejsza niż dziesięć procent, ale wyrządziły ogromne szkody wrogowi. Tak samo dobrze spisały się inne zaawansowane technicznie gadżety, takie jak pociski snajperskie

z zapalnikami zbliżeniowymi. W krótkim czasie wojsko amerykańskie poniosło prawie takie same straty jak podczas wojny w Wietnamie i w końcu musiało się wycofać. Porażka silnego w wojnie ze słabym uczyniła z Reya Diaza bohatera dwudziestego pierwszego wieku.

– Trzecim Wpatrującym się w Ścianę jest Bill Hines.

Na podium wszedł wytworny Anglik, wzór elegancji, kontrastującej z chłodem Tylera i uporem Reya Diaza. Pozdrowił zebranych pełnym wdzięku gestem. On też był dobrze znany światu, chociaż brakowało mu aury otaczającej tamtych. Kariera Hinesa dzieliła się na dwa zupełnie odmienne okresy. Jako uczony był jedyną osobą nominowaną do Nagrody Nobla jednocześnie w dwóch dziedzinach. Podczas badań nad aktywnością mózgu prowadzonych wspólnie z neurobiolożką Keiko Yamasuki odkrył, że podczas myślenia i zapamiętywania zachodzą w nim procesy na poziomie kwantowym, a nie – jak wcześniej przypuszczano – molekularnym. Odkrycie to sprowadziło mechanizmy mózgu do mikrostanu materii, a wszystkie wcześniejsze badania okazały się w jego świetle zaledwie powierzchownymi próbami niesięgającymi istoty przedmiotu neurobiologii. Wykazało też, że zdolność zwierzęcego mózgu do przetwarzania informacji jest o kilka rzędów wielkości wyższa, niż dotychczas sądzono, co przydało wiarygodności od dawna pojawiającym się spekulacjom, iż mózg ma strukturę holograficzną. Hines został za to odkrycie nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki oraz fizjologii lub medycyny. Chociaż wyniki jego badań były zbyt zaskakujące, by przyznano mu tę nagrodę, w tym samym roku otrzymała ją w zakresie fizjologii lub medycyny Keiko Yamasuki – która tymczasem została jego żoną – za zastosowanie tej teorii w leczeniu amnezji i chorób psychicznych.

W drugim okresie życia Hines zajął się polityką i przez dwa lata był przewodniczącym Rady Europejskiej. Miał opinię rozsądnego

i doświadczonego polityka, ale w okresie sprawowania tego urzędu nie pojawiło się wiele wyzwań, które wystawiłyby na próbę jego umiejętności. Charakter działań Unii Europejskiej, które w owym czasie sprowadzały się w przeważającej mierze do koordynacji transakcji, sprawiał, że jego kwalifikacje do stawienia czoła poważnemu kryzysowi wypadały dość słabo w porównaniu z dwoma poprzednimi kandydatami. Mimo to przy wyborze Hinesa wzięto widocznie pod uwagę jego przygotowanie naukowe i polityczne, co stanowiło naprawdę rzadkie połączenie.

Siedząca w ostatnim rzędzie Keiko Yamasuki, światowy autorytet w dziedzinie neurobiologii, spoglądała z miłością na swego męża stojącego na podium.

W sali nadal panowała cisza, bo wszyscy czekali na przedstawienie ostatniego Wpatrującego się w Ścianę. Pierwszych trzech – Tyler, Rey Diaz i Hines – było świadectwem kompromisu i równowagi między politycznymi siłami Stanów Zjednoczonych, Europy i Trzeciego Świata, więc ostatnia kandydatura budziła zrozumiałe zaciekawienie. Gdy Luo Ji patrzył, jak Say wraca do kartki papieru w teczce, przychodziły mu na myśl różne sławne na całym świecie postacie. Ostatni Wpatrujący się w Ścianę będzie jedną z nich. Popatrzył ponad głowami osób siedzących w trzech rzędach przed nim na plecy ludzi, którzy zajmowali miejsca w pierwszym rzędzie. Tam siedzieli pierwsi trzej Wpatrujący się w Ścianę, zanim weszli na podium, ale z tej pozycji nie mógł się zorientować, czy znajduje się tam ktoś z tych, którzy przyszli mu do głowy. Ale czwarty Wpatrujący się w Ścianę na pewno tam był.

Say podniosła powoli prawą rękę, ale bynajmniej nie wskazywała na miejsce w pierwszym rzędzie. Wskazywała na niego.

– Czwartym Wpatrującym się w Ścianę jest Luo Ji.

– To mój Hubble! – krzyknął Albert Ringier, klaszcząc w dłonie.

We łzach wzbierających w jego oczach odbijała się odległa kula ognia, która dudniła przez kilka sekund, zanim się uniosła. Ringier i wiwatujący tłum astronomów i fizyków za nim powinni obserwować wystrzelenie rakiety ze znajdującej się bliżej miejsca startu platformy dla VIP-ów, ale ten cholerny urzędas NASA powiedział, że nie mają do tego uprawnień, bo obiekt wysyłany w niebo nie należy do nich. Potem urzędas obrócił się do grupy stojących sztywno, jakby połknęli kije, generałów i łasząc się jak pies, poprowadził ich obok posterunku wartowniczego na platformę widokową. Ringier i jego koledzy musieli zostać w tym odległym, oddzielonym jeziorem od płyty wyrzutni rakietowej miejscu, w którym w poprzednim stuleciu zbudowano zegar odliczający czas do startu. Miejsce to było dostępne dla publiczności, ale tym razem, późną nocą, nie było tam nikogo oprócz naukowców.

Z tej odległości odpalenie rakiety wyglądało jak przyspieszony wschód słońca. Nie podążały za nią reflektory, więc jej masywny kadłub był niewyraźny, dobrze widoczne były tylko płomienie buchające z silników. Świat wypadł ze swej kryjówki w ciemnościach nocy i dał wspaniały pokaz świateł, a z atramentowo czarnej powierzchni jeziora wzbiły się złote fale, jakby te płomienie podpaliły wodę. Patrzyli, jak rakieta się wznosi. Gdy przelatywała przez chmury, zabarwiła połowę nieba nad Florydą na odcień czerwieni, który można ujrzeć tylko w snach, ale wkrótce blask zniknął i krótki świt ponownie pochłonęła noc.

Kosmiczny teleskop Hubble II był urządzeniem drugiej generacji, z lustrem o średnicy 21 metrów, a więc dużo większym od średnicy lustra jego poprzednika, mierzącej 4,27 metra, co pięćdziesięciokrotnie potęgowało moc obserwacji. Do jego budowy wykorzystano technologię

soczewek składanych z elementów wyprodukowanych na Ziemi i połączonych w przestrzeni kosmicznej. Przeniesienie ich wszystkich na orbitę wymagało jedenastu lotów, z których ten był ostatni. Składanie Hubble’a II w sąsiedztwie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej zbliżało się do końca. Za dwa miesiące teleskop będzie mógł zajrzeć w głąb Wszechświata.

– Banda złodziei! Ukradliście następną piękną rzecz – powiedział Ringier do wysokiego mężczyzny obok niego, jedynego z całej grupy, na którym wystrzelenie rakiety nie robiło żadnego wrażenia. George Fitzroy widział zbyt wiele takich startów. Cały czas stał oparty o zegar i palił papierosa. Po przejęciu przez wojsko Hubble’a II został jego przedstawicielem, ale ponieważ chodził przeważnie w ubraniu cywilnym, Ringier nie znał jego stopnia i nigdy nie zwracał się do niego per „panie generale”. Nazwanie złodzieja po imieniu było w sam raz.

– Doktorze, podczas wojny wojsko ma prawo rekwirować cały sprzęt cywilny. Poza tym nie oszlifowaliście ani jednego elementu soczewki Hubble’a II, nie zaprojektowaliście ani jednej jego śrubki. Przybyliście tu po to, żeby cieszyć się sukcesem, nie żeby narzekać.

Fitzroy ziewnął, jakby spieranie się z tą bandą nieudaczników było męczącym zajęciem.

– Ale bez nas tego teleskopu w ogóle by nie było! Sprzęt cywilny? Widzi skraj Wszechświata, a wy, krótkowzroczne typy, chcecie go wykorzystać do obserwacji najbliższej gwiazdy!

– Jak już powiedziałem, mamy wojnę. Wojnę w obronie całej ludzkości. Nawet jeśli pan zapomniał, że jest Amerykaninem, to chyba pamięta pan przynajmniej, że jest człowiekiem, co?

Ringier jęknął i kiwnął głową, a potem potrząsnął nią z westchnieniem.

– Ale co chcecie zobaczyć przez Hubble’a? Musi pan mieć świadomość, że ten teleskop nie dostrzeże planety Trisolarian.

– Jest jeszcze gorzej – powiedział z westchnieniem Fitzroy. – Społeczeństwo myśli, że będzie można dostrzec przez niego flotę trisolariańską.

– Wspaniale – rzekł Ringier.

Chociaż Fitzroy w ciemnościach nie widział wyraźnie twarzy Ringiera, wyczuwał jego schadenfreude, co sprawiało, że jego towarzystwo było równie niemiłe jak ostry zapach, który dochodził z platformy startowej i wypełniał teraz powietrze.

– Doktorze, powinien pan znać konsekwencje.

– Jeśli społeczeństwo wiąże nadzieję z Hubble’em II, to prawdopodobnie nie uwierzy, że wróg naprawdę istnieje, dopóki nie zobaczy floty trisolariańskiej na własne oczy.

– I uważa pan, że jest to do przyjęcia?

– Wyjaśniliście to już ogółowi, prawda?

– Oczywiście, że wyjaśniliśmy! Zorganizowaliśmy cztery konferencje prasowe i wielokrotnie wyjaśnialiśmy, że chociaż Hubble II jest o wiele rzędów potężniejszy od największych używanych obecnie teleskopów, nie ma mowy, żeby wykrył flotę trisolariańską. Jest za mała! Odkrycie z naszego Układu Słonecznego planety w innym układzie gwiezdnym przypominałoby odkrycie z Zachodniego Wybrzeża komara siedzącego na lampie na Wschodnim Wybrzeżu, a flota trisolariańska byłaby wielkości bakterii na jednej z nóg tego komara. Czy można to przedstawić jaśniej?

– To bardzo jasne.

– Ale co jeszcze możemy zrobić? Społeczeństwo będzie wierzyć, w co zechce. Siedzę w tym interesie już ładnych parę lat, a nie pamiętam

żadnego dużego programu kosmicznego, który nie zostałby błędnie zinterpretowany.

– Już dawno temu powiedziałem, że wojsko straciło wiarygodność, jeśli chodzi o programy badania i wykorzystania przestrzeni kosmicznej.

– Ale oni chcą panu wierzyć. Czy nie nazywają pana drugim Carlem Saganem? Zbił pan majątek na tych swoich popularnonaukowych książkach o kosmologii. Niech nam pan pomoże. Tego właśnie chce wojsko, a teraz oficjalnie przekazuję panu naszą prośbę.

– Czy to prywatne negocjacje w sprawie warunków umowy?

– Nie ma żadnych warunków! To pana obowiązek jako Amerykanina. Jako obywatela Ziemi.

– Dajcie mi trochę więcej czasu na obserwacje. Nie potrzebuję go dużo. Podnieście limit do dwudziestu procent, w porządku?

– Nieźle pan sobie radzi w tych dwunastu i pół procentach, które ma pan teraz, i nikt nie wie, czy ten przydział może być zagwarantowany w przyszłości. – Fitzroy machnął ręką w stronę płyty wyrzutni rakietowej, nad którą rozwiewający się dym zostawiony przez rakietę tworzył brudną smugę na nocnym niebie. Oświetlona przez reflektory wyglądała jak plama po mleku na dżinsach. Zapach zrobił się jeszcze bardziej nieprzyjemny. W pierwszej fazie lotu rakieta była napędzana ciekłym tlenem i ciekłym wodorem, nie powinna więc wydzielać takiego zapachu, ale prawdopodobnie coś dostało się w strumień płomieni odbity od platformy startowej i spaliło. – Mówię panu, będzie jeszcze gorzej.

Luo Ji poczuł ciężar napierającej na niego pochyłej ściany urwiska i przez chwilę czuł się jak sparaliżowany. W sali panowała zupełna cisza, aż jakiś głos za nim powiedział cicho:

– Doktorze Luo, może pan pozwoli.

Wstał sztywno i jak automat podszedł do podium. Podczas tego krótkiego przejścia powróciło dziecięce poczucie bezradności. Chciał, żeby ktoś wziął go za rękę i poprowadził, ale nikt nie wyciągnął do niego dłoni. Wszedł na podwyższenie i stanął obok Hinesa, a potem obrócił się twarzą do utkwionych w niego setek par oczu, oczu przedstawicieli sześciu miliardów ludzi z ponad dwustu krajów na Ziemi.

Nie pamiętał nic z tego, co się działo przez resztę sesji, wiedział tylko, że stał tam przez chwilę, a potem odprowadzono go na miejsce w pierwszym rzędzie obok pozostałych trzech Wpatrujących się w Ścianę. W tym zamroczeniu przegapił historyczną chwilę ogłoszenia rozpoczęcia programu, w którym mieli wziąć udział.

Jakiś czas później, kiedy wydawało się, że sesja się zakończyła, i ludzie, włącznie z trzema siedzącymi obok niego Wpatrującymi się w Ścianę, zaczęli się rozchodzić, ktoś, prawdopodobnie Kent, szepnął mu przed wyjściem coś do ucha. Potem sala opustoszała i została w niej tylko sekretarz generalna Say. Nadal stała na podium, drobna postać na tle pochyłego urwiska na wprost niego.

– Doktorze Luo, wyobrażam sobie, że może pan mieć jakieś pytania. – Jej łagodny głos niósł się echem w pustej sali jak zstępujący z nieba duch.

– Czy nie popełniono jakiejś pomyłki? – rzekł Luo. Jego głos, równie nieziemski, brzmiał w jego uszach jak głos kogoś obcego.

Say obdarzyła go uśmiechem, który ewidentnie znaczył: „Sądzi pan, że to naprawdę możliwe?”.

– Ale dlaczego ja?

– Musi pan sam znaleźć odpowiedź na to pytanie.

– Jestem zwykłym człowiekiem.

– W obliczu tego kryzysu wszyscy jesteśmy zwykłymi ludźmi. Ale każdy z nas ma swoje obowiązki.

– Nikt nie pytał mnie o zdanie w tej sprawie. Nic o tym nie wiedziałem.

Znowu się roześmiała.

– Czy pana imię nie znaczy po chińsku „logika”?

– Zgadza się.

– A więc powinien pan być w stanie pojąć, że nie dałoby się zawczasu zapytać o zdanie osób podejmujących to zadanie.

– Odmawiam – rzekł stanowczo, nawet się nie zastanawiając nad tym, co przed chwilą powiedziała mu Say.

– Ma pan do tego prawo.

Ta prosta, natychmiastowa odpowiedź na jego oświadczenie, lekka jak muśnięcie wody przez ważkę, zablokowała jego zdolność myślenia i sprawiła, że poczuł całkowitą pustkę w głowie. Zdołał tylko zapytać:

– A więc mogę wyjść?

– Może pan, doktorze Luo. Może pan robić, co pan zechce.

Luo Ji odwrócił się i odszedł wzdłuż rzędów pustych foteli. Łatwość, z jaką mógł pozbyć się pozycji Wpatrującego się w Ścianę i związanych z nią obowiązków, ani trochę mu nie ulżyła. Miał absurdalne poczucie nierzeczywistości, jakby to wszystko było częścią jakiejś postmodernistycznej, pozbawionej wszelkiej logiki sztuki.

W wyjściu obejrzał się i zobaczył, że Say przygląda się mu z podium. Na tle urwiska wydawała się mała i bezbronna, ale gdy spostrzegła, że na nią patrzy, skinęła głową i uśmiechnęła się.

Poszedł dalej, minął pokazujące obroty Ziemi wahadło Foucaulta przy wejściu i wpadł na Shi Qianga, Kenta i grupę ubranych na czarno ochroniarzy, którzy spojrzeli na niego pytająco. W ich oczach zobaczył szacunek i podziw. Nawet Shi Qiang i Kent, którzy dotąd zachowywali się

wobec niego naturalnie, nie starali się ukryć wyrazu swych twarzy. Luo Ji przeszedł bez słowa przez środek grupy i skierował się do holu. Tak jak w chwili jego przybycia, nie było tam nikogo poza ochroniarzami w czerni. Jak poprzednio, każdy, którego mijał, mówił coś cicho do radiotelefonu. Gdy się zbliżył do wyjścia, zatrzymali go Shi Qiang i Kent.

– Na zewnątrz może być niebezpiecznie. Nie potrzebuje pan ochrony? – zapytał ten pierwszy.

– Nie. Zejdźcie mi z drogi – odparł Luo Ji, patrząc prosto przed siebie.

– Dobrze. Możemy robić tylko to, co pan nam każe – powiedział Shi Qiang, odsuwając się na bok.

Kent zrobił to samo i Luo wyszedł.

Zimne powietrze uderzyło go w twarz. Była jeszcze noc, ale otoczenie było jasno oświetlone przez latarnie. Delegaci na sesję specjalną już odjechali i po placu kręciło się niewiele osób, turystów albo miejscowych. Środki masowego przekazu nie poinformowały jeszcze o historycznym posiedzeniu, więc nikt go nie rozpoznał i jego obecność nie zwracała niczyjej uwagi.

Tak więc Wpatrujący się w Ścianę Luo Ji szedł jak lunatyk w absurdalnej i fantastycznej rzeczywistości. Pogrążony w transie, stracił zdolność racjonalnego myślenia i nie wiedział ani skąd przyszedł, ani dokąd idzie. Nieświadomie wszedł na trawnik i zbliżył się do stojącej tam rzeźby. Przesunął po niej wzrokiem i spostrzegł, że przedstawia mężczyznę walącego młotem w miecz. *Przekujemy miecze na lemiesze*. Był to dar byłego Związku Radzieckiego dla ONZ, ale Luo miał wrażenie, że kompozycja składająca się z młota, zwalistego mężczyzny i przekuwanego przez niego miecza jest uosobieniem przemocy.

I wtedy mężczyzna z młotem zadał mu potężny cios w pierś, który powalił go bez zmysłów na ziemię. Ale wstrząs szybko minął i wkrótce Luo

odzyskał częściowo przytomność. Czuł ból i kręciło mu się w głowie. Musiał zamknąć oczy przed oślepiającymi światłami latarek, które rozbłysnęły wokół niego. Potem krąg świateł się cofnął i Luo zobaczył jak przez mgłę pochylone nad nim twarze. Rozpoznał Shi Qianga i w tej samej chwili usłyszał jego głos:

– Potrzebuje pan ochrony? Możemy robić tylko to, co pan nam każe!

Luo Ji kiwnął słabo głową. Potem wszystko stało się w mgnieniu oka. Poczuł, że kładą go na coś, co wydało mu się noszami, a następnie dźwigają je do góry. Otoczyła go ciasno grupa ludzi i znalazł się jakby w wąskim szybie utworzonym z ich ciał. Z dna tego szybu widział tylko czarne nocne niebo i jedynie z ruchu ludzkich nóg domyślił się, że go niosą. Wylot szybu wkrótce zniknął, podobnie jak niebo nad nim, zastąpiony przez zapalone światła sufitowe ambulansu. Poczuł w ustach krew, a potem chwyciły go torsje i zwymiotował. Ktoś obok niego złapał wyćwiczoną ręką wymiociny – krew i to, co zjadł w samolocie – w plastikowy worek. Potem założono mu na twarz maskę tlenową. Gdy było mu już łatwiej oddychać, poczuł się lepiej, chociaż wciąż bolała go klatka piersiowa. Czuł, jak rozcinają mu ubranie na piersi, i w nagłym przypływie paniki wyobraził sobie, że z rany tryska świeża krew, ale chyba było to złudzenie, bo go nie zabandażowano. Przykryto go kocem. Niedługo potem karetka się zatrzymała. Wyniesiono go z niej. Przesuwały się nad nim nocne niebo i oświetlone sufity szpitalnych korytarzy, potem sufit izby przyjęć oddziału ratunkowego, a na koniec, powoli, jarzący się czerwono otwór skanera tomografu komputerowego. Od czasu do czasu w polu widzenia pojawiały się twarze lekarzy i pielęgniarek, którzy zadawali mu ból, badając jego klatkę piersiową. Wreszcie, gdy zobaczył ponownie nad głową sufit izby przyjęć, wszystko ustało.

– Jedno złamane żebro i niewielki krwotok wewnętrzny. Nic groźnego. Nie jest pan poważnie ranny, ale z powodu tego krwotoku potrzebuje pan odpoczynku – rzekł patrzący na niego z góry lekarz w okularach.

Tym razem Luo Ji nie odmówił wzięcia tabletek nasennych. Połknął je z pomocą pielęgniarki i szybko zasnął. W jego snach przewijały się na zmianę dwie sceny: wiszące nad nim podium sali posiedzeń ONZ i mężczyzna z młotem z rzeźby *Przekujemy miecze na lemiesze*. Później znalazł się na śnieżnej równinie, której obraz nosił w głębi serca, i wszedł do prostej, lecz wykwintnie urządzonej chaty. Stworzona przez niego Ewa wstała sprzed kominka z oczami pełnymi łez… Potem się obudził i poczuł łzy we własnych oczach oraz wilgotną plamę na poduszce. Przygaszono dla niego światła i ponieważ ukochana nie pojawiła się, gdy się ocknął, zapadł z powrotem w sen z nadzieją, że powróci do jej chaty. Ale tym razem nic mu się nie śniło.

Kiedy się ponownie obudził, wiedział, że spał długo. Czuł się pokrzepiony i chociaż nadal chwytał go ból w klatce piersiowej, wierzył już, że obrażenia nie były poważne. Gdy spróbował usiąść, jasnowłosa pielęgniarka nie powstrzymała go, tylko podniosła wyżej poduszkę, by mógł się na niej oprzeć. Po chwili do pokoju wszedł Shi Qiang i usiadł na jego łóżku.

– Jak się pan czuje? Postrzelono mnie trzy razy, kiedy miałem na sobie kamizelkę kuloodporną. To nie powinno być nic poważnego – powiedział.

– Da Shi, uratował mi pan życie – rzekł słabym głosem Luo Ji.

Shi Qiang machnął ręką.

– Doszło do tego, bo zawaliliśmy robotę. Nie podjęliśmy na czas działań i nie zastosowaliśmy skutecznych środków ochrony. Musimy robić, co pan każe. Ale już po wszystkim.

– A pozostali trzej?

Shi Qiang z miejsca się zorientował, o kogo Luo pyta.

– Nic im nie jest. Nie byli tak nieostrożni jak pan i nie wyszli bez ochrony.

– Chce nas zabić RZT?

– Prawdopodobnie. Zamachowiec został zatrzymany. Dobrze, że umieściliśmy za panem oko węża.

– Co?

– Precyzyjny system radarowy, który na podstawie toru pocisku określa położenie strzelca. Ustalono tożsamość zamachowca. To zawodowy partyzant z milicji RZT. Nie przypuszczaliśmy, że ośmieli się zaatakować w centrum miasta. To był praktycznie zamach samobójczy.

– Chciałbym się z nim zobaczyć.

– Z kim? Z tym zamachowcem?

Luo Ji skinął głową.

– Oczywiście. Ale to nie leży w moich kompetencjach. Ja zajmuję się tylko ochroną. Przekażę pańską prośbę.

Powiedziawszy to, Shi Qiang odwrócił się i wyszedł. Wydawał się teraz bardziej dbały i ostrożny, odmienny od wizerunku, który wcześniej tworzył. Luo nie był do tego przyzwyczajony.

Shi Qiang szybko wrócił i powiedział:

– Może pan się z nim spotkać, tutaj albo gdzie indziej. Lekarze mówią, że może pan chodzić.

Luo Ji chciał mu powiedzieć, że wolałby zmienić miejsce. Zaczął się nawet podnosić, ale wtedy przyszło mu do głowy, że słabowity wygląd lepiej posłuży jego celowi, więc z powrotem opadł na poduszkę.

– Właśnie z nim jadę, więc będzie pan musiał trochę poczekać. Może by pan coś zjadł? Od posiłku w samolocie minęła doba. Zaraz to załatwię.

Potem znowu wyszedł.

Zamachowca przyprowadzono akurat wtedy, gdy skończył jeść. Mężczyzna miał wyrazistą twarz o europejskich rysach, ale jego najbardziej rzucającą się w oczy cechą był lekki uśmieszek, który zdawał się na stałe przylepiony do ust. Nie miał na rękach kajdanków, ale po wprowadzeniu go do pokoju dwóch ludzi wyglądających na zawodowych konwojentów usiadło na krzesłach, a dwóch innych stanęło w drzwiach. Nosili odznaki, z których wynikało, że są funkcjonariuszami Rady Obrony Planety.

Luo starał się jak mógł wyglądać na bliskiego śmierci, ale zamachowiec go przejrzał.

– Doktorze, na pewno rana nie jest aż tak poważna. – Uśmiechnął się, ale był to już inny uśmiech niż ten stały. Pojawił się jak efemeryczna plama oleju na wodzie. – Bardzo mi przykro.

– Przykro panu, że próbował pan mnie zabić?

Luo podniósł głowę z poduszki, by spojrzeć na napastnika.

– Przykro mi, że pana nie zabiłem. Nie myślałem, że na takie zebranie przyjdzie pan w kamizelce kuloodpornej. Powinienem był użyć pocisków przeciwpancernych albo po prostu strzelić panu w głowę. Wtedy wykonałbym moje zadanie, a pan zostałby uwolniony od swojego, od tej nienaturalnej misji, której nie jest w stanie podołać żaden normalny człowiek.

– Już jestem od niego uwolniony. Złożyłem na ręce sekretarz generalnej odmowę objęcia stanowiska Wpatrującego się w Ścianę i wszystkich związanych z nim praw i obowiązków, a ona w imieniu ONZ przyjęła moją rezygnację. Oczywiście nie wiedział pan o tym, kiedy podjął pan próbę zabicia mnie. RZT zmarnowała zamachowca.

Uśmiech na twarzy zabójcy stał się bardziej promienny, niczym ekran monitora po zwiększeniu jasności.

– Zabawny z pana gość – powiedział.

– O co panu chodzi? Powiedziałem szczerą prawdę. Jeśli pan mi nie wierzy…

– Wierzę, ale mimo to jest pan zabawnym człowiekiem – przerwał mu zamachowiec, wciąż z promiennym uśmiechem.

Luo Ji nie zwrócił szczególnej uwagi na ten uśmiech, ale miał on niebawem odcisnąć się na jego świadomości jak piętno wypalone rozżarzonym żelazem i zostać tam do końca jego życia.

Potrząsnął głową i z westchnieniem położył się z powrotem. Nic nie powiedział.

– Nie sądzę, doktorze, żebyśmy mieli dużo czasu – rzekł zamachowiec. – Przypuszczam, że nie wezwał mnie pan tutaj tylko po to, żeby opowiedzieć mi ten dziecinny żart.

– Nadal nie rozumiem, o co panu chodzi.

– W takim razie, doktorze Luo Ji, nie jest pan dość inteligentny, by zostać Wpatrującym się w Ścianę. Nie myśli pan tak logicznie, jak wskazywałoby pana imię. Wygląda na to, że moje życie rzeczywiście zostało zmarnowane. – Zamachowiec spojrzał na stojących za nim w pogotowiu dwóch mężczyzn i powiedział: – Panowie, myślę, że możemy odejść.

Spojrzeli pytająco na Luo, który machnął z rezygnacją ręką, i wyprowadzili niedoszłego zabójcę.

Luo Ji usiadł na łóżku i rozmyślał nad słowami zamachowca. Miał dziwne wrażenie, że coś jest nie tak, ale nie wiedział co. Wstał z łóżka i zrobił kilka kroków. Nie odczuwał żadnych dolegliwości oprócz tępego bólu w klatce piersiowej. Kiedy podszedł do drzwi i wyjrzał przez nie, siedzący przy nich strażnicy z karabinami natychmiast wstali, a jeden z nich powiedział coś do radiotelefonu, który miał na ramieniu. Luo Ji zobaczył jasny i czysty korytarz, zupełnie pusty z wyjątkiem dwóch innych uzbrojonych ochroniarzy na samym końcu. Zamknął drzwi, podszedł do

okna i odciągnął zasłonę. Z tej wysokości ujrzał, że przy wejściu do szpitala stoją uzbrojeni po zęby wartownicy, a z przodu są zaparkowane dwa zielone samochody wojskowe. Poza przemykającymi szybko od czasu do czasu odzianymi w biel pracownikami szpitala nie widział nikogo innego. Kiedy przyjrzał się uważniej, dostrzegł na dachu budynku naprzeciw dwóch ludzi obserwujących przez lornetki otoczenie, a obok nich karabiny snajperskie, i był pewien, że na dachu szpitala są tacy sami strzelcy wyborowi.

Wartownicy nie byli policjantami. Wyglądali na żołnierzy. Luo wezwał Shi Qianga.

– Szpital jest silnie chroniony, prawda? – zapytał.

– Tak.

– A co by się stało, gdybym poprosił o usunięcie tej ochrony?

– Spełnilibyśmy pana prośbę. Ale radzę, żeby pan tego nie robił. W tej chwili jest to niebezpieczne.

– W jakim wydziale pan pracuje? Czym się pan zajmuje?

– Jestem w Wydziale Bezpieczeństwa Rady Obrony Planety, a zajmuję się ochroną pana.

– Ale ja nie jestem już Wpatrującym się w Ścianę. Jestem zwykłym obywatelem, więc nawet jeśli moje życie będzie zagrożone, powinna się tym zająć zwykła policja. Dlaczego miałbym nadal korzystać ze ścisłej opieki Rady Obrony Planety? I z możliwości jej odwołania albo przywrócenia, jeśli sobie tego zażyczę? Kto dał mi takie uprawnienia?

Twarz Shi Qianga pozostała bez wyrazu, jak gumowa maska.

– Takie mamy rozkazy.

– Wobec tego… gdzie jest Kent?

– Na zewnątrz.

– Niech go pan zawoła!

Kent przyszedł krótko po wyjściu Shi Qianga. Znowu zachowywał się jak uprzejmy wysoki urzędnik ONZ.

– Doktorze Luo, chciałem zaczekać ze złożeniem panu wizyty do czasu, aż pan wyzdrowieje.

– Czym pan się teraz zajmuje?

– Jestem pana łącznikiem z Radą Obrony Planety.

– Ale ja już nie jestem Wpatrującym się w Ścianę! – wrzasnął Luo Ji. Potem zapytał: – Czy media poinformowały o programie Wpatrujących się w Ścianę?

– Cały świat.

– A o mojej odmowie zostania Wpatrującym się w Ścianę?

– Oczywiście to też jest w wiadomościach.

– A konkretnie co?

– Wiadomość była bardzo krótka: „Po zakończeniu sesji specjalnej ONZ Luo Ji oznajmił o swojej rezygnacji ze stanowiska Wpatrującego się w Ścianę i zrzeczeniu się związanych z tym stanowiskiem praw i obowiązków”.

– No to co pan jeszcze tutaj robi?

– Zajmuję się pana codziennymi kontaktami.

Osłupiały Luo Ji spojrzał na niego. Kent zdawał się nosić taką samą maskę jak Shi Qiang. Jego twarz była nieprzenikniona.

– Jeśli nie ma pan do mnie więcej pytań, to już pójdę. Niech pan dobrze wypocznie. Może mnie pan wezwać w każdej chwili.

Luo Ji zatrzymał go, gdy przekraczał próg.

– Chcę się widzieć z sekretarz generalną.

– Agencją odpowiedzialną za realizację programu Wpatrujących się w Ścianę jest Rada Obrony Planety. Stanowisko szefa ROP jest rotacyjne.

Sekretarz generalny ONZ nie sprawuje bezpośredniego przywództwa nad Radą.

Luo Ji rozważył to.

– Mimo wszystko nadal chcę się zobaczyć z sekretarz generalną. Powinienem mieć takie prawo.

– Dobrze. Proszę chwilę zaczekać. – Kent wyszedł, ale wkrótce wrócił i powiedział: – Sekretarz czeka na pana w swoim gabinecie. A zatem wyjeżdżamy?

Przez całą drogę do gabinetu sekretarza generalnego na trzydziestym trzecim piętrze budynku sekretariatu Luo Ji towarzyszyła tak ścisła ochrona, że czuł się, jakby znajdował się w przenośnym sejfie. Gabinet był mniejszy, niż sobie wyobrażał, i prosto urządzony, sporo miejsca zajmowała stojąca obok biurka flaga ONZ. Say wyszła zza biurka, by go powitać.

– Doktorze Luo, chciałam wczoraj odwiedzić pana w szpitalu, ale sam pan widzi… – Wskazała stos papierów na biurku, na którym jedynym osobistym akcentem był bambusowy kubeczek na ołówki.

– Pani Say, przyszedłem potwierdzić oświadczenie, które złożyłem pani po zamknięciu posiedzenia – oznajmił.

Say kiwnęła głową, ale nic nie powiedziała.

– Chcę jechać do domu. Jeśli grozi mi niebezpieczeństwo, proszę powiadomić nowojorski wydział policji i pozostawić im troskę o moje bezpieczeństwo. Jestem tylko zwykłym obywatelem. Nie potrzebuję ochrony ROP.

Say ponownie skinęła głową.

– To się z pewnością da zrobić, ale radzę, by się pan zgodził na dotychczasową ochronę, bo jest bardziej wyspecjalizowana i pewniejsza niż policja.

– Proszę mi szczerze odpowiedzieć: nadal jestem Wpatrującym się w Ścianę?

Say wróciła za biurko. Stanąwszy obok flagi ONZ, uśmiechnęła się lekko do Luo Ji.

– A jak pan myśli?

Potem wskazała mu gestem ręki miejsce na kanapie.

Znał już ten lekki uśmiech. Widział taki sam na twarzy młodego zamachowca, a w przyszłości miał go widzieć w oczach i na twarzy każdego, kogo spotkał. Uśmiech ten miał wkrótce zostać nazwany „uśmiechem Wpatrującego się w Ścianę" i stać się równie sławny jak uśmiech Mony Lisy czy kota z Cheshire. Na widok uśmiechu Say poczuł prawdziwy spokój, po raz pierwszy od chwili, gdy stanęła na mównicy i oznajmiła światu, że jest on Wpatrującym się w Ścianę. Powoli opadł na kanapę, ale zanim się na niej dobrze usadowił, wszystko zrozumiał.

„Mój Boże!"

Uświadomienie sobie prawdziwego charakteru jego sytuacji jako Wpatrującego się w Ścianę zajęło mu tylko chwilę. Jak powiedziała Say, przed powierzeniem tego zadania nie można się było skonsultować z osobami, którym je przydzielono. A gdy zadanie to zostało już przydzielone i znana była tożsamość Wpatrujących się w Ścianę, nie mogli odmówić jego przyjęcia ani się wycofać. Ta niemożność nie wynikała ze zmuszenia któregokolwiek z nich do tego, lecz stąd, że wskutek chłodnej logiki tego programu, narzuconej przez sam jego charakter, z chwilą, gdy ktoś stał się Wpatrującym się w Ścianę, między nim a zwykłymi ludźmi natychmiast wyrastał niewidzialny, ale niemożliwy do pokonania mur, który sprawiał, że każde jego zachowanie stawało się ważne. A uśmiechy kierowane pod adresem Wpatrujących się w Ścianę znaczyły:

„Skąd mamy wiedzieć, czy nie zacząłeś już pracy?".

Teraz Luo Ji zrozumiał, że Wpatrujący się w Ścianę dostali najdziwniejsze zadanie w dziejach ludzkości, beznamiętne, pokrętne i krępujące ich jak łańcuchy Prometeusza. Była to klątwa, której nie mogli sami z siebie zdjąć. Choćby nie wiadomo, jak się wysilali, wszystko, co robili Wpatrujący się w Ścianę, przyjmowane było z tym wymownym uśmiechem i przepojone doniosłym znaczeniem programu, do którego realizacji zostali powołani.

„Skąd mamy wiedzieć, czy nie pracujesz już nad swoim zadaniem?”

W jego sercu wezbrała wściekłość, jakiej nie czuł nigdy wcześniej. Chciał histerycznie krzyczeć, powiedzieć, co sądzi o prowadzeniu się matki Say, matek wszystkich delegatów na sesję specjalną ONZ i członków ROP, o prowadzeniu się matek wszystkich ludzi i wreszcie o prowadzeniu się nieistniejących matek Trisolarian. Miał ochotę zeskoczyć z kanapy i porozbijać wszystko, co mu się nawinie pod rękę, zrzucić z biurka dokumenty, globus i bambusowy kubeczek na ołówki, a potem podrzeć na strzępy niebieską flagę, ale w końcu uświadomił sobie, gdzie jest i z kim rozmawia, opanował się i wstał, tylko po to, by z powrotem opaść ciężko na kanapę.

– Dlaczego zostałem wybrany? – jęknął i zakrył rękami twarz. – W porównaniu z pozostałymi Wpatrującymi się w Ścianę nie mam żadnych kwalifikacji. Nie mam żadnego talentu ani doświadczenia. Nigdy nie widziałem wojny, a tym bardziej nie byłem przywódcą kraju. Nie odniosłem żadnych sukcesów jako naukowiec. Jestem tylko wykładowcą uniwersytetu, który jakoś ciągnie, pisząc gówniane artykuły. Żyję z dnia na dzień. Nie chcę mieć dzieci i nie obchodzi mnie przetrwanie ludzkiej cywilizacji… Dlaczego właśnie ja?

Pod koniec tej tyrady podniósł się z kanapy.

Z twarzy Say zniknął uśmiech.

– Prawdę mówiąc, doktorze Luo, my też byliśmy zaskoczeni. I z tego powodu ma pan najmniejszy ze wszystkich Wpatrujących się w Ścianę dostęp do zasobów. Wybór pana jest najbardziej ryzykownym zagraniem w dziejach ludzkości.

– Ale przecież musi być jakiś powód tego, że zostałem wybrany!

– Tak, ale tylko pośredni. Nikt nie zna prawdziwego powodu. Jak już mówiłam, sam pan musi znaleźć odpowiedź.

– A jaki jest powód pośredni?

– Przepraszam, ale nie zostałam upoważniona, by go panu zdradzić. Jednak wierzę, że kiedy nadejdzie właściwy czas, pozna go pan.

Luo Ji wyczuł, że rozmowa dobiegła końca, więc ruszył do wyjścia i dopiero w drzwiach uświadomił sobie, że się nie pożegnał. Odwrócił się. Tak jak w sali posiedzeń, Say z uśmiechem skinęła mu głową, tyle że tym razem wiedział, co znaczy ten uśmiech.

– Miło mi było spotkać się z panem ponownie, ale w przyszłości będzie pan prowadził pracę w ramach ROP, więc proszę informować bezpośrednio przewodniczącego Rady.

– Nie wierzy pani we mnie, prawda? – zapytał Luo Ji.

– Powiedziałam, że wybór pana był bardzo ryzykowny.

– Więc ma pani rację.

– Rację, że zaryzykowałam?

– Nie. Rację, że nie ma pani wiary we mnie.

Wyszedł z gabinetu, znowu bez pożegnania. Wróciwszy do stanu ducha, w jakim się znajdował tuż po ogłoszeniu, że jest Wpatrującym się w Ścianę, ruszył przed siebie bez celu. Na końcu korytarza wsiadł do windy i zjechał nią na parter, potem wyszedł z budynku sekretariatu i raz jeszcze znalazł się na placu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Przez całą drogę otaczali go strażnicy i chociaż parę razy odepchnął ich niecierpliwie, lgnęli do niego

jak opiłki do magnesu i podążali za nim, gdziekolwiek się ruszył. Był już dzień. Shi Qiang i Kent podeszli do niego na zalanym słońcem placu i poprosili go, by albo wrócił do budynku, albo wsiadł jak najszybciej do samochodu.

– Do końca życia nie zobaczę już słońca, prawda? – zapytał Shi Qianga.

– Nie o to chodzi. Oczyścili otoczenie, więc jest tu względnie bezpiecznie, ale przybywa tu mnóstwo turystów, którzy pana rozpoznają. Nad tłumem trudno jest zapanować i pewnie nie chciałby pan tego.

Luo Ji rozejrzał się wokół. Przynajmniej na razie nikt nie zwracał uwagi na ich małą grupkę. Skierował się do budynku Zgromadzenia Ogólnego i ponownie szybko do niego wkroczył. Miał jasny cel i wiedział, gdzie musi iść. Skręcił w prawo i wszedł do pokoju medytacji, zamykając za sobą drzwi, by zostawić Shi Qianga, Kenta i ochronę na zewnątrz.

Kiedy po raz drugi zobaczył podłużną bryłę rudy, miał ochotę skoczyć na nią głową do przodu i zakończyć to wszystko. Pohamował się jednak i zamiast tego położył na gładkiej powierzchni głazu, którego chłód częściowo uśmierzył jego irytację. Czuł twardość rudy i, o dziwo, przyszło mu na myśl pytanie, które kiedyś zadał jego nauczyciel fizyki w szkole średniej. Co zrobić, by kamienne łoże było tak miękkie jak materac Simmonsa? Odpowiedź brzmiała: Wykuj w kamieniu wgłębienie o wielkości i kształcie swego ciała. Potem możesz się położyć w tym wgłębieniu, a ponieważ ciężar twojego ciała będzie równo rozłożony, będzie ono niewiarygodnie miękkie. Zamknął oczy i wyobraził sobie, że ciepło jego ciała topi głaz pod nim i tworzy takie zagłębienie… To go stopniowo uspokoiło. Po pewnym czasie otworzył oczy i spojrzał na nagi sufit.

Ów pokój został zaprojektowany przez Daga Hammarskjölda, drugiego sekretarza generalnego ONZ, który uważał, że w budynku powinno się znaleźć miejsce do medytacji, oddalone od gwaru sali Zgromadzenia Ogólnego, gdzie podejmowano historyczne decyzje. Luo Ji nie wiedział, czy jakaś głowa państwa albo ambasador jakiegoś kraju akredytowany przy ONZ rzeczywiście tam medytowali, ale Hammarskjöld przed swoją śmiercią w 1961 roku z pewnością nie wyobrażał sobie, że będzie tam śnił na jawie Wpatrujący się w Ścianę, taki jak Luo Ji.

Ponownie poczuł się schwytany w logiczną pułapkę i ponownie był przekonany, że nie może się z niej uwolnić.

W tej sytuacji zaczął się zastanawiać nad władzą, jaka znalazła się w jego rękach. Był najmniej ważny ze wszystkich Wpatrujących się w Ścianę, jak powiedziała Say, ale i tak na pewno będzie miał do dyspozycji oszałamiające zasoby. Przede wszystkim nie będzie musiał się przed nikim tłumaczyć z tego, jak je wykorzysta. Prawdę mówiąc, ważną częścią jego mandatu było działanie w taki sposób, by inni zgadywali, co robi, mało tego, powodowanie jak największej liczby nieporozumień. Coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy w dziejach ludzkości! Może dawni monarchowie mogli robić, co chcieli, ale w końcu nawet oni musieli się z tego rozliczyć.

„Skoro pozostała mi tylko ta osobliwa władza, to dlaczego miałbym z niej nie skorzystać?” – pomyślał i usiadł. Po krótkim zastanowieniu zdecydował, jakie będzie jego następne posunięcie.

Wstał z twardego kamiennego łoża, otworzył drzwi i poprosił o spotkanie z przewodniczącym Rady Obrony Planety.

Piastujący obecnie ten urząd Rosjanin nazwiskiem Garanin był krzepkim starszym mężczyzną z siwą brodą. Jego gabinet znajdował się piętro niżej niż gabinet sekretarza generalnego. Kiedy wszedł tam Luo Ji, właśnie odprawiał kilku gości, z których połowa była w mundurach.

– A, doktor Luo. Słyszałem, że miał pan jakieś drobne kłopoty, więc nie spieszyłem się, by się z panem skontaktować.

– Co robią pozostali trzej Wpatrujący się w Ścianę?

– Są zajęci tworzeniem swoich sztabów generalnych. Radzę, żeby pan też natychmiast się do tego zabrał. Przyślę kilku doradców, by pomogli panu w fazie początkowej.

– Nie potrzebuję sztabu generalnego.

– Ach, tak? Jeśli pan uważa, że tak będzie lepiej… Ale jeśli dojdzie pan do wniosku, że jest potrzebny, będzie można go utworzyć w każdej chwili.

– Mogę dostać papier i pióro?

– Oczywiście.

Patrząc na papier, Luo Ji zapytał:

– Panie przewodniczący, miał pan kiedyś jakieś marzenie?

– Jakiego rodzaju?

– Na przykład żeby mieszkać w jakimś idealnym miejscu?

Garanin potrząsnął głową z cierpkim uśmiechem.

– Dopiero wczoraj przyleciałem z Londynu. Przez całą drogę pracowałem, a po lądowaniu spałem niecałe dwie godziny, bo zaraz musiałem spieszyć do pracy. Po dzisiejszym regularnie zwoływanym zebraniu ROP muszę w nocy lecieć do Tokio… Całe moje życie upływa w stałym pośpiechu, w domu spędzam najwyżej trzy miesiące rocznie. Jaki sens miałoby dla mnie takie marzenie?

– Ja mam w marzeniach wiele takich miejsc. Wybrałem najpiękniejsze. – Luo Ji wziął ołówek i zaczął rysować coś na papierze. – Rysunek nie jest kolorowy, więc musi pan to sobie wyobrazić. Widzi pan te pokryte śniegiem szczyty? Są strome i ostre jak miecze bogów albo jak kły ziemi i na tle błękitnego nieba błyszczą jak srebro. Olśniewające…

– Ach – powiedział Garanin, przyglądając się z uwagą – musi tam być bardzo zimno.

– Skądże! Ziemia poniżej tych lodowych czap wcale nie musi być zamarznięta. Panuje tam klimat podzwrotnikowy. To ważne! Przed górami rozciąga się szerokie jezioro, a woda w nim jest bardziej błękitna niż niebo, niebieska jak oczy pańskiej żony…

– Moja żona ma czarne oczy.

– Ale woda w jeziorze jest tak ciemnoniebieska, że wydaje się czarna. To nawet lepsze. Jezioro otaczają lasy i łąki, ale proszę pamiętać, że muszą być i jedne, i drugie, a nie tylko lasy lub łąki. Oto to miejsce: ośnieżone szczyty górskie, jezioro, lasy i łąki. A wszystko to nietknięte ręką człowieka, dziewicze. Gdy zobaczy pan to miejsce, będzie pan mógł sobie wyobrazić, że człowiek nigdy nie postawił stopy na Ziemi. Tutaj, na tej łące nad jeziorem, postawcie dom. Nie musi być duży, ale powinien być w pełni wyposażony w udogodnienia zapewniające nowoczesny standard życia. Nie może być zbudowany w stylu klasycznym ani nowoczesnym, lecz powinien się wtapiać w otoczenie. No i trzeba dodać niezbędne urządzenia – fontanny, basen – żeby pan domu mógł prowadzić wygodne życie arystokraty.

– A kto będzie tym panem domu?

– Ja.

– I co pan zamierza tam robić?

– Doczekać w spokoju końca moich dni.

Luo Ji czekał, aż Garanin wypowie jakieś nieprzyzwoite słowo, ale przewodniczący kiwnął poważnie głową i rzekł:

– Po przeprowadzeniu przez komisję kontroli natychmiast się do tego zabierzemy.

– Pan i ta pańska komisja nie będziecie mieli żadnych pytań co do moich motywów ani żadnych zastrzeżeń?

Garanin wzruszył ramionami.

– Komisja może kwestionować żądania Wpatrujących się w Ścianę w dwóch przypadkach: wykorzystania zasobów wykraczającego poza ustalony zakres i zagrożenia dla życia ludzi. Wszystkie inne pytania są pogwałceniem ducha programu Wpatrujących się w Ścianę. I prawdę mówiąc, Tyler, Rey Diaz i Hines mnie rozczarowali. Po ich działaniach w ciągu minionych dwóch dni można od razu się zorientować, jakie będą ich wielkie plany strategiczne. Pan jest inny. Pana zachowanie jest zaskakujące. Taki właśnie powinien być Wpatrujący się w Ścianę.

– Uważa pan, że takie miejsce, jak opisałem, naprawdę istnieje?

Garanin uśmiechnął się, puścił do niego oko i zrobił palcami znak „w porządku”.

– Świat jest tak duży, że na pewno jest gdzieś takie miejsce. Poza tym, prawdę mówiąc, sam już takie widziałem.

– Wspaniale. I niech pan dołoży starań, żebym prowadził wygodne życie arystokraty. To część programu Wpatrujących się w Ścianę.

Garanin skinął poważnie głową.

– Aha, jeszcze jedno. Kiedy już znajdziecie odpowiednie miejsce, nie mówcie mi, gdzie ono jest – dodał Luo i pomyślał: „Nie możecie mi tego powiedzieć! Kiedy się dowiem, gdzie to jest, świat skurczy się do rozmiarów mapy. Jeśli nie będę wiedział, świat będzie mi się wydawał nieskończony”.

Garanin znowu kiwnął głową, tym razem wyraźnie zadowolony.

– Doktorze Luo, ma pan jeszcze jedną cechę, która pasuje do mojego wyobrażenia o Wpatrującym się w Ścianę – pana projekt, przynajmniej na razie, wymaga najmniejszych inwestycji z tych czterech.

– Jeśli tak, to nigdy nie będę potrzebował największego nakładu środków.

– W takim razie będzie pan błogosławieństwem dla wszystkich moich następców. Pieniądze to prawdziwe utrapienie… Poszczególne wydziały, które zajmą się realizacją pańskiego życzenia, mogą się z panem konsultować w sprawie szczegółów. Myślę, że zwłaszcza w sprawie tego domu.

– A, ten dom – rzekł Luo Ji. – Zapomniałem o jednym bardzo ważnym szczególe.

– Proszę mówić.

– Musi tam być kominek – powiedział Luo Ji, naśladując uśmiech i mrugnięcie okiem Garanina.

Po pogrzebie ojca Zhang Beihai raz jeszcze poszedł z Wu Yue do suchego doku, gdzie stał lotniskowiec. Prace nad budową *Tanga* zupełnie ustały. Z kadłuba zniknęły iskry spawarek i na ogromnym okręcie stojącym w blasku południowego słońca nie było ani śladu życia. Patrząc na niego, obaj czuli upływ czasu.

– Jest martwy – rzekł Zhang Beihai.

– Twój ojciec był jednym z najmądrzejszych generałów w marynarce – powiedział Wu Yue. – Gdyby nadal był z nami, być może nie poddałbym się tak bez reszty.

– Twój defetyzm ma racjonalne podstawy, a przynajmniej ty tak uważasz, więc nie sądzę, że ktokolwiek mógłby ci naprawdę dodać otuchy. Nie przyszedłem tutaj po to, żeby cię przeprosić, Wu Yue. Wiem, że nie żywisz do mnie nienawiści z tego powodu.

– Chciałbym ci podziękować, Beihai. Wyciągnąłeś mnie z tego.

– Możesz wrócić do marynarki. Służba w niej powinna ci odpowiadać.

Wu Yue potrząsnął wolno głową.

– Złożyłem podanie o zwolnienie. Co miałbym robić, gdybym wrócił? Wstrzymano budowę nowych niszczycieli i fregat, a we flocie nie ma już dla mnie miejsca. Miałbym siedzieć w biurze dowództwa? Daj spokój. Poza tym w ogóle nie jestem dobrym żołnierzem. Co to za żołnierz, który chce brać udział tylko w wojnie możliwej do wygrania?

– My nie zobaczymy ani zwycięstwa, ani klęski.

– Ale ty wierzysz w zwycięstwo, Beihai. Naprawdę ci zazdroszczę. W dzisiejszych czasach taka wiara jak twoja jest dla żołnierza szczytem szczęścia. Jesteś nieodrodnym synem swego ojca.

– A więc masz jakieś plany?

– Nie. Czuję się tak, jakby moje życie się skończyło. – Wu Yue wskazał *Tanga* w oddali. – Tak jak tego okrętu. Jest wrakiem, zanim został zwodowany.

Od strony stoczni dobiegło ciche dudnienie i *Tang* zaczął się powoli poruszać. By zwolnić miejsce, musiał znaleźć się w wodzie przed terminem i zostać odholowany do innego doku do rozbiórki. Gdy ostry dziób *Tanga* rozpruł wodę, Zhang Beihai i Wu Yue wyczuli w potężnym kadłubie złość. Znalazł się szybko na morzu, tworząc ogromne fale, pod których wpływem inne łodzie w porcie zaczęły się kołysać, jakby składały mu hołd. *Tang* sunął powoli, rozkoszując się cicho objęciami morza. W swej krótkiej, przerwanej nagle karierze ten gigantyczny okręt przynajmniej raz spotkał się z oceanem.

W wirtualnym świecie *Trzech ciał* był teraz środek nocy. Poza lśniącymi gwiazdami wszystko spowijała atramentowa czerń, tak że nawet horyzont

był niewidoczny, a w ciemności pusta ziemia stapiała się z niebem.

– Administratorze, rozpocznij erę stabilności. Nie widzisz, że mamy zebranie? – krzyknął ktoś.

– Nie mogę tego zrobić. – Głos administratora zdawał się dochodzić z nieba. – Ta era jest odgrywana na chybił trafił przez model rdzeniowy i nie można jej wyznaczyć z zewnątrz.

– No to zwiększ prędkość i znajdź trochę stabilnego światła dziennego – odezwał się inny głos w ciemnościach. – To nie zajmie zbyt dużo czasu.

Świat błysnął. Po niebie przelatywały słońca, ale wkrótce czas wrócił do normalnego biegu.

– W porządku. Nie wiem, jak długo to potrwa – powiedział administrator.

Słońce oświetlało rozproszoną grupę ludzi na pustkowiu. Widać było wśród nich znajome twarze: króla Wen z dynastii Zhou, Newtona, von Neumanna, Arystotelesa, Mo Zi, Konfucjusza i Einsteina. Byli zwróceni przodem do Qin Shihuanga, który stał na skale z mieczem na ramieniu.

– Nie jestem sam – rzekł. – Mówię w imieniu nowej grupy przywódczej siedmiu.

– Nie powinieneś mówić o nowym przywództwie, dopóki nie zostanie to ustalone – powiedział ktoś i wśród reszty podniosła się wrzawa.

– Dość tego – uciszył ich Qin Shihuang, mocując się z mieczem. – Odłóżmy na razie kwestię przywództwa na bok i zajmijmy się pilniejszymi sprawami. Wszyscy wiemy o rozpoczęciu programu Wpatrujących się w Ścianę, podjętej przez ludzkość próbie wykorzystania skrytego myślenia strategicznego w celu uniknięcia prowadzonej przez sofony inwigilacji. Przejrzysty umysł Pana nie jest w stanie przeniknąć do tego labiryntu, więc dzięki temu programowi ludzie odzyskali przewagę, a czterej Wpatrujący się w Ścianę stanowią dla niego zagrożenie. Zgodnie z rezolucją

z poprzedniego zebrania zorganizowanego poza internetem musimy natychmiast przystąpić do realizacji programu Burzycieli Ścian.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

Potem Qin Shihuang powiedział:

– Każdemu Wpatrującemu się w Ścianę przeciwstawimy Burzyciela Ściany. Podobnie jak Wpatrujący się w Ścianę, Burzyciele Ścian będą mogli korzystać ze wszystkich zasobów organizacji, ale ich największym atutem będą sofony, które całkowicie obnażą wszystkie działania Wpatrujących się w Ścianę. Tylko ich myśli pozostaną przed nami ukryte. A zatem zadaniem Burzycieli Ścian będzie analizowanie z pomocą sofonów jawnych i potajemnych działań Wpatrujących się w Ścianę i jak najwcześniejsze rozszyfrowanie prawdziwego charakteru ich strategicznych celów. Przywództwo mianuje teraz Burzycieli Ścian.

Qin Shihuang wyciągnął miecz i dotknął nim ramienia von Neumanna, jakby pasował go na rycerza.

– Jesteś Pierwszym Burzycielem Ścian – powiedział. – Burzycielem Ściany Fredericka Tylera.

Von Neumann ukląkł i położył lewą dłoń na prawym ramieniu.

– Podejmuję się tego zadania.

Następnie Qin Shihuang dotknął mieczem ramienia Mo Zi.

– Jesteś Drugim Burzycielem Ścian. Burzycielem Ściany Manuela Reya Diaza.

Mo Zi nie przyklęknął. Sztywno wyprostowany, skinął wyniośle głową.

– Ja pierwszy zburzę ścianę.

Miecz dotknął ramienia Arystotelesa.

– Ty jesteś Trzecim Burzycielem Ścian. Burzycielem Ściany Billa Hinesa.

Ten też nie przyklęknął, lecz potrząsnął szatą i rzekł w zamyśleniu:

– Tak, jestem jedynym, który może zburzyć jego ścianę.

Qin Shihuang położył ponownie miecz na swoim ramieniu i przesunął wzrokiem po zebranych.

– Dobrze. Teraz mamy Burzycieli Ścian. Podobnie jak Wpatrujący się w Ściany jesteście elitą elit. Pan z wami! Dzięki hibernacji zaczniecie razem z Wpatrującymi się w Ścianę długą podróż do końca dni.

– Nie sądzę, żeby hibernacja była konieczna – rzekł Arystoteles. – Zdążę wykonać moje zadanie, zanim skończy się normalny czas trwania naszego życia.

Mo Zi kiwnął głową na znak zgody.

– Kiedy zburzę tę ścianę, stanę twarzą w twarz z moim Wpatrującym się w Ścianę i będę się rozkoszował widokiem jego załamania, przygnębienia i cierpienia. Warto poświęcić resztę życia, żeby zobaczyć, jak podupada na duchu.

Również ostatni Burzyciel Ścian, von Neumann, oświadczył, że ma zamiar osobiście złamać swego przeciwnika.

– Odkryjemy do końca wszystko – stwierdził – co ludzkość trzyma w tajemnicy przed sofonami. To ostatnia rzecz, jaką możemy zrobić dla Pana, bo potem nie będziemy już mieli po co żyć.

– A co z Burzycielem Ściany Luo Ji? – zapytał ktoś.

Wydawało się, że pytanie to poruszyło jakąś strunę w sercu Qin Shihuanga. Wbił miecz w ziemię i zatopił się w myślach. Słońce nagle przyspieszyło zniżanie się ku Ziemi i ich cienie zaczęły się wydłużać, aż sięgnęły po horyzont. Kiedy już do połowy zaszło, równie nagle zmieniło kierunek, kilkakrotnie wynurzyło się zza horyzontu i opadło jak lśniący grzbiet wieloryba z czarnego oceanu, na przemian zalewając światłem i pogrążając w ciemnościach małą grupkę ludzi, którzy stworzyli ten surowy świat.

– On sam jest burzycielem swojej ściany – powiedział Qin Shihuang. – Musi się dowiedzieć, jakie stanowi zagrożenie dla Pana.

– Wiemy, czy jest czy nie jest zagrożeniem? – spytał jakiś głos.

– Ja tego nie wiem, ale wie to Pan i wiedział Evans. Evans powiedział Panu, jak zachować to w sekrecie, ale on nie żyje. Nie możemy się dowiedzieć.

– A więc spośród wszystkich Wpatrujących się w Ścianę największym zagrożeniem jest Luo Ji? – zapytał ktoś niepewnie.

– Tego też nie wiemy. Tylko jedno jest jasne – odparł Qin Shihuang, spoglądając na sklepienie, które zmieniało kolor z niebieskiego na czarny. – Jest jedynym z czterech Wpatrujących się w Ścianę, który prowadzi bezpośrednią walkę z Panem.

Narada robocza Wydziału Politycznego Sił Kosmicznych

Po otworzeniu zebrania Chang Weisi długo milczał, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzało. Przesunął wzrokiem po dwóch rzędach oficerów politycznych siedzących przy stole konferencyjnym, stukając lekko końcem ołówka w blat. To stukanie zdawało się wyznaczać czas jego zamyślenia. W końcu ocknął się z zadumy.

– Towarzysze, rozkazem ogłoszonym wczoraj przez Centralną Komisję Wojskową zostałem powołany na dowódcę Wydziału Politycznego Sił Zbrojnych. Przyjąłem to stanowisko już tydzień temu, ale dopiero teraz, na naszym spotkaniu, znalazłem się w rozterce. Uświadomiłem sobie nagle, że siedzi przede mną przeżywająca największe kłopoty grupa oficerów sił kosmicznych, a ja jestem jednym z was. Wcześniej nie zdawałem sobie

z tego sprawy, za co was przepraszam. – Otworzył leżący przed nim dokument. – Ta część zebrania odbędzie się poza protokołem. Towarzysze, wymieńmy szczerze poglądy. Postarajmy się ten jeden raz być tacy jak Trisolarianie i otwórzmy przed innymi nasze umysły. Ma to kluczowe znaczenie dla naszej przyszłej pracy.

Wzrok Chang Weisiego zatrzymał się na sekundę lub dwie na twarzy każdego oficera, ale ci milczeli. Potem wstał i zaczął się przechadzać tam i z powrotem za ich plecami.

– Naszym zadaniem jest natchnienie podległych nam sił wiarą, że odniesiemy zwycięstwo w czekającej nas w dość odległej przyszłości wojnie. Ale czy sami mamy tę wiarę? Jeśli tak, podnieście ręce. Pamiętajcie, że mówimy, co naprawdę myślimy.

Nikt nie podniósł ręki. Prawie wszyscy siedzieli ze wzrokiem wbitym w stół. Ale Chang zauważył, że jeden oficer patrzy prosto przed siebie. Był to Zhang Beihai.

– Wierzycie, że zwycięstwo jest możliwe? – ciągnął. – Przez możliwe rozumiem nie przypadkowe kilka dziesiątych procent, lecz rzeczywistą, istotną możliwość.

Zhang Beihai podniósł rękę. Był jedynym, który to zrobił.

– Pozwólcie, że najpierw podziękuję wam wszystkim za szczerość – rzekł Chang Weisi, a potem zwrócił się do Zhanga: – Znakomicie, towarzyszu. Powiedzcie nam, na czym opieracie tę wiarę.

Zhang Beihai wstał, ale generał nakazał mu gestem ręki usiąść z powrotem.

– To nie jest oficjalne zebranie – powiedział. – To szczera rozmowa poza protokołem.

Nadal stojąc na baczność, Zhang Beihai powiedział:

– Towarzyszu dowódco, nie potrafię w kilku słowach udzielić zadowalającej odpowiedzi na to pytanie, bo budowanie wiary to proces długi i skomplikowany. Przede wszystkim chciałbym zwrócić uwagę na błędne myślenie, jakie szerzy się w obecnych czasach w naszych szeregach. Wszyscy wiemy, że przed kryzysem trisolariańskim opowiadaliśmy się za badaniem charakteru przyszłych wojen z naukowego, racjonalnego punktu widzenia i siłą inercji to myślenie przetrwało do dnia dzisiejszego. Dotyczy to zwłaszcza sił kosmicznych, gdzie nasiliło się ono wskutek napływu naukowców. Jeśli z takim nastawieniem zaczniemy się zastanawiać nad czekającą nas za cztery stulecia wojną międzygwiezdną, to nigdy nie uda się nam zasiać wiary w zwycięstwo.

– Towarzysz Zhang Beihai przedstawia tutaj osobliwy pogląd – odezwał się jeden z pułkowników. – Czy niezłomna wiara nie opiera się na nauce i rozsądku? Wiara, która nie jest zbudowana na obiektywnych faktach, nie jest trwała.

– Wobec tego przyjrzyjmy się jeszcze raz nauce i rozsądkowi. Pamiętajcie – naszej nauce i naszemu rozsądkowi. Postęp, jakiego dokonali Trisolarianie, uzmysławia nam, że nasza nauka jest jak dziecko zbierające muszelki na plaży, dziecko, które nawet nie widziało oceanu prawdy. Fakty, które poznajemy, idąc za wskazaniami naszej nauki i rozsądku, wcale nie muszą być prawdziwymi, obiektywnymi faktami. A skoro tak, to musimy się nauczyć selektywnie je ignorować. Powinniśmy widzieć, jak zmienia się to, co się rozwija, i nie powinniśmy pod wpływem technologicznego determinizmu i mechanicznego materializmu spisywać naszej przyszłości na straty.

– Świetnie – powiedział Chang Weisi i kiwnął do niego głową, by kontynuował.

– Musimy przywrócić wiarę w zwycięstwo, wiarę, która jest podstawą żołnierskiego poczucia obowiązku i godności! Gdy armia chińska stanęła kiedyś w skrajnie niesprzyjających warunkach naprzeciw potężnego wroga, była natchniona niezłomną wiarą w zwycięstwo, bo miała poczucie obowiązku wobec narodu i ojczyzny. Wierzę, że dzisiaj taką samą wiarę może wzbudzić poczucie obowiązku wobec rodzaju ludzkiego i Ziemi.

– Ale jak mamy prowadzić pracę ideologiczną? – zapytał jeden z oficerów. – Siły kosmiczne to skomplikowana struktura, a to znaczy, że ich ideologia też jest skomplikowana.

– Uważam, że powinniśmy zacząć od kondycji psychicznej żołnierzy – odparł Zhang Beihai. – Obraz ogólny: w ubiegłym tygodniu wizytowałem oddziały, które zostały do nas przydzielone z lotnictwa i marynarki, i odkryłem, że codzienne szkolenie jest fatalne. To niewiarygodne, jaki panuje tam tumiwisizm. Obraz szczegółowy: coraz częściej pojawiają się kłopoty z dyscypliną. Wojsko miało zmienić mundury na letnie, ale wielu ludzi w dowództwie nadal chodzi w zimowych. Trzeba jak najszybciej odmienić ten stan umysłu. Siły kosmiczne zaczynają się powoli przekształcać w akademię nauk. Oczywiście nie da się zaprzeczyć, że ich obecne zadanie to zadanie dla akademii wojskowej, ale powinniśmy mieć świadomość, że jesteśmy jednak wojskiem, i to wojskiem podczas wojny!

Rozmowa toczyła się jeszcze przez chwilę, a potem Chang Weisi wrócił na swoje miejsce.

– Dziękuję – powiedział. – Mam nadzieję, że będziemy mogli kontynuować tę szczerą wymianę poglądów. A teraz rozpoczniemy oficjalne zebranie.

Podniósł głowę i ponownie napotkał szczere spojrzenie Zhang Beihaia, które świadczyło o jego zdecydowaniu. Na ten widok zrobiło mu się trochę cieplej na sercu.

„Zhang Beihai, wiem, że masz wiarę – pomyślał. – Nie może być inaczej, skoro miałeś takiego ojca. Ale sprawy nie przedstawiają się tak prosto, jak mówisz. Nie wiem, na czym opierasz swoją wiarę, nie wiem nawet, co ona obejmuje. Jesteś taki sam jak twój ojciec. Podziwiałem go, ale muszę przyznać, że nigdy nie udało mi się go rozgryźć”.

Chang Weisi otworzył leżącą przed nim teczkę.

– Prace nad teorią wojny kosmicznej idą pełną parą, ale już pojawił się problem. Badania takie muszą się opierać na pewnym założeniu o poziomie postępu technicznego. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ale badania w naukach podstawowych dopiero się rozpoczęły, a przełomu technologicznego możemy się spodziewać w przyszłości. Oznacza to, że nie mamy żadnego wsparcia w nauce. Dowództwo naczelne przeanalizowało w świetle obecnych okoliczności plan badań nad teorią wojen w przestrzeni kosmicznej i podzieliło go na trzy części, by dostosować te badania do poziomu postępu technologicznego, jaki ludzkość może osiągnąć w przyszłości, a mianowicie: na strategie oparte na technologii nisko rozwiniętej, średnio rozwiniętej i wysoko rozwiniętej. Postępują prace nad opisaniem tych trzech poziomów oraz zdefiniowaniem dużej liczby parametrów katalogowych w każdej z głównych dziedzin nauki, ale najważniejszym z tych parametrów będzie prędkość i zasięg statku kosmicznego o wadze dziesięciu kiloton. Technologia nisko rozwinięta: statek osiąga prędkość pięćdziesiąt razy większą od trzeciej prędkości kosmicznej[9], czyli mniej więcej osiemset kilometrów na sekundę. Nie ma na nim systemów podtrzymania życia. Promień skutecznych działań bojowych takiego statku będzie ograniczony do Układu Słonecznego, to znaczy jego zasięg nie będzie przekraczał orbity Neptuna, czyli trzydziestu jednostek astronomicznych od Słońca. Technologia średnio rozwinięta: statek osiąga prędkość trzysta razy większą od trzeciej prędkości

kosmicznej, czyli cztery tysiące osiemset kilometrów na sekundę. Jest wyposażony w system częściowego podtrzymania życia. Promień skutecznego działania takiego statku sięga poza Pas Kuipera i obejmuje całą przestrzeń w granicach tysiąca jednostek astronomicznych. Technologia wysoko rozwinięta: statek osiąga prędkość tysiąc razy większą od trzeciej prędkości kosmicznej, czyli szesnaście tysięcy kilometrów na sekundę, pięć procent prędkości światła. Jest w pełni wyposażony w systemy podtrzymania życia. Promień działań bojowych takiego statku, z urządzeniami umożliwiającymi nawigację międzygwiezdną, sięga Obłoku Oorta[10]. Największym zagrożeniem dla sił zbrojnych w przestrzeni kosmicznej jest defetyzm, a więc na oficerach prowadzących pracę polityczno-ideologiczną spoczywa ogromna odpowiedzialność. Polityczne wydziały wojska będą w pełni uczestniczyć w opracowywaniu teorii wojny kosmicznej, by usunąć plamę defetyzmu i zapewnić właściwy kierunek tych prac. Wy, obecni tutaj, zostaniecie członkami oddziału specjalnego do spraw przyszłej wojny gwiezdnej. Chociaż zadania członków tych trzech grup będą czasami na siebie zachodzić, instytucje badawcze będą od siebie niezależne. Ich robocze nazwy to: Instytut Technologii Nisko Rozwiniętej, Instytut Technologii Średnio Rozwiniętej i Instytut Technologii Wysoko Rozwiniętej. Na dzisiejszym zebraniu chciałbym usłyszeć od każdego z was, który instytut wybiera, bo od tego będzie zależał przydział zadań.

Z trzydziestu dwóch obecnych na zebraniu oficerów politycznych dwudziestu czterech wybrało Instytut Technologii Nisko Rozwiniętej, a siedmiu Instytut Technologii Średnio Rozwiniętej. Instytut Technologii Wysoko Rozwiniętej wybrał tylko jeden – Zhang Beihai.

– Wygląda na to, że towarzysz Beihai chce się zająć fantastyką naukową – skomentował to ktoś i kilku oficerów się roześmiało.

– Mój wybór jest jedyną nadzieją na zwycięstwo. To jedyny poziom postępu technologicznego, który daje ludzkości szansę zbudowania skutecznego systemu obrony Ziemi i Układu Słonecznego – odparł Zhang.

– Nie opanowaliśmy nawet kontrolowanej fuzji jądrowej. Rozpędzić statek do pięciu procent prędkości światła? Dziesięć tysięcy razy większej od tej, jaką mają nasze obecne statki kosmiczne wielkości ciężarówki? To już nawet nie fantastyka naukowa. To czysta fantazja!

– Ale czy nie mamy jeszcze czterystu lat? Musimy pamiętać o potencjalnym postępie.

– Ale postęp w badaniach podstawowych jest niemożliwy.

– Nie wykorzystaliśmy jeszcze dla praktycznych zastosowań nawet jednego procenta istniejących już teorii – powiedział Zhang Beihai. – Moim zdaniem największym problemem jest obecnie podejście sektora technologicznego do badań. Tracą zbyt wiele czasu i pieniędzy na technologie z niskiej półki. Na przykład nie ma absolutnie żadnego powodu, by w zakresie źródeł napędu pracować nad napędem uzyskiwanym z rozszczepienia jąder atomu, a tymczasem nie tylko przeznacza się na to ogromne środki, ale nawet wkłada się tyle samo wysiłku w badanie napędu chemicznego następnej generacji! Powinniśmy skoncentrować się na badaniu silników wykorzystujących fuzję termojądrową i od razu przejść do silników działających bez środków pośrednich, przeskakując etap silników wykorzystujących te środki. Ten sam problem mamy w innych dziedzinach badań. Na przykład tworzenie zamkniętych ekosystemów to technologia niezbędna dla podróży międzygwiezdnych, która nie jest szczególnie zależna od badań podstawowych, a mimo to prace nad nią prowadzone są w bardzo ograniczonym zakresie.

– Towarzysz Zhang Beihai poruszył co najmniej jedną kwestię godną uwagi: społeczność wojskowa i społeczność naukowa dokładają wszelkich starań, by rozpocząć pracę, ale komunikacja między nimi jest niezadowalająca. Na szczęście obie strony zdają sobie sprawę z powagi sytuacji i organizują wspólną konferencję. Poza tym zarówno wojsko, jak i naukowcy utworzyli specjalne agencje w celu usprawnienia komunikacji między nimi i wzajemnej pełnej wymiany informacji między jednostkami opracowującymi strategię kosmiczną i prowadzącymi badania. Następnym krokiem będzie przydzielenie przedstawicieli wojska do różnych zespołów badawczych i włączenie dużej grupy naukowców do opracowania teorii wojny kosmicznej. Nie możemy siedzieć z założonymi rękami i czekać na jakiś wielki przełom technologiczny. Powinniśmy jak najszybciej stworzyć naszą strategię ideologiczną i zacząć ją rozpowszechniać we wszystkich dziedzinach. Poza tym chciałbym omówić innego rodzaju związek – między siłami kosmicznymi i Wpatrującymi się w Ścianę.

– Wpatrującymi się w Ścianę? – zapytał ktoś. – Czy oni będą ingerowali w działania sił kosmicznych?

– W chwili obecnej nic na to nie wskazuje, chociaż Tyler wyszedł z propozycją dokonania inspekcji wojska. Powinniśmy jednak mieć świadomość, że mają prawo to robić i że każde ich wtrącenie się w sprawy wojska może mieć nieprzewidziane konsekwencje. Powinniśmy być na to psychicznie przygotowani. Kiedy dojdzie do takiej sytuacji, powinniśmy zachować równowagę między programem Wpatrujących się w Ścianę i głównym kierunkiem obrony.

Po zebraniu Chang Weisi został w pustej sali konferencyjnej. Palił papierosa. Dym unosił się we wpadającym przez okno snopie światła słonecznego i zdawał się płonąć.

„Cokolwiek ma się zdarzyć, przynajmniej się zaczęło” – pomyślał.

Pierwszy raz w życiu Luo Ji miał wrażenie, że spełniło się jego marzenie. Myślał, że Garanin tylko się chwali, bo oczywiście mógł znaleźć oszałamiająco piękne, nietknięte miejsce, ale na pewno różniłoby się ono całkowicie od tego, jakie Luo stworzył w swojej wyobraźni. Gdy jednak wysiadł z helikoptera, poczuł się, jakby znalazł się w swoim wyśnionym świecie – odległe szczyty górskie z czapami śniegu, jezioro otoczone łąkami i lasami, wszystko to roztaczało się przed nim dokładnie tak, jak opisał to Garaninowi. I nie ośmielał się pozwolić sobie na wyobrażenie tak nieskalanego środowiska. Wydawało się baśniowe. Powietrze przeniknięte było jakąś wonnością, nawet słońce zdawało się świecić ostrożnie, zalewając tę krainę łagodnym blaskiem. Najbardziej niewiarygodne było to, że znajdowała się tam mała posiadłość z willą pośrodku. Kent, który z nim przyleciał, powiedział, że dom został zbudowany w połowie dziewiętnastego wieku, ale wyglądał na starszy, a upływ czasu sprawił, że wtopił się w otoczenie.

– Niech się pan nie dziwi – powiedział Kent. – Czasami ludzie marzą o miejscach, które naprawdę istnieją.

– Czy ktoś tu mieszka?

– W promieniu pięciu kilometrów nie ma żywej duszy. Dalej jest kilka małych wiosek.

Luo Ji pomyślał, że to miejsce może się znajdować na północy Europy, ale nie zapytał o to.

Kent wprowadził go do domu. Już od pierwszego rzutu oka na przestronny salon w europejskim stylu Luo Ji zauważył kominek ze schludnie ułożoną obok niego stertą drewna owocowego, które wydzielało świeży zapach.

– Właściciel tego domu życzy panu miłego pobytu. Jest dumny, że zamieszkał tu Wpatrujący się w Ścianę – rzekł Kent i poinformował go, że posiadłość ma nie tylko urządzenia, których Luo sobie zażyczył, ale także stajnię z dziesięcioma końmi, bo w góry najłatwiej jest dostać się pieszo lub konno, kort tenisowy, pole golfowe, piwniczkę z winem, a na jeziorze motorówkę i kilka żaglówek. Pomimo starej elewacji dom urządzony był nowocześnie. W każdym pokoju były komputer z szerokopasmowym dostępem do internetu i odbiornik telewizji satelitarnej, poza tym znajdowała się tam salka projekcyjna ze sprzętem cyfrowym. Jakby tego było mało, Luo Ji zauważył lądowisko dla helikopterów. Widać było, że dom nie został zbudowany w ostatniej chwili.

– Ten człowiek ma pieniądze.

– Nie tylko pieniądze. Nie chce ujawniać swojej tożsamości, ale pewnie zna pan jego nazwisko. Podarował tę posiadłość ONZ. To hojniejszy dar niż prezent od Rockefellera. No więc ma pan jasność – ziemia i wszystko, co się na niej znajduje, należy do ONZ. Ma pan tu tylko prawo pobytu. Ale nie znaczy to, że nic pan nie dostanie. Kiedy poprzedni właściciel stąd wyjeżdżał, powiedział, że zabrał wszystkie rzeczy osobiste, a to, co zostało, należy do pana. Same obrazy muszą kosztować majątek.

Kent oprowadził Luo Ji po domu. Luo zauważył, że pierwotny właściciel miał dobry gust i urządził każde pomieszczenie z powściągliwą elegancją. Dużą część książek w bibliotece stanowiły stare łacińskie wydania. Większość obrazów namalowana była w stylu modernistycznym, ale nie wydawały się nie na miejscu w klasycznych wnętrzach. Uderzyło go jedno: całkowity brak pejzaży. Świadczyło to o wielkiej wrażliwości estetycznej, bo powieszenie takich obrazów w domu znajdującym się w raju byłoby równie bezsensowne jak wlanie wiadra wody do oceanu.

Wróciwszy do salonu, Luo Ji usiadł w fantastycznie wygodnym fotelu przed kominkiem. Wyciągnął rękę i musnął nią jakiś przedmiot. Podniósł tę rzecz i przyjrzał się jej. Była to fajka z długim, cienkim cybuchem, jakiej używali członkowie klas uprzywilejowanych. Popatrzył na puste półki na ścianie i wyobraził sobie, co z nich zabrano.

Potem wszedł Kent i przedstawił mu kilka osób: ochmistrzynię, kucharza, szofera, pokojowego i bosmana. Wszyscy służyli poprzedniemu właścicielowi. Gdy wyszli, Kent poznał go z podpułkownikiem w ubraniu cywilnym, który był szefem jego ochrony. Po jego wyjściu Luo Ji zapytał Kenta, gdzie jest Shi Qiang.

– Przekazał swoje obowiązki i prawdopodobnie wrócił do domu.

– Niech zastąpi tego faceta. Myślę, że spisze się lepiej niż on.

– Jestem tego samego zdania, ale on nie mówi po angielsku. Byłoby mu trudno.

– No to niech pan wymieni obecnych ochroniarzy na Chińczyków.

Kent zgodził się i wyszedł zadzwonić. Luo Ji też opuścił pokój i przeszedł po wypielęgnowanym trawniku na pomost sięgający do połowy jeziora. Położył ręce na barierce na jego końcu i popatrzył na odbicie ośnieżonych szczytów gór w lustrzanej tafli jeziora. W wonnym powietrzu i blasku słońca powiedział do siebie:

– Jakie znaczenie ma świat za czterysta lat w porównaniu z życiem, jakie wiodę teraz?

„Pieprzyć program Wpatrujących się w Ścianę” – dodał w myślach.

– Skąd się tu wziął ten skurczybyk? – zapytał ktoś cicho na lotnisku.

– Wpatrujący się w Ścianę mają tu wolny wstęp – odparł spokojnie jego sąsiad.

– Nieciekawie tu, prawda? Spodziewam się, że jest pan zawiedziony, panie prezydencie – rzekł do Reya Diaza doktor Allen, dyrektor Państwowego Laboratorium w Los Alamos, prowadząc go wzdłuż rzędów komputerów.

– Nie jestem już prezydentem – odparł surowo Rey Diaz, oglądając otoczenie.

– To nasze centrum symulacji broni jądrowej. W Los Alamos są takie cztery, a w Lawrence Livermore trzy.

Wzrok Reya Diaza przyciągnęły dwa urządzenia, niezupełnie nieciekawe. Wyglądały na nowe, miały duże ekrany i konsole z mnóstwem pokręteł. Ruszył w ich stronę, by się im lepiej przyjrzeć, ale Allen go powstrzymał.

– To automat do gier. Na tutejszych komputerach nie można grać, sprowadziliśmy więc dwa dla rozrywki.

Rey Diaz dostrzegł dwa inne niezupełnie nieciekawe urządzenia. Były przezroczyste, miały skomplikowaną budowę i wypełniał je bulgoczący płyn. Skierował się ku nim, by się im lepiej przyjrzeć, i tym razem Allen go nie powstrzymał.

– Ten pierwszy to nawilżacz powietrza – wyjaśnił. – W Nowym Meksyku jest suchy klimat. Ta druga rzecz to ekspres do kawy. Mike, nalej panu Reyowi Diazowi filiżankę… Nie, zaczekaj, nie z tego. W moim gabinecie zaparzę panu kawę z najwyższej półki.

Reyowi Diazowi pozostało tylko obejrzenie powiększonych czarno-białych zdjęć wiszących na ścianie. W palącym fajkę mężczyźnie w kapeluszu rozpoznał Oppenheimera. Potem Allen zwrócił jego uwagę na nijakie terminale.

– Te ekrany są przestarzałe – powiedział Rey Diaz.

– Ale za nimi są najpotężniejsze komputery na świecie, działające z prędkością trzydziestu petaflopów.

Do Allena podszedł inżynier.

– Panie doktorze, AD4453OG jest gotowy do użycia.

– Znakomicie.

– Zawiesiliśmy moduł wyjścia – powiedział cichszym już głosem inżynier i zerknął na Reya Diaza.

– Uruchomcie go – odparł Allen, po czym odwrócił się do Reya Diaza. – Jak pan widzi, przed Wpatrującymi się w Ścianę nie mamy nic do ukrycia.

W tym momencie Rey Diaz usłyszał dźwięk rozdzieranego papieru i zobaczył, że ludzie przy komputerach rozrywają jakieś kartki. Myśląc, że niszczą dokumenty, mruknął:

– Nie macie niszczarki do papieru?

Ale zaraz potem zauważył, że te kartki są puste. Potem ktoś krzyknął: – Już po wszystkim! – i wszyscy zaczęli wiwatować i wyrzucać strzępy papieru w powietrze, przez co wkrótce pokój upodobnił się do śmietnika.

– Taka jest tradycja w pokoju symulacji. Po wybuchu pierwszej bomby atomowej doktor Fermi wyrzucił w górę kawałki podartego papieru i na podstawie tego, na jaką unosiły się odległość pod wpływem fali uderzeniowej, dokładnie obliczył siłę jej rażenia. Teraz robimy to samo podczas każdej przeprowadzanej przez nas symulacji.

Rey Diaz strzepnął skrawki papieru z czoła i ramion, po czym powiedział:

– Codziennie przeprowadzacie próby z bronią jądrową, ale jest to dla was tak łatwe jak gra komputerowa. Dla nas nie. Nie mamy superkomputerów. Musimy wykonywać prawdziwe próby… Robimy to samo, ale biedni zawsze są utrapieniem.

– Panie Rey Diaz, polityka nikogo tutaj nie interesuje.

Rey Diaz pochylił się, by przyjrzeć się lepiej terminalom, ale zobaczył tylko przewijające się dane i zmieniające się krzywe. Gdy w końcu udało mu się zlokalizować pewne grafiki, były one tak abstrakcyjne, że nic mu nie mówiły. Kiedy nachylił się nad innym ekranem, siedzący przed nim fizyk podniósł głowę i powiedział:

– Panie prezydencie, jeśli szuka pan grzyba atomowego, to tutaj pan go nie zobaczy.

– Nie jestem prezydentem – powtórzył Diaz i przyjął filiżankę kawy, którą podał mu Allen.

– No to powinniśmy porozmawiać o tym, co możemy dla pana zrobić.

– Opracujcie bombę atomową.

– Oczywiście. Los Alamos jest wprawdzie instytucją wielodyscyplinarną, ale przypuszczałem, że nie przyjechał tu pan z żadnego innego powodu. Może podać mi pan jakieś szczegóły? Jakiego ma być typu? Jaką powinna mieć energię wybuchu?

– Niedługo ROP przyśle wam pełne wymogi techniczne, więc ja wyłożę tylko krótko sprawy kluczowe. Dużą energię, jak największą. Taką, jaką uda się wam osiągnąć. Absolutne minimum to dwieście kiloton.

Allen gapił się na niego przez chwilę, a potem pochylił w zamyśleniu głowę.

– To będzie musiało trochę potrwać.

– Nie macie jakichś projektów matematycznych?

– Oczywiście mamy. Mamy projekty bomb od pięćsettonowych po dwudziestomegatonowe, od neutronowych po elektromagnetyczne, ale energia, o jaką pan prosi, jest za duża. Ponaddziesięciokrotnie przewyższa najpotężniejszą na świecie bombę termojądrową. Musiałaby mieć zupełnie inny zapalnik i inne fazy wybuchu niż konwencjonalna broń jądrowa,

a może też całkowicie odmienną konstrukcję. Nie mamy projektu pasującego do tych założeń.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas o planowaniu różnych badań, a kiedy nadeszła pora, by się pożegnać, Allen powiedział:

– Panie Rey Diaz, wiem, że ma pan w swoim zespole w ROP najlepszych fizyków. Przypuszczam, że powiedzieli panu, jakie jest zastosowanie broni jądrowej w wojnie kosmicznej?

– Może pan to powtórzyć.

– Dobrze. W wojnie kosmicznej broń jądrowa może być mało skuteczna, ponieważ w próżni kosmicznej wybuch jądrowy nie wywołuje fali uderzeniowej, a jego błysk jest prawie niezauważalny, a zatem nie dochodzi do żadnego mechanicznego uderzenia w rodzaju tych, które pojawiają się w atmosferze. Cała jego energia wyzwala się w postaci promieniowania i uderzeń elektromagnetycznych, a przynajmniej ludzie mają na swoich statkach całkiem dobrze chroniące przed tym ekrany.

– A jeśli trafi się prosto w cel?

– To coś zupełnie innego. W takim przypadku decydującym czynnikiem byłoby ciepło – cel mógłby się stopić albo nawet wyparować. Ale jedna bomba o masie kilkuset milionów kiloton byłaby prawdopodobnie wielkości tego budynku, obawiam się więc, że nie byłoby łatwo trafić prosto w cel… Prawdę mówiąc, mechaniczne uderzenie pocisku jądrowego nie dorównuje sile rażenia bomby kinetycznej, jej promieniowanie jest mniej intensywne niż broni wysyłającej promienie cząstek, a zniszczenie cieplne nie dorównuje temu, które powodują lasery gamma.

– Ale te rodzaje broni nie są jeszcze gotowe do użycia. Najpotężniejszą bronią, jaką dysponuje w tej chwili ludzkość, są bomby jądrowe. A jeśli chodzi o jej skuteczność w przestrzeni kosmicznej, o czym pan wspomniał,

to dałoby się ją poprawić. Można dodać coś, co zwiększy falę uderzeniową, jak kulki z łożysk w granatach.

– To ciekawy pomysł. Daje o sobie znać pana wykształcenie techniczne.

– Studiowałem fizykę jądrową i dlatego lubię bomby jądrowe. Mam przeczucie, że się sprawdzą.

Allen roześmiał się.

– Prawie o tym zapomniałem. To zabawne dyskutować o takich rzeczach z Wpatrującym się w Ścianę.

Rey Diaz też się roześmiał, ale szybko spoważniał i powiedział:

– Doktorze Allen, jak wszyscy inni traktuje pan strategię Wpatrujących się w Ścianę jako coś tajemniczego. Najpotężniejszą gotową do użycia bronią, jaką dysponuje teraz ludzkość, jest bomba wodorowa. Skupienie się na niej jest naturalne, prawda? Uważam, że moje podejście jest właściwe.

Zatrzymali się na ścieżce prowadzącej przez las.

– Chodzili tędy wielokrotnie Fermi i Oppenheimer – powiedział Allen. – Po Hiroszimie i Nagasaki większość konstruktorów broni jądrowej pierwszej generacji przez resztę życia była pogrążona w depresji. Poczuliby ulgę, gdyby znali cel, jakiemu ma teraz służyć broń jądrowa.

– Bez względu na to, jak może być przerażająca, broń to dobra rzecz… Aha, mam nadzieję, że kiedy przyjadę tu następnym razem, nie będziecie znowu rozrzucali strzępów papieru. Sofony powinny nas uważać za istoty schludne.

Keiko Yamasuki obudziła się w środku nocy i stwierdziła, że jest w łóżku sama. Pościel obok niej była zimna. Wstała, ubrała się i wyszła na dwór. Jak zwykle od razu zobaczyła cień męża w bambusowym gaju w ogrodzie. Mieli domy w Anglii i Japonii, ale Hines wolał ten japoński. Mówił, że

światło księżyca na Wschodzie koi jego serce. Tej nocy nie było księżyca. Bambusy i jego odziana w kimono postać straciły trójwymiarowość i wyglądały w świetle gwiazd jak papierowe wycinanki.

Hines usłyszał kroki Keiko, ale się nie obejrzał. O dziwo, Keiko nosiła w Japonii takie same buty jak w Anglii. Nawet w rodzinnym mieście nigdy nie chodziła w geta. Ale tylko tu słyszał jej kroki, w Anglii nigdy.

– Kochany, już od wielu dni mało śpisz – powiedziała. Jej głos był cichy, ale owady przestały cykać i na wszystko spłynął spokój.

Usłyszała, jak mąż wzdycha.

– Keiko, nie mogę spać. Nie mogę o niczym myśleć. Naprawdę nic mi nie przychodzi do głowy.

– Nikomu nic nie przychodzi do głowy. Moim zdaniem nie istnieje plan ostatecznego zwycięstwa. – Zrobiła dwa kroki w stronę Hinesa, ale nadal oddzielało ją od niego kilka łodyg bambusów. Gaj był ich miejscem kontemplacji, tu czerpali inspirację do większości swoich prac badawczych. Rzadko pozwalali sobie w tym świętym zakątku na intymność, lecz zwracali się do siebie uprzejmie, jak przystało na miejsce przesiąknięte atmosferą filozofii Wschodu. – Powinieneś odpocząć, Bill. Wystarczy, że robisz, co w twojej mocy.

Odwrócił się, ale w ciemności nie było widać jego twarzy.

– Jak to możliwe? Każdy krok, który robię, pochłania mnóstwo środków.

– To dlaczego nie obierzesz innego podejścia? – odparła szybko Keiko. Widać było, że myślała o tym. – Obierz jakiś kierunek, który, nawet jeśli ci się nie powiedzie, przyniesie pewien pożytek podczas realizacji twoich zamierzeń.

– Dokładnie o tym myślałem, Keiko. Oto, co postanowiłem: nawet jeśli nie uda mi się stworzyć żadnego planu, mogę pomóc innym go opracować.

– Jakim innym? Pozostałym Wpatrującym się w Ścianę?

– Nie, oni są niewiele lepsi ode mnie. Mam na myśli naszych potomków. Keiko, zastanawiałaś się kiedyś nad tym, że potrzeba co najmniej dwudziestu tysięcy lat, by ujawnił się skutek ewolucji biologicznej, a ludzka cywilizacja ma zaledwie pięć tysięcy lat, przy czym współczesna cywilizacja technologiczna tylko dwieście? Oznacza to, że badania w dzisiejszej nauce prowadzi mózg pierwotnego człowieka.

– Chcesz wykorzystać technologię do przyspieszenia ewolucji mózgu?

– Prowadzimy badania nad mózgiem i powinniśmy włożyć więcej wysiłku w poszerzenie jego możliwości, by stworzył system obrony planety. Jeśli będziemy ciężko pracować przez sto czy dwieście lat, może uda się nam zwiększyć ludzką inteligencję i pozwolić nauce przyszłości wyzwolić się z więzienia sofonów.

– W naszej dziedzinie inteligencja to mało precyzyjny termin. Co konkretnie…

– Mam na myśli inteligencję w najszerszym znaczeniu tego słowa. Nie tylko w tradycyjnym znaczeniu logicznego rozumowania, ale takim, które obejmuje również zdolność do nauki, wyobraźnię i innowacyjność. A także zdolność gromadzenia doświadczeń przy zachowaniu intelektualnego wigoru oraz zwiększenie wytrzymałości umysłowej, byśmy mogli ciągle myśleć bez zmęczenia. Możemy też rozważyć możliwość wyeliminowania potrzeby snu. I tak dalej.

– Czego będzie do tego trzeba? Masz jakiś, choćby bardzo ogólny, pomysł?

– Nie. Jeszcze nie. Może da się połączyć mózg bezpośrednio z komputerem i zwiększyć ludzką inteligencję dzięki jego mocy obliczeniowej? A może uda się nam stworzyć sprzężenie między ludzkimi mózgami i łączyć myśli różnych osób? Albo dziedziczyć wspomnienia. Ale

bez względu na to, w jaką ostatecznie zwrócimy się stronę, musimy zacząć od zrozumienia mechanizmów ludzkiego mózgu.

– A to jest nasza dziedzina.

– Możemy kontynuować to, co robiliśmy do tej pory, z tą różnicą, że będziemy mieli na to ogromne środki.

– Kochanie, jestem naprawdę szczęśliwa. Ba, czuję się jak w ekstazie! Tylko jedna rzecz – nie sądzisz, że jak na Wpatrującego się w Ścianę droga, którą chcesz obrać, jest nieco…

– Nieco okrężna? Być może. Ale pomyśl tylko, Keiko – nasza cywilizacja sprowadza się w ostatecznym rachunku do ludzi. Jeśli zaczniemy od podniesienia ich na wyższy poziom, to czy nie jest to plan dalekosiężny? Poza tym co innego możemy zrobić?

– Bill, jesteś cudowny!

– Pomyśl przez chwilę – jeśli uda się nam przekształcić neurobiologię i badania nad myśleniem w program ogólnoświatowy i będziemy mogli przeznaczyć na to niewyobrażalnie wielkie pieniądze, to jak długo będziemy musieli czekać na sukces?

– Mniej więcej sto lat.

– Podejdźmy do tego nieco bardziej pesymistycznie i powiedzmy, że dwieście. Wtedy bardzo inteligentnym ludziom pozostaną jeszcze dwa wieki i jeśli w ciągu jednego stulecia rozwiną nauki podstawowe, a w następnym przekształcą teorie w technologie…

– Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, to zrobimy coś, co zawsze chcieliśmy zrobić.

– Keiko, bądź ze mną do końca moich dni – mruknął Hines.

– Tak, Bill. Na pewno mamy czas.

Owady w gaju chyba przywykły do ich obecności, bo ponownie zaczęły grać. Gdy w bambusach zaszeleścił lekki wiatr, a w przerwach między

liśćmi błysnęły gwiazdy na nocnym niebie, zdawało się, że właśnie stamtąd dobiega chór owadzich głosów.

Był trzeci dzień pierwszego spotkania Rady Obrony Planety w sprawie programu Wpatrujących się w Ścianę. Rey Diaz i Hines opowiedzieli już wcześniej o swoich planach, które miały się stać przedmiotem wstępnej dyskusji przedstawicieli stałych członków ROP, ale Tyler odłożył ujawnienie swoich do obecnej sesji. Zebrani byli ciekawi szczegółów.

Tyler zaczął od krótkiego wprowadzenia:

– Muszę stworzyć w przestrzeni kosmicznej siły zbrojne, które będą uzupełnieniem ziemskiej floty, ale będą mnie podlegać.

Natychmiast podniosły się ręce pozostałych dwóch Wpatrujących się w Ścianę.

– Pana Hinesa i mnie oskarżono o nadmierne zużycie środków przy realizacji naszych planów – wtrącił Rey Diaz. – To absurdalne oskarżenia. Pan Tyler chce mieć własne siły kosmiczne!

– Nie powiedziałem, że to będą siły kosmiczne – rzekł spokojnie Tyler. – Moim zamiarem nie jest zbudowanie kosmicznych statków wojennych, lecz floty kosmicznych myśliwców. Będą mniej więcej wielkości konwencjonalnych myśliwców i w każdym będzie tylko jeden pilot. Będą jak rój komarów, więc nazwałem to „planem roju komarów”. Formacja ta będzie miała wielkość co najmniej równą wielkości trisolariańskiej floty inwazyjnej. Tysiąc statków.

– Zaatakowałby pan trisolariański statek wojenny komarem? Takie ukąszenie nie spowoduje nawet opuchlizny – powiedział lekceważąco jeden z członków komisji.

Tyler uniósł palec.

– Nie, jeśli każdy z tych komarów będzie uzbrojony w bombę wodorową o sile stu megaton. Będzie mi więc potrzebna najnowsza technologia produkcji superbomb… Niech pan nie odrzuca z miejsca mojego planu, panie Rey Diaz. Prawdę mówiąc, nie może pan go odrzucić. Zgodnie z postanowieniami programu Wpatrujących się w Ścianę ta technologia nie jest pana patentem. Kiedy zostanie opracowana, będę miał prawo ją wykorzystać.

Rey Diaz zerknął na niego z ukosa.

– Mam pytanie. Zamierza pan dokonać plagiatu mojego planu?

Tyler uśmiechnął się sardonicznie.

– Jeśli można dokonać plagiatu planu Wpatrującego się w Ścianę, to czy naprawdę jego twórca jest Wpatrującym się w Ścianę?

– Komary nie latają daleko – zauważył Garanin, szef ROP. – Przypuszczam, że zasięg bojowy tych zabawkowych myśliwców kosmicznych nie przekracza orbity Marsa.

– Niech się pan ma na baczności. Jego następnym życzeniem może być lotniskowiec kosmiczny – powiedział z chichotem Hines.

– To nie będzie konieczne – odparł ze spokojem Tyler. – Te kosmiczne myśliwce można tak zaprojektować, by cała eskadra stała się jednością, rojem komarów, który działa jak kosmiczny lotniskowiec i jest napędzany przez silnik zewnętrzny albo przez silniki małej części tej grupy. Przy stałej prędkości lotu grupa będzie miała taką zdolność dalekiej nawigacji jak duży statek kosmiczny. Gdy dotrze na pole walki, rozproszy się i każdy myśliwiec będzie atakował wroga indywidualnie.

– Dotarcie do strefy obrony na skraju Układu Słonecznego zajmie temu pańskiemu rojowi komarów całe lata. Pilot myśliwca nie może spędzić tak długiej podróży w kokpicie, gdzie nie można nawet wstać. Czy w małym

samolocie będzie wystarczająco dużo miejsca chociażby na zapasy? – zapytał ktoś.

– Hibernacja – odparł Tyler. – Będą musieli się poddać hibernacji. Mój plan zależy od realizacji dwóch technologii: zminiaturyzowanych superbomb i zminiaturyzowanych urządzeń do hibernacji.

– Kilka lat snu w metalowej trumnie, potem przebudzenie tylko po to, by przeprowadzić samobójczy atak. Jak widać, los pilota z roju komarów jest nie do pozazdroszczenia – rzekł Hines.

Tyler stracił entuzjazm i przez chwilę milczał. Potem kiwnął głową.

– Tak. Znalezienie pilotów jest najtrudniejszą częścią tego planu.

Członkom komisji rozdano kartki ze szczegółami planu Tylera, ale nie przejawiali oni zainteresowania dyskusją. Przewodniczący oznajmił, że odracza przesłuchanie.

– Nie pojawił się jeszcze Luo Ji? – zapytał poirytowany przedstawiciel USA.

– On tu nie przybędzie – odparł Garanin. – Oświadczył, że życie w odosobnieniu i niebranie udziału w przesłuchaniach przed ROP jest częścią jego planu.

Wśród zgromadzonych rozległy się szmery. Niektórzy zdawali się rozzłoszczeni, inni wymieniali tajemnicze uśmiechy.

– To nierób, próżniak! – powiedział Rey Diaz.

– A kim jest pan? – zapytał obcesowo Tyler, chociaż jego plan roju komarów zależał od technologii produkcji superbomby wodorowej Reya Diaza.

– Wolałbym wyrazić mój szacunek dla doktora Luo – rzekł Hines. – Zna siebie i swoje zdolności, nie chce więc bezsensownie marnować środków. – Obrócił się uprzejmie do Reya Diaza. – Uważam, że pan Rey Diaz mógłby się od niego czegoś nauczyć.

Wszyscy widzieli, że Tyler i Hines bynajmniej nie bronili Luo Ji, lecz że żywili głębszą niechęć do Reya Diaza.

Garanin uderzył młotkiem w stół.

– Przede wszystkim Wpatrujący się w Ścianę Rey Diaz zabrał głos niezgodnie z porządkiem obrad. Przypominam mu, żeby okazywał pozostałym Wpatrującym się w Ścianę szacunek. Tak samo upominam Wpatrujących się w Ścianę Hinesa i Tylera, że ich słowa są niestosowne.

– Panie przewodniczący – powiedział Hines – to, co zademonstrował swoim planem Rey Diaz, to prymitywne myślenie typowe dla żołnierza. Idąc w ślady Iranu i Korei Północnej, jego kraj rozpoczął realizację programu budowy broni jądrowej, czym naraził się na sankcje ONZ, a to wywołało u Reya Diaza dziwny kompleks bomby. Między programem stworzenia roju komarów przedstawionym przez pana Tylera a planem skonstruowania potężnej bomby wodorowej Reya Diaza nie ma zasadniczej różnicy. Obie propozycje rozczarowują. W obu przypadkach od samego początku wyraźne są intencje strategiczne ich autorów. Brakuje im przebiegłości, która ma być strategicznym atutem programu Wpatrujących się w Ścianę.

– Natomiast pański plan, panie Hines, to naiwne rojenia – odgryzł się Tyler.

Po zakończeniu przesłuchania Wpatrujący się w Ścianę przeszli do pokoju medytacji, ich ulubionego miejsca w siedzibie głównej ONZ. Wydawało się im, że ten pokój został zrobiony specjalnie dla nich. Czekali tam w milczeniu. Każdy z nich czuł, że dopóki nie dojdzie do ostatniej wojny, nie będzie mógł się podzielić swymi myślami z pozostałymi. Pomiędzy nimi leżała bryła rudy żelaza, jakby wchłaniała i gromadziła ich myśli i była milczącym świadkiem tego spotkania.

– Słyszeliście o Burzycielach Ścian? – zapytał cicho Hines.

Tyler skinął głową.

– Powiadomił o tym niedawno RZT na swojej publicznej stronie, a potwierdziła to CIA.

Ponownie pogrążyli się w milczeniu. Każdy z Wpatrujących się w Ścianę tworzył w wyobraźni obraz zasadzającego się na niego Burzyciela. Ten obraz będzie ich po wielokroć prześladował w koszmarnych snach, bo dzień, w którym stanie on przed Wpatrującym się w Ścianę, będzie prawdopodobnie oznaczał jego koniec.

Kiedy Shi Xiaoming zobaczył, że do celi wchodzi jego ojciec, przesunął się w kąt pryczy, ale Shi Qiang po prostu usiadł spokojnie obok niego.

– Nie bój się. Tym razem cię nie uderzę ani nie obrzucę wyzwiskami. Nie mam na to sił. – Wyciągnął paczkę papierosów, wyjął z niej dwa i podsunął jednego synowi. Shi Xiaoming zawahał się, zanim go przyjął. Przez chwilę palili w milczeniu. Potem Shi Qiang powiedział: – Mam zadanie. Niedługo wyjeżdżam z kraju.

– A twoja choroba? – Shi Xiaoming podniósł głowę i przez obłok dymu spojrzał z niepokojem na ojca.

– Najpierw porozmawiajmy o tobie.

Shi Xiaoming przybrał błagalną minę.

– Tato, czeka mnie za to surowy wyrok…

– Gdybyś popełnił jakieś inne przestępstwo, mógłbym to odkręcić, ale nie w tym przypadku. Ming, obaj jesteśmy dorośli. Ponosimy odpowiedzialność za swoje czyny.

Shi Xiaoming pochylił z rozpaczą głowę i w milczeniu zaciągnął się papierosem.

– To po części moja wina – ciągnął Shi Qiang. – Gdy dorastałeś, nigdy nie miałem dla ciebie czasu. Co wieczór wracałem późno do domu, tak zmęczony, że tylko walnąłem kielicha i szedłem spać. Nigdy nie byłem na zebraniu rodzicielskim w szkole i nigdy z tobą poważnie nie porozmawiałem… Jak powiedziałem: ponosimy odpowiedzialność za swoje czyny.

Shi Xiaoming ze łzami w oczach rozgniótł niedopałek kilka razy na brzegu pryczy, jakby gasił drugą połowę swego życia.

– Więzienie to szkoła kryminalistów. Gdy się tam znajdziesz, możesz zapomnieć o poprawie. Po prostu nie daj się wciągnąć w żadne układy z innymi więźniami. I naucz się bronić. Weź to… – Shi Qiang położył na pryczy foliową torbę. W środku były dwa kartony zwykłych papierosów Yun Yan. – A jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebował, przyśle ci to matka.

Shi Qiang podszedł do drzwi, obrócił się i powiedział:

– Ming, może zobaczysz się jeszcze z ojcem. Prawdopodobnie będziesz wtedy starszy ode mnie i zrozumiesz, co mi teraz leży na sercu.

Shi Xiaoming patrzył przez małą szybkę w drzwiach na oddalającego się ojca. Z tyłu wyglądał on bardzo staro.

W epoce, w której wszystko otaczała aura niepokoju, Luo Ji był najbardziej zrelaksowanym człowiekiem na świecie. Chodził na spacery nad jezioro, pływał łódką, polecał szefowi kuchni, by przygotowywał smakowite potrawy z grzybów, które zebrał, i ryb, które złowił, przeglądał bogaty księgozbiór w bibliotece, a gdy się tym znudził, wychodził na zewnątrz i grał z ochroniarzami w golfa. Jeździł konno po łąkach i ścieżką przez las w stronę pokrytych śniegiem szczytów, ale nigdy nie dotarł do podnóża gór.

Siadał często na ławce nad jeziorem i patrzył na odbicie gór w wodzie, nic nie robiąc i o niczym nie myśląc, aż niepostrzeżenie mijał cały dzień.

Przez cały ten czas był samotny, nie utrzymywał kontaktów ze światem zewnętrznym. W posiadłości był też Kent, ale miał do dyspozycji mały gabinet i rzadko zawracał mu głowę. Luo Ji tylko raz rozmawiał z szefem ochrony; poprosił go, by jego podkomendni nie deptali mu bez przerwy po piętach, a jeśli muszą to robić, niech mu się nie rzucają w oczy.

Czuł się jak łódź ze zwiniętym żaglem, unosząca się spokojnie na wodzie, i było mu zupełnie obojętne, gdzie zacumuje albo dokąd uniosą ją fale. Kiedy czasami myślał o swoim wcześniejszym życiu, odkrywał z zaskoczeniem, że już by go nie poznał. Odpowiadało mu to.

Szczególnie interesowała go piwniczka z winem. Wiedział, że w leżących na półkach pokrytych kurzem butelkach są najprzedniejsze trunki. Pił w salonie, w bibliotece, a czasami na łodzi, ale nigdy za dużo, w sam raz tyle, by trwać w idealnym stanie pół trzeźwości, pół upicia. Brał wtedy fajkę o długim cybuchu, pozostawioną przez poprzedniego właściciela, i pykał z niej.

Nigdy, nawet gdy padał deszcz i było chłodno, nie rozpalił w kominku. Wiedział, że jeszcze nie nadeszła na to pora.

Ani razu nie wszedł do internetu, ale czasami włączał telewizję, po czym unikał wiadomości i oglądał programy, które nie miały nic wspólnego z bieżącymi wydarzeniami ani z obecnym dniem. Nadal można było takie znaleźć, chociaż stawały się coraz rzadsze w ostatnich chwilach złotego wieku.

Pewnego późnego wieczoru odpłynął dzięki butelce koniaku, który według etykietki miał trzydzieści pięć lat. Z pilotem w ręku przerzucał na ekranie telewizora o wysokiej rozdzielczości kanały informacyjne, kiedy jego uwagę przykuła jedna wiadomość. Dotyczyła odnalezienia wraku

statku z połowy siedemnastego wieku, klipera, który płynął z Rotterdamu do Faridabadu i zatonął koło przylądka Horn. Wśród wydobytych przez nurków przedmiotów była beczułka znakomitego wina, które zdaniem znawców nie tylko nadawało się jeszcze do spożycia, ale po trzystu latach przebywania na dnie oceanu powinno mieć niezrównany smak. Luo Ji nagrał większą część programu, a potem wezwał Kenta.

– Chcę mieć tę beczułkę – oznajmił. – Kupcie mi ją.

Kent wyszedł, by zadzwonić. Dwie godziny później poinformował Luo, że cena beczułki jest zdumiewająco wysoka – licytacja miała się zacząć od około trzystu tysięcy euro.

– To drobiazg w porównaniu z programem Wpatrujących się w Ścianę. Kupcie ją. To część planu.

Tak właśnie ten program wykreował drugi idiom obok „uśmiechu Wpatrującego się w Ścianę”. Wszystko, co było ewidentnie absurdalne, ale co mimo to trzeba było zrobić, nazywano odtąd „częścią planu Wpatrującego się w Ścianę” albo – krócej – „częścią planu”.

Dwa dni później starą, pokrytą muszlami beczułkę umieszczono w salonie willi. Luo Ji wziął zakończony kurkiem świder do robienia otworów w drewnianych beczkach, który znalazł w piwnicy, ostrożnie wwiercił się nim w bok beczułki i nalał sobie pierwszy kieliszek. Płyn miał szmaragdowy kolor. Luo powąchał go, a potem podniósł kieliszek do ust.

– To też część planu, doktorze? – zapytał cicho Kent.

– Tak jest. To część planu. – Miał już wychylić wino, ale zobaczywszy, że w pokoju są też inni ludzie, powiedział: – Wszyscy wyjdźcie.

Kent i reszta nawet się nie ruszyli.

– Odesłanie was stąd też jest częścią planu. Wyjść!

Spojrzał na nich gniewnie. Kent pokręcił lekko głową, ale ruszył do wyjścia, a za nim pozostali.

Luo Ji pociągnął łyk. Chociaż starał się wmówić sobie, że wino ma niebiański smak, nie odważył się wziąć kolejnego łyka. Ale i ten jeden nie przeszedł bez śladu. W nocy leciało z Luo górą i dołem, a w końcu zaczął wymiotować żółcią barwy tego wina i poczuł się tak słaby, że nie mógł się podnieść z łóżka. Gdy lekarze i eksperci otworzyli potem wieko beczułki, znaleźli po jego wewnętrznej stronie dość dużą brązową tabliczkę, jakie zwyczajowo umieszczano w owych dniach. Z upływem czasu doszło do jakiejś reakcji między żyjącymi normalnie w pokojowej koegzystencji miedzią i winem i w tym drugim rozpuściła się jakaś substancja… Kiedy wynoszono beczułkę, Luo widział na twarzy Kenta złośliwą satysfakcję.

Leżał potem głęboko wyczerpany w łóżku, przyglądając się, jak opadają krople w podłączonej mu kroplówce, i opanowało go uczucie całkowitego osamotnienia. Wiedział, że niedawne czasy beztroskiego leniuchowania były po prostu staczaniem się w otchłań samotności i że teraz spadł na samo dno. Ale przewidział tę chwilę i był na nią przygotowany. Czekał na kogoś, a gdy ten ktoś się pojawi, zacznie się następny etap jego planu. Czekał na Da Shi.

Tyler chronił się pod parasolem przed mżawką siąpiącą w prefekturze Kagoshima. Dwa metry za nim stał z nieotwartym parasolem szef obrony Koichi Inoue. Taki dystans, zarówno fizyczny, jak i psychiczny, utrzymywał od dwóch dni. Znajdowali się w Muzeum Pokoju Kamikaze w Chiran, przed pomnikiem specjalnych jednostek uderzeniowych, obok którego stał biały samolot o numerze 502. Pomnik i samolot wydawały się żywe w lśniącej warstewce spływającego deszczu.

– A zatem dyskusja nad moją propozycją jest absolutnie niemożliwa? – zapytał Tyler.

– Z całego serca radzę, by nie mówił pan o tym środkom przekazu, bo będą kłopoty.

Ton Koichiego Inouego był lodowaty jak deszcz.

– To nadal drażliwy temat?

– Drażliwa jest nie ta historia, lecz pańska propozycja odtworzenia specjalnych jednostek uderzeniowych kamikaze. Dlaczego nie zrobi pan tego w USA albo jakimś innym kraju? Czy Japończycy są jedynymi ludźmi na świecie, którzy z poczucia obowiązku mogą iść na pewną śmierć?

Tyler zamknął parasol i podszedł bliżej do Koichiego Inouego, który – chociaż się nie cofnął – zdawał się otoczony nieprzekraczalnym polem siłowym.

– Nie powiedziałem, że przyszłe siły kamikaze będą się składały wyłącznie z Japończyków. Będą to siły międzynarodowe, ale czy nie jest naturalne, że chcę je odtworzyć tutaj, skoro po raz pierwszy powstały w pana kraju?

– Czy ten rodzaj jednostek uderzeniowych ma jakieś znaczenie w wojnie międzyplanetarnej? Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że te oddziały specjalne odniosły ograniczoną liczbę zwycięstw i nie odwróciły biegu wojny.

– Panie komendancie, tworzone przeze mnie siły kosmiczne to flota myśliwców uzbrojonych w superbomby wodorowe.

– Po co panu ludzie? Czy tych myśliwców nie mogą poprowadzić do ataku komputery?

Wydawało się, że Tyler tylko czekał na to pytanie.

– W tym właśnie problem! Dzisiejsze komputery nie są w stanie zastąpić ludzkich mózgów, a dla stworzenia komputerów kwantowych i innych komputerów nowej generacji byłby potrzebny postęp w badaniach podstawowych. A drogę do takiego postępu blokują sofony. A zatem za

czterysta lat komputery będą nadal miały ograniczoną inteligencję i broń naprowadzana przez ludzi będzie niezbędna… Prawdę mówiąc, odnawianie teraz eskadr kamikaze ma tylko podbudować morale, bo zanim którykolwiek z nich poleci w samobójczą misję, minie dziesięć pokoleń. Ale by wzbudzić tego ducha i wiarę, powinniśmy zacząć już zaraz!

Koichi Inoue po raz pierwszy odwrócił się twarzą do Tylera. Mokre włosy przykleiły mu się do czoła, a krople deszczu na jego policzkach wyglądały jak łzy.

– To podejście jest sprzeczne z podstawowymi standardami moralnymi współczesnych społeczeństw – powiedział. – Ludzkie życie jest wartością nadrzędną i żadne państwo ani żaden rząd nie może od nikogo wymagać podjęcia się samobójczego zadania. Przypomina mi się zdanie wypowiedziane chyba przez Yang Wen-li w „Legendzie o galaktycznych bohaterach”[11]: „W tej wojnie ważą się losy kraju, ale jakie to ma znaczenie w porównaniu z prawami i swobodami jednostki? Po prostu róbcie, co w waszej mocy”.

Tyler westchnął.

– Wie pan co? Odrzucił pan swój najcenniejszy środek walki.

Potem otworzył parasol i odwrócił się ze złością. Gdy doszedł do bramy muzeum, obejrzał się i zobaczył, że Koichi Inoue wciąż stoi w deszczu przed pomnikiem.

Idąc w powiewach morskiej bryzy, Tyler wrócił myślami do zdania z listu pożegnalnego pilota kamikaze do matki, który widział w gablocie w muzeum:

„Mamo, będę ćmą lecącą w ogień”.

– Jest gorzej, niż sobie wyobrażałem – powiedział Allen.

Stał z Reyem Diazem obok czarnego obelisku z lawy, pomnika znajdującego się w miejscu wybuchu pierwszej bomby jądrowej skonstruowanej przez człowieka.

– Czy jej budowa jest naprawdę tak odmienna? – zapytał Rey Diaz.

– Zupełnie inna niż współczesnych bomb jądrowych. Stworzenie jej matematycznego modelu może być sto razy bardziej skomplikowane niż bomb współczesnych. To niebywałe przedsięwzięcie.

– Co muszę zrobić?

– Ma pan w swojej ekipie Cosmo, prawda? Niech go pan przyśle do mojego laboratorium.

– Williama Cosmo?

– Tak.

– Ale on jest… on jest…

– Astrofizykiem. Autorytetem w dziedzinie gwiazd.

– I co miałby robić?

– Już panu mówię. Pana zdaniem bomba jądrowa wybucha po uruchomieniu się zapalnika, ale w rzeczywistości jest to raczej proces spalania. Im większa energia bomby, tym dłużej trwa ten proces. Na przykład po wybuchu bomby o sile dwudziestu kiloton powstaje kula ognia, która płonie przez ponad dwadzieścia sekund. Superbomba, którą projektujemy, będzie miała siłę dwustu kiloton, a wywołana przez nią kula ognia będzie płonęła przez kilka minut. Niech pan o tym pomyśli. Jak to będzie wyglądało?

– Jak małe słońce.

– Właśnie! Fuzja jądrowa takiej bomby jest bardzo podobna do fuzji zachodzącej w gwieździe i przypomina proces formowania się gwiazdy w bardzo krótkim czasie. A więc musimy stworzyć model matematyczny, który będzie w zasadzie modelem gwiazdy.

Przed nimi rozciągały się białe piaski pustyni. Tuż przed świtem nie można było rozróżnić szczegółów. Gdy patrzyli na ten widok, mimo woli przypomniała się im sceneria *Trzech ciał.*

– Jestem podekscytowany, panie Rey Diaz. Proszę mi wybaczyć nasz początkowy brak entuzjazmu. Kiedy teraz przyglądamy się temu projektowi, widzimy, że jego znaczenie wykracza daleko poza skonstruowanie superbomby. Wie pan, co robimy? Tworzymy prawdziwą gwiazdę!

Rey Diaz potrząsnął z dezaprobatą głową.

– Co to ma wspólnego z obroną Ziemi? – spytał.

– Niech obrona Ziemi nie ogranicza pana horyzontów. W końcu ja i moi koledzy z laboratorium jesteśmy naukowcami. Poza tym nie jest to pozbawione znaczenia praktycznego. Jeśli wprowadzimy odpowiednie parametry, ta gwiazda może być modelem naszego słońca. Niech pan o tym pomyśli. Zawsze dobrze jest mieć słońce w pamięci komputera. To największe ciało niebieskie, jakie znajduje się w pobliżu nas, ale możemy mieć z tego modelu jeszcze większy pożytek. Może nas czekać wiele odkryć.

– Nasze poprzednie wykorzystanie słońca doprowadziło ludzi na skraj przepaści, a pana i mnie tutaj.

– Ale kolejne odkrycia mogą odciągnąć ludzi znad tej przepaści. A więc zaprosiłem tu pana, by obejrzał pan wschód słońca.

Nad horyzontem zaczął się właśnie pojawiać rąbek tarczy słonecznej. Pustynia przed nimi zaczęła nabierać ostrości jak wywoływane zdjęcie i Rey Diaz zobaczył, że to miejsce, niegdyś spalone przez piekielny ogień, pokrywa teraz skąpa roślinność.

– Stałem się śmiercią, niszczycielem światów! – krzyknął Allen.

– Co? – Rey Diaz odwrócił głowę jak smagnięty biczem.

– Powiedział to Oppenheimer, obejrzawszy pierwszy wybuch jądrowy. Wydaje mi się, że to cytat z Bhagawadgity.

Krąg na wschodniej części nieba szybko się powiększał, spowijając Ziemię światłem niczym pajęczyną. To samo słońce świeciło, gdy Ye Wenjie nastawiła na nie antenę w Czerwonym Brzegu, a wcześniej świeciło również, kiedy osiadał pył po pierwszej eksplozji jądrowej. Kierował na nie tępe spojrzenie australopitek milion lat temu i dinozaur przed stu milionami lat, a jeszcze dawniej zamglone światło tego samego słońca przenikało pod powierzchnię praoceanu, gdzie odczuwała je pierwsza żywa komórka.

– A jeszcze później – ciągnął Allen – człowiek nazwiskiem Bainbridge dodał do stwierdzenia Oppenheimera coś zupełnie niepoetyckiego: „Teraz wszyscy jesteśmy sukinsynami”.

– O czym pan mówi? – zapytał Rey Diaz. Z trudem łapał oddech.

– Dziękuję panu, panie Rey Diaz, bo od tej chwili nie jesteśmy już sukinsynami.

Słońce na wschodzie objęło wszystko swym blaskiem, jakby oznajmiało światu: „Wszystko jest tak ulotne jak cień, który rzucają przedmioty, gdy pada na nie moje światło”.

Rey Diaz przysiadł i opuścił rękę na ziemię. Wstrząsały nim konwulsje. Jego twarz pobladła i pokryła się zimnym potem, nie miał siły oderwać dłoni od kępy cierni, na której ją oparł.

– Co się panu stało? – zapytał Allen.

– Idź, idź po samochód – powiedział słabym głosem Rey Diaz. Odwrócił głowę w kierunku przeciwnym do słońca i podniósł drugą rękę, by osłonić oczy przed światłem. Nie mógł powstać z kucek. Allen próbował mu pomóc, ale nie dał rady podźwignąć jego przysadzistego ciała. – Podjedź samochodem… – Rey Diaz rzęził, cały czas zakrywając oczy. Kiedy Allen podjechał do niego, upadł na ziemię. Allen z trudem wepchnął go na tylne

siedzenie. – Okulary słoneczne, potrzebne mi okulary słoneczne… – Pół leżąc, pół siedząc, chwytał rozcapierzonymi palcami powietrze. Allen podał mu okulary, które znalazł na desce rozdzielczej. Gdy Rey Diaz je włożył, jego oddech stał się spokojniejszy. – Już mi lepiej. Wynośmy się stąd. Szybko – wykrztusił.

– Co się stało, na miłość boską?

– To chyba przez to słońce.

– Eee… kiedy pojawiła się u pana taka reakcja?

– Teraz.

Osobliwa fobia na tle słońca, która dopadła Reya Diaza, doprowadzała go na skraj załamania psychicznego i wyczerpania fizycznego za każdym razem, kiedy je zobaczył, i od tamtej pory zmuszała do pozostawania w pomieszczeniach zamkniętych.

– Bardzo długi był ten lot? Wygląda pan, jakby stracił całą energię – powiedział Luo Ji po przybyciu Shi Qianga.

– Tak. Człowiek nigdy nie znajdzie samolotu tak wygodnego jak ten, którym lecieliśmy kiedyś – odparł Shi Qiang, taksując wzrokiem okolicę.

– Nieźle tu, co?

– Okropnie – stwierdził Shi Qiang, kręcąc głową. – Z trzech stron jest las, więc łatwo się ukryć w pobliżu domu. No i jezioro. Brzeg jest tak blisko domu, że trudno by się było bronić przed nurkami płynącymi od lasu po drugiej stronie. Ale łąki są w porządku, dużo otwartej przestrzeni.

– Nie może pan spojrzeć na to bardziej romantycznie?

– Przyjechałem tu do pracy, mój chłopcze.

– Myślę o pracy, ale romantycznej.

Luo Ji wprowadził Shi Qianga do salonu. Kapitan zlustrował pokój, ale wydawało się, że luksus i elegancja nie wywarły na nim wielkiego wrażenia. Luo Ji nalał mu trunku do kryształowego kieliszka, ale Shi Qiang machnięciem ręki odmówił przyjęcia poczęstunku.

– To trzydziestopięcioletnia brandy.

– Teraz nie mogę pić… Niech mi pan opowie o tej swojej romantycznej pracy.

Luo Ji pociągnął łyk brandy i usiadł obok niego.

– Da Shi, proszę pana o pewną przysługę. Czy w swojej dawnej pracy musiał pan kiedyś szukać w całym kraju, a nawet na całym świecie jakiejś osoby?

– Zdarzało się.

– Był pan w tym dobry?

– W znajdowaniu ludzi? Oczywiście.

– Świetnie. Niech mi pan pomoże znaleźć pewną osobę. Kobietę tuż po dwudziestce. To część planu.

– Narodowość? Nazwisko? Adres?

– Nie wiem. Nawet prawdopodobieństwo, że istnieje w świecie rzeczywistym, jest niewielkie.

Shi Qiang popatrzył na niego i po paru sekundach powiedział:

– Wymarzył ją pan sobie?

Luo Ji skinął głową.

– Miałem o niej sny na jawie.

Shi Qiang również skinął głową, a potem powiedział coś, czego Luo Ji zupełnie się nie spodziewał:

– Dobrze.

– Co?

– Dobrze, jeśli pan wie, jak ona wygląda.

– No, jest Azjatką, więc powiedzmy, że Chinką. – Mówiąc to, Luo wziął papier i ołówek. – Owal twarzy ma taki. Taki nos. A usta… o rany, nie potrafię ich narysować. Oczy… niech to szlag, jak mam narysować jej oczy? Ma pan może to oprogramowanie, które pozwala znaleźć twarz poszukiwanej osoby, a potem dopasować oczy, nos i tak dalej, zgodnie z opisem naocznego świadka?

– Jasne. Mam je w moim laptopie.

– No to niech pan go wyjmuje i rysujmy!

Shi Qiang wyciągnął się wygodnie na kanapie.

– To nie jest konieczne. Nie musi pan jej rysować. Niech pan na razie zapomni o jej wyglądzie i najpierw powie mi, jakiego rodzaju jest to osoba.

Coś zapłonęło w umyśle Luo Ji. Wstał i zaczął niespokojnie chodzić tam i z powrotem przed kominkiem.

– Ona jest… jak mam to ująć? Przyszła na ten świat jak lilia, która wyrosła na stercie śmieci, tak… tak czysta i delikatna, że nic wokół niej nie może jej ubrudzić. Ale wszystko może ją zranić. Tak, wszystko może wyrządzić jej krzywdę! Kiedy człowiek ją zobaczy, jego pierwszą reakcją jest chęć chronienia jej. Nie, raczej troszczenia się o nią, pokazania jej, że jest się gotowym zapłacić każdą cenę, by chronić ją przed brutalną rzeczywistością. Ona… ona jest tak… och, nie mam tak giętkiego języka, by to wszystko dokładnie wyrazić.

– Zawsze tak jest – powiedział Shi Qiang ze śmiechem. Ów śmiech, który za pierwszym razem, gdy Luo Ji go usłyszał, wydawał mu się prostacki i głupi, teraz brzmiał mądrze i kojąco. – Ale opisał ją pan całkiem dobrze.

– No to idźmy dalej. Ona… co ja mówię? Choćbym nie wiem jak się starał, nie zdołam wyrazić, jaka jest w moim sercu.

Zirytował się i wydawało się, że chce wyrwać sobie serce, by pokazać to Shi Qiangowi.

Ten uspokoił go machnięciem ręki.

– Dobra, niech pan po prostu opowie, co się dzieje, gdy jesteście we dwoje. Im więcej szczegółów pan przedstawi, tym lepiej.

Oczy Luo Ji rozszerzyły się ze zdumienia.

– Skąd pan wiedział, że bywamy we dwoje?

Shi Qiang znowu się roześmiał. Potem rozejrzał się po pokoju.

– Nie ma tu przypadkiem jakichś cygar?

– Są! – Luo Ji wziął z okapu kominka ładne drewniane pudełko, wyjął z niego grubego davidoffa i jeszcze ładniejszą gilotynką obciął jego koniec. Potem podał je Shi Qiangowi i przypalił specjalnym cedrowym patyczkiem.

Shi Qiang pyknął i pokiwał z zadowoleniem głową.

– Niech pan mówi dalej.

Luo Ji przełamał wcześniejszy opór języka i stał się gadatliwy. Opowiedział, jak dziewczyna po raz pierwszy zmaterializowała się w bibliotece, jak pojawiała się w sali uniwersyteckiej podczas jego wykładów, jak spotkał się z nią przed wymyślonym kominkiem w swoim pokoju w domu asystenta i podziwiał piękno światła paleniska padającego przez butelkę wina na jej twarz niczym spojrzenie oczu zmierzchu. Z przyjemnością wspominał ich wspólną jazdę samochodem, opisując ją z najdrobniejszymi szczegółami: ośnieżone pola, miasteczko i wieś pod błękitnym niebem, góry niczym starzy wieśniacy wygrzewający się w słońcu i wieczór przy ognisku u ich podnóża…

Gdy skończył, Shi Qiang zgasił cygaro.

– No, to chyba wystarczy. Domyślam się paru rzeczy o tej dziewczynie, a pan powie mi, czy moje domysły są słuszne.

– Świetnie!

– Wykształcenie: co najmniej licencjat, ale nie doktorat.

Luo Ji skinął głową.

– Tak, tak. Ma wiedzę, ale nie aż taką, by być skostniałą rutynistką. Dzięki niej jest bardziej wrażliwa.

– Prawdopodobnie pochodzi z wykształconej rodziny i żyła wprawdzie nie w bogactwie, ale w dostatku. Dorastała otoczona miłością rodziców, ale miała mało kontaktów ze społeczeństwem, zwłaszcza z niższymi warstwami.

– Prawda, całkowita prawda! Nigdy nie opowiadała mi o swojej rodzinie, właściwie o sobie też nie, ale myślę, że tak właśnie jest.

– Niech mi pan powie, czy reszta moich spekulacji się zgadza. Lubi – jakby to ująć? – proste, eleganckie ubrania, trochę skromniejsze niż inne kobiety w jej wieku. – Luo Ji kiwał bez słowa głową. – Jednak zawsze ma jakiś biały element stroju, na przykład bluzkę czy kołnierz, który ostro kontrastuje z resztą.

– Da Shi, jest pan… – powiedział Luo Ji z podziwem w oczach.

Shi Qiang zignorował jego zachwyt i mówił dalej:

– Na koniec nie jest wysoka, ma około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu, ale jest… hmm, myślę, że powiedziałby pan: tak szczupła, że mógłby ją zdmuchnąć powiew wiatru, więc nie wydaje się niska… Oczywiście mógłbym dorzucić więcej szczegółów. Opis niezbyt odległy od pańskiego wyobrażenia, co?

Luo Ji gotów był paść przed nim na kolana.

– Da Shi, chylę przed panem czoła. Jest pan wcieleniem Sherlocka Holmesa!

Shi Qiang wstał.

– Teraz naszkicuję ją na komputerze.

Wieczorem przyniósł laptop. Kiedy na ekranie ukazał się portret kobiety, Luo Ji patrzył jak urzeczony. Shi Qiang najwyraźniej spodziewał się tego, bo podszedł do kominka, wziął z gzymsu drugie cygaro, obciął jego koniec gilotynką i zapalił. Pyknąwszy kilka razy, wrócił do wpatrzonego w ekran Luo Ji.

– Niech pan powie, co się nie zgadza, to poprawię.

Luo Ji z trudem oderwał wzrok od obrazu, wstał, podszedł do okna i popatrzył na padające na odległy ośnieżony szczyt światło księżyca.

– Wszystko się zgadza – wyszeptał jak we śnie.

– Tak myślałem – rzekł Shi Qiang i zamknął komputer.

Nadal patrząc w dal, Luo Ji wypowiedział zdanie, jakim inni często określali Shi Qianga:

– Da Shi, jest pan diabłem.

Shi Qiang usiadł wyczerpany na kanapie.

– Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego. Obaj jesteśmy ludźmi.

Luo Ji odwrócił się do niego.

– Ale każdy ma inną wymarzoną kochankę!

– Pewien typ mężczyzn ma zasadniczo taką samą wyśnioną kochankę.

– Mimo to stworzenie tak wiernego obrazu powinno być niemożliwe!

– Niech pan pamięta, że dużo mi pan o niej opowiedział.

Luo Ji podszedł do komputera i znowu go otworzył.

– Niech mi pan prześle kopię. – Potem, gdy Shi Qiang zajmował się tym, zapytał: – Może ją pan znaleźć?

– Na razie powiem tylko tyle, że to możliwe. Nie mogę jednak wykluczyć, że mi się nie uda.

– Co? – Luo Ji zamarł. Spojrzał ze zdumieniem na Shi Qianga.

– Czy w takich sprawach można na sto procent zagwarantować, że się uda?

– Nie to miałem na myśli. Prawdę mówiąc, byłem pewien, że będzie wprost przeciwnie. Myślałem, że pan powie, że to praktycznie niemożliwe, ale nie wyklucza pan, że szansa na jej znalezienie wynosi jakąś jedną dziesięciotysięczną procent. I byłbym w pełni zadowolony, gdyby pan to powiedział. – Obrócił się w stronę ekranu i znowu wyszeptał: – Czy ktoś taki może istnieć w rzeczywistym świecie?

Shi Qiang uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Ile osób spotkał pan w życiu, doktorze Luo?

– Oczywiście nie tyle co pan, ale wiem, że na świecie nie ma nikogo idealnego, a już na pewno idealnej kobiety.

– Jak sam pan wcześniej powiedział, często udaje mi się wyłuskać konkretną jednostkę z dziesiątek tysięcy osób i mogę panu powiedzieć z własnego doświadczenia, że istnieją wszelkie możliwe typy. Wszelkie, mój chłopcze. Idealni ludzie, idealne kobiety. Po prostu pan ich nie spotkał.

– Pierwszy raz słyszę coś takiego.

– To dlatego, że ktoś, kogo pan uważa za osobę idealną, nie jest taki dla innych. Ta dziewczyna z pana marzeń… według mnie ma oczywiste… wady. A więc jest szansa, że się znajdzie.

– Ale przecież reżyser może szukać idealnego aktora wśród kilkudziesięciu tysięcy kandydatów i w końcu nie znaleźć takiego.

– Ci reżyserzy mogą nie dorównywać nam umiejętnością szukania. My nie patrzymy na dziesiątki tysięcy, a nawet na setki czy miliony ludzi. Nasze narzędzia i techniki są doskonalsze niż te, których używają reżyserzy. Komputery w policyjnym centrum analiz mogą w ciągu zaledwie pół dnia wyszukać spośród pół miliona twarzy tę, która odpowiada rysopisowi… Szkopuł tylko w tym, że wykracza to poza zakres moich obowiązków, będę więc musiał najpierw poprosić zwierzchnictwo

o pozwolenie. Jeśli wyrazi zgodę i przydzieli mi to zadanie, to oczywiście zrobię co w mojej mocy.

– Niech pan im powie, że to ważna część programu Wpatrujących się w Ścianę i musi być potraktowana poważnie.

Shi Qiang zachichotał i wyszedł.

– Co? ROP ma mu znaleźć… – Kent szukał chińskiego słowa – wymarzoną kochankę? Temu facetowi pozwala się na zbyt wiele. Bardzo mi przykro, ale nie mogę przekazać pańskiej prośby.

– Wobec tego narusza pan zasadę programu Wpatrujących się w Ścianę, która mówi, że bez względu na to, jak niezrozumiałe jest polecenie jednego z nich, trzeba je przekazać i wykonać. Sprzeciwić się temu może tylko ROP.

– Ale nie możemy wykorzystywać środków publicznych dla zapewnienia takiej osobie jak on cesarskiego życia! Panie Shi, pracujemy razem od niedawna, ale naprawdę darzę pana szacunkiem. Jest pan doświadczonym i wnikliwym człowiekiem, więc niech pan będzie ze mną szczery. Naprawdę myśli pan, że Luo Ji realizuje program Wpatrujących się w Ścianę?

Shi Qiang potrząsnął głową.

– Nie wiem. – Podniósł rękę, powstrzymując dalsze wywody Kenta. – Ale to tylko moje zdanie, nie opinia moich przełożonych. Największa różnica między nami polega na tym, że ja po prostu wykonuję posłusznie rozkazy. A pan zawsze musi się zapytać, dlaczego trzeba robić to czy tamto.

– Czy to źle?

– Nie chodzi o to, czy to dobrze czy źle. Gdyby każdy przed wykonaniem rozkazu musiał wiedzieć, dlaczego ma go wykonać, świat już

dawno temu pogrążyłby się w chaosie. Panie Kent, jest pan wyższy rangą, ale obaj musimy wykonywać rozkazy. Musimy zrozumieć, że tacy jak my nie mogą się zastanawiać nad pewnymi rzeczami. Wystarczy, że spełniamy nasze obowiązki. Jeśli pan nie potrafi tego robić, to obawiam się, że będzie pan przeżywał ciężkie chwile.

– Ja już przeżywam ciężkie chwile! Niedawno straciliśmy masę pieniędzy na kupno tego wina z wraku. Po prostu zastanawiam się… czy pana zdaniem on w ogóle zachowuje się jak Wpatrujący się w Ścianę?

– A jak powinien się zachowywać Wpatrujący się w Ścianę?

Kentowi na chwilę odebrało mowę.

– Nawet gdyby istniał jakiś wzór Wpatrującego się w Ścianę, to Luo Ji nie zachowuje się całkowicie niezgodnie z takim wzorem – zauważył Shi Qiang.

– Co? – rzekł Kent z lekkim zaskoczeniem. – Chyba nie chce pan przez to powiedzieć, że dostrzega pan w nim jakieś niezwykłe cechy?

– Właśnie to chcę powiedzieć.

– A co, do diabła, takiego niezwykłego pan w nim widzi?

Shi Qiang klepnął Kenta w ramię.

– Weźmy na przykład pana. Gdyby miał pan obowiązki i prawa Wpatrującego się w Ścianę, stałby się pan takim samym oportunistą i hedonistą jak on.

– Już dawno bym się załamał.

– Otóż to. Natomiast Luo Ji zachowuje się beztrosko. Niczym się nie przejmuje. Kent, myśli pan, że łatwo jest postępować tak jak on? Takie postępowanie wynika z braku uprzedzeń, a każdy, kto chce dokonać czegoś wielkiego, musi być wolny od uprzedzeń. Ktoś taki jak pan nie dokona wielkich rzeczy.

– Ale on jest taki… to znaczy… jeśli on zachowuje się tak beztrosko, to jak to się ma do programu Wpatrujących się w Ścianę?

– Cały czas to tłumaczę, a pan nadal nie chwyta? Powiedziałem przecież, że nie wiem. Skąd możemy wiedzieć, czy to, co ten facet teraz robi, nie jest częścią tego planu? Powtórzę: nie mnie ani panu to osądzać. Nawet jeśli nie mylimy się, myśląc to, co myślimy, to – Shi Qiang przysunął się bliżej do Kenta i zniżył głos – pewne sprawy wymagają czasu.

Kent przyglądał mu się przez długą chwilę i w końcu potrząsnął głową, niepewny, czy zrozumiał ostatnie zdanie.

– Dobrze. Przekażę tę prośbę. Ale pozwoli mi pan najpierw zerknąć na obraz tej jego wymarzonej kochanki?

Gdy Kent zobaczył ją na ekranie, jego starcza twarz na moment się rozchmurzyła. Potarł brodę i powiedział:

– O Boże. Nie sądziłem, że ktoś taki może istnieć. Mam nadzieję, że pan ją niebawem znajdzie.

– Panie pułkowniku, uważa pan, że przeprowadzenie przeze mnie inspekcji pracy politycznej i ideologicznej w waszym wojsku to bezczelność? – zapytał Tyler Zhang Beihaia.

– Nie, panie Tyler. Był już precedens. Kiedy studiowałem w Szkole Partyjnej Centralnej Komisji Wojskowej, odwiedził ją Rumsfeld.

Zhang Beihai nie przejawiał ciekawości, ostrożności ani dystansu, które Tyler zaobserwował u innych oficerów. Wydawał się szczery, a to ułatwiało rozmowę.

– Dobrze pan mówi po angielsku. Musi pan być z marynarki.

– Zgadza się. Do Sił Kosmicznych USA wcielono proporcjonalnie jeszcze więcej oficerów z marynarki wojennej niż do naszych.

– Nikt w tym czcigodnym rodzaju sił zbrojnych nigdy by nie przypuszczał, że będą żeglować w przestrzeni kosmicznej… Powiem szczerze, że gdy generał Chang Weisi przedstawił pana jako najlepszego oficera politycznego w tej formacji, pomyślałem, że przeszedł pan tu z sił lądowych, ponieważ uosabiają one ducha waszej armii.

Zhang Beihai wyraźnie się z nim nie zgadzał, ale uśmiechnął się uprzejmie.

– Tego samego ducha znajdzie pan w innych rodzajach wojsk. Na kulturze wojskowej powstających w różnych krajach sił kosmicznych wyciska piętno każdy rodzaj sił zbrojnych.

– Bardzo interesuje mnie wasza praca polityczna i ideologiczna. Miałem nadzieję, że będę mógł się jej lepiej przyjrzeć.

– To żaden problem. Dostałem od moich przełożonych rozkaz, bym nie ukrywał niczego, co wchodzi w zakres moich obowiązków.

– Dziękuję panu! – Tyler zawahał się, po czym powiedział: – Celem mojej wizyty jest uzyskanie odpowiedzi na pewne pytanie. Najpierw chciałbym je zadać panu.

– Oczywiście. Proszę pytać.

– Pułkowniku, wierzy pan, że uda się nam przywrócić ducha armii z przeszłości?

– Jaką przeszłość ma pan na myśli?

– Długi okres, powiedzmy od czasów starożytnej Grecji po drugą wojnę światową. Kluczowe są wartości duchowe, o których wspomniałem, przede wszystkim poczucie obowiązku i honor, a także w razie potrzeby gotowość do oddania bez wahania życia w obronie tych wartości. Być może zauważył pan, że po drugiej wojnie światowej ten duch zniknął z wojska zarówno w państwach demokratycznych, jak i autorytarnych.

– Zaciąg do wojska prowadzi się w społeczeństwie, a więc znaczyłoby to, że tego ducha, o którym pan mówi, trzeba by było przywrócić w całym społeczeństwie.

– W tym punkcie nasze poglądy są zbieżne.

– Ale jest to niestety niemożliwe, panie Tyler.

– Dlaczego? Mamy czterysta lat. Dokładnie tyle czasu zabrało ludzkim społeczeństwom przejście od bohaterstwa zbiorowego do indywidualnego, dlaczego więc miałoby go nie wystarczyć na przebycie tej drogi z powrotem?

Zhang Beihai zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym odparł:

– To celne pytanie, ale sądzę, że społeczeństwo dojrzało i nie wróci już do czasów dzieciństwa. W okresie tych czterystu lat, które doprowadziły do powstania nowoczesnego społeczeństwa, nie widać niczego, co by przygotowało ludzi pod względem kulturowym czy umysłowym do zmierzenia się z tego rodzaju kryzysem.

– Wobec tego skąd pan czerpie swoją wiarę? O ile mi wiadomo, wierzy pan niezłomnie w zwycięstwo. Jak flota kosmiczna, którą przepełnia duch defetyzmu, ma stawić czoło potężnemu wrogowi?

– Czy nie powiedział pan przed chwilą, że mamy na to czterysta lat? Skoro nie możemy się cofnąć, to musimy z determinacją iść naprzód.

Odpowiedź Zhang Beihaia była mętna. Z dalszej rozmowy Tyler nie wyniósł nic oprócz wrażenia, że przemyślenia tego człowieka są tak głębokie, iż nie zdoła ich poznać podczas krótkiej wizyty.

Wychodząc z kwatery głównej Sił Kosmicznych, Tyler minął wartownika. Kiedy spotkały się ich spojrzenia, wartownik nieśmiało się uśmiechnął. Czegoś takiego nie widział w dowództwach wojsk innych państw, gdzie wartownicy patrzyli prosto przed siebie. Spoglądając na

twarz tego młodego mężczyzny, ponownie powtórzył w duchu: „Mamo, będę ćmą lecącą w ogień”.

Po raz pierwszy odkąd Luo Ji przybył do tej posiadłości, zaczął padać deszcz i w salonie zrobiło się zimno. Usiadł przy wygaszonym kominku i słuchał docierającego z zewnątrz szumu deszczu. Miał wrażenie, że dom znajduje się na odludnej wyspie pośród ciemnego oceanu. Czuł się bezgranicznie samotny. Od czasu wyjazdu Shi Qianga niespokojnie czekał na wieści od niego i to czekanie było samo w sobie pewnego rodzaju szczęściem. Nagle usłyszał, że pod werandę podjeżdża samochód, i wychwycił strzępy rozmowy. Cichy, łagodny kobiecy głos, który powiedział: „Dziękuję” i „Do widzenia”, poraził go jak uderzenie prądu.

Przed dwoma laty słyszał ten głos dzień i noc w snach i marzeniach. Jego delikatne brzmienie, nić babiego lata unosząca się na tle błękitnego nieba, było niczym promyk słońca rozświetlający ponury wieczór.

Potem usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Siedział sztywno, nie mogąc się ruszyć z miejsca, i dopiero po pewnej chwili otworzył usta i powiedział:

– Proszę.

Drzwi się otworzyły i do środka wsunęła się z powiewem wilgotnego powietrza szczupła postać. W pokoju paliła się tylko stojąca na podłodze lampa ze staroświeckim abażurem, która rzucała krąg światła koło kominka, a reszta pomieszczenia pogrążona była w półmroku. Luo Ji nie widział twarzy kobiety, ale zauważył, że była w białych spodniach i czarnym żakiecie, który jaskrawo kontrastował z białym kołnierzykiem i przywodził mu na myśl lilie.

– Dzień dobry, panie Luo – powiedziała.

– Dzień dobry – odparł, wstając. – Zimno na dworze?

– Nie w samochodzie. – Chociaż nie widział jej wyraźnie, wiedział, że się uśmiecha. – Ale tutaj – rozejrzała się wokół – tutaj jest trochę zimno… Aha, jestem Zhuang Yan, panie Luo.

– Witaj, Zhuang Yan. Rozpalmy ogień.

Klęknął, wziął parę drew ze schludnie ułożonego stosu i włożył je do kominka.

– Widziałaś już takie urządzenie? Chodź tutaj, usiądź.

Podeszła do kanapy i usiadła, nadal w cieniu.

– Och… tylko w filmach.

Luo Ji potarł zapałkę i przytknął ją do podpałki pod drewnem. Płomień strzelił w górę i w jego złotym blasku postać kobiety stopniowo nabrała kształtów. Luo Ji trzymał mocno zapałkę w palcach, aż się wypaliła. Musiał poczuć ból, by mieć pewność, że to nie sen. Miał wrażenie, jakby zapalił słońce, które teraz świeciło nad jego wyśnionym światem, przemieniając go w jawę. Dopóki miał w tym świecie ją i ogień na kominku, słońce na zewnątrz mogło na zawsze pozostać skryte za chmurami i mrokiem nocy.

„Da Shi – pomyślał – naprawdę jesteś diabłem. Gdzie ją znalazłeś? Jak udało ci się ją znaleźć?”

Odwrócił wzrok z powrotem na kominek i do oczu napłynęły mu łzy. Trochę bał się spojrzeć na nią w tym stanie, ale uświadomił sobie, że nie ma powodu tego ukrywać, bo prawdopodobnie pomyśli, że łzy wycisnął dym. Otarł je wierzchem dłoni.

– Teraz jest ciepło i przyjemnie… – powiedziała z uśmiechem, patrząc na płomienie.

Na dźwięk jej słów i widok jej uśmiechu Luo Ji zadrżało serce.

– Dlaczego jest tu tak? – zapytała, rozglądając się ponownie.

– Jest inaczej, niż sobie wyobrażałaś?

– Inaczej.

– Nie jest… – Pomyślał o jej imieniu. – Nie jest dla ciebie wystarczająco „godne”?

Uśmiechnęła się do niego.

– Moje imię to „yan” oznaczające kolor, nie godność.

– A, rozumiem. Pewnie spodziewałaś się, że będzie tu mnóstwo map, duży ekran i grupa generałów, a ja będę im wskazywał różne rzeczy?

– Właśnie tego się spodziewałam, panie Luo.

Luo Ji wstał.

– Musisz być zmęczona po podróży. Napij się herbaty. – Zawahał się. – A może wolałabyś wino? Trochę cię rozgrzeje.

Skinęła głową.

– Dobrze. – Wzięła od niego kieliszek z cichym: – Dziękuję – i wypiła mały łyk.

Ten widok poruszył najczulsze struny w jego sercu. Była taka niewinna. Gdy zaproponował jej wino, wypiła. Ufała światu, nie miała się przed nim na baczności. Tak, cały świat tylko czekał na to, by ją zranić. Tylko tu była bezpieczna. Potrzebowała opieki. Tu był jej zamek.

Usiadł i popatrzył na nią, a potem zapytał najspokojniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć:

– Co ci powiedziano przed przyjazdem tutaj?

– Oczywiście to, że jadę do pracy. – Znowu obdarzyła go tym niewinnym uśmiechem, który sprawiał, że jego serce miękło jak wosk. – Nad czym będę pracować, panie Luo?

– A co studiowałaś?

– Malarstwo tradycyjne w Centralnej Akademii Sztuk Pięknych.

– Aha. Ukończyłaś studia?

– Tak. Przygotowuję się do studiów doktoranckich i szukałam jakiejś pracy przed ich rozpoczęciem.

Luo Ji zastanawiał się przez chwilę, co mogłaby robić w posiadłości, ale nie przychodził mu do głowy żaden pomysł.

– O pracy porozmawiamy jutro – rzekł w końcu. – Musisz być zmęczona, więc najpierw dobrze się wyśpij… Podoba ci się tutaj?

– Sama nie wiem. Kiedy jechałam z lotniska, była gęsta mgła, a potem zrobiło się ciemno, więc nic nie widziałam… Gdzie jesteśmy, panie Luo?

– Ja też tego nie wiem.

Kiwnęła głową i zachichotała, wyraźnie mu nie wierząc.

– Naprawdę nie wiem, gdzie jesteśmy. Jak można sądzić po krajobrazie, chyba w Skandynawii. Mogę zaraz zadzwonić i zapytać.

Sięgnął po telefon stojący obok kanapy.

– Nie, niech pan nie dzwoni, panie Luo. To fajnie nie wiedzieć, gdzie się jest.

– Dlaczego?

– Bo kiedy się wie, świat staje się ciasny.

„O Boże!” – zawołał w myślach.

– Panie Luo, niech pan popatrzy, jak pięknie wygląda to wino w świetle kominka! – krzyknęła nagle.

Trunek, przez który przesączał się blask ognia, mienił się szkarłatem, który pojawia się tylko w snach.

– A jak twoim zdaniem wygląda? – zapytał ze zdenerwowaniem.

– Hmm, wydaje mi się, że jak oczy.

– Oczy zmierzchu?

– Oczy zmierzchu? To wspaniałe określenie, panie Luo.

– Zmierzchu czy świtu? Wolisz zmierzch, prawda?

– Tak. Skąd pan wiedział? Uwielbiam malować zmierzch.

Jej oczy błyszczały w blasku ognia jak kryształy, jakby pytały: „Co w tym złego?”.

Gdy następnego ranka przestał padać deszcz, Luo Ji miał wrażenie, jakby sam Bóg obmył ten rajski ogród, by przygotować go na przybycie Zhuang Yan. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła go w całej okazałości, Luo Ji nie usłyszał pisków i okrzyków, jakie często wydawały w takich sytuacjach jej rówieśniczki. Na ten wspaniały widok popadła w stan tak bezbrzeżnego zachwytu, że odjęło jej mowę i nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Widział, że jest bardziej wrażliwa na piękno natury niż inne kobiety.

– A więc naprawdę lubisz malować? – zapytał.

Gapiła się oniemiała na odległy pokryty śniegiem szczyt i dopiero po długiej chwili oprzytomniała.

– O tak! Ale gdybym wychowała się tutaj, pewnie bym nie malowała.

– A to dlaczego?

– Wyobrażam sobie różne cudowne miejsca i kiedy je maluję, czuję się tak, jakbym tam była. A w tym miejscu jest wszystko, co sobie wyobraziłam i wymarzyłam, po co więc byłby potrzebny obraz?

– To prawda. Gdy piękno, które sobie wyobrażamy, staje się rzeczywistością, to naprawdę… – Umilkł i zerknął na Zhuang Yan, wyglądającą na tle wschodzącego słońca jak anioł, który zstąpił z jego snu. Jego serce przepełniało szczęście falujące jak roziskrzona powierzchnia jeziora. Nikt w ONZ ani w ROP nie przypuszczałby, że taki może być jeden ze skutków programu Wpatrujących się w Ścianę. Luo Ji nie przejąłby się, gdyby się dowiedział, że zaraz umrze.

– Panie Luo, skoro wczoraj tak mocno padało, to dlaczego deszcz nie zmył śniegu z tego szczytu? – zapytała.

– Bo padał poniżej linii śniegu. Na tym szczycie śnieg leży przez cały rok. Tutejszy klimat jest zupełnie inny niż w Chinach.

– Był pan na tej górze?

– Nie. Jestem tutaj od niedawna. – Zauważył, że dziewczyna ani na chwilę nie oderwała wzroku od góry. – Lubisz ośnieżone szczyty?

Skinęła głową.

– No to jedźmy tam.

– Naprawdę? Kiedy? – krzyknęła podekscytowana.

– Możemy ruszać zaraz. Prowadzi stąd droga prosto do podnóża gór, więc jeśli wyjedziemy teraz, wrócimy przed wieczorem.

– A co z pracą? – Zhuang Yan oderwała wzrok od góry i spojrzała na Luo Ji.

– Pracę można na razie odłożyć. Dopiero przyjechałaś – odparł zdawkowo.

– No… – Przekrzywiła głowę na bok, a na jej twarzy pojawił się ten wyraz naiwności, który widział już tyle razy. – Panie Luo, muszę wiedzieć, co mam tu robić.

Spojrzał w dal i przez kilka sekund się zastanawiał, a potem rzekł zdecydowanym tonem:

– Powiem ci, kiedy dojedziemy do gór.

– Wspaniale! Wobec tego powinniśmy wyjeżdżać, tak?

– Tak. Będzie łatwiej, jeśli popłyniemy łodzią na drugi brzeg jeziora i tam przesiądziemy się do samochodu.

Poszli na koniec pomostu. Luo Ji stwierdził, że jest dogodny wiatr, więc mogą wziąć żaglówkę. Wieczorem zmieni się kierunek wiatru i będą mogli go złapać w żagiel w drodze powrotnej. Podał jej rękę, by pomóc wsiąść do łodzi. Dotknął jej po raz pierwszy i okazało się, że jej dłonie są dokładnie takie jak te, które objął w wyobraźni w tamtą zimową noc, miękkie i chłodne. Była miło zaskoczona, gdy podniósł biały spinaker. Kiedy odpływali od pomostu, zanurzyła dłoń w wodzie.

– Woda jest bardzo zimna – powiedział.

– Ale taka czysta i przejrzysta!

„Jak twoje oczy” – pomyślał, a głośno rzekł:

– Dlaczego lubisz ośnieżone szczyty?

– Lubię tradycyjne malarstwo chińskie.

– Co to ma wspólnego z ośnieżonymi szczytami?

– Panie Luo, wie pan, na czym polega różnica między tradycyjnymi obrazami chińskimi a obrazami olejnymi? Obrazy olejne są pełne głębokich kolorów. Pewien mistrz powiedział kiedyś, że na obrazie olejnym biel jest tak cenna jak złoto. W malarstwie tradycyjnym jest inaczej. Na obrazach jest dużo pustego miejsca, a pusta przestrzeń kształtuje oko malarza. Sceneria obrazu jest tylko bordiurą tej pustej przestrzeni. Niech pan spojrzy na ten pokryty śniegiem szczyt. Czy nie wygląda on jak pusta przestrzeń na tradycyjnym obrazie?

Do tej pory nie mówiła tak dużo. Teraz pouczała Wpatrującego się w Ścianę, jakby był jakimś uczniakiem, nie zdając sobie sprawy, że jest to nie na miejscu.

„Jesteś jak pusta przestrzeń na tradycyjnym obrazie – czysta, ale dla doświadczonego oka nieskończenie pociągająca” – myślał, patrząc na nią.

Łódź przybiła do pomostu na drugim brzegu, gdzie obok drzew zaparkowany był dżip z odkrytym dachem. Kierowca, który go tam postawił, zniknął.

– To samochód wojskowy? – zapytała, kiedy do niego wsiadali. – Kiedy tu przyleciałam, widziałam żołnierzy i musiałam przejść przez trzy posterunki.

– To nieważne. Nie będą nam przeszkadzali – odparł, uruchamiając silnik.

Droga wiodąca przez las była wąska i wyboista, ale samochód pokonywał ją gładko. W lesie, gdzie nie uniosła się jeszcze poranna mgła,

między wysokie sosny przenikały snopy światła słonecznego i mimo hałasu silnika słyszeli śpiew ptaków siedzących na drzewach. Lekki wietrzyk rozwiewał włosy Zhuang Yan i omiatał nimi twarz Luo Ji, a ich dotyk przypominał mu zimową podróż sprzed dwóch lat.

Otoczenie było zupełnie inne niż na górze Taihang i pokrytych śniegiem równinach północnych Chin, ale marzenia, które snuł podczas tamtej wyprawy, połączyły się tak ściśle z rzeczywistością obecnego dnia, że trudno mu było uwierzyć, iż to wszystko dzieje się naprawdę.

Odwrócił się, by spojrzeć na Zhuang Yan, i zobaczył, że ona też na niego patrzy. Wydawało się, że jest tam od dawna. W jej spojrzeniu ciekawość łączyła się z życzliwością i niewinnością. Na jej twarzy i ciele igrały promienie słońca. Kiedy zobaczyła, że Luo Ji spogląda na nią, nie odwróciła wzroku.

– Panie Luo, naprawdę może pan pokonać kosmitów? – zapytała.

Jej dziecinna naturalność zupełnie zbiła go z tropu. Nikt oprócz niej nie zadałby Wpatrującemu się w Ścianę takiego pytania, a przecież znali się tak krótko.

– Zhuang Yan, istotą programu Wpatrujących się w Ścianę jest zawarcie rzeczywistej strategii ludzkości w umyśle jednej osoby, jedynym miejscu na świecie, do którego sofony nie mają dostępu. ONZ musiała wybrać kilka osób, ale to nie znaczy, że te osoby są supermenami. Supermeni nie istnieją.

– A dlaczego wybrano pana?

To pytanie było jeszcze bardziej obcesowe i szokujące niż poprzednie, ale w ustach Zhuang Yan zabrzmiało naturalnie, bo przez jej czyste jak kryształ serce przenikał każdy słoneczny promień.

Luo Ji zwolnił i zatrzymał samochód. Patrzyła na niego ze zdumieniem, gdy wbił wzrok w plamy słońca na drodze.

– Wpatrujący się w Ścianę są najmniej godnymi zaufania ludźmi na świecie. Największymi łgarzami.

– To wasze zadanie.

Kiwnął głową.

– Mimo to powiem ci prawdę, Zhuang Yan. Proszę, uwierz mi.

Teraz ona skinęła głową.

– Proszę mówić dalej, panie Luo. Wierzę panu.

Przez chwilę milczał, co zwiększyło wagę słów, które potem wypowiedział:

– Nie wiem, dlaczego zostałem wybrany. – Odwrócił się do niej. – Jestem zwykłym człowiekiem.

Ponownie skinęła głową.

– To musi być bardzo trudne.

Te słowa i niewinne spojrzenie Zhuang Yan sprawiły, że jeszcze raz napłynęły mu łzy do oczu. Po raz pierwszy odkąd został Wpatrującym się w Ścianę, uzyskał takie potwierdzenie. Oczy tej dziewczyny były dla niego rajem, w jej czystym spojrzeniu nie widział ani śladu tego, co w spojrzeniach wszystkich innych osób kierowanych na Wpatrującego się w Ścianę. Jej uśmiech też był rajem. Nie był to znaczący uśmiech Wpatrującego się w Ścianę, lecz niewinny uśmiech, który niczego nie skrywał.

– Będzie trudno, ale chciałbym to ułatwić… Tu wszystko. Tu kończy się prawda. Teraz wrócimy do stanu Wpatrującego się w Ścianę – powiedział, uruchamiając silnik.

Jechali dalej w milczeniu, dopóki las się nie przerzedził, a nad głową nie pojawiło się błękitne niebo.

– Panie Luo, niech pan spojrzy! – krzyknęła Zhuang Yan. – Orzeł!

– A tam jeleń! – Wskazał go na tyle szybko, by odwrócić jej uwagę, bo wiedział, że obiekt na niebie nie jest orłem, lecz dronem patrolującym. Przypomniało mu to o Shi Qiangu. Wyjął telefon i wybrał jego numer.

– Cześć, bracie Luo – odezwał się Shi Qiang. – A więc w końcu przypomniałeś sobie o mnie, co? Najpierw powiedz mi, jak się sprawuje Yan Yan?

– Świetnie. Wspaniale. Cudownie. Dziękuję!

– To dobrze. No to wychodzi na to, że zakończyłem moje ostatnie zadanie.

– Ostatnie? Gdzie jesteś?

– Z powrotem w domu. Przygotowuję się do hibernacji.

– Co?

– Mam białaczkę. Udaję się w przyszłość, by ją wyleczyć.

Luo Ji nacisnął stopą na hamulec i gwałtownie zatrzymał samochód. Zhuang Yan krzyknęła. Spojrzał na nią zaniepokojony, ale kiedy zobaczył, że nic jej nie jest, powrócił do rozmowy z Shi Qiangiem.

– Eee… kiedy to się stało?

– Podczas wykonywania jednego z poprzednich zadań zostałem napromieniowany i w ubiegłym roku zachorowałem.

– Mój Boże! Chyba nie zwlekałeś z hibernacją z mojego powodu?

– W takim stanie jak mój zwłoka nie gra roli. Kto wie, jakie leki będą w przyszłości?

– Naprawdę jest mi przykro, Da Shi.

– Ech, nieważne. Taka robota. Nie zawracałem ci tym głowy, bo myślę, że spotkamy się w przyszłości. Ale na wypadek gdybyśmy się nie spotkali, chciałbym ci coś powiedzieć.

– Proszę.

Po długim milczeniu Shi Qiang rzekł:

– „Są trzy rzeczy na świecie niegodne syna, a najgorszą jest brak potomka”[12]. Bracie Luo, ciągłość rodu Shi za czterysta lat jest w twoich rękach.

Rozmowa została zakończona. Luo Ji spojrzał w niebo. Dron zniknął. Pusty pas błękitu był odzwierciedleniem jego serca.

– Rozmawiał pan z wujkiem Shi? – zapytała Zhuang Yan.

– Tak. Poznałaś go?

– Poznałam. To miły człowiek. Tamtego dnia rozcięłam mu przypadkowo skórę na dłoni i krwawienie nie chciało ustać. To było naprawdę straszne.

– Och… powiedział ci coś?

– Powiedział, że zajmuje się pan najważniejszą sprawą na świecie, i poprosił mnie, żebym panu pomogła.

Las się skończył i między nimi a górą został tylko obszar porośnięty trawą. Zredukowany do kolorów srebra i zieleni, świat stał się prosty i czysty i w oczach Luo coraz bardziej upodabniał się do siedzącej obok niego dziewczyny. Dostrzegł w jej spojrzeniu nutę melancholii i usłyszał, że lekko wzdycha.

– Co się stało, Yan Yan? – zapytał. Zwrócił się tak do niej po raz pierwszy, ale pomyślał: „Skoro może ją tak nazywać Da Shi, to dlaczego nie mogę tego zrobić ja?”.

– Świat jest taki piękny, ale gdy się pomyśli, że pewnego dnia może tu nie być nikogo, robi się smutno na sercu.

– Przecież będą tu kosmici.

– Nie sądzę, żeby cenili piękno.

– Dlaczego tak uważasz?

– Mój ojciec mówił, że ludzie wrażliwi na piękno są z natury dobrzy, a ci, którzy nie są dobrzy, nie cenią piękna.

– Ich stosunek do ludzi jest racjonalny. Robią to dla przetrwania swojego gatunku i nie ma to nic wspólnego z dobrem ani ze złem.

– Pierwszy raz słyszę coś takiego. Zobaczy ich pan, panie Luo, prawda?

– Być może.

– Jeśli rzeczywiście są tacy, jak pan mówi, i pokona ich pan w bitwie w dniu Sądu Ostatecznego, to czy mógłby pan… – Przekrzywiła głowę, by na niego spojrzeć, i zawahała się.

Chciał już odpowiedzieć, że możliwość, iż do tego dojdzie, jest praktycznie zerowa, ale się pohamował i zapytał:

– Czy mógłbym co?

– Dlaczego musi pan wypędzać ich w przestrzeń kosmiczną na pewną śmierć? Nie może pan im dać trochę ziemi i pozwolić koegzystować z nami? Czy nie byłoby to wspaniałe?

Luo Ji bił się przez chwilę ze swoimi emocjami, po czym wskazał na niebo i powiedział:

– Yan Yan, nie tylko ja słyszałem, co przed chwilą powiedziałaś.

Zdenerwowana Zhuang Yan spojrzała w górę.

– Och, racja. Wokół nas musi być masa sofonów.

– Być może usłyszał cię sam najwyższy konsul trisolariański.

– I wszyscy śmiejecie się ze mnie, tak?

– Nie. Wiesz, Yan Yan, co teraz myślę? – Miał wielką ochotę ująć jej szczupłą lewą dłoń, którą położyła obok kierownicy, ale zapanował nad tym odruchem. – Otóż myślę, że właśnie ty jesteś osobą, która mogłaby rzeczywiście ocalić świat.

– Ja? – Wybuchnęła śmiechem.

– Tak, ty, tyle że to nie wystarczy. A raczej nie ma wystarczająco dużo takich ludzi jak ty. Gdyby choć jedna trzecia ludzkości była do ciebie podobna, to może Trisolarianie przystąpiliby do negocjacji z nami

w sprawie możliwości współistnienia na tym świecie. A tak… – Głęboko westchnął.

Zhuang Yan uśmiechnęła się bezradnie.

– Wcale nie było mi łatwo, panie Luo. Gdy opuściłam po uzyskaniu dyplomu uczelnię i ruszyłam w szeroki świat, czułam się jak ryba wpływająca do oceanu, w którym woda była tak mętna, że nic nie widziałam. Chciałam znaleźć się tam, gdzie woda jest czyściejsza, ale to pływanie mnie męczyło…

„Szkoda, że nie mogę ci pomóc znaleźć się w tych czyściejszych wodach” – pomyślał.

Droga zaczęła się piąć pod górę i w miarę jak wjeżdżali wyżej, roślinność stawała się coraz rzadsza i zaczęły się pojawiać nagie czarne skały. Na pewnym odcinku zdawało się im, że jadą po powierzchni Księżyca. Jednak wkrótce przekroczyli linię śniegu i zewsząd otoczyła ich biel, a powietrze zrobiło się chłodne. Luo wyjął kurtki z torby podróżnej na tylnym siedzeniu, włożyli je i ruszyli dalej.

Krótko potem dotarli do stojącego pośrodku drogi znaku z ostrzeżeniem: ZAGROŻENIE LAWINOWE. DROGA ZAMKNIĘTA. Wysiedli więc z samochodu i podeszli do śniegu leżącego obok drogi.

Słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, a skały rzucały długie cienie na ośnieżone zbocza. Czysty śnieg miał niebieskawe, niemal fluoryzujące zabarwienie. Poszarpane szczyty w oddali były nadal skąpane w słońcu i srebrzyście połyskiwały. Światło to zdawało się wydobywać ze śniegu, jakby to nie słońce, lecz ta góra oświetlała cały świat.

– No to teraz cały obraz jest pusty – powiedział, zataczając ręką łuk.

Zhuang Yan chłonęła biały świat wokół nich.

– Panie Luo, prawdę mówiąc, namalowałam kiedyś coś takiego. Z daleka wyglądało to jak biały arkusz papieru, niemal zupełnie pusty, ale kiedy

podeszło się bliżej, w lewym dolnym rogu widać było cienkie trzciny, a w górnym prawym ślad znikającego ptaka. W środku dwie nieskończenie małe postaci ludzkie… To obraz, z którego jestem najbardziej dumna.

– Wyobrażam go sobie. Musi być wspaniały… A więc, Zhuang Yan, skoro znaleźliśmy się już w tym pustym świecie, chcesz się dowiedzieć, na czym ma polegać twoja praca?

Kiwnęła głową, ale wyglądała na zaniepokojoną.

– Wiesz o programie Wpatrujących się w Ścianę i wiesz, że jego powodzenie zależy od jego niezrozumiałości. Po jego dopracowaniu nikt na Ziemi ani na Trisolaris, oprócz samego Wpatrującego się w Ścianę, go nie zrozumie. A zatem, Zhuang Yan, bez względu na to, jak niewytłumaczalne wyda ci się to, czego od ciebie oczekuję, twoja praca jest ważna. Nie usiłuj pojąć jej sensu, tylko staraj się wykonywać ją jak najlepiej.

Kiwnęła nerwowo głową.

– Rozumiem. – Potem się roześmiała. – To znaczy nie rozumiem, ale zrobię, co mi pan każe.

Gdy patrzył na nią, stojącą wśród śniegu, biel straciła wymiary, świat wokół zniknął i została tylko ona. Przed dwoma laty, kiedy ożyła literacka postać, którą stworzył, Luo Ji poznał smak miłości. Teraz, w pustej przestrzeni tego wspaniałego dzieła natury, zrozumiał jej tajemnicę.

– Zhuang Yan, twoim zadaniem jest stać się szczęśliwą.

Jej oczy się rozszerzyły.

– Musisz się stać najszczęśliwszą kobietą na Ziemi. To część planu Wpatrującego się w Ścianę.

Blask bijący ze szczytu, który oświetlał ich świat, odbijał się w jej oczach i ukazywał kłębiące się w niej skomplikowane uczucia. Pokryta śniegiem góra wchłonęła wszystkie dźwięki świata zewnętrznego. Luo Ji

czekał cierpliwie w tej ciszy, aż w końcu Zhuang Yan zapytała jakby z bardzo daleka:

– Wobec tego… co powinnam robić?

Luo Ji się ożywił.

– Co chcesz! Jutro albo dziś wieczorem, gdy wrócimy, możesz iść, gdziekolwiek chcesz, i robić, co ci się podoba, żyć, jak chcesz. Jako Wpatrujący się w Ścianę pomogę ci to wszystko zrealizować.

– Ale… – Spojrzała na niego bezradnie. – Panie Luo, ja… ja niczego nie potrzebuję.

– To niemożliwe. Każdy czegoś potrzebuje! Czy młodzi ludzie nie gonią zawsze za czymś?

– Czy kiedykolwiek za czymś goniłam? – Potrząsnęła powoli głową. – Nie sądzę.

– No tak. Taka beztroska młoda kobieta jak ty być może nie potrzebowała za niczym gonić. Ale musisz mieć przynajmniej jakieś marzenie. Lubisz malować, więc może chciałabyś, żebyśmy urządzili wystawę twoich prac w największej galerii sztuki albo w największym muzeum na świecie?

Roześmiała się, jakby Luo Ji był niemądrym dzieckiem.

– Ja maluję dla siebie, panie Luo. Nigdy o czymś takim nie myślałam.

– A więc dobrze. Musiałaś marzyć o miłości – powiedział bez wahania. – Masz teraz środki, więc może postarasz się ją znaleźć?

Zachodzące słońce zabierało światło z ośnieżonego szczytu. Oczy Zhuang Yan pociemniały, jej mina złagodniała.

– Panie Luo, to nie jest coś, czego się szuka – odparła.

– To prawda. – Uspokoił się i kiwnął głową. – Wobec tego co powiesz na to: nie myśl o odległej przyszłości, myśl tylko o jutrze. O jutrze, dobrze?

Gdzie chcesz iść jutro? Co chcesz robić? Co sprawi ci jutro radość? Na pewno coś przyjdzie ci do głowy.

Zastanawiała się przez chwilę i w końcu zapytała z wahaniem:

– Jeśli panu powiem, to naprawdę sprawi pan, że tak się stanie?

– Oczywiście. Powiedz.

– Wobec tego, panie Luo, może mnie pan zabrać do Luwru?

Gdy Tyler zdjął opaskę z twarzy, musiał zmrużyć oczy, bo jego wzrok nie przystosował się jeszcze do światła. Pomimo jasnych lamp przymocowanych do skalnych ścian tej górskiej jaskini było tu ciemno, prawdę mówiąc, bardzo ciemno, bo ściany pochłaniały światło. Wyczuł zapach środka antyseptycznego i zauważył, że jaskinia jest urządzona jak szpital polowy: znajdowało się tam mnóstwo otwartych aluminiowych pojemników zawierających starannie zapakowane leki, a także butle z tlenem, małe szafki z aparaturą wytwarzającą odkażające promieniowanie nadfioletowe, ruchome lampy operacyjne, w których świetle nic nie rzucało cienia, i inne przenośne urządzenia medyczne, najwyraźniej aparaty rentgenowskie i defibrylatory. Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby zostało właśnie rozpakowane i mogło w każdej chwili znaleźć się ponownie w skrzyniach. Zobaczył wiszące na ścianie dwa karabiny szturmowe, ale ponieważ miały podobny kolor jak skały, łatwo je było przeoczyć. Koło niego przeszli mężczyzna o kamiennej twarzy i kobieta. Nie mieli na sobie białych szpitalnych kitli, ale na pewno byli to lekarz i pielęgniarka.

Łóżko stojące obok wejścia do jaskini było morzem bieli – wiszące za nim zasłony, starzec pod kołdrą, jego długa broda, turban na jego głowie, a nawet jego twarz, to wszystko było białe. Światło w tym miejscu było podobne do światła świecy – przyciemniało nieco tę biel i rzucało złoty

blask na resztę, przekształcając tę scenę w klasyczny obraz olejny przedstawiający świętego.

Tyler splunął w myślach.

„Niech to szlag! Jak do tego doszło?”

Starał się zapanować nad bólem w biodrze i w przyśrodkowej części uda, kiedy szedł dostojnym, równym krokiem. Zbliżył się do łóżka i stanął przed człowiekiem, o którego znalezieniu on sam i jego rząd marzyli przez wiele lat. Trudno mu było uwierzyć, że dzieje się to naprawdę. Spojrzał na jego twarz. Rzeczywiście była taka, jak zawsze mówiono w środkach przekazu – najłagodniejsza na świecie.

Człowiek faktycznie jest dziwnym stworzeniem.

– Jestem zaszczycony, że mogę się z panem spotkać – powiedział z lekkim ukłonem.

– Podobnie jak ja – odparł tamten uprzejmie. Nie poruszył się, ale jego głos, choć słaby jak u niemowlęcia, mógł obezwładnić potęgę niczym wiotka, lecz niedająca się przerwać przędza pajęcza. Wskazał gestem dłoni łóżko i Tyler przysiadł delikatnie na jego brzegu, nie wiedząc, czy ma traktować to jako grzeczność, czy nie. No ale w końcu nie było tam krzesła. – Musi pan być zmęczony – rzekł starzec. – Pierwszy raz jechał pan na mule?

– Nie. Jechałem już na mule podczas wycieczki do Wielkiego Kanionu. – Chociaż wtedy nogi nie bolały go tak jak teraz. – Dobrze się pan czuje?

Starzec wolno pokręcił głową.

– Na pewno widzi pan, że już długo nie pożyję. – Nagle w jego głęboko osadzonych oczach pojawił się wyraz rozbawienia. – Jest pan chyba ostatnią osobą, która chciałaby, żebym umarł z powodu choroby. Jest mi naprawdę przykro.

Ironia zawarta w tym ostatnim zdaniu ubodła Tylera, ale była to prawda. Kiedyś to, że ten człowiek umrze z powodu choroby albo ze starości, było jedną z jego największych obaw. Sekretarz obrony wiele razy się modlił, by tego starca dosięgnął amerykański pocisk manewrujący albo kula snajpera z sił specjalnych, zanim zejdzie on ze świata z przyczyn naturalnych, nawet gdyby miało się to stać na minutę przed jego zgonem. Naturalna śmierć byłaby jego największym zwycięstwem, świadectwem niepowodzenia wojny z terroryzmem. Nawet teraz był on bliski triumfu. Oczywiście nadarzyło się kilka okazji. Kiedyś dron Predator zrobił zdjęcie, na którym człowiek ten stał na dziedzińcu meczetu w północnym Afganistanie. Już samo spuszczenie na niego tego drona zmieniłoby bieg historii, nie wspominając o tym, że owego dnia był on uzbrojony w pociski Hellfire. Jednak młodemu oficerowi, który pełnił wówczas służbę, zabrakło odwagi, by po zidentyfikowaniu poszukiwanego podjąć samodzielnie decyzję o ataku. Zamiast tego złożył meldunek, który wędrował po kolejnych szczeblach drabiny służbowej, i gdy w końcu ponownie zweryfikowano informację, cel zniknął. Tyler, którego zerwano z łóżka, wściekł się i roztrzaskał cenną porcelanową wazę.

Tyler chciał uniknąć niezręcznego tematu, więc położył na łóżku teczkę.

– Mam dla pana drobny prezent – powiedział, otwierając ją. Wyjął zestaw książek w twardej oprawie. – To najnowszy przekład arabski.

Starzec wyciągnął z trudem chudą jak patyk rękę i wziął tom leżący na samym spodzie.

– A, czytałem tylko pierwszą trylogię. Poprosiłem kogoś, by kupił mi pozostałe części, ale najpierw nie miałem czasu ich przeczytać, a potem je straciłem… Wspaniale, dziękuję panu. Bardzo je lubię.

– Jest taka legenda, że nazwał pan swoją organizację w nawiązaniu do tytułu tego cyklu[13].

Starzec odłożył delikatnie książkę na bok i uśmiechnął się.

– I niech to pozostanie legendą. Wy macie bogactwo i technikę, my tylko legendy.

Tyler podniósł książkę, którą tamten odłożył, i nachylił się do niego jak pastor trzymający Biblię.

– Przybyłem tu, żeby zrobić z pana Seldona.

W oczach starca ponownie pojawił się wyraz rozbawienia.

– O! A co musiałbym robić?

– Niech pan pozwoli swojej organizacji przetrwać.

– Do kiedy?

– Do bitwy w dniu Sądu Ostatecznego, do której dojdzie za cztery wieki.

– Myśli pan, że to możliwe?

– Tak, jeśli nadal będzie się rozwijać. Niech jej duch przeniknie do sił kosmicznych i niech pana organizacja zostanie na zawsze ich częścią.

– A ceni ją pan tak wysoko, bo…? – Sarkazm w głosie starca stał się silniejszy.

– Bo jest jedną z nielicznych sił zbrojnych ludzkości, które używają życia jako broni. Wie pan, rozwój nauk podstawowych został zahamowany przez sofony, co z kolei ogranicza rozwój informatyki i badań nad sztuczną inteligencją. Podczas bitwy w dniu Sądu Ostatecznego myśliwce kosmiczne będą pilotowali ludzie, a to wymaga armii, którą przenika ten duch. Pioruna kulistego można użyć tylko w walce z bliska.

– Co pan jeszcze przywiózł oprócz tych książek?

Tyler wstał podekscytowany.

– To zależy od tego, czego pan potrzebuje. Jeśli może pan zapewnić, że pana organizacja przetrwa, mogę dać panu, co pan zechce.

Starzec skinął na niego, by z powrotem usiadł.

– Współczuję panu. Mimo że minęło tyle lat, nadal nie wie pan, jakie są nasze prawdziwe potrzeby.

– Może mi pan powiedzieć.

– Broń? Pieniądze? Nie, nie. To, czego nam potrzeba, jest dużo cenniejsze. Ta organizacja istnieje nie po to, by osiągnąć ambitne cele Seldona. Nie da się skłonić zdrowej psychicznie, racjonalnie myślącej osoby, by w to uwierzyła i oddała za to życie. Nasza organizacja istnieje dlatego, że ma coś, co jest dla niej jak powietrze, coś, bez czego natychmiast by się rozpadła.

– Co to takiego?

– Nienawiść.

Tyler milczał.

– Z jednej strony, dzięki wspólnemu wrogowi nasza nienawiść do Zachodu osłabła. Z drugiej, ludzkość, którą Trisolarianie chcą zniszczyć, obejmuje też znienawidzony Zachód, więc z rozkoszą zginęlibyśmy razem z wami. A więc nie żywimy nienawiści do Trisolarian. – Starzec rozłożył ręce. – Widzi pan, nienawiść jest skarbem cenniejszym niż złoto czy diamenty, jest najostrzejszą bronią na świecie, ale teraz zniknęła. Nie jest pańską własnością i nie można jej panu zwrócić. A zatem moja organizacja, tak jak ja, nie przetrwa już długo.

Tyler nadal zachowywał milczenie.

– A jeśli chodzi o Seldona, to powiedziałbym, że jego plan jest niewykonalny.

Tyler westchnął i usiadł wygodniej na łóżku.

– To znaczy, że zna pan zakończenie tego cyklu?

Starzec uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Nie, nie znam, tylko tak myślę. Co? W książce plan Seldona się nie powiódł? Jeśli tak, to autor jest wyjątkowym człowiekiem. Skłonny byłem

przypuszczać, że napisał szczęśliwe zakończenie. Oby Allah go chronił!

– Asimov nie żyje już od wielu lat.

– Ach, mędrcy zawsze umierają młodo. Oby trafił do nieba, któregokolwiek…

Większą część drogi powrotnej Tyler przebył bez opaski na oczach, dzięki czemu mógł przyjrzeć się stromym i nagim górom Afganistanu. Młody mężczyzna, który prowadził jego muła, zaufał mu nawet na tyle, że zostawił karabin szturmowy przy siodle, tuż obok dłoni Tylera.

– Zabiłeś kogoś z tej broni? – zapytał Wpatrujący się w Ścianę.

Młodzieniec nie zrozumiał, ale odpowiedział za niego jego starszy, nieuzbrojony towarzysz:

– Nie. Od dawna nie toczyliśmy walk.

Młodzieniec spojrzał pytająco na Tylera. Nie miał brody na dziecinnej twarzy, a jego oczy były tak czyste jak niebo nad Azją Zachodnią.

„Mamo, będę ćmą lecącą w ogień”.

Na czwartym spotkaniu ROP w sprawie programu Wpatrujących się w Ścianę Tyler, przedstawiając szczegóły swego planu roju komarów, wydawał się zmęczony długą podróżą.

– Chcę, żeby każdy myśliwiec we flocie komarów był wyposażony w dwa systemy sterowania: tryb prowadzenia przez pilota i tryb naprowadzania bezzałogowego. Przejście na tryb naprowadzania bezzałogowego pozwoli mi panować nad wszystkimi myśliwcami floty.

– Jest pan bardzo bezpośredni – zadrwił Hines.

– Będę mógł rozkazać flocie utworzyć rój komarów i lecieć do strefy walki, a potem przegrupować się i wrócić do poprzedniej formacji. Kiedy zbliży się do wroga, polecę modułowi broni każdego myśliwca, by wybrał

cel i automatycznie zaatakował. Przypuszczam, że nawet przy zahamowaniu podstawowych badań fizycznych technologia wytwarzania sztucznej inteligencji rozwinie się w ciągu następnych trzystu lat na tyle, by było to możliwe.

– Czy to znaczy, że zamierza się pan poddać hibernacji do czasu bitwy w dniu Sądu Ostatecznego i potem bezpośrednio dowodzić podczas niej flotą?

– A czy mam wybór? Wiecie, że niedawno byłem w Japonii, Chinach i Afganistanie i nie znalazłem tam tego, czego szukałem.

– I złożył pan komuś wizytę – zauważył przedstawiciel USA.

– Zgadza się. Widziałem się z nim. Ale… – Tyler westchnął z rezygnacją. – Nic z tego nie wyszło. Nadal będę się starał utworzyć flotę myśliwców kierowanych przez oddanych pilotów, ale jeśli mi się nie uda, sam poprowadzę ją do ostatecznego ataku.

Nikt się nie odezwał. Gdy chodziło o bitwę w dniu Sądu Ostatecznego, na ogół wszyscy wybierali milczenie.

– Mam jeszcze jedno uzupełnienie do planu roju komarów – ciągnął Tyler. – Chcę podjąć własne badania pewnych ciał w Układzie Słonecznym, w rejonach, które sam wybiorę. Wśród tych ciał znajdą się Europa, Ceres i kilka komet.

– Jaki ma to związek z flotą myśliwców kosmicznych? – zapytał ktoś z zebranych.

– Czy muszę odpowiadać na to pytanie? – rzekł Tyler, spoglądając na przewodniczącego.

Nikt się nie odezwał. Oczywiste było, że nie musi.

– Na koniec mam jedno zalecenie. ROP i wszystkie kraje na Ziemi powinny ograniczyć ataki na RZT.

Rey Diaz zerwał się z fotela.

– Panie Tyler, nawet jeśli pan twierdzi, że to część pańskiego planu, stanowczo się sprzeciwiam tej oburzającej propozycji!

Tyler potrząsnął głową.

– To nie jest część mojego planu. Nie ma ona absolutnie nic wspólnego z programem Wpatrujących się w Ścianę. Powód, dla którego ją zgłaszam, jest oczywisty: jeśli będziemy kontynuowali ataki na Ruch na rzecz Ziemskiej Trisolaris, to za dwa czy trzy lata możemy go zupełnie zlikwidować, a wtedy stracimy jedyny bezpośredni kanał komunikacji między Ziemią i Trisolaris. Stracimy najważniejsze źródło informacji wywiadowczych o wrogu. Jestem pewien, że zdajecie sobie sprawę, jakie będą tego skutki.

– Zgadzam się – rzekł Hines. – Ale tej propozycji nie powinien zgłaszać Wpatrujący się w Ścianę. W opinii ogółu my trzej stanowimy jedność, więc proszę, by miał pan na względzie naszą reputację.

Spotkanie zakończyło się nierozstrzygniętymi sporami, ale osiągnięto porozumienie, zgodnie z którym ROP miała przestudiować trzy poprawki do planu Tylera i na następnym przesłuchaniu poddać je pod głosowanie.

Gdy inni wychodzili z sali posiedzeń, Tyler nadal siedział na miejscu i w końcu został sam. Po długiej podróży czuł się wyczerpany i śpiący. Kiedy rozejrzał się po pustej sali, uświadomił sobie nagle, że przeoczył jedno zagrożenie: musiał znaleźć lekarza albo psychologa i specjalistę od zaburzeń snu.

Musiał znaleźć kogoś, kto powstrzyma go przed mówieniem przez sen.

Luo Ji i Zhuang Yan podeszli do głównego wejścia do Luwru o dziesiątej wieczorem. Kent poradził im, by zwiedzili muzeum nocą, bo wtedy będzie im można zapewnić skuteczniejszą ochronę.

Najpierw zobaczyli szklaną piramidę, osłoniętą przed nocnym gwarem Paryża budynkiem pałacowym w kształcie litery U. W wodnistym świetle księżyca wyglądała, jakby była zrobiona ze srebra.

– Panie Luo, nie ma pan wrażenia, że przyleciała tu z kosmosu? – zapytała Zhuang Yan, wskazując piramidę.

– Każdy odnosi takie wrażenie – odparł Luo Ji.

– Na pierwszy rzut oka nie pasuje do tego miejsca, ale im dłużej się na nią patrzy, tym bardziej integralną jego częścią się wydaje.

„Spotkanie dwóch zupełnie różnych światów” – pomyślał Luo Ji, ale nie powiedział tego głośno.

Potem cała piramida rozświetliła się, zmieniając barwę ze srebra zalanego poświatą księżyca na lśniące złoto. Jednocześnie z otaczających ją basenów trysnęły fontanny, wzbijając w górę wysokie słupy wody i światła. Zaniepokojona przebudzeniem się Luwru na ich przybycie Zhuang Yan spojrzała w popłochu na Luo Ji. Przy szumie wody weszli przez piramidę do położonego pod nią holu Napoleona, a stamtąd do pałacu.

Ich pierwszym celem była największa sala wystawowa. Miała dwieście metrów długości i była łagodnie oświetlona, a w tej pustce niosły się echem odgłosy ich kroków. Luo Ji szybko zdał sobie sprawę, że słychać tylko jego kroki, bo Zhuang Yan stąpała cicho jak kot albo jak dziecko w baśni, które wchodzi do zaczarowanego zamku i boi się obudzić tych, co tam śpią. Zwolnił, nie ze względu na dzieła sztuki, które go w ogóle nie interesowały, ale po to, by zwiększyła się odległość między nimi i by mógł podziwiać urodę tej Azjatki wśród przedstawień greckich bogów, aniołów i Maryi Dziewicy na obrazach olejnych. Podobnie jak szklana piramida na dziedzińcu, Zhuang Yan wkrótce wtopiła się w otoczenie i stała się częścią świętego królestwa sztuki. Bez niej temu miejscu czegoś by brakowało.

Pogrążony w marzeniach, w śnie na jawie czy w rojeniach, pozwalał, by spokojnie płynął czas.

W końcu Zhuang Yan przypomniała sobie o jego obecności, odwróciła do niego głowę i obdarzyła go uśmiechem. Poczuł się tak, jakby poraził go piorun ciśnięty w królestwo śmiertelnych z malowidła przedstawiającego Olimp.

– Słyszałem, że osobie o wyrobionym oku obejrzenie wszystkich zgromadzonych tu zbiorów zajęłoby rok – powiedział.

– Wiem – odparła po prostu, lecz jej wzrok mówił: „Co mogę zrobić?”.

Potem skupiła uwagę na obrazach. Dotąd obejrzała zaledwie pięć.

– To nieważne, Yan Yan. Dla ciebie mogę obejrzeć każdy, choćby miało to trwać rok – wyrwało mu się z ust.

Wyraźnie podekscytowana, obróciła się do niego.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– No… Był pan już tu wcześniej, panie Luo?

– Nie, ale gdy przed trzema laty przyleciałem do Paryża, poszedłem do Centrum Pompidou. Początkowo myślałem, że ty też będziesz chciała iść raczej tam.

Potrząsnęła głową.

– Nie lubię współczesnej sztuki.

– A więc to wszystko… – Rozejrzał się po starożytnych bogach, aniołach i wyobrażeniach Maryi Dziewicy. – Nie uważasz, że to jest zbyt stare?

– Nie lubię zbyt starej sztuki. Lubię tylko obrazy renesansowe.

– One też są dość stare.

– Ale mnie się takie nie wydają. Ci malarze pierwsi odkryli piękno człowieka i nawet Boga przedstawiali jako ładną osobę. Kiedy się patrzy na ich obrazy, czuje się, jaką radość sprawiało im malowanie. Taką samą, jaką

ja czułam, gdy po raz pierwszy zobaczyłam to jezioro i pokryty śniegiem szczyt.

– To dobrze, ale humanistyczny duch, który przenikał ich dzieła, stał się przeszkodą.

– Ma pan na myśli kryzys trisolariański?

– Tak. Musiałaś widzieć, co się ostatnio działo. Za czterysta lat świat po katastrofie może wrócić do średniowiecza, a ludzkość znowu znajdzie się pod wielkim uciskiem.

– A nad sztuką zapadnie długa zimowa noc, tak?

Patrząc w jej niewinne oczy, uśmiechnął się cierpko w głębi ducha. „Niemądry dzieciaku, mówisz o sztuce, a tu waży się nasz los. Jeśli ludzkość zdoła przetrwać, cofnięcie się do stanu społeczeństwa pierwotnego będzie za to niską ceną” – pomyślał, ale głośno powiedział:

– Gdy nadejdą te czasy, może nastąpić drugie odrodzenie, a wtedy mogłabyś ponownie odkryć i malować piękno.

Uśmiechnęła się ze smutkiem, najwyraźniej zrozumiawszy, co się kryje za jego słowami pociechy.

– Tylko tak sobie myślę: co się stanie z tymi dziełami sztuki po końcu świata?

– Martwisz się tym? – zapytał. Gdy wspomniała o końcu świata, zabolało go serce, ale jeśli ta ostatnia próba pocieszenia jej się nie powiodła, to był pewien, że tym razem mu się uda. Wziął ją za rękę i powiedział: – Chodźmy do działu sztuki Azji.

Przed zbudowaniem pomieszczenia pod piramidą Luwr był ogromnym labiryntem. Dotarcie do jakiejś konkretnej galerii oznaczało długą, okrężną drogę. Jednak teraz z holu Napoleona pod piramidą można było dojść wprost do dowolnego miejsca w muzeum. Luo Ji i Zhuang Yan wrócili do sali wejściowej, poszli za znakami prowadzącymi do działu sztuki Afryki,

Azji, Oceanii i Ameryk i znaleźli się w świecie zupełnie odmiennym od galerii klasycznego malarstwa europejskiego.

Luo Ji wskazał rzeźby, obrazy oraz stare dokumenty z Azji i Afryki i powiedział:

– To wszystko rozwinięta cywilizacja zabrała zacofanej. Niektóre z tych rzeczy zostały zagrabione, inne skradzione albo przemycone, ale popatrz tylko – wszystkie są dobrze zachowane. Nawet podczas drugiej wojny światowej zostały przewiezione w bezpieczne miejsce. – Stanęli przed freskiem z Dunhuang umieszczonym w szklanej gablocie. – Pomyśl, ile zawieruch i wojen przetoczyło się przez nasz kraj od czasu, gdy opat Wang oddał te dzieła Francuzom[14]. Czy możesz być pewna, że byłyby równie dobrze zachowane, gdyby zostały na miejscu?

– Ale czy Trisolarianie zachowają kulturowe dziedzictwo ludzkości? Nie mają dla nas ani odrobiny szacunku.

– Dlatego, że nazywają nas insektami? Ależ to znaczy coś zupełnie innego. Yan Yan, wiesz, co jest największym wyrazem szacunku dla jakiejś rasy czy cywilizacji?

– Co?

– Unicestwienie. To najwyższa forma szacunku dla cywilizacji. Oni czują się zagrożeni tylko wtedy, kiedy naprawdę szanują cywilizację.

Przeszli w milczeniu przez dwadzieścia cztery galerie sztuki azjatyckiej, wędrując przez odległą przeszłość i wyobrażając sobie ponurą przyszłość. Nawet nie zauważyli, kiedy dotarli do galerii sztuki starożytnego Egiptu.

– Wiesz, kto przychodzi mi tutaj na myśl? – Luo Ji stanął przed szklaną gablotą ze złotą maską zmumifikowanego faraona i spróbował skierować rozmowę na lżejszy temat. – Sophie Marceau.

– Z powodu *Belfegora – upiora Luwru*, tak? Sophie Marceau jest wspaniała. Ma też wschodnie rysy.

Luo Ji wyczuł w jej głosie zazdrość i urazę, choć nie wiedział, co je wywołało.

– Yan Yan, ona nie dorównuje ci urodą. Mówię prawdę.

Chciał dodać: „Może udałoby się znaleźć wśród tych dzieł sztuki portrety kobiet dorównujących jej urodą, ale twoja ją przyćmiewa”, lecz obawiał się, że mogłaby to uznać za sarkazm.

Przez jej twarz przemknął cień wstydliwego uśmiechu, tego uśmiechu, który pamiętał ze swych marzeń. U Yan Yan zobaczył go po raz pierwszy.

– Chodźmy z powrotem do tych obrazów olejnych – rzekła cicho.

Wrócili do holu Napoleona, ale zapomnieli, z którego wejścia należy skorzystać. Najbardziej widoczne znaki wskazywały drogę do trzech klejnotów pałacu: *Mony Lisy*, Wenus z Milo i Nike z Samotraki.

– Obejrzyjmy *Monę Lisę* – zaproponował.

Kiedy ruszyli w tamtym kierunku, Zhuang Yan powiedziała:

– Nasz nauczyciel mówił, że po zwiedzeniu Luwru był trochę zniesmaczony *Moną Lisą* i Wenus z Milo.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że turyści przychodzą zobaczyć te dwa obiekty, a nie przejawiają żadnego zainteresowania innymi, nie tak słynnymi, ale równie wspaniałymi dziełami sztuki.

– No to jestem jednym z tych wielkich o niewyrobionym guście.

Dotarli do portretu damy z tajemniczym uśmiechem, który znajdował się za grubą szybą ochronną i był dużo mniejszy, niż Luo Ji sobie wyobrażał. Nawet Zhuang Yan nie wyglądała na szczególnie podekscytowaną.

– Jej widok przypomina mi was wszystkich – powiedziała, wskazując na postać na obrazie.

– Nas wszystkich?

– Oczywiście Wpatrujących się w Ścianę.

– Co ona ma wspólnego z Wpatrującymi się w Ścianę?

– Zastanawiam się – to tylko takie spekulacje, więc niech się pan nie śmieje – zastanawiam się, czy moglibyśmy znaleźć formę komunikacji, którą rozumieliby tylko ludzie, a której sofony nigdy by nie pojęły. Dzięki temu ludzkość uwolniłaby się spod ich inwigilacji.

Luo Ji patrzył na nią przez kilka sekund, a potem spojrzał na *Monę Lisę*.

– Rozumiem, co masz na myśli. Jej uśmiech jest czymś, czego sofony i Trisolarianie nigdy nie rozgryzą.

– Zgadza się. Ludzkie miny, a zwłaszcza wyraz naszych oczu, bywają bardzo subtelne i złożone. Spojrzenie czy uśmiech może przekazać mnóstwo informacji. Tylko ludzie są na to wrażliwi.

– To prawda. Jednym z największych problemów, jakie mają twórcy sztucznej inteligencji, jest nauczenie jej identyfikacji wyrazu twarzy i oczu. Niektórzy eksperci uważają, że komputery być może nigdy nie nauczą się odczytywać wyrazu oczu.

– A więc stworzenie języka min i rozmawianie za pośrednictwem wyrazów twarzy i oczu jest możliwe?

Luo poważnie się nad tym zastanowił, a potem potrząsnął z uśmiechem głową. Wskazał *Monę Lisę*.

– Nie potrafimy nawet odczytać jej miny. Gdy na nią patrzę, znaczenie jej uśmiechu zmienia się co sekundę i nigdy się nie powtarza.

Podekscytowana Zhuang Yan zaczęła podskakiwać jak dziecko.

– Ale to znaczy, że wyrazem twarzy można przekazywać złożone informacje!

– A jeśli tą informacją jest: „Statek kosmiczny wyleciał z Ziemi i kieruje się na Jowisza”? Jakbyś to przekazała wyrazem twarzy?

– Gdy ludzie pierwotni zaczęli mówić, z pewnością przekazywali sobie tylko proste znaczenia. Może były nawet mniej skomplikowane niż śpiew

ptaków. Potem język stopniowo stał się bardziej złożony.

– No to postarajmy się przekazać proste znaczenie za pośrednictwem wyrazów twarzy.

– Dobrze! – Pokiwała z podnieceniem głową. – Niech każde z nas pomyśli o czymś, a potem wymienimy się tymi wiadomościami.

Luo Ji przez chwilę milczał. Potem powiedział:

– Ja już pomyślałem.

Zhuang Yan myślała dużo dłużej, ale w końcu skinęła głową.

– No to zaczynajmy.

Zaczęli się wpatrywać w siebie nawzajem, ale wytrzymali w tych pozach niecałą minutę i niemal w tej samej chwili oboje wybuchnęli śmiechem.

– Oto moja wiadomość: „Dziś wieczorem chciałbym cię zaprosić na kolację na Polach Elizejskich” – powiedział Luo Ji.

Zgięła się wpół ze śmiechu.

– A moja: „Musi pan… się ogolić!”.

– Mówimy o sprawach dotyczących losu ludzkości, powinniśmy więc zachować powagę – rzekł Luo Ji, powstrzymując śmiech.

– Tym razem nie wolno się śmiać! – powiedziała Zhuang Yan z powagą dziecka zmieniającego reguły gry.

Stanęli plecami do siebie, każde o czymś pomyślało, po czym odwrócili się i znowu popatrzyli sobie w oczy. Luo Ji z trudem powstrzymywał śmiech, ale wkrótce stało się to łatwiejsze, bo czyste spojrzenie Zhuang Yan znowu zaczęło poruszać czułe struny w jego sercu.

I tak oto Wpatrujący się w Ścianę i młoda kobieta stali w środku nocy w Luwrze przed uśmiechniętą *Moną Lisą*, patrząc sobie nawzajem w oczy.

W tamie w duszy Luo Ji pojawił się mały przeciek i ten drobny strumyczek wkrótce ją rozsadził, zamieniając się w rwącą rzekę. Luo się

przestraszył i chciał załatać wyrwę, ale było już za późno. Tama musiała nieuchronnie runąć.

Poczuł się, jakby stał na szczycie urwiska, a oczy dziewczyny były bezkresną otchłanią, zasnutą białym morzem chmur. Ale ze wszystkich stron świeciło słońce i przemieniało te chmury w feerię falujących kolorów. Czuł, że się osuwa, wprawdzie powoli, ale nie był w stanie tego powstrzymać. Wymachiwał w panice rękami i nogami, starając się znaleźć jakiś punkt zaczepienia, ale pod nim był tylko gładki lód. Potem zjeżdżał z urwiska coraz szybciej, w końcu zakręciło mu się w głowie i zaczął spadać w przepaść. W jednej chwili rozkosz spadania stała się tak wielka, że przemieniła się w ból.

Mona Lisa traciła kształt. Kształt traciły też ściany, topiąc się jak lód. Luwr się rozpadał, kamienie, z których był zbudowany, zamieniały się w roztopioną do czerwoności magmę. Gdy ta magma ogarnęła ich ciała, była chłodna jak źródlana woda. Runęli razem z Luwrem, opadali przez stopioną Europę do środka Ziemi, a gdy się tam znaleźli, świat wokół nich eksplodował i trysnął z niego deszcz iskier – wspaniałych kosmicznych fajerwerków. Potem iskry zgasły i w mgnieniu oka przestrzeń stała się krystalicznie czysta. Gwiazdy splatały swe promienie w ogromny srebrny koc, a planety drgały, wysyłając dźwięki, które układały się w piękną muzykę. Gwiazdy się zagęściły niczym wzbierająca fala. Wszechświat skurczył się i zapadł w sobie i w końcu wszystko zostało unicestwione w twórczym ogniu miłości.

– Teraz musimy przystąpić do obserwacji Trisolaris! – oznajmił generał Fitzroy doktorowi Ringierowi.

Znajdowali się w pomieszczeniu kontrolnym teleskopu kosmicznego Hubble II. Od jego zmontowania minął tydzień.

– Obawiam się, panie generale, że to niemożliwe.

– Mam wrażenie, że prowadzone obecnie obserwacje to prywatne badania, które wy, astronomowie, wykonujecie na boku.

– Gdyby to było możliwe, prowadziłbym własne badania, ale Hubble II jest nadal w stadium testów.

– Pracujecie dla wojska. Musicie tylko wykonywać rozkazy.

– Nie ma tu żadnych wojskowych oprócz pana. Postępujemy zgodnie z planem prób sporządzonym przez NASA.

– Doktorze, nie możecie użyć jako celu próbnego Trisolaris? – Ton generała złagodniał.

– Cele próbne zostały starannie wybrane zgodnie z kryteriami odległości i klasy jasności, a plan prób ułożono tak, by był maksymalnie oszczędny, więc teleskop wykonuje wszystkie próby po zaledwie jednym obrocie. Aby móc teraz obserwować Trisolaris, musielibyśmy obrócić go pod kątem prawie trzydziestu stopni i z powrotem, a to wiąże się ze zużyciem gazu pędnego. Oszczędzamy pieniądze wojska, panie generale.

– No to zobaczmy, jak je oszczędzacie. Właśnie znalazłem to w pańskim komputerze – powiedział Fitzroy, wyjmując rękę zza pleców.

Trzymał w niej wydruk zdjęcia zrobionego z lotu ptaka grupie ludzi patrzących z podnieceniem w górę. Widać było wyraźnie, że jest to ekipa z tego pomieszczenia kontrolnego, z Ringierem w środku i trzema kobietami w seksownych pozach, które mogły być dziewczynami niektórych członków tej ekipy. Nie było najmniejszych wątpliwości, że ta grupa stoi na dachu budynku, w którym mieści się pokój kontrolny. Zdjęcie było bardzo ostre, jakby pstryknięto je z wysokości dziesięciu czy

dwudziestu metrów. Od zwykłych fotografii różniło się tym, że u góry nakładał się na nie skomplikowany ciąg cyfr.

– Stoi pan w najwyższym miejscu tego budynku, panie doktorze. Nie ma tam wysięgnika jak na planie filmowym, prawda? Mówi pan, że obrócenie Hubble'a II o trzydzieści stopni kosztuje kupę pieniędzy. No to ile kosztuje obrócenie go o trzysta sześćdziesiąt stopni? Poza tym tej wartej dziesięć milionów dolarów inwestycji nie dokonano po to, żeby mógł pan pstrykać sobie i swoim dziewczynom zdjęcia z kosmosu. Mam to dodać do pańskiego rachunku?

– Panie generale, oczywiście pana rozkaz musi zostać wykonany – rzekł pospiesznie Ringier i inżynierowie natychmiast zabrali się do pracy.

Współrzędne szybko uzyskano z bazy danych. Ogromny cylinder, który miał ponad dwadzieścia metrów średnicy i ponad sto metrów długości, zaczął się wolno obracać w przestrzeni kosmicznej, robiąc panoramiczne ujęcia roju gwiazd na ekranie.

– To właśnie widzi ten teleskop? – zapytał generał.

– Nie, to tylko obraz przekazany przez system pozycjonowania. Teleskop przesyła zdjęcia, które muszą zostać poddane obróbce, by można je było oglądać.

Panoramowanie zakończyło się po pięciu minutach. Układ kontrolny poinformował, że wykonano pozycjonowanie, i po kolejnych pięciu minutach Ringier powiedział:

– Dobrze. Teraz wracamy do pozycji testowej.

– Co? – zapytał zdziwiony generał Fitzroy. – Już zrobione?

– Tak. Teraz zdjęcia są poddawane obróbce.

– Nie możecie zrobić kilku więcej?

– Panie generale, zrobiliśmy dwieście dziesięć ujęć o zmiennej ogniskowej. – W tym momencie zakończyła się obróbka pierwszego zdjęcia

i Ringier wskazał na ekran. – Proszę spojrzeć, panie generale. To jest ten wrogi świat, który tak bardzo chce pan zobaczyć.

Fitzroy nie zobaczył nic oprócz trzech aureoli na czarnym tle. Były rozmazane jak światło latarni ulicznych we mgle. To były trzy gwiazdy, które miały zdecydować o losie dwóch cywilizacji.

– A więc rzeczywiście nie możemy zobaczyć tej planety. – Fitzroy nie mógł ukryć rozczarowania.

– Oczywiście, że nie możemy. Nawet po ukończeniu montażu stumetrowego Hubble'a III będziemy mogli obserwować Trisolaris zaledwie w kilku stałych pozycjach, a i to będziemy widzieli tylko plamkę bez żadnych szczegółów.

– Ale jest tu coś jeszcze, panie doktorze. Jak pan sądzi, co to? – zapytał jeden z inżynierów, wskazując punkt blisko trzech aureoli.

Fitzroy pochylił się nad ekranem, ale niczego nie dostrzegł. To było tak niewyraźne, że mógł to zauważyć tylko ekspert.

– Ma średnicę większą niż gwiazda – powiedział inżynier.

Po kilkakrotnym powiększeniu to coś zajęło cały ekran.

– To miotła! – krzyknął zaniepokojony generał.

Laikom zawsze przychodzą do głowy lepsze terminy niż specjalistom, więc kiedy specjaliści nadają badanym przez siebie obiektom i zjawiskom nazwy, często odwołują się do punktu widzenia osób spoza swojej dziedziny. I tak oto „miotła" stała się oficjalną nazwą tej figury, bo określenie generała dobrze oddawało jej kształt – była to kosmiczna miotła, a precyzyjniej to ujmując, jej włosiana końcówka bez trzonka. Oczywiście można też było nazwać to zjeżonymi włosami.

– Na powłoce ochronnej musi być jakaś rysa! Zaznaczyłem w studium wykonalności, że mogą być problemy z klejonymi soczewkami – powiedział Ringier, potrząsając głową.

– Wszystkie powłoki zostały poddane surowym próbom. Nigdy nie doszłoby do powstania takiej rysy. Nie jest to też spowodowane żadną inną wadą. Wykonaliśmy już dziesiątki tysięcy zdjęć próbnych i nigdy wcześniej nie pojawiło się nic takiego – powiedział specjalista z zakładów Zeissa, producenta soczewek.

W pokoju kontrolnym zapanowała cisza. Wszyscy zebrali się przed ekranem i gapili się na widoczny na nim obraz, aż w końcu zrobił się taki ścisk, że niektórzy wyświetlili go na innych monitorach. Fitzroy wyczuł zmianę nastroju w pomieszczeniu. Ludzie, którzy jeszcze przed chwilą snuli się leniwie po męczących, długich próbach teleskopu, byli teraz zaniepokojeni i stali, jakby pod wpływem uroku nogi wrosły im w ziemię, tylko ich oczy robiły się coraz szersze.

– Boże! – krzyknęło jednocześnie kilka osób.

Znieruchomiała grupa zaczęła się nagle gorączkowo krzątać. Urywki rozmów, które wyłapywał Fitzroy, zawierały trochę za dużo jak dla niego terminów technicznych.

– Jest jakiś pył wokół pozycji celu? Sprawdź to…

– Nie ma potrzeby. Już to zrobiłem. Z obserwacji absorpcji tła radialnego ruchu gwiazdy wynika, że jej szczyt wynosi dwieście milimetrów. Może to być mikrocząsteczka węgla klasy gęstości F.

– Co sądzicie o wpływie zderzenia z chmurą pyłu obiektu o dużej prędkości?

– Fala rozprasza się wzdłuż osi uderzenia, ale zakres tego rozproszenia… Mamy model tego?

– Tak. Chwila… Jest. Prędkość uderzenia?

– Sto razy większa od trzeciej prędkości kosmicznej.

– Jest już tak duża?

– To ostrożny szacunek… Jeśli chodzi o przekrój miejsca uderzenia, skorzystaj z… Tak, zgadza się. Coś koło tego. To tylko przybliżone wyliczenia.

Kiedy specjaliści byli zajęci, koło Fitzroya stanął Ringier.

– Panie generale, może pan postarać się jak najdokładniej policzyć włosy w tej szczotce?

Generał skinął głową, pochylił się nad terminalem i zaczął liczyć.

Komputer potrzebował czterech do pięciu minut, by zakończyć każde obliczenie, ale było w nich wiele błędów, więc dopiero pół godziny później podał gotowe wyniki.

– Największa szerokość fali rozproszenia pyłu wynosi dwieście czterdzieści tysięcy kilometrów, czyli jest dwa razy większa od średnicy Jowisza – oznajmił astronom, który opracowywał model matematyczny.

– To ma sens – powiedział Ringier. Podniósł ręce i spojrzał na sufit, jakby patrzył przez niego w niebo. – I potwierdza wcześniejsze dane. – Lekko drżał mu głos, gdy to mówił. Potem dodał jakby sam do siebie: – A więc zostało to potwierdzone. Nie było pomyłki.

W pokoju znowu zaległa cisza, tym razem ciężka i przytłaczająca. Fitzroy chciał zapytać, co się stało, ale na widok pochylonych głów słowa nie przeszły mu przez gardło. Po chwili usłyszał ciche łkanie i zobaczył, że młody mężczyzna obok niego stara się ukryć łzy.

– Przestań, Harris. Nie jesteś tutaj jedynym, który był sceptykiem. Wszystkim nam jest trudno – rzekł ktoś.

Harris, ów młody mężczyzna, podniósł głowę i powiedział z załzawionymi oczami:

– Wiem, że sceptycyzm to tylko sposób na to, żeby zachować spokój i nie upaść na duchu, ale chciałem przeżyć życie właśnie w spokoju. Boże, teraz nawet to mi się nie uda.

Powróciła cisza.

W końcu Ringier przypomniał sobie o Fitzroyu.

– Panie generale, pozwoli pan, że wyjaśnię. Te trzy gwiazdy otacza pył międzygwiezdny. Przez ten pył przeleciała z dużą prędkością pewna liczba ciał, a ich zderzenie z pyłem pozostawiło falę jak statek na wodzie. Ta fala stale się rozszerzała i teraz osiągnęła średnicę dwukrotnie większą od średnicy Jowisza. Między nią a otaczającym ją pyłem jest minimalna różnica, wskutek czego z bliskiej odległości nie można jej dostrzec. Jest ona zauważalna dopiero tutaj, z odległości czterech lat świetlnych.

– Policzyłem te włosy. Jest ich około tysiąca – powiedział generał Fitzroy.

– Oczywiście. Ta liczba potwierdza nasze raporty wywiadowcze. Panie generale, patrzymy na flotę trisolariańską.

Odkrycie dokonane przez Hubble’a II, ostateczne potwierdzenie, że inwazja Trisolarian jest faktem, zgasiło ostatnie promyki nadziei ludzkości. Rodzaj ludzki ogarnęła nowa fala rozpaczy, paniki i chaosu. Potem zaczęły się trudne czasy. Po chwiejnej zmianie kierunku wszystko ruszyło nowym torem.

Jedyną stałą w świecie ogromnej zmiany jest szybki upływ czasu. Pięć lat minęło, jak z bicza strzelił.

1 *Zhizi* to dosłownie „partykuła wiedzy”. Znak partykuły występuje często w imionach nadawanych kobietom w Japonii, gdzie wymawia się go „ko”.

2 Słowa *lao*, „stary”, używa się przed nazwiskiem osoby starszej od nas dla okazania szacunku lub zażyłości.

3 Przypisywana Luo Guanzhongowi (ok. 1330–1400) powieść historyczna o wojnach między trzema regionalnymi potęgami, toczonymi od zmierzchu Wschodniej Dynastii Han

(184) do ponownego zjednoczenia imperium pod władzą dynastii Jin (280). Znana z barwnych postaci oraz świetnych opisów bitew i intryg politycznych.

4 Znakiem Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej jest gwiazda z wpisanymi w nią znakami oznaczającymi osiem i jeden.

5 Pas Kuipera to obszar rozciągający się za orbitą Neptuna, od około 30 do około 50 jednostek astronomicznych od Słońca, obejmujący między innymi Plutona i dwie inne planety karłowate.

6 Na początku 2015 roku była to równowartość 270 tysięcy złotych (przyp. A.J.).

7 Pod koniec lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku zbudowano pod miastami w całych Chinach rozległe sieci tuneli, które miały posłużyć za schrony w razie napaści wroga. Hasło to, przejęte z rady danej założycielowi dynastii Ming, obwieszczono jako polecenie Mao Zedonga w artykule wstępnym noworocznego wydania „Dziennika Ludowego” w styczniu 1973 roku.

8 Wang Xiaobo (1952–1997) – ceniony powieściopisarz, eseista i scenarzysta, którego dzieła zyskały ogromną popularność po jego przedwczesnej śmierci.

9 Pierwsza prędkość kosmiczna to prędkość, którą musi osiągnąć obiekt, żeby wejść na orbitę. Druga prędkość kosmiczna pozwala przezwyciężyć siły przyciągania ziemskiego, a trzecia prędkość kosmiczna umożliwia opuszczenie Układu Słonecznego.

10 Obłok Oorta to sferyczne zbiorowisko obiektów złożonych z lodu i zestalonych gazów, które otacza Układ Słoneczny w odległości od 50 do 100 tysięcy jednostek astronomicznych i które uważa się za źródło komet długookresowych.

11 Yang Wen-li jest jedną z postaci występujących w „Legendzie o galaktycznych bohaterach”, zapoczątkowanego w 1982 roku cyklu powieści fantastycznonaukowych Yoshikiego Tanaki, które stały się później kanwą serii mangi i anime.

12 Ten słynny cytat pochodzi z *Mencjusza*, zbioru rozmów i anegdot związanych z konfucjańskim filozofem o tym imieniu, który żył w czwartym wieku przed naszą erą.

13 W języku chińskim nie transliteruje się nazwy Al-Kaida, lecz się ją przekłada. Brzmi ona *Jīdi*, tak samo jak tytuł cyklu „Fundacja” Asimova.

14 W Dunhuang, oazie na szlaku jedwabnym, znajduje się zespół jaskiń zamieszkiwanych od IV do XIV wieku i ozdobionych spektakularnymi rzeźbami i freskami buddyjskimi. W 1900 roku Wang Yuanlu, taoistyczny opat, który mieszkał w jaskiniach Mogao, odkrył zamkniętą Jaskinię Biblioteczną, zawierającą zbiór starożytnych dokumentów, które sprzedał węgiersko-angielskiemu archeologowi Aurelowi Steinowi i francuskiemu sinologowi Paulowi Pelliotowi.

CZĘŚĆ II

UROK

8 rok ery kryzysu

Odległość floty trisolariańskiej od Układu Słonecznego: 4,20 lat świetlnych

Tyler stał się ostatnio nerwowy. Mimo licznych kłopotów jego plan roju komarów zyskał w końcu aprobatę ROP. Rozpoczęto prace nad budową myśliwców kosmicznych, ale z powodu braku zaawansowanych technologii postępowały one powoli. Ludzkość nadal udoskonalała technologię produkcji siekier i maczug rodem z epoki kamiennej i wynalazła rakiety o napędzie chemicznym. Dodatkowy projekt Tylera, badanie Europy, Ceres i różnych komet, był tak dziwny, że niektórzy przypuszczali, iż wystąpił z nim tylko po to, by nadać otoczkę tajemnicy swemu nazbyt jasnemu planowi głównemu. Jednak ponieważ można go było włączyć do głównego programu obrony, pozwolono mu pracować również nad nim.

Tak więc Tyler musiał czekać. Pojechał do domu i po raz pierwszy od pięciu lat, czyli od kiedy został Wpatrującym się w Ścianę, prowadził normalne życie.

Wpatrującym się w Ścianę bacznie przyglądała się cała społeczność. Bez względu na to, czy prosili o tę rolę, czy nie, w oczach ogółu byli zbawcami. Z tego powodu narodził się kult Wpatrujących się w Ścianę. Na nic się zdały wyjaśnienia ONZ i ROP – o ich nadprzyrodzonych zdolnościach krążyły legendy, które stawały się coraz bardziej odległe od rzeczywistości. W filmach fantastycznonaukowych ukazywano ich jako superbohaterów, a zdaniem wielu osób byli jedyną nadzieją ludzkości. Dawało to im wielki

kapitał poparcia społecznego i politycznego, który gwarantował, że kiedy wystąpią o ogromne środki, wszystko pójdzie gładko.

Wyjątkiem był Luo Ji. Pozostawał w odosobnieniu, nigdy nie pokazywał twarzy. Nikt nie wiedział, gdzie jest ani co robi.

Pewnego dnia Tylera odwiedził gość. Podobnie jak siedziby pozostałych Wpatrujących się w Ścianę, jego dom otoczony był ścisłą ochroną i starannie sprawdzano wszystkich, którzy przybywali do niego z wizytą. Gdy jednak tylko Tyler zobaczył gościa, od razu wiedział, że jemu udałoby się dostać tam bez trudu, bo na pierwszy rzut oka było widać, że dla nikogo nie stanowi on zagrożenia. W ten upalny dzień był w wymiętym garniturze, miał tak samo wymięty krawat i, co było jeszcze bardziej irytujące, melonik, jakiego nikt już nie nosił. Najwyraźniej chciał się zaprezentować bardziej elegancko, bo prawdopodobnie nigdy wcześniej nie składał nikomu oficjalnej wizyty. Był blady i wymizerowany, wyglądał na niedożywionego. Na jego chudej twarzy ciężko tkwiły okulary, szyja zdawała się z trudem podtrzymywać głowę, a garnitur wisiał na nim jak na wieszaku, jakby nie było pod nim ciała. Jako doświadczony polityk Tyler zorientował się od razu, że człowiek ten wywodzi się z jednej z tych podrzędnych klas społecznych, których ubóstwo jest bardziej duchowe niż materialne, podobnie jak u Gogolowskich drobnych urzędników, którzy pomimo niskiej pozycji społecznej stale się martwią, że mogą ją utracić, i przez całe życie rygorystycznie wykonują wyczerpujące, nudne zadania. Cokolwiek robią, boją się, że mogą popełnić błąd, z kimkolwiek się spotkają, boją się, że mogą się narazić na niezadowolenie tej osoby, i nie śmieją nawet zerknąć przez szklany sufit na wyższe warstwy społeczeństwa. Tyler nie znosił takich ludzi. Byli całkowicie zbędni i gdy pomyślał, że to oni stanowią większość ludzkości, którą chciał ocalić, czuł niesmak.

Gość wszedł ostrożnie przez drzwi salonu, ale nie odważył się zrobić ani kroku dalej. Zdawał się bać, że zostawi na dywanie ślady zabłoconych butów. Zdjął kapelusz i kilkakrotnie się kłaniając, popatrzył przez grube szkła na pana domu. Tyler postanowił pozbyć się go, gdy tylko wypowie pierwsze zdanie, bo nawet jeśli to, co ten człowiek miał do powiedzenia, było dla niego ważne, dla Tylera nie znaczyło nic.

Gość wypowiedział pierwsze zdanie. Poraziło ono Tylera jak grom i tak go oszołomiło, że omal nie usiadł na podłodze. Każde słowo brzmiało jak grzmot.

– Wpatrujący się w Ścianę Fredericku Tylerze, jestem Burzycielem twojej ściany.

– Kto by pomyślał, że pewnego dnia będziemy stali przed taką mapą pola walki! – wykrzyknął Chang Weisi, gdy spojrzał na obraz Układu Słonecznego w skali jeden do dwóch bilionów, wyświetlany na monitorze wielkim jak ekran kinowy. Był prawie całkowicie ciemny, tylko w środku widniała mała plamka żółci, która była Słońcem. Mapa ukazywała przestrzeń w promieniu sięgającym do połowy Pasa Kuipera. Gdy wyświetlano ją w całości, miało się wrażenie, że widzi się Układ Słoneczny z odległości pięćdziesięciu jednostek astronomicznych nad płaszczyzną ekliptyki. Były na niej dokładnie zaznaczone orbity planet i ich satelitów oraz drogi znanych asteroid, mogła też precyzyjnie pokazać stan Układu Słonecznego w dowolnej chwili w przyszłym tysiącleciu. Teraz, po wyłączeniu oznaczeń pozycji ciał niebieskich, obraz był na tyle jasny, że jeśli patrzyło się uważnie, można było dostrzec Jowisza. Był on niewyraźną, jasną plamką, ale z tej odległości pozostałych siedem głównych planet było niewidocznych.

– Tak, musimy stawić czoło wielkim zmianom – powiedział Zhang Beihai. Przed chwilą skończyło się zebranie, na którym wojsko miało ocenić swoją pierwszą mapę przestrzeni kosmicznej, i w wielkim pokoju narad zostali tylko oni dwaj. – Towarzyszu komendancie, ciekaw jestem, czy zauważyliście, jakie oczy zrobili nasi koledzy, gdy zobaczyli tę mapę.

– Oczywiście, że zauważyłem. Ich reakcja jest zrozumiała. Wyobrażali sobie, że mapa kosmosu będzie w rodzaju tych, jakie można znaleźć w książkach popularnonaukowych. Kilka kolorowych bil krążących wokół ognistej kuli. Dopiero kiedy stanęli przed mapą sporządzoną w odpowiedniej skali, zdali sobie sprawę z ogromu Układu Słonecznego. I czy są z sił powietrznych, czy z marynarki, największy zasięg ich pojazdów powietrznych czy wodnych nie dochodzi nawet do jednego piksela na tym wielkim ekranie.

– Zdaje się, że oglądanie przyszłego pola walki nie natchnęło naszych towarzyszy ani odrobiną wiary w zwycięstwo czy bojowego ducha.

– I teraz wracamy do defetyzmu.

– Towarzyszu dowódco, nie chcę rozmawiać o dzisiejszym defetyzmie. To temat na oficjalne zebranie. Chciałbym za to omówić sprawę… hmm… – Zająknął się i uśmiechnął, co się rzadko przytrafiało człowiekowi, który zwykle mówił bez ogródek.

Chang Weisi odwrócił się od mapy i też się uśmiechnął.

– Zdaje się, że to, co masz do powiedzenia, jest bardzo niestereotypowe.

– Tak. A raczej bezprecedensowe. Chcę przedstawić pewne zalecenie.

– Mów. Przejdź od razu do sedna. Oczywiście nie potrzebujesz do tego zachęty.

– Tak jest, towarzyszu dowódco. W ciągu minionych pięciu lat dokonano niewielkiego postępu w zakresie podstawowej obrony planety i w badaniach nad wyprawami w kosmos. Technologia niezbędna dla

realizacji obu tych programów – kontrolowana reakcja termojądrowa i winda kosmiczna – jest nadal w powijakach i nie ma nadziei, że to się szybko zmieni. Zwiększenie ciągu rakiet o napędzie chemicznym napotyka różnego rodzaju przeszkody. Jeśli sprawy będą nadal szły tym torem, to obawiam się, że flota kosmiczna, nawet niezbyt zaawansowana technicznie, pozostanie na zawsze w sferze fantastyki naukowej.

– Ty wybrałeś nowoczesną technikę, towarzyszu Beihai. Powinieneś znać zasady badań naukowych.

– Oczywiście je znam. Badania naukowe to proces skokowy, zmiana jakościowa jest wynikiem długookresowego gromadzenia zmian ilościowych. Do przełomu w teorii i technologii dochodzi przeważnie wtedy, kiedy liczba tych zmian osiągnie pewną masę krytyczną… Ale, towarzyszu dowódco, ilu ludzi wie o tym tak dobrze jak ja? Jest bardzo prawdopodobne, że za dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt, a nawet sto lat nie dokona się zasadniczy przełom w żadnej dziedzinie nauki ani techniki, natomiast myślenie defetystyczne się rozpowszechni. W jakim stanie duchowym i umysłowym będą wtedy siły kosmiczne? Czy przesadzam?

– Beihai, najbardziej podziwiam u ciebie to, że zawsze bierzesz pod uwagę daleką przyszłość. To rzadkość wśród kadr politycznych w wojsku. Mów dalej.

– Mogę mówić tylko o tym, co wchodzi w zakres mojej funkcji. Jeśli przyjmiemy powyższe założenia, to przed jakimi wyzwaniami i trudnościami staną nasi towarzysze zajmujący się w przyszłości pracą polityczną i ideologiczną w siłach kosmicznych?

– Ważniejszym pytaniem jest to, ilu ideologicznie przygotowanych oficerów politycznych zostanie w tych siłach – dodał Chang Weisi. – Kiepsko to widzę. Żeby powstrzymać szerzenie się defetyzmu, musimy

najpierw sami mieć niezłomną wiarę w zwycięstwo. Ale na pewno będzie to trudniejsze w tej hipotetycznej przyszłości.

– I właśnie to mnie martwi, towarzyszu generale. Kiedy nadejdzie ten czas, oficerowie polityczni w siłach kosmicznych nie podołają zadaniu.

– Co radzisz?

– Proszę posłać posiłki!

Chang Weisi patrzył przez kilka sekund na Zhang Beihaia, a potem odwrócił się z powrotem do wielkiego ekranu. Przesunął kursor i powiększył Słońce do takich rozmiarów, że jego światło zaczęło się odbijać w jego epoletach.

– Towarzyszu dowódco, chodzi mi o to, że…

Generał podniósł rękę.

– Wiem, o co ci chodzi.

Potem cofał obraz, aż ukazała się cała mapa, pogrążając pokój narad w mroku, ponownie wysunął Słońce na plan pierwszy… i tak w kółko, intensywnie myśląc. W końcu powiedział:

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że skoro praca polityczna i ideologiczna w wojskach kosmicznych jest już teraz trudnym i skomplikowanym zadaniem, to poddanie najlepszych oficerów politycznych hibernacji i wysłanie ich w przyszłość jeszcze bardziej by nas osłabiło?

– Zdaję sobie z tego sprawę, towarzyszu dowódco. Po prostu przedstawiam moje osobiste zdanie. Ujęcie tego w szerszej perspektywie należy oczywiście do moich zwierzchników.

Chang Weisi wstał i zapalił światło.

– Nie, Beihai. Teraz to jest twoje zadanie. Zostaw wszystkie inne. Od dzisiaj skupisz się na Wydziale Politycznym Sił Kosmicznych, przeprowadzisz badania w innych wydziałach i jak najszybciej napiszesz wstępny raport dla Centralnej Komisji Wojskowej.

Słońce zachodziło za góry, kiedy przyjechał Tyler. Wysiadłszy z samochodu, zobaczył raj: najłagodniejsze światło dzienne padające na pokryte śniegiem szczyty, jezioro, las i Luo Ji z rodziną na trawie nad jeziorem, rozkoszujących się nieziemsko pięknym wieczorem. Jego spojrzenie przyciągnęła najpierw matka, która wyglądała tak młodo, jakby była starszą siostrą swego rocznego dziecka. Z oddali nie widział jej dobrze, a kiedy podszedł bliżej, przeniósł uwagę na dziecko. Gdyby nie widział go na własne oczy, nie uwierzyłby, że tak zachwycająca istota istnieje naprawdę. Wyglądało jak komórka macierzysta samej urody, piękno w stanie embrionalnym. Matka i dziecko rysowali coś na dużym arkuszu białego papieru, a Luo Ji stał z boku, przyglądając się temu z zainteresowaniem, tak jak wcześniej w Luwrze, patrząc na swą ukochaną, teraz młodą matkę. Podszedłszy jeszcze bliżej, Tyler ujrzał w jego oczach niewypowiedzianą rozkosz, szczęście, które zdawało się przenikać wszystko, co znajdowało się między górami i jeziorem w tym rajskim ogrodzie…

Świeżo przybywszy z ponurego świata poza tym miejscem, odniósł wrażenie, że scena rozgrywająca się przed jego oczami jest nierzeczywista. Był dwukrotnie żonaty, a teraz samotny, i w dążeniu do chwały nigdy nie poświęcał zbytniej uwagi radościom życia rodzinnego. Niewiele dla niego znaczyły. Teraz po raz pierwszy poczuł, że jego życie było puste.

Luo Ji, zauroczony widokiem żony i dziecka, zauważył Tylera dopiero wtedy, kiedy ten do niego podszedł. Z powodu barier psychologicznych powstałych wskutek ich wspólnej sytuacji Wpatrujący się w Ścianę nigdy się do tej pory osobiście nie spotkali. Jednak po rozmowie telefonicznej

z Tylerem Luo Ji nie okazał najmniejszego zdziwienia z jego przyjazdu i przyjął go ciepło.

– Szanowna pani, proszę mi wybaczyć to najście – rzekł Tyler, zwracając się z lekkim ukłonem do Zhuang Yan, która podeszła do nich z dzieckiem.

– Witam, panie Tyler. Rzadko mamy gości, więc cieszymy się, że nas pan odwiedził. – Mówiła po angielsku z pewnym trudem, ale jej głos zachował dziecięcą łagodność i nadal miała czysty jak źródlana woda uśmiech, który podziałał jak balsam na jego znużoną duszę. – To nasza córka, Xia Xia.

Miał ochotę uściskać dziecko, ale bał się, że da się ponieść emocjom, więc tylko powiedział:

– Warto było odbyć tę podróż, żeby zobaczyć dwa anioły.

– Zostawimy panów, żebyście mogli porozmawiać. Pójdę przygotować kolację – powiedziała, uśmiechając się do nich obu.

– Nie, to zbyteczne. Chcę tylko odbyć krótką rozmowę z doktorem Luo. Nie zajmę państwu zbyt dużo czasu.

Zhuang Yan nalegała, by został na kolację, a potem odeszła z dzieckiem.

Luo Ji wskazał Tylerowi białe krzesło na trawie. Kiedy tamten usiadł, jego całe ciało zwiotczało, jakby usunięto z niego ścięgna. Był wędrowcem, który po długiej podróży znalazł się wreszcie u jej kresu.

– Doktorze, zdaje się, że przez ostatnich parę lat nie istniał pan dla świata – rzekł Tyler.

– Tak. – Luo Ji nie usiadł. Zatoczył ręką łuk. – Tu jest wszystko, czego mi trzeba.

– Jest pan naprawdę mądrym człowiekiem i przynajmniej z jednego punktu widzenia bardziej odpowiedzialnym niż ja.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał Luo Ji ze zdziwieniem.

– Przynajmniej nie zmarnował pan środków… A więc ona nie ogląda telewizji? To znaczy ten pana anioł.

– Ona? Nie wiem. Teraz zawsze jest z Xia Xią, nie sądzę więc, żeby oglądała dużo telewizji.

– A zatem naprawdę pan nie wie, co się zdarzyło w ostatnich kilku dniach?

– A co się zdarzyło? Nie wygląda pan dobrze. Jest pan zmęczony? Co przynieść panu do picia?

– Cokolwiek – odparł Tyler, przyglądając się w oszołomieniu ostatnim złotym promieniom słońca padającym na powierzchnię jeziora. – Przed czterema dniami pojawił się Burzyciel mojej ściany.

Luo Ji zastygł z butelką wina i po chwili milczenia zapytał:

– Tak szybko?

Tyler kiwnął ociężale głową.

– To była pierwsza rzecz, jaką ja też mu powiedziałem.

– Tak szybko? – rzekł Tyler do Burzyciela Ściany. Starał się mówić opanowanym głosem, ale skończyło się na tym, że zabrzmiał on słabo.

– Chciałem przyjść wcześniej, ale pomyślałem, że najpierw zbiorę więcej dowodów, więc się spóźniłem. Przepraszam – powiedział Burzyciel Ściany.

Stał za Tylerem jak służący i mówił wolno, z uniżonością poddanego. W jego ostatnim zdaniu słychać było nawet skrupulatność i życzliwość, zrozumienie, jakie kat okazuje ofierze.

Potem zapadła dławiąca cisza. W końcu Tyler zdobył się na odwagę i spojrzał na Burzyciela, który zapytał z szacunkiem:

– Mam kontynuować, proszę pana?

Tyler skinął głową, ale odwrócił wzrok. Usiadł na kanapie i z całych sił starał się uspokoić.

– Dziękuję panu. – Burzyciel Ściany znowu się ukłonił, nadal trzymając kapelusz w ręku. – Najpierw opiszę pokrótce plan, który wyjawił pan światu: pana wojownicy w zwinnych myśliwcach kosmicznych, z których każdy będzie miał na pokładzie superbombę o sile stu megaton, pomogą głównej ziemskiej flocie, dokonując samobójczego ataku na flotę trisolariańską. Może przedstawiłem to w zbytnim uproszczeniu, ale o to zasadniczo chodzi, prawda?

– Nie ma sensu dyskutować o tym z panem – rzekł Tyler.

Zastanawiał się, czy nie zakończyć tej rozmowy. W chwili, kiedy Burzyciel Ściany się ujawnił, polityczna i strategiczna intuicja Tylera podpowiedziała mu, że ten człowiek zwycięży, ale w tym momencie pomyślał, że przy odrobinie szczęścia jego zamiary być może nie zostały całkowicie ujawnione.

– Skoro tak, to nie muszę mówić nic więcej, a pan może kazać mnie aresztować. Jednak na pewno pan wie, że bez względu na to, co się stanie, pańska prawdziwa strategia i wszystkie dowody potwierdzające moją hipotezę trafią jutro, a może nawet już dziś wieczorem, na pierwsze strony gazet. Staję dzisiaj przed panem kosztem własnego życia i mam nadzieję, że doceni pan to poświęcenie.

– Może pan kontynuować – powiedział Tyler, machając ręką.

– Dziękuję panu. Jestem naprawdę zaszczycony i nie zabiorę panu zbyt dużo czasu. – Burzyciel Ściany znowu się ukłonił. Zdawał się mieć pokorny szacunek, tak rzadko widywany wśród współczesnych ludzi, we krwi. Ten szacunek stopniowo zaciskał się jak pętla wokół szyi Tylera. – A zatem czy ta interpretacja pana strategii, którą przed chwilą przedstawiłem, jest prawidłowa?

– Tak.

– Nie – rzekł Burzyciel Ściany. – Przepraszam, że to mówię, ale nie jest prawidłowa.

– Dlaczego?

– Jeśli wziąć pod uwagę możliwości technologiczne, najpotężniejszą bronią, którą ludzie mogą posiadać w przyszłości, są superbomby wodorowe. Żeby takie bomby mogły zniszczyć statki wroga w przestrzeni kosmicznej, muszą zostać zdetonowane w bezpośrednim kontakcie z celem. Myśliwce kosmiczne są zwinne i można je wysłać w dużej liczbie, więc flota przeprowadzająca samobójcze ataki niczym rój komarów jest bez wątpienia najlepszym wyjściem. Pana plan jest nadzwyczaj rozsądny. Również pana zachowanie, włącznie z podróżami do Japonii, Chin, a nawet w góry Afganistanu, których celem było poszukiwanie kosmicznych kamikaze gotowych poświęcić dla sprawy swoje życie, i plan podporządkowania floty komarów bezpośrednio panu, gdyby te poszukiwania nie dały rezultatu, był bardzo rozsądny.

– I co w tym złego? – zapytał Tyler, siadając na kanapie.

– Nic. Ale jest to tylko strategia, którą przedstawił pan światu zewnętrznemu. – Burzyciel Ściany pochylił się, zbliżył usta do ucha Tylera i ciągnął cichym głosem: – Pana prawdziwa strategia trochę się od niej różni. Przez długi czas byłem skołowany. Męczyło mnie to, prawie się poddałem.

Tyler zdał sobie sprawę, że zaciska kurczowo rękę na oparciu kanapy, i spróbował się rozluźnić.

– Ale podsunął mi pan klucz do tej całej zagadki. Tak dobrze to wszystko do siebie pasowało, że przez chwilę nie wierzyłem, że dopisało mi szczęście. Wie pan, o czym mówię: o tych pańskich badaniach kilku ciał w Układzie Słonecznym – Europy, Ceres i komet. Co one mają ze sobą wspólnego? Wodę. Na wszystkich jest woda, i to w dużych ilościach! Na

samej Europie i Ceres jest więcej wody niż we wszystkich oceanach na Ziemi… Zarażeni wścieklizną mają wstręt do wody i na samą wzmiankę o niej dostają drgawek. Przypuszczam, że czuje się pan teraz podobnie. – Burzyciel Ściany nachylił się jeszcze bardziej nad Tylerem i mówił prosto do jego ucha. W jego oddechu nie było ani odrobiny ciepła, był jak upiorny powiew przesiąknięty stęchlizną grobu. – Woda – szepnął, jakby mówił przez sen. – Woda…

Tyler zachował milczenie. Twarz miał nieruchomą jak posąg.

– Muszę mówić dalej? – zapytał Burzyciel Ściany niemal triumfalnym głosem i wyprostował się.

– Nie – odparł cicho Tyler.

– Ale i tak powiem. Zostawię historykom pełen zapis, nawet jeśli sama historia niedługo dobiegnie końca. I oczywiście wyjaśnienie dla mego Pana. Nie każdy ma tak przenikliwy umysł jak my dwaj i potrafi odtworzyć całość z małego kawałka. Zwłaszcza mój Pan, który może nawet nie zrozumieć całego wyjaśnienia. – Podniósł rękę, jakby chciał pozdrowić słuchaczy na Trisolaris, i roześmiał się. – Proszę o wybaczenie.

Twarz Tylera zwiotczała, a potem wydało mu się, że jego kości się topią. Osunął się na kanapę. Był skończony, jego duch nie mieszkał już w jego ciele.

– A zatem zostawmy na razie wodę i pomówmy o roju komarów. Pierwszy atak przypuszczą nie na najeźdźców z Trisolaris, lecz na siły kosmiczne Ziemi. Ta hipoteza jest trochę naciągana, bo opiera się na znikomych dowodach, ale twierdzę, że poprawna. Objechał pan świat w poszukiwaniu pilotów kamikaze, którzy poświęciliby się dla ludzkości, ale pana starania się nie powiodły. Przewidywał pan, że się tak stanie, ale dzięki temu niepowodzeniu mógł pan uzyskać dwie rzeczy, których pan

pragnął. Jedną z nich była całkowita utrata wiary w ludzkość, i to udało się panu w pełni osiągnąć. O drugiej zaraz powiem.

Ostrze opadło.

– Po podróży po świecie zupełnie stracił pan złudzenia co do gotowości współczesnych ludzi do poświęceń. Doszedł pan też do wniosku, że ziemskie siły kosmiczne nie mają szans na pokonanie Trisolarian w otwartej walce. Dlatego obmyślił pan jeszcze bardziej ekstremalną strategię. Moim zdaniem daje ona niewielkie nadzieje i jest niezwykle ryzykowna. Niemniej jednak zasady programu Wpatrujących się w Ścianę głoszą, że w tej wojnie najbezpieczniej jest zaryzykować. Oczywiście to był dopiero początek. Zdradzenie ludzkości byłoby długim procesem, ale czas był pana sprzymierzeńcem. Był pan gotów zaaranżować w następnych miesiącach i latach wydarzenia, które wzmocniłyby mur, jaki wzniósł pan między sobą i rodzajem ludzkim. Stopniowo pogłębiałyby się pana rozczarowanie i smutek i coraz dalej oddalałby się pan od ludzkości, a coraz bardziej zbliżał do Trisolarian i RZT. Faktycznie uczynił pan już pierwszy krok w tym kierunku, zalecając niedawno na przesłuchaniu przed Radą Obrony Planety, by okazać RZT litość. I nie było to tylko na pokaz. Naprawdę pan ich potrzebuje, by przetrwać. Potrzebuje pan członków RZT do pilotowania myśliwców kosmicznych podczas bitwy w dniu Sądu Ostatecznego. Wymaga to czasu i cierpliwości, ale w końcu udałoby się panu, bo RZT potrzebuje z kolei pana. Potrzebuje pana pomocy i środków, które pan posiada. Nietrudno byłoby przekazać RZT rój komarów, jeśli zrobiłby pan to w tajemnicy przed światem. A gdyby to odkryto, mógłby pan twierdzić, że jest to częścią pańskiego planu.

Tyler zdawał się nie słuchać Burzyciela Ściany. Siedział na kanapie z na wpół zamkniętymi oczami i wyglądał na zmęczonego, jakby już się poddał i chciał odprężyć.

– Dobrze. Teraz pomówmy o wodzie. W bitwie w dniu Sądu Ostatecznego kierowana przez RZT flota komarów prawdopodobnie przypuściłaby zdradziecki atak na ziemską flotę, a potem uciekła do floty Pana. Jej piloci zademonstrowaliby nielojalność wobec Ziemi, więc Trisolarianie byliby pewnie skłonni pozwolić im się przyłączyć do swojej floty, ale Pan nie przyjąłby tak szybko zdrajców. Żeby go przekonać, trzeba by było wręczyć mu jakiś istotny dar. Czy w Układzie Słonecznym jest coś, czego potrzebowałby Pan? Tak, woda. Podczas trwającej czterysta lat wyprawy flota trisolariańska zużyłaby większość swoich zapasów wody. Gdy dotrze do Układu Słonecznego, będzie musiała ponownie nawodnić odwodnionych członków załóg. Ponieważ z użytej do tego wody powstałyby ich płyny fizjologiczne, z pewnością od stęchłej, wielokrotnie przetwarzanej na statkach wody woleliby czystą. Rój komarów zaoferowałby Panu górę lodową utworzoną z dużych ilości wody pozyskanych na Europie, Ceres i kometach. Nie jestem pewien szczegółów, przypuszczam, że na razie pan sam ich nie zna, ale powiedzmy, że byłyby to dziesiątki tysięcy ton. Tę ogromną masę lodu przepchnąłby rój komarów. Prawdopodobnie podleciałyby bardzo blisko floty trisolariańskiej, by przekazać ten dar, i w tym momencie wykorzystałby pan drugi skutek swojej nieudanej próby stworzenia floty złożonej z kamikaze. Z tego niepowodzenia wyciągnął pan bardzo logiczny wniosek, by zażądać bezpośredniego zwierzchnictwa nad całą flotą komarów. Gdy zbliżałyby się do floty Pana, przejąłby pan od pilotów RZT kontrolę nad myśliwcami, przełączyłby je pan na sterowanie bezzałogowe i nakazał zaatakować wybrane cele. Superbomby zostałyby zdetonowane w bezpośredniej odległości od celów i unicestwiłyby wszystkie statki Pana.

Burzyciel Ściany podszedł do sięgającego od podłogi do sufitu okna, które wychodziło na ogród. Ustał piekielny wiatr, który wpadał do ucha

Tylera, ale nim się to stało, jego ciało przeniknął chłód.

– Świetny plan. Mówię to szczerze. Ale są w nim pewne niewytłumaczalne niedopatrzenia. Dlaczego tak bardzo chciał pan badać bogate w wodę ciała niebieskie? Nie mamy na razie technologii wydobywania i transportowania wody w dużych ilościach, a opracowanie jej mogłoby potrwać dziesiątki lat. Nawet jeśli uważał pan, że musi zacząć od razu, to dlaczego nie dorzucił pan paru obiektów, na których nie ma wody, na przykład księżyców Marsa? Gdyby pan tak zrobił, to chociaż w końcu i tak rozszyfrowałbym pana plan, znacznie by mi to utrudniło zadanie. Jak taki wielki strateg jak pan mógł nie zastosować takich prostych forteli? Z drugiej strony, zdaję sobie sprawę z tego, że jest pan pod wielką presją.

Burzyciel Ściany położył łagodnie dłoń na ramieniu Tylera, który poczuł przypływ serdeczności, jaką kat okazuje ofierze. Nawet trochę go to poruszyło.

– Niech pan się nie obwinia. Naprawdę dobrze się pan spisał. Mam nadzieję, że historia pana zapamięta. – Burzyciel Ściany zdjął dłoń z ramienia Tylera. Na jego wymizerowanej twarzy pojawił się rumieniec świadczący o przypływie energii. Rozłożył ręce. – No to, panie Tyler, skończyłem. Niech pan wezwie swoich ludzi.

– Może pan odejść – powiedział słabym głosem Tyler, nadal z zamkniętymi oczyma.

Gdy Burzyciel Ściany otworzył drzwi, Tyler wychrypiał:

– Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to co teraz?

Burzyciel Ściany odwrócił się do niego.

– Nic. Panie Tyler, bez względu na to, czy rozszyfrowałem pański plan, czy nie, Pana nic to nie obchodzi.

Po wysłuchaniu opowieści Tylera Luo Ji odebrało na długą chwilę mowę.

Podczas rozmów z jednym z nich zwykła osoba myślała: „To Wpatrujący się w Ścianę. Nie można wierzyć jego słowom”, co stwarzało barierę w komunikacji, a gdy rozmawiało ze sobą dwóch Wpatrujących się w Ścianę, te bariery jeszcze się potęgowały. Prawdę mówiąc, wszystko, co mówiła jedna strona, było dla drugiej pozbawione znaczenia, wskutek czego rozmowa nie miała sensu. Dlatego się ze sobą nie kontaktowali.

– I jak pan ocenia analizę tego Burzyciela Ściany? – zapytał Luo Ji, by przerwać milczenie, chociaż wiedział, że to pytanie jest bzdurne.

– Przejrzał mnie – odparł Tyler.

Luo Ji chciał coś powiedzieć, ale co? Co można było powiedzieć? Obaj byli Wpatrującymi się w Ścianę.

– To była moja prawdziwa strategia – ciągnął Tyler. Miał wyraźnie ochotę mówić i nie obchodziło go, czy jego słuchacz mu wierzy czy nie. – Oczywiście na razie jest ona w stadium wstępnym. Już sama technologia potrzebna dla realizacji tego planu jest trudna, chociaż spodziewam się, że w ciągu czterystu lat wszystkie problemy teoretyczne i techniczne zostaną stopniowo rozwiązane. Ale jak wynika z postawy wroga, nie sprawi mu to żadnej różnicy. Nie obchodzi ich to, a to szczyt pogardy.

– A było to…? – Luo Ji czuł się jak maszyna prowadząca bezsensowny dialog.

– Na drugi dzień po wizycie Burzyciela Ściany zamieszczono w internecie kompletną analizę mojej strategii. Materiał zawierał miliony słów, z których większość pochodziła z tego, co przechwyciły sofony, i wywołał sensację. Przedwczoraj ROP wezwała mnie na spotkanie w tej sprawie i rozstrzygnęła ją, ogłaszając, że „Plany Wpatrujących się w Ścianę nie mogą zawierać niczego, co stwarzałoby zagrożenie dla ludzkości”.

Gdyby mój plan naprawdę istniał, byłoby to zbrodnią przeciwko ludzkości. Musiałby zostać wstrzymany, a jego twórca ukarany. Niech pan zauważy, że szermują określeniem „zbrodnie przeciw ludzkości”. Ten termin jest ostatnio nadużywany. Ale rezolucja ROP zakończyła się stwierdzeniem: „Zgodnie z podstawowymi zasadami programu Wpatrujących się w Ścianę dowody dostępne dla świata zewnętrznego mogą być częścią strategii wprowadzania wroga w błąd i jako takie nie mogą zostać użyte dla udowodnienia, że Wpatrujący się w Ścianę rzeczywiście opracował i realizuje ten plan”. Nie zostanę więc oskarżony.

– Tego bym się spodziewał – powiedział Luo Ji.

– Ale oświadczyłem na tym spotkaniu, że Burzyciel Ściany trafnie odgadł moje zamiary i że rój komarów był faktycznie moją strategią. Poprosiłem, by mnie osądzono zgodnie z prawem krajowym i międzynarodowym.

– Mogę sobie wyobrazić, jaka była ich reakcja.

– Przewodniczący ROP i wszyscy stali przedstawiciele popatrzyli na mnie z uśmieszkiem Wpatrującego się w Ścianę, po czym posiedzenie się skończyło. Sukinsyny!

– Znam to uczucie.

– Zupełnie się załamałem. Wybiegłem z sali na skwer przed budynkiem, krzycząc: „Jestem Wpatrującym się w Ścianę Frederickiem Tylerem! Burzyciel Ściany odkrył moją strategię! Miał rację! Chcę zaatakować ziemską flotę rojem komarów! Jestem wcielonym diabłem! Ukarzcie mnie! Zabijcie!”.

– To było bezsensowne zachowanie, panie Tyler.

– Tym, czego najbardziej nienawidzę, jest wyraz twarzy ludzi, kiedy na mnie patrzą. Na skwerze otoczył mnie tłum. Widziałem fantazje w oczach dzieci, szacunek w oczach osób w średnim wieku, troskę w oczach

starszych. Wszystkie te spojrzenia mówiły: „Patrzcie, to Wpatrujący się w Ścianę. Pracuje i tylko on jeden na całym świecie wie, co robi. Widzicie, jaką świetną wykonuje robotę? Znakomicie udaje. Skąd wróg będzie wiedział, jaka jest jego prawdziwa strategia? To wspaniała strategia, którą zna tylko on i która będzie zbawieniem dla świata…” Zupełny szajs! Idioci!

Luo Ji postanowił zachować milczenie i tylko uśmiechnął się do Tylera.

Tamten spojrzał na niego i na jego bladej twarzy też wykwitł słaby uśmiech, który po chwili przemienił się w histeryczny śmiech.

– Ha! Obdarza mnie pan uśmiechem Wpatrującego się w Ścianę! Uśmiech jednego Wpatrującego się w Ścianę do drugiego! Myśli pan, że wykonuję swoją pracę, że tylko gram i że ocalę świat! – Znowu zachichotał. – Jak doszło do takiej komicznej sytuacji?

– To błędne koło, z którego nigdy nie wyjdziemy, panie Tyler – odparł Luo Ji i lekko westchnął.

Tyler nagle przestał się śmiać.

– Nigdy z niego nie wyjdziemy? Nie, doktorze Luo, jest wyjście. Naprawdę jest i przyjechałem tutaj, by powiedzieć o tym panu.

– Musi pan odpocząć. Niech pan zostanie tu kilka dni.

Tyler powoli kiwnął głową.

– Tak, muszę odpocząć. Tylko my rozumiemy nasz ból, doktorze. Właśnie dlatego do pana przyjechałem. – Podniósł głowę. Słońce już zaszło i w zmroku zatarły się kontury otoczenia. – Tu jest jak w raju. Mogę pospacerować sam nad jeziorem?

– Może pan robić, co pan chce. Niech się pan odpręży. Zawołam pana na kolację.

Tyler odszedł nad jezioro, zostawiając Luo Ji pogrążonego w niewesołych myślach.

Od pięciu lat pławił się w oceanie szczęścia. Szczególnie narodziny Xia Xii sprawiły, że zapomniał o świecie poza posiadłością. Miłość żony i dziecka zlały się w jedno, upajały jego duszę i w tym odizolowanym od reszty świata pięknym domu pogrążał się w coraz większym złudzeniu: być może świat zewnętrzny jest naprawdę w stanie zbliżonym do kwantowego i nie istnieje, jeśli on go nie obserwuje.

Ale teraz, gdy wstrętny świat wtargnął brutalnie do jego rajskiego ogrodu, zmieszał go i przeraził, ten stan nie mógł się już utrzymać. Luo Ji wrócił myślami do Tylera, którego ostatnie słowa wciąż brzmiały mu w uszach. Czy Wpatrujący się w Ścianę mógł się naprawdę wyzwolić z tego błędnego koła, zerwać żelazne kajdany logiki…?

Oprzytomniał i pobiegł nad jezioro. Chciał krzyczeć, ale bał się, że przestraszyłby Zhuang Yan i Xia Xię, więc tylko biegł najszybciej, jak mógł, w ciszy zmierzchu, w której jedynym odgłosem był szelest jego stóp na trawie rosnącej na zboczu wzgórza. Ten rytm zakłócił słaby trzask.

Strzał z pistoletu, który dotarł od strony jeziora.

Luo Ji wrócił do domu późnym wieczorem, kiedy dziecko już smacznie spało.

– Pana Tylera już nie ma? – zapytała cicho Zhuang Yan.

– Tak. Już go nie ma – odparł znużonym głosem.

– Był chyba w gorszym stanie niż ty.

– Tak. To dlatego, że nie obrał łatwej drogi… Yan, oglądałaś ostatnio telewizję?

– Nie. Ja… – Urwała i Luo Ji wiedział, co myśli. Świat na zewnątrz robił się coraz poważniejszy i różnica między życiem tutaj i życiem tam napełniała ją niepokojem. – Czy nasze życie naprawdę jest częścią planu Wpatrującego się w Ścianę? – zapytała, patrząc na niego swoim niewinnym wzrokiem.

– Oczywiście. Masz jakieś wątpliwości?

– Ale czy możemy być szczęśliwi, skoro cała ludzkość jest nieszczęśliwa?

– Kiedy cała ludzkość jest nieszczęśliwa, twoim obowiązkiem, kochanie, jest dbać o to, byś ty była szczęśliwa. Z Xia Xią twoje zadowolenie idzie o punkt w górę, tak samo szanse na zrealizowanie planu Wpatrującego się w Ścianę.

Zhuang Yan patrzyła na niego w milczeniu. Wydawało się, że częściowo stworzyli język min, który wyobraziła sobie przed pięcioma laty przed portretem *Mony Lisy*. Luo Ji coraz lepiej odczytywał jej myśli z wyrazu oczu i teraz zobaczył w nich pytanie: „Jak mam w to uwierzyć?”.

Luo Ji długo się nad tym zastanawiał.

– Yan – powiedział – wszystko się kiedyś skończy. Pewnego dnia umrą Słońce i Wszechświat, dlaczego więc ludzkość uważa, że powinna być nieśmiertelna? Słuchaj, ten świat jest paranoiczny. Toczenie wojny, w której nie ma nadziei na zwycięstwo, to próżny trud, więc spójrz na kryzys trisolariański z innego punktu widzenia, zapominając o swoich obawach. Nie tylko bezpośrednio związanych z tym kryzysem, ale i tych, które żywiłaś wcześniej. W czasie, który nam został, ciesz się życiem. Mamy jeszcze czterysta lat! A jeśli nie przystąpimy do bitwy w dniu Sądu Ostatecznego, to prawie pięćset. To kawał czasu. Ludzkość potrzebowała tyle, by przejść od renesansu do epoki informacji, i może wykorzystać ten czas na beztroskie, wygodne życie. Pięć idyllicznych stuleci, bez potrzeby martwienia się o odległą przyszłość, podczas których jedynym obowiązkiem będzie cieszenie się z uroków życia. Jakież to cudowne…

Zdał sobie sprawę, że mówi niemądrze. Twierdzenie, że szczęście jej i ich dziecka jest częścią planu, że dążenie do szczęścia jest jej obowiązkiem, tworzyło jeszcze jedną warstwę chroniącą jej życie. Tylko

w ten sposób mógł jej pomóc zachować równowagę umysłu w okrutnym świecie. Nigdy nie potrafił spokojnie znieść spojrzenia jej niewinnych oczu, więc nie śmiał w nie spojrzeć, gdy zadawała mu podobne pytania. Ale teraz, z powodu tego, co zrobił Tyler, niechcący powiedział prawdę.

– Mówisz to jako Wpatrujący się w Ścianę? – zapytała.

– Oczywiście – odparł, by naprawić sytuację.

Ale jej oczy mówiły: „Naprawdę wydawałeś się w to wierzyć!”.

Rada Obrony Planety przy ONZ, 89 spotkanie w sprawie programu Wpatrujących się w Ścianę

Na początku posiedzenia przewodniczący złożył wniosek, by na następne spotkanie koniecznie stawił się Luo Ji, dowodząc, że jego odosobnienie nie jest częścią programu Wpatrujących się w Ścianę, ponieważ władza nadrzędna, jaką sprawuje nad nimi ROP, obejmuje też nadzór nad ich planami strategicznymi. Wniosek ten został jednogłośnie przyjęty przez wszystkich stałych członków rady, a w sytuacji, gdy objawił się pierwszy Burzyciel Ściany, a Tyler popełnił samobójstwo, pozostali dwaj Wpatrujący się w Ścianę zrozumieli, jakie będą konsekwencje słów przewodniczącego.

Pierwszy przemówił Hines. Jego neurobiologiczny plan był nadal w powijakach, ale Hines opisał urządzenie, które zgodnie z jego wyobrażeniami było niezbędne dla dalszych badań. Nazwał ten aparat rozdzielczym rejestratorem obrazów. Opierał się on na tomografii komputerowej oraz na jądrowym rezonansie magnetycznym i miał pokazywać jednocześnie wszystkie przekroje mózgu, co wymagało dokładności pomiaru na poziomie wewnętrznej budowy komórek mózgowych i neuronów. Wykonywałby w tym samym czasie kilka

milionów obrazów tomograficzno-komputerowych, na których podstawie komputer zrobiłby cyfrowy model mózgu. Pozostałe wymogi techniczne były jeszcze większe. Żeby uzyskać dynamiczny model syntetyczny, który ukazywałby całą aktywność mózgu na poziomie neuronów, skanowanie trzeba by było wykonywać w tempie dwudziestu czterech klatek na sekundę. Aparat ten umożliwiałby dokładną obserwację aktywności myślowej, a nawet odtworzenie całego działania neuronów.

Potem Rey Diaz opisał postęp prac nad jego planem. Po pięciu latach badań cyfrowy model broni jądrowej o ogromnej sile został ukończony i dopracowywano jego szczegóły.

Następnie naukowy zespół doradczy ROP przedstawił studium wykonalności obu tych planów. Uznał, że chociaż teoretycznie nie ma żadnych przeszkód dla stworzenia skanera rozdzielczego Hinesa, trudności techniczne znacznie przekraczają obecne możliwości, a współczesne skanowanie tomograficzno-komputerowe jest tak odległe od technologii potrzebnej do zbudowania tego skanera jak fotografia czarno-biała od nowoczesnych aparatów fotograficznych o dużej rozdzielczości. Największym problemem technicznym jest przetwarzanie danych, ponieważ skanowanie i modelowanie obiektu wielkości ludzkiego mózgu z dokładnością do pojedynczych neuronów wymaga mocy obliczeniowej, jakiej nie posiadają współczesne komputery.

Na tę samą przeszkodę natrafiały prace nad bombą gwiezdną Reya Diaza: moc istniejących komputerów była na to za mała. Po sprawdzeniu obliczeń potrzebnych dla ukończonej części modelu grupa ekspertów uznała, że opracowanie wzoru jednej setnej sekundy fuzji tej bomby zajęłoby najpotężniejszym z dzisiejszych komputerów dwadzieścia lat, a ponieważ w trakcie badań model ten trzeba by było wielokrotnie odtwarzać, jego praktyczne zastosowanie było niemożliwe.

– W tej chwili – powiedział główny informatyk zespołu – technologia komputerowa oparta na obwodach scalonych i architekturze von Neumanna zbliża się do kresu rozwoju. Niedługo prawo Moore’a przestanie obowiązywać. Oczywiście możemy jeszcze coś wycisnąć z tradycyjnej elektroniki i technologii. Naszym zdaniem nawet przy obecnym spowolnieniu postępu w zakresie tworzenia superkomputerów moc obliczeniowa potrzebna dla realizacji tych dwóch planów jest wciąż osiągalna, tylko że wymaga to czasu. W wersji optymistycznej dwudziestu do trzydziestu lat. Jeśli uda się nam osiągnąć te cele, będzie to szczyt ludzkiej technologii obliczeniowej. Dalszy postęp będzie trudny. Po zamknięciu przez sofony granic fizyki zbudowanie komputerów kwantowych, o których kiedyś marzyliśmy, staje się zupełnie nieprawdopodobne.

– Doszliśmy do muru, który wzniosły sofony na drodze naszej nauki – stwierdził przewodniczący.

– A zatem przez dwadzieścia lat nie będziemy mogli nic zrobić – rzekł Hines.

– Dwadzieścia lat to najbardziej optymistyczna prognoza. Jako naukowiec powinien pan wiedzieć, co to są nowatorskie badania.

– Więc jedyną rzeczą, którą mogę zrobić, jest poddanie się hibernacji i czekanie na pojawienie się wydajnych komputerów – oznajmił Rey Diaz.

– Ja też postanowiłem się poddać hibernacji – oświadczył Hines.

– Skoro tak, to proszę was obu, byście za dwadzieścia lat powitali mojego następcę – powiedział z uśmiechem przewodniczący.

Nastrój zebranych się poprawił. Odetchnęli z ulgą, gdy dwóch Wpatrujących się w Ścianę postanowiło poddać się hibernacji. Pojawienie się pierwszego Burzyciela Ściany i samobójstwo jego Wpatrującego się w Ścianę przeciwnika było ciężkim ciosem dla całego programu. Zwłaszcza

to samobójstwo. Gdyby Tyler żył, ludzie nadal nie wiedzieliby, czy jego planem rzeczywiście było stworzenie roju komarów. Jego śmierć była ostatecznym potwierdzeniem istnienia tego strasznego planu. Wyzwolił się z błędnego koła kosztem własnego życia i, co gorsza, wywołał w społeczności międzynarodowej narastającą falę krytyki całego programu. Opinia publiczna domagała się dalszego ograniczenia uprawnień Wpatrujących się w Ścianę, ale sama natura programu sprawiała, że zbyt wiele ograniczeń utrudniłoby im opracowanie strategicznych planów zmylenia wroga, co stawiało pod znakiem zapytania sens jego kontynuacji. Program Wpatrujących się w Ścianę miał niespotykaną wcześniej w dziejach ludzkości strukturę kierowniczą, więc przystosowanie się do układu wymagało czasu. Było oczywiste, że hibernacja dwóch Wpatrujących się w Ścianę zapewni okres niezbędny dla oswojenia się z tym.

Kilka dni potem Reya Diaza i Hinesa poddano hibernacji w ściśle tajnym podziemnym ośrodku.

Luo Ji miał przerażający sen. Śniło mu się, że chodzi po salach Luwru. Nigdy wcześniej nie nawiedzały go takie sny, bo przez ostatnich pięć lat nie miał powodu, by śnić o dawnej radości. W tym śnie był sam, czego nie doświadczył od pięciu lat. Każdy jego krok niósł się echem przez pałacowe sale, a po każdym miał wrażenie, że coś go opuszcza. W końcu nie śmiał się ruszyć. Przed nim wisiał portret Mony Lisy. Na jej twarzy nie było już uśmiechu. Patrzyła na niego ze współczuciem. Kiedy umilkł odgłos jego kroków, w ciszę wtargnął szum wody w znajdujących się na zewnątrz fontannach. Stopniowo narastał, a wtedy Luo się obudził i stwierdził, że ten dźwięk dochodzi ze świata realnego. Padał deszcz.

Luo Ji wyciągnął rękę, by ująć dłoń ukochanej, i przekonał się, że sen stał się rzeczywistością.

Zhuang Yan nie było.

Zsunął się z łóżka i wszedł do pokoju dziecięcego, ale nie było tam Xia Xii. Na jej porządnie zaścielonym łóżeczku leżał jeden z obrazów Zhuang Yan, ten, który im obojgu najbardziej się podobał. Był praktycznie pusty i z daleka wyglądał jak arkusz papieru. Dopiero z bliższej odległości można było dostrzec cienkie trzciny w dolnym lewym rogu i odlatującą gęś w prawym górnym. W środku widać było dwoje maleńkich ludzi. Ale teraz obok nich dodano linię tekstu:

„Ukochany, czekamy na ciebie w dniu Sądu Ostatecznego”.

Wcześniej czy później musiało się to zdarzyć. Czy takie wymarzone życie mogło trwać wiecznie? „To się musiało zdarzyć, więc się nie martw. Jesteś na to psychicznie przygotowany” – powiedział sobie, ale zakręciło mu się w głowie. Wziął obraz i poszedł do salonu, lecz trzęsły mu się nogi i miał wrażenie, jakby płynął w powietrzu.

W salonie było pusto, ale czerwony blask żarzących się na kominku szczap sprawiał, że wszystko wydawało się topnieć jak lód. Na dworze nadal szemrał deszcz. Przy takim akompaniamencie Zhuang Yan przed pięcioma laty wyłoniła się z jego marzeń, a teraz tam wróciła, zabierając ze sobą ich dziecko.

Podniósł telefon, by zadzwonić do Kenta, i wtedy usłyszał ciche kroki przed domem. Kobiece, ale nie Zhuang Yan. Mimo to cisnął telefon i wyszedł na dwór.

Chociaż widział tylko sylwetkę, od razu rozpoznał stojącą na tarasie szczupłą postać.

– Dzień dobry, doktorze Luo – powiedziała sekretarz generalna Say.

– Dzień dobry… Gdzie są moja żona i dziecko?

– Czekają na pana w dniu Sądu Ostatecznego – odparła, powtarzając słowa z obrazu.

– Dlaczego?

– To decyzja ROP, która pozwoli panu pracować i wypełniać obowiązki Wpatrującego się w Ścianę. Nie stanie się im nic złego, a poza tym dzieci są lepiej przystosowane do hibernacji niż dorośli.

– Porwaliście je! To przestępstwo!

– Nikogo nie porwaliśmy.

Luo Ji zadrżało serce na myśl o konsekwencjach oświadczenia Say, ale zamiast stawić im czoło, usunął je ze swojej świadomości.

– Powiedziałem, że one obie są częścią mojego planu!

– Jednak po starannym zbadaniu tej sprawy ROP doszła do wniosku, że nie są, i postanowiła zdopingować pana do pracy.

– Nawet jeśli nie jest to porwanie, zabraliście mi dziecko bez mojej zgody, a to jest niezgodne z prawem.

Gdy uświadomił sobie, komu stawia te zarzuty, znowu zadrżało mu serce. Zrobiło mu się słabo, więc oparł się o filar.

– To prawda, ale mieści się to w dopuszczalnych granicach. Niech pan nie zapomina, doktorze Luo, że wszystkie środki, z których pan korzystał, nie mieszczą się w oficjalnych ramach prawnych, a więc działania ONZ w obecnej dobie kryzysu mogły być prawnie usprawiedliwione.

– Mówi to pani jako przedstawicielka ONZ?

– Tak.

– Została pani wybrana na drugą kadencję?

– Tak.

Chciał zmienić temat, by nie stawiać czoła suchym faktom, ale mu się nie udało. „Co ja bez nich zrobię? Co ja bez nich zrobię?” – zadawał sobie pytanie. W końcu, osuwając się przy filarze, wypowiedział je głośno. Czuł

się, jakby rozpadało się wszystko wokół niego, zmieniając się w magmę, tyle że tym razem ta magma płonęła w jego sercu.

– One nadal są tutaj, doktorze Luo. Bezpieczne i zdrowe, czekają na pana w przyszłości. Zawsze myślał pan trzeźwo, a teraz musi pan myśleć jeszcze trzeźwiej. Jeśli nie dla dobra całej ludzkości, to przynajmniej dla dobra swojej rodziny.

Say spojrzała na podłogę przed filarem, gdzie siedział Luo na granicy wyczerpania nerwowego.

Wtedy na werandę zaciął deszcz. Jego orzeźwiający chłód i słowa Say stłumiły ogień gorejący w sercu Luo.

– Taki był od początku wasz plan, prawda?

– Tak, ale zdecydowaliśmy się na ten krok dopiero wtedy, kiedy nie było innego wyjścia.

– A więc ona… Naprawdę była kobietą malującą obrazy w stylu tradycyjnym, kiedy tu przyjechała?

– Tak.

– I skończyła Centralną Akademię Sztuk Pięknych?

– Tak.

– A więc była…

– Była naprawdę taka, jaką ją pan widział. Wszystko, co pan o niej wiedział, to szczera prawda. Wszystko, co czyniło ją taką, jaka była: jej wcześniejsze życie, rodzina, osobowość i umysł.

– Mówi pani, że naprawdę była taką kobietą?

– Tak. Myśli pan, że mogłaby udawać przez pięć lat? Naprawdę taka była. Niewinna i łagodna jak anioł. Niczego nie udawała, włącznie z miłością, którą pana darzyła. Ona naprawdę pana pokochała.

– Skoro tak, to jak mogła mnie tak okrutnie zwodzić? Żeby przez pięć lat nic się jej nie wymknęło!

– A skąd pan wie, że nic? Odkąd spotkaliście się tu tamtego deszczowego wieczoru przed pięcioma laty, jej duszę spowijała melancholia. I przez pięć lat była ona jej stałą towarzyszką. Jak muzyka w tle. I dlatego pan tego nigdy nie zauważył.

Teraz zrozumiał. Co poruszyło najczulsze miejsce w jego sercu, gdy ją zobaczył? Co sprawiło, że poczuł, iż cały świat się przeciw niej sprzysiągł? Co skłoniło go do tego, by chciał ją strzec za cenę własnego życia? Czyżby ten łagodny smutek w jej oczach, w jej czystym, niewinnym spojrzeniu, smutek, który niczym ogień na kominku rozświetlał jej urodę? Był on jak sącząca się z jakiegoś nieokreślonego miejsca muzyka, która cicho przenikała do jego podświadomości i wciągała go krok po kroku w otchłań miłości.

– Nie ma mowy, żebym je znalazł, prawda? – zapytał.

– Zgadza się. To decyzja ROP.

– Wobec tego dotrwam z nimi do dnia Sądu Ostatecznego.

– Może pan to zrobić.

Luo Ji wyobrażał sobie, że jego prośba nie zostanie spełniona, ale – podobnie jak wtedy, gdy zrzekł się statusu Wpatrującego się w Ścianę – Say przyjęła ją praktycznie bez słowa. Wiedział, że nie jest to takie proste.

– Pojawiły się jakieś problemy? – zapytał.

– Nie. Tym razem wszystko naprawdę jest dobrze. Wie pan, że program Wpatrujących się w Ścianę od samego początku wzbudzał kontrowersje. Przez wzgląd na swoje interesy większość krajów popierała niektórych Wpatrujących się w Ścianę, natomiast przeciwstawiała się innym, zawsze więc jakaś strona będzie chciała się pana pozbyć. Teraz, kiedy objawił się pierwszy Burzyciel Ściany, a Tyler zawiódł, strony przeciwne programowi urosły w siłę, a te, które go popierają, znalazły się w sytuacji patowej. Jeśli proponuje pan teraz przeniesienie się w czasie do dnia Sądu Ostatecznego,

jest to kompromis możliwy do przyjęcia dla obu stron. Ale czy pan naprawdę chce to zrobić, doktorze Luo, gdy ludzkość walczy o przetrwanie?

– Wy, politycy, bez wahania trąbicie na prawo i lewo o ludzkości, ale ja nie widzę ludzkości. Widzę tylko jednostki. Sam jestem tylko jednostką, zwykłą osobą, i nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za ocalenie całej ludzkości. Chcę po prostu przeżyć życie.

– Dobrze. Ale Zhuang Yan i Xia Xia są dwiema z tych jednostek. Nie chce pan wywiązać się z obowiązku, jaki pan ma wobec nich? Nawet jeśli żona pana zraniła, to widzę, że nadal ją pan kocha. No i jest jeszcze to dziecko. Z chwilą, gdy Hubble II potwierdził, że trisolariańska inwazja jest faktem, jedno stało się pewne – ludzkość będzie walczyła do końca. Gdy za czterysta lat obudzą się pana ukochana i wasza córka, ogarnie je ogień wojny dnia Sądu Ostatecznego, a pan nie będzie już Wpatrującym się w Ścianę i nie będzie mógł nic zrobić, by je uratować. Będą mogły tylko wieść żałosną egzystencję w piekielnych warunkach i czekać z panem na ostateczne unicestwienie świata. Tego pan chce? Takie życie chce pan zapewnić swojej żonie i dziecku?

Luo Ji nic na to nie powiedział.

– Jeśli nie potrafi pan myśleć o niczym innym, to niech pan sobie przynajmniej wyobrazi, jak będzie wyglądał sądny dzień, który czeka nas za czterysta lat. Kogo pan zobaczy? Mężczyznę, który porzucił ukochaną kobietę, a z nią resztę ludzi? Mężczyznę, który nie chce ocalić wszystkich dzieci na świecie? Który nie uratuje nawet własnego dziecka? Zdoła pan znieść ich spojrzenia?

Luo Ji pochylił w milczeniu głowę. Plusk kropel nocnego deszczu padających na trawę i na powierzchnię jeziora brzmiał w jego uszach jak miriady istot przychodzących z innego czasu i miejsca.

– Naprawdę pani wierzy, że jestem w stanie to zmienić? – zapytał, podnosząc głowę.

– Może pan przynajmniej spróbować. Ze wszystkich Wpatrujących się w Ścianę pan rokuje największe nadzieje na sukces. Przyjechałam tu, by to panu powiedzieć.

– A więc niech pani mówi. Dlaczego pani tak sądzi?

– Dlatego że jest pan jedynym członkiem ludzkiej społeczności, którego śmierci pragnie Trisolaris.

Oparłszy się o filar, Luo Ji przeniósł wzrok na Say, ale nic nie widział. Starał się coś sobie przypomnieć.

– Ofiarą tego wypadku samochodowego miał być pan. Pana dziewczyna stała się nią przypadkowo.

– Ale to naprawdę był wypadek. Tamten samochód zmienił kierunek, bo przed nim zderzyły się dwa inne.

– Planowali to od dłuższego czasu.

– Ale byłem wtedy szarym obywatelem, nie miałem żadnej ochrony. Zabicie mnie byłoby proste. Po co ktoś miałby tworzyć jakieś skomplikowane plany?

– Po to, by wyglądało to na zwykły wypadek drogowy, który nie zwróciłby niczyjej uwagi. Prawie im się udało. Tamtego dnia doszło w mieście do pięćdziesięciu jeden wypadków, w których zginęło pięć osób. Ale nasza wtyczka w RZT poinformowała, że to oni dybali na pana życie. A najbardziej przerażające jest to, że rozkaz przyszedł z samej Trisolaris, że sofony przekazały go Evansowi. Do tej chwili jest to jedyne zlecone przez nich zabójstwo.

– Mnie? Trisolarianie chcą mnie zabić? Z jakiego powodu?

Luo Ji znowu poczuł się tak, jakby znalazł się w innej rzeczywistości.

– Nie wiem. Na razie nikt tego nie wie. Może wiedział Evans, ale on już nie żyje. Wszystko wskazuje na to, że to on dodał do rozkazu zabicia pana wymóg, by nie zwróciło to niczyjej uwagi. To jeszcze bardziej podkreśla pana znaczenie.

– Znaczenie? – Luo Ji z kpiącym uśmiechem potrząsnął głową. – Niech pani na mnie popatrzy. Czy ja naprawdę wyglądam na kogoś obdarzonego jakąś niezwykłą mocą?

– Nie ma pan żadnych niezwykłych mocy, więc niech pan nie zbłądzi myślami w tym kierunku. Skierują pana na manowce – powiedziała Say, gestykulując z emfazą. – W prowadzonych wcześniej badaniach nie wykazał się pan niczym szczególnym – ani nadprzyrodzonymi zdolnościami, ani niezwykłymi umiejętnościami technicznymi, przynajmniej w świetle znanych praw natury. W każdym razie niczego takiego nie udało się nam odkryć. Ten fakt podkreśla również to, że Evans chciał, by wyeliminowanie pana nie zwróciło niczyjej uwagi, bo dowodzi, że pana umiejętności mogą zdobyć inni.

– Dlaczego mi o tym nie powiedzieliście?

– Baliśmy się, że moglibyśmy wywrzeć jakiś wpływ na to, co pan posiada, bez względu na to, co to jest. Zbyt wiele niewiadomych. Uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli wszystko potoczy się swoim torem.

– Przyszedł mi kiedyś do głowy pomysł, żeby zająć się socjologią kosmiczną, bo… – W tym momencie jakiś głos w jego wnętrzu rzekł: „Jesteś Wpatrującym się w Ścianę!”. Pierwszy raz usłyszał ten głos. Słyszał też inne nieistniejące dźwięki: szum latających wokół niego sofonów. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że widzi kilka niewyraźnych punkcików przypominających świetliki. A więc po raz pierwszy zachował się jak Wpatrujący się w Ścianę, zignorował te słowa i rzekł tylko: – Czy to ma jakieś znaczenie?

Say potrząsnęła głową.

– Prawdopodobnie nie. O ile nam wiadomo, jest to temat proponowanych badań naukowych, które jednak nie posunęły się daleko i nie dały żadnych rezultatów. A poza tym gdyby nawet prowadził pan te badania, nie sądzimy, by uzyskał pan bardziej wartościowe wyniki niż reszta badaczy.

– A to dlaczego?

– Doktorze Luo, rozmawiamy szczerze. Jak rozumiem, jest pan marnym naukowcem. Prowadzi pan badania nie z potrzeby poznania ani z poczucia obowiązku czy misji, lecz jedynie po to, by zarobić na życie.

– A nie tak się to teraz robi?

– Oczywiście nie ma w tym niczego złego, ale pańskie zachowania nie przystoją poważnemu, oddanemu pracy badaczowi. Pana badania są czysto praktyczne, a metody zachowawcze. Szuka pan sensacji i ciążyły na panu zarzuty zdefraudowania funduszy. Jest pan sprytny, cyniczny i nieodpowiedzialny, ma szyderczy stosunek do powołania naukowca… Doskonale wiemy, że los ludzkości ani trochę pana nie obchodzi.

– I dlatego posunęliście się do takich nikczemnych środków, by zmusić mnie do działania. Cały czas pogardzaliście mną, prawda?

– W normalnej sytuacji takiemu człowiekowi jak pan nigdy nie powierzono by tak ważnego zadania, ale rolę odegrał tu jeden istotny czynnik: Trisolaris się pana boi. Niech pan sam zostanie Burzycielem swojej ściany i przekona się, dlaczego tak jest.

Kiedy Say skończyła, zeszła z werandy, wsiadła do czekającego samochodu i zniknęła we mgle.

Luo Ji pozostał na miejscu i stracił poczucie czasu. Deszcz stopniowo ustał i zerwał się wiatr, odganiając z nocnego nieba chmury i ukazując ośnieżone szczyty, a także jasny, okrągły księżyc, który skąpał świat w srebrnej poświacie.

Zanim Luo Ji wrócił do środka, spojrzał ostatni raz na srebrny rajski ogród i rzekł w sercu do Zhuang Yan i Xia Xii: „Ukochane, czekajcie na mnie w sądnym dniu”.

Stojąc w ogromnym cieniu samolotu kosmicznego *Odległa Granica* i patrząc na jego masywną sylwetkę, Zhang Beihai przypomniał sobie mimo woli dawno już zdemontowanego *Tanga*, i nawet zaczął się zastanawiać, czy w jego poszyciu nie znajduje się kilka stalowych płyt z owego lotniskowca. W ciągu ponad trzydziestu lotów żar pozostawił na samolocie kosmicznym ślady przypaleń i rzeczywiście wyglądał on jak *Tang* podczas budowy. Zresztą cały korpus samolotu świadczył, że jest on wiekowy, ale dwie rakiety nośne pod skrzydłami były nowe, wskutek czego przywodził on na myśl odrestaurowany pomnik starej europejskiej architektury. Nowe elementy ostro kontrastowały z kolorem całości, przypominając gościom, że są nowoczesnymi dodatkami. Gdyby jednak usunięto rakiety nośne, *Odległa Granica* wyglądałaby jak wielki stary samolot transportowy.

Była to jednak zupełnie nowa konstrukcja, owoc jednego z nielicznych przełomów technologicznych, do których doszło w ciągu ostatnich pięciu lat, i prawdopodobnie ostatnia generacja pojazdów kosmicznych o napędzie chemicznym. Pomysł skonstruowania takiego statku pojawił się w ubiegłym wieku. Miał on zastąpić prom kosmiczny, startować z normalnego pasa jak zwykły samolot i wznieść się konwencjonalnie w najwyższą warstwę atmosfery, skąd rakiety nośne wyniosłyby go na orbitę. *Odległa Granica* była czwartym z nich, wiele innych znajdowało się w budowie. W bliskiej przyszłości zostaną wykorzystane do zbudowania windy kosmicznej.

– Nigdy nie myślałem, że za naszego życia pojawi się szansa wyprawy w kosmos – rzekł Zhang Beihai do Chang Weisiego, który go odprowadził.

Zhang i dwudziestu innych oficerów sił kosmicznych, członków trzech strategicznych instytucji, mieli polecieć *Odległą Granicą* na Międzynarodową Stację Kosmiczną.

– Są tu jacyś oficerowie marynarki wojennej, którzy nigdy nie byli na morzu? – zapytał z uśmiechem Chang Weisi.

– Oczywiście. I to wielu. Niektórzy nawet tego chcieli. Ale nie ja.

– Beihai, pamiętaj o jednym: pełniący teraz służbę astronauci należą do personelu sił powietrznych, więc jesteś pierwszym członkiem sił kosmicznych, który wylatuje w przestrzeń kosmiczną.

– Szkoda, że nie mam żadnego konkretnego zadania.

– Twoim zadaniem jest zdobyć doświadczenie. Ekspert od strategii w przestrzeni kosmicznej powinien umieć znaleźć się w tej przestrzeni. Dopóki nie stworzono samolotu kosmicznego, zadanie to było niewykonalne, ponieważ wysłanie tam jednej osoby kosztowałoby wiele milionów, ale teraz jest na szczęście dużo tańsze. Postaramy się wysłać w kosmos więcej strategów, bo w końcu po to stworzyliśmy siły kosmiczne. Na razie gówno z tego mamy.

Potem ogłoszono listę pasażerów i oficerowie zaczęli wchodzić na schody prowadzące do samolotu. Nie byli w skafandrach, lecz w mundurach, i wyglądali tak, jakby wyruszali w typowy lot. Była to oznaka postępu – lot w kosmos stał się czymś bardziej normalnym, niż był dotąd. Po mundurach Zhang poznał, że na pokład wsiadali przedstawiciele różnych rodzajów sił zbrojnych.

– Aha, Beihai, jeszcze jedno – rzekł Chang Weisi, kiedy Zhang chciał już podnieść swój bagaż podręczny. – Centralna Komisja Wojskowa przestudiowała złożony przez nas raport w sprawie wysłania w przyszłość

oficerów politycznych dla wzmocnienia istniejących wtedy kadr i uznała, że jest na to jeszcze za wcześnie.

Zhang Beihai zmrużył oczy, jakby chciał uniknąć oślepienia, chociaż nadal znajdował się w cieniu samolotu kosmicznego.

– Towarzyszu dowódco, uważam, że podczas przygotowywania planów powinniśmy cały czas myśleć o czterystu latach przed nami i mieć jasny obraz tego, co pilne i co ważne… Ale zapewniam, że nie mam zamiaru złożyć w tej sprawie żadnego oficjalnego wniosku. Dobrze wiem, że nasi zwierzchnicy biorą pod uwagę pełny obraz sytuacji.

– Góra docenia twoje długofalowe myślenie i chwali cię za to. W dokumencie podkreśla się jedno – plan wysłania w przyszłość posiłków nie został odrzucony. Będą prowadzone badania w tym kierunku, ale obecna sytuacja jeszcze do tego nie dojrzała. Uważam – to moje osobiste zdanie – że zanim rozpatrzymy tę propozycję, będziemy potrzebowali w naszych szeregach więcej wykwalifikowanych specjalistów, by zmniejszyć presję, pod jaką działamy.

– Towarzyszu dowódco, na pewno doskonale wiecie, co znaczy „wykwalifikowany” w kontekście Wydziału Politycznego Sił Kosmicznych i jakie podstawowe wymogi powinni spełniać tacy ludzie. Jest ich coraz mniej.

– Ale musimy patrzeć naprzód. Jeśli dojdzie do przełomu w dwóch kluczowych technologiach pierwszej fazy – windy kosmicznej i kontrolowanej reakcji termojądrowej – a wszystko zdaje się wskazywać, że stanie się to jeszcze za naszego życia, to przyszłość nie rysuje się tak czarno… No dobra, leć.

Zhang Beihai zasalutował i wszedł na schody. Gdy się znalazł w kabinie, odniósł wrażenie, że nie bardzo się ona różni od kabiny samolotu pasażerskiego linii cywilnych, oprócz tego, że fotele były szersze i mogły

pomieścić skafandry kosmiczne. Podczas pierwszych lotów samolotem kosmicznym musieli je mieć na sobie na wszelki wypadek wszyscy pasażerowie, ale teraz nie było to już konieczne.

Miał fotel przy oknie, miejsce obok niego zajmował jakiś mężczyzna w cywilnym ubraniu.

Zhang Beihai kiwnął do niego głową i zajął się zapinaniem skomplikowanego pasa bezpieczeństwa.

Nie było odliczania. *Odległa Granica* uruchomiła silniki i zaczęła kołować na pas startowy. Z powodu dużej wagi podnosiła się z ziemi dłużej niż zwykły samolot, ale w końcu dźwignęła się ociężale w górę.

– To będzie trzydziesty ósmy lot samolotu kosmicznego *Odległa Granica* – odezwał się głos z interkomu. – Zaczęła się faza awiacji, która potrwa około trzydziestu minut. Proszę nie rozpinać pasów bezpieczeństwa.

Patrząc, jak za oknem usuwa się ziemia, Zhang Beihai wrócił myślami do przeszłości. Podczas szkolenia na dowódcę lotniskowca ukończył kurs lotniczy i zdał egzamin na pilota myśliwca trzeciej klasy. W trakcie pierwszego samodzielnego lotu widział, tak jak teraz, ziemię umykającą spod kół i nagle odkrył, że kocha niebo bardziej nawet niż ocean. Teraz pragnął się znaleźć jeszcze wyżej, w przestrzeni kosmicznej.

Był człowiekiem stworzonym do wysokich i dalekich lotów.

– Niezbyt się różni od awiacji cywilnej, prawda?

Odwrócił się do mężczyzny siedzącego na fotelu obok i wreszcie go poznał.

– Pan musi być doktorem Ding Yi. Chciałem się z panem spotkać.

– Ale zaraz zrobi się trochę ciężko – rzekł tamten, ignorując powitanie Zhang Beihaia. – Za pierwszym razem nie zdjąłem okularów i rozgniotły mi nos jak cegła. Za drugim razem je zdjąłem, ale odleciały, gdy znikła siła

ciężkości. Facetowi z obsługi trudno je było odnaleźć w filtrze powietrza w ogonie samolotu.

– Myślę, że pierwszym razem leciał pan promem kosmicznym. W telewizji nie wygląda to na miłą podróż – powiedział Zhang Beihai z uśmiechem.

– Nie, mówię o samolocie kosmicznym. Jeśli policzymy promy, to jest to mój czwarty raz. Na promie zdjęli mi przed startem okulary.

– Dlaczego leci pan teraz na stację? Zlecono panu kierowanie kontrolowaną reakcją termojądrową. To trzeci zespół, prawda?

Kontrolowaną reakcją termojądrową zajmowały się cztery zespoły, z których każdy podchodził do projektu inaczej.

Ograniczony pasem bezpieczeństwa Ding Yi podniósł rękę w stronę Zhang Beihaia.

– Zajmować się kontrolowaną reakcją termojądrową i nie móc lecieć w kosmos? Mówi pan tak samo jak ci faceci. Ostatecznym celem naszych badań jest stworzenie silnika dla statku kosmicznego, a prawdziwa władza w przemyśle lotniczym i kosmonautycznym znajduje się dzisiaj głównie w rękach ludzi, którzy produkowali rakietowe silniki chemiczne. Teraz twierdzą, że mamy się zająć kontrolowaną reakcją termojądrową na ziemi i że praktycznie nie mamy nic do gadania na temat ogólnego planu stworzenia floty kosmicznej.

– Doktorze Ding, myślę dokładnie tak jak pan. – Zhang Beihai poluźnił pas i pochylił się. – W przypadku floty kosmicznej wyprawa w przestrzeń to coś zupełnie innego niż loty rakiet napędzanych paliwem chemicznym. Nawet winda kosmiczna różni się od dzisiejszych technik lotów. I co z tego, skoro przemysł lotniczy i kosmiczny ma nadal dużą siłę przebicia. Zatrudnieni tam ludzie są ideologicznie skostniałymi legalistami i jeśli będzie to trwało dalej, przewiduję różne kłopoty.

– Nie da się nic zrobić. Po pięciu latach wyszli przynajmniej z tym. – Ding Yi zatoczył ręką łuk. – A to daje im możliwość wyciskania kapitału z ludzi, którzy się na tym nie znają.

Znowu rozległ się głos z interkomu:

– Proszę zachować ostrożność. Zbliżamy się do wysokości dwudziestu tysięcy metrów. Z powodu rzadkiej atmosfery, przez którą będziemy teraz przelatywali, mogą pojawić się ostre spadki wysokości, które będą prowadzić do chwilowej utraty siły ciężkości. Proszę nie panikować i mieć zapięte pasy bezpieczeństwa.

– Ale tym razem nasza podróż na stację nie ma związku z kontrolowaną reakcją termojądrową – powiedział Ding Yi. – Mamy odzyskać te chwytacze promieniowania kosmicznego. To drogi sprzęt.

– To znaczy, że wstrzymano realizację projektu badawczego fizyki wielkich energii w przestrzeni kosmicznej? – zapytał Zhang Beihai, ponownie zaciskając pas bezpieczeństwa.

– Ano tak. Wiedzę, że nie ma potrzeby trwonić sił w przyszłości, uznaje się za pewien sukces.

– Sofony wygrały.

– Zgadza się. Tak więc w zakresie teorii ludzkości pozostało niewiele rezerw: fizyka klasyczna, mechanika kwantowa i znajdująca się w stanie embrionalnym teoria strun. Od losu zależy, w jakim stopniu uda się wykorzystać je w praktyce.

Odległa Granica nadal się wznosiła, a jej lotnicze silniki wyły pod wpływem przeciążenia, jakby wspinały się pod stromą górę, choć na szczęście samolot nie wpadał już nagle w dziury powietrzne. Zbliżali się do trzydziestu tysięcy metrów, kresu zasięgu silników lotniczych. Wyjrzawszy przez okno, Zhang Beihai zobaczył, że błękit nieba ciemnieje, mimo że światło słońca stało się oślepiające.

– Znajdujemy się obecnie na wysokości trzydziestu jeden tysięcy metrów. Zakończyła się faza lotu powietrznego i zaraz zacznie się lot kosmiczny. W celu zminimalizowania niewygód spowodowanych przeciążeniem proszę zamocować pasy bezpieczeństwa zgodnie z ilustracją na ekranie.

I wtedy Zhang Beihai poczuł, że samolot łagodnie się wznosi, jakby pozbył się ciężaru.

– Silnik samolotowy odrzucony. Odliczanie do odpalenia silnika napędu kosmicznego: dziesięć, dziewięć, osiem…

– Dla nich to prawdziwy start. Niech się pan dobrze bawi – powiedział Ding Yi i zamknął oczy.

Gdy odliczanie doszło do zera, rozległ się potężny ryk, jakby wrzasnęło całe niebo, a potem chwyciło ich przeciążenie niczym olbrzymia, powoli zaciskająca się dłoń. Zhang Beihai z trudem zwrócił głowę w stronę okna. Nie widział płomieni wydobywających się z silnika, ale szeroki pas rozrzedzonego powietrza na niebie miał czerwony kolor, jakby *Odległa Granica* przelatywała przez zachód słońca.

Pięć minut później odłączyły się rakiety nośne, a po kolejnych pięciu wyłączył się główny silnik. *Odległa Granica* weszła na orbitę. Ogromna dłoń przeciążenia nagle się rozluźniła i ciało Zhang Beihaia wyskoczyło z głębi fotela. Chociaż pas bezpieczeństwa powstrzymywał go przed wystrzeleniem w górę, ani on, ani *Odległa Granica* nie byli już częściami tej samej całości. Zniknęła grawitacja, która wcześniej trzymała ich razem, i teraz on i samolot lecieli równoległymi torami przez przestrzeń. Za oknem błyszczały najjaśniejsze gwiazdy, jakie w życiu widział. Później, gdy samolot kosmiczny wszedł na ustaloną wysokość, przez okna napłynął blask słońca, w którego promieniach tańczyły świetliste punkty – drobiny kurzu, które unosiły się w stanie nieważkości. Gdy samolot powoli się

okręcił, Zhang Beihai zobaczył Ziemię. Z tej niskiej orbity nie widział całego globu, tylko łuk horyzontu, ale wyraźnie rozróżniał kształty kontynentów.

Potem w polu widzenia ukazało się długo oczekiwane pole gwiezdne i Beihai rzekł w duchu: „Tato, zrobiłem pierwszy krok”.

Od pięciu lat generał Fitzroy czuł się w dosłownym sensie jak Wpatrujący się w Ścianę, bo ściana, naprzeciw której siedział, była wielkim ekranem z obrazem gwiazd znajdujących się między Ziemią i Trisolaris. Na pierwszy rzut oka ekran wydawał się całkowicie czarny, ale po dokładniejszym przyjrzeniu się widać było na nim świetlne punkciki. Tak dobrze poznał te gwiazdy, że gdy na nudnym zebraniu poprzedniego wieczoru narysował na papierze ich pozycje, a potem porównał je ze zdjęciem, były zasadniczo poprawne. Trzy leżące w środku niepozorne gwiazdy Trisolaris wyglądały jak gwiazda pojedyncza, ale za każdym razem, gdy je powiększał, stwierdzał, że ich położenie się zmieniło. Ten chaotyczny kosmiczny taniec tak go fascynował, że zapominał, na co patrzy. Miotła, którą zaobserwował przed pięcioma laty, stopniowo znikła, a druga się nie pojawiła. Flota trisolariańska zostawiała widoczny ślad tylko wtedy, gdy przelatywała przez obłoki pyłu międzygwiezdnego. Ziemscy astronomowie potwierdzili poprzez obserwacje absorpcji światła gwiazd w tle, że podczas czterystuletniego lotu przez przestrzeń kosmiczną przejdzie ona przez pięć takich zbiorowisk. Nazwano je płatami śniegu, bo statki trisolariańskie zostawiały na nich ślady jak ludzie na ziemi pokrytej śniegiem.

Jeśli flota trisolariańska utrzymywała przez minione pięć lat stałe przyspieszenie, to dzisiaj powinna przelecieć przez drugi płat.

Fitzroy przyszedł wcześnie do Centrum Kontroli Teleskopu Kosmicznego Hubble II. Ringier roześmiał się, gdy go zobaczył.

– Panie generale, dlaczego przypomina mi pan dziecko, które tuż po Bożym Narodzeniu chce dostać drugi prezent?

– Nie mówił pan, że dzisiaj przekroczą drugi płat śniegu?

– Owszem, ale flota trisolariańska przebyła tylko 0,22 roku świetlnego, więc wciąż jest od nas odległa o cztery lata świetlne. Światło odbite podczas jej przechodzenia przez ten śnieg dotrze na Ziemię nie wcześniej niż za cztery lata.

– Och, przepraszam. Zapomniałem o tym – rzekł Fitzroy, kręcąc z zażenowaniem głową. – Naprawdę chciałem ich jeszcze raz zobaczyć.

– Przykro mi. Jesteśmy na zewnątrz stożka świetlnego.

– A co to takiego?

– Fizycy nazywają stożkiem kształt, który opisuje światło emanujące wzdłuż osi czasu. Osoby, które znajdują się poza stożkiem, nie są w stanie zaobserwować zdarzeń zachodzących w stożku. Niech pan pomyśli: informacje o Bóg wie ilu ważnych wydarzeniach we Wszechświecie lecą teraz do nas z prędkością światła. Niektóre z nich podróżują już od setek milionów lat, ale my wciąż jesteśmy poza tym stożkiem świetlnym.

– W tym stożku świetlnym jest nasz los.

Ringier zastanowił się nad tym, po czym kiwnął z uznaniem głową.

– Świetna analogia, panie generale! Ale sofony, które są poza stożkiem świetlnym, mogą widzieć zdarzenia rozgrywające się wewnątrz niego.

– A więc sofony zmieniły nasz los – powiedział z pasją Fitzroy i obrócił się w stronę przetwarzającego obraz terminala.

Przed pięcioma laty młody inżynier Harris zaczął płakać na widok kosmicznej miotły, a potem wpadł w tak głęboką depresję, że właściwie nie

nadawał się już do pracy i został zwolniony. Nikt nie wiedział, co się z nim potem stało.

Na szczęście takich jak on nie było wielu.

Temperatura szybko spadała i zaczął sypać śnieg, więc stopniowo z okolicy znikała zieleń, a na powierzchni jeziora pojawiła się cienka warstwa lodu. Przyroda straciła żywe barwy, jak kolorowe zdjęcie, które stało się czarno-białe. Ciepła pogoda zawsze utrzymywała się tutaj krótko, ale dla Luo Ji ten rajski ogród stracił urok, odkąd odeszły jego żona i córka.

Zima była czasem rozmyślań.

Kiedy Luo Ji zaczął myśleć, stwierdził ze zdziwieniem, że tak naprawdę ten proces trwa już od dawna. Wrócił pamięcią do gimnazjum i lekcji, której udzielił mu jego nauczyciel języka chińskiego przed egzaminem: najpierw przeczytaj temat wypracowania, a potem zacznij od góry, by podczas udzielania odpowiedzi na kolejne pytania twoja podświadomość pracowała nad wypracowaniem jak proces w tle w komputerze. Teraz wiedział, że zaczął myśleć już w chwili, gdy został Wpatrującym się w Ścianę, i nigdy nie przestał. Robił to wszystko podświadomie.

Szybko odtworzył poszczególne etapy tego procesu.

Był już pewien, że wszystko, co mu się przydarzyło, cała jego obecna sytuacja, zaczęło się od przypadkowego spotkania z Ye Wenjie przed dziewięcioma laty. Nigdy nie rozmawiał z nikim o tym spotkaniu, bo nie chciał niepotrzebnych kłopotów, ale skoro Ye Wenjie już nie żyła, było ono tajemnicą tylko dla niego i dla Trisolaris. W tamtych czasach do Ziemi dotarły tylko dwa sofony, ale był pewien, że owego wieczoru były przy grobie Yang Dong i przysłuchiwały się każdemu ich słowu. A dzięki fluktuacjom w ich splątaniu kwantowym, które w mgnieniu oka

przeskakiwały odległość czterech lat świetlnych, przysłuchiwało się temu również Trisolaris.

Ale co powiedziała mu Ye Wenjie?

Sekretarz generalna Say pomyliła się w jednym. Było bardzo prawdopodobne, że bezpośrednim powodem tego, że Trisolaris chciało jego śmierci, była socjologia kosmiczna, którą nigdy się nie zajął. Oczywiście Say nie wiedziała, że była to sugestia Ye Wenjie, a Luo Ji wydawało się wtedy, że może to być znakomity pomysł na to, by badania naukowe stały się atrakcyjne. Akurat czegoś takiego szukał. Przed wybuchem kryzysu trisolariańskiego badania obcych cywilizacji były sensacyjnym projektem, który mógł przyciągnąć uwagę mediów.

Ten zaniechany projekt nie był ważny sam w sobie. Ważna była lekcja, której udzieliła mu Ye Wenjie, i na niej się skupił.

Odtworzył z pamięci jej słowa: „Przypuśćmy, że we Wszechświecie jest ogromna liczba cywilizacji, tyle, ile wykrywalnych gwiazd. Mnóstwo. Matematyczna struktura socjologii kosmicznej jest dużo bardziej przejrzysta niż struktura socjologii ludzkiej. Chaos i przypadkowość rządzące naturą każdej cywilizacji są czynnikami usuwanymi w cień przez dzielące je odległości, więc cywilizacje te mogą się stać punktami odniesienia, którymi jest dość łatwo manipulować matematycznie. Pierwszy: podstawową potrzebą każdej cywilizacji jest przetrwanie. Drugi: cywilizacja ciągle rozwija się i rozszerza, ale ilość materii we Wszechświecie pozostaje stała. Aha, jeszcze jedno – żeby wyprowadzić z tych aksjomatów całą socjologię kosmiczną, musisz przyjąć dwa inne podstawowe pojęcia: ciąg podejrzeń i gwałtowny rozwój technologii. Obawiam się, że nie będzie ku temu okazji… W takim przypadku możesz po prostu zapomnieć o tym, o czym mówiłam. Tak czy inaczej spełniłam swój obowiązek”.

Wracał do tej rozmowy niezliczoną liczbę razy, analizując każde zdanie z różnych punktów widzenia, zastanawiając się nad każdym słowem. Układały się one w ciąg jak paciorki różańca, a Luo Ji przebierał je niczym pobożny mnich, ale choć bardzo się starał, nie mógł w nich znaleźć wskazówki, dlaczego był jedyną osobą, której śmierci pragnęli Trisolarianie.

Pogrążony w rozmyślaniach, snuł się jak błędny po brzegach jeziora i nawet nie zauważył, że kilkakrotnie je okrążył. Dwa razy doszedł nawet do podnóża góry. Odkryta skała, która wyglądała jak księżycowy krajobraz, kiedy wybrał się tam z Zhuang Yan, była teraz przysypana śniegiem i nie różniła się kolorem od szczytu. W tej bezkresnej bieli obrazu namalowanego ręką natury pojawiły się oczy ukochanej, ale teraz mógł już zapanować nad swoim nastrojem.

Powoli stawał się żywą myślącą maszyną i nawet nie spostrzegł, kiedy minął miesiąc i nadeszła zima w pełni.

Tymczasem większość paciorków różańca starła się do cna i pozostało ich tylko siedemnaście, ale wydawało się, że im bardziej je przebiera, tym nowsze się stają i emitują słabe światło:

„Podstawową potrzebą każdej cywilizacji jest przetrwanie. Cywilizacja ciągle rozwija się i rozszerza, ale ilość materii we Wszechświecie pozostaje stała”.

Skoncentrował się na tych dwóch zdaniach, zaproponowanych przez Ye Wenjie jako aksjomaty cywilizacji kosmicznej. Dzięki długiej medytacji wiedział, że to w nich kryje się tajemnica. Jednak byłaby to zbyt prosta wskazówka. Co ludzie zyskaliby z przyjęcia dwóch oczywistych zasad?

Ale nie wolno lekceważyć prostoty. Prosty znaczy solidny, mocny. Cały gmach matematyki został wzniesiony na takim prostym, nieredukowalnym, lecz logicznie spójnym, mocnym jak skała aksjomacie.

Rozejrzał się. Całe otoczenie kuliło się przed lodowatym powiewem zimy, ale mimo to świat kipiał życiem. Pełen był stworzeń żyjących na lądach, w oceanach i w powietrzu, a wszystkie zachowywały się zgodnie z zasadą jeszcze prostszą niż aksjomaty cywilizacji kosmicznej: przetrwania najlepiej przystosowanych.

Zrozumiał sedno problemu, z którym się borykał – Darwin odkrył naczelną zasadę rządzącą bezkresnym światem przyrody ożywionej, natomiast on musiał zastosować znane mu reguły, by odsłonić obraz cywilizacji kosmicznej. Była to droga odwrotna do tej, którą obrał Darwin, i trudniejsza.

Zaczął więc sypiać w dzień i pracować w nocy. Gdy przeszkody, które napotykał na tej drodze, napełniały go strachem, znajdował pocieszenie w widoku gwiazd w górze. Jak powiedziała Ye Wenjie, odległość nie pozwalała dostrzec złożonej budowy wszystkich gwiazd, czyniąc z nich tylko zbiór punktów o wyraźnej konfiguracji matematycznej. Dla myśliciela był to raj. Luo Ji wydawało się, że rozpościerający się przed nim świat jest bardziej przejrzysty i zwarty niż świat Darwina.

Ale w tym prostym świecie kryła się zdumiewająca zagadka – cała Galaktyka była ogromną pustynią, a tymczasem na gwieździe znajdującej się najbliżej Ziemi pojawiła się bardzo inteligentna forma życia, która stworzyła wysoko rozwiniętą cywilizację. Zastanawiając się nad tą tajemnicą, znalazł punkt wyjścia dla dalszych rozważań.

Stopniowo na pierwszy plan zaczęły się wysuwać dwa pojęcia, których Ye Wenjie nie wyjaśniła: ciąg podejrzeń i gwałtowny rozwój technologii.

Tego dnia było zimniej niż zwykle. Ten ziąb zdawał się tkać z gwiazd srebrną siatkę na czarnym niebie, która ukazywała mu przejrzystą konfigurację matematyczną. Nagle znalazł się w stanie, w jakim nigdy wcześniej nie był. Cały Wszechświat zamarł, ustał wszelki ruch, zatrzymało

się w miejscu wszystko, od gwiazd poczynając, a na atomach kończąc, gwiazdy stały się tylko niezliczonymi bezwymiarowymi punktami, odbijającymi zimne światło świata zewnętrznego… Wszystko przeszło w stan spoczynku i czekało na jego przebudzenie.

Do rzeczywistości przywołało go odległe szczekanie psa. Był to prawdopodobnie pies należący do pracowników ochrony.

Luo Ji nie posiadał się z podniecenia. Chociaż nie odkrył jeszcze tajemnicy, wyraźnie czuł jej obecność.

Zebrał myśli i starał się ponownie wejść w ten stan, ale to mu się nie udało. Mimo że gwiazdy pozostały takie same, ziemski świat go rozpraszał. Wszystko spowijała ciemność, ale widział zarysy odległego, pokrytego śniegiem szczytu, lasu i łąki nad jeziorem oraz domu za nim, a przez półotwarte drzwi blask ognia w kominku… Wszystko, co znajdowało się w pobliżu, było złożone, tworzyło chaos, którego nigdy nie ogarnie matematyka, i ostro kontrastowało z jasną prostotą gwiazd, więc starał się tego nie dostrzegać.

Wszedł na zamarznięte jezioro, początkowo ostrożnie, ale gdy się przekonał, że lód jest mocny, ruszył, ślizgając się, szybciej, aż dotarł do miejsca, skąd nie widział już brzegu. Teraz zewsząd otaczał go gładki lód. Dzięki temu oddalił się nieco od ziemskiej złożoności i chaosu. Wyobraził sobie, że ta lodowa płaszczyzna ciągnie się bez końca we wszystkie strony, i w ten sposób uzyskał obraz prostego, płaskiego świata. Zniknęły troski i wkrótce znalazł się na powrót w tym stanie spoczynku, w którym czekały na niego gwiazdy…

I wtedy lód załamał się z trzaskiem.

W chwili, gdy lodowata woda zamknęła się nad jego głową, gwiazdy przestały tkwić w bezruchu. Całe niebo zaczęło wirować i rozpadło się na kawałki, którymi miotały wzburzone, chaotyczne fale srebra. W jego

zmąconą świadomość wtargnęło jak kryształowa błyskawica przenikliwe zimno i wszystko rozświetliło. Tonął. Wirujące gwiazdy zmieniły się w mglistą aureolę nad dziurą w lodzie, otoczyły go zimno i nieprzenikniona ciemność, jakby nie pogrążał się w jeziorze, lecz wznosił się w mrok kosmosu. W tej martwej, zimnej ciemności ujrzał prawdę Wszechświata.

Szybko wypłynął na powierzchnię. Wynurzył głowę i wypluł wodę. Próbował się wdrapać na lód, ale udało mu się wydostać tylko do połowy, gdy ten znowu się zarwał. Wydobywał się, czołgał i ponownie wpadał do wody, brnąc w stronę brzegu, ale coraz bardziej opadał z sił. Nie wiedział, czy zanim utonie albo zamarznie, ochrona dostrzeże, że na jeziorze dzieje się coś niezwykłego. Ściągnął przesiąkniętą kurtkę puchową, która krępowała jego ruchy, i wtedy przyszło mu do głowy, że jeśli rozłoży ją na lodzie, może zmniejszy nacisk, który na niego wywiera, co pozwoli mu się wydostać. Zrobił tak i resztką sił wczołgał się na skraj dziury. Tym razem lód się nie załamał. Pełzł ostrożnie naprzód i ośmielił się wstać dopiero wtedy, gdy znacznie oddalił się od dziury. Wtedy zobaczył na brzegu światła latarek i usłyszał krzyki.

Stał, szczękając zębami z zimna, które zdawało się pochodzić nie z wody ani z lodowatego wiatru, lecz wprost z otchłani kosmosu. Spuścił głowę, bo wiedział, że od tej pory gwiazdy nie będą już takie, jak były. Nie miał odwagi na nie spojrzeć. Tak jak Reya Diaza ogarnął lęk przed słońcem, tak Luo Ji dostał fobii na tle gwiazd.

– Wpatrujący się w Ścianę Luo Ji – rzekł do siebie – jestem Burzycielem twojej ściany.

– Posiwiał pan przez te lata – rzekł Luo Ji do Kenta.

– Przynajmniej przez następne lata, a mam jeszcze wiele przed sobą, nie posiwieją bardziej – odparł Kent ze śmiechem.

W obecności Luo Ji zawsze przybierał uprzejmą, wystudiowaną minę. Teraz Luo po raz pierwszy widział na jego twarzy szczery uśmiech, a jego spojrzenie mówiło: „Wreszcie zabrałeś się do pracy”.

– Potrzebuję bezpieczniejszego miejsca – powiedział Luo.

– Nie ma problemu, doktorze Luo. Ma pan jakieś specjalne życzenia?

– Nie chcę niczego oprócz bezpieczeństwa. Absolutnego bezpieczeństwa.

– Nigdzie nie jest absolutnie bezpiecznie, ale możemy się bardzo zbliżyć do tego ideału. Muszę jednak pana ostrzec, że wszystkie takie miejsca znajdują się pod ziemią. Jeśli chodzi o wygody…

– Dajmy spokój wygodom, jednak wolałbym, żeby było to w Chinach.

– Nie ma problemu. Natychmiast się tym zajmę.

Kent miał już wyjść, ale Luo Ji go powstrzymał. Wskazał okno wychodzące na rajski ogród, który teraz był całkowicie przykryty śnieżną pierzyną, i zapytał:

– Może mi pan powiedzieć, jak się nazywa to miejsce? Będzie mi go brakowało.

Luo Ji leciał i jechał ponad dziesięć godzin z zachowaniem surowych zasad bezpieczeństwa, nim znalazł się u celu podróży. Gdy wysiadł z samochodu, od razu wiedział, gdzie jest – to właśnie tu, w szerokiej hali, która wyglądała na podziemny parking, rozpoczął przed pięcioma laty fantastyczne nowe życie. Teraz, po tych kilku latach przeplatających się pięknych snów i koszmarów, wrócił do punktu wyjścia.

Powitał go mężczyzna o nazwisku Zhang Xiang, ten sam, który wówczas eskortował go razem z Shi Qiangiem do Nowego Jorku, a teraz był szefem

ochrony. W ciągu pięciu lat znacznie się postarzał i teraz wyglądał na człowieka w sile wieku.

Windę nadal obsługiwał uzbrojony funkcjonariusz, oczywiście nie ten sam co wtedy, ale Luo Ji zrobiło się na jego widok ciepło na sercu. Starą windę zastąpiono nową, która była całkowicie zautomatyzowana i nie wymagała obsługi, więc funkcjonariusz wcisnął tylko guzik z oznaczeniem „–10” i winda zaczęła zjeżdżać. Widać było, że podziemne pomieszczenia poddano niedawno renowacji: ukryto kanały wentylacyjne na korytarzach, ściany wyłożono odpornymi na wilgoć płytkami, nie było też śladu po hasłach Cywilnej Obrony Przeciwlotniczej.

Pomieszczenia mieszkalne Luo Ji zajmowały cały dziesiąty poziom. Mimo że pod względem wygód nie mogły się równać z domem, który niedawno opuścił, były wyposażone w sprzęt do łączności i sprzęt komputerowy, włącznie z systemem do wideokonferencji w osobnym pokoju, co stwarzało wrażenie, że jest się w centrum dowodzenia.

Administrator dołożył szczególnych starań, by pokazać Luo zestaw kontaktów z małymi obrazkami słońca. Nazwał je „lampami słonecznymi” i wyjaśnił, że muszą być włączone codziennie przez co najmniej pięć godzin. Zaprojektowane pierwotnie dla kopalń, imitowały światło słoneczne, włącznie z promieniowaniem nadfioletowym, i zastępowały światło dzienne ludziom spędzającym długie okresy pod ziemią.

Nazajutrz, zgodnie z życzeniem Luo, odwiedził go astronom Albert Ringier.

– To pan pierwszy zobaczył trasę lotu floty trisolariańskiej? – zapytał Luo, gdy tylko go ujrzał.

Wydawało się, że Ringier jest trochę niezadowolony z tego pytania.

– Wielokrotnie tłumaczyłem dziennikarzom, że nie ja, ale uparli się, by przypisywać to mnie. To zasługa generała Fitzroya. Zażądał, byśmy

podczas prób Hubble’a II zwrócili teleskop na Trisolaris. Gdyby nie on, stracilibyśmy tę szansę, bo ślad, który pozostawiła flota trisolariańska w pyle międzygwiezdnym, szybko się zatarł.

– To, o czym chcę z panem porozmawiać, nie ma związku z tą sprawą. Sam zajmowałem się kiedyś trochę astronomią, ale nie były to dogłębne studia, a poza tym straciłem kontakt z tą dziedziną. Na początek spytam: czy jeśli we Wszechświecie istnieje, poza Trisolaris, jakiś obserwator, on też odkryłby położenie Ziemi?

– Nie.

– Jest pan tego pewien?

– Tak.

– Ale przecież Ziemia komunikuje się z Trisolaris.

– Komunikacja na falach o niskiej częstotliwości ujawniłaby tylko, w jakiej stronie Drogi Mlecznej znajdują się Ziemia i Trisolaris i jaka dzieli je odległość. To znaczy, że jeśli te wiadomości odebrałby postronny obserwator, to na ich podstawie mógłby się dowiedzieć o istnieniu cywilizacji na dwóch światach w gwiazdozbiorze Oriona na skraju Drogi Mlecznej, oddalonych od siebie o 4,22 lat świetlnych, ale nie poznałby ich dokładnego położenia. Prawdę mówiąc, określenie wzajemnego położenia drogą takiej komunikacji jest możliwe jedynie w przypadku planet, które krążą wokół gwiazd leżących blisko siebie, takich jak Słońce i gwiazdy Trisolaris. Jednak w przypadku znajdującego się trochę dalej postronnego obserwatora nie bylibyśmy w stanie określić swojego wzajemnego położenia, nawet gdybyśmy bezpośrednio się z nim skomunikowali.

– Dlaczego?

– Oznaczenie położenia jakiejś gwiazdy we Wszechświecie nie jest wcale takie łatwe, jak się ludziom wydaje. Podam analogię: leci pan samolotem nad Saharą, a ziarno piasku krzyczy: „Tutaj jestem!”. Słyszy

pan ten krzyk, ale czy z samolotu jest pan w stanie określić położenie tego ziarnka? W Drodze Mlecznej jest ponad dwieście miliardów gwiazd. To praktycznie pustynia składająca się z gwiazd.

Luo Ji skinął głową z wyraźną ulgą.

– Rozumiem. A więc to tak.

– Co tak? – zapytał zdezorientowany Ringier.

Zamiast mu odpowiedzieć, Luo zadał następne pytanie:

– Czy na obecnym poziomie naszej techniki jest jakiś sposób, by wskazać położenie gwiazdy we Wszechświecie?

– Tak, za pomocą fal elektromagnetycznych o bardzo wysokiej częstotliwości, równej częstotliwości światła widzialnego albo od niej wyższej, i wykorzystaniu mocy gwiazdy do przesłania informacji. Ujmując to prosto, musiałby pan sprawić, by gwiazda zaświeciła jak kosmiczna latarnia morska.

– To znacznie przekracza nasze obecne możliwości.

– O, przepraszam. Przeoczyłem postawiony przez pana warunek konieczny. Przy naszych obecnych możliwościach technicznych pokazanie położenia gwiazdy w odległej części Wszechświata byłoby dość trudne. Jest to wprawdzie nadal możliwe, ale zinterpretowanie informacji o jej położeniu wymaga poziomu technologii dużo wyższego niż nasz, a nawet – jak sądzę – Trisolarian.

– Proszę mi opowiedzieć o tej metodzie.

– Informacją o kluczowym znaczeniu jest położenie gwiazd względem siebie. Jeśli określi pan rejon Drogi Mlecznej, w którym znajduje się dostateczna liczba gwiazd – być może wystarczyłoby kilkadziesiąt – to ich położenie względem siebie w trójwymiarowej przestrzeni byłoby niepowtarzalne jak odcisk palca.

– Zaczynam rozumieć. Wysyłamy wiadomość z danymi o położeniu gwiazdy, którą chcemy wskazać, względem gwiazd w jej otoczeniu, a jej odbiorca porównuje te dane ze swoją mapą gwiezdną, by ustalić, gdzie się ona znajduje.

– Zgadza się. Ale sprawy nie przedstawiają się tak prosto. Odbiorca musi mieć trójwymiarowy model całej Galaktyki, który precyzyjnie pokazuje względne położenie każdej ze stu miliardów gwiazd. Po otrzymaniu od nas wiadomości musiałby przeszukać całą tę ogromną bazę danych, by znaleźć rejon przestrzeni kosmicznej, który pasuje do przesłanego przez nas układu.

– O, to jest jeszcze bardziej skomplikowane. To tak, jakby ustalał położenie każdego ziarnka piasku na pustyni względem pozostałych.

– Nawet trudniejsze. W przeciwieństwie do pustyni Droga Mleczna jest w ruchu, więc położenie gwiazd względem siebie stale się zmienia. Im później otrzyma się informacje o położeniu danej gwiazdy, tym większy jest margines błędu wskutek tych zmian. Znaczy to, że ta baza danych musi być w stanie przewidzieć zmiany położenia każdej z tych stu miliardów gwiazd. Jest to teoretycznie możliwe, ale w praktyce… Boże…

– Czy przesłanie informacji o położeniu naszej gwiazdy byłoby trudne?

– Nie, ponieważ potrzebowalibyśmy danych tylko o pozycjach ograniczonej liczby gwiazd. Kiedy teraz o tym myślę, sądzę, że biorąc pod uwagę średnią gęstość gwiazd w zewnętrznym ramieniu Galaktyki, wystarczyłoby znać względne położenie w układzie obejmującym nie więcej niż trzydzieści z nich. To mała ilość informacji.

– Dobrze. A teraz trzecie pytanie: poza Układem Słonecznym znajdują się inne gwiazdy z planetami. Odkryliście kilkaset takich układów, prawda?

– Do chwili obecnej ponad tysiąc.

– A który leży najbliżej Słońca?

– 244J2E1, szesnaście lat świetlnych od Słońca.

– Z tego, co pamiętam, układy te oznacza się w ten sposób: pierwsze cyfry to numer odkrycia, litery J, E i X odpowiadają kolejno planetom typu Jowisza i Ziemi oraz innym planetom, natomiast cyfry po danej literze wskazują na liczbę planet tego typu w danym układzie.

– Zgadza się. 244J2E1 jest gwiazdą, wokół której krążą trzy planety, dwie typu Jowisza i jedna typu Ziemi.

Luo Ji zastanawiał się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– To zbyt blisko. A trochę dalej… powiedzmy, w odległości około pięćdziesięciu lat świetlnych?

– 187J3X1, czterdzieści dziewięć i pół roku świetlnego od Słońca.

– W sam raz. Może pan narysować położenie tej gwiazdy względem innych?

– Oczywiście.

– Ile czasu by to panu zajęło? Potrzebowałby pan kogoś do pomocy?

– Mogę to zrobić na miejscu, jeśli jest tutaj komputer połączony z internetem. Jej położenie względem, powiedzmy, trzydziestu gwiazd mogę podać panu wieczorem.

– A która jest teraz godzina? Nie jest już wieczór?

– Prawdopodobnie mamy teraz ranek.

Ringier przeszedł do pokoju komputerowego, a Luo Ji wezwał Kenta i Zhang Xianga. Najpierw wyjaśnił Kentowi, że chce, by ROP zwołał jak najszybciej kolejne spotkanie w sprawie Wpatrujących się w Ścianę.

– Ostatnio jest dużo posiedzeń ROP – rzekł Kent. – Będzie pan pewnie musiał poczekać tylko kilka dni od momentu złożenia wniosku.

– Wobec tego poczekam. Ale naprawdę chciałbym, żeby odbyło się jak najszybciej. Poza tym mam jedną prośbę – żebym mógł w nim wziąć udział przez wideo zamiast osobiście.

Kent zrobił niechętną minę.

– Czy nie uważa pan, doktorze Luo, że to trochę niestosowne? Spotkanie międzynarodowe na tak wysokim szczeblu… Byłoby to wyrazem braku szacunku dla jego uczestników.

– To część planu. W przeszłości spełniono wszystkie moje dziwaczne życzenia, a to jest przesadne?

– No, wie pan… – Kent się zawahał.

– Wiem, że Wpatrujący się w Ścianę nie mają już takiej pozycji jak dawniej, ale mimo to nalegam – powiedział cichym głosem, chociaż wiedział, że i tak słyszą go sofony. – Są dwie możliwości. Pierwsza, że gdyby wszystko było tak jak dawniej, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby osobiście udać się do siedziby ONZ. Ale jest i taka, że mogę znaleźć się w bardzo niebezpiecznej sytuacji, a nie mogę tego ryzykować. – Potem zwrócił się do Zhang Xianga: – Właśnie dlatego wezwałem pana. Możemy się stać celem skoncentrowanego ataku wroga, trzeba więc zwiększyć środki bezpieczeństwa.

– Proszę się nie martwić, doktorze Luo. Znajdujemy się dwieście metrów pod ziemią. Teren nad nami to strefa, do której wstęp jest zakazany. Umieszczono tam system antyrakietowy i zainstalowano najnowocześniejszy podziemny system ostrzegania, który wykryje każdą próbę wydrążenia tunelu z którejkolwiek strony. Zapewniam pana, że nasza ochrona jest niezawodna.

Kiedy Kent i Zhang Xiang wyszli, Luo Ji przespacerował się po korytarzu, mimo woli wracając myślami do rajskiego ogrodu (teraz znał prawdziwą nazwę tego miejsca, ale w duchu nadal określał je tym mianem), jeziora i pokrytego śniegiem szczytu. Wiedział, że jest bardzo prawdopodobne, iż resztę życia spędzi pod ziemią.

Spojrzał na lampy słoneczne na suficie. Światło, które dawały, w niczym nie przypominało słonecznego.

Przez pole gwiezdne wolno sunęły dwa meteory. Na ziemi wszystko spowijał mrok, a odległy horyzont zlewał się z nocnym niebem. W ciemnościach słychać było szepty, ale tych, którzy mówili, nie było widać, jakby same głosy były niewidzialnymi, unoszącymi się w powietrzu istotami.

Rozległ się brzęk i w ciemnościach pojawił się mały płomyk, a w jego mdłym świetle ukazały się trzy twarze: Qin Shihuanga, Arystotelesa i von Neumanna. Płomyk wydobywał się z zapalniczki w dłoni Arystotelesa. Podpalił jedną z wyciągniętych w jego stronę pochodni, a ten, kto ją trzymał, przekazał ogień pozostałym. Ich drgające światło wydobyło z mroku grupę ludzi z różnych epok. Nadal rozmawiali szeptem.

Qin Shihuang wskoczył na głaz, machnął mieczem i tłum umilkł.

– Pan wydał nowy rozkaz: „Unicestwić Wpatrującego się w Ścianę Luo Ji!” – oznajmił.

– My też otrzymaliśmy ten rozkaz. To już drugi wydany przez Pana rozkaz zabicia Luo Ji – rzekł Mo Zi.

– Ale teraz będzie trudno go zabić – powiedział ktoś.

– Trudno? To jest niemożliwe!

– Gdyby Evans nie opatrzył pierwszego rozkazu tym warunkiem, Luo Ji nie żyłby już od pięciu lat.

– Może Evans miał rację. W końcu nie wiemy, z jakich powodów to zrobił. Za drugim razem, na placu przed siedzibą główną ONZ, Luo Ji dopisało szczęście.

Qin Shihuang uciął dyskusję machnięciem miecza.

– Może lepiej porozmawiamy o tym, co robić?

– Nic nie możemy zrobić. Czy ktoś w ogóle dotrze w pobliże bunkra znajdującego się dwieście metrów pod ziemią, a co dopiero zdoła tam wejść? Jest zbyt pilnie strzeżony.

– Może byśmy rozważyli użycie broni jądrowej?

– To bunkier z czasów zimnej wojny, który, niech to szlag, przetrzyma atak jądrowy.

– Jedynym rozwiązaniem jest wysłanie kogoś, kto przeniknie do ochrony.

– Tylko czy to możliwe? Mieliśmy na to kilka lat. Czy kiedykolwiek udało się nam tam przeniknąć?

– Trzeba przeniknąć do jego kuchni!

Ta propozycja wzbudziła śmiech.

– Przestańcie gadać bzdury! Pan powinien powiedzieć nam prawdę, a wtedy może udałoby się znaleźć lepsze rozwiązanie.

– Ja też o to prosiłem – odpowiedział Qin Shihuang na tę ostatnią sugestię – ale Pan powiedział, że prawda jest najważniejszą tajemnicą we Wszechświecie i nie może mi jej wyjawić. Kiedy rozmawiał o tym z Evansem, odniósł wrażenie, że ludzkość ją zna, ale potem przekonał się, że się mylił.

– No to poproś Pana, żeby przekazał nam swoją technologię!

Tę propozycję poparło wielu innych.

– O to też go poprosiłem – powiedział Qin Shihuang. – Ku mojemu zdumieniu nie odrzucił tego z miejsca, co było dla niego nietypowe.

W tłumie zapanowało poruszenie, ale następne słowa Qin Shihuanga ostudziły entuzjazm zebranych.

– Kiedy jednak Pan dowiedział się, gdzie jest cel, szybko odrzucił moją prośbę. Powiedział, że żadna technologia, którą mógłby nam przekazać, nie pozwoliłaby nam zlikwidować celu znajdującego się w takim miejscu.

– Czy Luo Ji jest naprawdę taki ważny? – zapytał von Neumann z nutą zazdrości w głosie, której nie potrafił ukryć. Jego pozycja w organizacji szybko wzrosła, kiedy jako pierwszy Burzyciel Ściany wykonał swoje zadanie.

– Pan się go boi.

– Długo o tym myślałem – rzekł Einstein – i doszedłem do wniosku, że jest tylko jeden powód, dla którego Pan może się go bać, a mianowicie, że Luo Ji jest rzecznikiem pewnej potęgi.

– Nie zagłębiajmy się w to – uciął dalszą dyskusję Qin Shihuang. – Lepiej się zastanówmy, jak wykonać rozkaz Pana.

– Nie da się tego zrobić.

– Naprawdę się nie da. To niewykonalne zadanie.

Qin Shihuang uderzył mieczem w głaz pod swoimi stopami.

– To zadanie ma kluczowe znaczenie. Pan może rzeczywiście być zagrożony. Poza tym jeśli uda się nam je wykonać, bardzo zyskamy w oczach Pana! Zebrała się tu elita wszystkich ziemskich sfer, więc nie możemy czegoś wymyślić? Wracajcie do siebie, zastanówcie się i prześlijcie mi wasze plany innymi kanałami. Musimy sobie z tym poradzić!

Pochodnie po kolei się wypaliły i wszystko pokryła ciemność, ale nadal słychać było szepty.

Spotkanie ROP w sprawie programu Wpatrujących się w Ścianę zwołano dopiero dwa tygodnie później. Po samobójstwie Tylera i hibernacji dwóch innych Wpatrujących się w Ścianę priorytetem Rady Obrony Planety stał się główny kierunek przygotowań do obrony przed inwazją Trisolarian.

Luo Ji i Kent czekali na rozpoczęcie zebrania w pokoju wideokonferencyjnym. Połączono się z siedzibą ONZ i na dużym ekranie pokazała się sala obrad ROP. Przy okrągłym stole znanym z czasów Rady Bezpieczeństwa nie było jeszcze nikogo. Luo Ji przyszedł wcześniej, niejako w geście przeprosin za to, że nie uczestniczy w tej sesji osobiście.

Dla zabicia czasu gawędził z Kentem o tym i owym. Zapytał go, jak sobie radzi. Kent odparł, że w młodości mieszkał trzy lata w Chinach, więc jest przyzwyczajony do miejscowych zwyczajów i radzi sobie zupełnie dobrze. W każdym razie nie musiał spędzać, tak jak Luo, całego dnia pod ziemią, a jego chropawa chińszczyzna odzyskała płynność.

– Ma pan taki głos, jakby się pan przeziębił – rzekł Luo Ji.

– Właśnie złapałem psią grypę – odparł Kent.

– Ptasią grypę? – zapytał zaniepokojony Luo.

– Nie. Psią. Tak ją nazwały media, bo chory czuje się pod psem. Zaczęła się tydzień temu w pobliskim mieście. Jest zaraźliwa, ale ma lekki przebieg. Chory ma niewielką gorączkę i dokuczliwy katar, a niektórych boli gardło. Nie trzeba tego leczyć, po mnie więcej trzech dniach sama mija.

– Grypa ma zwykle poważniejszy przebieg.

– Ale nie tym razem. Zachorowało wielu żołnierzy i członków personelu pomocniczego. Nie zauważył pan, że zmieniono sprzątaczkę? Poprzednia też złapała grypę i bała się, że się pan od niej zarazi. Mnie na razie nie ma kto zmienić.

Na ekranie zaczęli się pojawiać delegaci wchodzący do sali obrad. Siadali przy stole i rozmawiali ze sobą cicho, jakby nie zauważali obecności Luo Ji. Aktualnie urzędujący przewodniczący ROP otworzył posiedzenie i powiedział:

– Wpatrujący się w Ścianę Luo Ji, na ostatniej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, która właśnie została przerwana, wprowadzono poprawki

do Uchwały o Wpatrujących się w Ścianę. Widział pan je?

– Tak – odparł Luo.

– Więc musiał pan zauważyć, że ograniczają one możliwości przyznawania wam środków finansowych. Mam nadzieję, że plan, który przedstawi pan dzisiaj Radzie, jest zgodny z postanowieniami tej uchwały.

– Panie przewodniczący – rzekł Luo – pozostali trzej Wpatrujący się w Ścianę przeznaczyli ogromne środki na realizację swoich planów. W tej sytuacji ograniczanie środków na mój plan jest niesprawiedliwe.

– Wielkość przyznanych środków zależy od planu i musi pan wiedzieć, że plany pana trzech kolegów nie są sprzeczne z głównym kierunkiem przygotowań do obrony. Innymi słowy, prowadzone przez nich badania i prace projektowe doszłyby do skutku, nawet gdyby nie było programu Wpatrujących się w Ścianę. Mam nadzieję, że pana plan też ma taki charakter.

– Przykro mi, panie przewodniczący, ale muszę pana rozczarować. Nie ma absolutnie nic wspólnego z głównym kierunkiem przygotowań do obrony planety.

– Wobec tego mnie też jest przykro. Zgodnie z nową uchwałą środki, które może pan przeznaczyć na realizację tego planu, są bardzo ograniczone.

– Nie potrzebowałbym ich wiele, nawet gdybym pozostał przy moim poprzednim planie. Jednak nie stanowi to żadnego problemu, panie przewodniczący. Mój plan strategiczny nie pochłonie praktycznie żadnych środków.

– Tak jak poprzedni?

Ta uwaga wywołała chichot kilku uczestników posiedzenia.

– Nawet mniej niż tamten. Jak powiedziałem, nie pochłonie praktycznie żadnych środków.

– Wobec tego posłuchajmy – powiedział przewodniczący, kiwając głową.

– Szczegóły planu przedstawi doktor Albert Ringier, chociaż sądzę, że wszyscy obecni tutaj otrzymali dokument, w którym są one opisane. Krótko mówiąc, chodzi o wysłanie w kosmos, z wykorzystaniem zdolności Słońca do wzmacniania fal radiowych, wiadomości zawierającej trzy proste obrazy oraz dodatkowej informacji wskazującej, że nie są one dziełem natury, lecz istot inteligentnych. Obrazy te znajdują się w przesłanym państwu dokumencie.

W sali rozległ się szelest przewracanych kartek. Obrazy, o których mówił Luo, ukazały się też na ekranie. Były zupełnie proste. Każdy składał się z czarnych kropek, pozornie rozmieszczonych przypadkowo, ale wszyscy zauważyli, że jedna z nich była wyraźnie większa od pozostałych i zaznaczona strzałką.

– Co to jest? – zapytał przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, który – podobnie jak reszta zebranych – uważnie im się przyglądał.

– Panie Luo Ji, zgodnie z podstawowymi zasadami programu Wpatrujących się w Ścianę nie musi pan odpowiadać na to pytanie – oświadczył przewodniczący.

– To urok – odparł Luo.

Szelest kartek i szepty gwałtownie ustały. Wszyscy patrzyli w jedną stronę, dzięki czemu Luo zorientował się, gdzie znajduje się ekran, który go ukazywał.

– Co? – spytał przewodniczący, zwężając oczy.

– Powiedział, że to urok – rzekł głośno ktoś z siedzących przy stole.

– Rzucony na kogo?

– Na planety krążące wokół gwiazdy 187J3X1. Oczywiście może podziałać też na samą gwiazdę.

– Jaki przyniesie to skutek?

– Na razie nie wiadomo. Ale jedno jest pewne – będzie on dla niej katastrofalny.

– Eee… jest jakieś prawdopodobieństwo, że na tych planetach istnieje życie?

– Wielokrotnie konsultowałem się w tej sprawie ze społecznością astronomów. Odpowiedź brzmi: „Nie” – odparł Luo Ji, zwężając oczy, tak jak przed chwilą przewodniczący ROP. „Oby mieli rację” – modlił się w duchu.

– Po jakim czasie od wysłania zacznie on działać?

– Ta gwiazda znajduje się około pięćdziesięciu lat świetlnych od Słońca, więc najwcześniej za pięćdziesiąt lat. Jednak jego skutki będziemy mogli zobaczyć dopiero za sto. Ale to tylko najbardziej optymistyczna prognoza. W rzeczywistości może to potrwać dużo dłużej.

Po chwili ciszy, która zapanowała w sali, pierwszy poruszył się przedstawiciel Stanów Zjednoczonych. Rzucił trzy kartki z wydrukowanymi na nich kropkami na stół.

– Wspaniale. W końcu mamy boga.

– Boga kryjącego się w piwnicy – dodał przedstawiciel Wielkiej Brytanii, wzbudzając śmiechy.

– Raczej czarownika – zadrwił przedstawiciel Japonii, która nigdy nie była członkiem Rady Bezpieczeństwa, ale od razu po utworzeniu ROP została do niej przyjęta.

– Przynajmniej jedno udało się panu osiągnąć, doktorze Luo. Pana plan jest dziwny i zdumiewający – rzekł Garanin, przedstawiciel Rosji, który podczas pięcioletniego działania Luo Ji w charakterze Wpatrującego się w Ścianę kilkakrotnie obejmował funkcję przewodniczącego Rady.

Obecny przewodniczący stuknął młotkiem w stół, uciszając zebranych.

– Panie Luo Ji, mam do pana pytanie. Skoro jest to urok, dlaczego nie rzucił go pan na świat naszego wroga?

– To jest weryfikacja koncepcji – odparł. – Z jej właściwym wykorzystaniem zaczekamy do bitwy w dniu Sądu Ostatecznego.

– A nie można wykorzystać jako celu próbnego Trisolaris?

Luo Ji potrząsnął ze zdecydowaniem głową.

– Absolutnie nie. Trisolaris jest za blisko. Jest na tyle blisko, że mogłyby nas dosięgnąć skutki tej klątwy. Dlatego odrzuciłem wszystkie układy planetarne w promieniu pięćdziesięciu lat świetlnych.

– I ostatnie pytanie: co pan planuje robić przez tych następnych sto lub więcej lat?

– Uwolnię państwa od mojej obecności. Poddam się hibernacji. Obudźcie mnie, kiedy zostaną odkryte skutki uroku rzuconego na 187J3X1.

Podczas przygotowań do hibernacji Luo Ji dopadła psia grypa. Jej objawy początkowo nie różniły się od tych, jakie mieli wszyscy zarażeni – miał katar i lekkie zapalenie gardła – więc ani on sam, ani nikt inny nie zwrócił na to uwagi, ale dwa dni później jego stan się pogorszył i Luo dostał gorączki. Lekarz uznał, że to nienormalne, pobrał od niego próbkę krwi i i wysłał do analizy do miasta.

Luo Ji przez całą noc majaczył w gorączce. Nawiedzały go koszmary, w których gwiazdy podskakiwały i tańczyły na niebie jak ziarna piasku na membranie bębna. Widział nawet oddziaływania grawitacyjne między nimi – nie był to ruch układu trzech ciał, lecz ruch dwustu miliardów ciał niebieskich, wszystkich gwiazd w Galaktyce! Potem obracające się gwiazdy utworzyły jeden gigantyczny wir, który przemienił się

w ogromnego węża ze skrzepłego srebra i z rykiem wwiercał się w jego mózg…

Około czwartej nad ranem Zhang Xianga obudził telefon. Dzwonił szef Wydziału Bezpieczeństwa Rady Obrony Planety, który ostrym tonem zażądał natychmiastowego raportu o stanie zdrowia Luo Ji i rozkazał postawić bazę w stan pogotowia. W drodze był już zespół specjalistów.

Zaledwie Zhang Xiang zdążył odłożyć słuchawkę, telefon zadzwonił ponownie. Tym razem był to lekarz z dziesiątego poziomu podziemnego, który zameldował, że stan pacjenta bardzo się pogorszył. Zhang Xiang natychmiast zjechał windą na dół. Spanikowani lekarz i pielęgniarka poinformowali go, że w środku nocy Luo Ji zaczął wymiotować krwią, a potem stracił przytomność. Zhang zobaczył go leżącego na łóżku. Luo miał bladą twarz, fioletowe usta i praktycznie nie dawał żadnych oznak życia.

Wkrótce potem przybył zespół składający się ze specjalistów z chińskiego Centrum Zapobiegania Chorobom, lekarzy z głównego szpitala Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i całego zespołu badawczego Wojskowej Akademii Medycznej.

Podczas gdy badali stan Luo Ji, jeden z ekspertów z WAM wziął na bok Zhang Xianga i Kenta i wyjaśnił im sytuację.

– Ta grypa już jakiś czas temu zwróciła naszą uwagę. Jej pochodzenie i cechy szczególne wydawały się nam bardzo nienormalne, a teraz jest oczywiste, że to broń genetyczna, genetyczny pocisk kierowany.

– Pocisk kierowany?

– To genetycznie zmodyfikowany wirus, który jest bardzo zaraźliwy, ale u większości osób wywołuje łagodne objawy. Ma on jednak zdolność rozpoznawania, która pozwala mu wykryć szczególne cechy genetyczne

konkretnej osoby. Gdy ten cel zostanie zarażony, wirus wytwarza w jego krwi zabójcze dla organizmu toksyny. Teraz wiemy, kto jest tym celem.

Zhang Xiang i Kent popatrzyli na siebie najpierw z niedowierzaniem, a potem z rozpaczą. Zhang Xiang zbladł i pochylił głowę.

– Ponoszę za to całkowitą odpowiedzialność – powiedział.

– Dyrektorze Zhang, nie może pan tak mówić – rzekł badacz, starszy pułkownik. – Nie ma przed nim obrony. Chociaż od początku podejrzewaliśmy, że ten wirus jest jakiś dziwny, nigdy nie rozważaliśmy takiej możliwości. Koncepcja broni genetycznej pojawiła się w ubiegłym wieku, ale nikt nie wierzył, że ktokolwiek faktycznie ją stworzy. I mimo że ta akurat broń jest niedoskonała, jest naprawdę przerażającym narzędziem zabójstwa. Trzeba tylko rozprzestrzenić wirusy w sąsiedztwie celu. Zresztą nie trzeba nawet wiedzieć, gdzie jest cel. Można wypuścić wirusy na całym globie i ponieważ u innych osób nie wywołuje on choroby albo jeśli wywołuje, ma ona łagodny przebieg, szybko się przenosi i prawdopodobnie w końcu i tak dosięgnie celu.

– Nie, biorę na siebie całą odpowiedzialność – powtórzył Zhang Xiang, zakrywając twarz. – Nie doszłoby do tego, gdyby był tu kapitan Shi. – Opuścił ręce, a jego oczy zaszkliły się od łez. – Ostatnią rzeczą, którą powiedział mi przed poddaniem się hibernacji, była przestroga przed tym, przed czym – jak pan mówi – nie ma obrony. „Xiao Zhang – powiedział – w naszej pracy trzeba spać z jednym okiem otwartym. Nie ma pewności, że odniesie się sukces, a przed pewnymi rzeczami nie jesteśmy w stanie się obronić”.

– No to co teraz zrobimy? – zapytał Kent.

– Wirus wniknął głęboko. Praca wątroby, serca i płuc pacjenta zostały upośledzone i współczesna medycyna jest w tej sytuacji bezradna. Trzeba go jak najszybciej poddać hibernacji.

Kiedy po długim czasie Luo Ji odzyskał częściowo przytomność, poczuł okropny ziąb, zimno, które zdawało się emanować z jego wnętrza jak światło i przenikać na zewnątrz, by skuć lodem cały świat. Zobaczył w dali śnieżnobiałą połać, na której początkowo nie było nic oprócz tej nieskończonej bieli. Potem pośrodku pojawiła się mała czarna plamka, która stopniowo rosła, aż rozpoznał w niej dobrze znaną postać Zhuang Yan z ich dzieckiem na ręku. Szedł ku nim, brnąc w śniegu przez tak rozległe pustkowie, że traciło wszystkie wymiary. Była w czerwonym szalu, tym samym, który miała na sobie owej nocy przed siedmioma laty, gdy ją po raz pierwszy zobaczył. Córeczka, z twarzą zaczerwienioną z zimna, machała do niego obiema rączkami i krzyczała coś, ale jej nie słyszał. Chciał popędzić ku nim, lecz obie zniknęły, jakby rozpłynęły się w śniegu. Potem zniknął on sam, a zaśnieżony świat skurczył się i zamienił w cienką srebrną nić, która w pozbawionych granic ciemnościach była wszystkim, co zostało z jego świadomości. Była to nić czasu, która ciągnęła się bez końca w obu kierunkach. Zawieszona na tej nici jego dusza szybowała ze stałą prędkością w nieznaną przyszłość.

Dwa dni później wysłano z Ziemi w stronę Słońca strumień fal radiowych o dużej mocy. Przeszły one przez strefę konwekcji i dotarły do lustra energii w strefie promieniowania, skąd ich odbicie, wzmocnione setki milionów razy, poniosło w kosmos z prędkością światła urok rzucony przez Luo Ji.

12 rok ery kryzysu

Odległość floty trisolariańskiej od Układu Słonecznego: 4,18 lat świetlnych

W przestrzeni kosmicznej pojawiła się druga miotła. Flota trisolariańska przeleciała przez drugi obłok pyłu międzygwiezdnego, a ponieważ Hubble II dokładnie obserwował ten rejon, ślad po jej przejściu został zauważony, gdy tylko się pokazał. Tym razem jednak w ogóle nie przypominał miotły. Wyglądał raczej jak kępka trawy, która wykiełkowała w ciemnej otchłani kosmosu. Tysiąc źdźbeł rosło z widoczną gołym okiem szybkością. Dzięki przyspieszeniu, które znacznie zwiększyło prędkość floty i jej uderzenie w obłok pyłu, widać je było dużo wyraźniej niż falę pozostawioną przez trisolariańskie statki dziewięć lat wcześniej.

– Panie generale, niech pan się uważnie przyjrzy. Co pan tu widzi? – rzekł Ringier do Fitzroya, wskazując powiększony obraz na ekranie.

– Nadal wydaje się, że jest to około tysiąca statków.

– Nie, proszę się lepiej przyjrzeć.

Fitzroy przypatrywał się obrazowi przez długą chwilę, po czym wskazał środek miotły.

– Wygląda na to, że… jeden, dwa, trzy, cztery… dziesięć włosów jest dłuższych od pozostałych. Wysuwają się do przodu.

– Zgadza się. Tych dziesięć śladów jest dość słabych. Stają się widoczne dopiero po powiększeniu obrazu.

Fitzroy obrócił się do Ringiera z taką samą miną, jaką miał przed dziesięcioma laty, kiedy odkryto flotę trisolariańską.

– Doktorze, czy to znaczy, że tych dziesięć statków wojennych przyspiesza?

– Wszystkie przyspieszają, ale tych dziesięć przyspiesza bardziej niż reszta. I nie są to statki wojenne. Liczba śladów wzrosła o dziesięć, do tysiąc dziesięciu. Analiza morfologii ich śladów pokazuje, że te statki są mniejsze niż jednostki wojenne za nimi, mają wielkość ich jednej tysięcznej, czyli mniej więcej ciężarówki, ale dzięki dużej prędkości pozostawiają mimo to wykrywalne ślady.

– Takie małe? To sondy?

– Tak, to muszą być sondy.

Było to jeszcze jedno wstrząsające odkrycie dokonane przez Hubble'a II – ludzkość spotka się z trisolariańskimi jednostkami, nawet jeśli będzie to tylko dziesięć małych sond, wcześniej, niż przewidywano.

– Kiedy dotrą do Układu Słonecznego? – zapytał zdenerwowany Fitzroy.

– Nie można tego powiedzieć z całą pewnością. Zależy to od ich przyspieszenia, ale zdecydowanie przybędą tu przed flotą. Według ostrożnych szacunków pół wieku wcześniej. Wyraźnie widać, że flota trisolariańska osiągnęła maksymalne przyspieszenie, ale z jakiegoś powodu, którego nie rozumiemy, nie chcą dotrzeć do Układu Słonecznego tak szybko, jak by mogli, więc wypuścili sondy, które mogą lecieć jeszcze szybciej.

– Po co im sondy, skoro mają sofony? – zapytał jeden z inżynierów.

Wszyscy ucichli i zaczęli się zastanawiać nad tym pytaniem, ale wkrótce Ringier przerwał milczenie:

– Dajmy temu spokój. I tak tego nie odgadniemy.

– O nie – powiedział Fitzroy. – Możemy to odgadnąć, przynajmniej częściowo… Patrzymy na wydarzenia sprzed czterech lat. Możecie określić dokładną datę wystrzelenia tych sond?

– Mamy szczęście, że wypuścili je na śnieg… to znaczy w pył międzygwiezdny… bo dzięki temu możemy na podstawie pozostawionych w tym pyle przecinających się śladów statków i sond ustalić czas wystrzelenia tych drugich.

Potem Ringier podał mu datę.

Fitzroyowi odebrało na chwilę mowę. Zapalił papierosa i usiadł. Zaciągnął się kilka razy, po czym rzekł:

– Nie jesteście politykami, doktorze. Tak jak ja nie mogłem rozszyfrować, co oznaczają te długie włosy, tak wy nie wiecie, że ten fakt ma decydujące znaczenie.

– A co jest takiego szczególnego w tej dacie? – zapytał niepewnie Ringier.

– Tego dnia przed czterema laty uczestniczyłem w spotkaniu ROP w sprawie Wpatrujących się w Ścianę, na którym Luo Ji zaproponował wykorzystanie Słońca dla wysłania we Wszechświat uroku.

Naukowcy i inżynierzy spojrzeli po sobie.

– I mniej więcej w tym samym czasie Trisolaris wydała RZT po raz drugi rozkaz zabicia Luo Ji.

– Jego? Naprawdę jest taki ważny?

– Myślicie, że był na początku sentymentalnym playboyem, a potem udawał czarownika? Oczywiście, że tak. My też tak wtedy uważaliśmy. Wszyscy tak uważali. Wszyscy oprócz Trisolarian.

– No cóż… wobec tego kim on według pana jest, panie generale?

– Wierzy pan w Boga, doktorze?

To pytanie było tak niespodziewane, że tym razem Ringierowi odebrało na moment mowę.

– W Boga? – rzekł w końcu. – W dzisiejszych czasach to słowo ma wiele znaczeń i może być rozpatrywane na wielu płaszczyznach. Nie wiem, które…

– Bo ja wierzę – przerwał mu Fitzroy. – Nie dlatego, że jest jakiś dowód na Jego istnienie, lecz dlatego, że tak jest bezpieczniej. Jeśli On naprawdę istnieje, to dobrze jest w Niego wierzyć. Jeśli nie, nic na tym nie tracimy.

Słowa generała wywołały śmiech, a Ringier powiedział:

– Druga implikacja jest fałszywa. Mamy coś do stracenia, przynajmniej jeśli chodzi o naukę… No, ale załóżmy, że Bóg istnieje. Co z tego? Co on ma wspólnego z tym, przed czym stoimy?

– Jeśli Bóg istnieje, to może mieć w świecie śmiertelnych rzecznika.

Wszyscy gapili się na Fitzroya i minęło sporo czasu, nim pojęli, co wynika z jego słów.

– Panie generale, o czym pan mówi? – rzekł w końcu jeden z astronomów. – Bóg nie wybrałby sobie rzecznika z narodu ateistów.

Fitzroy zgasił niedopałek papierosa i rozłożył ręce.

– Kiedy wyeliminowało się to, co niemożliwe, to, co pozostaje, bez względu na to, jak nieprawdopodobne się wydaje, musi być prawdą. Przychodzi wam do głowy lepsze wyjaśnienie?

– Jeśli przez Boga – rozmyślał głośno Ringier – rozumie pan jakąś istniejącą we Wszechświecie siłę sprawiedliwości, która wszystko przekracza…

Fitzroy uciszył go podniesieniem ręki, jakby boska moc, o której istnieniu dowiedzieli się przed chwilą, mogła zostać umniejszona, gdyby powiedziano o niej wprost.

– A zatem wszyscy w Niego uwierzcie. Możecie zacząć od razu.

Potem się przeżegnał.

Próbną jazdę Tianti III pokazywała telewizja. Budowę trzech wind kosmicznych rozpoczęto przed pięcioma laty, a ponieważ na początku roku uruchomiono Tianti I i Tianti II, próba Tianti III nie wywoływała wielkiej ekscytacji. Wszystkie windy kosmiczne budowano teraz na jednej tylko szynie, wskutek czego miały dużo mniejszą siłę udźwigu niż znajdujące się obecnie w fazie projektowania modele czteroszynowe, ale i tak był to zupełnie inny świat niż w epoce rakiet o napędzie chemicznym. Jeśli pominąć koszty budowy, podróż w przestrzeń kosmiczną windą była tańsza niż samolotem cywilnym. Wskutek tego znacznie zwiększyła się liczba ciał poruszających się nocą na niebie nad Ziemią. Były to duże, skonstruowane przez ludzi obiekty, które krążyły po orbitach wokół niej.

Tianti III była jedyną windą kosmiczną, której podstawa znajdowała się na oceanie. Podstawę tę tworzyła sztuczna, pływająca po Pacyfiku na wysokości równika wyspa z napędem jądrowym. Dzięki temu mogła w razie potrzeby zmieniać położenie. Była ona urzeczywistnieniem pływającej wyspy z powieści Juliusza Verne’a, więc na jego cześć została nazwana Wyspą Verne’a. W telewizji nie widać nawet było oceanu, tylko metalową podstawę w kształcie piramidy pośród miasta ze stali i – u dołu szyny – gotową do wystrzelenia cylindryczną kabinę transportową. Z odległego punktu, w którym umieszczono kamerę, biegnąca w przestrzeń kosmiczną szyna była niewidoczna, ponieważ miała średnicę zaledwie sześćdziesięciu centymetrów, ale czasami można było zobaczyć błysk odbijających się od niej promieni zachodzącego słońca.

Przekaz telewizyjny oglądało trzech mężczyzn – Zhang Yuanchao i jego dwóch sąsiadów, Yang Jinwen i Miao Fuquan. Wszyscy byli już po

siedemdziesiątce i chociaż nikt nie powiedziałby, że są niedołężni, byli bez wątpienia starzy. Ciężko im było zarówno wspominać przeszłość, jak i patrzeć w przyszłość, a ponieważ na teraźniejszość nie mieli żadnego wpływu, pozostawało im tylko przeżywać schyłek życia w tej niezwykłej epoce, nie myśląc o niczym.

Syn Zhang Yuanchao, Zhang Weiming, wprowadził do pokoju jego wnuczka, Zhang Yana. Zhang Weiming trzymał w ręku papierową torbę.

– Tato, odebrałem twoją kartę żywnościową i talony na przetwory zbożowe – powiedział, po czym wyjął z torby plik kolorowych kartek i dał je ojcu.

– Ach, zupełnie jak w dawnych czasach – westchnął ze smutkiem Yang Jinwen, który przypatrywał się temu z boku.

– Wróciło. Zawsze wraca – mruknął do siebie przygnębiony Zhang Yuanchao, biorąc talony.

– To pieniądze? – zapytał Yan Yan, patrząc na kawałki papieru.

– To nie pieniądze, dziecko – rzekł Zhang Yuanchao do wnuka. – Ale od tej pory, jeśli będziesz chciał kupić przetwory zbożowe, takie jak chleb czy ciasto, poza przydziałem albo zjeść obiad czy kolację w restauracji, będziesz musiał dawać je razem z pieniędzmi.

– Trochę się to różni od dawnych kartek żywnościowych – powiedział Zhang Weiming, wyjmując kartę z czipem. – Tak wygląda obecna.

– Ile na niej jest?

– Ja dostaję dwadzieścia jeden i pół kilo, czyli czterdzieści trzy jin. Ty i Xiaohong po trzydzieści siedem jin, a Yan Yan dwadzieścia jeden jin.

– Prawie tyle samo co dawniej – stwierdził starszy mężczyzna.

– Powinno wystarczyć na miesiąc – powiedział Yang Jinwen.

Zhang Weiming potrząsnął głową.

– Panie Yang, przecież pan już to przeżył. Nie pamięta pan? Teraz może jeszcze być nieźle, ale wkrótce będzie mniej artykułów nieprzydziałowych i jeśli będzie pan chciał kupić warzywa i mięso, będzie pan musiał mieć numerki. Więc tych nędznych parę kilo przetworów zbożowych nie wystarczy, by się najeść!

– Nie będzie tak źle. – Miao Fuquan zbył to machnięciem ręki. – Przeszliśmy już przez coś takiego kilkadziesiąt lat temu. Nie będziemy przymierać głodem. Dajmy temu spokój i pooglądajmy telewizję.

– No i niedługo mogą się pojawić kupony na artykuły przemysłowe[1] – zauważył Zhang Yuanchao, odkładając talony na stół i przenosząc uwagę na telewizor.

Widoczna na ekranie cylindryczna kabina zaczęła się podnosić. Szybko wzbiła się w górę i przyspieszyła, a potem zniknęła na ciemnym niebie. Szyna prowadząca była niewidoczna, więc wyglądało to tak, jakby kabina miała własny napęd. Osiągnęła maksymalną prędkość pięciuset kilometrów na godzinę, ale nawet przy tej prędkości dotarcie do stacji końcowej na orbicie geostacjonarnej miało jej zająć sześćdziesiąt osiem godzin. Pokazał się widok z kamery umieszczonej pod kabiną. Na tym ujęciu większą część ekranu zajmowała sześćdziesięciocentymetrowa szyna. Za sprawą jej gładkiej powierzchni ruch kabiny był praktycznie niezauważalny, a szybkość, z jaką wznosiła się kamera, pokazywały tylko uciekające oznaczenia na skali. Szyna szybko się zwęziła i rozpłynęła w dole, ale wskazywała miejsce, gdzie znajdowała się Wyspa Verne’a, widoczna teraz w całej okazałości. Wydawała się ogromnym talerzem zawieszonym na końcu szyny.

Yang Jinwenowi przyszło coś do głowy.

– Pokażę wam prawdziwą rzadkość – powiedział, wstał i wyszedł, nie tak zwinnie jak niegdyś, prawdopodobnie do swojego mieszkania. Niebawem

wrócił z cienkim płatem czegoś wielkości pudełka papierosów i położył to na stole.

Zhang Yuanchao podniósł ten przedmiot i przyjrzał się mu. Był on szary, półprzezroczysty i bardzo lekki, jak paznokieć.

– To materiał, z którego zrobiona jest ta szyna! – powiedział Yang Jinwen.

– Wspaniale. Twój syn ukradł z sektora publicznego strategiczny materiał – rzekł Miao Fuquan.

– To tylko kawałek resztek. Syn mówił, że tysiące ton tego materiału wystrzelono w przestrzeń kosmiczną, tam zrobiono z niego szynę i opuszczono ją z orbity na Ziemię… Wkrótce podróże w kosmos staną się powszechne. Poprosiłem syna, żeby mi to załatwił.

– Chcesz lecieć w kosmos? – zapytał zdumiony Zhang Yuanchao.

– To nic wielkiego. Słyszałem, że podczas tej jazdy nie ma nawet przeciążenia. Zupełnie jakby się podróżowało w wagonie sypialnym pociągu dalekobieżnego – powiedział lekceważąco Miao Fuquan. W ciągu wielu lat, podczas których nie mógł kierować swoimi kopalniami, jego rodzina wpadła w tarapaty finansowe. Przed czterema laty musiał sprzedać willę i zostało mu tylko to mieszkanie. Najbogatszy z całej trójki stał się nagle Yang Jinwen, którego syn pracował przy budowie windy kosmicznej, co czasami przyprawiało starego Miao o zazdrość.

– Nie wybieram się w kosmos – odparł Yang Jinwen. Podniósł głowę i gdy zobaczył, że syn zabrał wnuczka do drugiego pokoju, ciągnął: – Ale polecą tam moje szczątki. Chyba rozmowa o tym nie jest dla was tabu, co?

– A jakie to tabu? Dlaczego chcesz tam umieścić swoje szczątki? – zapytał Zhang Yuanchao.

– Wiesz, że na końcu Tianti jest wyrzutnia elektromagnetyczna. Kiedy nadejdzie na mnie pora, trumna z moimi zwłokami zostanie wystrzelona

i lecąc z trzecią prędkością kosmiczną, opuści Układ Słoneczny. To się nazywa pochówkiem kosmicznym. Nie chcę zostać po śmierci na okupowanej przez obcych Ziemi. Chyba jest to jakaś forma eskapizmu.

– A jeśli obcy zostaną pokonani?

– To praktycznie niemożliwe. Jeśli jednak tak się stanie, to niewiele stracę. Będę się włóczył po kosmosie!

Zhang Yuanchao potrząsnął głową.

– Wy, inteligenci, i wasze dziwaczne pomysły! To bezcelowe. Liść, który opadł z drzewa, wraca do jego korzeni. Mnie pochowają w żółtym piasku Ziemi.

– Nie boisz się, że Trisolarianie odkopią twój grób?

To pytanie nagle podekscytowało Miao Fuquana, który do tej pory milczał. Skinął na sąsiadów, by się przysunęli bliżej, i zniżył głos, jakby się bał, że podsłuchają go sofony.

– Nie mówcie o tym nikomu, ale coś mi przyszło do głowy. Mam w Shanxi mnóstwo nieczynnych kopalń…

– Chcesz zostać tam pochowany?

– Nie, nie. To są małe kopalnie. Niezbyt głębokie. Ale w kilku miejscach łączą się z kopalniami państwowymi, więc można zejść opuszczonymi chodnikami nawet czterysta metrów pod ziemię. Wystarczy ci? Potem wysadzimy ścianę szybu. Nie sądzę, żeby Trisolarianom udało się tam dokopać.

– Gadanie. Skoro Ziemianie mogą się dokopać do takiej głębokości, to dlaczego miałoby się to nie udać Trisolarianom? Znajdą nagrobek i po prostu będą kopać do skutku.

Miao Fuquan nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Zgłupiałeś, Lao Zhang? – Widząc, że Zhang Yuanchao nadal nie rozumie, wskazał Yang Jinwena, który znudził się tą rozmową i wrócił do

oglądania transmisji telewizyjnej. – Niech ci to wytłumaczy człowiek wykształcony.

Yang Jinwen zachichotał.

– Lao Zhang, po co ci nagrobek? Nagrobki robi się po to, żeby je widzieli ludzie. Wtedy nie będzie już żadnych ludzi.

Przez całą drogę do Trzeciego Ośrodka Doświadczalnego Syntezy Jądrowej Zhang Beihai jechał przez głęboki śnieg. Gdy jednak zbliżył się do bazy, śnieg stopniał, droga stała się błotnista, a zimne powietrze ciepłe i wilgotne, jakby przeniknięte oddechem wiosny. Na zboczach wzgórz po bokach drogi Zhang Beihai zauważył kwitnące brzoskwinie, niezwykły widok podczas ostrej zimy. Kierował się w stronę białego budynku w dolinie, który był tylko wejściem do Ośrodka mieszczącego się w większej części pod ziemią. Wtedy spostrzegł na zboczu kogoś zrywającego kwiaty z brzoskwiń. Przyjrzawszy się dokładniej, zobaczył, że jest to człowiek, z którym przyjechał się spotkać, więc zatrzymał samochód.

– Doktorze Ding! – krzyknął. Gdy Ding Yi podszedł z bukietem kwiatów, Zhang Beihai roześmiał się i zapytał: – Dla kogo są te kwiaty?

– Oczywiście dla mnie. Rozkwitły pod wpływem ciepła, które powstało w wyniku reakcji termojądrowej.

Ding Yi uśmiechał się promiennie. Widać było, że jest wciąż podekscytowany przełomem, którego właśnie dokonał.

– Pozwolić temu ciepłu się ulatniać to marnotrawstwo – powiedział Zhang Beihai.

Wysiadł z samochodu, zdjął okulary słoneczne i zrobił w myślach bilans tej wiosny w miniaturze. Gdy oddychał, z jego ust nie wydobywały się obłoczki pary, i nawet przez podeszwy butów czuł ciepło ziemi.

– Nie ma czasu ani pieniędzy na budowę elektrowni – rzekł Ding Yi. – Ale to nieważne. Od tej pory Ziemia nie musi oszczędzać energii.

Zhang Beihai wskazał kwiaty w jego ręku.

– Miałem nadzieję, że znalazł pan sobie jakieś zajęcie, żeby się odprężyć. Bez pana ten przełom nastąpiłby później.

– Beze mnie doszłoby do niego nawet wcześniej. W ośrodku pracuje ponad tysiąc naukowców. Ja tylko wskazałem im właściwy kierunek. Od dawna uważałem, że tokamak[2] to ślepy zaułek. Właściwe podejście musiało doprowadzić do przełomu. Ja jestem tylko teoretykiem. Nie przeprowadzam eksperymentów. Dawane przeze mnie na ślepo wskazówki tylko spowolniły postęp badań.

– Może pan odwlec ogłoszenie ich wyniku? Pytam poważnie. Jest to życzenie dowództwa Sił Kosmicznych.

– Jak mamy to zrobić? Środki przekazu śledzą postęp badań we wszystkich trzech ośrodkach pracujących nad fuzją.

Zhang Beihai kiwnął głową i westchnął.

– To zła wiadomość.

– Znam parę powodów, dla których możecie tak uważać, ale dla pewności niech mi pan sam powie.

– Jeśli opanujemy kontrolowaną reakcję termojądrową, natychmiast ruszą z kopyta prace badawcze nad stworzeniem statków kosmicznych. Jak pan zapewne wie, obecnie badania w tej dziedzinie idą w dwóch kierunkach: nad statkami o napędzie materiałowym i statkami o napędzie radiacyjnym. Każdemu z tych kierunków udziela poparcia inna frakcja – prace nad statkami o napędzie materiałowym popiera przemysł lotniczo-kosmiczny, natomiast nad statkami o napędzie radiacyjnym frakcja związana z siłami kosmicznymi. Projekty te pochłoną ogromne sumy i jeśli

nie będą postępować jednocześnie w obu kierunkach, jeden z nich uzyska dominującą pozycję.

– Osoby zajmujące się badaniami nad kontrolowaną reakcją termojądrową, w tym ja, opowiadają się za napędem jądrowym. Osobiście uważam, że to jedyny plan, który umożliwi nam podróże międzygwiezdne. Oczywiście przyznaję, że pomysł przemysłu lotniczo-kosmicznego też nie jest nielogiczny. Statki o napędzie materiałowym są w istocie rzeczy pewną odmianą rakiet o napędzie chemicznym, wykorzystujących energię termojądrową, więc ten kierunek badań jest nieco bardziej bezpieczny.

– Ależ w przyszłej wojnie kosmicznej nie ma nic bezpiecznego! Jak pan powiedział, statki o napędzie materiałowym są po prostu ogromnymi rakietami. Dwie trzecie ich nośności trzeba przeznaczyć na materiały pędne, które w dodatku szybko się zużywają. Ten typ statków kosmicznych wymaga stworzenia baz planetarnych dla żeglowania po Układzie Słonecznym. Jeśli je założymy, odtworzymy tragedię wojny chińsko-japońskiej, w której Układ Słoneczny odegra rolę Weihaiwei[3].

– To dobra analogia – powiedział Ding Yi, podnosząc bukiet ku Zhang Beihaiowi.

– Takie są fakty. Pierwsza linia obrony powinna przebiegać przez porty wroga. Oczywiście nie jesteśmy w stanie tego zrobić, ale powinniśmy ją wysunąć do Obłoku Oorta i mieć pewność, że nasza flota ma możliwość oflankowania wroga poza Układem Słonecznym. To podstawowe założenie strategii obronnej sił kosmicznych.

– Przemysł lotniczo-kosmiczny nie jest monolitem – rzekł Ding Yi. – Budowy statków o napędzie materiałowym domaga się stara gwardia z epoki rakiet o napędzie chemicznym, ale do tego sporu włączyły się też osoby z innych dziedzin. Weźmy ludzi z naszej dziedziny, kontrolowanej reakcji termojądrowej. W większości opowiadają się za napędem

jądrowym. Obie strony mają jednakowe siły i trzeba tylko trzech czy czterech osób na kluczowych stanowiskach, by przechylić szalę. Obawiam się jednak, że te trzy czy cztery osoby należą do starej gwardii.

– To będzie decyzja rozstrzygająca o całej strategii. Jeśli będzie błędna, flota kosmiczna zostanie zbudowana na złej podstawie i możemy stracić wiek, a nawet dwa. A obawiam się, że do tego czasu nie da się zmienić kierunku.

– Ale ani pan, ani ja nie mamy na to wpływu.

Po obiedzie z Ding Yi Zhang Beihai opuścił ośrodek badań termojądrowych. Nie odjechał daleko, gdy wilgotna ziemia się skończyła i znowu pojawił się skrzący się w słońcu śnieg. Gdy temperatura spadła, zrobiło mu się zimno na sercu.

Potrzebował statków kosmicznych zdolnych do podróży międzygwiezdnych. Skoro inne drogi prowadziły donikąd, pozostała tylko jedna. Bez względu na to, jak bardzo mogła się okazać niebezpieczna, trzeba było ją obrać.

Gdy Zhang Beihai wszedł do znajdującego się w głębi hutongu[4] domu kolekcjonera meteorytów, pomyślał, że ten stary, słabo oświetlony budynek wygląda jak muzeum geologiczne w miniaturze. Pod wszystkimi ścianami stały szklane gablotki, w których profesjonalnie umieszczone lampki rzucały światło na niezliczone odłamki skał. Właściciel, krzepki mężczyzna w wieku pięćdziesięciu kilku lat, siedział przy warsztacie i oglądał przez szkło powiększające mały kamień. Kiedy zobaczył gościa, ciepło go powitał. Zhang Beihai od razu się zorientował, że jest on jednym z tych szczęśliwców, którzy żyją w swoim ukochanym świecie. Bez względu na

to, jakie zmiany zachodziły w świecie na zewnątrz, zawsze mógł się zanurzyć w swoim własnym i znaleźć tam radość.

Typowa dla starych domów atmosfera dawnych czasów przypomniała Zhang Beihaiowi, że podczas gdy on wraz z towarzyszami walczy o przetrwanie rodzaju ludzkiego, większość ludzi kontynuuje dotychczasowy styl życia. Zrobiło mu się ciepło na sercu i odzyskał spokój umysłu.

Ukończenie budowy windy kosmicznej i przełom w technologii kontrolowanej reakcji termojądrowej dodały ludzkości animuszu i w znacznym stopniu zmniejszyły defetystyczne nastawienie. Ale trzeźwo myślący przywódcy doskonale zdawali sobie sprawę, że to dopiero początek – jeśli tworzenie floty kosmicznej miało przebiegać analogicznie jak flot morskich, to ludzkość dopiero przybyła z narzędziami na brzeg morza. Nie zbudowano jeszcze nawet stoczni kosmicznych. Poza zaprojektowaniem kadłuba statku trzeba było prowadzić badania nad skonstruowaniem broni, której będzie można użyć w przestrzeni kosmicznej, ekosystemów opartych na recyrkulacji oraz budową portów kosmicznych. To wszystko było bezprecedensowym wyzwaniem technologicznym. Samo położenie pod to podwalin mogło zająć sto lat.

Oprócz tej strasznej przepaści technologicznej, którą musiała pokonać ludzkość, by stawić czoło najeźdźcom, czekało ją jeszcze inne trudne zadanie. Budowa systemu obrony kosmicznej pochłonie ogromne środki, co prawdopodobnie cofnie o wiek poziom życia, a zatem największe wyzwanie miało dopiero nadejść. Z myślą o tym naczelne dowództwo postanowiło przystąpić do realizacji planu wykorzystania kadr politycznych sił kosmicznych jako przyszłych posiłków. Dowódcą ich specjalnego kontyngentu mianowano Zhang Beihaia, który był pomysłodawcą tego planu. Po objęciu nowej funkcji zaproponował on, by wszyscy oficerowie,

którzy mieli wejść w skład kontyngentu, przeszli przed hibernacją roczne przeszkolenie w kosmosie, co miało przygotować ich do przyszłej pracy w siłach kosmicznych. „Dowództwo nie chciałoby, żeby komisarze polityczni byli szczurami lądowymi” – wyjaśnił Chang Weisiemu. Propozycję tę szybko przyjęto i miesiąc później Zhang Beihai znalazł się z pierwszą grupą, składającą się z trzydziestu oficerów, w przestrzeni kosmicznej.

– Jest pan żołnierzem? – zapytał kolekcjoner, podając herbatę. Gdy jego gość kiwnął głową, ciągnął: – W dzisiejszych czasach żołnierze nie są tacy jak dawniej, ale w panu od razu widać wojskowego.

– Pan też był żołnierzem – rzekł Zhang Beihai.

– Ma pan dobre oko. Większość życia spędziłem w Wydziale Kartograficznym Sztabu Generalnego.

– Jak to się stało, że zainteresował się pan meteorami? – zapytał Zhang Beihai, patrząc z uznaniem na bogatą kolekcję.

– Ponad dwadzieścia lat temu popłynąłem z zespołem badawczym na Antarktykę w poszukiwaniu zagrzebanych pod śniegiem meteorytów i wciągnęło mnie to. Meteoryty pochodzą spoza Ziemi, więc naturalnie budzą zainteresowanie. Gdy biorę jakiś do ręki, czuję się tak, jakbym leciał na nowy, nieznany świat.

Zhang Beihai potrząsnął z uśmiechem głową.

– To tylko takie wrażenie. Ziemia jest praktycznie utworzona ze skupionej materii międzygwiezdnej, więc zasadniczo sama jest ogromnym meteorytem. Kamień pod naszymi stopami jest meteorytem. Filiżanka, którą trzymam w ręku, jest wykonana z meteorytu. Poza tym mówią, że wodę przyniosły na Ziemię komety, więc – podniósł filiżankę – to, co jest w tym naczyniu, też jest meteorytem. W tym, co pan ma, nie ma niczego szczególnego.

Kolekcjoner wskazał go ręką i się roześmiał.

– Cwany z pana gość. Już zaczął się pan targować… Tak czy inaczej, wierzę temu, co czuję.

Kolekcjoner nie mógł sobie odmówić przyjemności oprowadzenia Zhang Beihaia po swoich zbiorach, pokazał mu nawet swój największy skarb – marsjański achondryt wielkości paznokcia. Kazał mu się przyjrzeć małym wgłębieniom na powierzchni i powiedział, że mogą to być skamieliny mikrobów.

– Pięć lat temu Robert Haag chciał go ode mnie kupić za cenę pięć tysięcy razy wyższą od ceny złota, ale się nie zgodziłem.

– Ile z tych okazów zebrał pan sam? – zapytał Zhang Beihai, zataczając ręką łuk.

– Tylko małą część. Większość pochodzi z zakupów w sektorze prywatnym albo społecznym… No to posłuchajmy. Jaki pan chce?

– Nic cennego. Powinien mieć dużą gęstość, być odporny na uderzenia i łatwy w obróbce.

– Chce pan coś na nim wygrawerować.

Zhang Beihai skinął głową.

– Można tak powiedzieć. Byłoby wspaniale, gdybym mógł użyć tokarki.

– Wobec tego meteoryt żelazny – rzekł kolekcjoner. Otworzył szklaną gablotkę i wyjął ciemny kamień wielkości orzecha włoskiego. – Ten. Składa się głównie z żelaza i niklu, z domieszką kobaltu, fosforu, krzemu, siarki i miedzi. Chce pan, żeby miał dużą gęstość? Ten ma osiem gramów na centymetr sześcienny. Jest łatwy do obróbki, a ponieważ zawiera dużo metalu, można bez problemu użyć tokarki.

– Dobrze. Tylko jest trochę za mały.

Kolekcjoner wyjął inny okaz, wielkości jabłka.

– Ma pan coś jeszcze większego?

Tamten popatrzył na Zhang Beihaia i powiedział:

– Tego nie sprzedaje się na wagę. Duże są drogie.

– A miałby pan jeszcze trzy takie jak ten?

Kolekcjoner wyjął trzy meteoryty żelazne mniej więcej tej samej wielkości i zaczął przygotowywać grunt dla podania ceny:

– Meteoryty żelazne nie są zbyt powszechne. Stanowią tylko pięć procent wszystkich meteorytów, a te tutaj to piękne okazy. Proszę – ten to oktaedryt. Niech się pan przyjrzy tym krzyżującym się liniom na jego powierzchni. Nazywają się figurami Widmanstättena. A tutaj mamy ataksyt. Te równoległe linie nazywają się liniami Neumanna. Ten meteoryt zawiera kamacyt, a ten taenit, minerał, który nie występuje na Ziemi. Znalazłem go na pustyni, przy użyciu wykrywacza metalu. Było to jak szukanie igły w stogu siana. Samochód zapadł się po dach w piasku i o mało nie zginąłem.

– Niech pan poda cenę.

– Na rynku międzynarodowym okaz takiej klasy i wielkości kosztuje około dwudziestu dolarów za gram, więc co pan powie na sześćdziesiąt tysięcy juanów za sztukę, czyli sto osiemdziesiąt tysięcy za trzy?[5]

Zhang Beihai wyjął telefon.

– Niech pan mi poda numer rachunku. Zapłacę od razu.

Kolekcjoner przez długą chwilę nic nie mówił. Kiedy Zhang Beihai podniósł na niego wzrok, roześmiał się z lekkim zakłopotaniem.

– Prawdę mówiąc, myślałem, że będzie się pan targował.

– Nie. Zgadzam się na pańską cenę.

– Niech pan posłucha. Teraz, kiedy każdy może polecieć w kosmos, ceny nieco spadły, chociaż znaleźć meteoryt w przestrzeni nie jest tak łatwo jak na Ziemi. Te tutaj są warte…

– Nie – uciął zdecydowanie Zhang Beihai. – Cena została już ustalona. Niech pan to potraktuje jako wyraz szacunku dla tych, którym je dam.

Po wyjściu od kolekcjonera Zhang Beihai poszedł z meteorytami do pracowni modelarskiej instytutu badawczego, który należał do Sił Kosmicznych. Było już po godzinach pracy i w pracowni, w której znajdowała się komputerowo sterowana obrabiarka, było pusto. Najpierw pociął meteoryty na cylindry o jednakowej średnicy, mniej więcej grubości grafitu do ołówków, a potem pokroił te cylindry na kawałki o równej długości. Robił to bardzo uważnie, starając się ograniczyć do minimum odpady, i uzyskał trzydzieści sześć małych pręcików. Po zakończeniu pracy zmiótł starannie śmieci, wyjął z maszyny specjalne ostrze, które wybrał do pokrojenia meteorytów, i wyszedł z pracowni.

Resztę pracy wykonał w tajnym podziemnym pomieszczeniu. Położył przed sobą na stole trzydzieści sześć nabojów pistoletowych kalibru 7,62 milimetra i z każdego z nich usunął pocisk. Gdyby były to mosiężne łuski starego typu, wymagałoby to sporo wysiłku, ale dwa lata wcześniej w całym wojsku przystosowano standardowe pistolety do amunicji bezłuskowej, w której pociski były przyklejone bezpośrednio do materiału miotającego, więc łatwe do odłączenia. Następnie przymocował do nich specjalnym klejem meteorytowe pręciki. Klej ten, używany do naprawiania powłok kapsuł kosmicznych, dawał gwarancję, że pociski nie odpadną w ekstremalnie niskich i wysokich temperaturach w przestrzeni kosmicznej. Na koniec miał trzydzieści sześć nabojów z meteorytowymi kulami.

Załadował cztery z nich do magazynka, który później włożył do pistoletu P224. Opróżnił magazynek, strzelając do worka w rogu piwnicy. W wąskim

pomieszczeniu huk wystrzałów był ogłuszający. Pozostał po nich silny zapach spalonego prochu.

Zhang Beihai zbadał cztery dziury w worku. Były małe, co znaczyło, że meteorytowe pociski nie rozpadały się podczas strzału. Rozwiązał worek i wyjął duży połeć wołowiny, a następnie wydłubał z niego nożem pociski. Wszystkie pręciki rozpadły się na kawałki i została po nich tylko mała kupka szczątków, które Zhang Beihai wysypał na dłoń. Nie było na nich żadnych śladów, które by wskazywały, że zostały wcześniej poddane obróbce. Wynik ten go usatysfakcjonował.

Worek, w którym znajdowało się mięso, zrobiony był z materiałów używanych do produkcji skafandrów kosmicznych. By symulacja jak najbardziej przypominała sytuację rzeczywistą, materiały te zostały ułożone warstwami, pomiędzy którymi umieszczono gąbkę izolującą, plastikowe rurki i inne rzeczy.

Zhang Beihai starannie zapakował pozostałe trzydzieści dwa pociski i wyszedł z piwnicy, by poczynić przygotowania do wizyty w kosmosie.

Wisiał w przestrzeni kosmicznej pięć kilometrów od Żółtej Rzeki, stacji kosmicznej w kształcie koła, która znajdowała się trzysta kilometrów nad przystankiem końcowym windy i służyła jako jej przeciwwaga. Ta największa konstrukcja wzniesiona dotąd w kosmosie przez człowieka mogła pomieścić ponad tysiąc oddelegowanych tam na dłużej osób.

W promieniu pięciuset kilometrów od windy kosmicznej znajdowały się w przestrzeni inne urządzenia, mniejsze od stacji Żółta Rzeka i rozproszone jak namioty nomadów na prerii na początku podboju amerykańskiego Zachodu. Był to wstęp do zakrojonego na szeroką skalę wkroczenia ludzkości w kosmos. Stocznie, których budowę właśnie rozpoczęto, miały

zająć obszar dziesięciokrotnie większy od Żółtej Rzeki, ale na razie wzniesiono tylko rusztowania, które wyglądały jak szkielet lewiatana. Zhang Beihai przybył tam z Bazy 1, stacji oddalonej o osiemdziesiąt kilometrów od Żółtej Rzeki i pięciokrotnie od niej mniejszej, która była bazą Sił Kosmicznych na orbicie geostacjonarnej. Od trzech miesięcy mieszkał tam i pracował z pozostałymi członkami Specjalnego Kontyngentu Przyszłych Uzupełnień i tylko raz odwiedził Ziemię.

Przez cały czas czekał na okazję i oto teraz się nadarzyła: frakcja lotniczo-kosmiczna zorganizowała na stacji Żółta Rzeka konferencję na wysokim szczeblu z udziałem trzech osób, które chciał zlikwidować. Odkąd uruchomiono Żółtą Rzekę, przemysł lotniczo-kosmiczny zorganizował tam już kilka spotkań, jakby jego szefowie chcieli w ten sposób zrekompensować swoim ludziom godny ubolewania fakt, że ich większości nigdy wcześniej nie dali szansy na wyprawę w kosmos.

Przed wyjściem z bazy Zhang Beihai odłączył od skafandra lokalizator i zostawił go w kabinie, dzięki czemu system umiejscawiania nie zauważy, że ją opuścił, i nie zapisze jego trasy. Korzystając z silników sterujących skafandra, przeleciał osiemdziesiąt kilometrów na wybraną uprzednio pozycję.

Zebranie już się skończyło, ale Zhang czekał, aż jego uczestnicy wyjdą na zewnątrz do zbiorowego zdjęcia.

Stało się już tradycją, że wszyscy, którzy brali udział w tych zebraniach, robili sobie zbiorowe zdjęcia w kosmosie. Zwykle robiono je pod Słońce, bo tylko tak można było uzyskać wyraźne ujęcie stacji. Ponieważ wszyscy, którzy pozowali do zdjęcia, musieli w celu pokazania twarzy przestawić wizjery na przezroczystość, będą musieli zamknąć oczy, by nie raziło ich jaskrawe światło Słońca, a poza tym w hełmach będzie im nieznośnie gorąco. Zatem najlepszy moment do zrobienia zdjęcia był wtedy, gdy

Słońce miało schować się za horyzont Ziemi lub się zza niego wznieść. Na orbicie geostacjonarnej wschód i zachód słońca następowały co dwadzieścia cztery godziny, chociaż noc była bardzo krótka. Zhang Beihai czekał na zachód.

Wiedział, że system monitorowania Żółtej Rzeki może wykryć jego obecność, ale nie przejmował się tym, bo nie wzbudziłoby to niczyich podejrzeń. W całym tym rejonie, który jeszcze niedawno był „placem" budowy, pełno było zarówno niewykorzystanych, jak i porzuconych materiałów oraz walało się jeszcze więcej śmieci. Wiele z tych materiałów było wielkości człowieka. Poza tym między windą kosmiczną i otaczającymi ją innymi urządzeniami wytworzył się taki związek jak między metropolią i otaczającymi ją wsiami – była ona dla nich źródłem zaopatrzenia, więc panował tam całkiem spory ruch. W miarę przyzwyczajania się do przestrzeni kosmicznej ludzie stopniowo nabrali zwyczaju latania w pojedynkę. Skafander kosmiczny jako coś w rodzaju roweru z silnikami sterującymi, który mógł się rozpędzić do prędkości pięciuset kilometrów na godzinę, był najłatwiejszym środkiem przemieszczania się w promieniu kilkuset kilometrów od windy. Teraz cały czas między nią i położonymi wokół niej stacjami latali ludzie.

Ale Zhang Beihai wiedział, że w tej chwili w przestrzeni wokół stacji nie będzie nikogo. Oprócz Ziemi (która z orbity geostacjonarnej była widoczna jako idealna kula) oraz Słońca, które miało zaraz zanurzyć się za jej skraj, ze wszystkich stron otaczała go czarna jak smoła otchłań. Miriady gwiazd wyglądały jak świetlny pył, który nie mógł zapełnić pustki Wszechświata. Wiedział też, że układ podtrzymania życia w jego skafandrze będzie działał tylko przez dwanaście godzin i że przed upływem tego czasu musi przebyć osiemdziesiąt kilometrów dzielących go od Bazy 1, która z tej odległości wydawała się tylko bezkształtną plamką w otchłani kosmosu. Również

sama baza nie przetrwałaby długo, gdyby przecięto pępowinę łączącą ją z windą kosmiczną. Jednak teraz, unosząc się w bezkresnej pustce, Zhang Beihai czuł się tak, jakby zerwał kontakt z niebieską planetą w dole. Był niezależnym bytem we Wszechświecie, niezwiązanym z żadnym światem. Nie miał ziemi pod stopami i wisiał w kosmosie jak Ziemia, Słońce i Droga Mleczna. Po prostu istniał i podobało mu się to uczucie.

Miał nawet wrażenie, że to samo mógł czuć duch jego ojca.

Słońce dotknęło krawędzi Ziemi.

Zhang Beihai podniósł rękę. Na rękawicy kombinezonu miał zamontowaną lunetę, przez którą obserwował wyjścia z oddalonej o dziesięć kilometrów Żółtej Rzeki. Okrągłe drzwi luku powietrznego w zakrzywionej zewnętrznej metalowej ścianie były wciąż zamknięte.

Odwrócił głowę do Słońca, które schowało się już do połowy za Ziemią i tworzyło nad nią lśniący pierścień.

Spojrzawszy z powrotem na stację, zobaczył, że lampka ostrzegawcza przy wejściu zmieniła kolor z czerwonego na zielony, pokazując, że luk opróżniono z powietrza. Zaraz potem pokrywa włazu się otworzyła i wysypała się z niego grupa osób w białych skafandrach kosmicznych. Było ich około trzydziestu. W miarę jak odlatywali od stacji, powiększały się ich cienie na jej ścianie.

Musieli odlecieć na tyle daleko, żeby w obiektywie zmieściła się cała stacja, ale wkrótce zwolnili i zgodnie ze wskazówkami fotografa zaczęli się ustawiać do zdjęcia. Tymczasem Słońce zaszło już w trzech czwartych. Jego nadal widoczna część wyglądała jak świetlisty obiekt osadzony w Ziemi nad gładkim lustrem morza, które było w połowie niebieskie, w połowie pomarańczowoczerwone, a na górze zakryte niczym różowymi piórami przesyconymi światłem słonecznym chmurami.

W miarę zmniejszania się natężenia światła osoby pozujące do zdjęcia zaczęły przestawiać wizjery w swoich hełmach na przezroczystość. Zhang Beihai zwiększył ogniskową lunety i szybko znalazł swoje cele. Jak się spodziewał, ze względu na swoją rangę znaleźli się w środku pierwszego rzędu.

Puścił lunetę, która zawisła na lince przed nim, lewą dłonią przekręcił metalowy pierścień na prawej rękawicy i ściągnął ją. Gdy jego dłoń okrywała już tylko cienka bawełniana rękawiczka, natychmiast poczuł panującą w przestrzeni kosmicznej temperaturę minus stu stopni, więc by uniknąć odmrożenia, ustawił się pod takim kątem do Słońca, by jego słabe światło padało na nią. Włożył rękę do kieszeni kombinezonu i wyjął pistolet oraz dwa magazynki. Potem złapał lewą ręką lewitującą lunetę i zamocował ją na pistolecie. Była to luneta karabinowa, którą zmodyfikował, dodając zaczepy magnetyczne, by można ją było osadzić na broni krótkiej.

W kosmosie można było strzelać z większości używanej na Ziemi broni palnej. Próżnia nie stwarzała problemu, ponieważ ładunek miotający miał własny czynnik utleniający, ale temperatura panująca w przestrzeni kosmicznej mogła przysporzyć kłopotów. Zarówno maksymalna, jak i minimalna znacznie się różniły od temperatur na Ziemi, co mogło doprowadzić do uszkodzenia i amunicji, i broni, więc Zhang Beihai bał się zbyt długo wystawiać pistolet i magazynki na jej działanie. By skrócić ten czas, przez minione trzy miesiące wielokrotnie ćwiczył wydobywanie broni, osadzanie na niej lunety i wymianę magazynków.

Zaczął mierzyć i uchwycił pierwszy cel w krzyż lunety.

W ziemskiej atmosferze nawet najlepszy strzelec wyborowy nie mógł trafić w cel z odległości pięciu kilometrów, ale w przestrzeni kosmicznej można to było zrobić ze zwykłego pistoletu. Pociski poruszały się w próżni o zerowej sile ciążenia, nic nie zakłócało ich lotu, więc jeśli dobrze się

wymierzyło, trajektoria była stabilna i uderzały prosto w cel. Z kolei zerowy opór oznaczał, że pociski nie zwalniały podczas lotu i trafiały w cel z taką samą prędkością, jaką miały u wylotu lufy, zadając ofierze śmiertelny cios.

Nacisnął spust. Wystrzał nastąpił w zupełnej ciszy, ale Zhang Beihai zobaczył błysk u wylotu lufy i poczuł odrzut broni. Wypalił do pierwszego celu dziesięć razy, po czym wymienił magazynek i opróżnił go, strzelając do drugiego. Po następnej wymianie magazynka oddał ostatnich dziesięć strzałów do trzeciego celu. Trzydzieści błysków u wylotu lufy. Jeśli patrzył w tę stronę ktoś ze stacji Żółta Rzeka, widział tylko robaczki świętojańskie na czarnym tle przestrzeni kosmicznej.

Teraz trzydzieści pocisków mknęło do celów. Prędkość początkowa pocisku do pistoletu typu 2010 wynosiła pięćset metrów na sekundę, więc pokonanie tej odległości zajmie im około dziesięciu sekund. Zhang Beihai mógł się tylko modlić, by w tym czasie żaden z jego celów nie zmienił pozycji. Nadzieja, że tego nie zrobią, nie była bezpodstawna, bo dwa tylne rzędy nie ustawiły się jeszcze do zdjęcia, a nawet gdy już to zrobią, fotograf będzie musiał poczekać, aż rozproszy się mgiełka spalin z silników sterujących w kombinezonach, więc znajdujący się z przodu szefowie też będą musieli zostać na miejscach. Ponieważ jednak cele unosiły się w przestrzeni kosmicznej i były nieważkie, mogły się łatwo przemieścić, a w takim przypadku kule nie tylko nie trafiłyby w nie, ale mogły zranić osoby niewinne.

Niewinne? Tych trzech ludzi, których miał zabić, też było niewinnych. W latach przed kryzysem trisolariańskim poczynili oni inwestycje, które z perspektywy czasu wydawały się wyjątkowo skromne, i stąpali po cienkim lodzie, krocząc ku zaraniu ery kosmicznej. To doświadczenie zaciążyło na ich myśleniu. Dla dobra statków zdolnych do podróży

międzygwiezdnych trzeba ich było zlikwidować. Śmierć tych osób można było potraktować jako ich ostatni wkład do sprawy ludzkich przedsięwzięć w kosmosie.

W istocie rzeczy Zhang Beihai rozmyślnie posłał kilka kul w bok od celów, w nadziei, że trafią w inne osoby. Najlepiej byłoby, gdyby je tylko zraniły, ale jeśli przypadkiem zabije dodatkową osobę czy dwie, nie będzie to miało znaczenia. Zmniejszy to tylko potencjalne podejrzenia.

Opuścił pusty pistolet i popatrzył przez lunetę. Był przygotowany na niepowodzenie. W takim przypadku zacznie beznamiętnie szukać drugiej okazji.

Mijała sekunda po sekundzie i w końcu pojawiły się oznaki świadczące o tym, że jeden z celów został trafiony. Zhang Beihai nie widział wprawdzie dziury w skafandrze, ale wydobył się z niego biały gaz. Zaraz potem między pierwszym i drugim rzędem buchnął jeszcze większy obłok pary, być może dlatego, że pocisk przeszedł przez plecy ofiary i przeszył zbiornik paliwa silnika sterującego. Zhang Beihai był pewien siły pocisków – gdy meteorytowe pociski uderzą w cel bez praktycznie żadnego zmniejszenia prędkości, energia ich uderzenia będzie taka, jakby przytknął do niego lufę. Nagle na wizjerze innego celu pojawiły się pęknięcia, wskutek których zmatowiał, ale Zhang Beihai mimo to widział krew, która trysnęła na wewnętrzną stronę hełmu, po czym zmieszała się z ulatniającym się gazem i wydostała na zewnątrz, gdzie szybko zamarzła, tworząc kryształy podobne do płatków śniegu. Obserwacja wkrótce potwierdziła, że trafił pięć osób, włącznie z trzema, które były jego celem, przy czym każda z nich dostała co najmniej pięć kul.

Przez wizjery w ich hełmach widział, że wszyscy w grupie krzyczą z przerażenia, i po ułożeniu ich ust poznał, że wśród wykrzykiwanych słów są te, których się spodziewał:

– Deszcz meteorów!

Wszyscy nastawili silniki sterujące na maksymalną moc i popędzili z powrotem do stacji, zostawiając za sobą smugi białej mgły. Wkrótce przeszli przez okrągły właz i znaleźli się na stacji. Wciągnęli też tych pięć osób, które zostały trafione.

Zhang uruchomił silnik i ruszył do Bazy 1. Jego serce było zimne i spokojne jak pusta przestrzeń wokół niego. Wiedział, że śmierć tych trzech kluczowych postaci przemysłu lotniczo-kosmicznego nie gwarantuje, że badania nad statkami kosmicznymi skoncentrują się na napędzie niematerialowym, ale zrobił, co mógł. Bez względu na to, co się potem wydarzy, mógł się przynajmniej odprężyć pod uważnym spojrzeniem ojca patrzącego na niego z zaświatów.

Praktycznie w tym samym czasie, kiedy Zhang Beihai wracał do bazy, na Ziemi grupa ludzi zebrała się pospiesznie na pustkowiu wirtualnego świata *Trzech ciał*, by omówić to, co się właśnie wydarzyło.

– Tym razem informacje przekazane przez sofony były bardzo dokładne. Gdyby nie to, nigdy byśmy nie uwierzyli, że on to naprawdę zrobił – rzekł Qin Shihuang, machając z niepokojem mieczem. – Popatrzcie na to, czego dokonał, a potem na nasze trzy próby zabicia Luo Ji. – Westchnął. – Czasami jesteśmy zbyt durni. Brak nam takich umiejętności i spokoju.

– Będziemy tak siedzieć i pozwalać mu to robić? – zapytał Einstein.

– Zgodnie z intencją Pana to wszystko, co możemy zrobić. Ten człowiek jest niezwykle uparty i niezłomnie wierzy w zwycięstwo, a Pan nie chce, byśmy niepotrzebnie przeszkadzali takim typom. Musimy skupić uwagę na eskapistach. Pan uważa, że defetyzm jest bardziej niebezpieczny niż triumfalizm – powiedział Newton.

– Jeśli mamy poważnie i szczerze służyć Panu, to nie możemy całkowicie wierzyć w jego strategię. Przecież to rady dziecka – rzekł Mo Zi.

Qin Shihuang stuknął mieczem w ziemię.

– Niemniej w tej sprawie polityka nieinterwencji jest słuszna. Niech ukierunkują badania na statki o napędzie radiacyjnym. Skoro rozwój fizyki został zahamowany przez sofony, będzie to szczyt ludzkich możliwości technologicznych. Nie zdołają się posunąć ani krok dalej, a poza tym na zasypanie bezdennej przepaści zużyją cały swój czas i energię, nic na tym nie zyskując.

– Co do tego jesteśmy zgodni. Ale moim zdaniem ten człowiek odgrywa decydującą rolę. Jest niebezpieczny – rzekł von Neumann.

– Właśnie! – powiedział Arystoteles, kiwając kilkakrotnie głową. – Myśleliśmy, że jest żołnierzem z krwi i kości, ale czy tak zachowuje się żołnierz, który przestrzega surowej dyscypliny i regulaminu?

– On jest naprawdę niebezpieczny. Ma niezłomną wiarę, jest dalekowzroczny, beznamiętny i bezwzględny, działa z chłodną determinacją. Normalnie jest dokładny i poważny, ale gdy pojawia się taka potrzeba, potrafi wyjść przed szereg i podjąć nadzwyczajne działania – rzekł z westchnieniem Konfucjusz. – Jak powiedział pierwszy cesarz, takiej osoby nam brakuje.

– Trudno nam będzie sobie z nim poradzić. Możemy tylko donieść o popełnionych przez niego morderstwach.

– To nie takie proste! – powiedział Qin Shihuang, machnąwszy w jego stronę szerokim rękawem. – To wszystko wasza wina. Wykorzystujecie informacje otrzymane od sofonów dla siania niezgody w siłach kosmicznych i w ONZ, więc jak do tego doszło? Denuncjacja byłaby zaszczytem, a nawet symbolem wierności!

– Nie mamy niepodważalnych dowodów – zauważył Mo Zi. – Starannie to zaplanował. Pociski rozprysły się po trafieniu w cel, więc podczas autopsji będzie można znaleźć w zwłokach i w ciałach rannych tylko autentyczne okruchy z kosmosu. Wszyscy będą myśleli, że zginęli, bo spadł na nich deszcz meteorów. Prawda jest tak dziwna, że nikt w nią nie uwierzy.

– Całe szczęście, że on chce wzmocnić siły powietrzne w przyszłości. Przynajmniej przez jakiś czas nie będzie przysparzał nam kłopotów.

Einstein wydał przeciągłe westchnienie.

– Odeszli. Wszyscy odeszli. Niektórzy z nas też powinni udać się w przyszłość.

Chociaż wszyscy mówili, że znowu się spotkają, wiedzieli, że to ostatnie pożegnanie.

Kiedy Specjalny Kontyngent Przyszłych Uzupełnień udawał się do centrum hibernacji, na lotnisko odprowadził ich Chang Weisi i kilku wyższych rangą generałów sił kosmicznych. Chang Weisi wręczył Zhang Beihaiowi kopertę.

– To list do mojego przyszłego następcy. Wyjaśniam w nim okoliczności, w jakich postanowiliście poddać się hibernacji, i gorąco was polecam. Obudzicie się nie wcześniej niż za pięćdziesiąt lat albo jeszcze później i może będziecie musieli stawić czoło jeszcze większym wyzwaniom niż teraz. Najpierw będziecie musieli się przystosować do tego, co zastaniecie, zachowując jednak żołnierskiego ducha naszych czasów. Będziecie musieli przeanalizować obecne metody naszej pracy i zdecydować, które będą przestarzałe, a które należy kontynuować. Może się to okazać waszym największym atutem.

– Towarzyszu dowódco – odparł Zhang Beihai – po raz pierwszy trochę żałuję, że jestem ateistą. W przeciwnym razie moglibyśmy mieć nadzieję, że się znowu spotkamy w innym miejscu i w innym czasie.

Chang Weisiego nieco zaskoczyło takie wyznanie zazwyczaj trzeźwo myślącego człowieka. Słowa te rozbrzmiewały echem w sercach wszystkich pozostałych, ale ponieważ byli żołnierzami, ukryli to głęboko.

– Cieszę się, że mogliśmy się spotkać w tym życiu – powiedział Chang Weisi. – Nie zapomnij pozdrowić od nas twoich przyszłych towarzyszy.

Po ostatnim salucie Specjalny Kontyngent wszedł do samolotu.

Chang Weisi ani na chwilę nie oderwał wzroku od pleców Zhang Beihaia. Niezłomny żołnierz odlatywał i może już nigdy nie trafi mu się drugi taki jak on. Skąd się brała jego wiara? To pytanie nigdy nie dawało mu spokoju, a czasami budziło nawet lekką zazdrość. Żołnierz z wiarą w zwycięstwo był szczęściarzem. Niewielu będzie takich podczas bitwy w dniu Sądu Ostatecznego. Gdy wysoka sylwetka Zhang Beihaia zniknęła w drzwiach kabiny, Chang Weisi musiał przyznać, że tak naprawdę do samego końca go nie rozumiał.

Samolot odleciał, unosząc na pokładzie tych, którzy być może będą mieli szansę zobaczyć ostateczny wynik wojny ludzkości o przetrwanie, a potem zniknął za cienkimi, bladymi chmurami. Był ponury zimowy dzień. Przy słońcu przeświecającym apatycznie przez zasłonę szarych chmur i zimnym wietrze wiejącym na pustym lotnisku powietrze zdawało się mieć strukturę zamarzniętego kryształu i odnosiło się wrażenie, że nigdy nie nadejdzie wiosna. Chang Weisi zapiął ciaśniej kołnierz wojskowej kurtki. Dzisiaj kończył pięćdziesiąt cztery lata i w tym lodowatym zimowym wietrze widział swój koniec oraz koniec ludzkiego gatunku.

1 Na początku lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku Chiny wprowadziły kartki na przetwory zbożowe i olej do smażenia. W 1961 roku systemem kartkowym objęto też artykuły przemysłowe, od butów i nożyczek poczynając, a na artykułach gospodarstwa domowego i sprzęcie elektronicznym kończąc. W latach osiemdziesiątych, wraz z przejściem od gospodarki planowej do rynkowej, system kartkowy zaczął się kurczyć, a na początku lat dziewięćdziesiątych kraj od niego odszedł.

2 Urządzenie do przeprowadzania kontrolowanej reakcji termojądrowej, w którym w toroidalnej komorze z cewką magnetyczną tworzy się pierścień plazmy i indukuje prąd elektryczny. Tokamaki, stworzone w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku przez naukowców radzieckich, dawały lepsze rezultaty niż inne urządzenia do przetrzymywania plazmy.

3 Bitwa pod Weihaiwei była ostatnią wielką bitwą podczas pierwszej wojny chińsko-japońskiej. W lutym 1895 roku okręty Beiyang, północnej floty dynastii Qing, schroniły się przed japońską flotą cesarską w porcie Weihaiwei w prowincji Shandong. Po zdobyciu przez Japończyków twierdzy od strony lądu chińska flota musiała się poddać.

4 Hutong – zespół zbudowanych na planie prostokąta parterowych budynków otaczających wspólny dziedziniec (przyp. A.J).

5 Około 10 tysięcy dolarów za sztukę, czyli w sumie około 30 tysięcy dolarów.

20 rok ery kryzysu

Odległość floty trisolariańskiej od Układu Słonecznego: 4,15 lat świetlnych

Reya Diaza i Hinesa wybudzono z hibernacji jednocześnie i obu powiedziano, że pojawiła się technologia, na którą czekali.

– Tak szybko? – krzyknęli, dowiedziawszy się, że minęło zaledwie osiem lat.

Poinformowano ich, że dzięki bezprecedensowym inwestycjom technologia rozwijała się przez minionych kilka lat z oszałamiającą szybkością. Nie wszystko jednak przedstawiało się tak optymistycznie. Ludzkość przebiegała po prostu sprintem ostatni odcinek dzielący ją od bariery utworzonej przez sofony, więc postęp był czysto technologiczny. W fizyce teoretycznej panował zastój jak w kałuży wody, a zbiornik teorii powoli wysychał. Postęp technologiczny zacznie spowalniać i w końcu całkowicie się zatrzyma. Jednak przynajmniej na razie nikt nie wiedział, kiedy nastąpi koniec rozwoju technologii.

Hines wszedł na sztywnych jeszcze po hibernacji nogach do budowli podobnej do stadionu, której wnętrze spowijała biała mgła, chociaż nie czuł wilgoci. Nie miał pojęcia, co to jest. Mgłę, która na wysokości głowy była dość rzadka, ale wyżej gęstniała tak, że nie było widać dachu, rozświetlała słaba księżycowa poświata. Przez tę mgłę zobaczył drobną postać, w której

od razu rozpoznał swoją żonę. Pobiegł ku niej, odnosząc wrażenie, że ściga zjawę, tyle że w końcu padli sobie w objęcia.

– Przykro mi, kochanie. Postarzałam się o osiem lat – powiedziała Keiko Yamasuki.

– Ale i tak jesteś o rok młodsza ode mnie – odparł. Wydawało się, że upływ czasu nie pozostawił na niej żadnych śladów, ale w bladym świetle księżyca wyglądała na osłabioną. Mgła i księżyc przypomniały mu tamtą noc w bambusowym gaju w ich japońskim ogrodzie. – Przecież miałaś się poddać hibernacji dwa lata po mnie. Dlaczego czekałaś tyle czasu?

– Musiałam się zająć przygotowaniami do naszej pracy po hibernacji, ale było tego za dużo, żebym mogła to zrobić przez dwa lata – odparła, odsuwając kosmyk włosów z czoła.

– Było ciężko?

– Bardzo ciężko. Niedługo po poddaniu się przez ciebie hibernacji rozpoczęto prace nad sześcioma projektami komputerów nowej generacji. W trzech korzystano z tradycyjnej architektury, w jednym z architektury odmiennej od stworzonej przez von Neumanna, a pozostałe dwa były projektami komputerów kwantowych i biomolekularnych. Ale dwa lata później czołowi naukowcy pracujący nad tymi sześcioma projektami powiedzieli mi, że osiągnięcie takiej mocy obliczeniowej, jakiej pragnęliśmy, jest niemożliwe. Najpierw przerwano prace nad komputerami kwantowymi, ponieważ obecna fizyka teoretyczna nie dawała temu projektowi dostatecznego wsparcia – natrafiła na barierę wzniesioną przez sofony. Potem wycofano się z projektu komputera biomolekularnego. Powiedziano, że to czysta fantazja. Ostatnim zarzuconym projektem był ten, który miał doprowadzić do stworzenia komputera opierającego się na innym systemie niż system von Neumanna. Jego architektura była w istocie rzeczy imitacją ludzkiego mózgu, ale stwierdzono, że to bezkształtne jajo,

z którego nigdy nie wykluje się pisklę. Kontynuowano tylko prace nad tymi o tradycyjnej architekturze, ale przez długi czas nie dokonano żadnego postępu.

– A więc to tak… Powinienem przez cały ten czas być z tobą.

– Nic by to nie dało. Zmarnowałbyś tylko osiem lat. Dopiero ostatnio, gdy byliśmy już zupełnie zniechęceni, wpadliśmy na szalony pomysł stworzenia symulacji ludzkiego mózgu w praktycznie barbarzyński sposób.

– Jaki to był pomysł?

– Żeby wcześniejszą symulację oprogramowania umieścić w sprzęcie w taki sposób, by jeden mikroprocesor naśladował pracę jednego neuronu, i pozwolić na interakcje między wszystkimi mikroprocesorami i dynamiczne zmiany w modelu połączeń.

Hines zastanawiał się nad tym przez kilka sekund, po czym uświadomił sobie, co miała na myśli.

– Mówisz o wyprodukowaniu stu miliardów mikroprocesorów?

Kiwnęła głową.

– To… to praktycznie suma wszystkich mikroprocesorów wyprodukowanych w historii ludzkości!

– Nie liczyłam, ale prawdopodobnie nawet więcej.

– Nawet gdybyś miała te wszystkie czipy, jakbyś je połączyła?

Keiko Yamasuki uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Wiedziałam, że to niewykonalne. Był to tylko rozpaczliwy pomysł. Ale wtedy naprawdę myśleliśmy o tym, żeby wprowadzić go w życie i wyprodukować jak najwięcej mikroprocesorów. – Zatoczyła ręką łuk. – To tutaj to jedna z zaplanowanych przez nas trzydziestu montowni wirtualnego mózgu. Ale udało się nam złożyć tylko ten jeden.

– Naprawdę powinienem był być z tobą – powtórzył Hines z większą pasją.

– Na szczęście mamy taki komputer, jakiego chcieliśmy. Jego wydajność jest dziesięć tysięcy razy większa niż tych, jakimi dysponowaliśmy, kiedy poddałeś się hibernacji.

– Tradycyjna architektura?

– Tradycyjna. Jeszcze kilka kropli wyciśniętych z prawa Moore’a. Zadziwił społeczność informatyków, ale tym razem, kochany, naprawdę doszliśmy do końca.

„Niezrównany komputer. Gdyby ludzkość przegrała, nigdy nie stworzono by równie dobrego” – pomyślał Hines, ale nie powiedział tego głośno.

– Dzięki temu komputerowi praca nad stworzeniem rozdzielczego rejestratora obrazów będzie dużo łatwiejsza. – Nagle zapytała: – Kochany, masz jakieś wyobrażenie o tym, jak wygląda sto miliardów? – Kiedy potrząsnął głową, uśmiechnęła się i wyciągnęła przed siebie ręce. – No to spójrz. To właśnie jest sto miliardów.

– Co? – Nie wiedząc, co powiedzieć, Hines patrzył na białą mgłę wokół niego.

– Znajdujemy się w holograficznym wyświetlaczu tego superkomputera – powiedziała Keiko Yamasuki, manipulując wiszącym na szyi gadżetem. Zauważył na nim kółko do przewijania i pomyślał, że jest to coś w rodzaju myszy.

Gdy zmieniła jej ustawienie, wyczuł zmianę w otaczającej ich mgle. Zgęstniała w miejscu, które wyraźnie było powiększeniem jakiegoś rejonu. Potem spostrzegł, że składa się ono z niezliczonej liczby drobnych, jarzących się cząsteczek, które nie rozpraszają światła z zewnętrznego źródła, lecz same wydzielają ową podobną do księżycowej poświatę. W miarę dalszego powiększania cząsteczki stały się błyszczącymi gwiazdami, ale miał wrażenie, jakby zamiast widzieć je z Ziemi, znalazł się

pośrodku Drogi Mlecznej, gdzie gwiazdy były tak gęste, że praktycznie nie zostawiały miejsca dla ciemności.

– Każda z tych gwiazd jest neuronem – wyjaśniła.

Ich ciała pokrywał srebrem ocean utworzony ze stu miliardów gwiazd.

Hologram nadal się powiększał i Hines zauważył niezliczone cienkie wici, rozchodzące się promieniście od każdej z gwiazd i tworzące skomplikowane połączenia, które zastąpiły pole gwiezdne i sprawiły, że znalazł się w nieskończenie dużej sieci.

Obraz powiększył się jeszcze bardziej i każda z gwiazd zaczęła ukazywać swą wewnętrzną budowę, znaną mu z mikroskopii elektronowej – strukturę komórek nerwowych i synaps.

Keiko Yamasuki nacisnęła myszkę i obraz momentalnie powrócił do stanu białej mgły.

– To pełny obraz budowy mózgu uchwycony przez rozdzielczy rejestrator obrazów skanujący trzy miliony przekrojów jednocześnie. Oczywiście jest to obraz przetworzony. Dla potrzeb obserwacji odległość między neuronami została powiększona o cztery czy pięć rzędów wielkości, więc wygląda to tak, jakbyśmy zamienili mózg w mgłę. Jednak topologia połączeń między nimi została zachowana. A teraz obejrzyjmy obraz dynamiczny…

W mgle pojawiły się zakłócenia, świecące punkty, które wyglądały jak rzucona w ogień szczypta prochu strzelniczego. Keiko Yamasuki powiększała obraz, aż zaczął przypominać przestrzeń gwiezdną, a wtedy Hines zobaczył we wszechświecie mózgu wzbierającą falę, zakłócenia pojawiające się w różnych formach w różnych miejscach morza gwiazd. Niektóre wyglądały jak strumienie, inne jak wiry, jeszcze inne jak fale – wszystko stało się w mgnieniu oka płynne i tworzyło oszałamiający widok samoorganizacji w ogromnym chaosie. Potem obraz się zmienił i znowu

przypominał sieć. Hines widział miriady impulsów przekazujących przez synapsy informacje niczym błyszczące perły w strumieniu płynącym zawiłym układem rur…

– Czyj to mózg? – zapytał z podziwem.

– Mój – odparła Keiko Yamasuki, patrząc na niego z miłością. – Kiedy robiono to zdjęcie, myślałam o tobie.

Proszę zapamiętać: Gdy światło zmieni się na zielone, pokaże się szósty zestaw twierdzeń. Jeśli twierdzenie będzie prawdziwe, naciśnij guzik z prawej strony. Jeśli będzie fałszywe, naciśnij lewy guzik.

Twierdzenie 1: Węgiel jest czarny.

Twierdzenie 2: 1 + 1 = 2.

Twierdzenie 3: Zimą temperatura jest niższa niż latem.

Twierdzenie 4: Mężczyźni są na ogół niżsi od kobiet.

Twierdzenie 5: Najkrótszą odległością między dwoma punktami jest linia prosta.

Twierdzenie 6: Księżyc jest jaśniejszy niż Słońce.

Twierdzenia wyświetlano po kolei na małym ekranie przed osobą badaną. Każde pokazywało się na cztery sekundy, a osoba badana naciskała zgodnie ze swoim osądem guzik z prawej albo z lewej strony. Jej głowa znajdowała się w metalowym kasku, który pozwalał rozdzielczemu rejestratorowi obrazów uchwycić holograficzny widok jej mózgu, przetwarzany następnie przez komputer na dynamiczny model sieci połączeń nerwowych do przeanalizowania.

W tej początkowej fazie realizacji projektu Hinesa osoba badana musiała się wykazać tylko najprostszą formą myślenia krytycznego, a reakcją na twierdzenia były krótkie i jasne odpowiedzi. Podczas takich prostych operacji myślowych można było względnie łatwo ustalić, jakie procesy zachodzą w sieci połączeń nerwowych w mózgu, co stanowiło punkt wyjścia dla bardziej dogłębnych badań natury myślenia.

Zespoły badawcze pod kierunkiem Hinesa i Keiko Yamasuki dokonały pewnego postępu. Odkryto, że za myślenie krytyczne nie odpowiada żaden konkretny ośrodek w mózgu, lecz odbywa się to dzięki pewnemu szczególnemu sposobowi przekazywania impulsów nerwowych, i że za pomocą komputera o dużej mocy można umiejscowić ten proces w rozległej sieci neuronów metodą bardzo podobną do metody ustalania położenia gwiazd, przedstawionej Luo Ji przez astronoma Ringiera. Jednak w odróżnieniu od pozycji gwiazdy w kosmosie, która była stała, we wszechświecie mózgu zmieniało się to dynamicznie i proces ten można było określić tylko przez ustalenie jego właściwości matematycznych. Przypominało to trochę szukanie małego wiru w ogromnym oceanie i oznaczało, że moc obliczeniowa, której wymagało, była o wiele rzędów wielkości większa od potrzebnej do ustalenia położenia gwiazdy. Gdyby nie najnowszy komputer, byłoby to zadanie niewykonalne.

Hines przechadzał się z żoną po holograficznej mapie mózgu. Za każdym razem, kiedy komputer wykrył w mózgu osoby badanej myślenie krytyczne, wskazywał miejsce, w którym przebiegał ten proces, miganiem czerwonej lampki. W rzeczywistości była to tylko uczta dla oczu, bo dla samego badania nie było to potrzebne. Ważna była analiza dróg przesyłowych impulsów nerwowych w momencie myślenia, bo tam leżał klucz do tajemnic istoty mózgu.

Akurat wtedy wszedł dyrektor medyczny zespołu i oznajmił, że osoba badana 104 ma problemy.

Tuż po zbudowaniu rozdzielczego rejestratora obrazów skanowanie takiej ogromnej liczby przekrojów mózgu wytwarzało silne promieniowanie, które było śmiertelnie niebezpieczne dla osoby badanej, ale po kolejnych ulepszeniach sprowadzono je poniżej granicy zagrożenia

i rozliczne próby wykazały, że dopóki nie przekroczy się ustalonego czasu filmowania, rejestrator nie powoduje żadnych uszkodzeń mózgu.

– Zdaje się, że pojawił się u niego wodowstręt – powiedział dyrektor medyczny w drodze do ambulatorium.

Hines i Keiko Yamasuki zatrzymali się zaskoczeni. Hines gapił się na dyrektora.

– Wodowstręt? Nie zaraził się przypadkiem wścieklizną?

Dyrektor medyczny podniósł rękę do czoła i starał się uporządkować myśli.

– Och, przepraszam. Nie wyraziłem się ściśle. Nie odczuwa żadnych dolegliwości fizycznych, a jego mózg i inne narządy nie są w najmniejszym stopniu uszkodzone. Chodzi tylko o to, że boi się wody jak osoba chora na wściekliznę. Nie chce nic pić, nie je nawet niczego wilgotnego. To efekt czysto psychologiczny. On jest po prostu przekonany, że woda jest toksyczna.

– Urojenia prześladowcze? – zapytała Keiko Yamasuki.

Dyrektor medyczny machnął przecząco ręką.

– Nie, nie. On nie uważa, że ktoś dodał trucizny do wody. Święcie wierzy, że sama woda jest toksyczna.

Hines i jego żona znowu zamarli, a dyrektor tylko bezradnie potrząsał głową.

– Ale z psychologicznego punktu widzenia pod każdym innym względem jest normalny… Nie potrafię tego wytłumaczyć. Musicie sami zobaczyć.

Osobą badaną 104 był student, który zgłosił się do eksperymentu, by zarobić trochę grosza na drobne wydatki. Zanim weszli do pokoju, w którym przebywał, dyrektor powiedział:

– Nie pił od dwóch dni. Jeśli potrwa to dłużej, odwodni się i będziemy musieli podać mu płyny siłą. – Już w drzwiach dodał: – Widzicie tę

kuchenkę mikrofalową? Zanim weźmie do ust chleb czy cokolwiek innego, chce, żeby to spiec do sucha.

Hines i Keiko Yamasuki weszli do pokoju pacjenta. Osoba badana 104 spojrzała na nich ze strachem w oczach. Student miał spękane usta i włosy w nieładzie. Pociągnął Hinesa za rękaw i powiedział ochrypłym głosem:

– Doktorze Hines, chcą mnie zabić. Nie wiem dlaczego. – Potem wskazał szklankę wody na szafce przy łóżku. – Chcą, żebym pił wodę.

Hines spojrzał na szklankę. Był już pewien, że pacjent nie ma wścieklizny, bo prawdziwy wodowstręt wywołałby konwulsje na sam ten widok. Szum płynącej wody doprowadziłby go do szału, nawet sama wzmianka o wodzie mogłaby wywołać strach.

– Sądząc po jego oczach i mowie, powinien być w normalnym stanie psychicznym – rzekła Keiko Yamasuki do męża po japońsku. Miała stopień magistra psychologii.

– Naprawdę uważa pan, że woda jest toksyczna? – zapytał Hines.

– A ma pan jakieś wątpliwości? Równie dobrze można kwestionować to, że słońce daje światło, a powietrze zawiera tlen. Nie może pan zaprzeczyć podstawowym faktom, prawda?

Hines położył dłoń na jego ramieniu i powiedział:

– Młodzieńcze, życie narodziło się w wodzie i nie może bez niej istnieć. Twoje ciało składa się w siedemdziesięciu procentach z wody.

Oczy studenta pociemniały. Osunął się na łóżko i chwycił za głowę.

– To prawda. Ta kwestia mnie dręczy. To najbardziej niewiarygodna rzecz we Wszechświecie.

– Proszę mi pokazać zapis eksperymentu z udziałem osoby badanej 104 – rzekł Hines do dyrektora medycznego po wyjściu z pokoju pacjenta.

Gdy dotarli do gabinetu dyrektora, Keiko Yamasuki powiedziała:

– Spójrzmy najpierw na twierdzenia testowe.

Twierdzenia wyświetliły się jedno po drugim na ekranie komputera:

Twierdzenie 1: Koty mają po trzy nogi.
Twierdzenie 2: Kamienie nie są żywymi istotami.
Twierdzenie 3: Słońce ma kształt trójkąta.
Twierdzenie 4: Żelazo jest cięższe niż bawełna o tej samej objętości.
Twierdzenie 5: Woda jest toksyczna.

– Stop – rzekł Hines, wskazując twierdzenie 5.

– Odpowiedział, że to twierdzenie jest fałszywe – rzekł dyrektor medyczny.

– Spójrzmy na wszystkie parametry i operacje po odpowiedzi na twierdzenie 5.

Zapisy pokazywały, że po odpowiedzi na to twierdzenie zwiększono moc skanowania miejsca, w którym w połączeniach nerwowych w mózgu osoby badanej odbywał się proces krytycznego myślenia. By poprawić precyzję obrazu tego małego obszaru, zwiększono intensywność promieniowania i siłę pola magnetycznego. Hines i Keiko Yamasuki uważnie przestudiowali długą listę parametrów na ekranie.

– Czy tej zwiększonej mocy skanowania użyto również w odniesieniu do innych osób badanych i innych twierdzeń? – zapytał Hines.

– Rezultaty osiągnięte w wyniku zwiększenia mocy skanowania nie były zbyt dobre, więc po czterech próbach, z obawy przed skutkami nadmiernego napromieniowania jednego obszaru, zrezygnowaliśmy z tego. Poprzednim trzem osobom… – dyrektor sprawdził w komputerze – przedstawiono tylko prawdziwe, nieszkodliwe twierdzenia.

– Powinniśmy powtórzyć eksperyment z twierdzeniem 5, używając tych samych parametrów skanowania – powiedział Hines.

– Ale… na kim go przeprowadzimy? – zapytał dyrektor.

– Na mnie – odparł Hines.

Woda jest toksyczna.

Na białym tle ukazał się wypisany czarnymi literami tekst twierdzenia. Hines nacisnął lewy guzik z napisem „Fałsz”, ale nie poczuł nic oprócz spowodowanego intensywnym promieniowaniem lekkiego pieczenia z tyłu głowy.

Wyszedł z laboratorium, w którym znajdował się rozdzielczy rejestrator obrazów, i usiadł przy stole, bacznie obserwowany przez tłum pracowników, włącznie z Keiko. Na stole stała szklanka wody. Wziął ją, powoli podniósł do ust i pociągnął łyk. Jego ruchy były swobodne, twarz spokojna. Wszyscy odetchnęli z ulgą, ale potem zauważyli, że jego gardło się nie porusza, jak powinno się dziać przy przełykaniu. Mięśnie jego twarzy stężały, potem lekko drgnęły, a w oczach pojawił się taki sam strach, jaki przejawiała osoba badana 104, jakby jego duch walczył z jakąś potężną, bezkształtną siłą. W końcu wypluł wodę i ukląkł, by zwymiotować, ale z jego ust nic się nie wydobyło. Jego twarz zrobiła się purpurowa. Keiko przytuliła go i klepała po plecach.

Gdy odzyskał zmysły, wyciągnął rękę i powiedział:

– Dajcie mi parę papierowych ręczników.

Wziął je i starannie wytarł krople wody, które prysnęły mu na buty.

– Naprawdę uważasz, że woda jest toksyczna, kochany? – zapytała Keiko Yamasuki ze łzami w oczach. Przed eksperymentem prosiła go wielokrotnie, by zastąpił to twierdzenie innym, również fałszywym, ale nieszkodliwym.

Skinął głową.

– Tak. – Spojrzał na tłum. W jego oczach widać było bezradność i zmieszanie. – Tak. Naprawdę tak uważam.

– Pozwól, że powtórzę twoje własne słowa – powiedziała jego żona, klepiąc go po ramieniu. – Życie narodziło się w wodzie i nie może bez niej istnieć. Twoje ciało składa się w siedemdziesięciu procentach z wody!

Hines pochylił głowę i spojrzał na plamy wody na podłodze. Potem potrząsnął głową.

– To prawda, kochana. Ta kwestia mnie dręczy. To najbardziej niewiarygodna rzecz we Wszechświecie.

Trzy lata po przełomie w technologii kontrolowanej reakcji termojądrowej nad Ziemią pojawiły się nowe, niezwykłe ciała niebieskie, z których pięć było teraz widać nocą na jednej półkuli. Ich jasność radykalnie się zmieniała – gdy była największa, świeciły silniej niż Wenus, często też szybko mrugały. Czasem na jednym z nich dochodziło do gwałtownej erupcji, czemu towarzyszył nagły wzrost jasności, a po paru sekundach światło gasło. Były to reaktory termojądrowe przechodzące próby na orbicie geostacjonarnej.

Zwolennicy niemateriałowego napędu radioaktywnego zwyciężyli i wyznaczyli drogę badań zmierzających do zbudowania przyszłych statków kosmicznych. Tego rodzaju napęd wymagał reaktorów o dużej mocy, które najlepiej można było testować w przestrzeni kosmicznej. Właśnie to doprowadziło do umieszczenia tych jarzących się reaktorów, zwanych gwiazdami jądrowymi, trzydzieści tysięcy kilometrów nad Ziemią. Za każdym razem gdy na gwieździe jądrowej dochodziło do erupcji, oznaczało to katastrofalną porażkę naukowców. Jednak wbrew temu, co sądziła większość ludzi, erupcje te nie były wybuchami reaktorów,

lecz odkryciem ich rdzeni wskutek stopienia się zewnętrznych płaszczy, spowodowanego wysoką temperaturą wytwarzającą się podczas reakcji termojądrowej. Rdzeń był jak małe słońce i ponieważ topił jak wosk najbardziej żaroodporne ziemskie materiały, musiał być otoczony polem elektromagnetycznym. Te zabezpieczenia często zawodziły.

Stojący na balkonie na najwyższym piętrze dowództwa Sił Kosmicznych Chang Weisi i Hines byli świadkami jednej z takich erupcji. Zanim zgasła, w jej podobnej do księżycowej poświacie ich sylwetki rzucały cienie na ścianę. Hines był drugim obok Tylera Wpatrującym się w Ścianę, z którym spotkał się Chang Weisi.

– Trzeci raz w tym miesiącu – rzekł generał.

Hines spojrzał na pociemniałe teraz niebo.

– Moc tych reaktorów wynosi zaledwie jeden procent tej, jaka jest potrzebna dla silników przyszłych statków kosmicznych, a poza tym nie działają stabilnie. A nawet jeśli uda się zbudować potrzebne reaktory, opracowanie technologii budowy silników będzie jeszcze trudniejsze. Na pewno zablokują to sofony.

– To prawda. Sofony blokują nam wszystkie drogi – powiedział Chang Weisi ze wzrokiem wbitym w dal. Gdy zniknęło światło na niebie, morze świateł w mieście zdawało się jeszcze jaśniejsze.

– Promyk nadziei gaśnie, zaledwie zaświta, a pewnego dnia zniknie na zawsze. Jest tak, jak pan powiedział: sofony blokują nam wszystkie drogi.

– Doktorze Hines, chyba nie przyjechał pan tu po to, żeby rozmawiać ze mną o defetyzmie, co? – zapytał Chang Weisi ze śmiechem.

– Właśnie o tym chcę z panem porozmawiać. Tym razem odradzający się defetyzm ma inne podstawy – drastyczne pogorszenie się warunków życia ogółu ludności – a na wojsko wywiera nawet większy wpływ niż na resztę.

Chang Weisi przestał wpatrywać się w dal, ale nic nie powiedział.

– Zdaję sobie sprawę z pańskich problemów i chciałbym panu pomóc.

Chang Weisi przez kilka sekund patrzył na Hinesa w milczeniu, z nieodgadnioną miną, po czym zamiast odpowiedzieć na jego propozycję, rzekł:

– Żeby w ludzkim mózgu zaszły zauważalne zmiany, musi on ewoluować przez okres od dwudziestu do dwustu tysięcy lat, a ludzka cywilizacja ma dopiero pięć tysięcy lat. A więc tym, czego teraz używamy, jest prymitywny mózg człowieka pierwotnego… Doktorze, naprawdę podziwiam pana wyjątkowe pomysły. Być może właśnie tam leży prawdziwa odpowiedź.

– Dziękuję. W zasadzie wszyscy jesteśmy ludźmi z epoki kamiennej.

– Ale czy rzeczywiście można wykorzystać technologię dla zwiększenia zdolności umysłowych?

Pytanie to podekscytowało Hinesa.

– Generale, nie jest pan wcale taki prymitywny, przynajmniej w porównaniu z innymi! Zwróciło moją uwagę to, że zamiast „inteligencja” powiedział pan „zdolności umysłowe”. Ten drugi termin ma szersze znaczenie niż pierwszy. Na przykład po to, by pokonać defetyzm, nie wystarczy polegać na inteligencji. W sytuacji, w której blokują nas sofony, im wyższą ktoś ma inteligencję, tym trudniej jest mu wierzyć w zwycięstwo.

– Więc niech mi pan odpowie. Czy jest to możliwe?

Hines potrząsnął głową.

– Ile pan wie o tym, nad czym pracowałem z Keiko Yamasuki przed kryzysem trisolariańskim?

– Niewiele. Zdaje mi się, że uważaliście, że istotą myślenia są procesy zachodzące na poziomie kwantowym, nie molekularnym. Zastanawiam się, czy oznacza to…

– Oznacza to, że sofony czekają na mnie. Tak jak my na nie – powiedział Hines, wskazując na niebo. – Na razie jednak wyniki naszych badań są odległe od naszego celu. Mimo to uzyskaliśmy nieoczekiwany produkt uboczny.

Chang Weisi uśmiechnął się i kiwnął głową z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Nie będę zagłębiał się w szczegóły. Ogólnie mówiąc, odkryliśmy w sieci neuronów w mózgu mechanizm wyrokowania o różnych sprawach oraz możliwość wpływania w decydujący sposób na te osądy. Jeśli porównamy proces wydawania osądów przez ludzki umysł z procesem przetwarzania informacji przez komputer, to mamy dostarczone z zewnątrz dane wejściowe, obliczanie i wynik końcowy. Otóż jesteśmy w stanie ominąć etap obliczania i od razu uzyskać wynik. Gdy do mózgu dostaje się jakaś informacja, wpływa na pewną część znajdujących się w nim układów nerwowych, a my możemy sprawić, że mózg wyda osąd – uzna, że informacja ta jest autentyczna – nawet nie myśląc o tym.

– Udało się to już osiągnąć? – zapytał cicho Chang Weisi.

– Tak. Zaczęło się od przypadkowego odkrycia, które poddaliśmy dogłębnym badaniom, i już tego dokonaliśmy. Nazywamy to „plombą mentalną”.

– A jeśli ten osąd – albo, jeśli pan woli, ta wiara – jest sprzeczny z rzeczywistością?

– Wtedy ta wiara zostanie w końcu zburzona. Będzie to jednak dość bolesny proces, bo osąd wytworzony w umyśle przez plombę mentalną utrzymuje się tam wyjątkowo uporczywie. Kiedyś przez plombę mentalną nabrałem przekonania, że woda jest toksyczna, i dopiero po dwóch miesiącach psychoterapii mogłem ją pić bez zahamowań. To było coś… czego nie chcę wspominać. Ale twierdzenie, że woda jest toksyczna, jest

ewidentnie fałszywe. Inne przekonania mogą nie być w tak oczywisty sposób niezgodne z prawdą. Na przykład wiara w istnienie Boga albo w to, że ludzkość zwycięży w wojnie z Trisolarianami. Na pytanie, czy tak jest lub będzie, nie ma zdecydowanej odpowiedzi i podczas normalnego procesu nabierania takich przekonań umysł nieco przechyla się wskutek dokonywania różnego rodzaju wyborów w jedną lub w drugą stronę. Jeśli przekonanie zostanie ugruntowane przez plombę mentalną, będzie niewzruszone jak skała, absolutnie nie do podważenia.

– To naprawdę wielkie osiągnięcie. – Chang Weisi spoważniał. – To znaczy dla neurobiologii. Ale dla świata rzeczywistego stworzył pan, doktorze Hines, coś bardzo niepokojącego. Najbardziej niepokojącą rzecz w dziejach ludzkości.

– Nie chce pan wykorzystać plomby mentalnej do stworzenia sił kosmicznych, które będą miały niezłomną wiarę w zwycięstwo? W wojsku macie komisarzy politycznych, a my mamy kapłanów. Plomba mentalna jest tylko środkiem technicznym, który usprawni ich pracę.

– Praca polityczna i ideologiczna wytwarza wiarę poprzez racjonalne, naukowe myślenie.

– Ale czy można wytworzyć wiarę w zwycięstwo w tej wojnie przez racjonalne, naukowe myślenie?

– Jeśli nie, to wolelibyśmy mieć siły kosmiczne, którym brakowałoby wiary w zwycięstwo, ale które zachowałyby zdolność do niezależnego myślenia.

– Poza tym jednym przekonaniem reszta umysłu zachowałaby oczywiście całkowitą autonomię. Dokonalibyśmy tylko drobnej ingerencji w procesy myślowe, wykorzystując tę technikę dla pominięcia myślenia i zaszczepienia jednego przekonania, tylko jednego.

– Ale jedno przekonanie nie wystarczy. Obecnie technologia jest w stanie modyfikować myśli tak, jak modyfikuje się program komputerowy. Czy po tych modyfikacjach będziemy nadal ludźmi czy automatami?

– Pewnie czytał pan *Mechaniczną pomarańczę*.

– To mądra książka.

– Generale, odniósł się pan do mojej propozycji tak, jak się spodziewałem – powiedział Hines z westchnieniem. – Będę kontynuował badania w tym zakresie. Wpatrujący się w Ścianę musi się na to zdobyć.

Na następnym spotkaniu ROP w sprawie programu Wpatrujących się w Ścianę Hines poinformował zebranych o plombie mentalnej, co wzbudziło u nich rzadko spotykane emocje. Krótka ocena przedłożona przez przedstawiciela Stanów Zjednoczonych wyrażała uczucia większości:

– Niezwykle utalentowani doktorzy Hines i Yamasuki otworzyli przed ludzkością drzwi do ciemności.

Podekscytowany przedstawiciel Francji zerwał się z fotela.

– Co jest bardziej tragiczne: utrata zdolności i prawa do niezależnego myślenia czy klęska w tej wojnie?

– Oczywiście, że to drugie! – odparował Hines, wstając. – Ponieważ w tej pierwszej sytuacji ludzkość będzie przynajmniej miała szansę odzyskania swobody myślenia!

– Mam co do tego wątpliwości. Jeśli to rzeczywiście zostanie użyte… – powiedział przedstawiciel Rosji, podnosząc ręce. – Czym wy się zajmujecie? Tyler chciał pozbawić ludzi życia, a pan chce pozbawić ich umysłów. Co pan próbuje zrobić?

Jego słowa wywołały poruszenie.

– Dzisiaj rozmawiamy tylko o zgłoszeniu wniosku, ale jestem przekonany, że rządy wszystkich krajów zakażą stosowania tej metody – powiedział przedstawiciel Wielkiej Brytanii. – Bez względu na to, co się stanie, nic nie jest gorsze od kontroli myśli.

– Dlaczego wszyscy reagują tak alergicznie na samą wzmiankę o kontroli myśli? – zapytał Hines. – We współczesnym społeczeństwie na każdym kroku, od reklam poczynając, a na kulturze hollywoodzkiej kończąc, spotykamy się z kontrolą myśli. Jest jak w chińskim powiedzeniu: drwicie z ludzi, którzy cofnęli się o sto kroków, a sami cofnęliście się o pięćdziesiąt.

– Doktorze Hines – odezwał się ponownie przedstawiciel Stanów Zjednoczonych – pan nie zrobił tylko stu kroków. Doszedł pan do progu ciemności i zagraża samym podstawom współczesnego społeczeństwa.

Wśród zebranych znowu zapanowało poruszenie i Hines wiedział, że nadeszła pora, by przejąć panowanie nad sytuacją. Podniósł głos i powiedział:

– Uczcie się od małego chłopca!

Jak się spodziewał, po tych słowach zaległa cisza.

– Od jakiego chłopca? – zapytał przewodniczący.

– Sądzę, że wszyscy państwo znacie tę opowieść. Małemu chłopcu przygniotło w lesie nogę upadające drzewo. Był sam i nie mógł zatamować krwawienia. Umarłby, gdyby nie podjął decyzji, która zawstydziłaby wszystkich obecnych tu delegatów: wziął piłę i odciął sobie uwięzioną nogę, a potem wczołgał się do samochodu i pojechał do szpitala. Dzięki temu wyszedł z tego z życiem. – Hines skonstatował z zadowoleniem, że przynajmniej nikt nie próbował mu przerwać. – Problem, przed którym stoi teraz ludzkość, to dla niej sprawa życia i śmierci. Życia i śmierci całej naszej cywilizacji. Czy w tej sytuacji nie możemy wyrzec się paru rzeczy?

Rozległy się dwa głuche uderzenia. Przewodniczący stukał młotkiem w stół, chociaż w sali nie było głośno. Zebrani przypomnieli sobie, że ten Niemiec zachowywał podczas spotkania z Wpatrującym się w Ścianę niezwykłe milczenie.

– Przede wszystkim – powiedział łagodnym głosem przewodniczący – mam nadzieję, że każdy z państwa dobrze się przyjrzy obecnej sytuacji. Stale zwiększają się inwestycje w kosmiczny system obrony, wskutek czego gospodarka światowa znalazła się w głębokiej recesji. W niezbyt odległej przyszłości może się spełnić prognoza, że poziom życia cofnie się o sto lat. Jednocześnie badania naukowe związane z obroną kosmiczną napotykają blokadę wzniesioną przez sofony, a postęp technologiczny coraz bardziej zwalnia. Wywoła to w społeczności międzynarodowej nową falę defetyzmu i tym razem może doprowadzić do kompletnego upadku programu Obrony Układu Słonecznego.

Po tych słowach zapadła absolutna cisza. Po prawie pół minucie przewodniczący podjął na nowo:

– Kiedy dowiedziałem się o plombie mentalnej, jak każdy z państwa poczułem strach i obrzydzenie jak na widok jadowitego węża. Jednak najbardziej racjonalnym podejściem, jakie możemy teraz obrać, jest uspokojenie się i poważne rozpatrzenie tego. Gdy rzeczywiście pojawia się diabeł, najlepszym rozwiązaniem jest zachowanie spokoju i racjonalne myślenie. Na obecnym posiedzeniu zgłaszamy po prostu wniosek pod głosowanie.

Hines dostrzegł promyk nadziei.

– Panie przewodniczący, panie przedstawicielki, panowie przedstawiciele, jeśli moja wstępna propozycja nie może zostać poddana pod głosowanie, może wszyscy cofniemy się o krok.

– Bez względu na to, o ile kroków pan się cofnie, kontrola myśli jest absolutnie nie do przyjęcia – powiedział przedstawiciel Francji, ale nieco łagodniejszym tonem niż poprzednio.

– A gdyby nie była to kontrola myśli? Może coś pośredniego między kontrolą i wolnością?

– Plomba mentalna równa się kontrola myśli – rzekł przedstawiciel Japonii.

– Niekoniecznie. Przy kontroli myśli muszą być kontrolujący i osoba kontrolowana. Jeśli ktoś z własnej woli założy w swoim umyśle plombę mentalną, to proszę mi powiedzieć, gdzie tu jest kontrola.

W sali znowu zapadła cisza.

Czując, że sukces jest bliski, Hines ciągnął:

– Proponuję, żeby do plomby mentalnej był otwarty dostęp, jak do urządzeń użyteczności publicznej. Zawierałaby ona tylko jedno twierdzenie: wiarę w zwycięstwo w tej wojnie. Każdy, kto by chciał zyskać tę wiarę dzięki użyciu plomby mentalnej, mógłby z niej całkowicie dobrowolnie skorzystać. Oczywiście to wszystko przebiegałoby pod ścisłym nadzorem.

Przewodniczący otworzył dyskusję, w wyniku której dodano do warunków korzystania z plomby mentalnej garść nowych ograniczeń. Najważniejszym z nich było ograniczenie możliwości jej wykorzystywania do sił kosmicznych, ponieważ ludziom było względnie łatwo pogodzić się z uniformizacją myślenia w wojsku. Posiedzenie trwało jeszcze osiem godzin, więc okazało się najdłuższe z dotychczas zwołanych. Na koniec sformułowano wniosek do przegłosowania na następnym zebraniu, który przedstawiciele poszczególnych państw mieli przekazać swoim rządom.

– Czy nie powinniśmy nadać obiektowi, w którym będzie się tego dokonywać, jakiejś nazwy? – zapytał przedstawiciel Stanów

Zjednoczonych.

– Może by je nazwać Centrum Przynoszącej Ulgę Wiary? – zaproponował przedstawiciel Wielkiej Brytanii.

Ta dziwaczna nazwa, przejaw angielskiego poczucia humoru, wywołała wybuch śmiechu.

– Wystarczy po prostu Centrum Wiary – rzekł z powagą Hines.

Przed wejściem do Centrum Wiary stała pomniejszona replika Statui Wolności. Nie wiadomo było, w jakim celu ją tam postawiono – być może po to, by słowo „wolność” zmniejszało poczucie kontroli – ale rzeczą najbardziej godną uwagi była parafraza wiersza wyryta na cokole:

Dajcie mi wasze bezradne dusze,
Wasze bojaźliwe tłumy, które pragną zwycięstwa,
Oszołomione odpadki tych zdradzieckich rzesz.
Przyślijcie do mnie przygnębionych i błądzących,
Bo moja lampa złotej wiary daje pocieszenie.

Opiewana w poemacie złota wiara była wyraźnie zapisana w wielu językach na czarnym granitowym głazie zwanym Pomnikiem Wiary, który stał obok statui:

Ludzkość zwycięży w wojnie z najeźdźcami z Trisolaris. Wróg, który dokona inwazji na Układ Słoneczny, zostanie zniszczony. Ziemia będzie trwać w kosmosie przez dziesięć tysięcy pokoleń.

Centrum Wiary otworzono przed trzema dniami i od tamtej pory Hines i Keiko Yamasuki czekali w majestatycznym holu na chętnych. Niewielki budynek wzniesiony przy placu Organizacji Narodów Zjednoczonych stał

się od razu atrakcją turystyczną i stale przychodzili tam ludzie, żeby robić zdjęcia Statui Wolności i Pomnika Wiary, ale nikt nie wszedł do środka. Wszyscy zdawali się utrzymywać ostrożny dystans.

– Nie masz wrażenia, że prowadzimy walczący o przetrwanie sklepik rodzinny? – zapytała Keiko.

– Moja droga, pewnego dnia będzie to święte miejsce – odparł poważnie Hines.

Trzeciego dnia po południu ktoś w końcu wszedł do Centrum Wiary. Łysy mężczyzna w średnim wieku o melancholijnym spojrzeniu szedł niepewnym krokiem i czuć było od niego alkohol.

– Przyszedłem nabrać wiary – wybełkotał.

– Centrum Wiary jest otwarte tylko dla członków sił kosmicznych wszystkich państw. Proszę pokazać dowód tożsamości – powiedziała z ukłonem Keiko Yamasuki.

Hines pomyślał, że wygląda jak uprzejma kelnerka w hotelu Tokyo Plaza.

Mężczyzna wyłowił z kieszeni dowód tożsamości.

– Jestem członkiem sił kosmicznych – powiedział. – Personel cywilny. W porządku?

Po obejrzeniu jego dowodu Hines skinął głową.

– Chce pan to zrobić teraz, panie Wilson? – zapytał.

– Byłoby wspaniale – odparł tamten i kiwnął głową. – To… to coś, co nazywacie artykułem wiary. Tutaj to zapisałem. Chcę w to wierzyć.

Wyjął z kieszeni na piersiach starannie złożoną kartkę.

Keiko Yamasuki chciała wyjaśnić, że zgodnie z rezolucją ROP plomby mentalnej wolno było używać tylko w odniesieniu do jednego artykułu, zapisanego na pomniku przy wejściu, i że wprowadzanie jakichkolwiek zmian w tym wyznaniu jest zabronione, ale Hines łagodnie ją powstrzymał.

Najpierw chciał zerknąć na twierdzenie, które wręczył mu ten człowiek. Rozłożył kartkę i przeczytał, co było na niej napisane:

„Katherine mnie kocha. Nigdy mnie nie zdradziła i nigdy nie zdradzi!”.

Keiko Yamasuki stłumiła śmiech, ale Hines zmiął ze złością kartkę i rzucił ją pijanemu w twarz.

– Wynoś się stąd do diabła!

Po wyjściu Wilsona granicę wyznaczoną przez Pomnik Wiary, od której zwykli turyści trzymali się z daleka, przekroczył inny mężczyzna. Kiedy mijał pomnik, zwrócił uwagę Hinesa, który przywołał Keiko i powiedział:

– Spójrz. On musi być żołnierzem!

– Wygląda na wyczerpanego psychicznie i fizycznie.

– Ale to żołnierz, wierz mi.

Hines miał już zamiar wyjść i porozmawiać z nim, gdy zobaczył, że tamten wchodzi na schody. Wyglądał na człowieka w wieku Hinesa i chociaż miał przystojne azjatyckie rysy, było tak, jak powiedziała Keiko: sprawiał wrażenie pogrążonego w melancholii, ale innej niż poprzedni trudny przypadek. Jego melancholia wydawała się lżejsza, lecz jednocześnie głębsza, jakby tkwił w niej od lat.

– Nazywam się Wu Yue. Chciałbym nabrać przekonania – powiedział.

Hines zauważył, że zamiast o wierze powiedział o przekonaniu.

Keiko Yamasuki ukłoniła się i powtórzyła to, co powiedziała już wcześniej:

– Centrum Wiary jest otwarte tylko dla członków sił kosmicznych wszystkich państw. Proszę pokazać dowód tożsamości.

Wu Yue nie poruszył się, ale powiedział:

– Szesnaście lat temu służyłem przez miesiąc w siłach kosmicznych, ale potem stamtąd odszedłem.

– Służył pan przez miesiąc? Pozwoli pan, że o coś zapytam – rzekł Hines. – Jaki był powód pana odejścia?

– Jestem defetystą. Moi przełożeni i ja sam uznaliśmy, że nie nadaję się już do służby w siłach kosmicznych.

– Defetyzm to powszechny sposób myślenia – zauważyła Keiko Yamasuki. – Pan wyraźnie jest uczciwym defetystą i powiedział pan wprost o swoich zapatrywaniach. Pana koledzy, którzy zostali w wojsku, mogli mieć jeszcze silniejsze poglądy defetystyczne, ale po prostu je ukrywali.

– Być może, ale przez te wszystkie lata byłem zagubiony.

– Dlatego że odszedł pan ze służby?

Wu Yue potrząsnął głową.

– Nie. Moi rodzice byli naukowcami i za sprawą wykształcenia, które otrzymałem, nawet gdy wstąpiłem do wojska, traktowałem ludzkość jako jedną całość. Zawsze uważałem, że największym zaszczytem dla żołnierza byłaby walka w obronie całej ludzkości. Nadarzyła się taka okazja, ale jest to wojna, w której skazani jesteśmy na przegraną.

Hines miał już coś powiedzieć, ale przeszkodziła mu Keiko Yamasuki:

– Pozwoli pan, że zapytam: ile pan ma lat?

– Pięćdziesiąt jeden.

– Jeśli rzeczywiście będzie pan mógł wrócić do wojska po zyskaniu wiary w zwycięstwo, to nie sądzi pan, że w pana wieku jest już trochę za późno na ponowne rozpoczęcie służby?

Hines widział, że jego żona nie ma serca odmówić wprost byłemu żołnierzowi. Bez wątpienia jego melancholia była w kobiecych oczach czymś bardzo pociągającym. Jednak nie zmartwiło go to, bo widać było, że tego człowieka tak zżera rozpacz, iż nic innego nie ma dla niego znaczenia.

Wu Yue znowu potrząsnął głową.

– Źle mnie pani zrozumiała. Nie chcę wiary w zwycięstwo. Szukam tylko spokoju ducha.

Hines już otwierał usta, żeby mu odpowiedzieć, ale Keiko go powstrzymała.

– Poznałem moją obecną żonę, gdy studiowałem w akademii marynarki wojennej w Annapolis – ciągnął Wu Yue. – Była żarliwą chrześcijanką i patrzyła w przyszłość ze spokojem, którego jej zazdrościłem. Mówiła, że Bóg zaplanował wszystko, od przeszłości po przyszłość. My, dzieci Boże, nie musimy rozumieć Jego planów. Musimy tylko szczerze wierzyć, że to najrozsądniejszy plan we Wszechświecie, i żyć zgodnie z Bożą wolą.

– Chce pan powiedzieć, że przyszedł tu, żeby uwierzyć w Boga?

Wu Yue skinął głową.

– Zapisałem moje twierdzenie. Proszę spojrzeć. – Sięgnął do kieszeni koszuli.

Keiko ponownie powstrzymała Hinesa przed powiedzeniem czegokolwiek.

– Jeśli tak, to niech pan po prostu uwierzy – rzekła. – Nie ma potrzeby uciekać się do takich ostatecznych, technicznych środków.

Na twarzy byłego kapitana sił kosmicznych pojawił się cierpki uśmiech.

– Otrzymałem wykształcenie materialistyczne. Jestem zagorzałym ateistą. Myśli pani, że łatwo by mi było uwierzyć w Boga?

– Absolutnie nie! – Hines stanął przed Keiko Yamasuki. Postanowił jak najszybciej wyjaśnić sprawę. – Powinien pan wiedzieć, że zgodnie z rezolucją ONZ plombę mentalną można stosować do wpojenia tylko jednego twierdzenia. – Z tymi słowami wyjął duże, wspaniale zaprojektowane czerwone kartonowe pudełko, otworzył je i pokazał Wu Yue. W środku leżał na czarnym aksamicie wygrawerowany w złocie tekst

przysięgi z Pomnika Wiary. – To księga wiary. – Potem wyjął zestaw pudełek w różnych kolorach. – To ta sama księga w różnych językach. Pozwoli pan, panie Wu, że powiem panu, jak ścisły jest nadzór nad używaniem plomby mentalnej. Dla zapewnienia bezpieczeństwa i wiarygodności tego zabiegu twierdzenia nie pokazuje się na ekranie, lecz daje ochotnikowi do przeczytania z tej sporządzonej w staroświecki sposób księgi wiary. Jako że obowiązuje zasada dobrowolności, ochotnik musi się poddać specjalnej procedurze. Otwiera księgę, a potem naciska przycisk „Start” na urządzeniu do zakładania plomby mentalnej. System trzykrotnie prosi o potwierdzenie chęci poddania się zabiegowi. Przed rozpoczęciem tej procedury księgę wiary bada zespół dziesięciu specjalnych komisarzy z krajów członkowskich Komisji Praw Człowieka ONZ i państw będących stałymi członkami ROP. Podczas całego zabiegu ten dziesięcioosobowy zespół będzie przyglądał mu się z boku i dokładnie go nadzorował. A zatem nie możemy spełnić pańskiej prośby. Niech pan zapomni o swoim twierdzeniu dotyczącym wiary religijnej. Zmiana choćby jednego słowa w tekście księgi wiary jest przestępstwem.

– Wobec tego przepraszam za kłopot – powiedział Wu Yue, kiwając głową.

Wydawało się, że się spodziewał, iż tak się to skończy. Odwrócił się do wyjścia. Z tyłu wyglądał na starego, przygnębionego człowieka.

– Będzie mu ciężko przez resztę życia – powiedziała Keiko Yamasuki głosem pełnym współczucia.

– Niech pan zaczeka! – zawołał Hines, kiedy tamten był tuż za drzwiami, i wybiegł.

Światło zachodzącego słońca odbijało się jak ogień od Pomnika Wiary i przeszklonego budynku ONZ w dali. Zmrużył oczy i powiedział:

– Może mi pan nie wierzyć, ale ja zrobiłem dokładnie odwrotnie.

Wu Yue spojrzał na niego z zaskoczeniem. Hines obejrzał się i widząc, że Keiko nie poszła za nim, wyjął z kieszeni kartkę i rozłożył ją przed Wu Yue.

– To plomba mentalna, którą chciałem sobie założyć. Oczywiście wahałem się i w końcu nie zrobiłem tego.

Na kartce wypisane było grubą czcionką:

„Bóg umarł”.

– Dlaczego? – zapytał Wu Yue, podnosząc wzrok.

– Czy to nie oczywiste? Czy Bóg nie umarł? Pieprzyć Boży plan! Pieprzyć Jego łagodne jarzmo!

Wu Yue patrzył przez chwilę w milczeniu na Hinesa, po czym odwrócił się i zszedł ze schodów. Gdy wszedł w cień rzucany przez Pomnik Wiary, Hines zawołał za nim:

– Bardzo bym chciał ukryć pogardę, którą do pana żywię, ale niestety nie potrafię.

Następnego dnia zaczęli w końcu przychodzić ludzie, na których czekali Hines i Keiko Yamasuki. W jasnym słońcu poranka do Centrum Wiary weszły cztery osoby, trzech mężczyzn o rysach europejskich i kobieta o rysach azjatyckich. Wysocy, wyprostowani, idąc równym krokiem, wyglądali na pewnych siebie i dojrzałych, ale Hines i Keiko zauważyli w ich oczach coś znajomego. Była to taka sama melancholia jak w spojrzeniu Wu Yue.

Położyli porządnie swoje dokumenty na biurku recepcyjnym, a ich przywódca rzekł uroczystym tonem:

– Jesteśmy oficerami sił kosmicznych i przyszliśmy tu zyskać wiarę w zwycięstwo.

Zabieg zakładania plomby mentalnej przebiegł dość szybko. Dziesięcioro członków zespołu nadzorczego otrzymało księgi wiary i po starannym sprawdzeniu ich treści złożyło podpisy na świadectwie notarialnym. Następnie pod ich czujnym okiem pierwszy ochotnik zasiadł z księgą w ręku przed urządzeniem do zakładania plomby mentalnej. Miał przed sobą mały pulpit, na którym położył księgę. W prawym dolnym rogu pulpitu znajdował się czerwony przycisk. Gdy ochotnik otworzył księgę, rozległ się głos:

– Czy jesteś pewien, że chcesz zyskać wiarę w to twierdzenie? Jeśli tak, naciśnij przycisk. Jeśli nie, opuść obszar skanowania.

Pytanie to powtórzono trzykrotnie i za każdym razem, kiedy je zadawano, przycisk jarzył się czerwonym światłem. Powoli opuścił się aparat do pozycjonowania i ustawił głowę ochotnika w odpowiednim położeniu, po czym ten sam głos powiedział:

– Urządzenie jest gotowe do zakładania plomby mentalnej. Proszę przeczytać po cichu twierdzenie i nacisnąć przycisk.

Po wciśnięciu guzik zmienił kolor na zielony i po pięciu minutach zgasł.

– Zabieg założenia plomby mentalnej został zakończony – powiedział głos.

Aparat do pozycjonowania odsunął się, a ochotnik wstał i wyszedł.

Gdy wszyscy ochotnicy wrócili po zabiegu do holu, Keiko Yamasuki uważnie się im przyjrzała. Uzyskała natychmiast potwierdzenie, że wrażenie, iż ich nastrój się poprawił, nie było wytworem jej wyobraźni. Z czterech par oczu zniknął wyraz melancholii i dezorientacji. Były teraz spokojne jak powierzchnia wody przy bezwietrznej pogodzie.

– Jak się czujecie? – zapytała z uśmiechem.

– Wspaniale – odparł jeden z oficerów, odpowiadając jej uśmiechem. – Tak, jak powinniśmy się czuć.

Gdy wychodzili, Azjatka odwróciła się i dodała:

– Naprawdę czuję się wspaniale, pani doktor. Dziękuję.

W tej chwili przyszłość była pewna, przynajmniej w umysłach tych czworga młodych ludzi.

Od tamtego dnia bez przerwy napływali dla zyskania wiary członkowie sił kosmicznych, najpierw głównie pojedynczo, potem dużymi grupami. Początkowo przychodzili w ubraniach cywilnych, ale później większość z nich w mundurach. Jeśli pojawiło się naraz więcej niż pięć osób, zespół nadzorczy organizował zebranie, by się upewnić, czy nikt nie został do tego zmuszony.

Po tygodniu liczba członków sił kosmicznych, którzy dzięki plombie mentalnej zyskali wiarę w zwycięstwo, przekroczyła setkę. Byli w różnych rangach, od szeregowca do pułkownika, który to stopień był najwyższym dopuszczonym przez dowództwa sił wszystkich krajów do poddania się zabiegowi założenia plomby.

Tamtej nocy, stojąc w świetle księżyca pod Pomnikiem Wiary, Hines rzekł do Keiko:

– Kochana, musimy odejść.

– Do przyszłości?

– Tak. Nie jesteśmy lepsi od innych naukowców zajmujących się badaniem umysłu i osiągnęliśmy wszystko, co można było osiągnąć na tym etapie. Pchnęliśmy koło historii, więc udajmy się w przyszłość i czekajmy na to, co przyniesie.

– Jak daleko?

– Bardzo daleko, Keiko. Bardzo daleko. Do dnia, kiedy trisolariańskie sondy dotrą do Układu Słonecznego.

– Zanim to zrobimy, polećmy na jakiś czas do naszego domu w Kioto. W końcu to stulecie zostanie pogrzebane na zawsze.

– Oczywiście, kochana. Ja też tęsknię za tym domem.

Kiedy pół roku później Keiko Yamasuki pogrążała się w coraz większym zimnie, by za chwilę zapaść w hibernację, ziąb usunął z jej umysłu kakofonię dźwięków, a cienka nić jej skupionych myśli rysowała się wyraźnie na tle ciemnej pustki, jak przed dziesięcioma laty u Luo Ji, gdy wpadł do lodowatej wody w jeziorze. Nagle jej mgliste myśli stały się niezwykle czyste, niczym niebo w środku zimy.

Chciała krzyknąć, by zatrzymano oziębianie, ale było już za późno. Bardzo niska temperatura sparaliżowała jej ciało i Keiko nie mogła poruszyć ustami.

Lekarze zauważyli, że gdy wchodziła w hibernację, jej oczy odrobinę się otworzyły i ukazały się w nich przerażenie i rozpacz. Gdyby nie to, że zamarzły jej powieki, miałaby je szeroko otwarte. Ale była to normalna reakcja podczas tego procesu i wielokrotnie widzieli ją u innych osób poddawanych hibernacji, więc nie zawracali sobie tym głowy.

Na zebraniu Rady Obrony Planety obradowano nad próbną eksplozją gwiezdnej bomby wodorowej.

Wielki przełom w technologii oznaczał, że komputery mogły w końcu poradzić sobie z opracowanym w minionym dziesięcioleciu teoretycznym wzorem gwiezdnego wybuchu jądrowego i że wkrótce będzie można przystąpić do produkcji gwiezdnych bomb wodorowych o dużej energii wybuchu. Pierwsza z tych bomb mogła wytworzyć energię odpowiadającą eksplozji 350 megaton trotylu, siedem razy więcej od mocy wybuchu największej bomby wodorowej stworzonej dotychczas przez ludzi. Próby

takiej superbomby nie można było przeprowadzić w atmosferze, a jej detonacja pod ziemią na głębokości, na jakiej wcześniej testowano ładunki termojądrowe, wyrzuciłaby w powietrze okoliczne skały, więc wypróbowanie jej na Ziemi wymagałoby wykopania niezwykle głębokiego szybu. Ale nawet wybuch w takim szybie wywołałby falę uderzeniową, która rozeszłaby się po całym świecie i mogłaby w nieprzewidywalny sposób wpłynąć na struktury geologiczne, co mogłoby spowodować trzęsienia ziemi i tsunami. Dlatego próby gwiezdnej bomby wodorowej można było dokonać tylko w przestrzeni kosmicznej. Ale i to było niemożliwe na orbicie, ponieważ wytworzony przez bombę impuls elektromagnetyczny uszkodziłby ziemskie systemy telekomunikacyjne i energetyczne systemy przesyłowe. A zatem idealnym miejscem dla przeprowadzenia takiej próby była druga strona Księżyca. Rey Diaz jednak dokonał innego wyboru.

– Postanowiłem przeprowadzić próby na Merkurym – oświadczył.

Propozycja ta wprawiła członków Rady w zdumienie, więc zapytali o sens tego planu.

– Zgodnie z zasadami programu Wpatrujących się w Ścianę nie muszę tego wyjaśniać – powiedział lodowatym głosem Rey Diaz. – Próby powinno się przeprowadzić pod ziemią. Musimy wykopać na Merkurym bardzo głębokie szyby.

– Możemy rozważyć dokonanie prób na powierzchni Merkurego, ale próby podziemne są zbyt drogie – rzekł przedstawiciel Rosji. – Wykopanie tam głębokich szybów kosztowałoby sto razy więcej niż na Ziemi. Poza tym skutki, jakie wybuch bomby termojądrowej miałby dla środowiska na Merkurym, nie dostarczyłyby nam żadnych użytecznych informacji.

– Nawet przeprowadzenie próby na powierzchni Merkurego jest niemożliwe! – zaprotestował przedstawiciel Stanów Zjednoczonych. – Pan

Rey Diaz wykorzystał już większość środków przeznaczonych na sfinansowanie planów wszystkich Wpatrujących się w Ścianę. Nadeszła pora, by go powstrzymać!

Opinię tę podzielili przedstawiciele Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec.

– Pragnęlibyście zawetować mój plan nawet wtedy, gdybym wykorzystał tak mało środków jak doktor Luo – odparł ze śmiechem Rey Diaz. Obrócił się do przewodniczącego. – Chciałbym poprosić pana przewodniczącego i wszystkich członków Rady, by nie zapominali, że ze wszystkich strategii zaproponowanych przez Wpatrujących się w Ścianę mój plan jest najbardziej zgodny z głównym nurtem przygotowań do obrony planety, i to w takim stopniu, że można go traktować jako ich część. W liczbach bezwzględnych wykorzystanie środków może się wydawać duże, ale znaczna część tego, na co je przeznaczono, pokrywa się z głównym kierunkiem prac. Dlatego…

– Mimo to powinien pan wyjaśnić, dlaczego musi pan przeprowadzić podziemne próby na Merkurym – przerwał mu przedstawiciel Wielkiej Brytanii. – Chyba że chodzi panu tylko o to, żeby wydać pieniądze. Nie znajdujemy innego wytłumaczenia.

– Panie przewodniczący, panowie przedstawiciele – odparł spokojnie Rey Diaz – być może zauważyliście, że ROP nie ma już ani odrobiny szacunku dla Wpatrujących się w Ścianę i dla zasad tego programu. Jeśli musimy wyjaśniać wszystkie szczegóły naszych planów, to jaki sens ma cały ten program? – Przewiercał świdrującym spojrzeniem, jednego po drugim, członków Rady, zmuszając ich do odwrócenia wzroku. – Mimo to – ciągnął – jestem gotów wyjaśnić podniesioną przed chwilą kwestię. Chcę przeprowadzić próby głęboko pod powierzchnią Merkurego, by w wyniku wybuchów powstała duża jaskinia, która posłuży w przyszłości za bazę na

tej planecie. To najbardziej ekonomiczny sposób realizacji tego rodzaju przedsięwzięcia inżynieryjnego.

Po jego słowach rozległy się szepty, a jeden z przedstawicieli zapytał:

– Wpatrujący się w Ścianę Rey Diaz, czy to znaczy, że chce pan użyć Merkurego jako bazy, z której zostaną wystrzelone gwiezdne bomby wodorowe?

– Tak – odparł stanowczo Diaz. – W strategii przyjętej obecnie przez przedstawicieli głównego kierunku działań obronnych kładzie się nacisk na planety znajdujące się na obrzeżach Układu Słonecznego, więc planetom położonym bliżej jego środka nie poświęca się wystarczającej uwagi. Baza, którą planuję założyć na Merkurym, ma wypełnić tę lukę w obronie.

– On boi się Słońca, a chce lecieć na planetę, która leży najbliżej niego. Czy to nie dziwne? – rzekł przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, wzbudzając śmiech zebranych, który przewodniczący szybko uciszył.

– To nieważne, panie przewodniczący. Przyzwyczaiłem się do braku szacunku, zanim jeszcze zostałem Wpatrującym się w Ścianę – powiedział Rey Diaz, machając ręką. – Ale wszyscy powinniście odnosić się z szacunkiem do faktów. Kiedy padną planety zewnętrzne naszego układu, baza na Merkurym stanie się ostatnim bastionem ludzkości. Z tyłami chronionymi przez Słońce, pod osłoną promieniowania, będzie najsilniejszym punktem obrony.

– Panie Rey Diaz, czy to znaczy, że cały pański plan opiera się na tym, że będzie to ostatni punkt oporu, kiedy ludzkość znajdzie się w beznadziejnym położeniu? To jest całkowicie zgodne z pana charakterem – powiedział przedstawiciel Francji.

– Panowie, nie możemy nie brać pod uwagę ostateczności – rzekł poważnie Rey Diaz.

– Dobrze, Wpatrujący się w Ścianę Reyu Diazie – powiedział przewodniczący. – Mógłby nam pan powiedzieć, ile ogółem gwiezdnych bomb wodorowych zamierza pan tam rozmieścić zgodnie ze swoim planem?

– Im więcej, tym lepiej. Wyprodukujcie tyle, ile się da przy możliwościach Ziemi. Konkretna liczba zależy od energii, jaką bomby wodorowe mogą mieć w przyszłości, ale według obliczeń na podstawie ich obecnej siły wybuchu pierwsza partia powinna liczyć co najmniej milion.

Po tych słowach zebrani zaczęli się skręcać ze śmiechu.

– Najwyraźniej Wpatrujący się w Ścianę Rey Diaz chce stworzyć nie tylko małe słońce, ale małą galaktykę! – rzekł głośno przedstawiciel Stanów Zjednoczonych. Potem pochylił się w stronę Reya Diaza. – Pan naprawdę myśli, że całe zasoby protu, deuteru i trytu znajdujące się w oceanach zostały stworzone tylko dla pana? Z powodu pana zboczonej miłości do bomb cała Ziemia ma się stać ich fabryką?

W tej chwili Rey Diaz był jedyną osobą w zgromadzeniu, która zachowała poważną minę. Spokojnie czekał, aż ucichnie wrzawa, po czym powiedział, cedząc słowa:

– To ostateczna wojna ludzkości, więc liczba, o którą proszę, nie jest wcale wysoka. Ale przewidywałem, że taki może być wynik dzisiejszego przesłuchania. Niemniej jednak będę ciężko pracował. Zbuduję bomby. Zbuduję tyle, ile zdołam. Będę ciężko pracował i nie ustanę w wysiłkach.

W odpowiedzi na to przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji złożyli wspólny wniosek, W269, o przerwanie prac nad planem strategicznym Wpatrującego się w Ścianę Reya Diaza.

Na powierzchni Merkurego widać było tylko dwa kolory: czarny i złoty. Czarna była ziemia, a jej niski współczynnik odbicia światła sprawiał, że nawet w ostrym blasku Słońca pozostawała taflą czerni. Złote było Słońce, które zajmowało znaczną część nieba. Na jego szerokiej tarczy były wyraźnie widoczne falujące ogniste morza i plamy przesuwające się jak czarne chmury, a nad jej brzegiem pełen gracji taniec protuberancji.

I na tej skalnej bryle zawieszonej nad słonecznym morzem ognia ludzkość umieszczała drugie, małe słońce.

Po ukończeniu budowy windy kosmicznej ludzkość zaczęła wielką eksplorację innych planet Układu Słonecznego. Lądowania statków załogowych na Marsie i księżycach Jowisza nie wywołały dużego poruszenia, ponieważ ludzie wiedzieli, że celem tych ekspedycji, jaśniejszym i praktyczniejszym niż w przeszłości, jest założenie baz dla obrony Układu Słonecznego. Wyprawy te, na które wyruszano głównie rakietami i statkami kosmicznymi o napędzie chemicznym, były zaledwie małymi krokami prowadzącymi do osiągnięcia tego celu. Początkowo skupiano się przede wszystkim na eksploracji planet zewnętrznych, ale w miarę rozwijania strategii kosmicznej coraz częściej krytykowano ignorowanie wartości strategicznej planet wewnętrznych. Dlatego przyspieszono badania Wenus i Merkurego i dlatego niewielką przewagą głosów przyjęto zgłoszoną przez Reya Diaza propozycję przeprowadzenia prób z gwiezdną bombą wodorową na tej drugiej planecie.

Wykopanie szybu w skałach na Merkurym było pierwszym projektem inżynieryjnym na dużą skalę, który ludzkość miała zrealizować na innej planecie w Układzie Słonecznym. Budowę szybu można było prowadzić tylko nocą, która na Merkurym trwała osiemdziesiąt osiem ziemskich dni, więc zajęłaby ona trzy lata. Jednak w końcu osiągnięto tylko jedną trzecią planowanej głębokości, ponieważ natrafiono na warstwę składającą się

z mieszaniny skały i żelaza. Dalsze drążenie szybu byłoby dużo powolniejsze i dużo bardziej kosztowne. Ostatecznie postanowiono poprzestać na tym poziomie. Gdyby próby przeprowadzono na takiej głębokości, wybuch najpewniej wysadziłby otaczające skały i powstałby krater, a więc byłaby to w istocie rzeczy złagodzona wersja próby w atmosferze. Co więcej, wskutek zakłóceń spowodowanych przez unoszące się wokół miejsca eksplozji odłamki skalne obserwacja jej skutków byłaby trudniejsza niż podczas próby przeprowadzonej w całości w atmosferze, ale Rey Diaz uważał, że jeśli zbuduje się pokrywę nad kraterem, będzie on mimo wszystko mógł służyć jako baza, i nalegał na dokonanie próby na obecnej głębokości.

Próbę przeprowadzono o świcie. Wschód słońca na Merkurym trwał ponad dziesięć godzin, a na horyzoncie pojawiło się właśnie słabe światło. Kiedy zakończono odliczanie, wokół punktu zerowego wybuchu pojawiły się fale, a ziemia sprawiała wrażenie, jakby stała się miękka niczym satyna. Potem powoli wyrosła tam góra podobna do grzbietu budzącego się olbrzyma. Gdy jej szczyt wzniósł się na wysokość około trzech tysięcy metrów, cała góra eksplodowała, wzbijając w powietrze w przejawie wściekłości ziemi na niebo miliardy ton błota i odłamków skalnych. Nad falującą powierzchnią pokazało się światło wyłaniającej się spod ziemi ognistej kuli jądrowej, które rozjaśniło wzlatujące w powietrze okruchy ziemi i skał niczym we wspaniałym pokazie ogni sztucznych na czarnym niebie nad planetą. Kula świeciła przez pięć minut, zanim zgasła, a w jej jądrowym blasku spadały na powierzchnię planety kawały skał.

Dziesięć minut po zakończeniu próby obserwatorzy zauważyli, że wokół Merkurego pojawił się pierścień składający się z wielkiej ilości odłamków skalnych, którym gwałtowny wybuch nadał prędkość kosmiczną i które przeistoczyły się w miriady satelitów różnej wielkości. Rozproszyły się

równomiernie na orbicie, wskutek czego Merkury stał się pierwszą planetą typu ziemskiego otoczoną pierścieniem. Pierścień był cienki i gdy skrzył się w ostrym blasku Słońca, wyglądało to tak, jakby ktoś nałożył na tę planetę rozświetlacz.

Część odłamków uzyskała prędkość ucieczki ze strefy przyciągania Merkurego. Stały się satelitami Słońca i utworzyły na orbicie Merkurego bardzo rzadki pas asteroid.

Rey Diaz mieszkał pod ziemią nie z obawy o swoje bezpieczeństwo, lecz z powodu heliofobii. W klaustrofobicznym otoczeniu, z dala od światła słonecznego, czuł się nieco bardziej komfortowo. Właśnie oglądał przekaz próbnego wybuchu na żywo. Prawdę mówiąc, nie był to tak naprawdę przekaz na żywo, bo obrazy docierały na Ziemię dopiero po siedmiu minutach. Kiedy zgasła ognista kula i w ciemnościach, które potem zapadły, z nieba wciąż sypał się grad skalnych odłamków, Rey Diaz odebrał telefon od przewodniczącego ROP, który powiedział, że straszliwa siła gwiezdnych bomb wodorowych zrobiła ogromne wrażenie na kierownictwie Rady i że jej stali członkowie poprosili, by jak najszybciej zorganizować następne spotkanie z Wpatrującym się w Ścianę i porozmawiać o ich produkcji i rozmieszczeniu. Przewodniczący dodał, że chociaż skonstruowanie tylu bomb, ilu zażądał Diaz, jest niemożliwe, wielkie mocarstwa są zainteresowane produkcją tej broni.

Dziesięć godzin po zakończeniu próby, kiedy Rey Diaz oglądał w telewizji nowy, skrzący się pierścień Merkurego, z interkomu odezwał się głos strażnika, który powiadomił go, że przyszedł psychiatra z wyznaczoną wizytą.

– Nie prosiłem o żadnego psychiatrę. Odprawcie go! – powiedział Diaz z oburzeniem, jakby spotkała go wielka zniewaga.

– Niech się pan tak nie zachowuje, panie Rey Diaz – odezwał się inny, spokojniejszy głos, najwyraźniej nieoczekiwanego gościa. – Mogę sprawić, że znowu będzie pan mógł oglądać słońce…

– Idź pan do diabła! – krzyknął Diaz, ale zaraz zmienił zdanie. – Nie. Zatrzymajcie tego durnia i dowiedzcie się, skąd jest.

– …bo znam przyczynę pańskiego stanu – kontynuował głos, nadal spokojnie. – Panie Rey Diaz, proszę, niech mi pan uwierzy. Pan i ja jesteśmy jedynymi osobami na świecie, które to wiedzą.

Rey Diaz nagle zrobił się czujny i powiedział:

– Wpuśćcie go.

Przez kilka sekund patrzył zmęczonym wzrokiem na sufit, potem powoli wstał i wziął krawat z zagraconej kanapy, ale zaraz z powrotem go tam rzucił. Podszedł do lustra, wyprostował kołnierzyk koszuli i przeczesał palcami włosy, jakby przygotowywał się do ważnego wydarzenia.

Wiedział, że jest to naprawdę ważne wydarzenie.

Gość był przystojnym mężczyzną w średnim wieku. Wszedł, ale się nie przedstawił. Zmarszczył się lekko, czując ciężki zapach cygar i alkoholu, ale stał spokojnie, kiedy Rey Diaz mu się przyglądał.

– Dlaczego mam wrażenie, że gdzieś już pana widziałem? – zapytał Rey Diaz.

– Nie ma w tym niczego dziwnego, panie Rey Diaz. Wszyscy mówią, że wyglądam jak Superman ze starych filmów.

– Naprawdę wierzy pan, że jest Supermanem? – powiedział Rey Diaz. Usiadł na kanapie, wziął cygaro, odgryzł jego koniuszek i zaczął je zapalać.

– To pytanie dowodzi, że wie pan już, jakiego rodzaju jestem człowiekiem. Nie jestem Supermanem, panie Rey Diaz. Pan też nim nie

jest.

Młodszy mężczyzna zrobił krok do przodu, Rey Diaz zobaczył, że stoi przed nim i patrzy na niego przez obłok dymu, który właśnie wypuścił, więc też wstał.

– Wpatrujący się w Ścianę Manuelu Reyu Diazie, jestem Burzycielem twojej ściany – powiedział gość.

Rey Diaz skinął ponuro głową.

– Mogę usiąść? – zapytał Burzyciel Ściany.

– Nie – odparł Diaz, wydmuchując mu dym w twarz.

– Niech pan się nie martwi – powiedział Burzyciel Ściany z uprzejmym uśmiechem.

– Nie martwię się – rzekł Diaz głosem zimnym i twardym jak skała.

Burzyciel podszedł do ściany i wcisnął kontakt. Zaczął szumieć ukryty gdzieś wentylator.

– Niech pan tu niczego nie rusza – ostrzegł go Rey Diaz.

– Potrzebuje pan trochę świeżego powietrza. A jeszcze bardziej słońca. Dobrze znam ten pokój, panie Rey Diaz. Na obrazach przesyłanych mi przez sofony często oglądałem, jak chodzi pan tam i z powrotem niczym zwierz w klatce. Nikt na świecie nie przyglądał się panu tak długo jak ja i proszę mi wierzyć, nie było to dla mnie łatwe.

Burzyciel Ściany patrzył prosto na Reya Diaza, który miał niewzruszoną minę jak rzeźba w lodzie, i ciągnął:

– W porównaniu z Frederickiem Tylerem jest pan znakomitym strategiem. Kompetentnym Wpatrującym się w Ścianę. Proszę mi wierzyć, że to nie jest pochlebstwo. Muszę przyznać, że przez dość długi czas, prawie przez dziesięć lat, wyprowadzał mnie pan w pole. Swoją manią na tle superbomby, broni zupełnie nieskutecznej w wojnie kosmicznej, udawało się panu maskować prawdziwy plan strategiczny i długo nie

mogłem znaleźć żadnej wskazówki na ten temat. Błądziłem w labiryncie, który pan zbudował, i w pewnym momencie straciłem nadzieję, że kiedykolwiek jakąś znajdę. – Burzyciel Ściany podniósł wzrok na sufit, przytłoczony wspomnieniem tamtych ciężkich chwil. – Później przyszło mi do głowy, żeby zebrać informacje o panu z czasów, zanim został pan Wpatrującym się w Ścianę, ale nie było to łatwe, a sofony nie mogły mi w tym pomóc. Wie pan, wtedy w okolice Ziemi dotarło ich tylko kilka i jako głowa południowoamerykańskiego państwa nie zwrócił pan na siebie ich uwagi. Musiałem więc uciec się do konwencjonalnych metod zbierania materiałów. Zajęło mi to trzy lata. W tych materiałach na plan pierwszy wysuwała się jedna osoba – William Cosmo. Trzykrotnie spotkał się pan z nim w tajemnicy. Sofony nie zarejestrowały treści waszych rozmów, więc nigdy ich nie poznam, ale w tym, że szef małego, nierozwiniętego państwa spotkał się trzy razy z zachodnim astrofizykiem, było coś niezwykłego. Teraz wiemy, że już wtedy przygotowywał się pan do tego, by zostać Wpatrującym się w Ścianę. Bez wątpienia interesowały pana owoce badań doktora Cosmo. Nie mam pojęcia, jak się pan dowiedział o tych badaniach, ale miał pan wykształcenie techniczne i doświadczenie swego kochającego socjalizm poprzednika, który równie entuzjastycznie odnosił się do idei państwa rządzonego przez inżynierów. Głównie z tego powodu został pan jego następcą. Powinien więc pan być w stanie dostrzec potencjalne znaczenie badań Cosmo. Gdy zaczął się kryzys trisolariański, zespół doktora Cosmo zajął się badaniem atmosfery układu gwiezdnego Trisolaris. Naukowcy spekulowali, że mogła ona powstać wskutek zderzenia się istniejącej wcześniej planety z gwiazdą. Podczas tej kolizji owa poprzednia planeta oderwała zewnętrzne warstwy gwiazdy, fotosferę i troposferę, w wyniku czego materia gwiezdna została wyrzucona w przestrzeń kosmiczną i utworzyła otaczającą ją atmosferę. Z powodu całkowicie

nieregularnych ruchów tego układu gwiazdy niekiedy przechodzą bardzo blisko siebie i wtedy atmosferę jednej rozprasza grawitacja drugiej, ale erupcje na jej powierzchni uzupełniają braki. Nie są to stałe erupcje, bardziej przypominają nagłe wybuchy wulkanów. Z tego powodu atmosfera gwiazdy ciągle to się kurczy, to rozszerza. By udowodnić tę hipotezę, Cosmo szukał we Wszechświecie innej gwiazdy z atmosferą wyrzuconą w wyniku zderzenia z planetą. Znalazł ją w trzecim roku ery kryzysu. Jego zespół odkrył układ planetarny 275E1, odległy od Układu Słonecznego o około osiemdziesiąt cztery lata świetlne. W owym czasie nie zaczął jeszcze działać Hubble II, więc wykorzystali efekt Dopplera. Obserwując i obliczając różnice częstotliwości fali świetlnej oraz wyzwalając odpowiednią maskę częstotliwości, przekonali się, że ta planeta znajduje się blisko swej gwiazdy macierzystej. Początkowo nie wzbudziło to wielkiego zainteresowania, bo astronomowie odkryli już wówczas ponad dwieście układów planetarnych, ale dalsze obserwacje doprowadziły do zdumiewającego odkrycia: odległość między planetą i gwiazdą stale się kurczyła, a tempo tego kurczenia się przyspieszało. Oznaczało to, że ludzkość będzie mogła po raz pierwszy obserwować planetę spadającą na gwiazdę. Stało się to rok później, a raczej osiemdziesiąt cztery lata przed zaobserwowaniem tego zjawiska. Ówczesne warunki obserwacji oznaczały, że zderzenie to można było ustalić tylko na podstawie zmian grawitacji i maski częstotliwości. Ale potem stało się coś niezwykłego – wokół gwiazdy pojawiła się spirala materii, która stale się rozwijała. Wyglądało to jak powoli rozwijająca się sprężyna w zegarku, której podstawą była gwiazda. Cosmo i jego koledzy zdali sobie sprawę, że materia ta została wyrzucona z gwiazdy w miejscu, w które uderzyła planeta. Ten kawał skały przebił otoczkę swego słońca i wyrzucił część materii, z której było zbudowane, w przestrzeń kosmiczną, gdzie pod wpływem ruchu

obrotowego gwiazdy utworzyła spiralę. Oto garść najważniejszych danych o tej gwieździe. Jest to żółty karzeł typu widmowego 2G, o absolutnej wielkości 4,3 i średnicy 1,2 miliona kilometrów, bardzo podobny do naszego Słońca. Masa planety wynosiła około czterech procent masy Ziemi, czyli była trochę mniejsza od masy Merkurego, a spiralny obłok materii wyrzuconej w wyniku jej uderzenia w gwiazdę miał promień dochodzący do długości trzech jednostek astronomicznych, a więc większy niż odległość pasa asteroid od Słońca. I właśnie w tym odkryciu dostrzegłem szczelinę, przez którą mogłem zobaczyć pana prawdziwy plan strategiczny. Teraz, jako Burzyciel pańskiej ściany, wyjaśnię, na czym polega ta wspaniała strategia. Załóżmy, że uda się panu dostać ten milion albo więcej gwiezdnych bomb wodorowych. Wtedy, tak jak obiecał pan ROP, umieści je pan wszystkie na Merkurym. Jeśli zdetonuje się je w jego skalistej skorupie, staną się czymś w rodzaju silnika z turbodoładowaniem spowalniającego prędkość planety. W końcu prędkość tak się zmniejszy, że nie będzie już mogła utrzymać jej na niskiej orbicie i planeta spadnie na Słońce. Potem rozegra się tutaj to, co stało się na odległej o osiemdziesiąt cztery lata świetlne 275E1: Merkury przebije strefę konwektywną i wyrzuci ze strefy promienistej ogromną ilość materii, która wyleci z dużą prędkością w przestrzeń kosmiczną, gdzie utworzy spiralną atmosferę podobną do tej wokół 275E1. Słońce różni się od tych w układzie Trisolaris tym, że jako samotna gwiazda nigdy nie przetnie drogi innej gwiazdy, więc jego atmosfera będzie się bez przeszkód poszerzała, aż w końcu stanie się nawet grubsza niż atmosfera tamtych gwiazd. Również to potwierdziły obserwacje 275E1. Gdy spirala wyrzuconej materii rozwinie się jak sprężyna, sięgnie w końcu poza orbitę Marsa i w tym momencie zacznie się wspaniała reakcja łańcuchowa. Najpierw trzy planety typu ziemskiego – Wenus, Ziemia i Mars – przejdą przez spiralną atmosferę Słońca,

wytracając wskutek tarcia o nią prędkość i zmieniając się w trzy ogromne meteory, które w końcu roztrzaskają się o Słońce. Ale na długo przedtem intensywne tarcie o materię słoneczną usunie atmosferę ziemską. Oceany wyparują, a powstała wskutek tego para i utracona atmosfera przekształcą Ziemię w gigantyczną kometę, której ogon będzie tak długi, że owinie się wokół Słońca. Powierzchnia Ziemi powróci do stanu rozżarzonej magmy z okresu jej narodzin, w którym nie będzie mogła przetrwać żadna forma życia. Gdy Wenus, Ziemia i Mars spadną na Słońce, zwiększy się ilość wyrzucanej w przestrzeń kosmiczną materii słonecznej. Zamiast jednego spiralnego strumienia pojawią się cztery. Ponieważ całkowita masa tych trzech planet jest czterdzieści razy większa od masy Merkurego i ponieważ to, że krążą po wyższych orbitach, sprawi, że uderzą w Słońce z większą prędkością, każda nowa spirala zostanie wyrzucona z dziesiątki razy większą siłą niż po zderzeniu z Merkurym. Istniejąca już spiralna atmosfera szybko się rozszerzy, a jej skraj dosięgnie orbity Jowisza. Z powodu ogromnej masy Jowisza tarcie w bardzo niewielkim stopniu zmniejszy jego prędkość, więc dopiero po pewnym czasie spirala wywrze zauważalny wpływ na jego orbitę. Jego satelity jednak czeka inny los: albo zostaną od niego odciągnięte, wytracą prędkość i spadną na Słońce, albo wytracą prędkość na orbitach wokół Jowisza i spadną na tę ciekłą planetę. Ta reakcja łańcuchowa będzie nadal trwała i spiralna atmosfera będzie zmniejszała, chociaż powoli, prędkość ruchu Jowisza, wskutek czego jego orbita stopniowo zaniknie. Przejdzie on przez bardzo gęstą atmosferę, której tarcie przyspieszy utratę prędkości planety, a w konsekwencji jeszcze szybszy zanik orbity… Tak oto Jowisz w końcu też spadnie na Słońce. Jego masa jest sześćset razy większa od masy poprzednich czterech planet, więc uderzenie takiego masywnego ciała w Słońce spowoduje, nawet przy bardzo ostrożnych rachunkach, jeszcze gwałtowniejszy wyrzut materii

słonecznej, co zwiększy gęstość spiralnej atmosfery i zimno panujące na Uranie i Neptunie. Ale najprawdopodobniej upadek tego giganta wypchnie skraj atmosfery aż do orbity Uranu, a nawet Neptuna, i chociaż na górze jest ona rzadka, spowalniający efekt tarcia ściągnie również te dwie planety wraz z ich satelitami na Słońce. Nie wiadomo, w jakim stanie będzie Słońce i jak zmieni się Układ Słoneczny, kiedy zakończy się ta reakcja łańcuchowa i zostaną wchłonięte cztery planety typu ziemskiego oraz cztery gazowe olbrzymy, ale jedno jest pewne: dla cywilizacji i dla życia będzie to piekło gorsze od napaści Trisolarian. Dla Trisolaris Układ Słoneczny jest jedyną nadzieją na przetrwanie, zanim gwiazdy zniszczą ich planetę. Nie ma innego świata, na który mogliby w porę wyemigrować, i dlatego po ludzkości również ich cywilizacja ulegnie zagładzie. To jest pana strategia: śmierć obu stron. Gdy wszystkie gwiezdne bomby jądrowe znajdą się na Merkurym, wykorzysta to pan dla zmuszenia Trisolaris do poddania się i zapewni ludziom ostateczne zwycięstwo. To, co właśnie przedstawiłem, jest rezultatem pracy, którą wykonałem jako Burzyciel pańskiej ściany. Nie oczekuję od pana opinii o niej ani jej krytyki, bo wiem, że to wszystko prawda.

Kiedy Burzyciel Ściany przedstawiał mu swoją analizę jego planu, Rey Diaz uważnie słuchał. Cygaro w jego dłoni wypaliło się do połowy i teraz obrócił je, jak gdyby podziwiał jego żarzący się koniuszek.

Burzyciel usiadł na kanapie tuż obok niego.

– Panie Rey Diaz – ciągnął bez zmęczenia jak nauczyciel oceniający pracę domową ucznia – powiedziałem, że jest pan świetnym strategiem, a przynajmniej wykazał się pan wieloma świetnymi cechami, tworząc i wcielając w życie ten plan. Po pierwsze, obrócił pan na swoją korzyść dawną porażkę. Ludzie dobrze pamiętają upokorzenie, jakiego doznał pan i pana kraj, kiedy zmuszono pana do zamknięcia ośrodka jądrowego

w rejonie Orinoko. Cały świat zobaczył wtedy pana ponurą minę, a pan wykorzystał potem to, że postrzegano pana jako człowieka owładniętego obsesją na punkcie broni jądrowej, dla zmniejszenia albo usunięcia ewentualnych podejrzeń. Ale o pana talentach świadczą także wszystkie szczegóły realizacji tego planu. Podam tylko jeden przykład: chciał pan, żeby w wyniku próbnego wybuchu na Merkurym skały zostały wysadzone w niebo, ale nalegał pan na wykopanie bardzo głębokiego szybu, co było chytrym podstępem. Doskonale wiedział pan, że stali członkowie ROP zgodzą się na wysokie koszty tego ogromnego przedsięwzięcia. Ta przenikliwość jest godna podziwu. Ale popełnił pan jeden błąd. Dlaczego pierwszą próbę trzeba było przeprowadzić na Merkurym? Miałby pan dużo czasu, żeby przenieść tam bomby w późniejszej fazie, ale może zniecierpliwił się pan i chciał zobaczyć skutki wybuchu gwiezdnej bomby wodorowej właśnie na tej planecie. No i zobaczył je pan: mnóstwo skał wyrzuconych z taką siłą, że osiągnęły prędkość ucieczki, co być może przekroczyło nawet pana oczekiwania. Był pan zadowolony. Ale ostatecznie potwierdziło to moją hipotezę. Tak, panie Rey Diaz, być może mimo całej wcześniejszej pracy, jaką w to włożyłem, nie udałoby mi się rozgryźć pańskiego planu, gdyby nie to ostatnie wydarzenie. Ten pomysł był zbyt szalony. Ale wspaniały, nawet piękny. Gdyby naprawdę zaczęła się wywołana przez upadek Merkurego na Słońce reakcja łańcuchowa, byłaby to najwspanialsza część całej symfonii Układu Słonecznego… chociaż, niestety, ludzkość mogłaby podziwiać tylko jej początek. Jest pan Wpatrującym się w Ścianę z zadatkami na boga, panie Rey Diaz. To dla mnie zaszczyt, że jestem Burzycielem pana ściany.

Burzyciel Ściany wstał i złożył mu głęboki ukłon.

Rey Diaz nawet na niego nie spojrzał. Zaciągnął się cygarem i wypuścił obłok dymu, nadal bacznie przyglądając się jego koniuszkowi.

– Dobrze – powiedział. – Wobec tego zadam panu to samo pytanie, które zadał Tyler.

Burzyciel Ściany wyręczył go:

– Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to co teraz?

Zapatrzony w koniuszek cygara Rey Diaz kiwnął głową.

– Odpowiem tak samo jak Burzyciel Ściany Tylera: Pana nic to nie obchodzi.

Rey Diaz oderwał wzrok od cygara i spojrzał na niego pytająco.

– Wygląda pan jak człowiek nieokrzesany, ale ma pan przenikliwy umysł. Mimo to w głębi duszy faktycznie jest pan człowiekiem nieokrzesanym. Taki ma pan charakter. I ten charakter uwidacznia się w podstawach pańskiego planu. Jest pan zachłanny. Ludzkość nie jest w stanie wyprodukować tak wielu gwiezdnych bomb wodorowych. Nawet gdyby wykorzystano wszystkie zasoby Ziemi, nie wyprodukowano by nawet jednej dziesiątej tej liczby. A i milion takich bomb nie zdoła zmniejszyć prędkości Merkurego na tyle, by spadł na Słońce. Stworzył pan ten niemożliwy do zrealizowania plan z żołnierską brawurą, a potem krok po kroku wcielał go pan w życie z przebiegłością znakomitego stratega. To prawdziwa tragedia.

Wyraz pobrużdżonej twarzy Reya Diaza stał się zwodniczo łagodny, potem zaczęły się na niej pojawiać skurcze, aż w końcu nie mógł już dłużej powstrzymywać śmiechu.

– Cha, cha, cha – śmiał się do rozpuku, wskazując na Burzyciela Ściany. – Superman! Cha, cha, cha. Teraz sobie przypominam. Ten… ten stary Superman. Potrafił latać i mógł powstrzymać obroty Ziemi, ale podczas przejażdżki konnej… cha, cha, cha… podczas przejażdżki konnej spadł z siodła i skręcił sobie kark… cha, cha, cha.

– To nie Superman, ale Christopher Reeve, aktor, który go grał, spadł z konia – poprawił go spokojnie Burzyciel Ściany.

– Myślisz… myślisz, że ciebie czeka lepszy los? Cha, cha, cha…

– Odkąd tu przyszedłem, nie dbam o swój los. Żyłem pełnią życia – powiedział Burzyciel Ściany. – Ale pan, panie Rey Diaz, powinien pomyśleć o tym, jaki los czeka pana.

– Ty zginiesz pierwszy – rzekł Rey Diaz, uśmiechając się szeroko, i wcisnął mu między oczy żarzący się koniuszek cygara.

Gdy tamten zakrył rękami twarz, Rey Diaz wziął z kanapy wojskowy pas, zarzucił go Burzycielowi Ściany na szyję i z całej siły zacisnął. Chociaż Burzyciel Ściany był młody, nie był w stanie obronić się przed wściekłym atakiem Reya Diaza, który rzucił go na podłogę.

– Skręcę ci kark! – ryczał Rey Diaz. – Kto cię tu przysłał, sukinsynu, żebyś zgrywał mądralę? Kim ty, do diabła, jesteś? Skręcę ci kark, sukinsynu!

Jeszcze mocniej zacisnął pas i tłukł jego głową o podłogę, aż z ust tamtego wypadły zęby. Kiedy wpadli strażnicy, by ich rozdzielić, twarz Burzyciela Ściany była fioletowa, z jego ust ciekła piana, a oczy wyszły mu na wierzch jak oczy złotej rybki.

Rey Diaz, nadal nie posiadając się z wściekłości, szarpał się ze strażnikami i wrzeszczał:

– Skręćcie mu kark! Związcie go i skręćcie mu kark! No już! To część planu! Słyszycie, do kurwy nędzy? Część planu!

Ale trzej strażnicy nie posłuchali jego rozkazu. Jeden z nich przytrzymał Reya Diaza, a pozostali dwaj podźwignęli Burzyciela Ściany, który nieco odzyskał oddech, i zaczęli go wynosić.

– Poczekaj, sukinsynu. Nie umrzesz łagodną śmiercią – powiedział Rey Diaz, zaprzestając prób wyrwania się strażnikowi i rzucenia się znowu na

Burzyciela Ściany, po czym głęboko westchnął.

Burzyciel Ściany spojrzał przez ramię strażnika, a na jego posiniaczonej i spuchniętej twarzy pojawił się uśmiech. Otworzył usta, w których brakowało kilku zębów, i powiedział:

– Żyłem pełnią życia.

Spotkanie Rady Obrony Planety w sprawie programu Wpatrujących się w Ścianę

Zaraz po rozpoczęciu się zebrania Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja i Niemcy złożyły inny wniosek, w którym domagały się natychmiastowego zawieszenia Reya Diaza w prawach Wpatrującego się w Ścianę i postawienia go przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości za zbrodnie przeciw ludzkości.

– Po wnikliwym śledztwie doszliśmy do przekonania, że należy dać wiarę Burzycielowi Ściany, który ujawnił strategiczne zamiary Reya Diaza – oświadczył przedstawiciel Stanów Zjednoczonych. – Stoi przed nami osoba, której zbrodnie przyćmiewają wszystkie zbrodnie przeciw ludzkości w historii. Nie udało się nam znaleźć w międzynarodowym prawie karnym normy, która miałaby zastosowanie do popełnionej przez niego zbrodni, dlatego proponujemy, żeby dodać do tego prawa artykuł o zagładzie życia na Ziemi i z niego oskarżyć Reya Diaza.

Rey Diaz sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego.

– Już od dawna staraliście się mnie pozbyć, prawda? – rzekł szyderczym tonem do przedstawiciela USA. – Jestem człowiekiem, który najmniej się wam podoba od samego początku programu Wpatrujących się w Ścianę.

– Twierdzenie Wpatrującego się w Ścianę Reya Diaza jest bezpodstawne – oświadczył przedstawiciel Wielkiej Brytanii. – Kraje, które oskarża, zainwestowały najwięcej pieniędzy w jego plan, dużo więcej niż w plany pozostałych trzech Wpatrujących się w Ścianę.

– Owszem – powiedział Rey Diaz, kiwając głową – ale zainwestowaliście tak dużo, bo chcecie położyć rękę na gwiezdnych bombach wodorowych.

– To absurd! Co byśmy mieli z nimi zrobić? – odparował przedstawiciel Stanów Zjednoczonych. – W przestrzeni kosmicznej to broń niewiarygodnie nieskuteczna, a na Ziemi nie mają żadnego praktycznego znaczenia nawet stare bomby wodorowe o mocy wybuchu dwudziestu kiloton, a co dopiero taki potwór o mocy trzystu megaton.

– Ale byłyby one najskuteczniejszą bronią w walkach na innych planetach, zwłaszcza w walkach między ludźmi – odparł spokojnie Rey Diaz. – Na innych, bezludnych planetach nie trzeba się martwić, że będą ofiary wśród ludności cywilnej albo że zostanie zniszczone środowisko naturalne, a nawet że wszystko zostanie zmiecione z ich powierzchni. Tam gwiezdne bomby wodorowe okażą się bardzo przydatne. Musieliście przewidywać, że wraz z ekspansją ludzi na inne planety Układu Słonecznego przeniosą się też tam ziemskie konflikty. Nie zmieni tego nawet fakt, że wspólnym wrogiem całej ludzkości jest Trisolaris, więc przygotowujecie się na to. W obecnej sytuacji opracowywanie superbroni dla użycia jej przeciw ludziom jest ze względów politycznych nie do pomyślenia, więc w tym celu wykorzystaliście mnie.

– To niedorzeczna logika terrorysty i dyktatora – powiedział przedstawiciel Stanów Zjednoczonych. – Rey Diaz, wykorzystując pozycję i władzę Wpatrującego się w Ścianę, stworzył plan, który jest dla ludzkości

takim samym zagrożeniem jak inwazja Trisolarian. Musimy podjąć zdecydowane działania, by naprawić ten błąd.

– Oni są tyle warci ile ich słowa – rzekł Rey Diaz, obracając się do Garanina, obecnego rotacyjnego przewodniczącego ROP. – Na zewnątrz czekają ludzie z CIA, by aresztować mnie, gdy tylko wyjdę po tym posiedzeniu.

Przewodniczący zerknął na przedstawiciela USA, który bawił się piórem. Garanin po raz pierwszy objął to stanowisko na początku programu Wpatrujących się w Ścianę i sam już nie pamiętał, ile razy je piastował w ciągu minionych dwudziestu lat. Ale to była jego ostatnia kadencja. Był już siwy i niedługo wybierał się na emeryturę.

– Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to takie postępowanie jest niestosowne – powiedział. – Dopóki obowiązują zasady programu Wpatrujących się w Ścianę, są oni nietykalni i żadne ich słowa i działania nie mogą być wykorzystane dla oskarżenia ich o popełnienie przestępstwa.

– Proszę też pamiętać, że znajdujemy się na terytorium międzynarodowym – dodał przedstawiciel Japonii.

– Czy znaczy to – odezwał się przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, podnosząc pióro – że nawet kiedy Rey Diaz będzie chciał zdetonować milion superbomb, społeczeństwo nadal nie będzie mogło go oskarżyć o planowanie zbrodni?

– Zgodnie z postanowieniami uchwały wprowadzenie ograniczeń w realizacji strategicznych planów Wpatrujących się w Ścianę, którzy przejawiają niebezpieczne skłonności, jest zupełnie inną sprawą niż zapewnienie im nietykalności – odparł Garanin.

– Zbrodnie, których dopuścił się Rey Diaz, wykraczają poza sferę objętą immunitetem. Musi ponieść za nie karę. To niezbędny warunek kontynuacji

programu Wpatrujących się w Ścianę – oświadczył przedstawiciel Wielkiej Brytanii.

– Chciałbym przypomnieć panu przewodniczącemu i przedstawicielom państw członkowskich – powiedział Rey Diaz, wstając z fotela – że jest to posiedzenie ROP, a nie rozprawa sądowa przeciwko mnie.

– Wkrótce stanie pan przed sądem – rzekł z chłodnym uśmiechem przedstawiciel Stanów Zjednoczonych.

– Zgadzam się z Wpatrującym się w Ścianę Reyem Diazem. Powinniśmy powrócić do dyskusji nad jego planem – powiedział Garanin, korzystając z okazji, by chwilowo ominąć drażliwy temat.

– Wygląda na to – przerwał milczenie przedstawiciel Japonii – że przedstawiciele zgadzają się co do tego, że strategiczny plan Reya Diaza jest przejawem niebezpiecznej skłonności do oczywistego pogwałcenia praw człowieka, a zatem zgodnie z odpowiednimi postanowieniami uchwały o Wpatrujących się w Ścianę powinno się wstrzymać jego realizację.

– Wobec tego możemy teraz poddać pod głosowanie wniesiony na poprzednim przesłuchaniu wniosek W269 – oznajmił Garanin.

– Panie przewodniczący, niech pan zaczeka chwilę. – Rey Diaz podniósł rękę. – Mam nadzieję, że przed przystąpieniem do głosowania nad tym wnioskiem będę mógł przedstawić pewne szczegóły mojego planu.

– Czy to konieczne, skoro to tylko szczegóły? – zapytał któryś z zebranych.

– Niech je pan zachowa dla sądu – rzekł sarkastycznie przedstawiciel Wielkiej Brytanii.

– Nie, one są ważne – upierał się Diaz. – Załóżmy, że Burzyciel Ściany ujawnił moją prawdziwą strategię. Ktoś z państwa grona mówił o chwili, w której milion umieszczonych na Merkurym bomb wodorowych będzie

gotowych do odpalenia. Wtedy stanę przed wszechobecnymi sofonami i oświadczę Trisolarianom, że ludzie są gotowi zginąć razem z nimi. Co wówczas nastąpi?

– Nie można przewidzieć reakcji Trisolarian, ale niewątpliwie miliardy ludzi na Ziemi będą chciały skręcić panu kark, tak jak pan Burzycielowi Ściany – odparł przedstawiciel Francji.

– Właśnie. Podjąłem więc pewne kroki, żeby się przed tym zabezpieczyć. Spójrzcie na to. – Rey Diaz podniósł rękę i pokazał zgromadzeniu swój zegarek. Był on całkowicie czarny i miał dwa razy większą i grubszą tarczę niż normalny zegarek ręczny, chociaż na jego grubym nadgarstku nie wydawał się taki wielki. – To przekaźnik wysyłający sygnał na Merkurego.

– Użyje go pan dla wysłania sygnału do detonacji? – zapytał ktoś.

– Wprost przeciwnie. On wysyła sygnał powstrzymujący detonację.

Słowa te sprawiły, że cała sala skupiła na nim uwagę.

– System ten ma kryptonim „kołyska”, co znaczy, że kiedy kołyska przestanie się poruszać, śpiące w niej dziecko się obudzi. Zegarek wysyła na Merkurego ciągły sygnał. Jeśli sygnał zostanie przerwany, system natychmiast zdetonuje bomby.

– To się nazywa czuwak – wyjaśnił ze stoickim spokojem przedstawiciel Stanów Zjednoczonych. – Podczas zimnej wojny prowadzono badania nad zastosowaniem włączników i wyłączników awaryjnych w pociskach jądrowych, ale nigdy ich nie zainstalowano. Mógłby to zrobić tylko szaleniec.

Rey Diaz opuścił rękę i zakrył zegarek mankietem.

– O tym wspaniałym pomyśle dowiedziałem się nie od specjalisty z zakresu strategii jądrowej, ale z amerykańskiego filmu. W tym filmie facet ma urządzenie, które wysyła ciągły sygnał, ale zostanie on przerwany, gdy jego serce przestanie bić. Inny gość ma przymocowaną do ciała bombę,

której nie można usunąć, i jeśli ta bomba nie odbierze sygnału, wybuchnie. A więc nawet jeśli ten nieszczęsny głupek nie lubi tego pierwszego faceta, musi robić wszystko, by go ochronić… Lubię oglądać amerykańskie hity kinowe. Jeszcze dzisiaj potrafię rozpoznać starą wersję Supermana.

– Chce pan powiedzieć, że to urządzenie reaguje na rytm pańskiego serca? – zapytał przedstawiciel Japonii i wyciągnął rękę, by dotknąć zegarka pod mankietem, ale Rey Diaz schował dłoń i cofnął się nieco.

– Oczywiście. Ale ta kołyska jest bardziej zaawansowana technicznie. Monitoruje nie tylko rytm mojego serca, ale też wiele innych wskaźników fizjologicznych, takich jak ciśnienie krwi, temperatura ciała i tak dalej, i dokonuje całościowej analizy tych parametrów. Jeśli nie będą normalne, natychmiast przestanie wysyłać sygnał. Potrafi też rozpoznać wiele prostych komend głosowych.

Do audytorium wszedł mężczyzna, który wyglądał na zdenerwowanego, i szepnął coś do ucha Garaninowi. Zanim skończył, Garanin zerknął na Reya Diaza ze szczególnym wyrazem oczu, który nie uszedł uwagi bystrych członków Rady.

– Możemy rozbroić pańską kołyskę. Nad tym też prowadzono badania podczas zimnej wojny – rzekł przedstawiciel Stanów Zjednoczonych.

– Myślałem o tej samej metodzie – powiedział przedstawiciel Niemiec. – Podczas przesyłania na Merkurego sygnał z pańskiego zegarka musi przejść przez skomplikowany system łączy. Zniszczenie albo zasłonięcie któregokolwiek węzła, a następnie użycie fałszywego źródła sygnału dla utrzymania ciągłości transmisji sprawi, że pańska kołyska stanie się bezużyteczna.

– To rzeczywiście problem – zgodził się Rey Diaz, kiwając w jego stronę głową. – Gdyby nie sofony, problem dałoby się łatwo rozwiązać. Do wszystkich węzłów komunikacji został wprowadzony identyczny algorytm

kodujący, który wytwarza każdy wysyłany sygnał. Obserwatorowi z zewnątrz może się wydawać, że wartości sygnału są przypadkowe i za każdym razem inne, ale nadajnik i odbiornik wytwarzają sekwencję identycznych wartości. Sygnał jest uznawany za prawidłowy tylko wtedy, gdy odpowiada sekwencji sygnałów odbiornika. Bez algorytmu kodującego sygnał wysłany przez fałszywe źródło nie będzie zgodny z sekwencją odbiornika. Ale przeklęte sofony mogą odkryć ten algorytm.

– Może obrał pan inne podejście? – zapytał któryś z członków Rady.

– Prymitywne podejście. Do wszystkiego mam prymitywne i niezgrabne podejście – odparł Rey Diaz z autoironicznym śmiechem. – Zwiększyłem czułość wszystkich węzłów na wyniki automonitoringu. Rzecz w tym, że każdy z tych węzłów składa się z wielu jednostek, które mogą dzielić duże odległości, ale które są połączone w całość dzięki ciągłej komunikacji. Jeśli któraś z tych jednostek się zepsuje, węzeł wyśle komendę dezaktywującą wyłącznik i nawet jeśli fałszywe źródło podejmie przesyłanie sygnału do następnego węzła, nie zostanie on zaakceptowany. Proces monitorowania stanu każdej jednostki trwa mikrosekundę, co oznacza, że – zgodnie z podejściem przedstawiciela Niemiec – trzeba w tym ułamku sekundy zniszczyć wszystkie jednostki danego węzła i zacząć wysyłać sygnał z fałszywego źródła. Węzeł składa się co najmniej z trzech jednostek, ale może ich zawierać kilkadziesiąt. Każda jednostka jest oddalona od innych o około trzech kilometrów. Każda jest bardzo wytrzymała na zniszczenie i wystarczy jej dotknąć, by wysłała ostrzeżenie. Być może Trisolarianie mogliby w ciągu mikrosekundy spowodować awarię tych jednostek, ale dla ludzi jest to przy obecnym stanie techniki zadanie niewykonalne.

Ostatnie zdanie zaniepokoiło wszystkich.

– Przed chwilą otrzymałem meldunek, że urządzenie, które ma na ręku Rey Diaz, wysyła sygnał elektromagnetyczny – oznajmił Garanin. Na tę

wiadomość atmosfera w sali stała się napięta. – Chciałbym pana zapytać, Wpatrujący się w Ścianę Reyu Diazie: czy sygnał z pańskiego zegarka wysyłany jest na Merkurego?

Rey Diaz zachichotał, po czym rzekł:

– A po co miałbym go wysyłać na Merkurego? Nie ma tam niczego oprócz ogromnego dołu. Poza tym nie ustanowiono jeszcze połączenia z tą planetą w ramach kołyski. Nie, nie, nie. Nie musicie się martwić. Sygnał nie płynie na Merkurego. Dociera do pewnego miejsca w Nowym Jorku, bardzo blisko nas.

Sala zamarła. Wszyscy oprócz Reya Diaza byli wstrząśnięci.

– Jeśli sygnał podtrzymujący ruch kołyski zostanie przerwany, co to uruchomi? – zapytał ostro przedstawiciel Wielkiej Brytanii, nie starając się już ukryć napięcia.

– Och, coś na pewno zostanie uruchomione – odpowiedział mu Diaz z szerokim uśmiechem. – Od dwudziestu lat jestem Wpatrującym się w Ścianę i zawsze mogłem coś zrobić samodzielnie.

– Dobrze, panie Rey Diaz. Mógłby pan odpowiedzieć na bardziej bezpośrednie pytanie? – rzekł przedstawiciel Francji. Wyglądał na zupełnie spokojnego, ale słychać było, że drży mu głos. – Ile osób straci przez pana czy przez nas życie?

Rey Diaz wybałuszył na niego oczy, jakby pytanie to było dziwaczne.

– Co? Liczba osób ma jakieś znaczenie? Myślałem, że wszyscy jesteście przyzwoitymi dżentelmenami, którzy nade wszystko cenią prawa człowieka. Co za różnica, czy będzie to życie jednego człowieka, czy ośmiu i dwóch dziesiątych miliarda ludzi? Jeśli tylko jednego, to nie musicie go szanować?

Wstał przedstawiciel Stanów Zjednoczonych.

– Już ponad dwadzieścia lat temu, gdy zaczynał się program Wpatrujących się w Ścianę, dowiedliśmy, kim jest ten człowiek – powiedział, celując w niego oskarżycielsko palcem i pryskając śliną. Starał się panować nad sobą, ale mu się nie udało. – To terrorysta. Paskudny terrorysta! Wcielony diabeł! Wypuściliście tego dżina z butelki i musicie wziąć za to odpowiedzialność! Trzeba obciążyć odpowiedzialnością za to ONZ! – krzyknął histerycznie, rozrzucając papiery.

– Niech się pan uspokoi, panie przedstawicielu – rzekł Rey Diaz z lekkim uśmieszkiem. – Kołyska jest wrażliwa na moje wskaźniki fizjologiczne. Gdybym wpadł, tak jak pan, w histerię, gdyby mój nastrój zaczął się wahać, natychmiast przestałaby wysyłać sygnał powstrzymujący detonację. A zatem i pan, i wy wszyscy siedzący tutaj nie powinniście wprawiać mnie w zły humor. Byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdybyście zadbali o to, bym był zadowolony.

– Jakie są pana warunki? – zapytał cicho Garanin.

Do uśmiechu Reya Diaza wkradła się odrobina smutku. Obrócił się do Garanina i potrząsnął głową.

– A jakie mam postawić warunki, panie przewodniczący, oprócz tego, że chcę stąd odlecieć do mojego kraju? Na lotnisku Kennedy’ego czeka już na mnie wyczarterowany samolot.

Zebrani milczeli. Wszyscy nieświadomie przenieśli uwagę z Reya Diaza na przedstawiciela Stanów Zjednoczonych, który nie mogąc znieść tylu zwróconych na niego spojrzeń, opadł na fotel i wysyczał:

– Wynoś się stąd do diabła!

Diaz skinął wolno głową, wstał i ruszył do wyjścia.

– Panie Rey Diaz, odwiozę pana do domu – powiedział Garanin, opuszczając mównicę.

Rey Diaz zaczekał na przewodniczącego, który nie szedł już tak sprężystym krokiem jak dawniej.

– Dziękuję, panie przewodniczący. Tak sobie pomyślałem, że może i pan zechce stąd wyjść.

Byli już w drzwiach, gdy Rey Diaz chwycił Garanina za rękę i odwrócił się razem z nim twarzą do sali.

– Nie będę tęsknił za tym miejscem, panowie – powiedział. – Zmarnowałem te dwadzieścia lat i nikt tutaj mnie nie rozumie. Chcę wrócić do mojej ojczyzny, do mojego narodu. Tak, do mojej ojczyzny i do mojego narodu. Tęsknię za nim.

Ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich oczy tego potężnego mężczyzny zaszły łzami.

– Chcę wrócić do mojego kraju ojczystego. To nie jest część planu – powiedział w końcu.

Gdy wyszedł z budynku Zgromadzenia Ogólnego ONZ, rozpostarł szeroko ramiona do słońca i zawołał z ulgą:

– Ach, moje słońce!

Jego trwająca dwadzieścia lat heliofobia zniknęła.

Samolot Reya Diaza wystartował i przeleciał nad linią wschodniego wybrzeża, kierując się nad Atlantyk.

– Ze mną jest pan bezpieczny – powiedział Garanin, gdy siedzieli już w kabinie. – Proszę mi powiedzieć, gdzie jest urządzenie połączone z tym włącznikiem.

– Nie ma żadnego urządzenia. Nie ma niczego. To był tylko podstęp, który umożliwił mi ucieczkę. – Rey Diaz zdjął zegarek i podał go Garaninowi. – To tylko prosty przekaźnik zrobiony z telefonu Motoroli. Nie jest też zsynchronizowany z rytmem mojego serca. Został wyłączony. Niech pan go zatrzyma jako upominek.

Przez długą chwilę żaden z nich się nie odezwał. Potem Garanin westchnął i powiedział:

– Jak do tego doszło? Wpatrującym się w Ścianę dano przywilej opracowywania planów strategicznych bez niczyjej wiedzy po to, by użyć ich przeciw sofonom i Trisolaris. Ale pan i Tyler użyliście ich przeciw ludzkości.

– Nie ma w tym niczego dziwnego – odparł Diaz. Siedział przy oknie, rozkoszując się blaskiem słońca. – Na razie największą przeszkodą dla przetrwania ludzkości jest ona sama.

Sześć godzin później samolot wylądował na lotnisku międzynarodowym w Caracas, na wybrzeżu Morza Karaibskiego. Garanin nie wysiadł. Miał zaraz wrócić tym samym samolotem do ONZ.

Gdy się rozstawali, Rey Diaz powiedział:

– Nie przerywajcie programu Wpatrujących się w Ścianę. On naprawdę niesie nadzieję w tej wojnie. Zostało jeszcze dwóch Wpatrujących się w Ścianę. Niech pan życzy im ode mnie wszystkiego najlepszego.

– Ja też się już z nimi nie zobaczę – rzekł przejęty Garanin.

Kiedy Rey Diaz wyszedł, zostawiając go samego w kabinie, z jego oczu pociekły łzy.

Niebo nad Caracas było tak samo bezchmurne jak w Nowym Jorku. Rey Diaz zszedł po schodach z samolotu i wciągnął w nozdrza dobrze mu znane tropikalne powietrze. Potem pochylił się i ucałował ojczystą ziemię. Następnie pod ochroną dużego oddziału policji udał się w kolumnie samochodów do miasta. Po półgodzinnej jeździe wijącą się drogą znaleźli się w stolicy. Konwój skierował się do centrum. Rey wysiadł z samochodu i stanął pod posągiem Simóna Bolivara na placu jego imienia. Wznosił się nad nim siedzący na koniu bohater, który pokonał Hiszpanów i starał się założyć w Ameryce Południowej zjednoczoną republikę Wielkiej Kolumbii.

Przed nim prażył się w słońcu tłum rozgorączkowanych ludzi, który parł naprzód, ale natrafiał na zdecydowany opór żandarmerii. Padły strzały w powietrze, ale fala ludzi przedarła się w końcu przez kordon i popłynęła ku żywemu Bolivarowi u stóp posągu.

Rey Diaz podniósł ręce i ze łzami w oczach krzyknął rozemocjonowanym głosem do tłumu:

– Ach, mój narodzie!

Pierwszy rzucony z tłumu kamień uderzył go w wyciągniętą lewą rękę, drugi w pierś, a trzeci w czoło, omal nie powalając go na ziemię. Potem kamienie posypały się jak grad i prawie pogrzebały jego martwe ciało. Ostatni kamień cisnęła staruszka, która dotargała go z trudem do trupa, a potem powiedziała po hiszpańsku:

– Ty złoczyńco! Zabiłbyś wszystkich. Wśród nich byłby mój wnuk. Zabiłbyś mojego wnuka!

Z całą siłą, jaką miała w trzęsących się rękach, walnęła nim w roztrzaskaną głowę Reya Diaza, która wystawała spod stosu kamieni.

Czas jest jedyną rzeczą, której nie da się zatrzymać. Przecina cicho to, co twarde, i to, co miękkie, i stale posuwa się naprzód. Nic nie jest w stanie zakłócić jego biegu, za to on wszystko zmienia.

W tym samym roku, w którym przeprowadzono próbę gwiezdnej bomby wodorowej na Merkurym, Chang Weisi przeszedł na emeryturę. Podczas ostatniego wywiadu udzielonego telewizji przyznał szczerze, że on sam nie wierzy w zwycięstwo ludzkości, ale nie wpłynęło to na wysoką ocenę jego pracy na stanowisku pierwszego dowódcy sił kosmicznych, jaką wystawiła mu historia. Wieloletnia praca w stresujących warunkach nadszarpnęła jego zdrowie i umarł w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat. Do końca zachował

przytomność umysłu i na łożu śmierci wielokrotnie wspominał Zhang Beihaia.

Po zakończeniu drugiej kadencji na urzędzie sekretarza generalnego ONZ Say zainicjowała Program Upamiętnienia Ludzkości. Jego celem było zgromadzenie obszernego zbioru danych i artefaktów ludzkiej cywilizacji, które miały ostatecznie zostać wysłane w kosmos na statku bezzałogowym. Najważniejszym elementem tego zbioru był Dziennik Ludzki, strona internetowa utworzona po to, by umożliwić jak największej liczbie ludzi zarejestrowanie w formie tekstów i zdjęć ich życia codziennego, która pod koniec miała ponad dwa miliardy użytkowników i stała się największą kopalnią informacji, jaka kiedykolwiek powstała w internecie. Później ROP, przekonana, że Program Upamiętnienia Ludzkości przyczynia się do wzrostu nastrojów defetystycznych, przyjęła uchwałę, która powstrzymała jego dalsze rozwijanie, a nawet zrównała go z eskapizmem. Say jednak wciąż nie szczędziła wysiłków dla jego kontynuowania, aż odeszła w wieku osiemdziesięciu czterech lat.

Garanin i Kent dokonali po przejściu na emeryturę takiego samego wyboru: zaszyli się w owym rajskim ogrodzie na północy Europy, w którym przez wiele lat mieszkał Luo Ji. Świat zewnętrzny nigdy już ich nie zobaczył i nikt nie znał dokładnej daty ich śmierci. Jedno było jednak pewne – dożyli sędziwego wieku. Niektórzy mówili, że nawet setki, zanim zmarli śmiercią naturalną.

Zgodnie z przewidywaniami Keiko Yamasuki Wu Yue przeżył resztę życia w depresji. Przez ponad dziesięć lat pracował nad Programem Upamiętnienia Ludzkości, ale nie znalazł w nim żadnej pociechy i odszedł w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat. Podobnie jak Chang Weisi, w ostatnich chwilach wspomniał o Zhang Beihaiu. Obaj wiązali nadzieje na

przyszłość ludzkości z tym niezłomnym wojownikiem, który zmierzał ku niej pogrążony w hibernacji.

Zarówno doktor Albert Ringier, jak i generał Fitzroy dożyli prawie dziewięćdziesiątki i doczekali się ukończenia budowy teleskopu Hubble III, przez który obserwowali planetę Trisolaris, ale już nigdy nie zobaczyli ani floty trisolariańskiej, ani lecących przed nią sond. Za ich życia nie przeszła ona jeszcze przez trzeci pas śniegu.

Również inne osoby doszły do kresu życia. Jako pierwszy z trójki starych pekińskich sąsiadów odszedł w wieku siedemdziesięciu pięciu lat Miao Fuquan. Jego syn faktycznie pochował go dwieście metrów pod ziemią, w opuszczonej kopalni, i spełniając jego życzenie, wysadził ścianę chodnika, a na powierzchni postawił nagrobek. Zgodnie z jego ostatnią wolą potomkowie Miao z ostatniego pokolenia przed bitwą w dniu Sądu Ostatecznego mieli usunąć nagrobek, ale gdyby ludzkość wygrała, ponownie go postawić w pierwotnym miejscu. Jednak niespełna pół wieku po jego śmierci obszar nad kopalnią stał się pustynią, nagrobek zniknął, zapomniano, gdzie znajdował się szyb, a potomkom Miao nie chciało się go szukać.

Zhang Yuanchao zachorował jak zwykła osoba i zmarł w wieku osiemdziesięciu lat, a jego ciało skremowano jak ciało zwykłej osoby. Prochy postawiono w zwykłej niszy na długiej półce w zwykłym grobowcu na cmentarzu komunalnym.

Yang Jinwen dożył dziewięćdziesięciu dwóch lat, a zrobiony ze specjalnego stopu pojemnik z jego szczątkami został wystrzelony z Układu Słonecznego i z trzecią prędkością kosmiczną poleciał w bezmiar kosmosu. Pochłonęło to jego wszystkie oszczędności.

W stuleciu, które nastąpiło po rozpoczęciu się kryzysu trisolariańskiego, odeszli wszyscy, którzy żyli w złotym wieku. Stale przywoływano tę epokę,

a starzy ludzie, którym dane było żyć w tamtych wspaniałych czasach, snuli wspomnienia o niej, rozkoszując się ich smakiem. Zawsze kończyli je westchnieniem: „Ach, gdybyśmy wtedy wiedzieli, jak należy się troszczyć o to, co mieliśmy!”. Młodzi słuchali ich opowieści z mieszaniną zazdrości i sceptycyzmu. Czy naprawdę istniała ta utopia: legendarny pokój, dobrobyt i szczęście?

Gdy ostatni starcy zmarli, ów Złoty Brzeg zniknął w mrokach historii. Statek ludzkiej cywilizacji płynął samotnie po rozległym oceanie, otoczony ze wszystkich stron bezkresnymi, złowrogimi falami, i nikt nie wiedział, czy dobije do drugiego brzegu, ba, czy w ogóle jest gdzieś drugi brzeg.

CZĘŚĆ III

CIEMNY LAS

205 rok ery kryzysu

Odległość floty trisolariańskiej od Układu Słonecznego: 2,10 lat świetlnych

Ciemność. Przed ciemnością nie było niczego oprócz nicości, a nicość nie miała koloru. Nie było w niej niczego. Ciemność oznaczała przynajmniej, że istnieje przestrzeń. Wkrótce w ciemności pojawiły się zakłócenia przenikające wszędzie jak łagodny wiatr. Było to doznanie upływu czasu, bo w nicości nie było czasu, a teraz przybrał on kształt topniejącego lodowca. Dopiero dużo później pojawiło się światło, najpierw jako bezkształtna jasna plama. Następnie stopniowo wyłonił się świat. Odzyskana świadomość mozolnie starała się go zrozumieć. Udało się jej dostrzec kilka cienkich, przezroczystych rurek, potem ludzką twarz za nimi. Twarz szybko zniknęła, odsłaniając kremowo białe światło sufitowe.

Luo Ji obudził się z hibernacji.

Twarz ukazała się ponownie. Mężczyzna łagodnie spojrzał na Luo Ji i powiedział:

– Witamy w naszej epoce.

Gdy wypowiadał te słowa, na jego białym kitlu wykwitł obraz jaskrawych róż, po czym zblakł i zniknął. Mówił dalej i pojawiały się coraz to nowe piękne obrazy, które odzwierciedlały jego emocje i współgrały z wyrazem twarzy: morza, zachody słońca i skąpane w deszczu lasy. Powiedział Luo Ji, że podczas hibernacji wyleczono go z choroby i że jego wybudzenie przebiegło gładko. Powrót do pełnej sprawności potrwa mniej

więcej trzy dni, potem jego organizm odzyska wszystkie normalne funkcje…

Umysł Ji, nadal ospały, wychwycił z potoku słów lekarza tylko jedną informację: był 205 rok ery kryzysu, a więc znajdował się w stanie uśpienia przez 185 lat.

Początkowo akcent lekarza wydawał mu się dziwny, ale wkrótce odkrył dlaczego. Chociaż dźwięki języka mandaryńskiego niewiele się zmieniły, było w nim mnóstwo angielskich słów. Gdy lekarz mówił, na suficie pojawiał się tekst, widocznie wyświetlany tam przez urządzenie do rozpoznawania głosu. Być może po to, by ułatwić nowo przebudzonemu zrozumienie, słowa angielskie zastępowane w nim były chińskimi znakami.

W końcu lekarz powiedział Luo Ji, że zostanie przeniesiony z pokoju wybudzania na oddział ogólny. Na jego kitlu pojawiła się scena wieczornego pożegnania – zachodzące słońce zastąpił nagle widok rozgwieżdżonego nieba. W tej samej chwili Luo Ji poczuł, że jego łóżko zaczyna się poruszać. Już za drzwiami usłyszał, jak lekarz krzyczy: „Następny!”. Przekręciwszy głowę do tyłu, zobaczył, że do pokoju wsuwa się drugie łóżko, z kimś, kogo najwidoczniej przywieziono z sali hibernacji. Łóżko szybko przyciągnięto do zespołu monitorów i lekarz, którego kitel był teraz śnieżnobiały, stuknął palcem w ścianę. Na jednej trzeciej jej powierzchni pojawiły się skomplikowane krzywe i dane, którymi zaczął w skupieniu manipulować.

Luo Ji uświadomił sobie, że jego przebudzenie nie było prawdopodobnie wielkim wydarzeniem, a tylko jednym z wielu wykonywanych tu codziennie zabiegów. Lekarz był życzliwy, ale w jego oczach Luo był zwykłym hibernatem.

Podobnie jak w pokoju wybudzania, w korytarzu nie było żadnych lamp. Światło wydobywało się wprost ze ścian i chociaż było łagodne, Luo Ji

musiał zmrużyć oczy. Gdy to zrobił, ściany w tej części korytarza przygasły i potem przyciemniony fragment przesuwał się razem z łóżkiem. Gdy jego oczy przyzwyczaiły się do światła, otworzył je szerzej i w tej samej chwili światło z powrotem pojaśniało i jego natężenie utrzymywało się odtąd na dogodnym dla niego poziomie. Najwyraźniej system ustawiania jasności światła w korytarzu śledził zmiany średnicy jego źrenic. Wynikało z tego, że musiał się znaleźć w epoce spersonalizowanych urządzeń. Znacznie przekraczało to jego oczekiwania.

Na powoli przesuwających się ścianach widział wiele przypadkowo, jak mu się wydawało, rozmieszczonych ekranów o różnych rozmiarach. Niektóre pokazywały ruchome obrazy, którym nie miał czasu dobrze się przyjrzeć. Mogli je tam pozostawić użytkownicy, którzy zapomnieli je wyłączyć.

Parę razy droga, którą przemieszczało się jego automatyczne łóżko, krzyżowała się z drogami ludzi przechodzących przez korytarz. Zauważył, że podeszwy ich butów, a także kółka wózka zostawiały na podłodze świecące, rozmyte ślady, jak palec na ciekłokrystalicznym ekranie w jego czasach. Długi korytarz wydawał się nienagannie czysty, tak czysty jak trójwymiarowa animacja komputerowa, ale wiedział, że to wszystko jest rzeczywiste. Jadąc na łóżku, czuł się tak spokojnie i wygodnie jak nigdy dotąd.

W ludziach, których widział, najbardziej uderzyło go to, że wszyscy – lekarze, pielęgniarki i osoby spoza personelu – byli czyści i eleganccy i uśmiechali się albo machali do niego, kiedy się zbliżali. Na ich ubraniach pokazywały się wspaniałe obrazy, w różnych stylach u różnych osób – niektóre abstrakcyjne, inne realistyczne. Ujął go wyraz ich twarzy, bo wiedział, że oczy ludzi są najlepszym odzwierciedleniem poziomu cywilizacji w danym miejscu i czasie. Oglądał kiedyś zdjęcia zrobione

przez europejskiego fotografa pod koniec panowania dynastii Qing i największe wrażenie zrobił na nim tępy wyraz twarzy uwiecznionych na nich osób. W oczach zarówno dygnitarzy, jak i zwykłych szaraków widać było tylko odrętwienie i głupotę, ani odrobiny energii. Takie samo wrażenie mogli odnosić ludzie tej nowej ery, kiedy patrzyli w jego oczy. Ich spojrzenia były pełne mądrości i szczerości, zrozumienia i miłości, tak rzadko spotykanych w jego epoce. Najbardziej jednak zaimponowały mu ich pewne siebie miny. Pewność siebie promieniująca z każdej pary oczu była ewidentnie duchową podporą ludzi nowej ery.

Nie wyglądali na pogrążonych w rozpaczy, co było kolejnym zaskoczeniem.

Łóżko Luo Ji wsunęło się bezgłośnie na oddział ogólny, gdzie było dwóch innych obudzonych z hibernacji. Jeden leżał na łóżku, drugi pakował z pomocą pielęgniarki swoje rzeczy i zdawał się gotowy do wyjścia. Z wyrazu ich oczu Luo poznał, że obaj byli z tej samej epoki co on. Były one jak okna czasu, ukazujące szarą epokę, z której przybył.

– Jak oni mogą się tak zachowywać? Przecież jestem ich pradziadkiem! – usłyszał Luo Ji narzekanie tego, który zbierał się do wyjścia.

– Nie może pan się powoływać na zasadę starszeństwa. Zgodnie z prawem lat spędzonych w hibernacji nie dolicza się do wieku, więc przy osobach starszych pan należy do młodszego pokolenia… Chodźmy. Wystarczająco długo czekają już na pana w izbie przyjęć – powiedziała pielęgniarka.

Chociaż starała się nie używać angielskich słów, czasami potykała się na chińskich i zacinała, jakby mówiła w starożytnym języku, a wtedy zmuszona była przejść na język współczesny. Wówczas na ścianie wyświetlał się ich chiński przekład.

– Nawet nie rozumiem ich mowy. To jakiś bełkot! – powiedział hibernat.

Wziął torbę, pielęgniarka drugą, i wyszli.

– W tej epoce musi się pan stale uczyć. W przeciwnym razie będzie pan musiał żyć na górze – usłyszał Luo Ji odpowiedź pielęgniarki. Zrozumienie współczesnego języka nie sprawiało mu już trudności, ale nie miał pojęcia, co znaczyło jej ostatnie zdanie.

– Cześć. Poddałeś się hibernacji z powodu choroby? – zapytał hibernat leżący na sąsiednim łóżku. Był młody, wyglądał na dwadzieścia kilka lat.

Luo Ji otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Możesz mówić. Bardziej się postaraj! – Młodzieniec uśmiechnął się do niego zachęcająco.

– Cześć – wychrypiał w końcu Luo Ji.

Tamten skinął głową.

– Mężczyzna, który właśnie wyszedł, został zahibernowany z powodu choroby. Ja uciekłem przed rzeczywistością. Aha, nazywam się Xiong Wen.

– Jak… tutaj jest? – zapytał Luo Ji. Tym razem poszło mu dużo łatwiej.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Jestem tu dopiero od pięciu dni. Ale to na pewno dobra epoka. Będzie nam jednak trudno zintegrować się ze społeczeństwem. Głównie dlatego, że obudziliśmy się za wcześnie. Później byłoby lepiej.

– Później? Nie byłoby jeszcze trudniej?

– Nie. Nadal jesteśmy w stanie wojny, więc społeczeństwo nie może się o nas zatroszczyć. Za kilkadziesiąt lat, po rozmowach pokojowych, zapanują spokój i dobrobyt.

– Po rozmowach pokojowych? Z kim?

– Oczywiście z Trisolarianami.

Wstrząśnięty tym ostatnim zdaniem Luo Ji starał się usiąść.

Do pokoju weszła pielęgniarka i pomogła mu zająć półsiedzącą pozycję.

– Powiedzieli, że chcą rozmów pokojowych? – zapytał nerwowo.

– Jeszcze nie. Ale nie będą mieli wyboru – odparł Xiong Wen, zeskakując zwinnie z łóżka. Podszedł do Luo Ji i usiadł na jego łóżku. Widać było, że z góry cieszy się na przyjemność wprowadzenia świeżo przebudzonej osoby w nową erę. – Nie wiesz? Ludzkość jest teraz zdumiewająca. Po prostu zdumiewająca!

– Pod jakim względem?

– Nasze statki kosmiczne są niewiarygodnie potężne. Dużo potężniejsze od statków Trisolarian!

– Jak to możliwe?

– A dlaczego miałoby nie być możliwe? Zapomnijmy o superbroni i spójrzmy tylko na ich prędkość. Mogą rozwinąć piętnaście procent prędkości światła! Są o niebo szybsze od trisolariańskich!

Gdy Luo Ji spojrzał sceptycznie na pielęgniarkę, zauważył, że jest wyjątkowo ładna. W tej epoce wszyscy wydawali się atrakcyjni. Skinęła z uśmiechem głową.

– To prawda.

– A wiesz, ile statków liczy nasza flota kosmiczna? Powiem ci: dwa tysiące! Dwa razy więcej niż flota Trisolarian! I ta liczba stale rośnie!

Luo Ji ponownie zerknął na pielęgniarkę, która znowu kiwnęła głową.

– Wiesz, w jakim marnym stanie jest teraz ich flota? W ciągu dwustu lat trzykrotnie przelecieli przez ten, no, obłok pyłu międzygwiezdnego, który nazywają pasem śniegu. Słyszałem, jak ktoś mówił, że ostatni raz zrobili to cztery lata temu i teleskop zaobserwował, że ich formacja się rozrzedziła. Nie tworzą zwartego szyku. Już dawno temu ponad połowa ich statków przestała przyspieszać, a kiedy przelecieli przez ten pył, znacznie zwolnili. Nie dotrą do Układu Słonecznego wcześniej niż za osiemset lat. Może to już poobijane wraki. Przy ich obecnej prędkości w przewidzianym terminie, czyli za dwieście lat, prawdopodobnie przyleci tu nie więcej niż trzysta

statków. Ale niedługo pojawi się w Układzie Słonecznym jedna z ich sond. W tym roku. Pozostałych dziewięć trzy lata później.

– Sonda? Co to takiego? – zapytał zdezorientowany Luo Ji.

– Nie zachęcamy do udzielania takich informacji – powiedziała pielęgniarka. – Kiedy dowiedział się o tych rzeczach poprzedni przebudzony, potrzebował paru dni, żeby się uspokoić. Nie sprzyja to powrotowi do zdrowia.

– Sprawia mi to przyjemność, więc co pani do tego? – rzekł Xiong Wen, wzruszając ramionami. Potem wrócił na swoje łóżko i się położył. Popatrzył na łagodne światło padające z sufitu, westchnął i dodał: – Dzieciaki są w porządku. Naprawdę w porządku.

– Kto tu jest dzieciakiem? – prychnęła pielęgniarka. – Czas spędzony w hibernacji nie liczy się do wieku. To ty jesteś dzieciakiem.

W oczach Luo Ji istotnie wyglądała na młodszą od Xiong Wena, chociaż wiedział, że w tej epoce ocenianie wieku ludzi na podstawie ich wyglądu może być zwodnicze.

– Ludzie z waszej epoki są naprawdę przygnębieni – rzekła do niego pielęgniarka. – Ale nie ma się czym przejmować. Naprawdę nie jest tak źle, jak się wam wydaje.

Dla Luo Ji był to głos anioła. Czuł się, jakby z powrotem stał się dzieckiem, które obudziło się z koszmarnego snu, a wszystkie przerażające rzeczy, których doświadczał w tym śnie, usunął uspokajający uśmiech osoby dorosłej. Na kitlu pielęgniarki pokazał się obraz szybko wschodzącego słońca, w którego złotym świetle sucha, żółta ziemia pokryła się zielenią i bujnie rozkwitającymi kwiatami…

– A co się dzieje z programem Wpatrujących się w Ścianę? – zapytał Xiong Wena po wyjściu pielęgniarki.

Tamten pokręcił z zakłopotaniem głową.

– Wpatrujący się w Ścianę…? Nigdy o tym nie słyszałem.

Luo zapytał go, kiedy poddał się hibernacji. Okazało się, że zrobił to jeszcze przed rozpoczęciem programu, kiedy zabieg ten był bardzo kosztowny, a więc jego rodzina musiała mieć pieniądze. Ale skoro nie słyszał o tym programie, mimo że przebudzono go przed pięcioma dniami, to znaczyło, że nawet jeśli o nim nie zapomniano, nie uważano go już za ważny.

Niebawem Luo Ji sam się przekonał na dwóch błahych przykładach, jaki poziom osiągnęła technologia w tej nowej erze. Wkrótce po tym, gdy znalazł się na oddziale ogólnym, pielęgniarka przyniosła mu pierwszy posiłek po przebudzeniu. Składał się on z bardzo małej ilości mleka i chleba z dżemem, gdyż jego żołądek nie działał jeszcze normalnie. Luo ugryzł kęs chleba i odniósł wrażenie, że żuje trociny.

– Nie odzyskał pan jeszcze w pełni zmysłu smaku – wyjaśniła pielęgniarka na widok jego miny.

– Kiedy go odzyskasz, będzie smakował jeszcze gorzej – rzekł Xiong Wen.

Pielęgniarka się roześmiała.

– Oczywiście nie jest taki dobry jak jedzenie produkowane w waszej epoce z tego, co rosło na powierzchni.

– A to skąd pochodzi? – zapytał Luo Ji z pełnymi ustami.

– Z fabryki.

– Potraficie robić syntetyczne zboże?

– Nie ma innej możliwości – odparł Xiong Wen za pielęgniarkę. – Ziemia nie wydaje już żadnych plonów.

Luo zrobiło się go żal. W jego epoce pewni ludzie tak się przyzwyczaili do postępów technologii, że nawet jej najbardziej cudowne osiągnięcia nie

robiły na nich żadnego wrażenia. Najwidoczniej Xiong Wen był jednym z nich i nie potrafił właściwie ocenić dokonań tej nowej epoki.

Następne odkrycie było dla niego prawdziwym szokiem, chociaż dotyczyło prostego w istocie rzeczy wynalazku. Pielęgniarka wskazała szklankę z mlekiem i powiedziała, że jest to specjalne naczynie dla osób po hibernacji, bo współcześni na ogół nie spożywają gorących napojów i nawet kawę piją zimną. Jeśli Luo Ji nie jest przyzwyczajony do picia zimnego mleka, może je podgrzać, nastawiając suwak przy denku na żądaną temperaturę. Po wypiciu zawartości szklanki Luo dokładnie ją obejrzał. Wyglądała jak zwyczajna szklanka z jego czasów, tyle że miała grubą, matową podstawkę, w której musiało się znajdować źródło ciepła. Choć jednak obracał ją na wszystkie strony i wytężał wzrok, nie mógł dostrzec żadnych guzików, a gdy spróbował odkręcić podstawkę, stwierdził, że tworzy z resztą zintegrowaną całość.

– Niech pan nie grzebie przy sprzęcie. Nie rozumie pan jeszcze jego działania. Majstrowanie przy tym jest niebezpieczne – powiedziała pielęgniarka, widząc jego wysiłki.

– Chciałbym się zorientować, gdzie jest gniazdko doładowania.

– Do…ładowania? – powtórzyła, wyraźnie słysząc to słowo po raz pierwszy.

– *Charge*. *Recharge* – powiedział Luo Ji po angielsku, ale pielęgniarka tylko potrząsnęła ze zmieszaniem głową.

– Co się dzieje, kiedy baterie się rozładują?

– Baterie?

– *Batteries* – wyjaśnił po angielsku. – Nie macie już baterii?

Gdy pielęgniarka ponownie potrząsnęła głową, zapytał:

– No to skąd się bierze prąd w tej szklance?

– Prąd? Prąd jest wszędzie – powiedziała ze zdziwieniem.

– W tej szklance nie zabraknie prądu?

– Nie.

– To niewyczerpane źródło energii?

– Oczywiście. Jak energia może się wyczerpać?

Po wyjściu pielęgniarki nadal nie mógł odstawić szklanki. Nie zważał na drwiący uśmieszek Xiong Wena, bo czuł się tak, jakby trzymał w ręku relikwię, przedmiot odwiecznych marzeń ludzkości – perpetuum mobile. Jeśli ludzkość rzeczywiście odkryła niewyczerpane źródło energii, mogła osiągnąć praktycznie wszystko. Teraz uwierzył słowom ślicznej pielęgniarki: może nie jest tak źle.

Gdy do sali wszedł lekarz, który dokonywał rutynowego obchodu pacjentów, Luo Ji zapytał go o program Wpatrujących się w Ścianę.

– Słyszałem o tym. Stara farsa – odparł tamten bezceremonialnie.

– Co się stało z Wpatrującymi się w Ścianę?

– Zdaje się, że jeden z nich popełnił samobójstwo, a innego ukamienowano… To wszystko zdarzyło się we wczesnym stadium projektu. Od tamtej pory minęło prawie dwieście lat.

– A pozostali dwaj?

– Nie mam pojęcia. Pewnie nadal są w stanie hibernacji.

– Jeden z nich był Chińczykiem. Pamiętacie go? – odważył się zapytać zdenerwowany Luo Ji, patrząc na lekarza.

– Mówi pan o tym, który rzucił urok na jakąś gwiazdę? Chyba była o nim jakaś wzmianka na lekcji historii sprzed okresu nowożytnego – wtrąciła pielęgniarka.

– Zgadza się, to ten. Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem. Myślę, że nadal w stanie hibernacji. Nie poświęcam zbyt dużo uwagi takim rzeczom – odparł z roztargnieniem lekarz.

– A ta gwiazda? Ta, na którą rzucił urok? Co się z nią stało? – zapytał Luo Ji ze ściśniętym sercem.

– A co się mogło stać? Pewnie nadal jest tam, gdzie była. Urok? Co za farsa!

– A więc nic się z nią nie stało?

– W każdym razie o niczym takim nie słyszałem – odparł lekarz. – A pani? – zwrócił się do pielęgniarki.

– Ja też nie – powiedziała, kręcąc głową. – Świat był wtedy śmiertelnie przerażony i ludzie robili dużo głupich rzeczy.

– A potem? – zapytał Luo i wstrzymał oddech.

– Potem był Wielki Jar – odpowiedział lekarz.

– Wielki Jar? Co to takiego?

– Później się pan dowie. Na razie proszę odpoczywać – rzekł lekarz z lekkim westchnieniem. – Ale chyba lepiej, że pan o tym nie wie.

Kiedy odwrócił się do wyjścia, na jego białym kitlu pojawił się widok kłębiących się ciemnych chmur, a na uniformie pielęgniarki mnóstwo par oczu, niektórych przerażonych, innych pełnych łez.

Po ich wyjściu Luo długo siedział bez ruchu na łóżku, mrucząc pod nosem:

– Farsa. Stara farsa.

Później zaczął się śmiać, najpierw cicho, a potem coraz głośniej, do rozpuku, co tak wystraszyło Xiong Wena, że chciał z powrotem wezwać lekarza.

– Nic mi nie jest. Śpij – powiedział Luo. Wyciągnął się na łóżku i po raz pierwszy od wyjścia z hibernacji zasnął.

Śniły mu się Zhuang Yan i ich córka. Tak jak wcześniej, Zhuang Yan szła przez śnieg ze śpiącym dzieckiem w ramionach.

Kiedy otworzył oczy, weszła pielęgniarka i cicho, żeby nie obudzić Xiong Wena, powiedziała:

– Dzień dobry.

– Już ranek? Dlaczego w tej sali nie ma okien? – zapytał Luo Ji, rozglądając się po pokoju.

– Ściana może w każdym miejscu stać się przezroczysta, ale lekarze uważają, że nie jest pan jeszcze gotowy, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Widok byłby dla pana zbyt obcy i zakłóciłby pana odpoczynek.

– Mój odpoczynek zakłóca to, że chociaż przebudzono mnie z hibernacji już jakiś czas temu, nadal nie wiem, jak wygląda świat na zewnątrz. – Luo Ji wskazał na Xiong Wena. – Nie jestem taki jak on.

Pielęgniarka roześmiała się.

– Dobrze. Właśnie kończę zmianę. Mam zabrać pana, żeby się pan rozejrzał po okolicy? Śniadanie może pan zjeść po powrocie.

Podekscytowany Luo poszedł za pielęgniarką do dyżurki. Domyślił się przeznaczenia połowy znajdujących się tam urządzeń, ale nie miał pojęcia, do czego służy reszta. Nie zauważył komputera ani podobnego sprzętu, ale było to do przewidzenia, skoro można było włączyć ekran w dowolnym miejscu na ścianie. Jego uwagę zwróciły trzy stojące przy drzwiach parasole. Były wprawdzie w różnych stylach, ale jak można było sądzić z ich kształtu, były to na pewno parasole. Zdziwiły go ich wielkie rozmiary. Czyżby w tej epoce nie używano składanych parasoli?

Pielęgniarka wróciła z przebieralni w prywatnym ubraniu. Jeśli nie liczyć obrazów pojawiających się na tkaninie, zmiany, które zaszły w modzie damskiej w tej epoce, mieściły się w wyobraźni Luo. Od strojów z jego czasów obecne różniły się głównie tym, że były wyraźnie asymetryczne. Luo ucieszył się, że po stu osiemdziesięciu pięciu latach wciąż potrafi

dostrzec piękno w kobiecych ubiorach. Pielęgniarka wzięła jeden z parasoli, który musiał być dość ciężki, bo założyła go na ramię.

– Na dworze pada?

Potrząsnęła głową.

– Myśli pan, że to… – zastanawiała się chwilę, szukając odpowiedniego, widocznie niezbyt dobrze znanego jej słowa – parasolka?

– A co, jeśli nie parasolka? – powiedział, wskazując przedmiot na jej ramieniu i wyobrażając sobie, że użyje jakiejś dziwnej nazwy.

Ale nie użyła.

– To mój rower – powiedziała.

Gdy wyszli na korytarz, zapytał:

– Pani dom jest daleko stąd?

– Jeśli chodzi panu o to, gdzie mieszkam, to niedaleko. Dziesięć, dwadzieścia minut rowerem. – Potem przystanęła i wbiwszy w niego swe czarujące oczy, powiedziała coś, co go zszokowało: – Nie ma już prywatnych domów. Nikt nie ma domu. Małżeństwo, rodzina – to wszystko przestało istnieć po Wielkim Jarze. To będzie pierwsza rzecz, do której będzie pan musiał się przyzwyczaić.

– Do tego nigdy nie zdołam się przyzwyczaić.

– No, nie wiem. Na historii uczyłam się, że małżeństwa i rodziny zaczęły się rozpadać już w waszych czasach. Mnóstwo ludzi nie chciało być uwiązanych. Chcieli prowadzić wolne życie.

Już po raz drugi wspomniała lekcje historii.

„Sam kiedyś taki byłem, ale potem…” – pomyślał Luo Ji. Od chwili, kiedy się przebudził, nie przestawał myśleć o Zhuang Yan i ich dziecku. Ich obraz był jak tapeta na ekranie jego świadomości, nigdy z niej nie znikał, zawsze pozostawał w tle. Ale skoro nikt tutaj go nie rozpoznał, a sytuacja

była tak niepewna, nie mógł po prostu zapytać o to, gdzie przebywają, mimo że dręczyła go tęsknota.

Długo szli korytarzem. Potem po przejściu przez automatyczne drzwi Luo Ji zobaczył wąską platformę ciągnącą się w dal, poczuł owiewające go świeże powietrze i jego oczy się rozjaśniły.

– Jakie błękitne niebo! – krzyknął.

– Naprawdę? Nie może się równać z błękitnym niebem w waszej epoce?

„To jest zdecydowanie bardziej błękitne. Dużo bardziej” – pomyślał Luo Ji, ale nie powiedział tego głośno, tylko rozkoszował się bezkresnym przestworem i czuł, jak mięknie mu serce. Potem ogarnęły go wątpliwości. Czy znalazł się w niebiosach? Tak czyste błękitne niebo widział tylko podczas pięciu lat spędzonych z dala od świata, w rajskim ogrodzie na północy Europy. Ale na tym niebie było mniej obłoków, zaledwie kilka bladych smużek na zachodzie, jakby ktoś zostawił tam niechcący lekki ślad pędzla. Słońce, które przed chwilą wzeszło, świeciło jak kryształ w idealnie przejrzystym powietrzu, a brzeg jego tarczy spowijała rosa.

Luo Ji spojrzał w dół i zakręciło mu się w głowie. Dopiero po długiej chwili uświadomił sobie, że widzi miasto. Początkowo myślał, że patrzy na las, na smukłe pnie drzew, z których wyrastały prostopadle gałęzie o różnej długości. Liście zwisające z tych gałęzi były budynkami. Układ miasta wydawał się przypadkowy, drzewa pokryte były listowiem o różnej gęstości. Centrum Hibernacji i Wybudzania było częścią jednego z tych dużych drzew, a liść, w którym znajdowało się jego łóżko, wisiał na wąskiej platformie.

Gdy się obejrzał za siebie, zobaczył, że pień drzewa, z którego wyrastała jego gałąź, sięgał tak wysoko, że jego wierzchołek niknął z oczu. Gałąź ta znajdowała się pośrodku górnej części drzewa, nad nią i pod nią widział inne i wiszące na nich liście. Przy bliższym przyjrzeniu się zauważył, że te

gałęzie tworzą skomplikowaną sieć mostów, a koniec każdego z nich unosi się swobodnie w powietrzu.

– Co to za miejsce? – zapytał.

– Pekin.

Spojrzał na pielęgniarkę, która w porannym słońcu wyglądała jeszcze śliczniej. Potem skierował ponownie wzrok na miasto, które nazwała Pekinem, i zapytał:

– Gdzie jest centrum?

– W tamtym kierunku. Jesteśmy za Czwartą Obwodnicą Zachodnią, na drzewie 179, gałąź 23, liść 18, więc widać stąd prawie całe miasto.

Luo Ji popatrzył w stronę, którą wskazała, i krzyknął:

– To niemożliwe! Dlaczego nic tam nie zostało?

– A co miało zostać? Za pańskich czasów nie było tam absolutnie nic!

– Nic? A Pałac Cesarski? Park Jingshan? Plac Tiananmen? Chińskie Centrum Handlu Światowego? Nie minęło jeszcze nawet dwieście lat. To wszystko nie mogło zostać zburzone.

– Wszystkie te obiekty są tam nadal.

– Gdzie?

– Na powierzchni.

Na widok przerażonej miny Luo Ji wybuchnęła takim śmiechem, że musiała się chwycić barierki, żeby nie spaść.

– Cha, cha, cha! Zapomniałam. Przepraszam. Już tyle razy zapominałam. Jesteśmy pod ziemią. Tysiąc metrów pod powierzchnią… Jeśli kiedyś odbędę podróż w czasie do pańskiej epoki, będzie pan mógł się na mnie odegrać i zapomnieć powiedzieć mi, że miasto jest na powierzchni, a ja będę wtedy tak samo przerażona jak teraz pan. Cha, cha, cha…

– Ale… to… – Luo wyciągnął ręce do góry.

– To niebo to falsyfikat. Słońce też – powiedziała kobieta, starając się powściągnąć uśmiech. – Chociaż właściwie nie można mówić, że to falsyfikat, bo to obraz zrobiony z wysokości dziesięciu tysięcy metrów i wyświetlony tutaj, więc może być uważany za prawdziwe niebo.

– Ale po co budować miasto pod ziemią? I to tysiąc metrów pod jej powierzchnią, naprawdę głęboko.

– Oczywiście z powodu wojny. Niech pan o tym pomyśli. Czy powierzchnia Ziemi nie stanie się morzem ognia, kiedy dojdzie do bitwy w dniu Sądu Ostatecznego? No tak, ta bitwa to też już przestarzały pomysł, ale kiedy skończył się Wielki Jar, wszystkie miasta zaczęto budować pod ziemią.

– To znaczy, że wszystkie miasta na świecie znajdują się teraz pod ziemią?

– Większość z nich.

Luo Ji znowu się rozejrzał. Teraz zdał sobie sprawę, że pnie ogromnych drzew są filarami podtrzymującymi sklepienie podziemnego świata, a poza tym pełnią rolę kolumn, na których wiszą budynki.

– Na pewno nie dostanie pan klaustrofobii. Niech pan spojrzy, jak szerokie jest tu niebo! Na powierzchni nie jest nawet w połowie takie cudowne.

Luo Ji ponownie popatrzył na błękitne niebo, a raczej na projekcję błękitnego nieba. Zauważył na nim małe obiekty, najpierw kilka, ale gdy jego oczy się przystosowały, zobaczył, że jest ich tak wiele, że pokrywają cały nieboskłon. O dziwo, przypominały mu coś zupełnie niezwiązanego z tym miejscem – gablotkę w sklepie jubilerskim. Zanim został Wpatrującym się w Ścianę, czyli kiedy zakochał się w Zhuang Yan będącej jeszcze wówczas wytworem jego wyobraźni, dostał na jej punkcie takiej obsesji, że chciał kupić jej prezent. Poszedł do jubilera i oglądał platynowe

wisiorki leżące na czarnym aksamicie w gablotce i błyszczące w świetle reflektorów. Gdyby aksamit był niebieski, nie czarny, wyglądałoby to dokładnie tak jak niebo, które teraz widział.

– Czy to flota kosmiczna? – zapytał z podnieceniem.

– Nie. Floty stąd nie widać. Znajduje się poza pasem asteroid. To… cóż, to przeróżne obiekty. Te o widocznych kształtach to miasta kosmiczne, a punkciki świetlne to samoloty cywilne. Ale czasami na orbicie pojawiają się też statki wojenne. Ich silniki wydzielają tak jasne światło, że nie można na nie patrzeć. No, czas na mnie. Pan też powinien zaraz wracać, bo tutaj mocno wieje.

Luo Ji odwrócił się, by się pożegnać, ale z wrażenia odebrało mu mowę. Pielęgniarka zarzuciła parasolkę, a raczej rower, jak plecak na ramiona. Parasolka się otworzyła i ukazały się dwa współosiowe śmigła, które zaczęły się cicho obracać w przeciwne strony, by zrównoważyć rotacyjny moment obrotowy. Potem kobieta uniosła się powoli i skoczyła przez barierkę w przepaść, która przyprawiała go o zawrót głowy.

Wisząc w powietrzu, krzyknęła do niego:

– Widzi pan, jakie wspaniałe mamy czasy! Niech pan potraktuje swoją przeszłość jak sen. Do zobaczenia jutro!

Leciała z gracją, małe śmigła cięły powietrze. W końcu oddaliła się na tyle, że jej postać stała się drobna niczym ważka między dwoma olbrzymimi drzewami. Wśród tworzących miasto drzew unosiły się całe roje tych ważek. Jeszcze bardziej rzucały się w oczy strumienie latających samochodów, przepływające nieustannie niczym ławice ryb między roślinami na dnie oceanu. Przesączające się między strzelistymi pniami snopy światła wschodzącego słońca pokrywały je pozłotą.

Na widok tego nowego wspaniałego świata po policzkach Luo Ji pociekły łzy. Każdą komórkę jego ciała przenikało upajające doznanie

powtórnych narodzin. Przeszłość była naprawdę snem.

Gdy Luo Ji ujrzał w poczekalni mężczyznę o europejskich rysach, odniósł wrażenie, że coś w nim nie pasuje do otoczenia. Później zdał sobie sprawę, że wynikało to stąd, iż jego garnitur nie mienił się różnymi barwami ani nie wyświetlał żadnych obrazów, lecz przypominał ubiory z minionej epoki. Być może miał on podkreślać wagę tej wizyty.

Gość uścisnął mu dłoń i przedstawił się:

– Nazywam się Ben Jonathan i jestem komisarzem specjalnym Połączonego Kolegium Floty Słonecznej. Na polecenie kolegium doprowadziłem do przebudzenia pana z hibernacji i teraz weźmiemy udział w ostatnim spotkaniu w sprawie programu Wpatrujących się w Ścianę. Och, przepraszam, czy rozumie pan, co mówię? Podczas pana snu język angielski trochę się zmienił.

Luo nie tylko doskonale zrozumiał Jonathana, ale pozbył się też dręczącego go przez kilka ostatnich dni uczucia, że Zachód dokonał kulturalnej inwazji na język chiński, bo angielszczyzna komisarza specjalnego była naszpikowana chińskimi słowami. Użył na przykład chińskiej nazwy programu Wpatrujących się w Ścianę. Angielski, język poprzednio najszerzej używany, i chiński, którym mówiła największa populacja na świecie, zmieszały się ze sobą i stały się najbardziej wpływowym językiem na Ziemi. Później Luo dowiedział się, że podobne zmiany dokonywały się w innych językach.

„A jednak przeszłość nie jest snem – pomyślał Luo. – Dopadła cię”. Przypomniał sobie, że Jonathan powiedział o ostatnim spotkaniu, i zaczął się zastanawiać, czy w końcu pojawiła się nadzieja na szybkie rozwiązanie kryzysu.

Jonathan obejrzał się za siebie, jakby chciał się upewnić, że drzwi są zamknięte, a potem podszedł do ściany i uruchomił łącze. Stuknął w nie parę razy i cztery ściany oraz sufit zniknęły, a Luo Ji znalazł się w holograficznym obrazie audytorium.

Chociaż zostało bardzo zmienione, a ściany jarzyły się łagodnym światłem, widać było, że projektanci starali się odtworzyć styl dawnej epoki. Wszystko, od dużego, okrągłego stołu i mównicy poczynając, a na ogólnej kompozycji wnętrza kończąc, wyrażało nostalgię, i od razu pozwoliło mu się zorientować, gdzie jest. W sali nie było nikogo oprócz dwóch pracowników układających na stole dokumenty. Luo zdziwił się, widząc, że nadal sporządzano je na papierze. Podobnie jak ubranie Jonathana, zdawało się to podkreślać powagę sytuacji.

– Spotkania na odległość są teraz powszechną praktyką – wyjaśnił Jonathan. – W niczym nie umniejsza to ich wagi ani znaczenia. Mamy jeszcze trochę czasu, zanim zacznie się posiedzenie, a pan zdaje się nie wiedziać zbyt wiele o dzisiejszym świecie. Chce pan, żebym udzielił panu podstawowych informacji?

Luo Ji skinął głową.

– Oczywiście. Dziękuję.

Jonathan wskazał na salę i powiedział:

– Będę się streszczał. Zacznijmy od państw. Europa jest teraz jednym państwem, nazywa się Wspólnotą Europejską i obejmuje Europę Wschodnią i Zachodnią, ale bez Rosji. Rosja utworzyła z Białorusią jedno państwo, nadal zwane Federacją Rosyjską. Kanada rozpadła się na dwie części: anglojęzyczną i francuskojęzyczną. W innych regionach też doszło do pewnych zmian, ale najważniejsze są te, o których powiedziałem.

Luo Ji nie posiadał się ze zdumienia.

– To jedyne zmiany? Minęły prawie dwa wieki. Pomyślałbym, że przez ten czas świat zmienił się nie do poznania.

Jonathan odwrócił się do niego i kiwnął poważnie głową.

– Tak jest, doktorze Luo. Rzeczywiście świat zmienił się nie do poznania.

– No nie. Pierwsze oznaki tych zmian pojawiły się już w naszej epoce.

– Ale jednego na pewno nigdy pan nie przewidział – nie ma już wielkich mocarstw. Zmniejszyło się polityczne znaczenie wszystkich krajów.

– Wszystkich? A zatem czyje wzrosło?

– Jednostki ponadpaństwowej – floty kosmicznej.

Luo Ji zastanawiał się przez chwilę, zanim dotarło do niego, co Jonathan miał na myśli.

– Chce pan powiedzieć, że flota kosmiczna jest niezależna?

– Tak. Te floty nie należą do żadnego państwa. To niezależne byty polityczne i gospodarcze, które, podobnie jak państwa, są członkami ONZ. Obecnie w Układzie Słonecznym istnieją trzy główne floty: Azjatycka, Europejska i Północnoamerykańska. Ich nazwy pochodzą od nazw głównych regionów, w których powstały, ale one same nie są już podporządkowane tym regionom. Są całkowicie niezależne. Każda z nich ma polityczną i gospodarczą siłę supermocarstwa z pańskiej epoki.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Luo.

– Ale niech pan nie zrozumie mnie źle. Wojsko nie rządzi Ziemią. Terytorium, nad którym te floty sprawują suwerenną władzę, jest przestrzeń kosmiczna. Rzadko mieszają się do spraw wewnętrznych społeczności ziemskich. Określa to Karta Narodów Zjednoczonych. Tak więc świat ludzi jest obecnie podzielony na dwie strefy międzynarodowe: tradycyjną Ziemię Międzynarodową i nowo powstałą Flotę Międzynarodową. Trzy floty wchodzące w skład Międzynarodowej – Azjatycka, Europejska i Północnoamerykańska – tworzą Flotę Słoneczną, a była Rada Obrony

Planety przekształciła się w Połączone Kolegium Floty Słonecznej, które jest nominalnie jej najwyższym ciałem dowódczym. Jednak, podobnie jak w przypadku ONZ, pełni ono funkcję koordynacyjną, ale nie ma realnej władzy. W rzeczywistości Flota Słoneczna jest nią tylko z nazwy. Faktyczna władza nad siłami kosmicznymi ludzkości spoczywa w rękach najwyższych dowództw trzech głównych flot. No to wie pan już dosyć, żeby wziąć udział w dzisiejszym spotkaniu. Zebranie to zostało zwołane przez PKFS, które przejęło program Wpatrujących się w Ścianę.

Wtedy otworzyło się okno w obrazie holograficznym i pojawili się w nim Bill Hines i Keiko Yamasuki. Od prawie dwustu lat nic się nie zmienili. Hines powitał Luo Ji uśmiechem, ale Yamasuki siedziała obok niego z niewzruszoną miną i na pozdrowienie Luo odpowiedziała tylko lekkim skinieniem głowy.

– Dopiero co się obudziłem, doktorze Luo – powiedział Hines. – Z przykrością dowiedziałem się, że ta planeta, na którą rzucił pan urok, nadal krąży wokół gwiazdy oddalonej od nas o pięćdziesiąt lat świetlnych.

– Eee tam. Farsa. Stara farsa i tyle – stwierdził autoironicznie Luo, machając ręką.

– Ale w porównaniu z Tylerem i Reyem Diazem i tak miał pan szczęście.

– Zdaje się, że jest pan jedynym Wpatrującym się w Ścianę, któremu się powiodło. Być może pana strategia rzeczywiście doprowadziła do podwyższenia ludzkiej inteligencji.

Na twarzy Hinesa pojawił się taki sam autoironiczny uśmiech jak wcześniej na twarzy Luo Ji.

– Niestety nie. Wiem, że po naszym przejściu w hibernację badania nad ludzkim umysłem szybko napotkały przeszkodę, której nie dało się pokonać. Żeby posunąć się dalej, trzeba by było zejść na poziom kwantowy mechanizmów mózgu, a tu, jak wszystkie pozostałe nauki, neurobiologia

zderzyła się z murem wzniesionym przez sofony. Nie podwyższyliśmy ludzkiej inteligencji. Jeśli w ogóle udało się nam cokolwiek osiągnąć, to tylko zwiększyć wiarę niektórych osób w zwycięstwo.

Gdy Luo Ji poddał się hibernacji, nie istniała jeszcze plomba mentalna, więc nie zrozumiał ostatniego zdania Hinesa. Zauważył jednak, że gdy jej mąż mówił o tym, po kamiennej twarzy Keiko Yamasuki przemknął tajemniczy uśmiech.

Okno zniknęło i wtedy Luo zobaczył, że audytorium się zapełniło. Większość obecnych była w wojskowych mundurach, które niezbyt się zmieniły od jego czasów. Żaden z nich nie miał na ubraniu dekoracyjnych obrazów, ale znaczki w ich klapach i epolety jarzyły się lekkim światłem.

W PKFS nadal obowiązywał system rotacji przewodniczących. Obecnie funkcję tę pełnił urzędnik cywilny. Kiedy Luo Ji spojrzał na niego, przypomniał sobie Garanina i nagle przyszło mu do głowy, że jest starcem sprzed dwustu lat. Pocieszył się myślą, że w porównaniu z innymi osobami z jego epoki, których unicestwił upływ czasu, jest szczęściarzem.

Po otwarciu zebrania zabrał głos przewodniczący:

– Panie i panowie, na dzisiejszym posiedzeniu poddamy pod głosowanie wniosek numer 649, zaproponowany w tym roku na czterdziestym siódmym spotkaniu Połączonego Kolegium przez Flotę Północnoamerykańską i Europejską. Szanowni państwo, pozwólcie, że najpierw przedstawię ten wniosek. W drugim roku kryzysu trisolariańskiego powołana przez ONZ Rada Obrony Planety opracowała program Wpatrujących się w Ścianę. Został on jednomyślnie przyjęty przez stałych członków Rady i w następnym roku wcielony w życie. Celem tego programu była próba stworzenia tajnej strategii odparcia najazdu Trisolarian. Zadanie to powierzono czterem nominowanym przez stałych członków Wpatrującym się w Ścianę, upoważnionym do sformułowania

i zrealizowania planów strategicznych we własnych umysłach, poza zasięgiem wszechobecnej inwigilacji prowadzonej przez sofony. ONZ podjęła stosowną uchwałę gwarantującą Wpatrującym się w Ścianę liczne przywileje umożliwiające im nieskrępowane snucie planów bez informowania o tym kogokolwiek. Program Wpatrujących się w Ścianę trwa już dwieście pięć lat, z ponadstuletnią przerwą. W tym czasie nadzór nad nim przejęło po byłej ROP obecne PKFS. Program ten powstał w wyjątkowej sytuacji historycznej. Kryzys trisolarianski dopiero się zaczął i w obliczu zagłady społeczność międzynarodową ogarnęły niespotykane wcześniej strach i rozpacz. W takim klimacie narodził się wzmiankowany projekt. Nie był to racjonalny wybór, lecz wyraz desperacji. Fakty dowodzą, że jako plan strategiczny program Wpatrujących się w Ścianę był całkowitą i absolutną porażką. Bez przesady można powiedzieć, że było to najbardziej naiwne i najgłupsze działanie, jakie kiedykolwiek podjęła ludzkość jako całość. Wpatrującym się w Ścianę zapewniono bezprecedensową władzę bez żadnej prawnej kontroli, a nawet pozwolono im oszukiwać społeczność międzynarodową. Było to pogwałcenie podstawowych zasad moralnych i prawnych ludzkości. W czasie realizacji programu zmarnowano ogromne ilości zasobów strategicznych. Udowodniono, że wymyślony przez Wpatrującego się w Ścianę Fredericka Tylera rój komarów nie miał żadnego znaczenia strategicznego, natomiast opracowany przez Wpatrującego się w Ścianę Manuela Reya Diaza plan wywołania reakcji łańcuchowej przez zdetonowanie na Merkurym superbomb wodorowych był niewykonalny, i to nawet przy dzisiejszych możliwościach ludzkości. Co więcej, oba te plany miały charakter przestępczy. Tyler chciał zaatakować i zniszczyć ziemską flotę kosmiczną, a Reyowi Diazowi przyświecał jeszcze bardziej złowrogi cel – wzięcie wszystkich form życia na Ziemi jako zakładników. Również pozostali dwaj

Wpatrujący się w Ścianę nie spełnili pokładanych w nich nadziei. Wprawdzie Wpatrujący się w Ścianę Hines nie ujawnił jeszcze prawdziwego strategicznego zamiaru leżącego u podłoża jego planu zwiększenia ludzkich zdolności umysłowych, ale wykorzystanie w siłach kosmicznych wstępnego wyniku tego przedsięwzięcia, plomby mentalnej, też jest przestępstwem. To poważne pogwałcenie wolności myśli, która jest podstawą przetrwania i postępu ludzkiej cywilizacji. Jeśli chodzi o Luo Ji, to najpierw nieodpowiedzialnie roztrwonił on fundusze publiczne na zaspokajanie swoich zachcianek, a potem mamił tłumy absurdalnym mistycyzmem. Uważamy, że wobec zdecydowanego wzrostu siły ludzkości i przejęcia przez nią inicjatywy w tej wojnie program Wpatrujących się w Ścianę nie ma już żadnego znaczenia. Nadeszła pora, by usunąć problem, który przekazała nam w spadku historia. Proponujemy, by PKFS natychmiast zakończyło program Wpatrujących się w Ścianę i uchyliło dotyczącą go uchwałę ONZ.

Przewodniczący powoli odłożył dokument i rozejrzawszy się po audytorium, powiedział:

– Rozpoczynamy głosowanie nad złożonym przez PKFS wnioskiem numer 649. Kto z państwa jest za jego przyjęciem?

Wszyscy przedstawiciele podnieśli ręce.

Głosowanie w tej nowej epoce nadal odbywało się w prymitywny sposób. Urzędnicy kancelarii PKFS przeszli przez salę, licząc z powagą głosy, a gdy przedstawili wynik przewodniczącemu, ten oznajmił:

– Ogłaszam, że wniosek numer 649 został jednomyślnie przyjęty i zostanie wcielony w życie ze skutkiem natychmiastowym. – Przewodniczący podniósł głowę, ale Luo Ji nie wiedział, czy patrzy na Hinesa czy na niego, bo podobnie jak podczas pierwszego spotkania na odległość, w którym uczestniczył przed 185 laty, nie miał pojęcia, gdzie

wyświetlane są ich wizerunki. – Teraz, gdy program Wpatrujących się w Ścianę został zakończony, przestaje też obowiązywać ustanawiająca go uchwała. W imieniu PKFS powiadamiam niniejszym Wpatrujących się w Ścianę Billa Hinesa i Luo Ji, że ich status został zniesiony. Od tej chwili tracą panowie wszystkie prawa zagwarantowane w uchwale o Wpatrujących się w Ścianę oraz związany z nimi immunitet. Odzyskali panowie swoją tożsamość jako zwykli obywatele krajów waszego pochodzenia.

Potem przewodniczący ogłosił zakończenie posiedzenia.

Jonathan wstał i wyłączył obraz holograficzny, kończąc tym samym dwustuletni koszmar Luo Ji.

– Doktorze Luo, o ile mi wiadomo, jest to wynik, na który miał pan nadzieję – powiedział z uśmiechem.

– Tak. Właśnie tego chciałem. Dziękuję, panie komisarzu. I dziękuję PKFS za przywrócenie mi statusu zwykłego obywatela – odparł Luo z głębi serca.

– Spotkanie było proste. Sprowadziło się do głosowania nad jednym wnioskiem. Upoważniono mnie do bardziej szczegółowego omówienia tych spraw z panem. Może pan zacząć od tego, co pana najbardziej martwi.

Luo Ji nie mógł się powstrzymać od zadania pytania, które dręczyło go, odkąd obudzono go z hibernacji:

– Co z moją żoną i córką?

Chciał zapytać o to Jonathana jeszcze przed rozpoczęciem spotkania.

– Proszę się nie martwić. Obie mają się dobrze. Nadal znajdują się w stanie hibernacji. Mogę dać panu ich kartoteki, a pan może poprosić o ich wybudzenie, kiedy pan zechce.

– Dziękuję panu! Dziękuję.

Oczy Luo Ji zwilgotniały i ponownie poczuł się tak, jakby znalazł się w niebie.

– Dam jednak panu pewną radę – powiedział Jonathan, przysuwając się do niego na kanapie. – Hibernatowi nie jest łatwo przystosować się do życia w tej epoce. Radzę panu, żeby zanim pan je obudzi, zapewnił pan sobie stabilizację. Pieniędzy z funduszu ONZ wystarczy na utrzymanie ich w hibernacji jeszcze przez dwieście trzydzieści lat.

– No ale jak mam tu żyć?

Komisarz się roześmiał.

– Niech się pan tym nie martwi. Może nie przywykł pan jeszcze do nowych czasów, ale na pewno da pan sobie radę. Mamy teraz tak wspaniałą opiekę społeczną, że nawet jeśli ktoś w ogóle nic nie robi, może wieść wygodne życie. W tym mieście nadal działa uniwersytet, na którym kiedyś pan pracował. Jego władze powiedziały, że rozważą sprawę ponownego zatrudnienia pana. Za jakiś czas skontaktują się z panem.

Luo Ji przyszła nagle do głowy myśl, która sprawiła, że zadrżał.

– A co z moim bezpieczeństwem? RZT chce mnie zabić!

– RZT? – Jonathan wybuchnął śmiechem. – Ruch na rzecz Ziemskiej Trisolaris został zlikwidowany sto lat temu. Nie ma już żadnych podstaw społecznych, które mogłyby zapewnić mu dalsze istnienie. Oczywiście wciąż można znaleźć ludzi o takich skłonnościach ideologicznych, ale nie są oni w stanie się zorganizować. Będzie pan absolutnie bezpieczny.

Zbierając się już do wyjścia, Jonathan porzucił oficjalną pozę – na jego garniturze wyświetlił się przesadny, zniekształcony obraz nieba, a on sam uśmiechnął się do Luo Ji i powiedział:

– Panie doktorze, pan ma największe poczucie humoru ze wszystkich znanych mi postaci historycznych. Urok. Urok rzucony na gwiazdę! Cha, cha, cha…

Luo Ji został sam w salonie i rozmyślał nad rzeczywistością, w której się znalazł. Po dwustu latach bycia mesjaszem znowu stał się zwykłym obywatelem. Czekało go nowe życie.

– Jesteś prostym człowiekiem, mój chłopcze – w jego myśli wdarł się szorstki głos. Luo odwrócił się w stronę drzwi i zobaczył, że do pokoju wchodzi Shi Qiang. – Usłyszałem to od faceta, który przed chwilą stąd wyszedł.

Miło było spotkać się ponownie. Wymienili się spostrzeżeniami i Luo Ji dowiedział się, że Shi Qiang obudził się przed dwoma miesiącami. Wyleczono go z białaczki. Lekarze odkryli też, że – prawdopodobnie z powodu nadmiernego picia – grozi mu choroba wątroby, więc tym także się zajęli. Zarówno Luo Ji, jak i Shi Qiang nie mieli wrażenia, że ostatnio widzieli się bardzo dawno temu. Wydawało się im, że minęło nie więcej niż cztery czy pięć lat, bo w stanie hibernacji nie ma się poczucia czasu. Mimo to spotkanie po dwustu latach, w nowej epoce, pogłębiło ich przyjaźń.

– Przyszedłem cię zabrać. Nie masz żadnego powodu, żeby zostać tu dłużej – powiedział Shi Qiang, wyjmując z plecaka ubranie dla niego.

– Nie jest… trochę za duże? – zapytał Luo, rozpinając kurtkę.

– Spójrz na siebie. Obudziłeś się tylko dwa miesiące później, a przy mnie jesteś burakiem. Przymierz to.

Shi Qiang pokazał mu jakiś przedmiot z przodu koszuli i wyjaśnił, że za jego pomocą może zmienić rozmiar ubrania. Gdy Luo Ji włożył ją, usłyszał syk i koszula skurczyła się i dopasowała do jego ciała. To samo stało się ze spodniami.

– Hej, chyba nie masz na sobie tego samego ubrania co dwieście lat temu? – zapytał Luo, przyglądając się Shi Qiangowi. Dobrze pamiętał, że gdy ostatnio go widział, był on w tej samej skórzanej marynarce co teraz.

– Większość moich rzeczy zaginęła w Wielkim Jarze, ale rodzina zatrzymała dla mnie to ubranie. Niestety, nie nadawało się do noszenia. Zostało również trochę twoich rzeczy z tamtej ery i kiedy gdzieś zamieszkasz, będziesz mógł je odebrać. Mówię ci, chłopcze, dopiero kiedy zobaczysz, jak zmienił się ten majdan, będziesz naprawdę wiedział, że dwieście lat to nie jest krótki odcinek czasu. – Shi Qiang nacisnął coś na swojej marynarce i stała się całkowicie biała. Skóra była tylko obrazem. – Lubię, kiedy wygląda tak jak dawniej.

– Z moim ubraniem też można zrobić coś takiego? Może pokazywać obrazy tak jak ich stroje? – zapytał Luo Ji, patrząc na swój przyodziewek.

– Można, ale trochę trudno jest to ustawić. Chodźmy.

Zjechali na parter windą znajdującą się wewnątrz pnia, przeszli przez duży hol i wyłonili się w nowym świecie.

W rzeczywistości zebranie PKFS nie skończyło się w chwili, gdy komisarz wyłączył obraz holograficzny. Zresztą Luo Ji zdążył usłyszeć, że kiedy przewodniczący ogłosił zakończenie posiedzenia, rozległ się nagle czyjś głos. Był to głos kobiecy i chociaż Luo nie widział tego wyraźnie, zauważył, że głowy wszystkich uczestników zebrania obróciły się w jedną stronę. Właśnie wtedy Jonathan przerwał transmisję. On też musiał to zauważyć, ale skoro przewodniczący zamknął obrady, Luo Ji, teraz zwykły obywatel pozbawiony statusu Wpatrującego się w Ścianę, nie miał już prawa w nich uczestniczyć, nawet jeśli nadal trwały.

Kobietą, która zabrała głos, była Keiko Yamasuki.

– Panie przewodniczący, mam coś do zakomunikowania – powiedziała.

– Doktor Yamasuki, nie jest pani Wpatrującą się w Ścianę – odparł tamten. – Ze względu na pani szczególną pozycję pozwolono pani wziąć

udział w dzisiejszym zebraniu, ale nie ma pani prawa głosu.

Żaden z przedstawicieli państw członkowskich Kolegium nie wydawał się zainteresowany tym, co ma ona do powiedzenia. Zaczęli wstawać z foteli. Cały program Wpatrujących się w Ścianę był dla nich tylko przypisem w podręczniku historii, na uporanie się z którym musieli tracić energię. Jednak to, co powiedziała potem, osadziło ich w miejscu. Obróciła się do Hinesa i oświadczyła:

– Billu Hines, jestem Burzycielką twojej ściany.

Na te słowa Hines, który zamierzał już wyjść, zachwiał się i opadł z powrotem na fotel. Ludzie w audytorium spoglądali jeden na drugiego, a potem, kiedy z twarzy Hinesa odpłynęła powoli krew, zaczęli szeptać.

– Mam nadzieję, że nie wszyscy zapomnieliście, co znaczy ten tytuł – powiedziała Yamasuki władczym głosem do zebranych.

– Owszem, wiemy, kim jest Burzyciel Ściany – rzekł przewodniczący. – Ale wasza organizacja już nie istnieje.

– Wiem o tym. – Yamasuki wydawała się całkowicie spokojna. – Mimo to jako ostatnia członkini RZT spełnię moją powinność wobec Pana.

– Powinienem był się tego domyślić, Keiko. Powinienem był się domyślić – powiedział Hines drżącym głosem.

Wyglądał tak, jakby było mu słabo. Wiedział, że jego żona była entuzjastką idei Timothy’ego Leary’ego, i znał jej fanatyczne pragnienie zmienienia ludzkiego umysłu za pomocą środków technicznych, ale nigdy nie łączył tego z głęboko skrywaną nienawiścią do rodzaju ludzkiego.

– Przede wszystkim chciałabym powiedzieć, że prawdziwym celem twojego planu strategicznego wcale nie było zwiększenie ludzkiej inteligencji. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że jest zupełnie niemożliwe, żeby w przewidywalnej przyszłości ludzka technologia rozwinęła się na tyle, by za jej pomocą udało się tego dokonać, bo to ty odkryłeś kwantową

strukturę mózgu. Zdajesz sobie sprawę, że gdy badania umysłu dojdą do poziomu kwantowego, zablokowanie przez sofony nauk podstawowych sprawi, że staną one w miejscu, bo nie będą miały się na czym oprzeć. Plomba mentalna nie była tylko przypadkowym produktem ubocznym twoich studiów nad umysłem. Była ich ostatecznym celem. – Odwróciła się do sali. – A teraz chciałabym się od was dowiedzieć tylko jednego: co się stało z plombą mentalną podczas wielu lat naszej hibernacji?

– To krótka historia – powiedział przedstawiciel Floty Europejskiej. – Prawie pięćdziesiąt tysięcy członków sił kosmicznych przyjęło dzięki niej z własnej woli wiarę w zwycięstwo. Utworzyli szczególną kastę żołnierzy zwanych „naznaczonymi”. Jakieś dziesięć lat po poddaniu się przez was hibernacji Międzynarodowy Trybunał Karny uznał stosowanie plomby mentalnej za przestępstwo, naruszenie wolności myśli, i jedyne urządzenie służące do jej zakładania – to, które znajdowało się w Centrum Wiary – złożono w magazynie. Produkcję i używanie takiego sprzętu objęto na całym świecie zakazem prawie tak surowym jak zakaz rozprzestrzeniania broni jądrowej. I prawdę mówiąc, jest ją jeszcze trudniej uzyskać niż tę broń, głównie ze względu na komputer używany przy jej zakładaniu. Odkąd poddaliście się hibernacji, technologia komputerowa zasadniczo przestała się rozwijać. Komputer wykorzystywany do zakładania plomby mentalnej jest jeszcze dzisiaj superkomputerem, niedostępnym dla zwykłych osób i organizacji.

Po wysłuchaniu tego wyjaśnienia Keiko Yamasuki ujawniła pierwszą ważną informację.

– Nie wiecie, że istnieje więcej niż jedno urządzenie do zakładania plomby mentalnej. Zrobiono ich pięć, każde z własnym superkomputerem. Pozostałe cztery Hines przekazał w tajemnicy osobom, które dały już założyć sobie plombę, czyli, jak ich nazywacie, naznaczonym. W owym

czasie było ich zaledwie około trzech tysięcy, ale tworzyli już ścisłą ponadnarodową organizację w wojskach poszczególnych państw. Hines nie powiedział mi o tym, ale dowiedziałam się od sofonów. Pan nie przejmuje się zagorzałym triumfalizmem, więc nie podjęliśmy żadnych działań.

– A jakie to ma znaczenie? – zapytał przewodniczący.

– Postawmy pewną hipotezę, dobrze? Urządzenie do zakładania plomby mentalnej nie działa stale. Włącza się je tylko wtedy, kiedy trzeba. Można go używać przez dość długi czas i jeśli jest właściwie konserwowane, będzie się nadawało do użytku przez pół wieku. Jeśli tych czterech egzemplarzy używano po kolei i dopiero po wyeksploatowaniu się jednego włączano następne, to mogły przetrwać dwieście lat. Znaczy to, że naznaczeni być może nie wymarli i przetrwali, pokolenie po pokoleniu, do dziś. To religia, w której wiarę wzmacnia plomba mentalna, a rytuałem wprowadzenia jest dobrowolna zgoda na jej nałożenie na swój umysł.

– Doktorze Hines – rzekł przedstawiciel Floty Północnoamerykańskiej – stracił pan status Wpatrującego się w Ścianę, więc nie ma pan już prawa oszukiwać świata. Byłby pan łaskaw powiedzieć Połączonemu Kolegium, czy pańska żona, a raczej Burzycielka pańskiej ściany, mówi prawdę?

– Tak, to prawda – odparł Hines, kiwając z trudem głową.

– To przestępstwo! – oburzył się przedstawiciel Floty Azjatyckiej.

– Być może – rzekł Hines i znowu skinął głową. – Ale podobnie jak wy wszyscy nie wiem, czy naznaczeni przetrwali do dzisiejszych czasów.

– To nieważne – powiedział przedstawiciel Floty Europejskiej. – Sądzę, że następnym krokiem powinno być znalezienie nadal istniejących urządzeń do zakładania plomby mentalnej i zniszczenie ich lub zamknięcie w dobrze strzeżonym miejscu. Co do naznaczonych, to skoro dali sobie dobrowolnie założyć tę plombę, nie wydaje się, by stało się to wbrew obowiązującemu wówczas prawu. Jeśli założyli ją innym ochotnikom,

zrobili to pod wpływem wiary czy niezłomnego przekonania, którego nabrali za pomocą środków technicznych, nie powinni więc ponieść za to kary. A zatem musimy tylko odnaleźć te urządzenia. Sprawą naznaczonych nie powinniśmy się w ogóle zajmować.

– Racja. Nieźle jest mieć we Flocie Słonecznej parę osób z niezłomną wiarą w zwycięstwo. Przynajmniej nie spowoduje to żadnych szkód. Powinno to pozostać ich sprawą prywatną i nikt nie musi wiedzieć, kim są. Chociaż trudno jest zrozumieć, dlaczego w dzisiejszych czasach, kiedy zwycięstwo ludzi jest pewne, ktokolwiek miałby dać sobie dobrowolnie założyć plombę mentalną – zauważył przedstawiciel Floty Północnoamerykańskiej.

Keiko Yamasuki uśmiechnęła się drwiąco, robiąc rzadko widywaną minę, która skojarzyła się zgromadzonym ze starożytnym obrazem światła księżyca odbijającego się w łuskach leżącego w trawie węża.

– Jesteście naiwni – powiedziała.

– Jesteście naiwni – powtórzył za żoną jak echo Hines, pochylając głęboko głowę.

Yamasuki znowu obróciła się do męża.

– Zawsze ukrywałeś przede mną swe myśli, Hines, i to jeszcze zanim zostałeś Wpatrującym się w Ścianę.

– Bałem się, że mną wzgardzisz – powiedział, nadal siedząc ze spuszczoną głową.

– Ile razy patrzyliśmy sobie w milczeniu w oczy w bambusowym gaju cichą nocą w Kioto? Widziałam w twoich oczach samotność Wpatrującego się w Ścianę i pragnienie wyjawienia mi prawdy. Ile razy byłeś tego bliski? Chciałeś złożyć głowę w moich ramionach, wyznać mi wszystko przez łzy i poczuć ulgę, ale powstrzymywała cię przed tym odpowiedzialność spoczywająca na tobie jako Wpatrującym się w Ścianę. Jednym z twoich

obowiązków było oszukiwanie, nawet tych, których najbardziej kochałeś. Mogłeś więc tylko patrzeć mi w oczy z nadzieją, że dostrzeżesz w nich jakiś ślad swoich prawdziwych myśli. Nie wiesz, ile spędziłam bezsennych nocy, leżąc przy tobie, podczas gdy ty smacznie spałeś, i czekając na to, że może zaczniesz mówić przez sen… Jeszcze częściej obserwowałam cię uważnie, studiując każdy twój ruch i podążając wzrokiem za każdym twoim spojrzeniem, nawet przez te lata, kiedy po raz pierwszy zostałeś zahibernowany. Przypominałam sobie każdy szczegół twojego zachowania, bynajmniej nie dlatego, że za tobą tęskniłam, lecz ponieważ chciałam poznać, co naprawdę myślisz. Przez długi czas wszystkie moje starania na nic się nie zdały. Wiedziałam, że nosisz maskę, ale nie wiedziałam, co się pod nią kryje. Mijały lata, aż w końcu, gdy się dopiero co przebudziłeś i szedłeś ze mną przez obłok sieci neuronów, spojrzałam ci w oczy i wreszcie zrozumiałam. Ja jeszcze bardziej dojrzałam podczas twego snu, a ty byłeś nadal taki jak przed ośmioma laty. A więc twój umysł był obnażony. Od tej chwili znałam twoje prawdziwe ja – byłeś niereformowalnym defetystą i zatwardziałym eskapistą. Zarówno zanim zostałeś Wpatrującym się w Ścianę, jak i potem twoim jedynym celem było doprowadzenie do exodusu ludzkości. W odróżnieniu od pozostałych Wpatrujących się w Ścianę twój geniusz polegał nie na strategicznym oszukiwaniu, ale na ukrywaniu twojego prawdziwego światopoglądu. Nadal jednak nie wiedziałam, w jaki sposób zamierzasz osiągnąć ten cel, zajmując się badaniem mózgu i umysłu. Byłam zdezorientowana nawet wtedy, kiedy nieoczekiwanie wpadłeś na pomysł stworzenia plomby mentalnej. Trwało to do momentu, gdy zaczęłam się pogrążać w hibernacji, gdy przypomniałam sobie ich oczy, oczy ludzi, którym założono tę plombę. Były takie jak twoje. I nagle zrozumiałam, co znaczy wyraz twojej twarzy, którego nigdy wcześniej nie potrafiłam odczytać. Wtedy pojęłam, jaka jest

twoja prawdziwa strategia, ale było już za późno, żebym mogła coś powiedzieć.

– Pani Yamasuki, nie sądzę, żeby było w tym coś niezwykłego – powiedział przedstawiciel Floty Północnoamerykańskiej. – Znamy historię plomby mentalnej. Podczas zakładania jej grupie pierwszych pięćdziesięciu tysięcy ochotników procedurę tę stosowano pod najściślejszym nadzorem.

– Zgadza się – odparła. – Ale ten nadzór był całkowicie skuteczny tylko w odniesieniu do treści artykułu wiary. Samą plombę mentalną było znacznie trudniej kontrolować.

– Literatura przedmiotu jednak pokazuje, że nad szczegółami technicznymi plomby sprawowano równie ścisły nadzór, a poza tym przed podjęciem decyzji o dopuszczeniu urządzenia do użytku przeszło ono dużą liczbę prób – zauważył przewodniczący.

Keiko Yamasuki potrząsnęła głową.

– To urządzenie jest niewiarygodnie skomplikowane. W każdym nadzorze będą luki. A konkretnie chodzi o jeden drobny znak minusa w setkach milionów linii kodu. Nie odkryły tego nawet sofony.

– Znak minusa?

– Kiedy odkryto obwód nerwowy, który ocenia, czy jakieś twierdzenie jest prawdziwe, Hines odkrył też obwód oceniający, czy dane twierdzenie jest fałszywe. Właśnie tego potrzebował. Zataił to odkrycie przed wszystkimi, włącznie ze mną. Nie było to trudne, bo oba obwody są bardzo podobne. W modelu przekazu informacji między neuronami objawiało się to jako kierunek przepływu kluczowego sygnału, natomiast w matematycznym modelu plomby mentalnej przedstawiał to znak. Dodatni dla twierdzeń prawdziwych, ujemny dla fałszywych. W największej tajemnicy Hines zmienił ten znak w oprogramowaniu kontrolnym plomby. We wszystkich pięciu urządzeniach był on ujemny.

W audytorium zaległa śmiertelna cisza, cisza, jaka panowała tam wcześniej tylko raz, przed dwustoma laty, kiedy podczas spotkania Rady Obrony Planety Wpatrujący się w Ścianę Rey Diaz pokazał zgromadzeniu „kołyskę” na swoim ręku i powiedział, że w pobliżu znajduje się urządzenie odbierające wysyłany przez nią sygnał powstrzymujący jego detonację.

– Doktorze Hines, co pan narobił? – zwrócił się do niego rozgniewany przewodniczący.

Hines podniósł głowę i wszyscy zobaczyli, że jego blada dotąd twarz odzyskała normalny kolor.

– Przyznaję, że nie doceniłem potęgi ludzkości – powiedział spokojnym i równym głosem. – Zrobiliście naprawdę niewiarygodny postęp. Widziałem to na własne oczy i wierzę w ten postęp, tak jak wierzę, że to ludzie odniosą zwycięstwo w tej wojnie. Ta wiara jest tak silna, jakby została mi wdrukowana czy naznaczona przez plombę mentalną. W tym świetle defetyzm i eskapizm sprzed dwustu lat jawią się jako coś zupełnie absurdalnego. Mimo to, panie przewodniczący i panowie przedstawiciele, chciałbym powiedzieć światu, że nie mogę żałować tego, co zrobiłem.

– Nadal uważa pan, że nie powinien pan tego żałować? – zapytał ze złością przedstawiciel Floty Azjatyckiej.

– To nie jest kwestia tego, co powinienem. To niemożliwość odczuwania żalu. Wykorzystałem plombę mentalną do wpojenia sobie niezłomnego przekonania, że mój plan jest absolutnie właściwy.

Zgromadzeni wymieniali zaskoczone spojrzenia i nawet Yamasuki odwróciła się do męża z takim samym wyrazem zdumienia na twarzy.

Hines uśmiechnął się do niej lekko i skinął głową.

– Tak, moja droga, jeśli pozwolisz mi nadal tak się do siebie zwracać. Tylko w ten sposób mogłem zyskać siłę duchową potrzebną do realizacji mojego planu. Nawet teraz wierzę, że wszystko, co zrobiłem, było

właściwe. Bez względu na rzeczywistość jestem o tym absolutnie przekonany. Użyłem plomby mentalnej, by stać się moim własnym bogiem, a Bóg nie może czuć skruchy ani niczego żałować.

– Nadal będzie pan tak myślał, gdy w niezbyt odległej przyszłości najeźdźcy z Trisolaris ulegną potężniejszej ludzkiej cywilizacji? – zapytał przewodniczący z wyrazem oczu, który świadczył teraz raczej o zaciekawieniu niż o zdumieniu.

Hines kiwnął z powagą głową.

– Nadal myślę, że mam rację. Wszystko w moim planie jest właściwe. Oczywiście w obliczu faktów będę przeżywał piekielne męki. – Obrócił się do żony. – Moja droga, wiesz, że już raz przeżywałem takie męki, kiedy wierzyłem, że woda jest toksyczna.

– Wróćmy do dnia dzisiejszego – powiedział przedstawiciel Floty Północnoamerykańskiej, przerywając toczone szeptem rozmowy w sali. – To, że naznaczeni przetrwali do naszych czasów, to tylko spekulacje. W końcu minęło ponad sto siedemdziesiąt lat. Jeśli istnieje jakaś kasta czy organizacja o defetystycznych przekonaniach, to dlaczego nie widzimy żadnych tego oznak?

– Są dwie możliwości – odparł przedstawiciel Floty Europejskiej. – Pierwsza jest taka, że plomba mentalna zniknęła dawno temu i jest to tylko fałszywy alarm…

– Ale jest też druga: najbardziej przerażające w tej sytuacji jest to, że nie ma żadnych oznak – dokończył jego myśl przedstawiciel Floty Azjatyckiej.

Luo Ji i Shi Qiang szli przez podziemne miasto w cieniu rzucanym przez podobne do drzew konstrukcje, a na niebie nad ich głowami płynęły w lukach między tymi konstrukcjami strumienie latających samochodów.

Ponieważ budynki były „liśćmi” wiszącymi w powietrzu, rozciągała się pod nimi rozległa przestrzeń, a skoro pnie gigantycznych drzew dzieliły duże odległości, wytyczanie ulic nie miało sensu, więc całość była jednym ogromnym placem przetykanym jedynie tymi drzewami. Otoczenie było cudowne – szerokie pasy trawy, lasy prawdziwych drzew i świeże powietrze sprawiały, że na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało jak piękny wiejski krajobraz. Piesi w lśniących ubraniach wyglądali jak błyszczące mrówki. Luo Ji był pod wielkim wrażeniem planu urbanistycznego, który przeniósł współczesny hałas i tłok w powietrze i pozwolił ziemi powrócić do natury. Nie było tu widać ani śladu wojny, a jedynie wszystko, co dostarczało ludziom wygód i przyjemności.

Nie uszli daleko, gdy usłyszał miły kobiecy głos:

– Czy to pan Luo Ji?

Rozejrzał się i stwierdził, że głos dobiega z tablicy reklamowej na trawniku obok drogi. Z ruchomego obrazu patrzyła na niego atrakcyjna kobieta w uniformie.

– Tak, to ja – odparł, kiwając głową.

– Dzień dobry. Jestem doradczynią finansową 8065 Ogólnego Systemu Bankowego. Witamy w naszej epoce. Poinformuję teraz pana o pańskiej aktualnej sytuacji finansowej. – Kiedy to mówiła, pojawiła się obok niej tabela danych. – To stan pańskich rachunków z 9 roku ery kryzysu, włącznie z lokatami w Industrial and Commercial Bank of China i China Construction Bank. Są tu też papiery finansowe notowane na giełdzie, ale te pozycje mogły zostać częściowo utracone podczas Wielkiego Jaru.

– Skąd ona wie, że tu jestem? – zapytał Luo szeptem Shi Qianga.

– W lewe ramię wszczepiono ci czip. Nie przejmuj się, teraz wszyscy je mają. To jest jak dokument tożsamości. Mogą cię rozpoznać wszystkie tablice reklamowe. Reklamy są teraz spersonalizowane, więc bez względu

na to, gdzie się udasz, wszystko, co się pokazuje na tablicach i plakatach reklamowych, jest adresowane tylko do ciebie.

Doradczyni najwyraźniej usłyszała słowa Shi Qianga, bo powiedziała:

– To nie jest reklama, proszę pana. To usługa Ogólnego Systemu Bankowego.

– Ile mam na lokatach? – zapytał Luo Ji.

Obok doradczyni pojawił się bardzo skomplikowany wykres.

– To stan wszystkich pańskich oprocentowanych rachunków od 9 roku ery kryzysu. Jest dość skomplikowany, ale od teraz ma pan do tego dostęp w obszarze pańskich osobistych informacji. – Wyskoczył inny, prostszy wykres. – To pana obecna sytuacja finansowa we wszystkich podsystemach Ogólnego Systemu Bankowego.

Luo nie miał najmniejszego pojęcia, co znaczą te liczby, więc zapytał z konsternacją:

– To… ile tego jest?

– Jesteś bogaty, mój chłopcze! – wykrzyknął Shi Qiang, klepiąc go energicznie w ramię. – Może nie mam tyle co ty, ale też mam forsę. Hej, dwieście lat oszczędzania na oprocentowanym rachunku to jest dopiero inwestycja długoterminowa! Z biedaka stajesz się bogaczem. Żałuję tylko, że nie zaoszczędziłem trochę więcej.

– Hmm… jest pani pewna, że nie ma w tym żadnego błędu? – zapytał sceptycznie Luo Ji.

– Słucham? – Doradczyni zwróciła na niego wielkie oczy.

– Minęło ponad sto osiemdziesiąt lat. Nie było w tym czasie żadnej inflacji? Czy system finansowy rzeczywiście działał tak gładko?

– Za dużo o tym myślisz – rzekł Shi Qiang, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów.

Luo Ji wiedział już, że nadal można dostać wyroby tytoniowe. Ale kiedy Shi Qiang włożył do ust papierosa, wypuścił kłąb dymu, nie zapaliwszy go wcześniej.

– Podczas Wielkiego Jaru wystąpiła kilka razy inflacja, a systemy finansowy i kredytowy były bliskie załamania. Ale zgodnie z obecnie obowiązującym prawem odsetki z lokat hibernatów oblicza się według specjalnego wzoru, z którego wyłącza się Wielki Jar. Przenosi się wielkość lokat na poziom finansowy okresu po Jarze i ponownie oblicza się odsetki od tego momentu.

– O, to preferencyjne traktowanie! – wykrzyknął Luo Ji.

– Mamy teraz dobre czasy, mój chłopcze – powiedział Shi Qiang, wypuszczając obłok dymu. Potem dodał, podnosząc wciąż palący się papieros: – Tylko papierosy są okropne.

– Panie Luo Ji, to okazja, żebyśmy się poznali. W dogodnym dla pana terminie możemy omówić pana osobiste plany finansowe i inwestycyjne. Jeśli nie ma pan więcej pytań, to pożegnam się z panem.

Konsultantka uśmiechnęła się i pomachała ręką.

– Mam jedno pytanie – odparł szybko. Nie wiedział, jak zwracać się do młodych kobiet w tej epoce, a nie chciał popełnić błędu, tytułując ją niewłaściwie, więc rzekł po prostu: – Nie jestem jeszcze obeznany z panującymi teraz zwyczajami, więc proszę mi wybaczyć, jeśli moje pytanie wyda się pani obraźliwe.

Doradczyni uśmiechnęła się i powiedziała:

– Nie ma problemu. Naszym obowiązkiem jest pomóc panu jak najszybciej zaznajomić się z obecną epoką.

– Jest pani człowiekiem czy robotem? A może programem?

Pytanie nie zmieszało doradczyni.

– Oczywiście, że jestem człowiekiem – odparła. – Czy komputer mógłby świadczyć tak skomplikowane usługi jak ta?

Gdy kobieta na tablicy zniknęła, Luo Ji rzekł do Shi Qianga:

– Da Shi, jest parę rzeczy, które trudno mi zrozumieć. Znaleźliśmy się w epoce, w której wynaleziono perpetuum mobile i potrafi się produkować syntetyczne zboże, ale wygląda na to, że technologia komputerowa nie posunęła się nawet o krok. Sztuczna inteligencja nie potrafi nawet zająć się osobistymi finansami człowieka.

– Jakie znowu perpetuum mobile? Masz na myśli maszynę, która może się wiecznie poruszać?

– Tak. Oznacza to nieograniczoną energię.

Shi Qiang rozejrzał się wokół.

– Gdzie?

Luo Ji wskazał na strumień latających pojazdów.

– Choćby te samochody. Są na ropę czy na akumulatory?

Shi Qiang potrząsnął głową.

– Ani na jedno, ani na drugie. Całą ropę na Ziemi wypompowano do sucha. Te samochody mogą latać wiecznie bez baterii czy akumulatorów i nigdy nie wyczerpie się im zasilanie. Są fantastyczne. Sam myślę o tym, żeby taki kupić.

– Jak możesz mówić tak obojętnie o technologicznym cudzie? Nieograniczona energia dla ludzkości. To równie wielkie wydarzenie jak stworzenie nieba i ziemi przez Pangu! Nie zdajesz sobie sprawy, jak wspaniała jest ta epoka?

Shi Qiang odrzucił niedopałek papierosa, ale po zastanowieniu schylił się, podniósł go z trawy i wrzucił do kosza na śmieci.

– Ja mówię obojętnie? Jesteś inteligentem, którego za bardzo poniosła wyobraźnia. W rzeczywistości już w naszych czasach mieliśmy taką

technologię.

– Żarty sobie ze mnie stroisz.

– Nie za bardzo znam się na technice, ale o tej jednej rzeczy wiem co nieco, bo tak się składa, że miałem okazję zakładać policyjną pluskwę, której nigdy nie wyczerpało się zasilanie, mimo że nie miała baterii. Wiesz, jak działała? Była zdalnie zasilana przez mikrofale. Taka właśnie jest dzisiejsza elektryczność, chociaż metody nieco się różnią od stosowanych w naszych czasach.

Luo Ji stanął i przez długą chwilę gapił się na Shi Qianga, a potem na samochody latające w powietrzu. Pomyślał o szklanych grzejnikach i w końcu zrozumiał: było to po prostu elektryczne zasilanie bezprzewodowe. Źródło energii emitowało elektryczność w postaci mikrofal albo innego promieniowania elektromagnetycznego, które tworzyło w pewnej przestrzeni pole elektryczne, i każde urządzenie mogło czerpać z niego energię przez antenę albo cewkę rezonansową. Jak powiedział Shi Qiang, już dwieście lat temu była to dobrze znana pospolita technologia. Nie była powszechnie używana tylko z jednego powodu – straty energii były zbyt duże. Można było wykorzystywać tylko niewielką część energii wysyłanej w przestrzeń, reszta się rozpraszała. Jednak w tej erze dzięki dojrzałej technologii kontrolowanej reakcji termojądrowej źródła energii zostały tak bardzo wzbogacone, że można się było pogodzić z jej stratami powstającymi wskutek bezprzewodowego przesyłu.

– A syntetyczne zboże? Nie potrafią uzyskiwać zboża w drodze syntezy? – zapytał.

– Tego nie jestem pewien. Zboże nadal wyrasta z ziarna, tyle że uprawia się je w fabrykach, w tych zbiornikach kultywacyjnych czy jak tam się to nazywa. Wszystkie rodzaje są genetycznie modyfikowane i słyszałem, że pszenica wypuszcza tylko kłos, bez łodygi. I pod wpływem sztucznego

światła i innych rzeczy, takich jak intensywne, wspomagające wzrost promieniowanie, rośnie bardzo szybko. Zbiory pszenicy czy ryżu mogą się odbywać co tydzień, więc z zewnątrz wygląda to tak, jakby schodziły z linii produkcyjnej.

– Och! – westchnął przeciągle Luo Ji, gdy piękny miraż się rozwiał i świat ukazał swoje prawdziwe oblicze. Wiedział już, że nadal wszędzie unoszą się sofony i postęp ludzkiej nauki jest wciąż zablokowany. Technologia nigdy nie będzie mogła przekroczyć wyznaczonej przez nie granicy.

– A te statki kosmiczne, które mogą osiągnąć piętnaście procent prędkości światła?

– To akurat prawda. Kiedy taki statek rusza, wygląda to tak, jakby na niebie rozbłysło małe słońce. A kosmiczna broń, w którą są wyposażone… przedwczoraj widziałem w telewizji relację z ćwiczeń Floty Azjatyckiej. Działo laserowe zmiotło cel wielkości lotniskowca. Połowa tego żelaznego kolosa wyparowała niczym bryłka lodu, a druga połowa wybuchła jak raca i posypał się z niej grad stopionych, żarzących się stalowych szczątków. Mamy też działa elektromagnetyczne, które wystrzeliwują sto żelaznych kul na sekundę, a każda ma wielkość piłki futbolowej i leci z prędkością kilkudziesięciu kilometrów na sekundę. W ciągu paru minut mogą zrównać z ziemią górę na Marsie… Tak więc, chociaż nie istnieje to twoje perpetuum mobile, dysponując taką technologią, ludzie są więcej niż zdolni pokonać flotę trisolariańską. – Shi Qiang poczęstował Luo Ji papierosem i pokazał mu, że ma przekręcić filtr, by go zapalić. Zaciągnęli się, wydmuchnęli dym i patrzyli, jak unosi się śnieżnobiałymi obłoczkami. – W każdym razie, mój chłopcze, mamy teraz dobre czasy.

– Tak, dobre.

Zaledwie to powiedział, gdy Shi Qiang skoczył na niego i obaj poturlali się na trawę parę metrów dalej. W tej samej chwili w miejscu, gdzie przed chwilą stali, rozbił się z głośnym hukiem latający samochód. Luo Ji poczuł, że zadrżała pod nim ziemia, a nad głową przeleciały mu ze świstem kawałki metalu i roztrzaskały pół tablicy reklamowej, z której posypały się szczątki przezroczystych szklanych rurek. Leżał jeszcze oszołomiony na ziemi, kiedy Shi Qiang poderwał się i podbiegł do wraku. Cała jego karoseria w kształcie dysku była popękana i zdeformowana, ale dzięki temu, że nie miał paliwa, nie stanął w ogniu. Z powyginanego metalu dobiegał tylko trzask iskier.

– W środku nie ma nikogo – rzekł Shi Qiang do kuśtykającego w jego stronę Luo Ji.

– Znowu ocaliłeś mi życie, Da Shi – powiedział Luo, opierając się na jego ramieniu i masując potłuczoną nogę.

– Nie wiem, ile jeszcze razy będę musiał to robić. Naprawdę powinieneś mieć oczy wkoło głowy. – Shi Qiang wskazał rozbity samochód. – Przypomina ci to coś?

Luo Ji pomyślał o wypadku sprzed dwustu lat i zadrżał.

Wokół zgromadził się tłum przechodniów, a na ich ubraniach pojawiły się jak na komendę sceny przerażenia. Wylądowały z wyciem syren dwa samochody policyjne. Wybiegło z nich kilku funkcjonariuszy i odgrodziło samochód taśmą. Ich mundury wysyłały policyjne sygnały świetlne, przy których blakły ubrania gapiów. Policjant, który podszedł do Shia Qianga i Luo Ji, miał tak jasny mundur, że obaj musieli zamknąć oczy.

– Byli panowie tutaj, kiedy spadł ten samochód. Nie jesteście ranni? – zapytał z troską w głosie. Najwyraźniej widział, że obaj są hibernatami, bo starał się mówić po „starochińsku”.

Zanim Luo zdążył odpowiedzieć, Shi Qiang odciągnął policjanta za taśmę odgradzającą miejsce zdarzenia i zgromadzony za nią tłum. Gdy tylko się tam znaleźli, mundur oficera przestał wysyłać sygnały świetlne.

– Musicie to sprawdzić. To mogła być próba zabójstwa – powiedział Shi Qiang.

Policjant się roześmiał.

– Naprawdę? To tylko wypadek komunikacyjny.

– Chcemy to zgłosić.

– Na pewno?

– Oczywiście. Zgłaszamy to.

– Robi pan z igły widły. Mogliście się przestraszyć, ale to naprawdę był wypadek komunikacyjny. Mimo to zgodnie z prawem, jeśli upieracie się panowie przy zgłoszeniu…

– Upieramy się.

Policjant nacisnął wyświetlacz na rękawie. Kiedy pokazało się okienko informacyjne, najpierw je przejrzał, a potem powiedział:

– Zgłoszenie zostało przyjęte. Przez najbliższych czterdzieści osiem godzin policja będzie was pilnowała, ale wymaga to waszej zgody.

– Zgadzamy się. Nadal może nam grozić niebezpieczeństwo.

Policjant znowu się roześmiał.

– To naprawdę pospolite zdarzenie.

– Pospolite zdarzenie? Pozwoli pan, że zapytam: do ilu przeciętnie tego rodzaju wypadków komunikacyjnych dochodzi co miesiąc w tym mieście?

– W ubiegłym roku było ich w sumie sześć czy siedem!

– No to powiem coś panu, panie władzo: w naszych czasach zdarzało się ich więcej każdego dnia.

– W waszych czasach wszystkie samochody jeździły po ziemi. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jakie to było niebezpieczne. No dobrze,

teraz jesteście w policyjnym systemie nadzoru. Zostaniecie powiadomieni o wszelkich postępach śledztwa w waszej sprawie, ale – proszę mi wierzyć – to zwykły wypadek komunikacyjny. Bez względu na to, czy złożylibyście doniesienie, czy nie, i tak dostalibyście odszkodowanie.

Gdy zostawili za sobą policję i miejsce wypadku, Shi Qiang powiedział:

– Lepiej chodźmy do mnie. Na dworze nie czuję się pewnie. To niedaleko stąd. Pewnie powinniśmy iść tam pieszo. Taksówki są automatyczne, więc nie jest to bezpieczne.

– Ale czy RZT nie został zniszczony? – zapytał Luo Ji, rozglądając się wokół.

W oddali latający większy samochód podniósł ten, który spadł. Tłum się rozszedł, a samochód policyjny odjechał. Wylądował za to pojazd służb miejskich i kilku robotników zabrało się do usuwania rozsypanych odłamków i wyrównywania terenu, który został uszkodzony podczas upadku. Po małym zamieszaniu w mieście powrócił normalny, miły spokój.

– Może tak. Ale musisz zaufać mojej intuicji, mój chłopcze.

– Nie jestem już Wpatrującym się w Ścianę.

– Zdaje się, że ten samochód tak nie myślał… Gdy będziemy szli, zwracaj uwagę na samochody nad tobą.

Starali się trzymać w miarę możliwości w cieniu drzewopodobnych budynków, a otwarte przestrzenie pokonywali biegiem. Wkrótce znaleźli się na skraju szerokiego placu i Shi Qiang powiedział:

– Mieszkam po drugiej stronie. Okrężną drogą byłoby za daleko, więc będziemy musieli tam pobiec.

– Czy to nie jest trochę paranoiczne? Może był to po prostu wypadek.

– Ale tylko „może”. Nie zaszkodzi zachować ostrożność… Widzisz tę rzeźbę pośrodku placu? W razie czego możemy się tam schować.

Na środku placu znajdowała się kwadratowa piaszczysta przestrzeń, jakby pustynia w miniaturze. Stojąca tam rzeźba składała się z grupy czarnych, podobnych do filarów przedmiotów, z których każdy miał wysokość dwóch czy trzech metrów. Z daleka wyglądały jak kępa uschniętych czarnych drzew.

Luo Ji pobiegł przez plac za Shi Qiangiem. Kiedy zbliżyli się do miniaturowej pustyni, usłyszał, że Shi krzyczy: – Szybko! Właź do środka! – i poczuł, że ciągnie go po ziemi i wpycha głową naprzód w tę uschniętą kępę. Kiedy leżał na ciepłym piasku, podniósł wzrok i zobaczył przez luki między czarnymi filarami, że nad kępę nadlatuje samochód, kręci się nad nią, a potem podrywa się do góry, przyspiesza i oddala. Spowodowany przez samochód podmuch wzbił w powietrze tuman piachu, który ze świstem uderzył w filary.

– Może nie leciał na nas.

– Hmm. Może – rzekł Shi Qiang, siadając i strzepując kurz z butów.

– Będą się z tego powodu z nas śmiali?

– Nie bój się. Kto nas pozna? Poza tym jesteśmy sprzed dwóch wieków, więc nawet jeśli jesteśmy całkowicie normalni, ludzie i tak będą się z nas śmiać. Mój chłopcze, zachowując ostrożność, nic nie tracimy. A jeśli jednak leciał na nas?

Dopiero wtedy Luo zwrócił uwagę na rzeźbę, w której byli. Spostrzegł, że filary nie były uschniętymi drzewami, lecz rękami wystającymi z pustyni. Ręce te składały się tylko ze skóry i z kości, dlatego na pierwszy rzut oka wyglądały jak drzewa. Dłonie były powyginane w różnych gestach, jakby wyrażały nieznośny ból.

– Co to za rzeźba?

W tym gąszczu wijących się rąk Luo czuł chłód, mimo że wciąż był spocony po biegu. Na brzegu rzeźby zobaczył obelisk z napisem wyrytym

złotymi znakami: ZNAJDŹCIE CZAS DLA CYWILIZACJI, BO CYWILIZACJA NIE ZNAJDZIE CZASU DLA WAS.

– Pomnik Wielkiego Jaru – rzekł Shi Qiang. Wydawał się nie mieć ochoty na dokładniejsze wyjaśnienie. Wyprowadził Luo z rzeźby i szybko powiódł przez drugą połowę placu. – W porządku, mój chłopcze. Tu mieszkam – powiedział, wskazując potężne architektoniczne drzewo przed nimi.

Idąc, Luo Ji rozglądał się wokół. Nagle usłyszał trzask, ziemia zapadła się pod jego stopami i runął w dół. Wpadł już po pierś, na szczęście Shi Qiang chwycił go i zdołał wyciągnąć. Stanął obok swego wybawcy i obaj spojrzeli na dziurę. Był to otwór studzienki kanalizacyjnej, którego pokrywa odsunęła się, gdy miał już postawić na niej nogę.

– Mój Boże! Nic się panu nie stało? To było naprawdę groźne! – powiedział głos wydobywający się z małej tablicy reklamowej obok nich. Tablica znajdowała się na ścianie małego pawilonu z automatem sprzedającym napoje i tym podobne rzeczy, a głos należał do młodego mężczyzny w niebieskim uniformie. Miał pobladłą twarz i wydawał się bardziej przerażony niż Luo Ji. – Jestem z Biura Kanalizacji Trzeciego Oddziału Urzędu Miasta. Ta pokrywa otworzyła się automatycznie. Może to usterka w oprogramowaniu.

– Często się to zdarza? – zapytał Shi Qiang.

– Och, nie, nie. W każdym razie widziałem to po raz pierwszy.

Shi Qiang podniósł z trawnika przy drodze mały, okrągły kamyk i wrzucił go do studzienki. Minęło trochę czasu, zanim usłyszeli plusk.

– Cholera. Jaką to ma głębokość? – zapytał mężczyznę z tablicy.

– Około trzydziestu metrów. Więc, jak powiedziałem, to było naprawdę groźne! Sprawdzałem naziemny system kanalizacyjny. W waszych czasach studzienki były dość płytkie. Ten wypadek został odnotowany. Panie… –

zerknął na swój rękaw – panie Luo, może się pan udać do naszego oddziału po odszkodowanie.

W końcu dotarli do holu prowadzącego do drzewa Shi Qianga, które miało numer 1863. Shi powiedział, że mieszka na gałęzi 106, blisko wierzchołka, i zaproponował Luo, by zjedli coś na dole, zanim pojadą na górę. Weszli do restauracji po jednej stronie holu. Poza tym, że wszystko było czyste jak na trójwymiarowym obrazie, inną charakterystyczną cechą tej epoki, która tutaj jeszcze bardziej rzucała się w oczy niż w centrum wybudzania, gdzie zobaczył to po raz pierwszy, były wszechobecne okna z dynamicznie zmieniającymi się informacjami. Znajdowały się na ścianach, stołach, krzesłach, podłodze i suficie, a nawet na małych przedmiotach, takich jak szklanki i serwetniki na stołach. Wszystkie miały łącza i wyświetlacze z przewijającym się tekstem albo obrazami, zupełnie jakby cała restauracja była jednym gigantycznym ekranem komputera ukazującym pełnię splendoru.

W środku było niewiele osób. Wybrali stolik pod oknem i usiedli. Shi Qiang stuknął w blat stolika, włączając interfejs, a potem zamówił kilka dań.

– Nie umiem odczytywać zagranicznego pisma, więc zamówiłem tylko chińskie potrawy.

– Wydaje się, jakby świat był zbudowany z wyświetlaczy niczym z klocków – rzekł z westchnieniem Luo Ji.

– To prawda. Może się rozświetlić wszystko, co ma gładką powierzchnię. – Z tymi słowami Shi Qiang wyjął paczkę papierosów i podał ją Luo. – Popatrz na to. To tylko paczka tanich papierosów.

Gdy tylko znalazła się w dłoniach Luo Ji, zaczęła wyświetlać serię miniaturowych obrazków, które wyglądały jak zdjęcia dań z jadłospisu.

– To… to tylko film – powiedział Luo, patrząc na paczkę.

– Film? Przez ten gadżet możesz wejść do sieci!

Shi Qiang wyciągnął rękę, stuknął w paczkę i jeden z miniaturowych obrazków zapadł się jak guzik pod tym stuknięciem, po czym całą powierzchnię paczki zajęła reklama, którą wybrał.

Na obrazku Luo Ji zobaczył rodziców siedzących z dzieckiem w salonie. Zdjęcie najwyraźniej pochodziło z dawnych czasów. Z paczki dobiegł piskliwy głos:

– Panie Luo, to epoka, w której pan żył. Wiemy, że wtedy wielkim marzeniem każdego było posiadanie domu w stolicy. Teraz Greenleaf Group może panu pomóc zrealizować to marzenie. Jak pan widzi, żyjemy we wspaniałych czasach. Domy przekształciły się w liście na drzewach. A Greenleaf Group może zapewnić panu liść każdego rodzaju. – W tym momencie pojawiła się scena dodawania liści do gałęzi, a potem ukazała się oszałamiająca liczba rozmaitych wiszących domów, z których jeden był całkowicie przezroczysty, z meblami, które zdawały się zawieszone w powietrzu. – Oczywiście możemy też zbudować dla pana tradycyjny dom na powierzchni, by mógł pan powrócić do ciepłej atmosfery złotego wieku i stworzyć… rodzinę… – Na ekranie pojawiły się trawnik i wolno stojący dom, być może inne stare zdjęcie. Artysta podkładający głos mówił płynnie po „starochińsku”, ale przed słowem „rodzina” zrobił pauzę, a potem wypowiedział je ze szczególną emfazą. W końcu było to coś, czego sam nie posiadał, coś, co należało do przeszłości.

Shi Qiang wziął z powrotem paczkę z jego rąk, wyjął dwa ostatnie papierosy, podał jednego Luo, a potem zmiął puste opakowanie i rzucił na stolik. Na zmiętej kulce nadal pokazywały się obrazki, ale dźwięk ucichł.

– Gdziekolwiek pójdę, najpierw wyłączam wszystkie wyświetlacze, które są wokół mnie. Cholernie mnie irytują – powiedział Shi, wyłączając rękami i nogami ekrany na stoliku i podłodze. – Ale tutejsi ludzie nie potrafią się

bez nich obyć. – Zatoczył ręką łuk. – Nie ma już komputerów. Każdy, kto chce wejść do sieci albo coś w tym stylu, może stuknąć w dowolną gładką powierzchnię. Rolę komputerów mogą też pełnić buty i odzież. Możesz mi wierzyć albo nie, ale widziałem nawet papier toaletowy, przez który możesz się połączyć z siecią.

Luo wyjął serwetkę. Była zrobiona ze zwykłego, niepodłączonego do sieci papieru, ale natychmiast uruchomił się serwetnik i piękna kobieta, najwidoczniej doskonale wiedząc o wszystkim, co mu się dzisiaj przydarzyło, i domyślając się, że może mieć zadrapania na rękach i nogach, zaoferowała mu bandaże.

– Boże – jęknął i wcisnął serwetkę z powrotem do serwetnika.

– To wiek informacji. Pod tym względem byliśmy cholernie prymitywni – rzekł Shi Qiang ze śmiechem.

Gdy czekali na jedzenie, Luo Ji zapytał Shi Qianga, jak mu się żyje. Czuł się nieco winny, że pyta o to dopiero teraz, ale patrząc wstecz na to, jak minął mu dzień, odnosił wrażenie, że w jego wnętrzu bez przerwy tyka mechanizm zegarowy. Dopiero teraz mógł trochę odsapnąć.

– Przeniesiono mnie na emeryturę. Nie jest źle – odparł po prostu Shi.

– Z Biura Bezpieczeństwa Publicznego czy z jednostki, w której byłeś później? Nadal istnieją?

– Istnieją. A BBP jest nadal BBP. Ale nie miałem z nimi związku już przed hibernacją. Jednostka, w której pracowałem później, należy teraz do Floty Azjatyckiej. Wiesz, ta flota to jakby wielkie państwo, więc teraz jestem obcokrajowcem. – Powiedziawszy to, wydmuchnął długi obłok dymu. Patrzył, jak dym się unosi, takim wzrokiem, jakby usilnie starał się rozwiązać trudną zagadkę.

– Państwa nie mają już takiego znaczenia jak kiedyś… Świat się zmienił. Ma się od tego mętlik w głowie. Na szczęście, Da Shi, ty i ja podchodzimy

do wszystkiego obojętnie i możemy żyć wszędzie, i to dobrze żyć.

– Luo, mój chłopcze, prawdę mówiąc, w pewnych sprawach nie jestem tak wolny od uprzedzeń jak ty. Nie potrafię się tak dystansować. Gdybym przeszedł przez to wszystko co ty, już dawno bym się rozkleił.

Luo Ji podniósł ze stołu zmięte opakowanie po papierosach, na którym nadal pojawiały się różne sceny, tyle że trochę odbarwione. Cały czas były to reklamy Greenleaf Group.

– Czy to jako mesjasz, czy jako uchodźca, mogę zawsze wykorzystać wszystkie posiadane środki i wieść szczęśliwe życie. Możesz uważać to za egoizm, ale szczerze mówiąc, to jedyna moja cecha, którą szanuję. Pozwól, Da Shi, że powiem coś o tobie. Wydajesz się beztroski, ale w głębi duszy cenisz odpowiedzialność. Daj sobie już z tym spokój. Spójrz na tę epokę. Komu jesteśmy potrzebni? Naszym najświętszym obowiązkiem jest używanie życia.

– Pewnie, ale gdybym pozbył się wszelkich obowiązków, nie miałbyś dzisiaj w ogóle apetytu.

Shi Qiang wrzucił niedopałek do popielniczki, co włączyło reklamę papierosów.

Luo Ji zdał sobie sprawę, że źle się wyraził.

– Och, nie, Da Shi, nadal masz obowiązek mnie chronić. Jeśli cię z niego zwolnię, zginę. Dzisiaj uratowałeś mnie już raz, dwa, trzy razy! A przynajmniej dwa i pół.

– Chcesz powiedzieć, że nie potrafię zostawić kogoś na pewną śmierć? Takie mam życie, muszę cię chronić – powiedział Shi Qiang, z dezaprobatą rozglądając się po sali, pewnie w poszukiwaniu stoiska z papierosami. Potem pochylił się do Luo i rzekł szeptem: – Ale przez chwilę naprawdę byłeś mesjaszem, mój chłopcze.

– Człowiek, który odgrywa taką rolę, nie może być zdrów na umyśle. Na szczęście teraz jestem znowu normalny.

– Jak wpadłeś na pomysł, żeby rzucić urok na tę gwiazdę?

– Miałem wtedy poważne urojenia. Nie chcę do tego wracać. Da Shi, możesz mi wierzyć albo nie, ale jestem pewien, że kiedy spałem, nie tylko wyleczono mnie z tej śmiertelnej choroby, ale również poddano leczeniu psychiatrycznemu. Naprawdę nie jestem już tą samą osobą co wtedy. Jak mogłem wpaść na taki głupi pomysł? Roić sobie takie rzeczy?

– Jakie rzeczy? Powiedz.

– Trudno to wyjaśnić w paru zdaniach. Poza tym nie ma to sensu. W swojej pracy musiałeś mieć do czynienia z paranoikami, osobami, które są przekonane, że ktoś chce je zabić. Czy jest sens słuchać ich gadania?

Luo Ji metodycznie rwał puste opakowanie po papierosach na kawałki. W ten sposób udało mu się w końcu zniszczyć obraz, ale kupka strzępów wciąż mieniła się groteskowymi kolorami.

– W porządku. Porozmawiajmy o czymś przyjemnym. Mój syn nadal żyje.

– Co? – Luo aż podskoczył ze zdumienia.

– Dowiedziałem się o tym dopiero przed dwoma dniami. Odnalazł mnie. Nie widzieliśmy się jeszcze, rozmawialiśmy tylko przez telefon.

– Nie jest…

– Nie wiem, ile czasu spędził za kratkami, ale potem poddał się hibernacji. Powiedział, że zrobił to po to, by się ze mną spotkać w przyszłości. Kto wie, skąd miał na to pieniądze. Teraz jest na powierzchni, ale jutro ma tu zjechać.

Przejęty Luo Ji wstał i zmiótł świecące strzępy ze stołu na podłogę.

– Och, Da Shi, to po prostu… Musimy to opić.

– No to strzelmy sobie po kielichu. Dzisiejszy alkohol ma wstrętny smak, ale tę samą moc co dawniej.

Przyniesiono jedzenie. Luo Ji nie rozpoznał żadnej potrawy, a Shi Qiang powiedział:

– Nic nie jest dobre. Istnieją restauracje zaopatrujące się w naturalnych gospodarstwach, ale to nie na moją kieszeń. Pójdziemy do którejś, gdy przybędzie Xiaoming.

Ale uwagę Luo Ji przyciągnęła kelnerka o nierealnie pięknej twarzy i ciele. Widział, że pozostałe kelnerki przesuwające się między stolikami miały taką samą anielską urodę.

– Hej, nie gap się jak idiota. To podróby.

– Roboty? – zapytał Luo. W końcu napotkał w przyszłości coś, o czym czytał w dzieciństwie w opowiadaniach fantastycznonaukowych.

– Coś w tym rodzaju.

– Co to znaczy „coś w tym rodzaju”?

Shi Qiang wskazał na kelnerkę robota i powiedział:

– Ta głupia dziewczyna umie tylko podawać jedzenie. Poruszają się stałymi trasami. Raz widziałem, jak na chwilę przesunięto stolik, ale dalej przynosiły dania na ustalone miejsce, więc potrawy lądowały na podłodze.

Po postawieniu talerzy kelnerka uśmiechnęła się słodko i życzyła im smacznego. Jej głos wcale nie brzmiał jak głos robota – był niewiarygodnie miły. Potem wyciągnęła rękę i podniosła nóż leżący przed Shi Qiangiem…

Jego wzrok przesunął się jak błyskawica z noża w rękach kelnerki na siedzącego naprzeciw niego Luo Ji. Skoczył, przewracając stolik, i gwałtownie ściągnął Luo na podłogę. Ułamek sekundy później robot dźgnął nożem w miejsce, gdzie byłoby serce Luo. Ostrze przebiło oparcie krzesła, uruchamiając jego interfejs informacyjny. Robot wyciągnął nóż i stał obok stołu z tacą w drugim ręku i słodkim uśmiechem na swej

nierealnie pięknej twarzy. Spanikowany Luo pozbierał się z podłogi i schował za Shi Qianga, ale ten tylko machnął ręką i rzucił:

– Nie bój się. Ten robot nie jest taki zwinny.

Tymczasem robot stał nieruchomo, trzymając nóż i uśmiechając się. Jeszcze raz życzył im swym miłym głosem smacznego.

Siedzący wokół goście patrzyli na to z osłupieniem. Przybiegł kierownik sali. Gdy usłyszał, że Shi Qiang oskarża robota o usiłowanie morderstwa, potrząsnął głową.

– To niemożliwe, proszę pana! One nie widzą ludzi. Widzą tylko czujniki na stolikach i na krzesłach!

– Zaświadczę, że ten robot podniósł nóż ze stołu i próbował zabić tego człowieka. Widzieliśmy to na własne oczy! – rzekł jakiś mężczyzna podniesionym głosem.

Pozostali świadkowie też to potwierdzili.

Kiedy kierownik sali zastanawiał się, jak odeprzeć te oskarżenia, robot po raz drugi dźgnął nożem w krzesło, trafiając dokładnie w dziurę, którą zrobił za pierwszym razem, i wywołując kilka okrzyków przerażenia.

– Smacznego – powiedział z uśmiechem.

Pojawiło się parę innych osób, włącznie z inżynierem zatrudnionym w restauracji. Nacisnął tył głowy kelnerki. Przestała się uśmiechać i powiedziała:

– Wymuszone wyłączenie. Kopia danych sporządzona.

Potem znieruchomiała.

– To prawdopodobnie usterka w oprogramowaniu – powiedział inżynier, wycierając zimny pot z czoła.

– Często się to zdarza? – zapytał Shi Qiang z sarkastycznym uśmiechem.

– Nie, nie! Przysięgam, że nigdy nie widziałem czegoś takiego – odparł inżynier, po czym kazał dwóm pomocnikom zabrać robota z sali.

Kierownik zapewniał solennie gości, że dopóki nie zostanie ustalona przyczyna awarii robota, usługiwać im będą prawdziwi kelnerzy, ludzie, ale i tak prawie połowa z nich wyszła.

– Bardzo szybko obaj zareagowaliście – rzekł z podziwem jeden z naocznych świadków.

– To hibernaci, w ich czasach ludzie mieli doświadczenie w reagowaniu na tego rodzaju nagłe wypadki – powiedział ktoś inny. Na jego ubraniu ukazał się obraz wojownika z mieczem.

– Panowie, to naprawdę była… – kierownik sali zwrócił się do Luo Ji i Shi Qianga. – W każdym razie gwarantuję, że dostaną panowie odszkodowanie.

– Dobrze. No to jedzmy.

Shi Qiang kiwnął na Luo Ji, by ten ponownie usiadł na swoim miejscu, i tym razem kelner przyniósł im nowe dania zamiast tych, które rozlały się i rozsypały. Nie otrząsnąwszy się jeszcze z kolejnego wstrząsu, Luo czuł plecami dziurę w oparciu.

– Da Shi – powiedział – zdaje się, że cały świat sprzysiągł się przeciw mnie. Wcześniej zrobił na mnie bardziej korzystne wrażenie.

Shi Qiang przyjrzał się jednej ze stojących przed nim potraw, a potem odparł:

– Mam na ten temat pewną teorię. – Podniósł głowę i nalał Luo alkoholu. – Na razie zostawmy to. Potem opowiem ci szczegółowo.

– Wypijmy za to, żebyśmy używali życia, za życie z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę – powiedział Luo, podnosząc kieliszek. – Za twojego syna.

– Naprawdę dobrze się czujesz? – zapytał Shi Qiang, uśmiechając się do niego.

– Byłem mesjaszem. Nic mnie nie przeraża. – Wzruszył ramionami, a potem wypił. Skrzywił się na smak alkoholu. – Mocne jak paliwo rakietowe.

– Zuch z ciebie, mój chłopcze. Zawsze był z ciebie zuch – rzekł Shi Qiang, podnosząc kciuk.

Liść, w którym mieszkał Shi Qiang, znajdował się na czubku drzewa. Dom był przestronny i w pełni wyposażony w sprzęt umożliwiający wygodne życie. Była tam salka do ćwiczeń, a nawet wewnętrzny ogród z fontanną.

– To tymczasowe lokum, które dostałem od floty. Powiedzieli mi, że za swoją emeryturę mogę kupić lepsze.

– Czy w dzisiejszych czasach każdy musi mieć taki duży metraż?

– Pewnie tak. Tego rodzaju budynki to najlepsze wykorzystanie przestrzeni. Duży liść ma taką kubaturę jak cały budynek w naszej epoce. Ale przede wszystkim jest mniej ludzi. Dużo mniej, zwłaszcza od Wielkiego Jaru.

– Ale twój kraj jest w przestrzeni kosmicznej, Da Shi.

– Nie polecę tam. Jak wiesz, jestem już emerytem.

Wnętrze mieszkania Shi Qianga miało kojący wpływ na oczy Luo Ji, przede wszystkim dlatego, że większość ekranów informacyjnych była wyłączona, chociaż na ścianach i na podłodze widać było rozproszone błyski. Shi Qiang nacisnął stopą złącze na podłodze i jedna ze ścian stała się przezroczysta, ukazując im widok miasta nocą. Był to przyprawiający o zawrót głowy las choinek bożonarodzeniowych połączonych sznurami świateł latających samochodów.

Luo Ji podszedł do kanapy, która w dotyku była twarda jak marmur.

– Na tym się siada? – zapytał.

Na twierdzącą odpowiedź Shi usiadł ostrożnie, ale natychmiast poczuł się tak, jakby zatapiał się w miękkiej glinie. Siedzenie i oparcie kanapy dostosowały się do kształtu jego ciała, co zminimalizowało nacisk.

Zmaterializowała się wizja, której doznał przed dwustu laty w pokoju medytacji w budynku ONZ.

– Masz jakieś pigułki nasenne? – zapytał.

Teraz, gdy poczuł się bezpiecznie, dopadło go zmęczenie.

– Nie, ale możesz je stąd kupić – odparł Shi Qiang i znowu włączył ścianę. – O, tutaj. Tabletki na sen bez recepty. Weź tę, rzekę snów.

Chociaż Luo Ji myślał, że będzie świadkiem jakiejś zaawansowanej technicznie operacji przesłania przez sieć przedmiotów materialnych, rzeczywistość okazała się dużo prostsza. Po kilku minutach przy przezroczystej ścianie zatrzymała się latająca furgonetka dostawcza i dostarczyła cienką mechaniczną ręką lek przez portal, który się otworzył. Luo wziął specyfik od Shi Qianga. Było to tradycyjne pudełeczko, bez żadnego wyświetlacza. Według podanego na nim sposobu użycia należało wziąć jedną tabletkę, więc otworzył pudełko, wyjął jedną i sięgnął po szklankę wody stojącą na stoliku do kawy.

– Zaczekaj – powiedział Shi Qiang, wziął pudełko od Luo i przeczytał uważnie całą instrukcję, po czym oddał mu je. – Co tu jest napisane? Te, o które prosiłem, nazywają się rzeka snów.

Luo Ji zobaczył długi ciąg skomplikowanych angielskich nazw.

– Nie znam się na tym. Ale na pewno nie jest to rzeka snów.

Shi Qiang włączył ścianę przy stoliku do kawy i zaczął szukać konsultanta medycznego. W końcu z pomocą Luo znalazł takiego, biało odzianego lekarza, który zbadał pudełko, a następnie spojrzał na Shi Qianga z dziwnym wyrazem twarzy.

– Skąd to się tu wzięło? – zapytał nieufnie.

– Kupiłem to. Tutaj.

– Niemożliwe. To lek wydawany na receptę. Jest stosowany tylko w centrum hibernacji.

– Co ma wspólnego z hibernacją?

– To środek do krótkotrwałej hibernacji. Można nim uśpić kogoś na okres od dziesięciu dni do roku.

– Wystarczy to połknąć?

– Nie. Potrzebny jest cały zestaw systemów zewnętrznych dla podtrzymania krążenia, zanim dojdzie do tej krótkotrwałej hibernacji.

– A jeśli weźmie się go bez tych systemów?

– Wtedy się umrze. Ale bezboleśnie i spokojnie. Dlatego jest często zażywany przez samobójców.

Shi Qiang zamknął okno i rzucił pudełko na stół. Przez chwilę patrzył na Luo Ji, po czym powiedział:

– Niech to szlag!

– Niech to szlag! – powtórzył Luo i opadł z powrotem na kanapę.

I wtedy dokonano ostatniej tego dnia próby zamachu na jego życie.

Gdy jego głowa dotknęła twardego oparcia, szybko dopasowało się ono do jej tyłu i zaczęło wyginać, tworząc wgłębienie odpowiednie dla jej kształtu. Ale ten proces nie skończył się na tym. Głowa i kark nadal opadały, aż oparcie kanapy utworzyło coś w rodzaju dwóch macek, które owinęły się ciasno wokół jego szyi. Nie zdążył nawet krzyknąć, tylko otworzył usta i rozpaczliwie szarpał rękami duszące go macki. Oczy wyszły mu z orbit.

Shi Qiang wpadł do kuchni i wrócił z nożem, którym ciął kilka razy po mackach, a potem wydobył z nich szyję Luo. Kiedy ten zsunął się z kanapy na podłogę, na jej powierzchni ukazał się długi ciąg błędnych komunikatów.

– Ile razy uratowałem ci dzisiaj życie, mój chłopcze? – powiedział, rozcierając ręce.

– To… jest… szósty – odparł Luo, łapiąc z trudem powietrze. Zwymiotował na podłogę. Potem odchylił się osłabiony do tyłu, ale natychmiast, jak rażony prądem, wyprostował się z powrotem. – Kiedy stanę się taki zwinny jak ty i będę mógł sam bronić się przed zamachami?

– Pewnie nigdy – powiedział Shi Qiang.

Podjechała podobna do odkurzacza maszyna i usunęła wymiociny z podłogi.

– No to jestem już martwy. Ten świat jest porąbany.

– Nie jest tak źle. Przynajmniej wyrobiłem sobie zdanie na temat całej tej sytuacji. Pierwszy zamach na twoje życie się nie udał, a potem było jeszcze pięć prób. To jest głupota, nie profesjonalna robota. Coś musiało gdzieś nawalić… Musimy natychmiast skontaktować się z policją. Nie możemy czekać, aż rozgryzą tę sprawę.

– Ale kto i gdzie popełnił błąd? Minęły dwa wieki, Da Shi. Nie możesz podchodzić do tego w taki sam sposób jak w naszych czasach.

– Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, mój chłopcze. A czyj to błąd, nie wiem. Zastanawiam się nawet, czy istnieje osoba, która za to odpowiada…

Zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Shi Qiang otworzył je i zobaczył kilku ludzi. Byli w ubraniach cywilnych, ale rozpoznał ich, zanim dowódca błysnął odznaką.

– O! A więc i w tym społeczeństwie są piesze patrole. Wejdźcie.

Trzech weszło do środka, dwóch zostało na straży za drzwiami. Dowodzący nimi policjant, który wyglądał na około trzydziestu lat, obejrzał pokój. Podobnie jak Shi Qiang i Luo Ji miał wyłączone wszystkie wyświetlacze na ubraniu, dzięki czemu poczuli się swobodnie, i mówił płynnie czystym „starochińskim”, nie wtrącając żadnych słów angielskich.

– Jestem Guo Zhengming z Wydziału Rzeczywistości Cyfrowej BBP. Przepraszam za opóźnienie. To było zaniedbanie. Ostatni podobny do tego przypadek zdarzył się pół wieku temu. – Ukłonił się Shi Qiangowi. – Składam wyrazy szacunku starszemu funkcjonariuszowi. W obecnych czasach bardzo rzadko można spotkać w służbie kogoś z takimi umiejętnościami.

Luo Ji i Shi Qiang zauważyli, że kiedy Guo mówił, wyłączyły się wszystkie ekrany w mieszkaniu. Liść został wyraźnie odcięty od zewnętrznego świata przesyconego informacjami. Pozostali dwaj funkcjonariusze byli pochłonięci pracą. Trzymali coś, czego Shi Qiang nie widział od wieków: notebook. Ale komputer był cienki jak arkusz papieru.

– Instalują zaporę sieciową dla tego liścia – wyjaśnił Guo. – Możecie być spokojni, teraz jesteście bezpieczni. I gwarantuję, że otrzymacie odszkodowanie z miejskiego oddziału BBP.

– Dzisiaj zagwarantowano nam odszkodowanie – powiedział Shi Qiang, licząc na palcach – już cztery razy.

– Wiem. I mnóstwo ludzi z wielu wydziałów straciło przez to pracę. Błagam was o współpracę, bo nie chcę do nich dołączyć. Z góry dziękuję – rzekł z ukłonem.

– Rozumiem – stwierdził Shi Qiang. – Ja też bywałem w takiej sytuacji. Chce pan, żebyśmy opowiedzieli, co się stało?

– Nie musicie. Cały czas mieliśmy was na oku. To tylko zaniedbanie.

– Może nam pan powiedzieć, co się dzieje?

– Killer 5.2.

– Co?

– To wirus komputerowy. RZT wpuściła go po raz pierwszy do sieci około stu lat temu, a potem pojawiały się jego różne warianty i aktualizacje. To wirus morderca. Najpierw ustala różnymi metodami, włącznie

z odczytaniem czipa, który wszczepiany jest wszystkim, tożsamość celu. Gdy go zlokalizuje, manipuluje wszelkim dostępnym sprzętem tak, by go zabić. Jak to konkretnie wygląda, przekonaliście się dzisiaj na własnej skórze. Wydaje się, że cały świat chce waszej śmierci. Dlatego w tamtych czasach nazywano to „współczesnym przekleństwem”. Skomercjalizowano nawet program Killera i przez pewien czas sprzedawano na czarnym rynku. Wprowadzałeś numer dowodu tożsamości celu i ładowałeś wirusa. Nawet jeśli takiej osobie udało się uniknąć śmierci, miała ciężkie życie.

– Aż tak się rozwinął ten przemysł? Niewiarygodne! – wykrzyknął Shi Qiang.

– Programy sprzed stu lat mogą nadal działać? – zapytał z niedowierzaniem Luo Ji.

– Oczywiście. Informatyka i technologia budowy komputerów przestały się rozwijać już dawno temu. Kiedy pojawił się Killer, zabił sporo osób, włącznie z głową pewnego państwa, ale w końcu zapanowano nad nim dzięki zaporom sieciowym i oprogramowaniu antywirusowemu, więc stopniowo zniknął. Ta wersja programu została stworzona tylko w celu zabicia doktora Luo, a ponieważ znajdował się on w stanie hibernacji, wirus nigdy dotąd nie miał okazji podjąć konkretnych działań. Pozostawał w uśpieniu, więc nie mógł zostać wykryty ani zarejestrowany przez system bezpieczeństwa informatycznego. Aktywował się dopiero dzisiaj, kiedy doktor Luo znowu pojawił się na świecie, i przystąpił do wykonania swojego zadania. Tyle tylko, że ci, którzy go stworzyli, zostali zlikwidowani sto lat temu.

– Jeszcze sto lat temu planowali mnie zabić? – rzekł Luo Ji. Ogarnął go nastrój, którego, jak myślał, pozbył się dawno temu. Znowu starał się od niego uwolnić.

– Tak. Kluczowe znaczenie w sprawie tego wirusa ma fakt, że został stworzony tylko po to, by zabić pana. Nigdy wcześniej się nie ujawnił i dlatego mógł do dzisiaj czekać na pana w ukryciu.

– To co mamy teraz robić? – zapytał Shi Qiang.

– Cały system zostanie oczyszczony z Killera 5.2, ale to trochę potrwa. Zanim go całkowicie usuniemy, macie do wyboru jedną z dwóch możliwości. Po pierwsze, doktorowi Luo można tymczasowo stworzyć nową tożsamość, ale nie zapewni mu to pełni bezpieczeństwa i może mieć inne, poważniejsze konsekwencje. Dzięki technologicznemu zaawansowaniu programu RZT Killer 5.2 mógł już zapisać inne cechy celu. W jednym przypadku, który wiek temu wywołał sensację, kiedy chronionej osobie nadano nową tożsamość, Killer 5.2 po rozmytej identyfikacji zabił ponad sto osób, włącznie z celem. Druga możliwość, której wybór osobiście doradzam, jest taka, żebyście na pewien czas przenieśli się na powierzchnię. Nie ma tam żadnego sprzętu, którym Killer 5.2 mógłby manipulować.

– Zgadzam się – rzekł Shi Qiang. – Nawet gdyby nie wymusiła tego na nas sytuacja, i tak chciałbym wyjechać na powierzchnię.

– A co jest na powierzchni? – zapytał Luo.

– Mieszka tam większość hibernatów. Ciężko im jest przystosować się do życia tutaj.

– Tak. I dlatego powinniście tam chociaż trochę pomieszkać – powiedział Guo. – W ciągu dwóch stuleci bardzo się zmieniło wiele aspektów rzeczywistości społecznej – polityka, gospodarka, kultura, styl życia i stosunki między płciami – więc przystosowanie się do tych zmian zajmuje nam trochę czasu.

– Ale pan się całkiem dobrze przystosował – powiedział Shi Qiang, przyglądając się mu.

I on, i Luo Ji zwrócili uwagę na to, że powiedział „nam”.

– Poddałem się hibernacji z powodu białaczki i kiedy się obudziłem, byłem jeszcze bardzo młody – miałem dopiero trzynaście lat – odparł ze śmiechem Guo Zhengming. – Ale ludzie nadal nie mają pojęcia, jak było mi trudno. Sam nie wiem, ile razy przechodziłem psychoterapię.

– Ilu jest hibernatów, którym udało się, tak jak panu, całkowicie się przystosować do współczesnego życia? – zapytał Luo Ji.

– Mnóstwo. Ale na powierzchni też da się nieźle żyć.

– Melduje się dowódca Specjalnego Kontyngentu Przyszłych Uzupełnień Zhang Beihai – powiedział Zhang i zasalutował.

Za dowódcą Floty Azjatyckiej płynęła lśniąca Droga Mleczna. Siedziba dowództwa floty znajdowała się na orbicie wokół Jowisza i stale się obracała, by wytworzyć sztuczną grawitację. Zhang Beihai zauważył, że światło w pokoju jest względnie słabe, a szerokie okna zdają się tak zaprojektowane, by jak najściślej zintegrować wnętrze z otoczeniem zewnętrznym.

Dowódca również zasalutował.

– Witam mojego poprzednika.

Wyglądał całkiem młodo, azjatyckie rysy jego twarzy oświetlał blask bijący od epoletów i insygniów na czapce. Gdy szóstego dnia po przebudzeniu Zhang Beihai otrzymał mundur, zauważył dobrze mu znaną odznakę Sił Kosmicznych: srebrną gwiazdę wysyłającą w cztery strony lśniące promienie w kształcie mieczy. Minęły dwa wieki i chociaż insygnia niewiele się zmieniły, flota stała się niepodległym państwem, z prezydentem jako najwyższym przywódcą. Dowódca był odpowiedzialny tylko za wojsko.

– Za wiele powiedziane, panie dowódco – rzekł Zhang. – Teraz wszyscy jesteśmy nowymi rekrutami, którzy muszą się wszystkiego nauczyć.

Dowódca uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nie może pan tak mówić. Nauczyliście się już wszystkiego, czego trzeba było się nauczyć. A my nigdy nie zdołamy posiąść takiej wiedzy jak wasza. Właśnie dlatego was obudziliśmy.

– Dowódca chińskich Sił Kosmicznych Chang Weisi prosił, żebym przekazał od niego pozdrowienia.

Słowa Zhanga poruszyły coś w sercu dowódcy. Odwrócił się i spojrzał przez okno na gwiazdy, które wyglądały jak górny bieg długiej rzeki.

– Chang Weisi był wyjątkowym generałem, jednym z założycieli Floty Azjatyckiej. Dzisiejsza strategia kosmiczna nadal rozwija się w ramach, które nakreślił dwa wieki temu. Żałuję, że nie może zobaczyć dzisiaj swego dzieła.

– Dzisiejsze osiągnięcia znacznie przewyższają to, co mógł sobie wymarzyć.

– Ale to wszystko zaczęło się w jego… w waszych czasach.

Potem ukazał się Jowisz, najpierw jako kawałek łuku, ale potem szybko zajął całe okno, zalewając pokój pomarańczowym światłem. Smugi wodoru i helu w jego wspaniałym oceanie układały się we wzory zapierające dech w piersiach. W polu widzenia pojawiła się Wielka Czerwona Plama. Antycyklon, który mógłby pomieścić dwie planety o średnicy Ziemi, wyglądał jak ogromne, pozbawione źrenicy oko tego zamglonego świata. Trzy floty kosmiczne założyły swoje główne bazy na Jowiszu, ponieważ jego wodorowo-helowy ocean był niewyczerpanym źródłem paliwa dla reaktorów termojądrowych.

Widok tej planety poraził Zhanga. Niezliczoną ilość razy marzył o nowym terytorium, które teraz rozciągało się przed jego oczami. Zanim

odpowiedział, poczekał, aż z okna zniknie Jowisz.

– Panie dowódco, osiągnięcia tej epoki sprawiły, że nasza misja stała się niepotrzebna.

Dowódca odwrócił się do niego.

– Nieprawda. Plan przyszłych uzupełnień był dalekowzroczną inicjatywą. Podczas Wielkiego Jaru, gdy siły kosmiczne znalazły się na progu upadku, specjalne kontyngenty odegrały ważną rolę w ustabilizowaniu ogólnej sytuacji.

– Ale nasz kontyngent przybył za późno, żeby pomóc.

– Przykro mi, ale tak się sprawy mają – rzekł dowódca. Ostre rysy jego twarzy złagodniały. – Po was wysłano w przyszłość następne kontyngenty i na początku obudzono ostatnie.

– To zrozumiałe, ponieważ ramy ich wiedzy były bliższe ramom wiedzy tej ery.

– Zgadza się. W końcu w hibernacji został tylko wasz kontyngent. Wielki Jar się skończył i świat wkroczył w okres szybkiego rozwoju. Defetyzm praktycznie zniknął, nie było więc potrzeby was budzić. Flota podjęła decyzję, żeby trzymać was w uśpieniu aż do bitwy w dniu Sądu Ostatecznego.

– W istocie rzeczy na to właśnie liczyliśmy – powiedział z podnieceniem Zhang Beihai.

– Jest to też najwyższy zaszczyt dla wszystkich, którzy służą w siłach kosmicznych. Ci, którzy podejmowali tę decyzję, byli tego w pełni świadomi. Jednak, jak oczywiście pan wie, obecne okoliczności są diametralnie inne. – Dowódca wskazał rzekę za swoimi plecami. – Może nawet nigdy nie dojdzie do bitwy sądnego dnia.

– To wspaniale, panie komendancie. Jako żołnierz żałuję, że nie wezmę udziału w tej bitwie, ale mój żal nic nie znaczy w porównaniu ze

wspaniałym zwycięstwem, jakim będzie się cieszyć ludzkość. Mam tylko nadzieję, że spełni pan jedną naszą prośbę – pozwoli nam pan wstąpić do floty jako szeregowym żołnierzom i wykonywać zadania, do których się nadajemy.

Dowódca potrząsnął głową.

– Od momentu przebudzenia okres służby wszystkich członków kontyngentu specjalnego traktowany jest jako jej kontynuacja, a ranga każdego z was zostanie podniesiona o stopień lub dwa.

– Nie powinno tak być, panie dowódco. Nie chcemy spędzić reszty służby w biurze. Chcemy się znaleźć na pierwszych liniach floty. Dwieście lat temu siły kosmiczne były naszym marzeniem. Bez tego nasze życie straciłoby sens. Nawet przy naszych obecnych stopniach nie mamy odpowiednich kwalifikacji do pracy we flocie.

– Nie powiedziałem, że chcę się was pozbyć z floty. Jest dokładnie odwrotnie. Będziecie służyć we flocie, żeby dokończyć wasze bardzo ważne zadanie.

– Dziękuję, panie dowódco. Ale jakie może być teraz dla nas zadanie?

Zamiast mu odpowiedzieć, dowódca zapytał takim tonem, jakby właśnie przyszło mu to do głowy:

– Nie przeszkadza panu, że rozmawiamy na stojąco?

W gabinecie nie było krzeseł, a stół został zaprojektowany tak, by można było przy nim pracować w pozycji stojącej. Rotacja siedziby dowództwa floty wytwarzała grawitację równą jednej szóstej grawitacji ziemskiej, co oznaczało, że między tym, czy się stało czy siedziało, nie było dużej różnicy.

Zhang Beihai uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Absolutnie nie. Spędziłem rok w przestrzeni kosmicznej.

– A co z językiem? Nie ma pan żadnych kłopotów z porozumiewaniem się z innymi członkami floty?

Dowódca używał standardowego chińskiego, ale trzy floty stworzyły własny język, podobny do współczesnej angielszczyzny i chińszczyzny na Ziemi, przy czym oba języki bardziej się wymieszały ze sobą. Jedną połowę słownika stanowiły słowa chińskie, drugą angielskie.

– Na początku miałem, głównie dlatego, że nie mogłem odróżnić chińskich słów od angielskich, ale bardzo szybko zacząłem go rozumieć. Gorzej jest z mówieniem.

– To nieważne. Bez względu na to, czy będzie pan mówił po chińsku czy po angielsku, zrozumieją pana. Znaczy to, że w sztabie generalnym otrzymał pan pełne informacje, tak?

– Tak. Podczas pierwszych kilku dni pobytu w bazie wprowadzono nas we wszystkie sprawy.

– Wobec tego musi pan wiedzieć o plombie mentalnej.

– Tak jest.

– Podczas niedawno przeprowadzonego śledztwa nie odkryto ani śladu naznaczonych. Jak pan to zinterpretuje?

– Myślę, że są dwie możliwości: albo zniknęli, albo głęboko się ukryli. Jeśli ktoś jest zwykłym defetystą, to mówi o tym innym. Ale stuprocentowa, niewzruszona wiara, umocniona za pomocą środków technicznych, musi nieuchronnie wytworzyć poczucie misji. Defetyzm i eskapizm są ze sobą ściśle związane, więc jeśli naznaczeni rzeczywiście istnieją, ich najwyższym celem musi być ucieczka w głąb Wszechświata. Jednak by osiągnąć ten cel, muszą głęboko skrywać to, co naprawdę myślą.

Dowódca kiwnął głową na znak zgody.

– Świetna analiza. Taka jest opinia sztabu generalnego.

– Druga możliwość jest bardzo niebezpieczna, panie dowódco.

– Tak, zwłaszcza teraz, kiedy sonda Trisolarian jest tak blisko Układu Słonecznego. Obecnie flota dzieli się na dwie główne grupy, w których istnieją odmienne systemy dowodzenia. Pierwszy system, dowodzenie rozproszone, jest podobny do tego, jaki obowiązywał na okręcie, którym pan kiedyś dowodził. Rozkazy kapitana przekazywane są przez kolejne szczeble operacyjne. Drugim jest system scentralizowany. Rozkazy kapitana wykonuje automatycznie komputer pokładowy. Do tej kategorii należy większość najnowszych jednostek oraz te, które są obecnie budowane. Plomba mentalna stanowi zagrożenie głównie dla tej kategorii, ponieważ kapitan statku ma nad nim ogromną władzę. Może samodzielnie decydować o tym, kiedy statek wychodzi z portu i kiedy tam wraca, wyznaczać jego kurs i kontrolować prędkość, a nawet dużą część systemów uzbrojenia. Można by powiedzieć, że w tym systemie dowodzenia statek jest przedłużeniem rąk kapitana. W tej chwili scentralizowany system dowodzenia ma 179 z 695 statków klasy gwiezdnej. Dokonamy przeglądu oficerów dowodzących tymi statkami. Pierwotnie zakładano, że wszystkie statki poddane przeglądowi będą stały opieczętowane w portach, ale obecne okoliczności nie pozwalają na to, ponieważ wszystkie trzy floty przygotowują się do przejęcia trisolariańskiej sondy. Będzie to pierwsze prawdziwe starcie floty kosmicznej z najeźdźcami z Trisolaris, więc wszystkie statki muszą być w pogotowiu.

– A więc dowództwo nad statkami o scentralizowanym systemie trzeba powierzyć wiarygodnym osobom – powiedział Zhang Beihai. Zastanawiał się, na czym ma polegać jego zadanie, ale na razie nie domyślał się tego.

– A kto jest wiarygodny? – zapytał dowódca. – Nie wiemy, ile osób dało sobie założyć plombę mentalną, i nie mamy żadnych informacji o naznaczonych. W tej sytuacji nie można ufać nikomu, nawet mnie.

Za oknem pokazało się Słońce. Chociaż z tej odległości jego światło było dużo słabsze niż na Ziemi, dowódcę przesłonił ten blask i został tylko jego głos:

– Ale wy wszyscy jesteście wiarygodni, bo kiedy poddano was hibernacji, plomba mentalna jeszcze nie istniała. A do najważniejszych czynników, które zdecydowały o wyborze was do specjalnego kontyngentu, należały wasza lojalność i wiara w zwycięstwo. W tej chwili jesteście jedyną godną zaufania grupą we flocie. A zatem flota postanowiła przekazać wam scentralizowany system dowodzenia, mianować was osobami pełniącymi obowiązki kapitanów, przez których ręce muszą przejść wszystkie rozkazy dotychczasowych kapitanów, zanim zostaną wydane komputerom.

W oczach Zhang Beihaia zaświeciły się dwa małe słońca.

– Panie kapitanie, obawiam się, że to niemożliwe.

– Odmowa wykonania rozkazu nie należy do naszej tradycji.

Na dźwięk słów „nasza tradycja” Zhang Beihaiowi zrobiło się cieplej na sercu, ponieważ świadczyły one o tym, że we flocie przetrwał wojskowy duch sprzed dwustu lat.

– Panie dowódco, przecież pochodzimy sprzed dwóch wieków. To tak, jakby w marynarce za moich czasów dowództwo zbudowanego w dwudziestym pierwszym wieku niszczyciela powierzono kapitanowi floty Beiyang z czasów dynastii Qing.

– Naprawdę uważa pan, że admirałowie Deng Shichang i Liu Buchan[1] nie potrafiliby dowodzić waszymi niszczycielami? Byli wykształceni i dobrze mówili po angielsku. Nauczyliby się. Dzisiaj dowodzenie kosmicznym statkiem wojennym nie wymaga znajomości szczegółów technicznych. Kapitan wydaje rozkazy ogólne, ale statek jest dla niego czarną skrzynką. Poza tym podczas pełnienia przez was funkcji kapitanów

statki będą stały w bazie. Nie będą latały. Waszym obowiązkiem będzie przekazywanie systemom dowodzenia rozkazów dotychczasowych kapitanów, kiedy zdecydujecie, czy są one normalne czy nie. Poradzicie sobie z tym, gdy się nauczycie.

– Będziemy mieli za dużą władzę. Moglibyście pozostawić byłym kapitanom część tej władzy, a my moglibyśmy sprawować nad nimi nadzór.

– Jeśli pan to dobrze przemyśli, zda pan sobie sprawę, że to się nie sprawdzi. Jeśli naznaczeni rzeczywiście zajmują kluczowe stanowiska, podejmą wszelkie niezbędne kroki, by uniknąć waszego nadzoru, włącznie z zabiciem nadzorców. Przygotowany statek wymaga tylko trzech rozkazów, by wystartować, a potem jest już za późno, by cokolwiek zrobić. System musi przyjmować rozkazy tylko od osoby pełniącej funkcję kapitana.

Kiedy wiozący go transporter sunął nad bazą Floty Azjatyckiej na orbicie Jowisza, Zhang Beihai odniósł wrażenie, jakby przelatywał nad łańcuchem wysokich gór, tyle że każda z nich była stojącym w porcie statkiem. Baza znalazła się w strefie nocy, stalowe góry cicho spały w fosforescencji wydzielanej przez powierzchnię planety i w padającym z góry srebrnym, księżycowym świetle Europy. Chwilę później ze skraju tego górskiego łańcucha wzniosła się kula białego światła, wyraźnie ukazując sylwetki zacumowanych statków. W oczach Zhang Beihaia wyglądało to jak wschód słońca nad górami, które rzucały przesuwający się cień na wzburzoną atmosferę Jowisza w dole. Gdy z przeciwnej strony pojawiło się drugie światło, uświadomił sobie, że nie było to Słońce, lecz dwa statki wojenne wchodzące do portu, które obróciły termojądrowe silniki w kierunku bazy, by wytracić prędkość.

Szef sztabu floty, który odwoził go na nowe stanowisko, powiedział, że w bazie znajduje się teraz ponad czterysta statków, dwie trzecie Floty Azjatyckiej. Oczekiwano też powrotu pozostałych jednostek, które krążyły po Układzie Słonecznym i poza nim.

Zhang musiał oderwać wzrok od wspaniałego spektaklu i powrócić do rzeczywistości.

– Czy odwołanie wszystkich statków nie sprowokuje naznaczonych do podjęcia natychmiastowego działania? – zapytał.

– Hmm. Nie, statkom wydano rozkaz powrotu z innego powodu. To prawdziwy powód, nie wymówka, chociaż może się wydawać trochę absurdalny. Jak rozumiem, nie oglądał pan najnowszych wiadomości?

– Nie. Czytałem materiały o *Doborze Naturalnym*.

– Niech się pan tym nie przejmuje. Jak wynika z ostatniej fazy podstawowego szkolenia, chwyta pan wszystko w lot. Pańskim zadaniem jest teraz zapoznać się z systemami w takim stopniu, by odkąd znajdzie się pan na pokładzie, wszystko przebiegało sprawnie. To nie jest takie trudne, jak się panu wydaje… Rywalizacja między trzema flotami o to, kto przejmie trisolariańską sondę, przerodziła się w kłótnię, ale wczoraj Połączone Kolegium doszło do porozumienia: jednostki wszystkich flot wrócą do baz. Wykonanie manewru przejęcia będzie nadzorować specjalna komisja, żeby zapobiec wysłaniu jakichś statków bez zezwolenia.

– Dlaczego do tego doszło? Przecież i tak wszystkie informacje uzyskane w wyniku udanego przejęcia sondy zostaną przekazane pozostałym.

– Owszem, ale to sprawa honoru. Flota, która pierwsza nawiąże kontakt z wrogiem, zbije na tym duży kapitał polityczny. Dlaczego powiedziałem, że to absurdalne? Bo jest to tanie i nieobciążone żadnym ryzykiem przedsięwzięcie. Najgorsze, co się może zdarzyć, to samozniszczenie sondy podczas próby jej przechwycenia, dlatego wszyscy chcą ją dorwać. Gdyby

miała to być bitwa z trzonem trisolariańskiej floty, to wszystkie strony starałyby się oszczędzać siły. Dzisiaj polityka wygląda inaczej niż w pańskich czasach… O, tam jest *Dobór Naturalny*.

Gdy transporter zbliżył się do *Doboru Naturalnego* i widok tej góry żelaza stał się wyraźny, w umyśle Zhang Beihaia pojawił się obraz *Tanga*. *Dobór Naturalny*, składający się z kadłuba w kształcie dysku i oddzielnego, cylindrycznego silnika, wyglądał zupełnie inaczej niż lotniskowiec sprzed dwustu lat. Kiedy *Tanga* spotkał przedwczesny koniec, Zhang poczuł się tak, jakby stracił duchowy dom, chociaż nigdy się do niego nie wprowadził. Ogromny statek kosmiczny, który widział teraz, wydał mu się nowym domem. Poczuł, że po dwustu latach tułaczki jego duch, jak dziecko w objęciach jakiejś potężnej istoty, znalazł w tej masywnej bryle nowe miejsce do życia.

Dobór Naturalny był statkiem flagowym trzeciej eskadry Floty Azjatyckiej i pod względem tonażu i osiągów nie miał sobie równych. Wyposażony w najnowszy napęd termojądrowy, mógł osiągnąć piętnaście procent prędkości światła, a jego doskonałe systemy ekologiczne umożliwiały odbywanie długich podróży. Eksperymentalna wersja tych systemów, zainstalowana po raz pierwszy przed siedemdziesięcioma pięcioma laty na Księżycu, działała dotąd bez zarzutu. Również uzbrojenie miał najpotężniejsze w całej flocie. Na ten system, który mógł zniszczyć powierzchnię planety wielkości Ziemi, składały się lasery gamma, działa elektromagnetyczne, miotacze promieni o wysokiej energii i torpedy gwiezdne.

Dobór Naturalny wypełnił teraz całe pole widzenia Zhanga, więc z okna transportera widział on tylko jego część. Zauważył, że ściany kadłuba są gładkie jak lustro, ogromne lustro, w którym dokładnie odbija się ocean atmosfery Jowisza oraz powoli zbliżający się transporter.

W burcie statku pojawił się okrągły otwór. Transporter wleciał do środka i się zatrzymał. Szef sztabu otworzył drzwi i wysiadł pierwszy. Zhang Beihai był trochę zdenerwowany, bo nie widział, by transporter przeszedł przez śluzę powietrzną, ale natychmiast poczuł, że z zewnątrz napływa świeże powietrze. Nigdy wcześniej nie zetknął się z technologią, która utrzymywała ciśnienie w komorze wejściowej mimo jej otwarcia w przestrzeni, nie pozwalając powietrzu uciec.

Zhang Beihai i szef sztabu znajdowali się w ogromnej kuli wielkości boiska do gry w piłkę nożną. Pomieszczenia wewnątrz statków miały na ogół kształt sferyczny, ponieważ podczas przyspieszania, hamowania czy zmiany kierunku lotu każdy ich punkt mógł pełnić rolę podłogi lub sufitu, a w stanie nieważkości jego środek był głównym miejscem pracy załogi. Za czasów Zhanga kabiny wzorowano na ziemskich budynkach, więc nie był przyzwyczajony do tego całkowicie nowego układu. Szef sztabu wyjaśnił, że jest to hangar myśliwców, ale ponieważ teraz nie było ich na pokładzie, licząca dwa tysiące oficerów i żołnierzy załoga unosiła się swobodnie w środku kuli.

Zanim Zhang Beihai poddał się hibernacji, państwowe Siły Kosmiczne zaczęły przeprowadzać ćwiczenia w stanie nieważkości. Efektem tych ćwiczeń stały się regulaminy z zakresem obowiązków i podręczniki musztry, ale wcielenie tego w życie było bardzo trudne. Personel mógł używać znajdujących się w skafandrach mikrosilników sterujących dla poruszania się poza kabinami, ale wewnątrz nich, ponieważ nie było odpowiedniego sprzętu, członkowie załogi musieli manewrować, odpychając się od grodzi i wiosłując rękami w powietrzu. W tych warunkach trudno było utrzymać porządny szereg. Teraz Zhang patrzył ze zdumieniem na ponad dwa tysiące osób wiszących bez żadnych podpór w powietrzu w porządnym zgrupowaniu. Obecnie personel przemieszczał

się w pomieszczeniach, gdzie nie było grawitacji, głównie za pomocą wykonanych z nadprzewodników pasów z obwodami wytwarzającymi pole magnetyczne, na które oddziaływało pole magnetyczne zawsze obecne w kabinach i korytarzach. Trzymając w dłoni małego pilota, mogli się swobodnie poruszać po statku. Zhang Beihai właśnie zakładał taki pas, ale posługiwanie się nim wymagało wprawy.

Przyglądał się formacji żołnierzy, pokoleniu, które dorosło we flocie. Ich wysokie, szczupłe ciała nie miały w sobie nic z niezgrabnej krzepkości ludzi wychowanych w sferze grawitacji ziemskiej, lecz odznaczały się lekkością i zwinnością osób urodzonych i bytujących w przestrzeni kosmicznej. Przed formacją znajdowało się trzech oficerów. Spojrzenie Zhanga zatrzymało się w końcu na młodej kobiecie w środku, z czterema błyszczącymi gwiazdkami na pagonach, bez wątpienia kapitanie *Doboru Naturalnego*. Była typową przedstawicielką nowej, kosmicznej rasy ludzi, wyższą nawet od niego, choć nie należał do niskich. Unosiła się z łatwością nad formacją, jej szczupłe ciało płynęło w powietrzu jak elegancka nuta. Zatrzymała się przed Zhangiem i szefem sztabu, a jej powiewające włosy opadły falami na jasną skórę szyi. Oczy miała pełne blasku i energii i Zhang Beihai poczuł do niej zaufanie, bo naznaczona nie mogłaby mieć takiego wyrazu twarzy.

– Dongfang Yanxu, kapitan *Doboru Naturalnego* – powiedziała, salutując. W jej oczach pojawiło się żartobliwe wyzwanie. – W imieniu całej załogi ofiarowuję prezent mojemu następcy. – Wyciągnęła rękę i zobaczył, że chociaż przedmiot, który w niej trzymała, zmienił się trochę w ciągu dwóch wieków, był to niewątpliwie pistolet. – Jeśli stwierdzi pan, że mam defetystyczne nastawienie i eskapistyczne cele, może pan go użyć, by mnie zabić.

Łatwo było wydostać się na powierzchnię. Pień każdego ogromnego drzewa był filarem podtrzymującym sklepienie podziemnego miasta i można było z niego wyjechać na ziemię windą przez szyb wykuty w skale o ponadtrzystumetrowej grubości. Gdy Luo Ji i Shi Qiang wysiedli z windy, ogarnęła ich nostalgia, wywołana tylko jedną rzeczą – ani na podłodze, ani na ścianach nie było żadnych włączonych wyświetlaczy. Informacje ukazywały się na prawdziwych, zwisających z sufitu ekranach. Sala, w której się znaleźli, przypominała starą stację metra, a większość garstki ludzi miała ubrania, które nie świeciły.

Gdy wyszli przez ciemną śluzę powietrzną na zewnątrz, powitał ich gorący wiatr, który niósł kłęby kurzu.

– Tam jest mój syn! – krzyknął Shi Qiang, wskazując mężczyznę biegnącego po schodach na górę.

Z tej odległości Luo Ji widział tylko tyle, że mężczyzna jest po czterdziestce, więc pewność Shi Qianga trochę go zdziwiła. Shi popędził przywitać się z synem, a Luo skierował wzrok na świat na powierzchni.

Niebo miało żółty kolor. Teraz zrozumiał, dlaczego obraz nieba w podziemnym mieście został zrobiony z wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Otóż z poziomu ziemi widać było tylko zamglony kontur Słońca. Wszystko pokrywał kurz, a za samochodami ciągnęły się obłoki pyłu. Dla Luo Ji był to kolejny widok z przeszłości – samochody poruszające się po ziemi. Wydawało się jednak, że nie jeżdżą na benzynie. Miały przeróżne, dziwaczne kształty, ale jedną cechę wspólną – na dachu każdego zainstalowana była podobna do markizy tafla. Po drugiej stronie ulicy zobaczył wiekowy budynek z pokrytymi kurzem parapetami i oknami, które były albo zabite deskami, albo pozbawione szyb, i ziały jak czarne dziury. Najwyraźniej jednak w niektórych pomieszczeniach mieszkali

ludzie, bo na zewnątrz wisiało pranie, a na parapetach stały nawet doniczki z kwiatami. Chociaż wskutek zapylenia widoczność była słaba, wkrótce dostrzegł w oddali kilka znajomych zarysów budynków i wiedział na pewno, że jest w tym samym mieście, w którym przed dwustu laty spędził połowę życia.

Zszedł po schodach do dwóch mężczyzn, którzy ściskali się i poklepywali po ramionach. Zobaczywszy z bliska owego mężczyznę w średnim wieku, wiedział już, że Shi Qiang się nie pomylił.

– Tato, kiedy o tym pomyśleć, to jestem tylko pięć lat młodszy od ciebie – powiedział Shi Xiaoming, ocierając łzy z kącików oczu.

– Nie jest tak źle, dziecko. Bałem się, że będzie mi mówił „tato” jakiś facet z siwą brodą – odparł z chichotem Shi Qiang. Potem przedstawił synowi Luo Ji.

– A, doktor Luo. Był pan sławny na całym świecie – rzekł Shi Xiaoming, oglądając go od stóp do głowy.

Potem poszli we trzech do zaparkowanego na poboczu samochodu Shi Xiaominga. Zanim do niego wsiedli, Luo zapytał go o urządzenie na dachu.

– To antena. Na powierzchni musimy zadowalać się tylko tą ilością prądu, która napływa z podziemnego miasta, więc anteny są trochę większe niż tam, a i tak energii starczy tylko do jazdy po ziemi. Nasze samochody nie mogą latać.

Samochód, albo z powodu słabej mocy silnika, albo piasku na drodze, nie jechał szybko. Luo Ji patrzył przez szybę na pokryte pyłem miasto. Miał wiele pytań, ale Shi Xiaoming bez przerwy gadał z ojcem, więc nie mógł wtrącić ani słowa.

– Mama odeszła w 34 roku ery kryzysu. Mieszkała wtedy ze mną i z dziadkiem.

– No cóż… Nie przywiozłeś ze sobą mojej wnuczki?

– Po rozwodzie odeszła z matką. Odszukałem jej kartotekę. Dożyła osiemdziesięciu paru lat i umarła w 105 roku.

– Niedobrze, że nigdy jej nie widziałem… A ile miałeś lat, kiedy skończyła się twoja odsiadka?

– Dziewiętnaście.

– Co potem robiłeś?

– Co się dało. Na początku nie miałem wyjścia, nadal kantowałem, ale potem prowadziłem legalny interes. Kiedy się trochę dorobiłem, zauważyłem oznaki zbliżającego się Wielkiego Jaru i poddałem się hibernacji. Nie wiedziałem wtedy, że później sytuacja się poprawi. Chciałem tylko zobaczyć się z tobą.

– Nasz dom jeszcze stoi?

– Przedłużono pierwotny siedemdziesięcioletni okres dzierżawy wieczystej, ale zostałem tam tylko ja, i to na krótko. Potem go zburzono. – Shi Xiaoming wskazał palcem za okno. – Liczba ludności nie wynosi nawet jednego procenta tego, co za naszych czasów. Wiesz, co ma najmniejszą wartość? Ten dom. Tyrałeś na niego całe życie, a teraz stoi pusty. Wszystko stoi puste. Możesz mieszkać, gdzie chcesz.

W końcu pojawiła się przerwa w rozmowie, którą wykorzystał Luo, by zadać pytanie:

– Czy wszyscy hibernaci mieszkają w starym mieście?

– A skąd! Mieszkają poza miastem. W mieście jest za dużo piasku. Ale główny powód jest taki, że nie mają tu czym się zająć. Oczywiście nie można żyć za daleko od miasta, bo nie ma tam prądu.

– A czym wy wszyscy się zajmujecie? – zapytał Shi Qiang.

– Sam pomyśl, tato: czy jest coś, czego nie potrafią robić dzieci, a my potrafimy? Rolnictwo!

Shi Xiaoming, podobnie jak inni hibernaci, bez względu na wiek nazywał współczesnych ludzi „dziećmi”.

Wyjechali z miasta i skierowali się na wschód. Gdy piasek przerzedził się na tyle, że było widać nawierzchnię drogi, chociaż po obu jej stronach i tu ciągnęły się jego grube warstwy, Luo Ji rozpoznał starą drogę ekspresową łączącą Pekin z Shijiazhung. Pośród piasku wciąż stały stare domy, ale iskrami życia na zamienionej w pustynię równinie północnochińskiej były małe, otoczone drzewami oazy, które – jak powiedział Shi Xiaoming – były osadami hibernatów.

Wjechali do jednej z nich, małego blokowiska otoczonego powstrzymującymi napór piasku drzewami, o nazwie Piąta Wieś Nowego Życia. Kiedy wysiedli z samochodu, Luo doznał wrażenia, że czas się cofa – pięciopiętrowe budynki stały frontem do placu, na którym starzy mężczyźni grali w szachy na kamiennych stołach, a kilkoro dzieci grało w piłkę na rzadkiej trawie, i po którym przechadzały się matki z dziećmi w wózkach… Shi Xiaoming mieszkał na piątym piętrze z młodszą o dziewięć lat żoną. Poddała się hibernacji w 21 roku z powodu raka wątroby, ale teraz była zupełnie zdrowa. Mieli czteroletniego synka, który nazywał Shi Qianga „dziadzią”.

Na powitanie Luo Ji i Shi Qianga wydano wystawną ucztę z potraw sporządzonych z miejscowych produktów – kurczaków i wieprzowiny z sąsiedniego gospodarstwa, a nawet pędzonego w domu samogonu. Shi Xiaoming zaprosił na biesiadę trzech sąsiadów, którzy – podobnie jak on – poddali się hibernacji dość wcześnie, kiedy zabieg ten był bardzo drogi i mogły sobie na niego pozwolić tylko osoby z wyższej klasy albo ich synowie czy córki. Teraz, po ponad wieku, byli zwykłymi ludźmi. Shi Xiaoming przedstawił jednego z nich – Zhang Yana, wnuka Zhang Yuanchao, człowieka, którego oszukał w dawnych czasach.

– Pamiętasz, jak zmusiłeś mnie do zwrotu pieniędzy, które od niego wyciągnąłem? Prosto po wyjściu z kicia natknąłem się na Yana. Właśnie skończył studia. Zainspirowani przez jego dwóch sąsiadów założyliśmy firmę pogrzebową, którą nazwaliśmy Pochówki Wysokie i Głębokie. Słowo „wysokie” odnosiło się do pogrzebów w przestrzeni kosmicznej. Najpierw wysyłaliśmy tam prochy zmarłych, potem już całe ciała nieboszczyków. Oczywiście za odpowiednią cenę. „Głębokie” to nawiązanie do pogrzebów w kopalniach. Najpierw wykorzystywaliśmy opuszczone szyby, a potem zaczęliśmy drążyć nowe, bo one też mogły służyć jako groby odporne na bomby Trisolarian.

Mężczyzna, którego nazywał Yanem, był od niego trochę starszy – wyglądał na pięćdziesiąt kilka albo sześćdziesiąt lat. Shi Xiaoming wyjaśnił, że obudzono go już raz wcześniej i zanim ponownie poddał się hibernacji, przeżył ponad trzydzieści lat.

– Jaki mamy tutaj status prawny? – zapytał Luo Ji.

– Taki sam jak współczesne osiedla mieszkaniowe – odparł Shi Xiaoming. – Zaliczają nas do odległych przedmieść, mamy też odpowiednie władze lokalne. Mieszkają tu nie tylko hibernaci. Jest trochę współczesnych i często zaglądają tu dla rozrywki ludzie z miasta.

– Nazywamy ich „ścianostukaczami” – podjął wątek Zhang Yan – bo kiedy przyjeżdżają po raz pierwszy, z przyzwyczajenia stukają w ściany, żeby coś włączyć.

– A więc żyje się tu dobrze? – zapytał Shi Qiang.

Wszyscy zgodnie odparli, że całkiem dobrze.

– Ale przy drodze widziałem pola, które uprawiacie. Naprawdę możecie się z tego utrzymać?

– A dlaczego nie? Dzisiaj produkty rolnicze są w miastach towarem luksusowym… Rząd naprawdę jest dobry dla hibernatów. Nawet jeśli nic

nie robisz, możesz wygodnie żyć z zapomóg rządowych. Ale trzeba się czymś zajmować. To nieprawda, że wszyscy hibernaci znają się na rolnictwie. Nikt z nas nie był przed hibernacją rolnikiem, ale to jedyna rzecz, jaką potrafimy robić.

Rozmowa szybko zeszła na historię minionych dwustu lat.

– Co to za sprawa z tym Wielkim Jarem? – Luo Ji wyszedł w końcu z pytaniem, które od dawna chciał zadać.

Zebranym od razu zrzedły miny. Ponieważ uczta zbliżała się do końca, Shi Xiaoming zdecydował się podjąć temat:

– Pewnie w ciągu kilku ostatnich dni trochę się o tym dowiedzieliście. To długa historia. Przez ponad dziesięć lat po waszej hibernacji żyło się całkiem nieźle. Ale później, kiedy przyspieszyła transformacja gospodarcza, poziom życia zaczął się obniżać i pogorszyła się atmosfera polityczna. Było jak podczas wojny.

– I nie ograniczało się to tylko do kilku krajów. Było tak na całej Ziemi – powiedział jego sąsiad. – Społeczeństwo znalazło się na skraju wyczerpania i jeśli powiedziałeś, że z czymś jest źle, zaraz oskarżali cię, że jesteś albo z RZT, albo zdrajcą ludzkości, więc nikt nie czuł się bezpiecznie. Zaczęto też ograniczać rozpowszechnianie filmów i materiałów telewizyjnych ze złotego wieku, a potem zakazano ich na całym świecie. Oczywiście było ich za dużo, żeby można było skutecznie egzekwować ten zakaz.

– Dlaczego tego zakazano?

– Z obawy, że osłabi to bojowego ducha – odparł Shi Xiaoming. – Ale mimo to dało się żyć, dopóki było co włożyć do gęby. Później jednak sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła i na świecie zapanował głód. Stało się to jakieś dwadzieścia lat po przejściu doktora Luo w stan hibernacji.

– Z powodu transformacji gospodarczej?

– Tak. Ale przyczyniło się też do tego zniszczenie środowiska. Istniały wprawdzie przepisy nakazujące jego ochronę, ale w tamtych ponurych czasach nastawienie ogółu było takie: „Po kiego diabła jest nam potrzebna ochrona środowiska? Nawet jeśli cała Ziemia zamieni się w kwitnący ogród, to i tak zajmą ją Trisolarianie”. Takie organizacje jak Greenpeace traktowano jak RZT i prześladowano. Jeszcze bardziej rozwinął się trujący środowisko przemysł ciężki, niezbędny dla stworzenia sił kosmicznych, i nie dało się już powstrzymać jego zanieczyszczenia… – Westchnął.

– Kiedy ja poddałem się hibernacji, pustynnienie dopiero się zaczęło – powiedział inny sąsiad Xiaominga. – Nie wyglądało to tak, jak możecie sobie wyobrażać – że pustynia zaczęła się posuwać na północ od Wielkiego Muru. Nic podobnego! To była erozja gleby pojawiająca się w różnych miejscach. Żyzne ziemie zaczęły się jednocześnie zamieniać w pustynie, które rozprzestrzeniały się we wszystkie strony. Był to proces przypominający schnięcie mokrej szmaty na słońcu. Spadła produkcja rolna i wyczerpały się zasoby zbóż. A potem… potem nastąpił Wielki Jar.

– Czyli sprawdziły się przewidywania, że poziom życia obniży się do poziomu sprzed stu lat? – zapytał Luo Ji.

Shi Xiaoming zaśmiał się gorzko.

– Ach, doktorze Luo… Sprzed stu lat? Chyba w pana marzeniach! Sto lat przedtem to byłyby lata trzydzieste dwudziestego wieku albo jakoś tak. Prawdziwy raj w porównaniu z Wielkim Jarem! Nie ma żadnego porównania do tamtych czasów. Przede wszystkim na świecie żyło dużo więcej ludzi niż podczas Wielkiego Kryzysu – osiem i trzy dziesiąte miliarda! – Wskazał na Zhang Yana. – On przez pewien czas po przebudzeniu widział to wszystko na własne oczy. – Zwrócił się do niego: – Powiedz im.

Zhang Yan wychylił kieliszek, po czym powiedział z pustym wzrokiem:

– Widziałem wielki marsz głodu. Uciekały przed nim miliony ludzi, brnąc przez równiny w tumanach kurzu, które zakrywały niebo. Gorące niebo. Gorąca ziemia i gorące słońce. Kiedy umierali, na miejscu ich ćwiartowano… Było to piekło na ziemi. Jeśli chcecie to zobaczyć, to jest mnóstwo nagrań wideo. Gdy się o tym pomyśli, to człowiek cieszy się, że żyje. Wielki Jar trwał nieco ponad pół wieku i w ciągu tych pięćdziesięciu kilku lat liczba ludności Ziemi spadła z ośmiu i trzech dziesiątych miliarda do trzech i pół. Pomyślcie, co to oznaczało!

Luo Ji wstał i podszedł do okna. Widział stamtąd parawan drzew chroniących osadę przed naporem pustyni, której piaski ciągnęły się po horyzont. Ręka czasu wszystko wyrównała.

– A co było potem? – zapytał Shi Qiang.

– Potem? – Zhang Yan odetchnął z ulgą, jakby zdjęto mu z barków wielki ciężar. – No cóż, niektórzy przestali się z tym godzić, a z czasem było ich coraz więcej. Zastanawiali się, czy warto płacić za to taką wielką cenę, nawet gdyby miało to doprowadzić do zwycięstwa w dniu Sądu Ostatecznego. Pomyślcie o tym, co jest ważniejsze: dziecko umierające w waszych ramionach czy przetrwanie ludzkiej cywilizacji? Teraz może uważacie, że ważniejsze jest to drugie, ale wtedy nie było takiego wyboru. Bez względu na to, co przyniesie przyszłość, ważny jest dzień dzisiejszy. Oczywiście taki sposób myślenia traktowano początkowo jako coś wstrętnego, typowego dla wrogów ludzkości, ale nie dało się tego powstrzymać. Niebawem myślał tak cały świat. Wszędzie głoszono hasło, które stało się historycznym cytatem.

– „Znajdźcie czas dla cywilizacji, bo cywilizacja nie znajdzie czasu dla was” – wtrącił Luo Ji, nie odwracając się od okna.

– Właśnie. Cywilizacja jest dla nas.

– A potem? – zapytał Shi Qiang.

– Nadeszło drugie oświecenie, drugi renesans, druga rewolucja francuska… Możecie znaleźć to wszystko w podręcznikach historii.

Luo Ji odwrócił się zaskoczony. Sprawdziły się przepowiednie, które przekazał przed dwoma wiekami Zhuang Yan.

– Druga rewolucja francuska? We Francji?

– Nie, nie. To tylko takie powiedzenie. Ta rewolucja ogarnęła cały świat! Wybrane po niej władze zakończyły program rozbudowy sił kosmicznych i skupiły się na podnoszeniu poziomu życia ludzi. A potem pojawiła się ważna technologia. Inżynierię genetyczną i technologię termojądrową zaprzężono do masowej produkcji żywności i tym samym skończył się okres zależności zbiorów od pogody. Od tamtej pory nikt na świecie nie mógł już być głodny. Później wszystko poszło gładko – w końcu nie było już tylu ludzi – i w ciągu zaledwie dwudziestu lat po Wielkim Jarze życie wróciło do poziomu sprzed tej katastrofy. Potem nawet do poziomu ze złotego wieku. Ludziom podobało się to, nikt nie chciał powrotu do dawnych czasów.

– Doktorze Luo, może zainteresuje pana jeszcze inne określenie – powiedział pierwszy sąsiad, przysuwając się do niego bliżej. Przed hibernacją był ekonomistą, więc lepiej rozumiał tę sprawę. – To odporność cywilizacji. Znaczy to, że kiedy świat zapada na poważną chorobę, uruchamia się jej układ odpornościowy i zapobiega temu, żeby ponownie doszło do czegoś takiego jak wczesny okres ery kryzysu. Na pierwszy plan wysuwa się humanizm, a utrwalanie cywilizacji staje się sprawą drugorzędną. Na takich właśnie założeniach opiera się współczesne społeczeństwo.

– A potem? – zapytał Luo Ji.

– A potem dopiero się zaczęło. Różne dziwne rzeczy – rzekł podekscytowany Shi Xiaoming. – Początkowo wszystkie kraje chciały żyć

w spokoju i zamieść kryzys trisolariański pod dywan, ale – jak pan myśli – co się stało? Wszędzie dokonywał się szybki postęp. Technologia przyspieszyła i pokonała po kolei wszystkie przeszkody techniczne sprzed Wielkiego Jaru!

– Nie ma w tym nic dziwnego – zauważył Luo Ji. – Uwolnienie ludzkiego ducha w oczywisty sposób prowadzi do postępu naukowego i technicznego.

– Po mniej więcej pół wieku spokoju po Wielkim Jarze świat zaczął znowu rozważać sprawę inwazji Trisolarian i doszedł do wniosku, że trzeba przemyśleć to na nowo. Ogłoszono ponownie stan wojenny, na zupełnie innym poziomie rozwoju gospodarczego niż przed Wielkim Jarem, i rozpoczęto budowę floty kosmicznej. Ale w przeciwieństwie do tego, jak było za pierwszym razem, poszczególne kraje wiedziały jasno, że nie może się to odbywać kosztem życia ich obywateli. No i właśnie wtedy floty kosmiczne stały się niepodległymi państwami… Ale nie musicie o tym rozmyślać – dodał. – Od tej pory myślcie tylko o tym, jak dobrze żyć. To tylko nowe, rewolucyjne ujęcie starego hasła ze złotego wieku: „Znajdźcie czas na życie, bo ono nie znajdzie czasu dla was”. Za nowe życie!

Gdy spełnili toast, Luo Ji pochwalił ekonomistę za to, że tak dobrze wszystko przedstawił. Teraz myślał tylko o Zhuang Yan i ich córeczce. Chciał jak najszybciej osiedlić się gdzieś i je obudzić.

„Znajdźcie czas dla cywilizacji, znajdźcie czas na życie”.

Po wejściu na pokład *Doboru Naturalnego* Zhang Beihai przekonał się, że współczesny system dowodzenia rozwinął się ponad jego najśmielsze wyobrażenia. Ogromny statek kosmiczny wielkości trzech największych lotniskowców z dwudziestego pierwszego wieku był praktycznie małym

miasteczkiem, ale nie miał ani mostka, ani modułu dowodzenia, a nawet kajuty kapitańskiej czy choćby sterowni. Prawdę mówiąc, nie było tam żadnych pomieszczeń pełniących konkretne funkcje. Wszystkie miały identyczny, sferyczny kształt i różniły się tylko wielkością. W każdym z nich można było za pomocą komputerowej rękawicy wyświetlić holograficzny obraz, który ze względu na koszty był rzadkością nawet w niezwykle skomputeryzowanym społeczeństwie na Ziemi. Jeśli miało się odpowiedni system zezwoleń, wszędzie można było wywołać konsolę dowodzenia, włącznie z łączem kapitańskim, dzięki czemu wszystkie miejsca na statku, nawet korytarze i toalety, mogły w każdej chwili stać się centrum dowodzenia, kajutą kapitańską i sterownią. Dla Zhang Beihaia było to taka ewolucja jak od modelu klient–serwer do modelu przeglądarka–serwer w sieciach komputerowych pod koniec dwudziestego wieku. W tym pierwszym można było uzyskać dostęp do serwera tylko przez odpowiednie oprogramowanie zainstalowane w komputerze, w drugim – z każdego podłączonego do sieci komputera, jeśli miało się prawo dostępu.

Zhang Beihai i Dongfang Yanxu znajdowali się w zwykłej kabinie, w której, jak we wszystkich pozostałych, nie było żadnych specjalnych instrumentów ani ekranów. Była to tylko sferyczna przestrzeń z białymi grodziami, przez co Zhang miał wrażenie, że tkwi w środku ogromnej piłeczki do ping-ponga. Gdy wskutek przyspieszania statku pojawiała się grawitacja, każdy fragment tych grodzi mógł przybrać kształt krzesła.

Dla niego był to inny aspekt współczesnej technologii, który za jego czasów mogło sobie wyobrazić niewielu ludzi – wyeliminowanie urządzeń, z których każde służyło tylko jednemu celowi. Na Ziemi pojawiały się dopiero pierwsze oznaki tego kierunku, ale w dużo bardziej zaawansowanej technologicznie flocie była to część jej podstawowej struktury. Wszystko tu

było minimalistycznie urządzone i proste. Nie instalowano już na stałe żadnych urządzeń, bo w razie potrzeby mogły się pojawić w każdym miejscu. Świat, niegdyś skomplikowany wskutek stosowania różnych technologii, znowu stawał się prosty, właśnie dzięki technologii, która jednak była głęboko ukryta.

– Przejdziemy teraz do pierwszej lekcji – powiedziała Dongfang Yanxu. – Oczywiście nie powinna jej panu udzielać kapitan, która jest właśnie kontrolowana, ale nie ma we flocie osoby bardziej godnej zaufania niż ja. Dzisiaj zademonstrujemy, jak wystartować i wprowadzić *Dobór Naturalny* w tryb lotu. I prawdę mówiąc, jeśli zapamięta pan to, czego się pan dzisiaj nauczy, będzie to oznaczało, że pierwsza okazja do działania przeszła naznaczonym koło nosa. – Z tymi słowami wywołała za pomocą komputerowej rękawicy holograficzną mapę gwiazd. – Może się ona trochę różnić od map kosmicznych z pańskich czasów, ale nadal centralnym punktem jest Słońce.

– Ćwiczyłem to podczas szkolenia, więc nadal potrafię ją czytać – powiedział Zhang Beihai, patrząc na mapę gwiezdną.

Doskonale pamiętał mapę Układu Słonecznego, przed którą przed dwoma wiekami stał z Chang Weisim. Ta jednak pokazywała położenie wszystkich ciał niebieskich w promieniu stu lat świetlnych od Słońca w sto razy większej skali.

– Nie musi pan wiele rozumieć. W obecnej sytuacji zabroniony jest kurs na jakikolwiek punkt na tej mapie… Gdybym była naznaczoną i chciała uprowadzić *Dobór Naturalny* w kosmos, musiałabym najpierw wybrać miejsce, gdzie chcę się udać, na przykład to. – Włączyła punkt na mapie, który zmienił kolor na zielony. – Oczywiście jesteśmy teraz w trybie symulacji, bo nie mamy pozwolenia na start. Kiedy otrzyma pan pełnomocnictwa kapitana, wszystkie rozkazy będę musiała przekazywać

przez pana. Gdybym naprawdę poprosiła o pozwolenie na start, byłoby to bardzo niebezpieczne i powinien pan odmówić. A także złożyć na mnie raport.

Gdy kierunek lotu został wybrany, w powietrzu pojawiło się łącze. Zhang Beihai znał to już ze szkolenia, ale nadal cierpliwie słuchał wyjaśnień Dongfang Yanxu i patrzył, jak wprowadza statek ze stanu całkowitego unieruchomienia w hibernację, potem w stan gotowości i na koniec ustawia komendę „wolno naprzód”.

– Gdyby te operacje były prawdziwe, *Dobór Naturalny* wychodziłby teraz z portu. I co pan o tym myśli? Kieruje się prościej niż w pańskich czasach?

– Tak. Dużo prościej.

Kiedy Zhang Beihai i inni członkowie Specjalnego Kontyngentu zobaczyli łącze, zdumiała ich jego prostota i całkowity brak szczegółów technicznych.

– Operacje są w pełni zautomatyzowane, wskutek czego cały proces jest ukryty przed kapitanem.

– Ten ekran pokazuje tylko ogólne parametry. Skąd pani wie, jaki jest stan operacji?

– Śledzą go oficerowie i podoficerowie na niższych szczeblach. Ich ekrany są bardziej skomplikowane – im niższy stopień dowodzenia, tym bardziej złożone staje się łącze. Kapitan i zastępca kapitana muszą skupiać uwagę na ważniejszych sprawach… Dobrze, kontynuujmy. Gdybym była naznaczona… No i znowu wychodzę z tym założeniem. Co pan o tym myśli?

– Ze względu na moją pozycję każda odpowiedź byłaby nieodpowiedzialna.

– Świetnie. Otóż gdybym była naznaczona, ustawiłabym przepustnicę na „cztery naprzód”. Przy takiej prędkości żaden statek z floty nie może dogonić *Doboru Naturalnego*.

– Nie mogłaby pani tego zrobić, nawet gdyby miała pani pozwolenie na start, bo system przejdzie do czterech naprzód dopiero wtedy, kiedy stwierdzi, że wszyscy na pokładzie są w stanie głębinowym. Kiedy silnik pracuje całą mocą, przyspieszenie statku może osiągnąć 120 g, ale przeciążenie jest wówczas dziesięciokrotnie wyższe od tego, jakie może znieść człowiek w normalnych warunkach. Żeby statek mógł lecieć z maksymalną prędkością, załoga musi przejść w stan „głębinowy”, czyli znaleźć się w kabinach wypełnionych bogatym w tlen „głębinowym płynem przyspieszenia”. Podczas oddychania płyn ten wypełnia ich płuca i pozostałe narządy. Wymyślony w pierwszej połowie dwudziestego wieku, miał ułatwiać nurkowanie na dużych głębokościach. Dzięki niemu ciśnienie wewnątrz ciała było takie samo jak na zewnątrz, więc człowiek mógł wytrzymać takie warunki jak ryba głębokomorska. Środowisko w wypełnionej tym płynem kabinie gwałtownie przyspieszającego statku kosmicznego przypominało środowisko w morskich głębinach. Stąd wzięła się jego nazwa.

Dongfang Yanxu kiwnęła głową.

– Ale powinien pan wiedzieć, że można to obejść. Jeśli ustawi pan statek na zdalne sterowanie, aparatura uzna, że na pokładzie nie ma nikogo, i nie przeprowadzi kontroli. To ustawienie należy do uprawnień kapitana.

– Pozwoli pani, że spróbuję, a pani mi powie, czy zrobiłem to właściwie.

Zhang Beihai uruchomił znajdujące się przed nim łącze i zaczął przestawiać jednostkę na zdalne sterowanie, zerkając od czasu do czasu do małego notesu.

Dongfang Yanxu uśmiechnęła się na widok notesu.

– Teraz są skuteczniejsze metody prowadzenia notatek.

– Och, to tylko taki nawyk. Jestem spokojniejszy, jeśli szczególnie ważne rzeczy zapiszę w ten sposób. Tylko że teraz nie mogę znaleźć pióra. Wziąłem ze sobą dwa na hibernację, ale obecnie do użytku nadaje się tylko ołówek.

– Szybko się pan nauczył.

– Tylko dlatego, że w systemie dowodzenia zachowało się mnóstwo elementów marynarki wojennej. Mimo upływu tylu lat nie zmieniły się nawet nazwy rzeczy. Na przykład rozkazy do maszynowni.

– Flota kosmiczna wywodzi się z marynarki wojennej… W porządku, niedługo otrzyma pan uprawnienia jako pełniący obowiązki kapitana *Doboru Naturalnego*. Statek jest w pogotowiu A, czyli – jak to określano w pańskich czasach – „uzbrojony i gotowy do startu”.

Wyciągnęła szczupłą rękę i zatoczyła nią koło. Zhang Beihai nie miał pojęcia, jak wykonać ten manewr za pomocą pasa z nadprzewodników.

– W tamtych czasach nie byliśmy „uzbrojeni”. Ale zna pani kawał historii marynarki wojennej – powiedział, zmieniając temat, by nie poruszać drażliwych spraw, które mogłyby nastawić ją do niego wrogo.

– Ten stary rodzaj wojsk był wspaniały.

– Czy flota kosmiczna nie odziedziczyła tej renomy po swej poprzedniczce?

– Tak, odziedziczyła. Ale ja chcę odejść. Mam zamiar złożyć rezygnację.

– Z powodu tego przeglądu kadr?

Odwróciła się do niego, a jej gęste czarne włosy znowu utworzyły z powodu braku grawitacji ciągnący się za nią ogon.

– Dawniej stale mieliście z tym do czynienia, prawda?

– Niekoniecznie. Ale jeśli do tego dochodziło, wszyscy przyjmowali to ze zrozumieniem, bo poddawanie się przeglądom jest jednym

z obowiązków żołnierza.

– Minęły dwa wieki. To nie jest już wasz czas.

– Dongfang, proszę nie zwiększać specjalnie dystansu między nami. Są między nami pewne podobieństwa. Żołnierze nie mogą tracić ducha w upokarzającej sytuacji, bez względu na epokę, w której przyszło im żyć.

– Radzi mi pan, żebym została?

– Nie.

– Praca ideologiczna. Tak to nazywacie, prawda? Nie tym pan się kiedyś zajmował?

– Tak, ale teraz już nie. Mam nowe zadanie.

Opłynęła go swobodnie, jakby go uważnie oglądała.

– Chodzi o to, że jesteśmy dla was dziećmi? Pół roku temu poleciałam na Ziemię i w dzielnicy hibernatów jakiś sześcio- czy siedmiolatek nazwał mnie dzieckiem.

Roześmiał się.

– Jesteśmy dla was dziećmi?

– W naszych czasach starszeństwo było bardzo ważne. Na wsi dorośli zwracali się do dzieci „wujku” i „ciociu”, bo w hierarchii rodzinnej były od nich starsze.

– Ale dla mnie pana starszeństwo nie jest ważne.

– Widzę to w pani oczach.

– A pana córka, pana żona – nie przybyły tu z panem? O ile mi wiadomo, rodziny członków specjalnych kontyngentów też miały prawo do hibernacji.

– Nie przybyły i nie chciały, żebym ja się jej poddał. Wie pani, wtedy wszystko wskazywało na to, że czeka nas ponura przyszłość. Mówiły, że jestem nieodpowiedzialny. Obie się wyprowadziły, a po ich wyjeździe mój Specjalny Kontyngent dostał w środku nocy rozkaz. Nie miałem czasu

nawet na to, żeby się jeszcze z nimi zobaczyć. Było to późną zimą… noc była długa, kiedy wyszedłem z walizkami z domu. Oczywiście nie spodziewam się, że pani to zrozumie.

– Rozumiem… A co było potem?

– Żona umarła w roku 47. Córka w 81.

– A więc widziały Wielki Jar.

Spuściła oczy i przez chwilę milczała. Potem włączyła okno wyświetlacza i przeszła na widok z zewnątrz.

Grodzie białej kuli stopiły się jak wosk i *Dobór Naturalny* zniknął. Wisieli w nieskończonej przestrzeni, patrząc na zamglony obraz Drogi Mlecznej. Byli teraz dwiema niezależnymi istotami we Wszechświecie, niezwiązanymi z żadnym światem, otaczała ich otchłań. Wisieli w niej jak Ziemia, Słońce i sama Galaktyka, bez początku i bez końca. Po prostu istnieli…

Zhang Beihai doznał już kiedyś tego uczucia. Było to przed 190 laty, kiedy unosił się w przestrzeni jedynie w skafandrze kosmicznym, trzymając pistolet załadowany meteorytowymi pociskami.

– Podoba mi się, kiedy można nie zważać na statek, na flotę i wszystko, co znajduje się poza twoim umysłem – powiedziała.

– Dongfang – rzekł cicho.

– Hmm? – Kapitan odwróciła się, w jej oczach lśniło światło Drogi Mlecznej.

– Niech mi pani wybaczy, jeśli nadejdzie dzień, w którym będę musiał panią zabić – powiedział łagodnie.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

– Wyglądam dla pana jak naznaczona?

Patrzył na nią w świetle dobiegającym z odległości pięciu jednostek astronomicznych. Na tle pola gwiazd wyglądała jak piórko.

– My należymy do Ziemi i morza, pani do gwiazd.

– To źle?

– Nie. Bardzo dobrze.

– Sonda zniknęła!

Meldunek oficera dyżurnego był szokiem dla doktora Kuhna i generała Robinsona. Wiedzieli, że gdy ta wiadomość się rozejdzie, spowoduje wstrząs zarówno na Ziemi, jak i we flocie, tym bardziej że z ostatnich obserwacji prędkości sondy wynikało, że za sześć dni wejdzie na orbitę wokół Jowisza.

Kuhn i Robinson znajdowali się na Stacji Ringiera–Fitzroya, która krążyła wokół Słońca po zewnętrznej krawędzi pasa asteroid. W odległości pięciu kilometrów od niej unosiły się w przestrzeni kosmicznej najdziwniejsze obiekty w Układzie Słonecznym – zestaw sześciu ogromnych soczewek, z których znajdująca się najwyżej miała 1200 metrów średnicy, a pozostałe były nieco mniejsze. Była to najnowsza wersja teleskopu kosmicznego, ale w odróżnieniu od pięciu poprzednich generacji Hubble’a nie były one ze sobą w żaden sposób połączone. Unosiły się niezależnie od siebie, a na brzegu każdej z nich znajdowały się wyrzutniki jonów, które mogły precyzyjnie zmieniać odległość między nimi albo orientację całego zespołu. Stacja Ringiera–Fitzroya była centrum kontrolnym teleskopu, ale nawet z tak bliska przezroczyste soczewki były praktycznie niewidzialne. Podczas procesu ich konserwacji latający między nimi technicy widzieli po obu stronach zniekształcony obraz Wszechświata, a gdy ustawiali się pod odpowiednim kątem, ochronne źrenice na ich powierzchni odbijały promienie słoneczne i ukazywały całe soczewki, których zakrzywione powierzchnie przypominały planetę skąpaną

w czarującej tęczy. Przy umieszczaniu teleskopu w kosmosie zerwano z tradycją i zamiast Hubble’a z kolejnym numerem nadano mu nazwę Ringier–Fitzroy dla upamiętnienia dwóch mężczyzn, którzy odkryli ślad trisolariańskiej floty. Chociaż ich odkrycie nie miało żadnego znaczenia naukowego, owa nazwa była odpowiednia, ponieważ głównym zadaniem teleskopu było stałe śledzenie floty najeźdźców w ramach wspólnego projektu trzech ziemskich flot.

Pracę teleskopu zawsze nadzorował zespół podobny do zespołu Ringiera i Fitzroya, składający się z wybitnego naukowca z Ziemi i szefa do spraw wojskowych z floty, i zawsze ich zdania, tak jak wcześniej Ringiera i Fitzroya, się różniły. Akurat teraz Kuhn chciał wygospodarować trochę czasu na własne badania, a Robinson starał się go powstrzymać z powodu interesów floty. Sprzeczali się też o inne sprawy, na przykład Kuhn zachwycał się, jak wspaniale ziemskie supermocarstwa pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych prowadzą świat ku świetlanej przyszłości, i narzekał na biurokrację panującą we flotach, ale Robinson bezwzględnie obnażał jego utopijne rojenia. Najbardziej zażarcie kłócili się o prędkość obrotu stacji. Generał upierał się, by ze względu na utrzymanie grawitacji na minimalnym poziomie była ona jak najniższa, najlepiej zerowa, dzięki czemu panowałby tam stan nieważkości, natomiast Kuhn nalegał na szybką rotację, dzięki której siła ciążenia byłaby tam taka sama jak na Ziemi.

Ale to, co się działo teraz, usunęło ich wszystkie spory w cień. Sonda zniknęła, a zatem jej silniki zostały wyłączone. Przed dwoma laty, daleko za Obłokiem Oorta, zaczęła hamować, co świadczyło o tym, że zwróciła silniki w stronę Słońca, a to, dzięki wydobywającemu się z nich światłu, umożliwiało teleskopowi kosmicznemu jej śledzenie. Teraz, kiedy światło zgasło, nie było to już możliwe, bo sama sonda była zbyt mała – jak można

było sądzić po fali, którą zostawiła po przejściu przez pył międzygwiezdny, miała prawdopodobnie wielkość ciężarówki. Nawet tak potężny teleskop jak Ringier–Fitzroy nie mógł dostrzec w ciemnościach kosmosu małego obiektu, który nie wysyłał własnego światła i bardzo słabo odbijał liche już światło Słońca na skraju Pasa Kuipera.

– Te trzy floty potrafią tylko walczyć o władzę. No i świetnie, cel zniknął… – gderał Kuhn, rozkładając ręce dla podkreślenia wagi swych słów. Zapomniał, że stacja znajduje się w stanie nieważkości, i fiknął koziołka.

W tej chwili generał Robinson nie bronił floty. Flota Azjatycka wysłała pierwotnie trzy małe, szybkie statki, których zadaniem było śledzenie sondy z bliska, ale gdy między trzema flotami rozgorzał spór o to, kto ma prawo ją przechwycić, Połączone Kolegium wydało rezolucję wzywającą wszystkie statki do powrotu do baz. Flota Azjatycka wielokrotnie protestowała przeciwko temu, że trzy statki kosmiczne klasy myśliwców zostały pozbawione całego uzbrojenia i sprzętu zewnętrznego i że pozostały na nich tylko dwuosobowe załogi, które miały rozwinąć maksymalną prędkość, by śledzić cel, ale i tak nie mogły go przejąć. Jednak floty Europejska i Północnoamerykańska były nieugięte i nalegały, by zawrócić wszystkie statki i zastąpić je trzema statkami czwartej strony – Ziemi Międzynarodowej. Gdyby nie ich niezłomne stanowisko, statki floty nawiązałyby już bliski kontakt z sondą. Statki ziemskie, wysłane przez Wspólnotę Europejską i Chiny, nie minęły jeszcze nawet Neptuna.

– Być może – powiedział generał. – Ale silniki sondy mogą się znowu uruchomić. Nadal leci bardzo szybko, więc jeśli nie zacznie hamować, nie zatrzyma się na orbicie słonecznej. Przeleci przez nasz układ.

– Jest pan dowódcą Trisolarian? Może ta sonda w ogóle nie miała pozostać w Układzie Słonecznym, a tylko przelecieć przez niego! – rzekł

Kuhn i nagle coś mu przyszło do głowy. – Skoro silniki są wyłączone, to sonda nie może zmienić kursu! Nie może pan sprawdzić, gdzie się kieruje, i wysłać statku, by tam czekał na nią?

Generał potrząsnął głową.

– Nie da się tego zrobić precyzyjnie. To nie takie proste jak poszukiwanie obiektu latającego w atmosferze ziemskiej. Jeden drobny błąd i znajdzie się pan setki tysięcy albo miliony kilometrów w bok od kursu. W tak ogromnej przestrzeni statek śledzący nie znajdzie takiego małego, ciemnego celu… Ale musimy coś wymyślić…

– A co my możemy zrobić? Niech się tym zajmie flota.

Generał stanął okoniem.

– Musi pan zdawać sobie sprawę z charakteru tej sytuacji, doktorze. Chociaż to nie jest nasza wina, media nie zostawią na nas suchej nitki. W końcu system Ringiera–Fitzroya zbudowano po to, by śledził tę sondę w głębi przestrzeni kosmicznej, więc na nasze głowy wyleje się wiadro pomyj.

Kuhn nic na to nie powiedział, ale przez chwilę wisiał prostopadle do ciała Robinsona. Potem zapytał:

– Czy za orbitą Neptuna nie ma niczego, z czego dałoby się skorzystać?

– Jeśli chodzi o flotę, to pewnie nie ma. Co do Ziemi…

Generał zwrócił się do oficera dyżurnego i wkrótce dowiedział się, że oenzetowska Agencja Ochrony Środowiska ma obok Neptuna cztery duże statki realizujące pierwsze etapy programu Parasol Mgły. Wystrzelono już z nich trzy małe jednostki z zadaniem wyśledzenia sondy.

– Zbierają tam warstewkę oleju? – zapytał Kuhn.

Dostał odpowiedź twierdzącą. Warstewka oleju była substancją, która znajdowała się w pierścieniach Neptuna. W wysokiej temperaturze zamieniała się w szybko ulatniający się gaz, który w kosmosie skupiał się

w nanocząsteczki i tworzył pył kosmiczny. Nazywano ją tak, ponieważ kiedy parowała, ulegała tak znacznej dyfuzji, że niewielka jej ilość mogła utworzyć duże skupisko pyłu, podobnie jak mała kropelka oleju warstewkę molekularnej grubości na powierzchni wody. Pył ten miał też inną właściwość – w odróżnieniu od innych rodzajów pyłu kosmicznego niełatwo rozpraszał go wiatr słoneczny.

Odkrycie warstewki oleju umożliwiło opracowanie projektu Parasol Mgły. W jego ramach planowano utworzyć za pomocą wybuchów jądrowych chmurę pyłu olejowego między Słońcem i Ziemią, która zmniejszałaby ilość docierającego na Ziemię promieniowania słonecznego i zapobiegałaby ociepleniu klimatu.

– Pamiętam, że podobno w okolicach orbity Neptuna jest przedwojenna bomba gwiezdna – powiedział Kuhn.

– Tak. Parę bomb przywiozły też statki realizujące program Parasol Mgły w celu wysadzenia Neptuna i jego satelitów. Nie wiem dokładnie, ile ich tam jest.

– Myślę, że wystarczy jedna – rzekł podekscytowany Kuhn.

Jak przewidywał przed dwustu laty Wpatrujący się w Ścianę Rey Diaz, gdy dla realizacji swego planu tworzył gwiezdną bombę termojądrową, miałaby ona ograniczoną użyteczność w bitwie w dniu Sądu Ostatecznego, ale wielkie mocarstwa chciały ją posiadać na wypadek wybuchu wojny między nimi. Wyprodukowano ponad pięć tysięcy tych bomb, głównie w okresie Wielkiego Jaru, kiedy wskutek wyczerpania się surowców naturalnych stosunki międzynarodowe stały się napięte i ludzkość stanęła na krawędzi wojny. Gdy zaczęła się nowa era, ta straszna broń stała się niepotrzebna, a ponieważ była groźna, trzymano ją w przestrzeni kosmicznej, chociaż nadal należała do poszczególnych państw. Kilka bomb zdetonowano dla potrzeb programów inżynieryjnych, a inne umieszczono

na skraju Układu Słonecznego z myślą o wykorzystaniu ich dla uzupełnienia paliwa jądrowego statków odbywających dalekie podróże kosmiczne. Jednak z powodu trudności technicznych związanych z ich rozbrojeniem nigdy nie zrealizowano tego pomysłu.

– Myśli pan, że to podziała? – zapytał Robinson z ogniem w oczach.

Trochę żałował, że sam nie wpadł na tak prosty pomysł i że to Kuhn będzie figurował w podręcznikach historii.

– Trzeba spróbować. Tylko tyle możemy zrobić.

– Jeśli pana pomysł się sprawdzi, doktorze, to Stacja Ringiera–Fitzroya będzie mogła wiecznie obracać się na tyle szybko, by wytwarzać ziemską grawitację.

– To największa rzecz, jakiej dokonała ludzkość – powiedział dowódca *Niebieskiego Cienia*, patrząc przez okno statku w ciemną jak smoła przestrzeń kosmiczną. Nie było nic widać, ale próbował sobie wmówić, że dostrzega obłok pyłu.

– Dlaczego nie oświetla go Słońce, jak ogona komety? – zapytał pilot.

Załogę *Niebieskiego Cienia* stanowili tylko on i dowódca. Wiedział, że gęstość obłoku nie jest większa niż ogona komety, czyli mniej więcej taka jak próżni wytworzonej w ziemskim laboratorium.

– Może światło Słońca jest za słabe. – Dowódca spojrzał na Słońce, które w pustej przestrzeni pomiędzy orbitą Neptuna i Pasem Kuipera wyglądało jak duża gwiazda. Jego okrągły kształt był ledwie widoczny. Mimo to ich sylwetki rzucały cienie na gródź. – Poza tym ogon komety widać dopiero z pewnej odległości. Jesteśmy zaledwie na skraju obłoku.

Pilot starał się wyobrazić sobie ów cienki, lecz ogromny obłok. Przed kilkoma dniami obaj z dowódcą zobaczyli, jak mały jest ten obłok

zagęszczony do masy ciała stałego. Z orbity Neptuna przyleciał wtedy ogromny statek *Pacyfik*, który zatrzymał się w tym sektorze przestrzeni kosmicznej i zostawił pięć rzeczy. Najpierw jego mechaniczne ramię wyjęło gwiezdną bombę termojądrową z początku wojny z Trisolaris, cylinder długości pięciu i średnicy półtora metra, potem cztery duże kule o średnicy od trzydziestu do pięćdziesięciu metrów. Kule te, zawierające zebraną z pierścieni Neptuna warstewkę oleju, umieścił w punktach odległych o kilkaset metrów od bomby. Gdy się oddalił, bomba wybuchła, tworząc małe słońce, którego światło i ciepło popłynęły w zimną otchłań przestrzeni kosmicznej, zmieniając otaczające ją kule w parę. Pod wpływem promieniowania gazowa warstewka oleju szybko się rozproszyła, a potem schłodziła, tworząc składającą się z niezliczonych cząstek chmurę. Obłok ten miał średnicę dwóch milionów kilometrów, większą od średnicy Słońca.

Umieszczono ją w rejonie, przez który – jak się spodziewano na podstawie obserwacji jej toru przed zgaszeniem silników – miała przelecieć sonda. Doktor Kuhn i generał Robinson mieli nadzieję, że dzięki śladom, które zostawi w stworzonym przez człowieka obłoku pyłu, uda się precyzyjnie zmierzyć kierunek jej toru i pozycję.

Pacyfik powrócił do bazy na Neptunie, zostawiwszy trzy małe statki, które miały przystąpić do śledzenia sondy, gdy tylko pokaże się fala po jej przejściu. Jednym z nich był *Niebieski Cień*. Tę niewielką, lecz bardzo szybką jednostkę nazywano kosmicznym ścigaczem. Poza małą kapsułą mieszczącą pięcioosobową załogę składała się ona w całości z silnika termojądrowego, więc nie tylko mogła osiągnąć ogromną prędkość, ale i była bardzo zwrotna. Po ukształtowaniu się obłoku *Niebieski Cień* przeleciał przez cały jego obszar, by sprawdzić, czy zostanie w nim ślad. Wyniki próby były bardzo zadowalające. Oczywiście widać je było tylko przez teleskop kosmiczny znajdujący się w odległości ponad stu jednostek

astronomicznych. Z samego *Niebieskiego Cienia* ślad był niewidoczny, a przestrzeń wokół była jak zawsze pusta. Mimo to pilot twierdził, że po przelocie ścigacza Słońce wydawało się trochę ciemniejsze, a jego ostre wcześniej kontury stały się nieco zamazane. Potwierdziły to obserwacje teleskopowe.

– Odsunie się za niecałe trzy godziny – powiedział dowódca, spoglądając na zegarek. Obłok pyłu był w istocie rzeczy gigantycznym, cienkim satelitą, krążącym wokół Słońca i stale zmieniającym położenie. Kiedy oddali się od strefy, przez którą miała przelecieć sonda, trzeba będzie utworzyć za nim drugi obłok.

– Naprawdę ma pan nadzieję, że ją dopadniemy? – zapytał pilot.

– A dlaczego nie? Tworzymy historię.

– Czy to coś nas nie zaatakuje? Nie jesteśmy żołnierzami. To flota powinna się tym zająć.

Potem dostali wiadomość ze Stacji Ringiera–Fitzroya, że trisolariańska sonda wleciała w obłok pyłu oraz zostawiła w nim ślad i że obliczono precyzyjnie jej trajektorię. *Niebieski Cień* otrzymał rozkaz, by natychmiast zbliżyć się do celu. Stacja znajdowała się ponad sto jednostek astronomicznych od *Niebieskiego Cienia*, co znaczyło, że wiadomość ta była o ponad dziesięć godzin opóźniona, ale klucz odcisnął się w plastelinie. Przy obliczeniach orbitalnych uwzględniono nawet wpływ cienkiego obłoku pyłu, więc spotkanie było tylko kwestią czasu.

Niebieski Cień obrał kurs na drogę sondy i ponownie wszedł w niewidzialny obłok pyłu. Był to długi lot, ponaddziesięciogodzinny, i zarówno kapitana, jak i pilota ogarnęła senność. Ale dystans między nimi i sondą stale się zmniejszał, więc musieli być czujni.

– Widzę ją! Widzę! – krzyknął pilot.

– O czym ty mówisz? Dzieli nas od niej jeszcze czternaście tysięcy kilometrów! – ofuknął go kapitan.

Nawet przy takiej widoczności, jaka panowała w przestrzeni kosmicznej, z tej odległości nie można byłoby dostrzec obiektu wielkości ciężarówki. Ale wkrótce sam go zobaczył: po trajektorii o podanych parametrach poruszał się na tle cichej przestrzeni kosmicznej świetlny punkt.

Po chwili zastanowienia dowódca zrozumiał: większy od Słońca obłok pyłu był niepotrzebny, ponieważ trisolariańska sonda ponownie uruchomiła silniki i kontynuowała hamowanie. Nie miała zamiaru opuszczać Układu Słonecznego, lecz chciała w nim zostać.

Był to tylko tymczasowy środek podjęty przez flotę, więc ceremonia przekazania uprawnień kapitana *Doboru Naturalnego* odbyła się bez fanfar i wzięli w niej udział tylko kapitan Dongfang Yanxu, pełniący obowiązki kapitana Zhang Beihai, pierwszy zastępca kapitana Levine, jego drugi zastępca Akira Inoue, a także specjalna delegacja sztabu generalnego.

Pomimo osiągnięć technologicznych nowej ery oficerom nadal nie udało się pokonać ograniczeń wynikających ze stagnacji badań podstawowych, więc przekazanie dowództwa odbyło się w znany Zhang Beihaiowi sposób: przez identyfikację źrenicy i odcisku palca oraz uwierzytelnienie hasła dostępu.

Po potwierdzeniu przez delegację ze sztabu generalnego tożsamości Zhang Beihaia Dongfang Yanxu podała mu swoje hasło dostępu: „Dla mężczyzn miłość zawsze jest tylko romansem”.

– Jesteś niepaląca – zauważył spokojnie.

– A ta marka papierosów zniknęła podczas Wielkiego Jaru – powiedziała z lekkim niezadowoleniem i spuściła oczy.

– Ale hasło jest dobre. Wtedy też wiedziało o tym niewiele osób.

Kapitan i jej zastępcy wyszli, zostawiając Zhang Beihaia samego, by zaktualizował hasło i uzyskał pełną kontrolę nad *Doborem Naturalnym*.

– Jest bystry – stwierdził Akira Inoue, gdy zniknęły drzwi do kulistej kabiny.

– Starożytna mądrość – powiedziała Dongfang Yanxu, patrząc w miejsce, gdzie były drzwi, jakby chciała przebić je wzrokiem. – Nigdy nie zdołamy się nauczyć tego, co przyniósł sprzed dwustu lat, ale on może się nauczyć tego, co my wiemy.

Potem cała trójka stanęła i czekała w milczeniu. Minęło pięć minut, niewątpliwie dużo na zmianę hasła, zwłaszcza że Zhang Beihai najlepiej ze wszystkich członków Specjalnego Kontyngentu ukończył kurs dowodzenia systemem. Potem jeszcze pięć. Dwaj zastępcy kapitana zaczęli niecierpliwie pływać po korytarzu, ale Dongfang Yanxu nie ruszyła się z miejsca.

W końcu ponownie pojawiły się drzwi. Zhang Beihai włączył mapę holograficzną, z której usunął wszystkie napisy, zostawiając tylko migoczące gwiazdy. Z miejsca, gdzie stali, wydawał się zawieszony poza statkiem, a obok niego unosiło się jego łącze.

– Skończyłem – powiedział.

– Dlaczego to trwało tak długo? – burknął Levine.

– Przeżywał pan dreszczyk emocji z powodu przejęcia komendy nad *Doborem Naturalnym*? – zapytał Akira Inoue.

Zhang Beihai nie odpowiedział. Nie patrzył na łącze, lecz na gwiazdę w odległym punkcie mapy. Dongfang Yanxu zauważyła, że ten punkt świeci się zielono.

– To byłoby absurdalne – skomentował słowa kolegi Levine. – Czy wolno mi zauważyć, że stanowisko kapitana wciąż należy do pułkownik

Dongfang? Pełniący obowiązki kapitana jest tylko zaporą. Przepraszam, że ująłem to brutalnie, ale taka jest prawda.

– I ten stan nie potrwa długo – dodał Akira Inoue. – Dochodzenie we flocie zbliża się do końca i zasadniczo dowiedziono, że naznaczeni nie istnieją.

Miał już kontynuować, ale powstrzymał go okrzyk zaskoczenia, który wydała kapitan:

– O Boże!

Podążając za jej wzrokiem, jej zastępcy spojrzeli na status *Doboru Naturalnego* na interfejsie Zhang Beihaia.

Statek został przełączony na zdalne sterowanie, omijając tym samym stan głębinowy poprzedzający komendę „cztery naprzód”. Przerwano połączenie z dowództwem floty. Były też włączone ustawienia maksymalnego przyspieszenia. Po naciśnięciu jednego guzika *Dobór Naturalny* skieruje się z maksymalną prędkością do celu wybranego na mapie.

– Nie, to się nie może dziać naprawdę – powiedziała Dongfang Yanxu tak cicho, że tylko ona to usłyszała. Była to jakby jej odpowiedź na wcześniejszy okrzyk: „O Boże!”. Nigdy nie wierzyła w Boga, ale teraz modliła się do Niego.

– Zwariował pan? – krzyknął Levine.

Razem z Akirą Inoue puścił się pędem do kabiny, ale zderzył się z grodzią, bo nie było tam drzwi, a jedynie owalny fragment ściany, który stał się przezroczysty.

– Za chwilę *Dobór Naturalny* przejdzie do czterech naprzód. Cała załoga musi natychmiast wejść w stan głębinowy – powiedział Zhang Beihai, wymawiając starannie każde słowo spokojnym głosem, niewzruszonym jak starożytna kotwica na zimnym wietrze.

– To niemożliwe! – powiedział Akira Inoue.

– Jest pan naznaczonym? – zapytała Dongfang Yanxu, szybko dochodząc do siebie.

– Wie pani, że to niemożliwe.

– A więc członkiem RZT?

– Nie.

– Wobec tego kim?

– Żołnierzem wypełniającym swój obowiązek i walczącym o przetrwanie ludzkości.

– Dlaczego pan to robi?

– Wyjaśnię, kiedy osiągniemy maksymalną prędkość. Powtarzam: cała załoga musi natychmiast wejść w stan głębinowy.

– To niemożliwe! – powtórzył Akira Inoue.

Zhang Beihai odwrócił się i nie spojrzawszy nawet na dwóch zastępców kapitana, wbił wzrok w Dongfang Yanxu. Jego oczy przypominały godło chińskich Sił Kosmicznych – gwiazdy i miecze.

– Dongfang, powiedziałem, że będzie mi przykro, jeśli będę musiał panią zabić. Zostało niewiele czasu.

Potem w sferycznej kabinie Zhang Beihaia pojawił się głębinowy płyn przyspieszenia, tworząc w nieważkim środowisku kule. W każdej odbijał się zniekształcony obraz jego, interfejsu i mapy. Kule zaczęły się łączyć. Zastępcy Dongfang Yanxu spojrzeli na nią.

– Róbcie, co mówi. Cały statek wchodzi w stan głębinowy – powiedziała.

Gapili się na nią z niedowierzaniem. Wiedzieli, jakie byłyby skutki pozostawania podczas czterech naprzód poza ochronnym stanem głębinowym: ich ciała rozpłaszczyłyby się na grodzi z siłą sto dwadzieścia razy większą od ziemskiej grawitacji. Pod niezwykłym ciężarem trysnęłaby

z nich krew, rozlewając się promieniście cienką warstwą, a potem zmiażdżone zostałyby ich narządy wewnętrzne, tworząc drugą cienką warstwę, i zostałyby rozsmarowane na grodzi jak brzydki obraz Dalego…

Ruszyli do kabin, wydając rozkaz, by cały statek wszedł w stan głębinowy.

– Jest pani dobrym kapitanem. – Zhang Beihai kiwnął głową do Dongfang Yanxu. – Pani zachowanie świadczy o dojrzałości.

– Dokąd lecimy?

– Dokądkolwiek polecimy, będzie to bardziej odpowiedzialny wybór niż pozostanie tutaj.

Potem pogrążyli się w głębinowym płynie przyspieszenia, przez który Dongfang Yanxu widziała tylko niewyraźny zarys jego ciała.

Unosząc się w przezroczystym płynie, Zhang Beihai przypomniał sobie ćwiczenia w nurkowaniu, w których brał udział przed dwustu laty w marynarce wojennej. Nie wyobrażał sobie, że zaledwie kilka metrów pod powierzchnią będzie tak ciemno, ale podwodny świat napełniał go takim samym uczuciem, jak później kosmos. Ocean był jego miniaturą na Ziemi. Spróbował odetchnąć, ale dostał odruchu wymiotnego i wykasłał płyn wraz z resztką gazu, a jego ciało się zwinęło. Mimo to, wbrew przewidywaniom, nie miał wrażenia, że się dusi, a kiedy zimny płyn wypełniał jego płuca, zawarty w nim tlen przenikał do jego krwi. Zhang mógł oddychać jak ryba.

Na zawieszonym przed nim łączu widział, że ciecz wypełnia po kolei wszystkie zajęte pomieszczenia na statku. Proces ten trwał ponad dziesięć minut. Zaczęła mu się zamazywać świadomość, ponieważ w płynie zawarty był czynnik hipnotyzujący, który usypiał wszystkich na statku, by uchronić ich przed uszkodzeniem mózgu spowodowanym wysokim ciśnieniem i niedotleniem podczas przyspieszania.

Zhang Beihai poczuł, że na statku pojawił się duch jego ojca i zjednoczył się z nim. Nacisnął guzik interfejsu i wydał w myślach rozkaz, do którego dążył przez całe życie:

– „*Dobór Naturalny*, cztery naprzód!”.

Na orbicie wokół Jowisza pokazało się małe słońce, a jego jasne światło przyćmiło fosforescencję atmosfery planety. Statek wojenny klasy międzygwiezdnej *Dobór Naturalny* wyszedł powoli z bazy Floty Azjatyckiej i ciągnąc za sobą to słońce, szybko zwiększył prędkość. W jego blasku inne statki rzucały na powierzchnię Jowisza cienie wielkości Ziemi. Dziesięć minut później przez planetę przesunął się niczym zaciągnięta nad nią kurtyna większy cień. *Dobór Natutalny* mijał Io.

W tym momencie dowództwo Floty Azjatyckiej potwierdziło niewiarygodny fakt – *Dobór Naturalny* uciekł.

Floty Europejska i Północnoamerykańska odniosły początkowo wrażenie, że jest to niedozwolone posunięcie Floty Azjatyckiej w celu przechwycenia sondy trisolariańskiej, więc wysłały protesty i ostrzeżenia pod jej adresem, ale niebawem, śledząc kurs, który obrał *Dobór Naturalny*, zdały sobie sprawę, że nie w tym rzecz.

Stopniowo wyłączały się różne systemy wzywające *Dobór Naturalny* do powrotu, ponieważ nie otrzymywały odpowiedzi. Dowództwo zaczęło wysyłać statki pościgowe, ale wkrótce zorientowało się, że uciekinierowi niewiele da się zrobić. Bazy na czterech księżycach Jowisza dysponowały wystarczającą siłą ognia, by zniszczyć *Dobór Naturalny*, ale nie obrały tej drogi, ponieważ było możliwe, że decyzję o ucieczce podjęła tylko niewielka część załogi, a nawet jedna osoba, i dwa tysiące żołnierzy w stanie głębinowym było tylko zakładnikami. Dowódcy bazy laserów

gamma na Europie mogli tylko bezsilnie patrzeć, jak po niebie przelatuje małe słońce, zalewając jej rozległe pokrywy lodowe światłem niczym płonący fosfor.

Dobór Naturalny przeciął orbity szesnastu księżyców Jowisza i gdy zbliżył się do Kallisto, osiągnął prędkość ucieczki. Oglądane z bazy małe słońce stopniowo się kurczyło i zamieniło w jasną gwiazdę, która jeszcze przez tydzień była słabo widoczna jako przypomnienie o nieustępującym bólu Floty Azjatyckiej.

Siły pościgowe musiały wejść w stan głębinowy, więc ich statki mogły wystartować dopiero czterdzieści pięć minut po ucieczce *Doboru Naturalnego*. Oświetliły Jowisza jak sześć innych słońc.

W dowództwie Floty Azjatyckiej, które przestało się obracać, jego szef siedział w milczeniu na wprost ogromnej ciemnej strony Jowisza, kiedy w atmosferze dziesięć tysięcy kilometrów pod nim rozbłysło światło. Potężne promieniowanie silników termojądrowych *Doboru Naturalnego* spowodowało jej jonizację i rozpętało burze błyskawic. Z oddali były one widoczne jako nieustannie przemieszczające się halo i przemieniały powierzchnię planety w staw skąpany w jarzeniowym deszczu.

Dobór Naturalny przyspieszył w ciszy do jednej setnej prędkości światła i z powodu ogromnego zużycia paliwa, jakiego wymagał ten manewr, znalazł się w punkcie, skąd nie miał już odwrotu. Skoro nie mógł o własnych siłach wrócić do Układu Słonecznego, stał się samotną łodzią, która miała się wiecznie błąkać w przestrzeni kosmicznej.

Dowódca Floty Azjatyckiej patrzył na gwiazdy, starając się bezskutecznie znaleźć szczególnie jedną, bo w tamtej stronie widać było jedynie słabe światło silników grupy pościgowej. Wkrótce nadszedł od niej

meldunek: *Dobór Naturalny* przestał przyspieszać. Chwilę potem uciekinier ponownie nawiązał łączność z flotą. Doszło do następującej wymiany zdań, pomiędzy którymi były ponaddziesięciosekundowe przerwy, gdyż statek znajdował się ponad pięć milionów kilometrów od dowództwa floty.

DOBÓR NATURALNY: *Dobór Naturalny* wzywa Flotę Azjatycką! *Dobór Naturalny* wzywa Flotę Azjatycką!

FLOTA AZJATYCKA: *Dobór Naturalny*, słyszymy cię. Złóż raport o swojej sytuacji.

DOBÓR NATURALNY: Tu pełniący obowiązki kapitana Zhang Beihai. Chcę mówić bezpośrednio z dowódcą floty.

DOWÓDCA FLOTY: Słucham.

ZHANG BEIHAI: Biorę pełną odpowiedzialność za oddalenie się *Doboru Naturalnego*.

DOWÓDCA FLOTY: Czy jest za to odpowiedzialny jeszcze ktoś inny?

ZHANG BEIHAI: Nie. Wyłączną odpowiedzialność ponoszę ja. Nikt inny na pokładzie *Doboru Naturalnego* nie ma z tym nic wspólnego.

DOWÓDCA FLOTY: Chcę mówić z kapitan Dongfang Yanxu.

ZHANG BEIHAI: Nie teraz.

DOWÓDCA FLOTY: W jakim stanie jest obecnie statek?

ZHANG BEIHAI: W dobrym. Wszyscy członkowie załogi oprócz mnie są w stanie głębinowym. Układy zasilania i podtrzymania życia pracują normalnie.

DOWÓDCA FLOTY: A jakie są powody pańskiej zdrady?

ZHANG BEIHAI: Może zdezerterowałem, ale nie jestem zdrajcą.

DOWÓDCA FLOTY: Z jakich powodów?

ZHANG BEIHAI: Ludzkość na pewno przegra na polu walki. Chcę tylko ocalić jeden z ziemskich statków klasy gwiezdnej i zachować we

Wszechświecie ziarno ludzkiej cywilizacji jako źdźbło nadziei.

DOWÓDCA FLOTY: To czyni z pana eskapistę.

ZHANG BEIHAI: Jestem tylko żołnierzem spełniającym swój obowiązek.

DOWÓDCA FLOTY: Założono panu plombę mentalną?

ZHANG BEIHAI: Wie pan, że to niemożliwe. Kiedy poddałem się hibernacji, ta technologia jeszcze nie istniała.

DOWÓDCA FLOTY: Wobec tego pańskie niezachwiane poglądy defetystyczne są zdumiewające.

ZHANG BEIHAI: Nie potrzebuję plomby mentalnej. Jestem panem moich myśli. Moja wiara jest niezachwiana, ponieważ nie jest owocem tylko moich własnych przemyśleń. Na początku kryzysu trisolariańskiego zaczęliśmy z ojcem poważnie się zastanawiać nad najbardziej podstawowymi kwestiami tej wojny. Stopniowo wokół niego zebrała się grupa ludzi, myślicieli, naukowców, polityków i strategów wojskowych. Nazwali się „historykami przyszłości”.

DOWÓDCA FLOTY: To była tajna organizacja?

ZHANG BEIHAI: Nie. Omawiali bardzo podstawowe sprawy, a ich dyskusje były zawsze prowadzone jawnie. Rząd i wojsko zorganizowały nawet kilka konferencji naukowych poświęconych historii przyszłości. I to właśnie na podstawie ich badań doszedłem do wniosku, że ludzkość skazana jest na zagładę.

DOWÓDCA FLOTY: Ale potem wykazano, że teoria historii przyszłości jest błędna.

ZHANG BEIHAI: Nie docenia ich pan. Przewidzieli nie tylko Wielki Jar, ale również drugie oświecenie i drugi renesans. Ich przewidywania na temat dzisiejszej ery dobrobytu są tak dokładne, że praktycznie nie można ich odróżnić od rzeczywistości. Na koniec przewidzieli, że ludzkość

poniesie całkowitą klęskę, zostanie zniszczona podczas bitwy w dniu Sądu Ostatecznego.

DOWÓDCA FLOTY: Zapomniał pan, że jest na statku kosmicznym, który może rozwinąć prędkość piętnastu procent prędkości światła?

ZHANG BEIHAI: Jazda Czyngis-chana atakowała z prędkością dwudziestowiecznych pojazdów opancerzonych. Kusze z czasów dynastii Song miały zasięg do tysiąca pięciuset metrów, porównywalny z dwudziestowiecznym karabinem szturmowym. Ale starożytna jazda i kusze nie mogą konkurować ze współczesnymi wojskami. Wszystko determinują badania podstawowe. Historycy przyszłości dobrze to wiedzieli. Natomiast wy jesteście zaślepieni niknącym promieniowaniem słabo zaawansowanej technologii i pławicie się w luksusie współczesnej cywilizacji. Nie jesteście mentalnie przygotowani do nadciągającej ostatecznej bitwy, która rozstrzygnie o losie ludzkości.

DOWÓDCA FLOTY: Wywodzi się pan ze wspaniałej armii, która pokonała wroga dysponującego dużo nowocześniejszym sprzętem. Wygrała jedną z największych wojen lądowych na świecie, używając tylko zdobycznej broni. Pańskie zachowanie uwłacza tej armii.

ZHANG BEIHAI: Szanowny panie dowódco, ja mam większe prawo mówić o tej armii niż pan. Służyły w niej trzy pokolenia mojej rodziny. Podczas wojny koreańskiej mój dziadek rzucił się na czołg Pershing tylko z granatem w ręku. Granat ześlizgnął się z pancerza czołgu i wybuchł na ziemi. Cel został tylko draśnięty, ale dziadka trafiła seria z karabinu maszynowego czołgu, gąsienice zmiażdżyły mu obie nogi i do końca życia był inwalidą. Ale w porównaniu z dwoma towarzyszami, z których została miazga, i tak miał szczęście… Historia tej armii wyraźnie nam pokazała znaczenie przepaści technologicznej podczas

wojny. Zna pan jej chwałę tylko z podręczników historii, natomiast naszą traumę scementowała krew naszych ojców i dziadków. Lepiej niż pan wiemy, co znaczy wojna.

DOWÓDCA FLOTY: Kiedy obmyślił pan plan zdrady?

ZHANG BEIHAI: Powtórzę: może zdezerterowałem, ale nie jestem zdrajcą. Obmyśliłem ten plan, kiedy po raz ostatni widziałem ojca. Zobaczyłem w jego oczach, co muszę zrobić, a realizacja tego planu zajęła mi dwa wieki.

DOWÓDCA FLOTY: I żeby to zrobić, przywdział pan maskę człowieka wierzącego w zwycięstwo. Bardzo skutecznie.

ZHANG BEIHAI: O mało nie przejrzał mnie generał Chang Weisi.

DOWÓDCA FLOTY: Tak. Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie odkrył, na jakiej podstawie opiera się pańska wiara w zwycięstwo, a jego podejrzenia pogłębił pański entuzjazm dla umożliwiających podróże międzygwiezdne radiacyjnych układów napędu. Zawsze sprzeciwiał się wstąpieniu pana do Specjalnego Kontyngentu Przyszłych Uzupełnień, ale nie mógł złamać rozkazu swoich przełożonych. W skierowanym do nas liście ostrzegł nas przed panem, ale ponieważ zrobił to w charakterystyczny dla waszej ery zawoalowany sposób, przeoczyliśmy to ostrzeżenie.

ZHANG BEIHAI: Żeby uzyskać statek nadający się do długich podróży kosmicznych, zabiłem troje ludzi.

DOWÓDCA FLOTY: Nie wiedzieliśmy o tym. Może nikt nie wiedział. Ale jedno jest pewne: wybrany wtedy kierunek badań był kluczowy dla rozwoju technologii kosmicznej.

ZHANG BEIHAI: Dziękuję za te słowa.

DOWÓDCA FLOTY: Powiem też, że pański plan się nie powiedzie.

ZHANG BEIHAI: Być może. Na razie wszystko idzie zgodnie z nim.

DOWÓDCA FLOTY: Zbiornik paliwa *Doboru Naturalnego* jest pełen tylko w jednej piątej.

ZHANG BEIHAI: Musiałem działać bezzwłocznie. Druga taka okazja mogłaby się nie nadarzyć.

DOWÓDCA FLOTY: Znaczy to, że może pan teraz osiągnąć prędkość tylko jednego procenta prędkości światła. Nie może pan zużyć reszty paliwa, ponieważ jest ono potrzebne dla pracy systemów podtrzymania życia co najmniej przez kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset lat. Ale przy tej prędkości wkrótce dopadnie pana grupa pościgowa.

ZHANG BEIHAI: Nadal panuję nad *Doborem Naturalnym*.

DOWÓDCA FLOTY: To prawda. I oczywiście zna pan nasze obawy: że pościg skłoni pana do stałego przyspieszania i zużywania paliwa, aż przestaną działać systemy podtrzymania życia i *Dobór Naturalny* stanie się martwym statkiem z temperaturą bliską zera absolutnego. Dlatego grupa pościgowa na razie nie zbliży się do niego. Wierzymy, że dowódca i żołnierze na jego pokładzie sami rozwiążą problemy swego statku.

ZHANG BEIHAI: Ja też jestem przekonany, że wszystkie problemy zostaną rozwiązane. Biorę odpowiedzialność na siebie, ale nadal jestem pewien, że *Dobór Naturalny* zmierza we właściwym kierunku.

Kiedy Luo Ji się obudził, rozpoznał jeszcze jedną rzecz, która przetrwała z dawnych czasów – ognie sztuczne. Był świt i za oknem bielała pustynia rozświetlana wybuchami rac. Ktoś nerwowo zapukał do drzwi. Zanim Luo Ji zdążył odpowiedzieć, otworzyły się i wpadł Shi Xiaoming z czerwoną z podniecenia twarzą i powiedział mu, żeby natychmiast włączył wiadomości.

Luo Ji rzadko oglądał telewizję. Od osiedlenia się w Piątej Wsi Nowego Życia powrócił do przeszłości. Po wstrząsach, których doznał po wyjściu w nowej erze z hibernacji, bardzo to cenił i na razie nie chciał zawracać sobie głowy aktualnymi informacjami. Przez większość czasu wspominał Zhuang Yan i Xia Xię. Złożył prośbę o ich przebudzenie, ale przedstawiciele władzy sprawujący kontrolę nad hibernatami mogli wyrazić na to zgodę nie wcześniej niż za dwa miesiące.

Telewizja podała, że przed pięcioma godzinami teleskop Ringier–Fitzroy zaobserwował kolejne przejście floty trisolariańskiej przez obłok pyłu gwiezdnego. Zdarzyło się to już po raz siódmy od wysłania przed dwoma wiekami tej floty. Straciła ona zwarty szyk, więc kształt miotły, który pojawił się po jej przelocie przez pierwszy obłok, zmienił się nie do poznania. Podobnie jednak jak za drugim razem zaobserwowano wystający z niej włosek, z tą różnicą, że jego ślad wskazywał, iż nie jest to sonda, lecz statek wojenny. Już piętnaście lat wcześniej zauważono, że niektóre jednostki floty trisolariańskiej wytracają prędkość, z jaką początkowo leciały w stronę Układu Słonecznego. Przed dziesięcioma laty zaczęła zwalniać już większość z nich. Teraz było jasne, że ten konkretny statek nie tylko nigdy nie zmniejszył prędkości, ale, jak można sądzić ze śladu, który zostawiał w obłoku, stale przyspiesza. Przy obecnej prędkości pojawiłby się w Układzie Słonecznym pół wieku przed resztą floty.

Samotny lot w obszar znajdujący się w zasięgu potężnej ziemskiej armady byłby samobójstwem, chyba że nie była to próba dokonania inwazji. Pozostawała tylko jedna możliwość – był to emisariusz wysłany w celu negocjacji. Na podstawie prowadzonych przez ponad dwieście lat obserwacji określono maksymalną prędkość każdego statku i obliczono, że ta jednostka na czele nie będzie mogła w odpowiednim czasie wyhamować i za sto pięćdziesiąt lat przeleci przez cały Układ Słoneczny. Wynikały stąd

dwa alternatywne wnioski. Pierwszy był taki, że Trisolarianie chcieli, by Ziemia pomogła im się zatrzymać. Drugi, bardziej prawdopodobny, że zanim ten statek opuści Układ Słoneczny, wyśle mniejszą jednostkę, której będzie łatwiej wytracać prędkość, z delegacją trisolariańską na pokładzie.

– Ale skoro chcą negocjować, to dlaczego nie powiadomili o tym ludzi przez sofony? – zapytał Luo Ji.

– To łatwo wyjaśnić! – powiedział podniecony Shi Xiaoming. – Przez odmienny od naszego sposób myślenia. Trisolarianie mają całkowicie przejrzyste umysły, więc wyobrażają sobie, że już wiemy, o co im chodzi!

Chociaż wyjaśnienie to było nieprzekonujące, Luo Ji dla świętego spokoju zgodził się z Shi Xiaomingiem.

Kiedy wzeszło słońce, świętowanie osiągnęło punkt kulminacyjny. Ich wioska była małym zakątkiem świata, główna feta odbywała się w podziemnych miastach. Ludzie wyszli ze swoich drzew mieszkalnych i tłoczyli się na ulicach i placach, nastawiwszy ubrania na maksymalną jasność, która zalała otoczenie morzem światła. Na sklepieniach rozkwitały wirtualne ognie sztuczne, a od czasu do czasu całe niebo ogarniał kolorowy wybuch dorównujący blaskiem słońcu.

Rząd podchodził najpierw do całej sprawy ostrożnie. Jego rzecznicy wielokrotnie powtarzali, że brakuje rozstrzygających dowodów na to, że Trisolaris pragnie rozpocząć negocjacje, ale jednocześnie ONZ i PKFS zwołały w nagłym trybie szczyt przywódców państw, by opracować strategię procedur i warunków rozmów pokojowych…

W Piątej Wsi Nowego Życia w świętowaniu nastąpiła krótka przerwa, bo miejscowy administrator wystąpił z przemową. Był on fanatycznym zwolennikiem projektu o nazwie Słońce i wykorzystał tę okazję dla zyskania poparcia hibernatów.

Projekt Słońce był propozycją ONZ, która sprowadzała się do tego, by w przypadku zwycięstwa ludzkości w bitwie w dniu Sądu Ostatecznego zapewniono Trisolarianom miejsce do życia w Układzie Słonecznym. Istniały różne wersje projektu. Plan słabego przetrwania zakładał, że na Plutonie, Charonie i księżycach Neptuna ustanowi się rezerwaty tylko dla znajdujących się na statkach pokonanych Trisolarian. Warunki bytowe będą tam bardzo marne i Trisolarianie będą uzależnieni od dostaw energii termojądrowej i pomocy ludzkiej społeczności. Zgodnie z planem silnego przetrwania miejscem pobytu kosmitów miał się stać Mars i przyjęto by tam wszystkich imigrantów, nie tylko załogi statków pobitej floty. Zapewniałby on cywilizacji trisolariańskiej najlepsze warunki życia, jakie istniały w Układzie Słonecznym, jeśli nie liczyć Ziemi. Pozostałe wersje mieściły się między tymi dwiema, ale było też kilka ekstremalnych pomysłów, takich jak przyjęcie Trisolarian do społeczności ziemskiej. Projekt Słońce uzyskał poparcie zarówno Ziemi Międzynarodowej, jak i Floty Międzynarodowej i pod naciskiem wielu organizacji pozarządowych zaczęły się już wstępne prace nad nim. Napotkał on jednak zdecydowany opór społeczności hibernatów, którzy nawet ochrzcili jego zwolenników mianem „Dongguo”, baśniowego uczonego o miękkim sercu, który ocalił życie wilkowi[2].

Gdy tylko administrator zaczął swoją mowę, spotkał się z silnym sprzeciwem słuchaczy, którzy zaczęli rzucać w niego pomidorami. Robiąc uniki, powiedział:

– Chciałbym wam przypomnieć, że po drugim renesansie wkroczyliśmy w wiek humanitaryzmu. Życiu i cywilizacji każdej rasy należy się najwyższy szacunek. Oświeca was światło tego wieku, prawda? We współczesnym społeczeństwie hibernaci cieszą się pełnią praw obywatelskich i nie są w żaden sposób dyskryminowani. Ta zasada zapisana

jest w konstytucji i w kodeksach prawnych, ale, co ważniejsze, każdy ma ją w sercu. Ufam, że potraficie to docenić. Również cywilizacja trisolariańska jest wspaniała. Ludzie muszą uznać jej prawo do istnienia. Realizacja projektu Słońce nie jest działaniem charytatywnym. Jest wyrazem uznania dla wartości rodzaju ludzkiego! Jeśli… Hej, kretyni, skupcie się na waszej pracy!

Ostatnie słowa były skierowane do członków jego ekipy pochłoniętych zbieraniem padających pomidorów – pod ziemią były one przecież drogie. Gdy hibernaci to zobaczyli, zaczęli rzucać na podium także ogórki i ziemniaki i w ten sposób zatarg zakończył się ogólnym rozbawieniem.

Po południu świętowano we wszystkich domach. Na trawniku wyprawiono dla mieszkańców miasta, którzy, włącznie z panem Dongguo i jego świtą, przyłączyli się do zabawy, wystawną ucztę z naturalnych produktów rolnych. Radowano się przez całe popołudnie, aż do zachodu słońca, który tego dnia był wyjątkowo piękny. Piaszczyste równiny wokół wioski miały w czerwono-pomarańczowym blasku słońca łagodny, kremowy kolor, a wydmy wyglądały jak ciała śpiących kobiet.

O zmierzchu zelektryzowała ich nowa wiadomość: Flota Międzynarodowa podjęła decyzję o połączeniu statków klasy gwiezdnej Floty Azjatyckiej, Europejskiej i Północnoamerykańskiej w jedną całość w sile 2015 jednostek i skierowaniu ich w stronę Neptuna z zadaniem przechwycenia trisolariańskiej sondy!

Przygasająca zabawa rozgorzała na nowo, niebo wypełniły fajerwerki. Ale wiadomość ta wywołała także drwiny.

– Mobilizacja dwóch tysięcy statków dla przechwycenia małej sondy?

– To tak, jakby użyć dwóch tysięcy noży do zabicia kurczaka!

– Właśnie! Dwa tysiące armat przeciw komarowi!

– Słuchajcie, ludzie, powinniśmy być bardziej wyrozumiali dla Floty Międzynarodowej. To może być dla niej jedyna szansa na walkę z Trisolarianami.

– Racja. Jeśli można to nazwać walką.

– Potraktujcie to jako paradę wojskową przed ludzkością. Zobaczmy, co ma ta superflota. Wystraszy Trisolarian na śmierć! Będą tak przerażeni, że się posikają. Jeśli mają czym sikać.

Śmiech.

Około północy nadeszła kolejna wiadomość: połączona flota wyleciała z bazy na Jowiszu. Poinformowano widzów, że można ją zobaczyć gołym okiem na południowym niebie. Na tę wieść rozbawiony tłum po raz pierwszy ucichł i zaczął szukać na niebie Jowisza. Nie było to łatwe, ale idąc za wskazówkami eksperta w telewizji, wkrótce zlokalizowano planetę na południowym zachodzie. W tym momencie światło połączonej floty przesuwało się w odległości pięciu jednostek astronomicznych w kierunku Ziemi. Czterdzieści pięć minut później Jowisz nagle stał się najjaśniejszym ciałem na niebie, jaśniejszym niż Syriusz. Potem oddzieliła się od niego jak dusza od ciała błyszcząca gwiazda. Kiedy powoli się oddalała, powrócił do dawnej jasności. Był to start połączonej floty.

Praktycznie w tej samej chwili na Ziemię dotarł przekaz z Jowisza na żywo. Ludzie zobaczyli w telewizorach, jak w czerni kosmosu nagle pojawia się dwa tysiące słońc. Gdy wisiały tak pośród wiecznej nocy przestrzeni kosmicznej, budząc podziw i strach, ich prostokątna formacja wywołała w głowach wszystkich tę samą myśl: „Bóg rzekł: Niechaj się stanie światłość! I stała się światłość”. W blasku tych dwóch tysięcy słońc Jowisz i jego księżyce zdawały się płonąć. Zjonizowana przez promieniowanie atmosfera planety pokryła całą jej zwróconą ku flocie półkulę ogromnym kocem światła elektrycznego. Flota przyspieszyła, nie

łamiąc szyku, i przesłoniła Słońce potężnym murem, po czym majestatycznie ruszyła z siłą chmury burzowej, głosząc Wszechświatu potęgę i niezwyciężoność rodzaju ludzkiego. Duch ludzkości, który od pojawienia się przed dwoma wiekami floty trisolariańskiej był uciemiężony, znowu odzyskał wolność. Wszystkie gwiazdy w Galaktyce zbladły, gdy Człowiek wkroczył ramię w ramię z Bogiem w kosmos.

Ludzie wiwatowali i płakali, wielu było tak mocno poruszonych, że łkali w głos. Nigdy wcześniej w historii nie zdarzyła się taka chwila, by wszyscy czuli się szczęśliwi i dumni z przynależności do rodzaju ludzkiego.

Niektórzy jednak nie dali się ponieść ogólnemu entuzjazmowi. Jednym z nich był Luo Ji. Przeczesując wzrokiem tłum, zauważył, że spokojna jest jeszcze jedna osoba – Shi Qiang. Stał na uboczu, opierając się o ogromny holograficzny telewizor, palił papierosa i obojętnie patrzył na zabawowiczów.

Luo Ji podszedł do niego i zapytał:

– Co…?

– A, to ty, mój chłopcze. Witaj. Muszę pełnić moje obowiązki. – Wskazał rozbawiony tłum. – Nadmierna radość łatwo zmienia się w smutek, a teraz jest najlepsza chwila na to, żeby coś się zdarzyło. Jak poranna przemowa pana Dongguo. Gdybym w porę nie wpadł na pomysł z pomidorami, obrzuciliby go kamieniami.

Shi Qiang został niedawno mianowany szefem policji w Piątej Wsi Nowego Życia. Dla hibernatów było trochę dziwne, że oficjalne stanowisko w lokalnych władzach powierzono komuś, kto należał do Floty Azjatyckiej i nie był już obywatelem Chin, ale powszechnie chwalono jego pracę.

– Poza tym nie należę do ludzi, którzy dają się czemuś porwać – dodał, klepiąc Luo po ramieniu. – Tak jak ty, mój chłopcze.

– To prawda. – Luo Ji kiwnął głową. – Zawsze oczekiwałem natychmiastowej nagrody. Przyszłość mnie nie obchodzi, mimo że zmuszono mnie, żebym przez pewien czas był mesjaszem. Może obecny stan jest pewną rekompensatą za tamtą krzywdę. Idę spać. Da Shi, możesz mi wierzyć albo nie, ale nie będę miał kłopotów z zaśnięciem.

– Lepiej idź się spotkać ze swoim kolegą. Dopiero co przyjechał. Zwycięstwo ludzkości może nie być dla niego dobre.

Luo Ji nieco zaskoczyła ta uwaga. Spojrzawszy na mężczyznę, którego wskazał mu Shi Qiang, rozpoznał w nim ze zdziwieniem dawnego Wpatrującego się w Ścianę Billa Hinesa. Miał popielatą twarz i zdawał się być w transie. Stał niedaleko Shi Qianga i dopiero teraz zauważył Luo. Kiedy uściskali się na powitanie, Luo poczuł, że Hines drży na całym ciele.

– Przyjechałem tu, żeby cię odszukać – powiedział Hines. – Tylko my dwaj, śmieci historii, się rozumiemy. Chociaż obawiam się, że teraz nawet ty mnie nie rozumiesz.

– A co z Keiko Yamasuki?

– Pamiętasz pokój medytacji w siedzibie ONZ? – rzekł Hines. – Zawsze stał pusty. Od czasu do czasu zaglądali tam tylko turyści… Pamiętasz ten kawał rudy żelaza? Popełniła na nim seppuku.

– Och…

– Przed śmiercią przeklęła mnie. Powiedziała, że życie będzie dla mnie gorsze od śmierci, bo jestem naznaczony plombą mentalną defetyzmu, a ludzkość zmierza do zwycięstwa. Miała rację. Przeżywam teraz prawdziwe męki. Oczywiście cieszę się ze zwycięstwa, ale w ogóle w nie nie wierzę. Czuję się tak, jakby w mojej głowie walczyło dwóch gladiatorów. Trudniej jest mi uwierzyć w zwycięstwo niż w to, że woda nadaje się do picia.

Kiedy obaj z Shi Qiangiem znaleźli pokój dla Hinesa, Luo poszedł do siebie i wkrótce zasnął. Znowu śniły mu się Zhuang Yan i ich dziecko. Kiedy się obudził, przez okno świeciło słońce, a na zewnątrz nadal trwała zabawa.

Dobór Naturalny leciał z prędkością jednego procenta prędkości światła kursem między Jowiszem i orbitą Saturna. Słońce za nim było teraz małe, ale i tak pozostawało najjaśniejszą z gwiazd, a przed nim świeciła nawet bardziej intensywnie Droga Mleczna. Statek kierował się mniej więcej w stronę gwiazdozbioru Łabędzia, ale w bezmiarze kosmosu jego ruch był niezauważalny. Obserwatorowi, który znalazłby się blisko niego, wydawałby się zawieszony w przestrzeni, natomiast z punktu widzenia przebywających na nim wszelki ruch we Wszechświecie zamarł i statek znajdował się pozornie w stałym punkcie między Słońcem i Drogą Mleczną. Wydawało się, że czas stanął.

– Nie udało się panu – rzekła Dongfang Yanxu do Zhang Beihaia.

Cała załoga statku oprócz ich dwojga była nadal pogrążona w głębinowym śnie. Zhang pozostawał zamknięty w kulistym pomieszczeniu, więc Dongfang Yanxu, która nie mogła tam wejść, musiała rozmawiać z nim przez pokładowy system łączności. Przez wciąż przezroczysty fragment grodzi widziała unoszącego się spokojnie pośrodku pomieszczenia człowieka, który porwał najpotężniejszy wojenny statek kosmiczny ludzkości. Miał pochyloną głowę i pisał coś w notesie. Przed nim unosił się interfejs, który pokazywał, że jednostka jest w stanie gotowości do czterech naprzód i czeka tylko na naciśnięcie guzika. Wokół szybowały kule głębinowego płynu przyspieszenia, które nie zostały

jeszcze usunięte. Mundur Zhang Beihaia wysechł, ale był pomięty, przez co porywacz wyglądał dużo starzej.

Zignorował ją i dalej pisał.

– Grupa pościgowa jest zaledwie o jeden i dwie dziesiąte miliona kilometrów od *Doboru Naturalnego* – powiedziała.

– Wiem – odparł, nie podnosząc głowy. – Mądrze pani zrobiła, utrzymując cały statek w stanie głębinowym.

– Musiało się tak stać. W przeciwnym razie oficerowie i żołnierze zaatakowaliby tę kabinę. A gdyby pan ustawił *Dobór Naturalny* na cztery naprzód, zabiłby pan ich wszystkich. Dlatego też ścigający nie zamknęli nas w kole.

Zhang Beihai nic na to nie powiedział. Przerzucił stronę w notesie i nadal pisał.

– Nie zrobiłby pan tego, prawda? – zapytała cicho.

– Nigdy nie przyszłoby pani do głowy, że mógłbym zrobić to, co właśnie robię. – Umilkł, po czym dodał: – Ludzie w moich czasach myśleli po swojemu.

– Ale przecież nie jesteśmy wrogami.

– Nie ma stałych wrogów ani przyjaciół, są tylko stałe obowiązki.

– Wobec tego pana pesymistyczny pogląd na temat wyniku tej wojny jest zupełnie nieuzasadniony. Trisolaris właśnie przekazała znaki świadczące o tym, że chce rozmów, a połączona Flota Słoneczna wyruszyła, by przejąć ich sondę. Wojna zakończy się zwycięstwem ludzkości.

– Widziałem wiadomości…

– I nadal trwa pan przy swoim defetyzmie i eskapizmie?

– Tak.

Potrząsnęła z irytacją głową.

– Pański sposób myślenia jest naprawdę odmienny od naszego. Na przykład wiedział pan od początku, że pański plan się nie powiedzie, bo *Dobór Naturalny* ma tylko jedną piątą paliwa i na pewno zostanie przechwycony.

Odłożył ołówek i spojrzał na nią. Oczy miał spokojne jak lustro wody przy bezwietrznej pogodzie.

– Wszyscy jesteśmy żołnierzami, ale wie pani, jaka jest największa różnica między żołnierzami z mojej epoki i obecnymi? Przy podejmowaniu działań kierujecie się ich możliwymi wynikami, natomiast my uważaliśmy, że musimy wykonać swój obowiązek bez względu na wynik. Była to moja jedyna szansa, więc ją wykorzystałem.

– Mówi pan to, by pocieszyć samego siebie.

– Nie. Taką mam naturę. Nie spodziewam się, że mnie pani zrozumie, Dongfang. W końcu dzielą nas dwa wieki.

– A zatem spełnił pan swój obowiązek, ale pana eskapistyczne przedsięwzięcie nie ma szans powodzenia. Niech się pan podda.

Uśmiechnął się do niej, potem spojrzał z powrotem w notatki.

– Jeszcze nie pora na to. Muszę zapisać wszystko, co przeżyłem. Muszę spisać wszystko z okresu dwustu lat, żeby mogło stać się pomocne dla nielicznych trzeźwo myślących ludzi w następnych dwustu latach.

– Może pan podyktować to komputerowi.

– Nie, jestem przyzwyczajony do ręcznego pisania. Papier przetrwa dłużej niż komputer. Niech się pani nie martwi. Całą odpowiedzialność biorę na siebie.

Ding Yi patrzył przez szeroki iluminator *Kwantu*. Chociaż ekran holograficzny w sferycznej kabinie dawał lepszy widok, Ding wolał

widzieć wszystko na własne oczy. Widział, że znajduje się na dużej płaszczyźnie składającej się z dwóch tysięcy małych oślepiających słońc, w których świetle jego siwe włosy zdawały się płonąć. Przyzwyczaił się do tego w ciągu dni, które minęły od wyruszenia połączonej floty, ale za każdym razem, gdy na nią patrzył, jej wspaniałość poruszała go do głębi. Flota przyjęła takie ustawienie nie tylko po to, by dać pokaz siły czy majestatu. W tradycyjnym ustawieniu rozproszonej kolumny promieniowanie wytwarzane przez silnik każdego statku wywierało wpływ na jednostki, które płynęły za nią. W tej prostokątnej formacji statki oddalone były o dwadzieścia kilometrów jeden od drugiego. Mimo że każdy z nich był średnio trzy czy cztery razy większy od dawnych lotniskowców, z tej odległości wyglądały jak punkciki i tylko żar ich termojądrowych silników świadczył o ich istnieniu w przestrzeni kosmicznej.

Połączona flota leciała w zwartym szyku, w którym występowała tylko podczas parad i przeglądów. W normalnym ustawieniu bojowym statki powinny znajdować się o około trzystu do pięciuset kilometrów od siebie, więc dwudziestokilometrowe odległości oznaczały, że lecą praktycznie burta w burtę. Z takim ustawieniem nie zgadzało się wielu generałów trzech flot, ale konwencjonalna formacja stwarzała pewne problemy. Przede wszystkim chodziło o to, by dać wszystkim równe szanse. Gdyby statki zbliżyły się do sondy w standardowym szyku, te, które znalazłyby się na skrajach ustawienia, byłyby oddalone od celu o dziesiątki tysięcy kilometrów. Gdyby podczas jej przejmowania doszło do walki, dużej ich liczby nie można by było potraktować jako biorących udział w boju, co nie zapewniłoby im miejsca w historii i stało się przyczyną wiecznego żalu. Z drugiej strony trzy floty nie mogły utworzyć własnych, mniejszych formacji, ponieważ nie można by było wtedy skoordynować ich ustawienia

i zdecydować, która z nich zajmie najkorzystniejszą pozycję. A zatem trzeba było ustawić je możliwie jak najgęściej, dzięki czemu wszystkie jednostki znalazły się na odległość strzału od sondy. Drugi powód był taki, że zarówno Flota Międzynarodowa, jak i Organizacja Narodów Zjednoczonych chciały dać oszałamiający pokaz siły, nie tyle po to, by przestraszyć Trisolarian, ile po to, by masy miały na co patrzeć. Dla obu organizacji miało to wielkie znaczenie polityczne. Skoro trzon sił wroga był wciąż odległy o dwa lata świetlne, zwarty szyk nie stanowił dla floty żadnego zagrożenia.

Kwant znajdował się w rogu formacji, co dawało Ding Yi widok na większą część floty. Gdy przelecieli przez orbitę Saturna, silniki wszystkich statków skierowały się do przodu i flota zaczęła hamować. Wracała w stronę Słońca, ponieważ zamknęła sondzie drogę.

Ding Yi włożył do ust fajkę. W tej epoce nie można było dostać tytoniu luzem, więc była pusta i utrzymywał się w niej tylko jego zapach sprzed dwustu lat, niczym wyblakłe wspomnienie przeszłości.

Obudzono go przed siedmioma laty i od tamtej pory uczył na Uniwersytecie Pekińskim. W ubiegłym roku złożył do floty prośbę, by pozwolono mu być jedną z pierwszych osób, które zbadają trisolariańską sondę po jej przechwyceniu. Chociaż cieszył się wielkim szacunkiem, prośbę odrzucono, ale zmieniono zdanie, gdy oświadczył, że jeśli nie otrzyma zgody, zabije się na oczach dowódców trzech flot. Wtedy powiedziano, że pomyślą o tym. Prawdę mówiąc, wybór pierwszej osoby, która miała nawiązać kontakt z sondą, był zawiłym problemem, ponieważ oznaczało to, że będzie ona jednocześnie pierwszym człowiekiem, który nawiąże kontakt z Trisolarianami. Zgodnie z zasadą sprawiedliwości, której miano przestrzegać podczas przechwycenia sondy, żadnej flocie nie można było pozwolić, by jako jedyna dostąpiła tego zaszczytu, ale wysłanie

przedstawiciela każdej z nich nastręczało trudności natury operacyjnej i mogło skomplikować sprawy. A więc zadanie to trzeba było powierzyć komuś spoza Floty Międzynarodowej. Naturalnie najbardziej odpowiednim kandydatem był Ding Yi, ale u podłoża decyzji o wyznaczeniu go do tego leżał jeszcze jeden, niewypowiedziany powód: ani Flota Międzynarodowa, ani Ziemia Międzynarodowa nie bardzo wierzyły, że sonda wpadnie w ich ręce, bo było prawie pewne, że podczas przechwytywania albo potem ulegnie samozniszczeniu. Jeśli ludzie chcieli uzyskać jak najwięcej danych, trzeba było przyjrzeć się jej z bliska. Jako odkrywca makroatomu i twórca metody kontrolowanej reakcji termojądrowej doświadczony fizyk miał ku temu wszelkie niezbędne kwalifikacje. Tak czy inaczej życie Ding Yi należało do niego, co dawało osiemdziesięcioletniemu starcowi możliwość zrobienia wszystkiego, co chciał.

Na ostatniej odprawie dowództwa *Kwantu* przed rozpoczęciem operacji przechwycenia Ding Yi zobaczył obraz trisolariańskiej sondy. Trzy floty wysłały trzy statki zwiadowcze, które zastąpiły należący do Ziemi Międzynarodowej *Niebieski Cień*. Zrobiły zdjęcia z odległości pięciuset kilometrów od celu, najbliższej, na jaką dotarł do tej pory do sondy jakikolwiek statek ludzkości. Miała taką wielkość, jak się spodziewano – 3,5 metra długości – i gdy Ding Yi ją ujrzał, jak wszyscy pozostali odniósł wrażenie, że jest to kropla rtęci. Miała idealny kształt łzy – z przodu była zaokrąglona, z tyłu spiczasta – i tak gładką powierzchnię, że odbijało się od niej całe światło Drogi Mlecznej, nadając jej nieskazitelną urodę. Ten kształt był tak naturalny, że obserwatorzy wyobrażali sobie, że jest w stanie ciekłym, więc nie mogłaby mieć wewnętrznej struktury.

Po zobaczeniu sondy Ding Yi miał przybitą minę. Nie odezwał się ani słowem.

– Mistrzu Ding, wydaje się, że coś pana gnębi – powiedział kapitan.

– Nie podoba mi się to – rzekł cicho Ding Yi i wskazał fajką holograficzne zdjęcie sondy.

– Dlaczego? Wygląda niewinnie jak dzieło sztuki – powiedział jeden z oficerów.

– I właśnie dlatego mi się nie podoba – odparł Ding Yi, potrząsając siwą głową. – Wygląda raczej jak dzieło sztuki niż sonda międzygwiezdna. To niedobry znak, kiedy coś jest tak odległe od naszych wyobrażeń.

– Dziwne. Wygląda, jakby nie miała żadnego otworu. Gdzie jest dysza silnika?

– Ale jej silnik się zapala. Zaobserwowaliśmy to. Kiedy zgasł po raz drugi, *Niebieski Cień* nie był wystarczająco blisko, by w porę zrobić zdjęcie, więc nie wiemy, skąd wydobywało się to światło.

– Jaką ma masę? – zapytał Ding Yi.

– Nie znamy jeszcze dokładnej wartości. Według wstępnych pomiarów przeprowadzonych przy użyciu instrumentów grawitacyjnych o dużej precyzji jej masa wynosi poniżej dziesięciu ton.

– No to przynajmniej nie jest zrobiona z materii gwiazdy neutronowej.

Kapitan uciął dyskusję oficerów i kontynuował odprawę.

– Mistrzu Ding – powiedział – oto jak flota zaplanowała twoją wizytę. Po przejęciu celu przez statek bezzałogowy i poddaniu go obserwacji, jeśli nie zdarzy się nic niezwykłego, wsiądziesz na promie do statku i będziesz kontynuował obserwację celu z bliska. Nie możesz tam zostać dłużej niż piętnaście minut. To major Xizi. Będzie ci towarzyszyła podczas badania sondy jako przedstawicielka Floty Azjatyckiej.

Młoda oficer zasalutowała Ding Yi. Podobnie jak pozostałe kobiety we flocie, była wysoka i szczupła, uosobienie nowej, kosmicznej rasy ludzi.

Ledwie rzuciwszy na nią okiem, Ding Yi zwrócił się do kapitana:

– Dlaczego musi tam ktoś ze mną być? Nie mogę lecieć sam?

– Oczywiście, że nie. Nie jest pan obeznany ze środowiskiem kosmicznym i cały czas będzie pan potrzebował pomocy.

– W takim razie lepiej nie polecę. Czy naprawdę ktoś musi mi towarzyszyć… – Urwał, nie dodając: „do samej śmierci”.

– Mistrzu Ding – rzekł kapitan – to z pewnością niebezpieczna wyprawa, ale nie do końca. Jeśli sonda ulegnie samozniszczeniu, nastąpi to prawdopodobnie przy jej przechwytywaniu. Jeśli podczas jej badania nie będziemy używać szkodliwych instrumentów, prawdopodobieństwo jej samozniszczenia dwie godziny po przechwyceniu jest bardzo niskie.

W gruncie rzeczy Ziemia Międzynarodowa i Flota Międzynarodowa wysłały człowieka w pobliże sondy wcale nie po to, żeby ją zbadać. Gdy świat ujrzał sondę po raz pierwszy, wszystkich urzekła jej wspaniała powłoka. Ta kropla rtęci była piękna, miała prosty, choć mistrzowsko wykonany kształt, każdy punkt na jej powierzchni znajdował się dokładnie tam, gdzie powinien być. Była pełna gracji, a jednocześnie przepojona energią, jakby nieustannie skapywała w kosmiczny mrok. Patrząc na nią, miało się uczucie, że największy artysta ludzkości nie wykonałby niczego, co by jej dorównywało, nawet gdyby próbował nadać każdej możliwej materii o gładkiej powierzchni zamknięty kształt. Przekraczała wszelkie możliwości człowieka. Nawet w idealnym państwie Platona nie można by było znaleźć tak doskonałej formy – prostszej niż linia prosta, bardziej krągłej niż kula, wyskakującej niczym lustrzany delfin z morza snów, ucieleśnienia całej miłości we Wszechświecie… Piękno zawsze zestawia się z dobrem, więc jeśli rzeczywiście istniała we Wszechświecie linia odgraniczająca dobro od zła, to ten przedmiot niewątpliwie znajdował się po stronie dobra.

Sformułowano więc szybko hipotezę, że być może obiekt ten nie jest nawet sondą. Późniejsze obserwacje potwierdziły w pewnym stopniu tę

hipotezę. Ludzie najpierw dostrzegli jego gładką powłokę, w której wszystko odbijało się jak w lustrze. Flota przeprowadziła eksperyment z użyciem mnóstwa sprzętu monitorującego – całą jego powierzchnię zbombardowano falami elektromagnetycznymi o różnej długości i zmierzono współczynnik ich odbicia. Ku swemu wielkiemu zdumieniu eksperymentatorzy stwierdzili, że odbijała ona praktycznie w stu procentach wszystkie fale, włącznie ze światłem widzialnym. Nie stwierdzono, by cokolwiek pochłaniała. Oznaczało to, że sonda nie jest w stanie wykryć żadnych fal o wysokiej częstotliwości, czyli – mówiąc językiem laików – jest ślepa. Musiało to mieć jakieś szczególne znaczenie. Najrozsądniejsze było przypuszczenie, że jest świadectwem dobrej woli wysłanym przez Trisolarian ludzkości, przejawiającym się w jej niefunkcjonalnym wzorze i pięknej formie. Wyrazem szczerego pragnienia pokoju.

Tak więc sondzie nadano, ze względu na jej kształt, a także dlatego, że zarówno na Ziemi, jak i na Trisolaris woda była źródłem życia i symbolem pokoju, nazwę „kropla”.

Opinia publiczna utrzymywała, że w celu nawiązania z nią kontaktu zamiast ekspedycji złożonej z fizyka i żołnierzy powinno się wysłać oficjalną delegację. Jednak po głębokim zastanowieniu Flota Międzynarodowa postanowiła trzymać się pierwotnego planu.

– Nie moglibyście przynajmniej wysłać ze mną kogoś innego? Pozwolić tej młodej damie… – powiedział Ding Yi, wskazując Xizi.

Uśmiechnęła się do niego i odparła:

– Mistrzu Ding, jestem oficerem naukowym na *Kwancie*. Dowodzę wszystkimi ekspedycjami naukowymi poza statkiem podczas naszych lotów. To mój obowiązek.

– A kobiety stanowią połowę obsady floty – dodał kapitan. – Będą panu towarzyszyły trzy osoby. Pozostałe dwie to oficerowie naukowi skierowani przez Floty Europejską i Północnoamerykańską. Wkrótce się tu stawią. Mistrzu Ding, proszę pozwolić, że powtórzę jeden punkt: zgodnie z decyzją PKFS pan musi się zbliżyć do celu pierwszy. Oni mogą to zrobić dopiero potem.

– To absurd. – Ding Yi znowu potrząsnął głową. – Ludzkość zupełnie się nie zmieniła. Jest jak zawsze skłonna gonić za swoją chimerą… Ale niech pan będzie spokojny, zrobię, co sobie życzycie. Chcę tylko rzucić okiem na tę sondę, to wszystko. Ale obawiam się, że to życie jest… ach!

Kapitan podsunął się do niego z zatroskaną miną.

– Mistrzu Ding, możesz teraz odpocząć. Niedługo zacznie się operacja przejęcia i musisz zachować energię na tę ekspedycję.

Ding Yi popatrzył na niego. Przez chwilę nie zdawał sobie sprawy, że po jego wyjściu odprawa będzie trwała dalej. Potem ponownie spojrzał na obraz kropli i zauważył, że odbija się w niej regularny rząd świateł, który postępując od okrągłego przodu ku tyłowi, staje się stopniowo coraz bardziej zniekształcony i stapia się z odbiciem Drogi Mlecznej. Była to flota. Raz jeszcze spojrzał na unoszące się przed nim dowództwo *Kwantu*. Byli tacy młodzi. Po prostu dzieci. Od kapitana po porucznika wszyscy wyglądali tak szlachetnie, a ich oczy błyszczały boską mądrością. Chromatyczne szyby iluminatorów zabarwiały wpadające przez nie światło floty na złoty kolor zachodzącego słońca, nadając kabinie wygląd nie z tego świata i przemieniając ich w bogów zebranych na Olimpie… Poruszyło go to do głębi.

– Chcesz jeszcze coś dodać, mistrzu Ding? – zapytał kapitan.

– Eee, chciałbym powiedzieć… – Poruszył bezradnie rękami, a jego fajka uniosła się w powietrze. – Chciałbym powiedzieć, dzieci, że przez

minionych kilka dni traktowaliście mnie wspaniale…

– Jest pan człowiekiem, którego najbardziej podziwiamy – rzekł zastępca kapitana.

– Och… no więc chciałbym wam powiedzieć parę rzeczy. To tylko… takie bzdury wygadywane przez starego głupca. Nie musicie ich brać poważnie. Mimo to, dzieci, jako ktoś, kto przekroczył dwieście lat, przeżyłem więcej niż wy… Oczywiście, jak powiedziałem, nie musicie tego brać poważnie…

– Mistrzu Ding, jeśli masz coś do powiedzenia, to po prostu powiedz. Naprawdę darzymy cię najwyższym szacunkiem.

Ding Yi wolno skinął głową. Potem wskazał palcem górę.

– Jeśli ten statek będzie musiał zwiększyć prędkość do maksimum, wszyscy obecni tutaj będą musieli… zanurzyć się w płynie.

– Tak. Wejść w stan głębinowy.

– A, racja. W stan głębinowy. – Ding Yi znowu się zawahał i zastanawiał się przez chwilę, po czym podjął na nowo: – Czy ten statek… eee… *Kwant*… można by wprowadzić w stan głębinowy, kiedy wyruszymy zbadać sondę?

Oficerowie popatrzyli po sobie ze zdumieniem, a kapitan zapytał:

– Ale dlaczego?

Ding Yi znowu zamachał rękami. Jego włosy lśniły bielą w świetle floty. Jak zauważył ktoś, gdy wszedł na pokład statku, był trochę podobny do Einsteina.

– Hmm… no cóż, w każdym razie nikomu to nie zaszkodzi. Widzicie, mam złe przeczucie.

Umilkł ze wzrokiem wbitym w nieskończoną dal. W końcu wyciągnął rękę, złapał fajkę i schował ją do kieszeni. Nie żegnając się, niezdarnie nastawił swój pas magnetyczny i pożeglował w stronę wyjścia.

W połowie drogi powoli się odwrócił.

– Wiecie, dzieci, co robiłem przez te wszystkie lata? Uczyłem fizyki na uniwersytecie i byłem promotorem prac doktorskich. – Spojrzał na Galaktykę i na jego twarzy pojawił się nieodgadniony uśmiech, zabarwiony, jak zauważyli oficerowie, lekkim smutkiem. – Człowiek sprzed dwustu lat nadal może uczyć dzisiaj fizyki.

Odwrócił się i opuścił kajutę.

Kapitan chciał mu coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydobyło się żadne słowo. Pozostał pogrążony w myślach. Niektórzy z oficerów popatrzyli na kroplę, ale większość przeniosła uwagę na dowódcę.

– Panie kapitanie, chyba nie ma pan zamiaru brać tego poważnie? – zapytał jeden z poruczników.

– To mądry naukowiec, ale stary – dodał ktoś. – Ich sposób myślenia o współczesności jest zawsze…

– Ale w tej dziedzinie ludzkość nie dokonała żadnego postępu. Nadal jest na takim samym poziomie jak w jego epoce.

– Przemawiała przez niego intuicja. Myślę, że mógł coś intuicyjnie odkryć – powiedział ze strachem w głosie inny oficer.

– Poza tym… – zaczęła Xizi, ale gdy spojrzała na otaczających ją wyższych stopniem oficerów, umilkła.

– Proszę, niech mówi pani dalej, pani major – rzekł kapitan.

– Poza tym, jak powiedział, nikomu to nie zaszkodzi – dokończyła.

– Podejdźmy do tego w ten sposób – powiedział zastępca kapitana. – Zgodnie z obecnym planem bitwy, jeśli przejęcie się nie uda i kropla nieoczekiwanie ucieknie, flota będzie mogła rzucić w pościg za nią tylko myśliwce. Ale długi pościg wymaga jednostek klasy gwiezdnej, więc flota powinna mieć w pogotowiu statki wojenne. To przeoczenie w planie.

– Złóżcie meldunek flocie – powiedział kapitan.

Dowództwo floty szybko zaaprobowało propozycję. Po odlocie zespołu badawczego *Kwant* i znajdujący się w jego sąsiedztwie inny statek klasy gwiezdnej, *Epoka Brązu*, miały wejść w stan głębinowy.

Flota utrzymywała odległość tysiąca kilometrów od celu, ustaloną po starannych obliczeniach. Były różne hipotezy co do sposobu, w jaki sonda mogła ulec samozniszczeniu, ale maksymalną energię wyzwoliłoby zniszczenie materii wskutek jej zetknięcia się z antymaterią. Jako że kropla miała masę poniżej dziesięciu ton, największa ilość energii, którą trzeba było brać pod uwagę, powstałaby w wyniku anihilacji pięciu ton materii i tylu samo ton antymaterii. Gdyby doszło do tego na Ziemi, wystarczyłoby to do zniszczenia całego życia na powierzchni planety, ale w przestrzeni kosmicznej cała ta energia przybrałaby postać promieniowania świetlnego. W takim wypadku tysiąc kilometrów zapewniało wystarczający margines bezpieczeństwa statkom wojennym wyposażonym w mocną osłonę przed promieniowaniem.

Przejęcia miała dokonać *Modliszka*, mały statek bezzałogowy używany wcześniej do zbierania próbek minerałów w pasie asteroid. Jego najważniejszą cechą było niezwykle długie automatyczne ramię.

Na początku operacji *Modliszka* przekroczyła pięćsetkilometrową granicę utrzymywaną przez poprzednią jednostkę monitorującą i wolno zbliżała się do celu, co pięćdziesiąt kilometrów zatrzymując się na kilka minut, by znajdujący się za nią system wielokierunkowego namierzania mógł dokonać kompletnej analizy sondy. Ruszała dalej dopiero po stwierdzeniu, że nie zarejestrowano niczego nienormalnego.

Odległa o tysiąc kilometrów połączona flota zrównała prędkość z kroplą, większość statków wyłączyła silniki i dryfowała w ciszy w przestrzeni

kosmicznej, a w ich gigantycznych metalowych kadłubach odbijało się słabe światło Słońca. Były niczym porzucone miasta, a cała flota jak prehistoryczne Stonehenge. Milion dwieście tysięcy ludzi stanowiących ich załogi wstrzymało oddechy, obserwując krótki lot *Modliszki* do celu.

Obrazy, które widzieli, pędziły z szybkością światła przez trzy godziny na Ziemię, gdzie transmitowano je tak samo wstrzymującym oddech trzem miliardom mieszkańców. Na świecie zamarło życie. Spomiędzy ogromnych drzew zniknęły latające samochody, w podziemnych metropoliach zapanował bezruch. Opustoszała nawet ruchliwa od swoich narodzin przed trzystu laty globalna sieć informacyjna. Większość transmitowanych danych stanowiły zdjęcia robione w miejscu oddalonym o dwadzieścia jednostek astronomicznych.

Pokonanie odległości, która w przestrzeni kosmicznej była zaledwie jednym krokiem, zajęło *Modliszce* pół godziny. W końcu zawisła pięćdziesiąt metrów nad celem. Teraz było wyraźnie widać jej zniekształcony obraz odbijający się w gładkiej jak rtęć powierzchni kropli. Przeróżne instrumenty statku zaczęły badać sondę z bliska, potwierdzając wcześniejsze obserwacje. Temperatura jej powierzchni była nawet niższa niż otaczającej ją przestrzeni, bliska absolutnego zera. Naukowcy uważali, że w kropli może się znajdować potężna aparatura chłodząca, ale przyrządy *Modliszki* nie były w stanie odkryć jej struktury wewnętrznej.

Modliszka wyciągnęła długie ramię do celu, zatrzymując je co jakiś czas, a potem wysuwając dalej. Jednak gęsty system monitorowania nie wykrył niczego nienormalnego. Ten wyczerpujący proces trwał pół godziny, zanim koniec ramienia dotknął celu – obiektu, który po trwającej prawie dwieście lat podróży przybył z miejsca odległego o cztery lata świetlne. Gdy sześć palców ramienia zacisnęło się w końcu na kropli, milion serc we flocie biło

tym samym rytmem, a trzy godziny później powtórzyły to trzy miliardy serc na Ziemi.

Chwyciwszy kroplę, mechaniczne ramię znieruchomiało. Gdy po dziesięciu minutach cel nadal nie reagował i nie pojawiły się żadne nienormalne sygnały, zaczęło go przyciągać.

W tym właśnie momencie ludzie zauważyli dziwny kontrast: mechaniczne ramię zostało oczywiście zaprojektowane jako obiekt czysto funkcjonalny, zbudowane było z topornego stalowego szkieletu oraz odkrytych mechanizmów hydraulicznych i wyglądało na skomplikowane technologicznie urządzenie przemysłowe. Natomiast sonda miała doskonały kształt kropli cieczy, której niezrównane piękno nie dopuszczało myśli, że ma jakiekolwiek znaczenie użytkowe czy techniczne, i wyrażało lekkość i oderwanie od przyziemnych spraw, charakterystyczne dla filozofii i sztuki. Stalowe szpony trzymały ją jak ręka australopiteka perłę. Kropla wyglądała na tak kruchą jak szklany wkład do termosu i wszyscy obawiali się, że pęknie w tym uścisku. Ale nie stało się tak i ramię zaczęło się cofać.

Wciągnięcie kropli do głównej kabiny *Modliszki* zajęło kolejne pół godziny, a potem dwie grodzie stopniowo się zamknęły. Gdyby cel miał ulec samozniszczeniu, teraz byłaby najbardziej odpowiednia chwila. Flota i Ziemia za nią czekały w milczeniu, jakby w tej ciszy słyszały upływ czasu.

Minęły dwie godziny i nic się nie zdarzyło.

Fakt, że kropla nie uległa samozagładzie, był ostatecznym dowodem na to, czego się domyślano: że gdyby była wojskową sondą, z pewnością by się zniszczyła po wpadnięciu w ręce wroga. Teraz było już pewne, że jest to

dar Trisolarian dla ludzkości, znak pokoju przesłany w charakterystyczny dla tej cywilizacji, a zaskakujący dla Ziemian sposób.

Świat znowu wybuchnął radością. Tym razem nie była ona tak szalona jak poprzednio, ponieważ zwycięstwo ludzi w tej wojnie nie było już czymś nieoczekiwanym. Nawet gdyby negocjacje zostały zerwane i wojna miała trwać dalej, ludzkość i tak ostatecznie by zwyciężyła, bo połączona flota w przestrzeni kosmicznej była dla mas widzialnym świadectwem ludzkiej potęgi. Ziemia mogła teraz ze spokojem stawić czoło każdemu wrogowi.

Po przybyciu kropli zaczęło się powoli zmieniać nastawienie ludzi do Trisolaris. Zaczynali rozumieć, że rasa zmierzająca do Układu Słonecznego stworzyła wspaniałą cywilizację, która co dwieście kilkadziesiąt lat ulegała katastrofie, ale dzięki niewiarygodnemu uporowi przetrwała. Przedstawiciele tej cywilizacji podjęli trudną podróż przez bezmiar przestrzeni tylko po to, by znaleźć stabilną gwiazdę z krążącą wokół niej planetą, na której mogliby wieść spokojne życie… Wrogość i nienawiść do Trisolarian zaczęły ustępować współczuciu i sympatii, a nawet podziwowi. Uświadomiono też sobie inny fakt – Trisolarianie wysłali dziesięć kropel już dwa wieki temu, a ludzie dopiero teraz zrozumieli ich prawdziwe znaczenie. Niewątpliwie stało się tak dlatego, że Trisolarianie byli zanadto subtelni, a ludzie patrzyli na nich przez pryzmat własnej krwawej historii. Przeprowadzone w sieci ogólnoświatowe referendum wykazało szybki wzrost poparcia obywateli dla projektu Słońce, i to w wersji silnego przetrwania, w której proponowano Trisolarianom osiedlenie się na Marsie.

ONZ i floty przyspieszyły przygotowania do negocjacji i zaczęły formować swoje delegacje. Wszystko to stało się w dzień po przejęciu kropli.

Najbardziej jednak ekscytowało ludzi nie to, co rozgrywało się na ich oczach, lecz perspektywa świetlanej przyszłości. Jakim fantastycznym

rajem stanie się Układ Słoneczny po połączeniu trisolariańskiej technologii i potęgi ludzkości?

Mniej więcej w tej samej odległości po drugiej stronie Słońca *Dobór Naturalny* leciał w ciszy z prędkością jednego procentu prędkości światła.

– Właśnie otrzymałam wiadomość: po przechwyceniu kropla nie uległa samozniszczeniu – powiedziała Dongfang Yanxu do Zhang Beihaia.

– Jaka kropla? – zapytał.

Patrzyli na siebie przez przezroczystą gródź. Miał wymizerowaną twarz.

– Trisolariańska sonda. Mamy potwierdzenie, że jest to dar dla ludzkości, wyraz ich pragnienia pokoju.

– Tak? To bardzo dobrze.

– Wydaje się, że niezbyt to pana obchodzi.

Nie odpowiedział. Zamiast tego podniósł obiema rękami notes.

– Skończyłem.

Potem schował go do dopasowanej do jego wymiarów kieszeni.

– Może więc pan przekazać mi teraz dowództwo nad *Doborem Naturalnym*?

– Mogę, ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, co ma pani zamiar zrobić po przejęciu dowództwa.

– Wyhamować.

– Żeby spotkać się z pościgiem?

– Tak. *Dobór Naturalny* nie ma w zbiorniku dość paliwa, by wrócić, musi więc uzupełnić je przed powrotem do Układu Słonecznego. Ale siły pościgowe też nie mają dla nas paliwa. Tych sześć statków ma tylko połowę tonażu *Doboru Naturalnego*, a podczas pościgu musiały przyspieszać do pięciu procent prędkości światła i o tyle samo zwolnić. Mają akurat tyle

paliwa, by wrócić. Więc załoga *Doboru Naturalnego* będzie musiała się na nie przesiąść. Później wyśle się statek z paliwem, żeby sprowadzić *Dobór Naturalny* z powrotem do Układu Słonecznego, ale będzie to wymagało czasu. Musimy jak najbardziej wyhamować, żeby skrócić ten czas.

– Niech pani nie hamuje, Dongfang.

– Dlaczego?

– Bo podczas tego manewru statek zużyje resztę paliwa. Nie możemy stać się bezradni. Nikt nie wie, co się wydarzy. Jako kapitan powinna pani o tym pamiętać.

– A co się może zdarzyć? Przyszłość jest jasna: wojna się skończy, ludzkość zwycięży i okaże się, że całkowicie się pan mylił!

Uśmiechnął się na widok jej ekscytacji, jakby starał się ją uśmierzyć. W jego oczach pojawiła się łagodność, jakiej dotąd u niego nie widziała. Rozkołysało to jej emocje. Nie mogła uwierzyć, że jest defetystą, i podejrzewała, że do ucieczki skłoniło go co innego. Zastanawiała się nawet, czy jest normalny, ale z jakiegoś powodu trochę się do niego przywiązała. Opuściła ojca, kiedy była bardzo młoda, co z pewnością nie było niczym niezwykłym dla dzieci tej epoki. Miłość ojcowska była anachronizmem. Ale dzięki temu staremu żołnierzowi z dwudziestego pierwszego wieku Dongfang Yanxu zaczęła rozumieć to uczucie.

– Pochodzę z niespokojnych czasów, Dongfang – powiedział. – Jestem realistą. Wiem tylko tyle, że nadal mamy wroga i że wciąż zbliża się on do Układu Słonecznego. Ponieważ to wiem i jestem żołnierzem, nie będę zadowolony, dopóki nie zapanuje pokój… Niech pani nie hamuje. Tylko pod tym warunkiem przekażę pani kontrolę nad statkiem. Oczywiście jedyną gwarancją, jaką mam, jest pani charakter.

– Obiecuję, że *Dobór Naturalny* nie zahamuje.

Zhang Beihai odwrócił się, podpłynął w powietrzu do łącza przekazu uprawnień i wprowadził swoje hasło. Po serii kliknięć wyłączył je.

– Zostały pani przekazane uprawnienia kapitana *Doboru Naturalnego*. Hasłem jest nadal „Marlboro” – powiedział, nie patrząc na nią.

Dongfang Yanxu wywołała przyłącze i szybko uzyskała potwierdzenie.

– Dziękuję. Ale proszę, żeby na razie nie opuszczał pan kabiny ani nie otwierał drzwi. Załoga statku budzi się ze stanu głębinowego i obawiam się, że może się zachować wobec pana agresywnie.

– Zrzucą mnie z deski do morza? – Roześmiał się, widząc jej zdziwioną minę. – To sposób, w jaki na starożytnych statkach wymierzano karę śmierci. Gdyby przetrwał do obecnych czasów, musiałaby pani wyrzucić takiego przestępcę jak ja w przestrzeń kosmiczną… Dobrze. Chciałbym zostać sam.

Prom, który wyleciał z *Kwantem*, wydawał się przy swoim macierzystym statku mały jak samochód w porównaniu z miastem. Żar buchający z jego silnika oświetlał tylko małą część kadłuba jak świeczka skałę. Po chwili prom wydostał się z cienia *Kwantu* na światło słoneczne, a jego dysza wyglądała jak robaczek świętojański, gdy leciał ku oddalonej o tysiąc kilometrów kropli.

Ekspedycja składała się z czterech osób: majora z Floty Europejskiej, podpułkownika z Floty Północnoamerykańskiej, Ding Yi i Xizi.

Ding Yi spojrzał przez iluminator na oddalającą się formację. Znajdujący się w jej rogu *Kwant* nadal wyglądał potężnie, ale jego najbliższy sąsiad, *Chmura*, był tak mały, że ledwie można było go dostrzec. Dalsze szeregi statków były tylko rzędami punktów. Ding Yi wiedział, że w tym ustawieniu dłuższy bok prostokąta stanowi sto statków, mniejszy

dwadzieścia, a dodatkowych piętnaście manewruje poza formacją. Kiedy jednak zaczął liczyć jednostki tworzące dłuższy bok, doszedł tylko do trzydziestu, bo reszty nie widział wyraźnie, a przecież dzieliło go od nich zaledwie sześćset kilometrów. Tak samo było z liczeniem tych na krótszym, pionowym boku. Dalsze statki były zamazanymi jasnymi punktami, prawie nieróżniącymi się od gwiazd. Całe ustawienie będzie można zobaczyć gołym okiem dopiero po uruchomieniu silników. Połączone floty były w przestrzeni kosmicznej matrycą o rozmiarach sto na dwadzieścia. Wyobraził sobie pomnożoną przez nią drugą matrycę, której pionowe elementy, pomnożone przez pionowe elementy pierwszej, tworzyły jeszcze większą matrycę, ale w rzeczywistości jedyną stałą tej matrycy był jeden mały punkt: kropla. Ding Yi nie lubił zbytniej symetrii w matematyce, toteż ta próba uspokojenia się nic nie dała.

Gdy siła przyspieszenia się zmniejszyła, nawiązał rozmowę z Xizi, która siedziała obok niego:

– Jesteś z Hangzhou, dziecko?

Xizi patrzyła wprost przed siebie, jakby starała się zlokalizować *Modliszkę*, która była nadal kilkaset kilometrów od nich. Oprzytomniała i potrząsnęła głową.

– Nie, mistrzu Ding. Urodziłam się we Flocie Azjatyckiej. Nie wiem, czy moje nazwisko ma coś wspólnego z Hangzhou, ale byłam tam[3]. Urocze miejsce.

– Było urocze w naszych czasach. Teraz Jezioro Zachodnie zamieniło się w Jezioro Księżycowe i znajduje się na pustyni… Ale chociaż wszędzie jest pustynia, dzisiejszy świat przypomina mi południe i epokę, w której kobiety miały taki wdzięk jak to jezioro. – Mówiąc to, popatrzył na Xizi, której czarująca sylwetka rysowała się na tle wpadającego przez iluminator łagodnego światła odległego Słońca. – Dziecko, przypominasz mi kogoś,

kogo kiedyś kochałem. Też była majorem i chociaż nie była tak wysoka jak ty, była równie piękna…

– Musiało się w tobie kochać wiele dziewczyn – powiedziała Xizi, odwracając się do niego.

– Nie naprzykrzałem się dziewczynom, które mi się podobały. Wierzyłem w to, co napisał Goethe: „Jeżeli cię kocham, cóż ci do tego?”.

Xizi roześmiała się.

– Szkoda, że nie miałem takiego samego stosunku do fizyki! – ciągnął. – Najbardziej żałuję tego, że sofony zasłoniły nam oczy. Ale można też podejść do tego w bardziej pozytywny sposób: jeżeli badamy prawa fizyki, cóż tym prawom do tego? Być może pewnego dnia ludzkość – a może ktoś inny – zbada je tak dokładnie, że będzie mogła zmienić nie tylko swoją rzeczywistość, ale cały Wszechświat. Będzie mogła nadać każdemu gwiazdozbiorowi kształt, jaki będzie chciała, jak kuli ciasta. No i co z tego? Prawa fizyki się nie zmienią. Tak, ona będzie tam zawsze, niezmienna, wiecznie młoda… Tak pamiętamy swoją miłość. – Wskazał Drogę Mleczną za iluminatorem. – Kiedy o tym myślę, już się nie martwię.

Xizi nic na to nie powiedziała i oboje pogrążyli się w głębokim milczeniu. Wkrótce w polu widzenia pokazała się *Modliszka*, chociaż na razie była tylko odległym o dwieście kilometrów punktem świetlnym. Prom obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, dyszą do przodu, i zaczął hamować. W tym momencie flota znajdowała się dokładnie osiemset kilometrów przed jego dziobem, co w przestrzeni kosmicznej było niewielką odległością, ale i tak ogromne statki wojenne były ledwie widocznymi punktami. Od pola gwiezdnego flotę odróżniały tylko uporządkowane szeregi. Cała prostokątna formacja wyglądała jak sieć nałożona na Drogę Mleczną, a jej regularny kształt ostro kontrastował z chaosem rojów gwiazd. Jej wielkość, chociaż z powodu oddalenia niezbyt imponująca,

uwidaczniała jej siłę. Wiele osób we flocie i na Ziemi, które oglądały ten obraz, czuło, że to wizualny wyraz tego, o czym przed chwilą mówił Ding Yi.

Prom dotarł do *Modliszki* i przestał hamować. Nastąpiło to tak szybko, że jego pasażerowie mieli wrażenie, że *Modliszka* nagle wyskoczyła przed nimi z przestrzeni kosmicznej.

Równie szybko przebiegło cumowanie. *Modliszka* była statkiem bezzałogowym, więc w jej wnętrzu nie było powietrza, w związku z czym czterech członków wyprawy włożyło lekkie skafandry kosmiczne. Po otrzymaniu ostatnich instrukcji od dowództwa floty przepłynęli w stanie nieważkości do *Modliszki*.

Kropla wisiała w środku jedynej, sferycznej kabiny. Miała zupełnie inne zabarwienie niż na obrazie, który oglądali na pokładzie *Kwantu* – jaśniejsze i delikatniejsze, najwyraźniej z powodu różnic odbijających się w niej scen, bo jej stuprocentowy współczynnik odbicia oznaczał, że nie miała własnego koloru. Wewnątrz *Modliszki* znajdowało się złożone automatyczne ramię i różny sprzęt, a także kilka stosów próbek skał z asteroid. W tym otoczeniu jeszcze raz widać było kontrast między wytwornością i topornością, estetyką i techniką.

– To łza błogosławionej matki – powiedziała Xizi.

Jej słowa zostały przesłane z *Modliszki* z prędkością światła najpierw do floty, a trzy godziny potem na Ziemię. Xizi, podpułkownik i major – zwykli ludzie, którzy wskutek niespodziewanego splotu okoliczności znaleźli się w szczytowym momencie historii w centrum wydarzeń – doznali teraz, kiedy znaleźli się tak blisko kropli, tego samego uczucia: nieznajomość odległego świata, z którego przybywała, zastąpiło intensywne pragnienie jego poznania. W zimnym bezmiarze Wszechświata wszystkie formy życia oparte na węglu czekało to samo przeznaczenie, przeznaczenie, które mogło

się spełnić za miliard lat, ale które budziło miłość przekraczającą bariery przestrzeni i czasu. Wyczuwali w kropli miłość, która mogła zbudować most nad przepaścią wrogości. Xizi miała wilgotne oczy, a trzy godziny później łzy pojawiły się w oczach trzech miliardów ludzi.

Ding Yi jednak przyglądał się temu wszystkiemu beznamiętnie. Trzymał się z tyłu.

– Widzę tu coś innego – powiedział. – Coś bardziej wysublimowanego. Sferę, w której zapomina się o sobie i o innych, próbę objęcia wszystkiego przez odrzucenie wszystkiego.

– To dla mnie zbyt filozoficzne – rzekła Xizi, śmiejąc się przez łzy.

– Doktorze Ding, nie mamy dużo czasu. – Podpułkownik skinął na niego, by wysunął się do przodu i pierwszy dotknął kropli.

Ding Yi wolno do niej podpłynął i położył dłoń na jej powierzchni. By uniknąć odmrożenia, miał rękawicę. Potem dotknęła jej pozostała trójka.

– Wygląda na kruchą. Boję się, że mogę ją uszkodzić – powiedziała cicho Xizi.

– Nie czuję żadnego tarcia – zdumiał się podpułkownik. – Jest taka gładka.

– Jak gładka? – zapytał Ding Yi.

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, Xizi wyjęła z kieszeni skafandra cylindryczny instrument – mikroskop. Przyłożyła jego soczewkę do kropli i na małym ekranie mikroskopu zobaczyli powiększony obraz jej powierzchni. Była gładkim lustrem.

– Jakie jest powiększenie? – zapytał Ding Yi.

– Stukrotne. – Xizi wskazała liczbę w rogu wyświetlacza, a potem zwiększyła powiększenie do tysiąca.

Obraz nadal przedstawiał gładką powierzchnię.

– Ten przyrząd jest zepsuty – stwierdził podpułkownik.

Xizi odsunęła mikroskop od kropli i przystawiła do wizjera swojego skafandra. Pozostali zbliżyli się i spojrzeli na ekran – powierzchnia, która oglądana gołym okiem wydawała się tak samo gładka jak powierzchnia kropli, w tysiąckrotnym powiększeniu była chropowata i nierówna. Xizi przyłożyła z powrotem mikroskop do kropli i ekran ponownie pokazał gładkie lustro, nieróżniące się od pozostałej, niepowiększonej części powierzchni.

– Powiększ to jeszcze dziesięciokrotnie – powiedział Ding Yi.

Przekraczało to skalę powiększenia optycznego, więc Xizi wykonała szereg operacji, by przestawić mikroskop na tunelowanie elektronowe. Teraz powiększenie wynosiło dziesięć tysięcy razy.

Powierzchnia kropli nadal była gładka jak lustro. Najgładsza powierzchnia, jaką można było uzyskać z zastosowaniem ludzkich technologii, okazała się już w tysiąckrotnym powiększeniu szorstka jak twarz olbrzymek widzianych przez Guliwera.

– Niech pani nastawi na sto tysięcy – powiedział podpułkownik.

Nadal widzieli gładkie lustro.

– Milion razy.

Wciąż gładkie lustro.

– Dziesięć milionów razy.

W tym powiększeniu powinny być widoczne makrocząstki, ale w wyświetlaczu widzieli tylko gładkie lustro, bez śladu chropowatości, nieróżniące się od niepowiększonej powierzchni wokół.

– Niech pani powiększy jeszcze bardziej!

Xizi potrząsnęła głową. Było to największe powiększenie, jakie można było uzyskać w mikroskopie elektronowym.

Ponad dwieście lat wcześniej Arthur C. Clarke opisał w powieści *2001: Odyseja kosmiczna* czarny monolit pozostawiony na Księżycu przez obcą

cywilizację. Jego odkrywcy po zmierzeniu go zwykłymi linijkami stwierdzili, że jego proporcje wynoszą jeden do czterech do dziewięciu. Proporcje te potwierdziły pomiary przeprowadzone z użyciem najbardziej nowoczesnych technologii na Ziemi. Clarke nazwał to „biernym, lecz niemal bezczelnym przejawem geometrycznej perfekcji”.

Teraz ludzkość stała wobec dużo bardziej bezczelnego pokazu mocy.

– Czy naprawdę może istnieć absolutnie gładka powierzchnia? – wykrztusiła Xizi.

– Tak – odparł Ding Yi. – Powierzchnia gwiazdy neutronowej jest prawie absolutnie gładka.

– Ale ta kropla ma normalną masę!

– Połącz się z komputerem statku i znajdź miejsce, gdzie dotknęło jej podczas przechwytywania automatyczne ramię.

Zadanie to wykonał oficer nadzoru z floty. Komputer *Modliszki* wskazał cienkimi laserowymi promieniami miejsca na powierzchni kropli, gdzie chwyciły ją stalowe szpony. Xizi zbadała jedno z nich pod mikroskopem i w powiększeniu dziesięciu milionów razy nadal widziała nieskazitelnie gładkie lustro.

– Jak duża była siła nacisku? – zapytał podpułkownik i niebawem otrzymał z floty odpowiedź: około dwustu kilogramów na centymetr kwadratowy.

Gładkie powierzchnie łatwo jest zadrapać, ale na powierzchni kropli silne metalowe szpony nie zostawiły najmniejszej rysy.

Ding Yi odpłynął, szukając czegoś w kabinie. Wrócił z młotkiem do łupania skał, który być może ktoś upuścił podczas zbierania próbek. Zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, walnął nim z całej siły w lustrzaną powierzchnię. Rozległ się krótki, melodyjny brzęk, jakby ostrze młotka uderzyło w jadeitową płytę. Dźwięk ten rozszedł się po jego ciele, ale

pozostała trójka nie usłyszała go, bo znajdowali się w próżni. Wskazał trzonkiem młotka miejsce, gdzie uderzył, i Xizi zbadała je pod mikroskopem.

W dziesięciomilionowym powiększeniu nadal było to gładkie lustro.

Ding Yi odrzucił z przygnębieniem młotek i pogrążony w myślach odwrócił wzrok od kropli. Skupiły się na nim spojrzenia trójki oficerów i oczy milionów ludzi z floty.

– Możemy tylko zgadywać – powiedział, podnosząc głowę. – Cząsteczki w tym przedmiocie są porządnie ustawione, jak gwardia honorowa, i wzajemnie się wzmacniają. Wiecie, jak mocno są powiązane? Jakby były wbite niczym gwoździe. Nie ma nawet ich drgań.

– Dlatego to ma temperaturę absolutnego zera! – krzyknęła Xizi.

Zarówno ona, jak i pozostali dwaj oficerowie zrozumieli, do czego zmierza Ding Yi – przy normalnej gęstości materii odległości między jądrami atomów są dość spore. Utrzymanie ich wszystkich w miejscu nie byłoby łatwiejsze niż połączenie Słońca prętami z krążącymi wokół niego dziewięcioma planetami w stałe rusztowanie.

– Jaka siła może na to pozwalać?

– Jest tylko jedna możliwość: oddziaływanie silne[4].

Przez wizjer hełmu Ding Yi widać było, że jego czoło pokryte jest potem.

– Ale… to tak, jakby strzelać do księżyca z łuku!

– Faktycznie strzelili do księżyca z łuku… Łza błogosławionej matki? – Zaśmiał się tak lodowato, że aż przeszedł ich dreszcz.

Oficerowie wiedzieli, co ma na myśli – kropla nie była wcale delikatna jak łza. Wprost przeciwnie – była sto razy mocniejsza od najtwardszego materiału w Układzie Słonecznym. W porównaniu z nią wszystkie znane substancje były słabe jak papier. Mogła przejść przez Ziemię jak pocisk przez ser bez najmniejszej szkody dla jej powierzchni.

– No to… po co ona tu jest? – wykrztusił podpułkownik.

– Kto to wie? Może rzeczywiście jest tylko posłańcem. Ale ma przynieść ludzkości zupełnie inną wiadomość, niż się uważa – odparł Ding Yi, odwracając wzrok od kropli.

– Jaką?

– Jeżeli cię zniszczę, cóż ci do tego?

Po tych słowach zapadła na chwilę cisza. Trzej członkowie ekspedycji i miliony członków floty rozmyślało nad ich znaczeniem. Nagle Ding Yi powiedział:

– Uciekajcie. – Rzekł to cichym głosem, ale potem wyrzucił ręce w górę i krzyknął ochryple: – Głupie dzieci! Uciekajcie!

– Dokąd? – zapytała Xizi.

Kilka sekund później podpułkownik uświadomił sobie prawdę. Podobnie jak Ding Yi, krzyknął z rozpaczą:

– Flota! Ewakuujcie flotę!

Ale było już za późno. Potężne zakłócenia zniszczyły ich kanały komunikacji. Zniknął obraz przekazywany z *Modliszki* i flota nie usłyszała ostatniego krzyku podpułkownika.

Z końca kropli wyłoniło się niebieskie halo. Na początku było małe, ale bardzo jasne, i pokrywało otoczenie niebieskim całunem. Potem gwałtownie się powiększyło, zmieniając barwę na żółtą i w końcu na czerwoną. Wydawało się, że kropla nie wytworzyła tego halo, lecz z niego wyciekła. W miarę rozszerzania się słabła jego jasność, a gdy osiągnęło średnicę dwa razy większą od średnicy kropli, zniknęło. Wówczas z końca kropli wyłoniło się drugie małe niebieskie halo. Podobnie jak pierwsze, powiększyło się, zmieniło kolor i szybko zniknęło. Potem co dwie czy trzy sekundy pojawiały się kolejne halo i kropla, napędzana przez nie, zaczęła się poruszać naprzód, a potem szybko przyspieszyła.

Ale członkowie ekspedycji nie zobaczyli drugiego halo, ponieważ pierwszemu towarzyszyła bardzo wysoka temperatura, bliska temperatury jądra Słońca, w której natychmiast wyparowali. Kadłub *Modliszki* rozżarzył się do czerwoności i wyglądał z zewnątrz jak papierowa latarnia, w której właśnie zapalono świeczkę. Metal stopił się jak wosk i zaraz eksplodował, rozpraszając się w przestrzeni kosmicznej niczym płonący płyn. Ze statku nie zostały prawie żadne stałe fragmenty.

Flota doskonale widziała z odległości tysiąca kilometrów ten wybuch, ale początkowa analiza wykazała, że kropla uległa samozniszczeniu. Wszystkich ogarnął żal z powodu poświęcenia się czterech członków ekspedycji, a po nim rozczarowanie, że kropla nie była jednak posłańcem pokoju. Ale ludzkość nie była w najmniejszej mierze przygotowana na to, co nastąpiło potem.

Pierwszą anomalię zauważył komputer nadzoru floty, który odkrył podczas przetwarzania obrazów z wybuchu na *Modliszce*, że jeden z fragmentów jest nienormalny. Większość szczątków była stopionymi kawałkami metalu, które po eksplozji rozleciały się z jednakową prędkością w przestrzeni kosmicznej, ten natomiast przyspieszał. Oczywiście tylko komputer był w stanie znaleźć mały obiekt w masie latających fragmentów. Po natychmiastowym przeszukaniu bazy danych i banku wiedzy, w tym ogromnej ilości informacji o *Modliszce*, stworzył kilka możliwych wyjaśnień tak osobliwego zachowania się tego szczątka, ale żadne nie było prawidłowe.

Ani komputer, ani człowiek nie zdawali sobie sprawy, że eksplozja zniszczyła tylko *Modliszkę* i czteroosobową ekspedycję, ale nie kroplę.

Jeśli chodziło o przyspieszający fragment, układ obserwacyjny floty ogłosił alarm tylko trzeciego stopnia, bo zbliżający się obiekt nie był statkiem wojennym i kierował się w stronę jednego kąta prostokątnej

formacji. Gdyby dalej leciał obecnym torem, przemknąłby obok niej, nie uderzając w żadną jednostkę. Wskutek dużej liczby alarmów pierwszego stopnia po eksplozji na *Modliszce* zupełnie zlekceważono ten alarm. Komputer jednak odnotował też duże przyspieszenie tego fragmentu. Po 300 kilometrach przekroczył już on trzecią prędkość kosmiczną i nadal nabierał szybkości. Alarm został podniesiony do drugiego stopnia, ale ten też zlekceważono.

Gdy fragment przeleciał z grubsza 1500 kilometrów od miejsca wybuchu, kierując się w róg formacji, minęło zaledwie pięćdziesiąt jeden sekund. Kiedy tam dotarł, poruszał się z prędkością 31,7 kilometra na sekundę. Teraz znajdował się na skraju formacji, 160 kilometrów od *Nieskończonej Granicy*, pierwszego statku w tym rogu ugrupowania. Nie minął go jednak, lecz nie zwalniając, wykonał skręt o trzydzieści stopni i popędził prosto na tę jednostkę. W ciągu około dwóch sekund, które zabrało mu pokonanie tej odległości, komputer, doszedłszy do wniosku, że fragment ten nie jest w rzeczywistości obiektem fizycznym, bo jego sposób poruszania się jest zgodnie z mechaniką lotniczą i kosmiczną niemożliwy, obniżył stopień alarmu z drugiego na trzeci. Przy prędkości dwukrotnie większej od trzeciej kosmicznej wykonanie takiego skrętu było niczym walnięcie w żelazną ścianę. Gdyby był to statek, w którym znajdowałby się blok metalu, ta zmiana kierunku lotu podziałałaby z taką siłą, że ów blok zostałby zgnieciony do grubości arkusza blachy. A zatem fragment ten musiał być złudzeniem.

I tak oto, lecąc wzdłuż pierwszego rzędu statków tworzących prostokąt, kropla uderzyła w *Nieskończoną Granicę* z prędkością dwa razy większą od trzeciej prędkości kosmicznej.

Trafiła go w jednej trzeciej długości, w tylnej części, i przeszła przez statek jak przez cień. Wskutek ogromnej prędkości przy kolizji w jego

kadłubie pojawiły się dwie dziury, wlotowa i wylotowa, o bardzo regularnym kształcie, o średnicy najgrubszej części kropli. Jednak zaledwie się pojawiły, a już uległy deformacji i zniknęły, gdy kadłub stopniał pod wpływem gorąca spowodowanego przez ogromną energię uderzenia z tak wielką prędkością i niezwykle wysoką temperaturą ciągnącego się za kroplą halo. Ta część, w którą trafiła kropla, rozżarzyła się do czerwoności, a żar ten rozprzestrzeniał się, aż ogarnął połowę statku, który wyglądał jak kawał żelaza wyciągnięty z paleniska w kuźni.

Po przebiciu *Nieskończonej Granicy* kropla kontynuowała lot z prędkością trzydziestu kilometrów na sekundę. W ciągu trzech sekund przebyła dziewięćdziesiąt kilometrów, przechodząc najpierw przez *Yuanfang*, sąsiada *Nieskończonej Granicy* z pierwszego rzędu, a potem przez *Syrenę Mgłową*, *Antarktykę* i *Szczyt*, rozżarzając do czerwoności również ich kadłuby, tak że wyglądały, jakby były ustawionymi w jednej linii gigantycznymi lampami.

Potem *Nieskończona Granica* eksplodowała. Zarówno ona, jak i cztery statki za nią zostały trafione w zbiorniki paliwa. Jednak w odróżnieniu od konwencjonalnego, spowodowanego wysoką temperaturą wybuchu, do którego doszło na *Modliszce*, ten był reakcją termojądrową zapoczątkowaną w paliwie *Nieskończonej Granicy*. Nikt nigdy nie ustalił, czy reakcję tę wywołała niesamowicie wysoka temperatura napędzającego kroplę halo czy jakiś inny czynnik. W miejscu zderzenia się kropli ze zbiornikiem paliwa ukazała się szybko się rozszerzająca ognista kula, która oświetliła całą flotę na czarnym tle przestrzeni kosmicznej, przyćmiewając blask Drogi Mlecznej.

Potem takie same kule ogarnęły po kolei *Yuanfang*, *Syrenę Mgłową*, *Antarktykę* i *Szczyt*.

W ciągu następnych ośmiu sekund kropla przeszyła jeszcze dziesięć statków klasy gwiezdnej. W tym momencie rozszerzająca się jądrowa kula ognia ogarnęła całą *Nieskończoną Granicę*, a potem zaczęła się kurczyć, pojawiły się natomiast nowe na pozostałych trafionych jednostkach.

Kropla nadal czyniła spustoszenie w pierwszej linii formacji, przechodząc co niespełna sekundę przez jeden statek po drugim.

Ogień na *Nieskończonej Granicy* zgasł, statek całkowicie się roztopił. Potem eksplodował, rozchylił się niczym rozkwitający pąk kwiatu i wyrzucił we wszystkie strony miliony ton żarzącej się, ciemnoczerwonej, metalicznej cieczy.

Kropla przelatywała po prostym torze przez kolejne statki i zostawiła za sobą rząd dziesięciu kul jądrowych. Cała flota świeciła się w blasku tych małych słońc, jakby stanęła w płomieniach. Stopione jednostki za rzędem tych kul nadal wyrzucały w przestrzeń kosmiczną fale wrzącego metalu jak wulkany magmę.

W ciągu minuty i osiemnastu sekund kropla ukończyła mierzącą dwa tysiące kilometrów trasę, przelatując przez każdy z setki statków pierwszego rzędu prostokątnej formacji połączonej floty.

Zanim ostatni z nich, *Adam*, został pochłonięty przez ognistą kulę termojądrową, metaliczna magma, która wytrysnęła z jednostek na przeciwnym końcu szeregu, ochłodziła się i rozproszyła, pozostawiając epicentrum wybuchu – miejsce, gdzie przed minutą znajdowała się *Nieskończona Granica* – praktycznie puste. *Yuanfang*, *Syrena Mgłowa*, *Antarktyka* i *Szczyt* zniknęły. Gdy zgasła ostatnia kula w rzędzie, stopniowo ochładzająca się magma, która była ledwie widoczna, pojawiła się ponownie jako ciemnoczerwone światła w czerni przestrzeni kosmicznej. Wyglądała jak mierząca dwa tysiące kilometrów długości rzeka krwi.

Przebiwszy *Adama*, kropla przeleciała około osiemdziesięciu kilometrów przez pustą przestrzeń, po czym wykonała ostry skręt, niewytłumaczalny na gruncie znanej ludziom mechaniki lotów kosmicznych. Tym razem skręciła pod jeszcze mniejszym kątem, zaledwie piętnastu stopni, utrzymując stałą prędkość. Potem, po lekkim dostosowaniu kierunku lotu do drugiego rzędu statków, a raczej – po niedawnych zniszczeniach – pierwszego obecnie rzędu formacji, popędziła na pierwszą jednostkę w tym rzędzie, *Ganges*.

Do tej pory dowództwo floty w żaden sposób nie zareagowało na te wydarzenia. Bojowy system informatyczny dobrze wykonywał swe zadanie i sporządził wierny zapis wszystkiego, co w ciągu tej minuty i osiemnastu sekund działo się na polu bitwy. Ogromną ilość danych był w tej chwili w stanie przeanalizować tylko skomputeryzowany system dowodzenia walką, który doszedł do następującego wniosku: w pobliżu pojawiły się potężne siły wroga i przypuściły atak. Komputer jednak nie dostarczył żadnych informacji o tych siłach. Pewne były tylko dwie rzeczy: 1. Wróg znajdował się w miejscu, gdzie była kropla. 2. Jego siły były niemożliwe do wykrycia za pomocą żadnego środka rozpoznania, którym dysponowała flota.

Dowódcy byli w szoku. Przez niemal dwa stulecia w badaniach na temat strategii i techniki kosmicznej rozważano wszelkie możliwe rodzaje ekstremalnych warunków panujących na polu bitwy, ale zniszczenie w ciągu niecałej minuty setki statków, które wybuchały jeden po drugim jak fajerwerki, przekraczało ich zdolność pojmowania. W zalewie informacji płynących z bojowego systemu informatycznego musieli się zdać na analizy oraz oceny komputerowego systemu dowodzenia walką i skupić się na wykryciu niewidzialnego wroga, który nawet nie istniał. Całą uwagę skierowali na odległe rejony przestrzeni kosmicznej, ignorując niebezpieczeństwo, które mieli tuż pod nosem. Spora część osób sądziła

nawet, że tym potężnym niewidzialnym wrogiem może być ktoś trzeci, jacyś inni od Trisolarian kosmici, bo w ich podświadomości Trisolaris pozostawała słabszą, przegrywającą z ludzkością stroną.

System śledzenia przebiegu bitwy nie wykrył obecności sondy, ponieważ była ona niewidzialna dla radarów i można ją było zlokalizować tylko poprzez analizę obrazów w spektrum widzialnym, a te traktowano jako mniej ważne od danych radarów. Większość rozproszonych w przestrzeni szczątków statków miała postać ciekłego metalu stopionego w wysokiej temperaturze wybuchów jądrowych – z każdej zniszczonej jednostki powstawały miliony ton tej magmy. Duża część ogromnej masy tych szczątków była mniej więcej kształtu i wielkości kropli, co utrudniało komputerowemu systemowi analizy obrazów jej identyfikację. Poza tym praktycznie wszyscy dowódcy uważali, że kropla uległa samozniszczeniu we wnętrzu *Modliszki*, więc żaden z nich nie wydał rozkazu przeprowadzenia takiej analizy.

Tymczasem inne okoliczności potęgowały chaos. Szczątki wyrzucone przez eksplozje w pierwszym szeregu statków dosięgły wkrótce drugiego rzędu, uruchamiając systemy obronne, które odpowiedziały laserami o wysokiej energii i działami elektromagnetycznymi. Fruwające fragmenty, składające się głównie z metalu roztopionego przez jądrowe kule ognia, miały nieregularne kształty i chociaż pod wpływem niskiej temperatury przestrzeni kosmicznej częściowo się schłodziły, zestaliły się tylko ich zewnętrzne powłoki. Wnętrza były wciąż w stanie ciekłym i gdy zostały trafione lub same trafiły w statek, rozpryskiwały się w jaskrawych fajerwerkach. Niebawem drugi rząd przemienił się w równoległą do „rzeki krwi”, powstałej po wybuchach jednostek w pierwszym, płonącą zaporę, wstrząsaną huraganowym ogniem ze strony niewidzialnego wroga. Grad szczątków był tak gęsty, że systemy obronne nie były w stanie ich

powstrzymać, i te częściowo płynne, częściowo stałe dżety, które przedostały się przez ogień zaporowy, uderzały w statki z ogromną niszczycielską siłą. Uszkodziły kadłuby dużej liczby statków w drugim rzędzie, niektóre nawet przedziurawiły. Rozległy się przeraźliwe syreny alarmów dekompresyjnych…

Chociaż zauważono oślepiającą walkę ze szczątkami, w tych warunkach ani komputerom, ani ludziom z systemu dowodzenia nie udało się uniknąć wrażenia, że flota została wciągnięta w gwałtowną wymianę ognia z siłami kosmicznymi nieprzyjaciela. Ani ludzie, ani maszyny nie dostrzegli małej postaci Śmierci, która zaczęła niszczyć drugi rząd statków.

Tak więc gdy kropla zaatakowała *Ganges*, sto jednostek w drugim rzędzie było ustawionych w linii prostej. W formacji śmierci.

Kropla uderzyła jak błyskawica i w ciągu zaledwie dziesięciu sekund przeszła przez dwanaście jednostek: *Ganges*, *Kolumbię*, *Sprawiedliwość*, *Masadę*, *Proton*, *Atlantyk*, *Syriusza*, *Thanksgiving*, *Postęp*, *Hana* i *Burzę*. Podobnie jak stało się w pierwszym rzędzie, każdy statek rozżarzył się po przebiciu do czerwoności, po czym ogarnęła go jądrowa kula ognia, zostawiając po sobie miliony ton lśniącej, ciemnoczerwonej, metalicznej magmy, która eksplodowała. Ustawione w równej linii jednostki wyglądały jak mierzący dwa kilometry długości lont, który palił się tak intensywnie, że zostawał po nim tylko żarzący się ciemnoczerwony popiół.

Minutę i dwadzieścia jeden sekund później setka statków w drugim rzędzie została unicestwiona.

Po przejściu przez ostatni z nich, *Meiji*, kropla znowu wykonała ostry skręt i runęła na pierwszą jednostkę w trzecim rzędzie, *Newtona*. Podczas niszczenia drugiego rzędu powstałe wskutek wybuchów szczątki sypały się na trzeci. Ta fala składała się ze stopionego metalu z jednostek w drugim rzędzie i w większości schłodzonych już fragmentów metalu ze statków

z pierwszego rzędu. Większość statków w trzecim rzędzie włączyła już silniki oraz systemy obrony i zaczęła manewrować, dzięki czemu tym razem nie znajdowały się już w idealnie równej linii, jak te z pierwszego i drugiego rzędu. Mimo to była to w dalszym ciągu linia względnie prosta. Po przejściu przez *Newtona* kropla zmieniła ostro kierunek i w mgnieniu oka przebyła dwadzieścia kilometrów dzielących *Newtona* od *Oświecenia*, wysuniętego trzy kilometry przed czoło. Stamtąd znowu ostro skręciła w kierunku *Kredy*, która zmierzała w drugą stronę, i przeszyła ją. Lecąc dalej tym krętym torem, przenikała kolejno przez pozostałe jednostki, przy czym ani na moment nie zeszła poniżej trzydziestu kilometrów na sekundę.

Gdy potem przeanalizowano szlak kropli, odkryto ze zdumieniem, że każdy jej skręt został wykonany pod kątem ostrym, nie po łuku, jak latały statki ludzi. Ten diaboliczny szlak lotu pokazywał, że ma ona napęd przekraczający ludzkie pojęcie, zupełnie jakby była cieniem bez masy, do którego nie stosowały się zasady dynamiki, poruszającym się, jak chciał, niczym koniec pióra Boga. Podczas ataku na trzeci rząd formacji zmieniała ostro kierunek dwa lub trzy razy w ciągu sekundy, jak igła hafciarska wyszywająca wątek zniszczenia na osnowie stu statków.

Zniszczenie trzeciego rzędu zajęło jej dwie minuty i trzydzieści pięć sekund.

W tym czasie wszystkie statki uruchomiły już silniki. Chociaż formacja zupełnie straciła kształt, kropla nadal uderzała w ewakuujące się jednostki. Tempo zniszczenia zmalało, ale w każdej chwili między statkami płonęły trzy ogniste kule. Jądrowe płomienie przyćmiewały te, które wydobywały się z dysz silników, przemieniając flotę w rój przerażonych świetlików.

System dowodzenia flotą nadal nie miał pojęcia o prawdziwym źródle napaści i skupiał energię na szukaniu urojonej, niewidzialnej armady wroga. Późniejsza analiza masy niejasnych informacji wykazała jednak, że

w tym momencie najbliżsi odkrycia prawdy byli dwaj niscy rangą oficerowie Floty Azjatyckiej. Jednym z nich był chorąży Zhao Xin, pomocnik celowniczego na *Beifangu*, drugim kapitan Li Wei, sterowniczy systemu broni elektromagnetycznej na *Wannian Kunpeng*. Oto zapis ich rozmowy:

ZHAO XIN: *Beifang* TR317 do *Wannian Kunpeng* EM986! *Beifang* TR317 do *Wannian Kunpeng* EM986!

LI WEI: Tu *Wannian Kunpeng* EM986. Przypominam, że komunikacja głosowa na tym poziomie informacyjnym jest pogwałceniem przepisów stanu wojny.

ZHAO XIN: Czy to Li Wei? Tu Zhao Xin! Właśnie pana staram się znaleźć!

LI WEI: Cześć! Cieszę się, że pan jeszcze żyje.

ZHAO XIN: Panie kapitanie, mam sprawę. Odkryłem coś, co chciałbym przekazać połączonemu dowództwu, mam za niski stopień. Mógłby mi pan pomóc?

LI WEI: Ja też mam do tego za niski stopień. Ale połączone dowództwo ma teraz mnóstwo informacji. Co chce pan przekazać?

ZHAO XIN: Przeanalizowałem wizualny obraz bitwy…

LI WEI: Nie powinien pan analizować informacji z radaru?

ZHAO XIN: To błędne przekonanie o funkcjonowaniu tego systemu. Wie pan, co odkryłem, gdy przeanalizowałem obraz wizualny i wziąłem pod uwagę tylko prędkość? Wie pan, co się dzieje?

LI WEI: Pan zdaje się wiedzieć.

ZHAO XIN: Niech pan tylko nie pomyśli, że zwariowałem. Zna mnie pan, jesteśmy przyjaciółmi.

LI WEI: Ma pan niezwykle trzeźwe spojrzenie. Kto jak kto, ale pan na pewno by nie zwariował. Niech pan mówi.

ZHAO XIN: To flota zwariowała. Sami się atakujemy!

LI WEI: …

ZHAO XIN: *Nieskończona Granica* zaatakowała *Yuanfang*, potem *Yuanfang* zaatakował *Syrenę Mgłową*, tamten *Antarktykę*, a *Antarktyka*…

LI WEI: A jednak pan oszalał!

ZHAO XIN: Oto, co się dzieje: A atakuje B, a B, zanim eksploduje, atakuje C, a C, zanim eksploduje, atakuje D… Jest tak, jakby każdy statek, który został trafiony, atakował następny w szeregu – to jest jak infekcja, niech to szlag, albo jak zabawa w „podaj dalej”, ale aż do śmierci. To chore!

LI WEI: Jakiej broni używają?

ZHAO XIN: Nie wiem. Wychwyciłem na obrazie pocisk – cholernie mały i cholernie szybki, dużo szybszy niż te wasze działa elektromagnetyczne. I niewiarygodnie precyzyjny. Za każdym razem trafia w zbiornik paliwa!

LI WEI: Niech pan mi prześle tę analizę.

ZHAO XIN: Już ją wysłałem, razem z pierwotnymi danymi i analizą wektorową. Niech pan się temu przyjrzy. Jasny szlag!

Analiza, którą przeprowadził chorąży Zhao Xin, chociaż niekonwencjonalna, była bardzo bliska prawdy. Przestudiowanie przesłanych przez niego informacji zajęło Li Weiowi pół minuty. W tym czasie zostało zniszczonych następnych trzydzieści dziewięć statków.

LI WEI: Zauważyłem coś w prędkości.

ZHAO XIN: Jakiej prędkości?

LI WEI: Tego małego pocisku. Po wystrzeleniu z każdego statku jest nieco wolniejszy. Potem przyspiesza do trzydziestu kilometrów na sekundę.

Trafia następny statek i kiedy zostaje przed eksplozją wystrzelony z tego statku, jego prędkość znowu trochę spada. Potem przyspiesza…

ZHAO XIN: To nic nie znaczy…

LI WEI: To znaczy, że… tak jakby trafia na opór.

ZHAO XIN: Na opór? Jak to?

LI WEI: Za każdym razem kiedy ten pocisk przechodzi przez cel, ten opór go spowalnia.

ZHAO XIN: Widzę, do czego pan zmierza. Nie jestem głupi. Powiedział pan „ten pocisk” i „przechodzi przez cel”… to jeden i ten sam obiekt?

LI WEI: Niech pan wyjrzy na zewnątrz. Eksplodowało kolejnych sto statków.

Rozmowa ta odbyła się nie we współczesnym języku floty, lecz w mandaryńskim z dwudziestego pierwszego wieku. Ze sposobu, w jaki mówili, wynikało, że obaj byli hibernatami. We flocie służyło trochę hibernatów i chociaż większość z nich była po przebudzeniu bardzo młodymi ludźmi, brakowało im zdolności współczesnych osób do szybkiego przyswajania informacji, wskutek czego na ogół pełnili względnie niskie funkcje. Później odkryto, że ogromną większość tych, którzy podczas wielkiego zniszczenia najszybciej odzyskali zdrowy rozsądek i zdolność trzeźwego osądu, stanowili hibernaci. Na przykład tym dwóm oficerom udało się dokonać godnej uwagi analizy, mimo że stanowiska, które zajmowali, nie pozwalały im nawet korzystać z zaawansowanych systemów informatycznych statku.

Informacji Zhao Xina i Li Weia nie przekazano wyżej, ale skierowały one system analizowania bitwy we właściwą stronę. Zdawszy sobie sprawę, że niewidzialne wrogie siły wskazane przez komputer w ogóle nie istnieją, skupiono uwagę na analizie zgromadzonych informacji. Po przeszukaniu masy danych i ich dopasowaniu system odkrył w końcu, że kropla

bynajmniej nie uległa samozniszczeniu. Jej obraz wyłuskany z nagrań walk nie zmienił się, jeśli nie liczyć napędzającego ją halo, które pojawiło się na jej ogonie. Nadal miała idealny kształt i lustrzaną powierzchnię, tyle że teraz odbijał się w niej blask jądrowych kul ognia i metalowej magmy, oślepiająca jasność na przemian z ciemną czerwienią. Podczas dalszej analizy odtworzono jej tor lotu.

Podczas dwustu lat opracowywania strategii wojny w przestrzeni kosmicznej sporządzono różne scenariusze bitwy w dniu Sądu Ostatecznego, ale wszystkie zakładały, że wróg będzie potężny. Ludzkość miała się spotkać na polu walki z jego głównymi siłami, statkami, z których każdy miał być fortecą wielkości małego miasta. Wyobrażano sobie najprzeróżniejszą broń, jaką mógł posiadać, i rozmaite taktyki, z których najbardziej przerażający byłby atak z zastosowaniem antymaterii, bo jej porcja wielkości kuli karabinowej mogłaby zniszczyć statek klasy gwiezdnej.

Teraz jednak połączona flota musiała stawić czoło rzeczywistości. Jej jedynym przeciwnikiem była niewielka sonda, jedna kropla z ogromnego oceanu siły Trisolarian, która zastosowała najstarszą i najbardziej prymitywną ze znanych ludziom taktyk ataku – taranowanie.

Zanim system dowodzenia flotą doszedł do tego prawidłowego wniosku, minęło z grubsza trzynaście minut od rozpoczęcia ataku. Ze względu na skomplikowaną i ponurą sytuację i tak stało się to dość szybko, ale kropla była jeszcze szybsza. Podczas bitw morskich w dwudziestym wieku po ukazaniu się na horyzoncie floty wroga mogło być dostatecznie dużo czasu, by wezwać dowódców na odprawę na okręt flagowy. Jednak czas bitw w przestrzeni kosmicznej mierzono w sekundach, więc podczas tych trzynastu minut zostało zniszczonych ponad sześćset jednostek. Dopiero wtedy ludzkość uświadomiła sobie, że nie jest w stanie zapanować nad

przebiegiem bitwy. Z powodu blokady założonej przez sofony nie była tego w stanie zrobić także sztuczna inteligencja. Z takiej perspektywy można było łatwo dojść do wniosku, że ludzkość być może nigdy nie będzie zdolna stoczyć bitwy z Trisolarianami.

Prędkość kropli i jej niewidzialność dla radarów miały taki skutek, że systemy obronne na pierwszych zaatakowanych statkach w ogóle nie zareagowały. Jednak w miarę jak rosły odległości między statkami i zwiększał się dystans, z którego przeprowadzała uderzenia, systemy te ponownie wyskalowano w oparciu o cechy kropli. Tak więc pierwszą jednostką, która podjęła próbę jej zlikwidowania za pomocą broni laserowej, by zwiększyć celność strzałów do małego celu o dużej prędkości, był *Nelson*. Trafiona kropla wyemitowała silne światło widzialne, mimo że *Nelson* wystrzelił wiązki promieni gamma niewidzialnych dla ludzkiego oka. Nigdy nie zrozumiano, skąd brała się niewidzialność kropli dla radarów, ponieważ miała całkowicie refleksyjną powierzchnię i doskonale rozpraszający światło kształt, ale być może sekret tej niewidzialności krył się w jej zdolności zmieniania częstotliwości odbijających się od niej fal elektromagnetycznych. Światło, które wydobyło się z niej po uderzeniu, było tak jasne, że przyćmiło wybuchające wokół jądrowe kule ognia, zmusiło systemy monitorowania do przyciemnienia elementów optycznych i oślepiło wszystkich, którzy na nią patrzyli. Innymi słowy, było w rezultacie nie do odróżnienia od ciemności. Rozjarzona kropla weszła w *Nelsona* i zgasła, pogrążając całe pole bitwy w mroku. Parę chwil później ogniste kule wybuchów jądrowych odzyskały poprzedni blask, a sonda wynurzyła się z *Nelsona* nietknięta i popędziła w stronę odległej o osiemdziesiąt kilka kilometrów *Zieleni*.

System obronny *Zieleni* przełączył się na elektromagnetyczną broń kinetyczną. Metalowe pociski wystrzeliwane z dział elektromagnetycznych

miały ogromną moc niszczenia, a wskutek energii kinetycznej, którą uzyskiwały dzięki wielkiej prędkości, każdy z nich uderzał w cel z siłą bomby. Na powierzchni planety mogły w mgnieniu oka zrównać górę z ziemią. Względna prędkość kropli jeszcze bardziej zwiększała ich energię, ale po trafieniu kropla zwalniała tylko nieznacznie, a potem znowu przyspieszała. Pod gradem pocisków wpadła prosto na *Zieleń* i przeszła przez nią. Pod mikroskopem o wielkim powiększeniu jej powierzchnia była wciąż gładka jak lustro, bez najmniejszych zadrapań.

Materia z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym różni się od zwykłej, tak jak ciało stałe od cieczy. Ostrzał kropli z ludzkiej broni miał na nią taki wpływ jak fala na trzciny. Nie można było jej uszkodzić, co oznaczało, że nic w Układzie Słonecznym nie jest w stanie jej zniszczyć. Była nietykalna. Zaledwie system dowodzenia flotą się ustabilizował, znowu się rozstroił. Ponieważ nie mógł użyć jakiejkolwiek dostępnej broni, już się nie pozbierał.

W przestrzeni kosmicznej trwała bezlitosna rzeź. Gdy zwiększyły się odległości między statkami, kropla przyspieszyła i wkrótce podwoiła prędkość. Przejawiając w swych stałych atakach chłodną inteligencję i precyzję, rozwiązała problem komiwojażera i ani razu nie poleciała ponownie przebytą już trasą. Jej cele były w ciągłym ruchu, musiała więc dokonywać skomplikowanych pomiarów i obliczeń, ale robiła to bez trudu, nie zmniejszając prędkości. Skupianie się na celach nie przeszkadzało jej od czasu do czasu zboczyć z toru, by szybko pozbyć się nielicznych maruderów i powstrzymać flotę przed ucieczką w tamtym kierunku.

Uderzała przeważnie w zbiorniki paliwa, ale nie było wiadomo, czy znajduje je dzięki systemowi wykrywania ich położenia w czasie rzeczywistym, czy przy użyciu dostarczonej przez sofony bazy danych o budowie każdej jednostki. Jednak w około dziesięciu procentach celem

ataku nie były zbiorniki. Do zniszczenia tych statków nie dochodziło wskutek wybuchu materiału jądrowego, więc mijało stosunkowo dużo czasu, nim rozgrzany do czerwoności statek się rozerwał, a w tej sytuacji załoga strasznie cierpiała przed spłonięciem.

Odwrót nie przebiegał gładko. Było za mało czasu, by wejść w stan głębinowy, statki mogły więc ewakuować się tylko z prędkością trzech naprzód, co uniemożliwiało im rozproszenie się. Kropla niczym owczarek pilnujący stada wykonywała od czasu do czasu uderzenia w różnych miejscach, by utrzymać flotę w gromadzie.

W przestrzeni kosmicznej unosiło się mnóstwo zimnych już albo stygnących szczątków, które utworzyły wokół statków płonące łuki, więc musiały one stale oczyszczać sobie drogę ucieczki laserami albo działami elektromagnetycznymi. Mimo to niektóre fragmenty przenikały przez obronę i powodowały uszkodzenia kadłubów, a nawet, gdy uderzyły z przodu, utratę zdolności manewrowania. Zderzenia z większymi fragmentami kończyły się tragicznie.

Pomimo załamania się systemu dowodzenia najwyższe dowództwo zachowywało kontrolę podczas ewakuacji, ale wskutek gęstego szyku początkowej formacji nie udało się uniknąć zderzeń między statkami. *Himalaje* i *Thor* zderzyły się czołowo na pełnej prędkości i roztrzaskały w drobny mak. Na *Genesis* wpadł od tyłu *Posłaniec* i przez rozdarcia kadłubów obu jednostek wydostało się jak huragan powietrze, pociągając za sobą załogi i różne przedmioty, które sunęły za wrakami jak ogony.

Najstraszniejszy los spotkał *Einsteina* i *Xię*, których kapitanowie obeszli system zabezpieczeń i zdalnie nastawili silniki na cztery naprzód. Nikogo z załogi nie chronił stan głębinowy. Obrazy przekazane z *Xii* pokazywały hangar opróżniony z myśliwców, ale zajęty przez setkę ludzi, których siła ciężkości wgniotła w pokład. Obserwatorzy patrzyli z przerażeniem na

purpurowe plamy krwi wykwitające na białej powierzchni wielkości boiska piłkarskiego i tworzące niezwykle cienkie warstwy, które w końcu pod wpływem ogromnej siły zlały się w jedno… Takie same straszne sceny działy się w kulistych kabinach: kiedy zaczęło się przeciążenie, wszyscy osunęli się na podłogę, a potem ciężka ręka diabła ścisnęła ich w bryłę jak gliniane ludziki. Nikt nie zdążył nawet krzyknąć. Słychać było jedynie trzask pękających kości i syk wyciskanych wnętrzności. Potem stos mięśni i kości zalała krwawa ciecz, która stała się niesamowicie czysta, gdy pod wpływem ogromnego przeciążenia części stałe osiadły, a jej powierzchnia znieruchomiała jak lustro. Wydawała się ciałem stałym, w którym tkwiły niczym rubiny w krysztale mięśnie, kości i narządy wewnętrzne…

Podczas późniejszego dochodzenia początkowo myślano, że nastawienie *Einsteina* i *Xii* na cztery naprzód było błędem popełnionym wskutek panującego we flocie chaosu, ale dalsze analizy wykazały, że był to mylny pogląd. Użycie trybu zdalnego sterowania w celu obejścia ścisłych procedur wymaganych przez system kontroli statku przed wykonaniem komendy „cztery naprzód”, obejmujących między innymi potwierdzenie, że cała załoga znajduje się w stanie głębinowym, składało się z ciągu skomplikowanych operacji, co po prostu uniemożliwiało nadanie mu takiej prędkości wskutek błędu. W komunikatach wysłanych przez obie jednostki znaleziono informacje, że przed nastawieniem na czwórkę zarówno *Einstein*, jak i *Xia* wykorzystały myśliwce i mniejsze statki dla przeniesienia swoich załóg na zewnątrz. Komenda „cztery naprzód” została wydana dopiero wtedy, gdy kropla się do nich zbliżyła i zaczęły wybuchać znajdujące się obok inne jednostki. Świadczyło to, że zamierzały uciec z maksymalną prędkością, by się uratować, ale nawet im nie udało się wymknąć ze szponów kropli. Bystrooki bóg śmierci zauważył, że dwa

statki lecą szybciej niż reszta zgrupowania, zrównał się z nimi i zniszczył je wraz z ich martwym ładunkiem.

Jednak dwóm innym jednostkom powiodła się próba uniknięcia ataku kropli dzięki włączeniu czwartego biegu. Były to *Kwant* i *Epoka Brązu*, których załogi weszły na żądanie Ding Yi w stan głębinowy przed bitwą. Gdy został zniszczony trzeci rząd statków, obie uciekły w tym samym kierunku. Zajmowały na początku pozycje w rogu formacji, więc od kropli odgradzała je cała flota i miały dość czasu na ucieczkę w głąb przestrzeni.

W wyniku trwającego zaledwie dwadzieścia minut ataku zniszczonych zostało ponad tysiąc statków, więcej niż połowa floty.

W przestrzeni kosmicznej powstała mierząca dziesięć tysięcy kilometrów średnicy i szybko rozprzestrzeniająca się metaliczna chmura szczątków, której brzegi co i rusz rozświetlały jądrowe kule ognia powstałe z eksplodujących statków. Wyglądała jak kamienna twarz olbrzyma wyłaniająca się z ciemności kosmicznej nocy i na powrót się w niej pogrążająca. Żar magmy między ognistymi kulami nadawał chmurze wygląd krwawego zachodu słońca.

Jednostki, które na razie uszły z rzezi, były chaotycznie rozproszone, ale prawie wszystkie znajdowały się w obrębie metalicznej chmury. Większości z nich wyczerpała się amunicja do dział elektromagnetycznych i musiały otwierać sobie drogę przez chmurę tylko laserami, ale z powodu utraty energii nie mogły pracować całą mocą, więc z wielkim trudem przedzierały się przez rumowisko. Statki poruszały się praktycznie w takim samym tempie, w jakim rozszerzała się chmura, przez co stała się ona śmiertelną pułapką, z której nie mogły się wydostać.

Prędkość kropli była teraz dziesięć razy większa od trzeciej prędkości kosmicznej, czyli wynosiła około stu siedemdziesięciu kilometrów na sekundę. Kropla pędziła i roztrącała szczątki zniszczonych statków, które

pod wpływem tych zderzeń zmieniały postać na płynną, rozpryskiwały się i trafiały w inne szczątki, tworząc wraz z nimi jej lśniący ogon. Najpierw wyglądała jak najeżona ze złości kometa, lecz gdy ogon się wydłużył, zaczęła przypominać ogromnego srebrnego smoka o cielsku długości dziesięciu tysięcy kilometrów. Kiedy ów smok miotał się w szalonym tańcu, cała chmura jarzyła się promieniującym od niego światłem. Wzdłuż jego cielska wybuchały statki, przez które się przebijał, tak że w każdym momencie było ono upstrzone czterema czy pięcioma małymi słońcami jądrowych eksplozji. Miliony ton magmy ze stopionych jednostek z tyłu zabarwiały jego ogon krwistą czerwienią…

Pół godziny później smok nadal latał, ale przestały się pojawiać wybuchy jądrowe i ogon stracił krwistoczerwone zabarwienie. W chmurze nie pozostał ani jeden statek.

Gdy smok z niej wyleciał, nie miał już ciała, a jedynie głowę i ogon. Wtedy zaczął pochłaniać resztki floty. Z chmury wydobyło się tylko dwadzieścia jeden statków, w większości uszkodzonych w takim stopniu, że leciały z minimalną prędkością albo siłą rozpędu. Kropla szybko je dogoniła i zniszczyła. Obłoki, które z nich powstały, połączyły się z chmurą.

Kropla potrzebowała jeszcze trochę czasu, by rozprawić się z pięcioma prawie nietkniętymi statkami, ponieważ nabrały prędkości i kierowały się w różne strony. Ostatni, który został zniszczony, *Arka*, zdołał na tyle się oddalić od chmury, że gdy eksplodował, błysk ten rozświetlił na kilka sekund przestrzeń jak samotna lampa na pustkowiu.

Kosmiczne siły zbrojne ludzkości zostały unicestwione.

Kropla ruszyła w kierunku, gdzie uciekły *Kwant* i *Epoka Brązu*, ale wkrótce zrezygnowała z pogoni za nimi, bo oba cele były za daleko i nabrały zbyt dużej prędkości. Tak oto tylko one ocalały z zagłady.

Kropla opuściła pobojowisko i skierowała się w stronę Słońca.

Poza dwiema nieuszkodzonymi jednostkami zagłady uniknęła mała liczba członków załóg, którzy przed zniszczeniem ich statków wsiedli do myśliwców i innych małych pojazdów kosmicznych. Chociaż kropla mogła je bez trudu zniszczyć, nie przejawiała zainteresowania małymi obiektami. Największym zagrożeniem były dla nich poruszające się z dużą prędkością metalowe fragmenty, bo nie posiadając systemów obrony, nie mogłyby wyjść cało ze zderzeń z nimi. I faktycznie część z nich została zniszczona przez te szczątki. Największą szansę przetrwania miały na początku i pod koniec ataku, ponieważ na początku nie utworzyła się jeszcze metaliczna chmura, a pod koniec, wskutek rozszerzania się, nie była już tak gęsta.

Ocalałe myśliwce i pozostałe małe jednostki dryfowały przez kilka dni za orbitą Uranu i zostały wreszcie uratowane przez kursujące w tym rejonie przestrzeni kosmicznej statki cywilne. Przeżyło niespełna sześćdziesiąt tysięcy ludzi, w tym dwóch hibernatów, którzy pierwsi trafnie ocenili atak kropli: chorąży Zhao Xin i kapitan Li Wei.

W końcu ruch na pobojowisku zamarł, a metaliczna chmura straciła w zimnie kosmosu blask i zniknęła w ciemności. W ciągu lat, pod wpływem siły przyciągania Słońca, przestała się rozszerzać i zaczęła się wydłużać. Ostatecznie utworzyła długi, niezwykle cienki metaliczny pas unoszący się na zimnych obrzeżach Układu Słonecznego niczym milion dusz, które nie spoczęły w pokoju.

Zniszczenia całych sił kosmicznych ludzkości dokonała zaledwie jedna sonda trisolariańska, a trzy lata od Układu Słonecznego znajdowało się jeszcze dziewięć takich jak ona. Cała dziesiątka nie była równa nawet jednej dziesięciotysięcznej statku wojennego, a z Trisolaris do Układu Słonecznego leciało ich tysiąc.

„Jeżeli cię zniszczę, cóż ci do tego?”

Po przebudzeniu się Zhang Beihai spojrzał na zegarek. Przespał piętnaście godzin. Jeśli nie liczyć hibernacji, był to chyba najdłuższy sen w jego życiu. Doznawał czegoś, czego jeszcze nigdy nie czuł. Przeanalizowawszy swój umysł, uświadomił sobie, skąd się bierze to uczucie. Był sam.

W przeszłości, nawet gdy się unosił w bezkresie kosmosu, nigdy nie czuł się sam. Zawsze czuł na sobie wzrok ojca. Jego spojrzenie towarzyszyło mu dniem i nocą. Stało się częścią jego świata, taką samą jak Słońce i gwiazdy. Teraz tego nie było.

„Pora wyjść” – powiedział do siebie w duchu, poprawiając mundur. Spał w stanie nieważkości, więc ani jego włosy, ani ubranie nie były w nieładzie. Spojrzawszy po raz ostatni na sferyczną kabinę, w której spędził ponad miesiąc, otworzył drzwi i wysunął się na korytarz, gotów spokojnie stawić czoło wściekłości tłumu, spojrzeniom pełnym pogardy i potępienia, ostatecznemu osądowi… i, jako sumienny żołnierz, życiu, które nie wiadomo jak długo jeszcze potrwa. Bez względu na to, co się miało zdarzyć, resztę życia na pewno spędzi w spokoju.

Korytarz był pusty.

Ruszył nim wolno, przepływając obok kabin, z których wszystkie były otwarte. Były identyczne jak ta, w której jeszcze przed chwilą przebywał, a ich białe ściany przypominały oczy bez źrenic. Wszędzie było pusto jak na korytarzu, okna informacyjne zamknięte. Prawdopodobnie system informacyjny statku był przeformatowywany.

Przypomniał mu się oglądany w młodości film, którego bohaterowie żyli w świecie podobnym do kostki Rubika, składającym się z niezliczonych identycznych sześciościennych pomieszczeń, a w każdym z nich znajdował

się inny śmiercionośny mechanizm. Przechodzili bez końca z jednego do drugiego…

Zaskoczyło go, że jego myśli płyną tak swobodnie. Dawniej był to luksus, na który nie mógł sobie pozwolić, ale teraz, gdy jego misja zbliżała się do końca, mógł popuścić umysłowi cugli.

Skręcił za róg i znalazł się w innym, dłuższym, ale tak samo pustym korytarzu. Grodzie emitowały łagodne, mleczne światło, które sprawiło, że stracił poczucie głębi. Świat wydał mu się mały. Także i tu drzwi do wszystkich pomieszczeń po obu stronach były szeroko otwarte.

Dobór Naturalny wyglądał tak, jakby opuściła go cała załoga. W oczach Zhang Beihaia ten ogromny statek był jednym wielkim, lecz zwięzłym symbolem, metaforą jakiegoś prawa ukrytego pod powierzchnią rzeczywistości. Miał wrażenie, że te identyczne, białe, kuliste pomieszczenia ciągną się we wszystkie strony, powtarzając się nieskończenie we Wszechświecie.

Przyszło mu do głowy, że to holografia.

Każda sferyczna kabina mogła uzyskać całkowitą kontrolę nad *Doborem Naturalnym*, a więc przynajmniej z punktu widzenia informatyki była całym statkiem. Znaczyło to, że *Dobór Naturalny* jest hologramem.

Sam statek był metalowym ziarnem zawierającym całość informacji o ludzkiej cywilizacji. Gdyby gdzieś we Wszechświecie to ziarno wypuściło kiełek, mogłaby się z niego rozwinąć kompletna cywilizacja. Ta część zawierała całość, a więc ludzka cywilizacja też mogła być hologramem.

Poniósł klęskę. Nie zdołał rozsiać tych ziaren i czuł z tego powodu żal. Ale nie smutek, i to wcale nie dlatego, że zrobił wszystko, co mógł, by spełnić swój obowiązek. Uwolniony już jego umysł poszybował i Zhang wyobraził sobie, że cały Wszechświat jest holograficzny, w każdym

punkcie zawiera się całość, a więc dopóki zostanie choćby jeden atom, będzie istniał cały Wszechświat. Nagle doznał tego samego uczucia co Ding Yi przed zaledwie dziesięcioma godzinami, w ostatnim stadium podchodzenia do kropli, gdy Zhang Beihai jeszcze smacznie spał – uczucia całkowitego skupienia.

Dotarł do końca korytarza i otworzył drzwi do największego pomieszczenia na statku, tej kulistej sali, w której się znalazł trzy miesiące temu, gdy po raz pierwszy wszedł na pokład *Doboru Naturalnego*. Tak jak przedtem pośrodku niej unosiło się zgrupowanie żołnierzy i oficerów, ale teraz było ich kilka razy więcej i tworzyli w tym zgrupowaniu trzy warstwy. Warstwą środkową i, jak się zorientował, jedyną rzeczywistą była załoga *Doboru Naturalnego*. Pozostałe dwie były hologramami.

Przyjrzawszy się dokładniej, stwierdził, że warstwy holograficzne składały się z oficerów i żołnierzy ścigających ich czterech statków. W środku trzywarstwowej formacji znajdował się rząd pięciorga pułkowników: Dongfang Yanxu i dowódców owych czterech jednostek. Wszyscy poza Dongfang byli hologramami, które niewątpliwie przysłano ze statków pościgowych. Kiedy wsunął się do sali, skupiły się na nim spojrzenia pięciu tysięcy ludzi. Nie patrzyli na niego jak na zbiega. Dowódcy po kolei się zameldowali.

– *Błękitna Przestrzeń* z Floty Azjatyckiej!

– *Enterprise* z Floty Północnoamerykańskiej!

– *Głębia Kosmosu* z Floty Azjatyckiej!

– *Podstawowe Prawo* z Floty Europejskiej!

Jako ostatnia zasalutowała mu Dongfang Yanxu.

– *Dobór Naturalny* z Floty Azjatyckiej! Tych pięć statków wojennych to wszystko, co zostało z ziemskiej floty kosmicznej. Ocalił je pan dla ludzkości. Proszę objąć nad nami dowództwo!

– To rozpad. Wszystko się rozpadło. Zbiorowe załamanie nerwowe! – powiedział z westchnieniem Shi Xiaoming i potrząsnął głową. Właśnie wrócił z podziemnego miasta. – W mieście panuje całkowity chaos. Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Na zebranie lokalnych władz przyszli wszyscy pracownicy administracji. W dwóch trzecich składały się one z hibernatów, którzy teraz wyraźnie odróżniali się od reszty, bo chociaż pogrążeni byli w skrajnym przygnębieniu, zachowywali mimo to spokój, podczas gdy współcześni urzędnicy okazywali w różnym stopniu oznaki załamania i wielokrotnie podczas zebrania tracili panowanie nad sobą. Słowa Shi Xiaominga ponownie zszarpały im nerwy. Oczy naczelnika urzędu były mokre od łez i gdy zakrył twarz i załkał, pobudziło to do szlochu wielu innych współczesnych urzędników. Osoba odpowiedzialna za edukację śmiała się histerycznie, kilkoro innych zaczęło warczeć, a potem ciskać filiżankami o ziemię…

– Uspokójcie się – powiedział Shi Qiang.

Jego głos nie był donośny, ale tak pełen godności, że podziałało to na współczesnych. Naczelnik i jego szlochający podwładni powstrzymali łzy.

– To dzieciaki – rzekł, kręcąc głową, Hines, który brał udział w zebraniu jako przedstawiciel miejscowej społeczności.

Był chyba jedyną osobą, która odniosła jakiś pożytek ze zniszczenia połączonej floty, bo teraz, gdy rzeczywistość była zgodna z jego plombą mentalną, znowu ogarnął go spokój. Wcześniej w obliczu niemal pewnego, jak się wydawało, zwycięstwa to, co zakodował sobie, zakładając plombę, dręczyło go dniem i nocą. Był o krok od załamania. Wysłano go do największego szpitala w mieście, ale najlepsi psychiatrzy rozkładali

bezradnie ręce. Wystąpili jednak z pewnym pomysłem, który pomogły zrealizować lokalne władze. Dlaczego nie można by, podobnie jak w *Oblężeniu Berlina* Daudeta czy w nakręconym w złotym wieku filmie *Good bye, Lenin!*, sfabrykować fikcyjnego otoczenia, w którym ludzie ponieśli klęskę? Na szczęście teraz, gdy technologia tworzenia wirtualnej rzeczywistości osiągnęła szczyt, nie było to takie trudne. Hines codziennie oglądał w swoim mieszkaniu sporządzone specjalnie dla niego wiadomości, którym towarzyszyły trójwymiarowe, realistyczne obrazy. Widział, jak część floty trisolariańskiej przyspiesza i przybywa wcześniej, niż się spodziewano, do Układu Słonecznego, a zaskoczona połączona flota ludzkości ponosi ogromne straty w Pasie Kuipera. Potem trzy ziemskie floty nie są w stanie utrzymać swoich pozycji na orbicie Neptuna i zostają zmuszone do stawienia oporu na orbicie Jowisza…

Urzędnik, który kierował tworzeniem tego fałszywego świata, tak się w to zaangażował, że gdy ziemska flota kosmiczna rzeczywiście poniosła miażdżącą klęskę, pierwszy się załamał. Wysilał jak mógł wyobraźnię, zarówno dla zaspokojenia potrzeb Hinesa, jak i dla własnej przyjemności, ale okrutna rzeczywistość ją przerosła.

Kiedy z miejsca odległego o dwadzieścia jednostek astronomicznych dotarły na Ziemię z trzygodzinnym opóźnieniem obrazy zniszczenia floty, ogół zaczął się zachowywać jak gromada zrozpaczonych dzieci i zmieniać świat w przedszkole z koszmaru sennego. Doszło do masowych rozstrojów psychicznych i kompletnego rozprzężenia.

W osiedlu Shi Qianga wszyscy wyżsi od niego rangą urzędnicy albo złożyli rezygnację, albo pogrążyli się w apatii i nic nie robili, więc władze nadrzędne poleciły mu przejąć w trybie nadzwyczajnym obowiązki naczelnika miejscowej administracji. Może nie było to ważne stanowisko, ale podczas tego kryzysu los osiedla spoczął w jego rękach. Na szczęście,

w odróżnieniu od mieszkańców podziemnego miasta, społeczność hibernatów pozostała względnie spokojna.

– Chciałbym prosić wszystkich, by pamiętali, w jakiej jesteśmy sytuacji – powiedział Shi Qiang. – Jeśli w sztucznym środowisku podziemnego miasta coś się zepsuje, rozpęta się tam piekło i wszyscy zaczną wychodzić na powierzchnię. Gdyby tak się stało, nie przetrwamy tu. Lepiej zastanówmy się, czy by się stąd nie wynieść.

– Dokąd? – zapytał ktoś.

– Do jakiegoś rzadko zaludnionego rejonu, na przykład na północny zachód. Oczywiście musielibyśmy najpierw wysłać kogoś, żeby sprawdził, jak tam jest. W chwili obecnej nikt nie jest w stanie powiedzieć, co się stanie ze światem albo czy nie dojdzie do następnego Wielkiego Jaru. Musimy się przygotować do tego, że nasze przetrwanie będzie całkowicie zależało od rolnictwa.

– Czy kropla zaatakuje Ziemię? – zapytał ktoś inny.

– A po co się tym martwić? – Shi Qiang potrząsnął głową. – I tak nikt nie jest w stanie nic na to poradzić. I dopóki nie przeleci przez Ziemię, musimy jakoś żyć, prawda?

– Prawda. Zamartwianie się jest bezcelowe. Tego jestem całkowicie pewien – odparł Luo Ji, przerywając milczenie.

Siedem ocalałych ziemskich statków kosmicznych rozdzieliło się na dwie grupy. Jedna składała się z *Doboru Naturalnego* i jednostek, które wysłano za nim w pościg, drugą tworzyły *Kwant* i *Epoka Brązu*, które uniknęły zniszczenia przez kroplę. Te dwie flotylle znajdowały się na przeciwnych krańcach Układu Słonecznego, oddzielone od siebie Słońcem. Obrały przeciwne kierunki i stopniowo coraz bardziej oddalały się od siebie.

Po wysłuchaniu relacji o unicestwieniu połączonej floty wyraz twarzy Zhang Beihaia się nie zmienił. Jego spojrzenie pozostało spokojne jak powierzchnia jeziora przy bezwietrznej pogodzie.

– Utworzenie gęstego szyku było niewybaczalnym błędem – powiedział lekkim tonem. – Można się było spodziewać wszystkiego, co nastąpiło potem. Towarzysze – rzekł po chwili, przesuwając wzrokiem po pięciu kapitanach i trzech warstwach zebranych w sali oficerów i żołnierzy. – Zwracam się do was w ten starodawny sposób, bo chcę, żeby od dnia dzisiejszego wszyscy tu obecni mieli wspólną wolę. Każdy z nas musi zrozumieć, w jakiej znajdujemy się rzeczywistości, i wyobrazić sobie, jaka czeka nas przyszłość. Towarzysze, nie możemy wrócić do domu.

Rzeczywiście nie było powrotu. Kropla, która zniszczyła połączoną flotę, nadal znajdowała się w Układzie Słonecznym, a za trzy lata miało przylecieć dziewięć innych. Dla tej flotylli ich dawny dom był teraz śmiertelną pułapką. Z informacji, które otrzymali, wynikało, że ludzka cywilizacja może całkowicie upaść jeszcze przed przybyciem głównej floty trisolariańskiej, więc koniec świata dla Ziemian nie był odległy. Tych pięć statków musiało przyjąć na siebie odpowiedzialność za przetrwanie cywilizacji, ale ich załogi mogły tylko lecieć jak najdalej przed siebie. Statki staną się dla nich na zawsze domem, a ich miejscem spoczynku będzie przestrzeń kosmiczna.

Pięć i pół tysiąca członków załóg było jak noworodek odcięty od pępowiny i okrutnie ciśnięty w otchłań kosmosu. Podobnie jak jemu, nie pozostawało im nic oprócz płaczu. Mimo to spokojne spojrzenie Zhang Beihaia było siłą utrzymującą porządek w zgrupowaniu i pomagało im zachować wojskową postawę. Dzieci pozostawione samym sobie podczas bezkresnej nocy najbardziej potrzebowały ojca i znalazły go, jak wcześniej Dongfang Yanxu, w osobie tego wiarusa.

– Na zawsze pozostaniemy częścią ludzkości – ciągnął Zhang Beihai – ale teraz jesteśmy niezależną społecznością i musimy pozbyć się psychicznego uzależnienia od Ziemi. Przede wszystkim musimy wybrać nazwę dla naszego świata.

– Pochodzimy z Ziemi, być może jesteśmy jedynymi dziedzicami jej cywilizacji, nazwijmy się więc „Statkiem Ziemia” – zaproponowała Dongfang Yanxu.

– Świetnie. – Zhang Beihai skinął z aprobatą głową, po czym zwrócił się do formacji: – Od tej pory jesteśmy obywatelami Statku Ziemia. Ta chwila może być drugim początkiem ludzkiej cywilizacji. Mamy mnóstwo do zrobienia, proszę więc was wszystkich, byście wrócili na swoje stanowiska.

Dwa hologramy zniknęły, a załoga *Doboru Naturalnego* zaczęła się rozpraszać.

– Czy nasze statki powinny się spotkać? – zapytał dowódca *Głębi Kosmosu*.

Kapitanowie nie zniknęli.

Zhang Beihai potrząsnął stanowczo głową.

– To nie jest konieczne. Znajdujecie się obecnie dwieście tysięcy kilometrów od *Doboru Naturalnego* i chociaż to niewielka odległość, podczas lotu na spotkanie z nami zużylibyście niepotrzebnie paliwo. Podstawą naszego przetrwania jest oszczędzanie energii, a ponieważ mamy jej mało, musimy jak najwięcej oszczędzać. Jesteśmy jedynymi ludźmi w tej części przestrzeni kosmicznej, więc rozumiem wasze pragnienie, byśmy trzymali się razem, ale dwieście tysięcy kilometrów to niedaleko. Od tej pory musimy myśleć na dłuższą metę.

– Tak, musimy myśleć długoterminowo – powtórzyła cicho Dongfang Yanxu, wbijając nieruchomy wzrok w horyzont, jakby patrzyła na długie lata przed nimi.

– Trzeba natychmiast zwołać zebranie obywateli – ciągnął Zhang Beihai – by określić podstawowe sprawy, a potem większość załóg trzeba będzie jak najszybciej poddać hibernacji, by systemy ekologiczne pracowały minimalną mocą… Bez względu na to, co będzie dalej, zaczęła się historia Statku Ziemia.

Z zaświatów ponownie wynurzyły się, niczym przenikające wszystko promienie ze skraju kosmosu, oczy jego ojca. Zhang Beihai poczuł na sobie ich spojrzenie i powiedział w duchu: „Tak, tato, naprawdę nie możesz spocząć w pokoju. Jeszcze się nie skończyło. Zaczęło się od nowa”.

Następnego dnia, nadal według ziemskiego kalendarza, odbyło się pierwsze plenarne Zgromadzenie Obywateli w miejscu utworzonym z pięciu holograficznych obrazów. Uczestniczyło w nim około trzech tysięcy osób, a pozostałe, które nie mogły opuścić stanowisk, dołączyły przez sieć.

Najpierw zajęto się najpilniejszą sprawą – celem podróży Statku Ziemia. Jednogłośnie przyjęto utrzymanie dotychczasowego kursu. Statek kierował się ku miejscu wybranemu wcześniej przez Zhang Beihaia, w stronę gwiazdozbioru Łabędzia, a dokładnie gwiazdy NH558J2, jednego z układów planetarnych leżących najbliżej Układu Słonecznego. Składał się on z dwóch planet, z których obie były gazowymi olbrzymami podobnymi do Jowisza, a zatem nie nadawały się do zamieszkania, ale można tam było uzupełnić paliwo jądrowe. Okazało się teraz, że Zhang wybrał kierunek lotu po głębokim zastanowieniu, bo w innym kierunku, zaledwie półtora roku świetlnego dalej niż ich obecny cel, znajdował się drugi układ gwiezdny, z planetą, której środowisko naturalne było, jak wskazywały obserwacje, podobne do ziemskiego. Problem polegał na tym, że była ona jedyną planetą tego układu, a więc gdyby okazała się światem niegościnnym –

a tego, czy panowały na niej warunki potrzebne do życia, nie można było stwierdzić na podstawie obserwacji prowadzonych z odległości wielu lat świetlnych – Statek Ziemia straciłby szansę uzupełnienia zapasów paliwa. Natomiast po zrobieniu tego w układzie NH558J2 mógł polecieć z jeszcze większą prędkością ku innemu celowi.

NH558J2 była położona osiemnaście lat świetlnych od Układu Słonecznego. Przy obecnej prędkości, z poprawką na różne nieprzewidywane sytuacje, Statek Ziemia mógł tam dotrzeć za dwa tysiące lat.

Za dwa milenia. Ta ponura liczba przedstawiała jeszcze inny, ale wyraźny obraz teraźniejszości i przyszłości jego obywateli. Nawet jeśli uwzględni się hibernację, większość z nich nie zobaczy celu podróży. Ich życie będzie tylko chwilą w mającej potrwać dwadzieścia wieków wyprawie, a zresztą nawet dla ich potomków NH558J2 będzie tylko przystankiem. Nikt nie wiedział, dokąd statek poleci stamtąd, a tym bardziej gdzie jego mieszkańcy znajdą prawdziwy dom.

W istocie rzeczy Zhang Beihai wykazał się wyjątkowo racjonalnym podejściem. Najwyraźniej wiedział, że odpowiednie warunki dla ludzi powstały na Ziemi nie wskutek przypadku czy zbiegu okoliczności, albo tym bardziej zasady antropicznej, lecz raczej w wyniku długotrwałych oddziaływań wzajemnych między biosferą i środowiskiem naturalnym, a to, że mogło się to powtórzyć na innej planecie krążącej wokół jakiejś odległej gwiazdy, było mało prawdopodobne. Wybór NH558J2 implikował inną możliwość: być może ludzie nigdy nie znajdą gościnnego świata i ich nowa cywilizacja będzie skazana na wieczną wędrówkę.

Nie powiedział jednak o tym. Być może dopiero następne pokolenie, zrodzone na Statku Ziemia, będzie mogło się naprawdę pogodzić

z cywilizacją statkową. Obecne będzie musiało żyć nadzieją na to, że znajdzie dom na planecie podobnej do Ziemi.

Zgromadzenie określiło też status polityczny Statku Ziemia. Zdecydowano, że pięć statków tworzących flotyllę pozostanie na zawsze częścią ludzkiego świata, ale w obecnych warunkach jest niemożliwe, by Statek Ziemia był politycznie podporządkowany Ziemi czy trzem flotom, w związku z czym stanie się całkowicie niezależnym państwem.

Gdy wiadomość o tym przesłano do Układu Słonecznego, ONZ i Połączone Kolegium Floty Słonecznej długo milczały, po czym nie zajmując stanowiska, przesłały swe ciche błogosławieństwo.

Tak oto świat ludzi został podzielony na trzy wspólnoty międzynarodowe: dawną Ziemię Międzynarodową, Flotę Międzynarodową i Międzynarodowy Statek Kosmiczny, który leciał w głąb kosmosu. Ta ostatnia grupa liczyła zaledwie pięć tysięcy osób, ale niosła ze sobą całą nadzieję ludzkiej cywilizacji.

Na drugim spotkaniu Zgromadzenia Obywateli zaczęła się dyskusja o strukturze przywództwa na Statku Ziemia.

Głos zabrał Zhang Beihai.

– Uważam, że jest na to za wcześnie – powiedział. – Zanim zdecydujemy, jakiego rodzaju władzy potrzebujemy, musimy określić, jaki kształt ma przyjąć społeczeństwo na Statku Ziemia.

– Chce pan powiedzieć, że najpierw musimy opracować konstytucję – rzekła Dongfang Yanxu.

– Przynajmniej jej podstawowe zasady.

Dyskusja potoczyła się tym torem. Większość była zdania, że skoro Statek Ziemia jest bardzo wrażliwym ekosystemem podróżującym

w surowym środowisku przestrzeni kosmicznej, trzeba stworzyć zdyscyplinowane społeczeństwo, by mieć w tych warunkach gwarancję wspólnej woli. Ktoś zaproponował, by utrzymać dotychczasowy, wojskowy system, i pomysł ten uzyskał poparcie większości.

– Macie na myśli społeczeństwo totalitarne – stwierdził Zhang Beihai.

– Powinien się znaleźć na określenie tego jakiś łagodniejszy termin. W końcu wszyscy jesteśmy wojskowymi – powiedział kapitan *Błękitnej Przestrzeni*.

– Nie sądzę, że to zda egzamin. – Zhang Beihai potrząsnął ze zdecydowaniem głową. – Nie wystarczy zachować życie, by przetrwać. Najlepszym sposobem zapewnienia sobie przetrwania jest rozwój. Będziemy musieli rozwijać własną naukę i technologię, by powiększyć naszą flotyllę. Fakty historyczne z czasów średniowiecza i Wielkiego Jaru dowodzą, że największą przeszkodą dla rozwoju jest ustrój totalitarny. Statek Ziemia potrzebuje nowych pomysłów i innowacji, a można to osiągnąć tylko w społeczeństwie, które szanuje wolność i jednostkę.

– Mówi pan o stworzeniu takiego społeczeństwa jak współczesna Ziemia Międzynarodowa? – zapytał jakiś młodszy oficer. – Statek Ziemia ma pewne wewnętrzne uwarunkowania.

– Zgadza się. – Dongfang Yanxu kiwnęła do niego głową. – Statek Ziemia może mieć niewielką liczbę ludności, ale posiada doskonały system informacyjny, dzięki któremu każdy problem można łatwo poddać pod dyskusję i pod głosowanie wszystkich obywateli. Możemy ustanowić pierwsze naprawdę demokratyczne społeczeństwo w historii ludzkości.

– To też nie zda egzaminu. – Zhang Beihai ponownie potrząsnął głową. – Jak powiedzieli wcześniej ci obywatele, Statek Ziemia podróżuje w surowych warunkach przestrzeni kosmicznej, gdzie w każdej chwili może się zdarzyć katastrofa, która zagrozi całemu temu światu. Historia

Ziemi podczas kryzysu trisolariańskiego pokazała, że w obliczu takich klęsk, zwłaszcza wtedy, gdy nasz świat będzie zmuszony do poświęceń, społeczeństwo, jakie masz na myśli, jest szczególnie słabe.

Wszyscy popatrzyli po sobie. W ich spojrzeniach widać było to samo pytanie: „Więc co powinniśmy zrobić?”.

– Myślę zbyt prosto – rzekł z uśmiechem Zhang Beihai. – W ludzkiej historii nigdy nie pojawiła się odpowiedź na to pytanie, jak więc możemy ją znaleźć podczas jednego zebrania? Uważam, że znalezienie modelu społecznego najbardziej odpowiedniego dla Statku Ziemia będzie wymagało długich poszukiwań. Po zebraniu powinniśmy zacząć o tym dyskutować… Proszę mi wybaczyć zakłócenie porządku zebrania. Powinniśmy wrócić do pierwotnego tematu.

Dongfang Yanxu nigdy jeszcze nie widziała, by Zhang Beihai uśmiechał się tak jak teraz. Uśmiech w ogóle rzadko gościł na jego twarzy, a gdy się pojawiał, był pewny siebie i wyrozumiały. Tymczasem ten był przepraszający i nieśmiały. Mimo że przerwanie zebrania nie było wielką sprawą, Zhang Beihai był szczególnie skrytym człowiekiem i po raz pierwszy wyraził swą opinię, ale zaraz ją wycofał. Zauważyła jego roztargnienie. Inaczej niż na poprzednim zebraniu nie robił notatek. Był jedyną osobą na statku, która wciąż używała staroświeckiego pióra i papieru, więc stały się jego symbolem.

Co więc zaprzątało teraz jego umysł?

Dyskusja wróciła do sprawy kierownictwa. Obywatele uznali, że nie ma jeszcze odpowiednich warunków do przeprowadzenia wyborów, nie powinno się więc zmieniać dotychczasowej hierarchii służbowej. Kapitanowie będą nadal dowodzić swoimi statkami, a złożony z całej piątki Komitet Zwierzchni będzie omawiać ważne sprawy i podejmować decyzje. Zhang Beihaia wybrano jednogłośnie na przewodniczącego komitetu

i najwyższego przywódcę Statku Ziemia. Opowiedziało się za nim sto procent zebranych.

Zhang jednak odmówił przyjęcia tej funkcji.

– To pana obowiązek – rzekł kapitan *Głębi Kosmosu*.

– Jest pan jedyną osobą na Statku Ziemia, która cieszy się prestiżem i może dowodzić wszystkimi jednostkami – powiedziała Dongfang Yanxu.

– Uważam, że swój obowiązek już spełniłem. Jestem zmęczony i osiągnąłem wiek emerytalny – odparł spokojnie Zhang Beihai.

Gdy zebranie się zakończyło, poprosił Dongfang Yanxu, by została.

– Dongfang – powiedział – chcę zachować stanowisko pełniącego obowiązki kapitana *Doboru Naturalnego*.

– Pełniącego obowiązki kapitana? – Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Tak. Niech mi pani da jeszcze raz pozwolenie na kierowanie statkiem.

– Mogę przekazać panu dowództwo nad *Doborem Naturalnym*. Naprawdę. I na pewno nie sprzeciwią się temu Komitet Zwierzchni ani obywatele.

Potrząsnął z uśmiechem głową.

– Nie, kapitanem będzie nadal pani, z pełnią władzy dowódcy. Proszę mi zaufać. W ogóle nie będę się wtrącał do pani pracy.

– Wobec tego dlaczego chce pan uprawnień pełniącego obowiązki kapitana? Po co to panu w pańskiej obecnej sytuacji?

– Po prostu lubię ten statek. Przez dwa stulecia śniliśmy o takim. Wie pani, do czego się posunąłem, żebyśmy go dzisiaj mieli?

Spojrzał na nią nie kamiennym jak wcześniej, lecz pustym wzrokiem, ukazującym zmęczenie i głęboki smutek. Wydawał się zupełnie inną osobą. Nie był już spokojnym, ponurym niedobitkiem, który głęboko się zastanawiał i zdecydowanie działał, lecz człowiekiem zgiętym pod brzemieniem czasu.

Gdy Dongfang Yanxu patrzyła na niego, ogarnęło ją współczucie, jakiego nie czuła nigdy wcześniej.

– Niech pan nie myśli o tych sprawach. Historycy sprawiedliwie ocenili pana działania w dwudziestym pierwszym wieku. Wybór badań nad napędem radiacyjnym był dla technologii kosmicznej krokiem we właściwym kierunku, i to krokiem milowym. Być może wtedy był to… był to jedyny wybór, tak jak jedynym wyborem dla *Doboru Naturalnego* była ucieczka. Poza tym zgodnie z prawem współczesnym to wszystko już wiele lat temu uległo przedawnieniu.

– Ale nie mogę się od tego uwolnić. Muszę dalej nieść ten krzyż. Nie rozumie pani… Darzę ten statek uczuciem, silniejszym uczuciem niż pani. Odnoszę wrażenie, jakby był częścią mnie. Nie mogę go opuścić. Poza tym muszę coś zrobić w przyszłości i to mnie uspokaja.

Potem odwrócił się i odpłynął. Jego znużona postać stała się małym czarnym punktem w ogromnej, białej, kulistej sali. Dongfang Yanxu odprowadzała go wzrokiem, aż zniknął w tej bieli, a wtedy dopadło ją dojmujące uczucie osamotnienia.

Podczas następnych spotkań Zgromadzenia Obywateli ludzie na Statku Ziemia oddali się pasji tworzenia nowego świata. Toczyli ożywione dyskusje o konstytucji i strukturze społecznej swego świata, sporządzali projekty różnych praw i planowali pierwsze wybory… Między oficerami i żołnierzami w różnych stopniach oraz między statkami trwała dokładna wymiana poglądów. Ludzie przyjmowali swoje wizje i oczekiwali, że Statek Ziemia stanie się zalążkiem przyszłej cywilizacji, która będzie się stale rozszerzała w miarę docierania floty do kolejnych układów

gwiezdnych. Coraz więcej osób zaczęło nazywać Statek Ziemia „drugim rajem”, drugim miejscem pochodzenia ludzkiej cywilizacji.

Ale ten stan podziwu nie trwał zbyt długo, bo Statek Ziemia był naprawdę rajem.

Główny psycholog *Doboru Naturalnego*, podpułkownik Lan Xi, kierował 2. Departamentem Służby Cywilnej, zespołem oficerów z wykształceniem psychologicznym, który był odpowiedzialny za zdrowie psychiczne załogi podczas długich rejsów kosmicznych i bitw. Gdy Statek Ziemia wyruszył w podróż, z której nie było powrotu, Lan Xi postawił podwładnych w stan pogotowia jak wojowników spodziewających się ataku potężnego wroga. Plany, które wielokrotnie ćwiczyli, przygotowały ich na stawienie czoła różnym możliwym kryzysom psychicznym.

Zgadzali się, że największym zagrożeniem jest „problem N” – nostalgia, tęsknota za domem. Przecież ludzkość po raz pierwszy udała się w niekończącą się podróż, więc problem N mógł spowodować ogromną katastrofę psychiczną. Lan Xi rozkazał 2DSC podjąć wszelkie niezbędne środki ostrożności, włącznie ze stworzeniem kanałów komunikacji z Ziemią i trzema flotami. Pozwalało to wszystkim członkom załóg utrzymywać stały kontakt z rodzinami i przyjaciółmi na Ziemi i we flocie oraz oglądać większość wiadomości i innych programów nadawanych przez dwie organizacje międzynarodowe. Chociaż Statek Ziemia znajdował się siedemdziesiąt jednostek astronomicznych od Słońca, co oznaczało, że sygnały telewizyjne docierały do niego z dziewięciogodzinnym opóźnieniem, jakość połączeń z Ziemią była znakomita.

Oprócz porad oficerowie służby psychologicznej przygotowali radykalny środek radzenia sobie z problemem N, kiedy pojawi się w masowej skali: kwarantannę tłumu, który wymknie się spod kontroli, poprzez hibernację tych osób.

Następne wydarzenia pokazały, że obawy te były niepotrzebne. Chociaż problem N stał się powszechnym zjawiskiem na Statku Ziemia, nie tylko nie wymknął się spod kontroli, ale nawet nie przybrał takich rozmiarów jak podczas poprzednich, zwykłych dalekich rejsów. Początkowo zdezorientowało to Lan Xi, ale później znalazł przyczynę tego stanu rzeczy: po zniszczeniu głównej floty ludzkości Ziemia straciła wszelką nadzieję. Chociaż sądny dzień miał nastąpić dopiero za dwieście lat (według najbardziej optymistycznych obliczeń), wiadomości z Ziemi świadczyły, że po ciężkim ciosie, jakim była klęska poniesiona w przestrzeni kosmicznej, świat pogrążył się w chaosie i unosił się nad nim odór śmierci. Ziemia i Układ Słoneczny nie zapewniały statkowi żadnego wsparcia, a więc nostalgia za takim domem nie była zbyt silna.

Mimo to wróg się pojawił, i to groźniejszy niż problem N. Zanim Lan Xi i jego zespół się zorientowali, znaleźli się na straconej pozycji.

Lan Xi wiedział z doświadczenia, że podczas długich rejsów problem N pojawia się na ogół najpierw wśród szeregowych żołnierzy i niskich rangą oficerów, bo ich stanowiska i obowiązki wymagały mniejszej uwagi niż obowiązki wyższych oficerów, a ich przygotowanie psychiczne było w porównaniu z wyższą kadrą kiepskie. Dlatego 2DSC od początku zajął się niższymi szczeblami, a tymczasem najpierw zaczęło się źle dziać z wyższymi.

Lan Xi zauważył coś dziwnego. Niedługo miały się odbyć pierwsze wybory władz Statku Ziemia, wybory, w których mogła wziąć udział cała społeczność. Oznaczało to dla większości wyższego dowództwa przejście ze stanowisk oficerskich na stanowiska urzędnicze i zastąpienie ich niższymi stopniem rywalami. Lan Xi dowiedział się ze zdziwieniem, że nikt z wyższego dowództwa *Doboru Naturalnego* nie przejmuje się zbytnio wyborami, które mogą zdecydować o reszcie ich życia. Nie widział, by

wyżsi oficerowie prowadzili choćby najskromniejszą kampanię, a gdy wspominał o wyborach, żaden z nich nie przejawiał zainteresowania. Przypominało mu to roztargnienie Zhang Beihaia podczas drugiego zebrania Zgromadzenia Obywateli.

Potem zaczął dostrzegać u oficerów w stopniu powyżej podpułkownika symptomy utraty równowagi psychicznej. Większość z nich stawała się coraz większymi introwertykami i spędzała dużo czasu w samotności, pogrążona w myślach, bardzo ograniczając kontakty towarzyskie. Coraz rzadziej zabierali głos na zebraniach, czasami w ogóle się nie odzywali. Lan Xi zauważył, że ich miny stały się ponure. Nikomu nie patrzyli w oczy, w obawie, że inni mogą zauważyć ich zamglony wzrok. Gdy czasami napotkali czyjeś spojrzenie, natychmiast odwracali głowę, jakby doznali wstrząsu… Im wyższy mieli stopień, tym poważniejsze były te objawy. Pewne oznaki świadczyły, że zaczyna to ogarniać również niższe stopnie.

Wszyscy stanowczo odmawiali wsparcia psychologicznego. W tej sytuacji 2DSC zmuszony był skorzystać ze swoich uprawnień do przeprowadzenia obowiązkowej terapii. Mimo to większość badanych zachowywała milczenie.

Lan Xi postanowił porozmawiać z naczelnym dowódcą i udał się do Dongfang Yanxu. Zhang Beihai, który cieszył się wielkim szacunkiem i wysoką pozycją na *Doborze Naturalnym* i na całym Statku Ziemia, zrzekł się wszelkich godności, odsunął na bok i stwierdził, że jest zwykłym obywatelem. Zachował tylko funkcję pełniącego obowiązki kapitana i przekazywał rozkazy Dongfang systemowi kierowania statkiem. Pozostały czas spędzał na włóczeniu się po *Doborze Naturalnym* i wypytywaniu żołnierzy i oficerów wszystkich stopni o szczegóły statku, kosmicznej arki, którą darzył niesłabnącym uczuciem. Poza tym pozostawał spokojny i obojętny, nie udzielał mu się w najmniejszym stopniu ogólny zły nastrój.

Niewątpliwie było tak dlatego, że starał się trzymać od wszystkiego z dala, ale Lan Xi znał też inny ważny powód jego odporności: starożytni nie byli tak wrażliwi jak współcześni, a w obecnych okolicznościach nieczułość świetnie pełniła funkcję obronną.

– Pani kapitan, powinna pani dać nam jakąś wskazówkę na temat tego, co się dzieje – powiedział.

– To pan powinien dać nam jakąś wskazówkę, panie podpułkowniku.

– Czy to znaczy, że nic pani nie wie o tym, w jakim stanie jest załoga?

W jej zmętniałych oczach pojawił się bezbrzeżny smutek.

– Wiem tylko tyle, że jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy polecieli w kosmos.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– To pierwsza prawdziwa wyprawa ludzi w kosmos.

– A, rozumiem. Wcześniej, bez względu na to, jak daleko ludzie polecieli w przestrzeń kosmiczną, byli czymś w rodzaju latawca puszczonego z Ziemi. Łączyła ich z nią duchowa więź. Teraz ta więź została zerwana.

– Właśnie. Ta więź została zerwana. Istotna zmiana polega nie na tym, że pękł sznurek, lecz na tym, że zniknęła ręka, która go trzymała. Ziemia zmierza ku katastrofie. Prawdę mówiąc, w naszych umysłach jest już martwa. Naszych pięć statków nie jest połączonych z żadnym światem. Wokół nas jest otchłań kosmosu.

– Faktycznie. Ludzkość nigdy wcześniej nie znalazła się w takim środowisku psychologicznym.

– Tak. W tym środowisku duch ludzkości ulegnie zasadniczej przemianie. Ludzie staną się… – Nagle urwała, a z jej oczu zniknął smutek i zostało tam tylko przygnębienie nadające im wygląd pokrytego chmurami nieba po deszczu.

– Chce pani powiedzieć, że w tym środowisku ludzie staną się nowymi ludźmi?

– Nowymi ludźmi? Nie, panie pułkowniku. Staną się… nieludźmi.

To ostatnie słowo wywołało u Lan Xi dreszcz. Spojrzał na Dongfang Yanxu. Wytrzymała jego spojrzenie. Jeśli przez oczy można było zajrzeć do duszy człowieka, to te okna były szczelnie zamknięte.

– Chodzi mi o to, panie pułkowniku, że nie będziemy już ludźmi w starym znaczeniu tego słowa. Tyle tylko mogę powiedzieć. I… – słowa, które potem wypowiedziała, brzmiały, jakby mówiła przez sen – wkrótce przyjdzie kolej na pana.

Sytuacja stale się pogarszała. Na drugi dzień po rozmowie Lan Xi z Dongfang Yanxu doszło na *Doborze Naturalnym* do poważnego incydentu. Podpułkownik z systemu nawigacji statku strzelił do innego oficera, z którym dzielił kabinę. Według relacji ofiary podpułkownik obudził się nagle w środku nocy i zauważywszy, że jego towarzysz także nie śpi, krzyknął oskarżycielsko, że podsłuchuje go, kiedy mówi przez sen. Podczas szarpaniny, która się potem wywiązała, stracił kontrolę nad emocjami i wypalił do niego z pistoletu.

Lan Xi od razu poszedł porozmawiać z zatrzymanym.

– Bał się pan, że pana kolega mógł usłyszeć coś, co pan powiedział przez sen. Co to było?

– To znaczy, że on naprawdę to słyszał? – zapytał z przerażeniem napastnik.

Lan Xi potrząsnął głową.

– Powiedział, że nic pan nie mówił.

– A gdybym coś powiedział, to co z tego? Nie można brać poważnie tego, co się plecie przez sen. Na pewno nie pójdę do piekła za coś, co powiedziałem przez sen!

Lan Xi nie mógł wyciągnąć z napastnika, co ten sobie wyobrażał, że powiedział przez sen, więc zapytał go w końcu, czy zgodziłby się poddać hipnoterapii. Na tę propozycję napastnik ponownie wpadł w szał, skoczył na Lan Xi i zaczął go dusić. Odciągnęli go dopiero żandarmi, którzy wkroczyli do aresztu. Kiedy stamtąd wychodzili, jeden z nich, który słyszał jego rozmowę z zatrzymanym, powiedział Lan Xi:

– Panie pułkowniku, jeśli nie chce pan, by 2DSC stał się najbardziej znienawidzonym miejscem na statku, niech pan więcej nie wspomina o hipnoterapii. Długo byście nie przetrwali.

Tak więc Lan Xi musiał się skontaktować z pułkownikiem Scottem, psychologiem na *Enterprisie*. Scott pełnił tam również funkcję kapelana, jakiej nie było na większości jednostek Floty Azjatyckiej. Zakrzywione ściany kabiny, w której był Scott, zostały ustawione tak, że jarzyły się słabym żółtym światłem i ukazywały obraz gwiazd na zewnątrz, co sprawiało wrażenie, że znajdował się w zasnutej mgłą przestrzeni kosmicznej. Jego twarz była pogrążona w mroku, ale mimo to Lan Xi wyczuł, że Scott unika spojrzenia mu prosto w oczy.

– W rajskim ogrodzie robi się coraz ciemniej. Wszystko pochłonie czerń – powiedział Scott znużonym głosem.

Lan Xi postanowił się z nim skonsultować, licząc na to, że skoro podczas spowiedzi ludzie mówią mu prawdę, będzie mógł coś doradzić, ale po tych słowach, widząc przy tym majaczące w mroku oczy pułkownika, wiedział, że nic od niego nie uzyska. Powstrzymał się więc od pytania, z którym miał zamiar się do niego zwrócić, i zamiast niego zadał inne, które zdumiało jego samego:

– Czy w drugim raju powtórzy się to, co zdarzyło się w pierwszym?

– Nie wiem. W każdym razie węże już wypełzły. Węże drugiego raju wspinają się teraz po ludzkich duszach.

– Chce pan przez to powiedzieć, że zjadły owoc z drzewa poznania dobra i zła?

Scott powoli skinął głową. Potem pochylił ją, ale już nie podniósł, jakby starał się ukryć oczy, by go nie zdradziły.

– Można tak powiedzieć.

– A kto zostanie wygnany z raju?

– Wielu ludzi. Ale, inaczej niż poprzednio, teraz niektórzy być może będą mogli zostać.

– Kto? Kto zostanie?

Scott powoli westchnął.

– Powiedziałem już dość, pułkowniku Lan. Dlaczego sam pan nie poszuka owocu z drzewa poznania dobra i zła? W końcu każdy powinien zrobić ten krok. Nie mam racji?

– Gdzie powinienem go szukać?

– Niech pan odłoży pracę i pomyśli o tym. Niech pan się w to wczuje, a znajdzie go pan.

Po rozmowie ze Scottem Lan Xi zgodnie z jego radą przerwał pracę, choć była pilna, i w chaosie uczuć pogrążył się w rozmyślaniach. Wcześniej, niż się spodziewał, do jego świadomości wpełzły zimne, śliskie węże raju. Znalazł owoc z drzewa wiedzy i zjadł go, a wtedy w jego duszy zgasły ostatnie promienie słońca i wszystko pogrążyło się w ciemności.

Na Statku Ziemia napięła się tak mocno, że w każdej chwili mogła pęknąć, niewidzialna lina.

Dwa dni później kapitan *Podstawowego Prawa* popełnił samobójstwo. Stał na rufie, na otoczonej przezroczystą kopułą platformie, która wydawała się otwarta na przestrzeń kosmiczną. Ster statku skierowany był w stronę Układu Słonecznego. Słońce było teraz żółtą gwiazdą, tylko trochę jaśniejszą od reszty. Rozciągało się tam skrajne ramię Drogi Mlecznej,

gwiazdy były rzadkie. Głębia i ogrom przestrzeni kosmicznej przejawiały arogancję, w której nie mogły znaleźć wsparcia ani umysł, ani oczy.

– Ciemno. Jest tak cholernie ciemno – mruknął kapitan i zastrzelił się.

Gdy Dongfang Yanxu dowiedziała się, że kapitan *Podstawowego Prawa* położył kres swemu życiu, tknięta przeczuciem, iż zbliża się koniec, zwołała w ogromnym sferycznym hangarze myśliwców naradę z dwoma zastępcami.

W drodze do hangaru usłyszała, że ktoś ją woła. Był to Zhang Beihai. W ponurym nastroju, w którym znajdowała się od kilku dni, zapomniała o jego istnieniu. Przyjrzał się jej od góry do dołu zatroskanym ojcowskim wzrokiem, który napełnił ją niewyobrażalną otuchą, bo w tych dniach trudno było znaleźć na Statku Ziemia oczy niezamglone przygnębieniem.

– Wydaje mi się, że ostatnio nie czuje się pani dobrze, Dongfang. Nie znam powodu, ale chyba coś pani ukrywa. Co się dzieje?

Zamiast odpowiedzieć, sama zapytała:

– A jak pan się miewa?

– Dobrze. Bardzo dobrze. Zaznajamiam się z systemami uzbrojenia *Doboru Naturalnego*. Oczywiście tylko powierzchownie, ale to fascynujące. Niech pani sobie wyobrazi, jak czułby się Kolumb, gdyby zwiedzał lotniskowiec. Ja czuję się tak samo.

Widząc, jaki jest spokojny i odprężony, Dongfang Yanxu poczuła lekką zazdrość. Tak, dokonał wielkiego czynu i miał prawo zaznać trochę spokoju. Z człowieka, który tworzył historię, zmienił się w niedouczonego hibernata. Teraz potrzebował tylko ochrony. Z myślą o tym powiedziała:

– Niech pan nie pyta nikogo o to, o co przed chwilą zapytał pan mnie. Niech pan nie zadaje takich pytań.

– Dlaczego? Dlaczego nie powinienem o to pytać?

– Bo to niebezpieczne. Poza tym naprawdę nie musi pan tego wiedzieć. Proszę mi wierzyć.

Kiwnął głową.

– Dobrze. Nie będę pytał. Dziękuję za to, że traktuje mnie pani jak zwykłą osobę. Tylko tego chciałem.

Pożegnała się z nim pospiesznie, ale podążając do hangaru, usłyszała jeszcze za sobą głos założyciela Statku Ziemia:

– Dongfang, bez względu na to, co się stanie, proszę pozwolić, by sprawy biegły swoim torem. Wszystko będzie dobrze.

Pośrodku kulistej hali zobaczyła swoich dwóch zastępców. Wybrała na spotkanie właśnie to miejsce, bo w tak ogromnym hangarze czuli się jak na pustyni. Unosili się całą trójką w środku czystej bieli, jakby w całym Wszechświecie nie istniał nikt prócz nich. Napełniało ich to poczuciem bezpieczeństwa.

Każde z nich patrzyło w inną stronę.

– Musimy postawić sprawy jasno – powiedziała.

– Tak. Każda sekunda zwłoki jest niebezpieczna – rzekł jej zastępca Levine.

Potem razem z Akirą Inouem odwrócił się do niej twarzą. Sens jego słów był oczywisty: „Pani jest kapitanem, więc pani mówi pierwsza”.

Ale nie miała odwagi.

Cokolwiek miało się teraz, u drugiego zarania ludzkiej cywilizacji, wydarzyć, mogło się stać podstawą nowego homeryckiego eposu albo nowej Biblii. Judasz był tym, kim był, ponieważ pierwszy pocałował Jezusa i to zasadniczo różniło go od drugiego, który to zrobił. Teraz było tak samo. Pierwsza osoba, która przemówi, postawi kamień milowy w historii drugiej cywilizacji. Może stanie się Judaszem, a może Jezusem, ale bez względu na

to, która z tych ról mogłaby jej przypaść, Dongfang Yanxu nie miała potrzebnej do tego odwagi.

Musiała jednak podjąć się tego zadania, więc dokonała mądrego wyboru. Nie unikała wzroku swoich zastępców. Nie potrzebowali teraz słów. Mogli się porozumiewać spojrzeniami. Gdy na siebie patrzyli, ich oczy były jak kanały informacyjne łączące trzy dusze i przekazujące wszystko z prędkością światła.

„Paliwo”.

„Paliwo”.

„Paliwo”.

„Droga jest wciąż niepewna, ale przynajmniej znaleźliśmy dwa obłoki pyłu międzygwiezdnego”.

„Będziemy się wlec”.

„Oczywiście. Po przejściu przez nie prędkość statków spadnie wskutek oporu pyłu do 0,03 prędkości światła”.

„Znajdujemy się ponad dziesięć lat świetlnych od NH558J2. Będziemy potrzebowali sześćdziesięciu tysięcy lat, by się tam dostać”.

„Wobec tego nigdy tam nie dotrzemy”.

„Statki może dotrą, ale nie będzie na nich życia. Przez tak długi czas nie podtrzyma go nawet hibernacja”.

„Chyba że…”

„Chyba że utrzymamy prędkość, przechodząc przez te obłoki pyłu, a potem przyspieszymy”.

„Nie wystarczy nam paliwa”.

„Paliwo termojądrowe jest jedynym źródłem energii na statkach i trzeba jej używać do innych celów: systemów ekologicznych, możliwych korekt kursu…”

„I dla przyspieszenia, gdy dotrzemy do celu. NH558J2 jest dużo mniejsza od Słońca. Nie możemy liczyć na to, że jej siła przyciągania wystarczy do wyhamowania. Będziemy musieli zużyć dużo paliwa, bo inaczej przelecimy obok tego układu”.

„Całe paliwo na Statku Ziemia wystarczy tylko dla dwóch jednostek”.

„Ale jeśli nie będziemy uważali, zaledwie dla jednej”.

„Paliwo”.

„Paliwo”.

„Paliwo”.

– No i jest jeszcze sprawa części zamiennych – powiedziała Dongfang Yanxu.

„Części”.

„Części”.

„Części”.

„Szczególnie części do najważniejszych układów: silników systemów informatycznego i kontrolnego, systemów środowiskowych”.

„Może nie są one tak pilnie potrzebne jak paliwo, ale są podstawą przetrwania przez dłuższy czas. W układzie NH558J2 nie ma planety dogodnej do osiedlenia się ani do stworzenia przemysłu, nie ma nawet odpowiednich do tego surowców. To tylko stacja paliwowa przed lotem do następnego układu gwiezdnego, gdzie można stworzyć przemysł w celu wyprodukowania części”.

„Najważniejszych części zapasowych na *Doborze Naturalnym* wystarczy tylko na dwie wymiany”.

„Za mało”.

„Za mało”.

„Poza silnikami większość najważniejszych systemów na Statku Ziemia można wymienić”.

„Po modyfikacji można też wykorzystać części silników”.

– Czy na jednym albo na dwóch statkach można zebrać wszystkie załogi? – zapytała głośno Dongfang Yanxu, ale tylko po to, by skierować komunikację wzrokową we właściwą stronę.

„To niemożliwe”.

„To niemożliwe”.

„To niemożliwe. Za dużo osób. Systemy środowiskowy i hibernacyjny nie mają dość mocy, by zaspokoić potrzeby wszystkich. Jeśli chociaż odrobinę zwiększy się ich obecną wydolność, będzie to miało katastrofalne skutki”.

– No więc teraz chyba wszystko jasne? – Głos Dongfang Yanxu zabrzmiał w białej pustce jak mruczenie osoby pogrążonej w głębokim śnie.

„Jasne”.

„Jasne”.

„Niektórzy muszą zginąć, bo inaczej zginą wszyscy”.

Potem cała trójka uciekła wzrokiem w bok. Każde z nich pragnęło się odwrócić, jakby wstrząsnął nimi grzmot z głębi Wszechświata, który sprawił, że ich dusze zadrżały ze strachu. Dongfang Yanxu pierwsza przestała błądzić spojrzeniem.

– Dość tego! – powiedziała.

„Dość tego”.

„Nie poddawajcie się”.

„Nie poddawajcie się?”

„Nie poddawajcie się, bo nikt inny się nie poddał. Jeśli się poddamy, zostaniemy wygnani z raju”.

„Dlaczego my?”

„Oczywiście oni też nie powinni zostać wygnani”.

„Ale ktoś musi zostać wygnany. W raju nie ma miejsca dla wszystkich”.

„Nie chcemy się wynieść z raju”.

„A więc nie możemy się poddać!”

Spojrzenia całej trójki znowu się spotkały.

„Infradźwiękowa bomba wodorowa”.

„Infradźwiękowa bomba wodorowa”.

„Infradźwiękowa bomba wodorowa”.

„Jest w nie wyposażony każdy statek”.

„Trudno się obronić przed pociskiem wystrzelonym ukradkiem”.

Znowu uciekli wzrokiem w bok. Byli psychicznie wyczerpani. Potrzebowali odpoczynku. Kiedy ich spojrzenia ponownie się spotkały, były niepewne i drżące niczym płomienie świec na wietrze.

„To złe!”

„Złe!”

„Złe!”

„Staniemy się potworami!”

„Staniemy się potworami!”

„Staniemy się potworami!”

– Ale… co myślą oni? – zapytała cicho Dongfang Yanxu.

Dwóm zastępcom wydawało się, że jej głos zawisł w białej przestrzeni jak brzęczący komar.

„No tak. Nie chcemy się stać potworami, ale kto wie, o czym myślą teraz oni”.

„Wobec tego już jesteśmy potworami, bo czy inaczej moglibyśmy uważać ich za niczym niesprowokowane potwory?”

– To nie rozwiązuje problemu – powiedziała Dongfang Yanxu, lekko kręcąc głową.

„Tak. Nawet jeśli oni nie są potworami, problem pozostaje”.

„Bo oni nie wiedzą, o czym myślimy”.

„Przypuśćmy, że wiedzą, iż nie jesteśmy potworami”.

„Problem nadal istnieje”.

„Nie wiedzą, co o nich myślimy”.

„Nie wiedzą, co myślimy, że oni myślą”.

„Takie podejrzenia układają się w nieskończony ciąg. Nie wiedzą, co myślimy, że oni myślą, że my myślimy, że myślą, że myślimy…”

„Jak można przerwać ten ciąg podejrzeń?”

„Komunikując się z nimi?”

„Może na Ziemi, ale nie w kosmosie. Część ludzi musi zginąć, żeby nie zginęli wszyscy. Dostaliśmy od przestrzeni kosmicznej coś w rodzaju martwej ręki w madżongu i nie możemy wygrać, choć stawką jest przetrwanie Statku Ziemia. To mur nie do pokonania. Kiedy przed nim stanęliśmy, komunikacja nie ma sensu”.

„Nie mamy wyboru. Zostało tylko jedno wyjście. Tylko kto się na nie zdecyduje?”

„Ciemno. Jest tak cholernie ciemno”.

– Nie możemy dłużej zwlekać – powiedziała zdecydowanym tonem Dongfang Yanxu.

„Nie możemy zwlekać. Pojedynkujący się w tym ciemnym rejonie przestrzeni kosmicznej wstrzymali oddechy. Lina zaraz pęknie”.

„Zagrożenie rośnie z każdą sekundą”.

„Skoro wszystko jedno, kto pociągnie za spust, to może my to zrobimy?”

Akira Inoue nagle przerwał milczenie:

– Zaczekajcie! Jest inne wyjście.

„Złożymy siebie w ofierze”.

„Dlaczego?”

„Dlaczego my?”

„Mogłaby to zrobić nasza trójka, ale czy mamy prawo decydować o tym w imieniu dwóch tysięcy ludzi na *Doborze Naturalnym*?”

Stali na ostrzu noża. Chociaż wrzynało się boleśnie w ich stopy, skok w którąkolwiek stronę byłby skokiem w bezdenną otchłań. Były to bóle porodowe przed narodzeniem się nowych, kosmicznych ludzi.

– A co powiecie na to, żeby najpierw wymierzyć w cele, a potem jeszcze raz to przemyśleć? – zapytał Levine.

Dongfang Yanxu skinęła głową. Levine przywołał interfejs systemu uzbrojenia i otworzył okno infradźwiękowych bomb wodorowych i rakiet nośnych. W kulistym układzie współrzędnych, w którego środku znajdował się *Dobór Naturalny*, ukazały się jako cztery oddalone o dwieście tysięcy kilometrów świetlne punkty *Błękitna Przestrzeń*, *Enterprise*, *Głębia Kosmosu* i *Podstawowe Prawo*. Odległość maskowała strukturę celów, bo w skali przestrzeni kosmicznej każdy obiekt był tylko punktem.

Ale te cztery świetlne punkty otoczone były czerwonymi aureolami, czterema pętlami wskazującymi, że rakiety zostały już w nie wycelowane.

Cała trójka popatrzyła po sobie z osłupieniem. Każdy potrząsnął głową na znak, że nie on to zrobił.

Oprócz nich prawo do skierowania systemów broni na cel mieli także oficerowie sekcji kontroli i namierzania, ale ich decyzje musiały zostać zatwierdzone przez kapitana lub jego zastępcę. Pozostawała więc tylko jedna osoba, która mogła to zrobić.

„Jesteśmy idiotami! On już dwa razy zmienił bieg historii”.

„On pierwszy to sobie uświadomił!”

„Kto wie kiedy? Może już w chwili zakładania Statku Ziemia, a nawet wcześniej, gdy dowiedział się, że połączona flota została zniszczona. Jest ostatnią osobą, która pokazałaby, że się martwi. Jak większość rodziców z jego epoki, zawsze myśli o swoich dzieciach”.

Dongfang Yanxu poleciała najszybciej jak mogła w stronę wyjścia, a za nią obaj zastępcy. Wypadli z drzwi i puścili się długim korytarzem. Zatrzymali się przed drzwiami kabiny Zhang Beihaia. W powietrzu przed nimi unosiło się takie samo łącze jak to, które przed chwilą widzieli. Rzucili się do środka, ale powtórzyła się scena sprzed ucieczki *Doboru Naturalnego* – wpadli na ścianę. W miejscu drzwi w grodzi znajdował się przezroczysty krąg.

– Co pan robi? – krzyknął Levine.

– Dzieci. – Zhang po raz pierwszy zwrócił się do nich w ten sposób. Mimo że był odwrócony plecami, wyobrażali sobie, że spojrzenie ma spokojne jak powierzchnia wody przy bezwietrznej pogodzie. – Pozwólcie mi to zrobić.

– Chce pan przez to powiedzieć: „Jeśli ja nie zejdę do piekieł, któż inny tam pójdzie?”[5] – zapytała głośno Dongfang Yanxu.

– Jestem przygotowany na to, by tam zejść, od chwili, gdy zostałem żołnierzem – odparł, kontynuując operacje niezbędne do wystrzelenia pocisków.

Widzieli, że chociaż nie ma w tym wprawy, każdy jego krok jest prawidłowy.

W oczach Dongfang Yanxu pojawiły się łzy.

– Zejdźmy tam razem! – krzyknęła. – Niech mnie pan wpuści. Pojdę do piekła razem z panem!

Nie odpowiedział, tylko dalej manipulował przy interfejsie. Ustawił pociski kierowane na samozniszczenie na komendę wydaną ze statku, żeby można je było zdetonować jeszcze w locie. Odezwał się dopiero po wykonaniu ostatniego kroku:

– Pomyśl, Dongfang. Czy mogliśmy się zdecydować na to wcześniej? Absolutnie nie. Ale teraz możemy to zrobić, bo przestrzeń kosmiczna

zrobiła z nas nowych ludzi. – Ustawił głowice na wybuch w odległości pięćdziesięciu kilometrów od każdego celu. Dzięki temu zaatakowane jednostki nie doznałyby żadnych uszkodzeń wewnętrznych, ale zginęłyby wszystkie znajdujące się na nich żywe istoty. – Narodziny nowej cywilizacji to tworzenie się nowej moralności. – Wyłączył pierwszy bezpiecznik głowic. – Gdy ludzie przyszłości będą oceniać nasze czyny, mogą się one wydać zupełnie normalne. A więc nie pójdziemy do piekła, moje dzieci. – Wyłączył drugi bezpiecznik.

Nagle na statku rozległy się, niczym krzyki dziesięciu tysięcy duchów w ciemnościach kosmosu, dźwięki syren. W powietrzu pojawiły się jak płatki śniegu ekrany, a na nich morze informacji, które otrzymał system obrony *Doboru Naturalnego*, ale nikt nie miał czasu ich czytać.

Od uruchomienia się alarmu do wybuchu infradźwiękowych bomb wodorowych minęło zaledwie dziesięć sekund.

Obrazy przekazane na Ziemię z pokładu *Doboru Naturalnego* świadczyły o tym, że Zhang Beihai mógł w sekundę pojąć, co się dzieje. Myślał, że podczas dwóch ciężkich stuleci jego serce stało się twarde jak stal, ale przeoczył coś, co kryło się w najgłębszym zakamarku jego duszy i co sprawiło, że przed podjęciem ostatecznej decyzji na moment się zawahał. Starał się zapanować nad drżeniem serca i ta chwila słabości kosztowała go i wszystkich innych na pokładzie *Doboru Naturalnego* życie. Po miesięcznej przerwie był o kilka sekund wolniejszy od dowódcy drugiego statku.

W ciemności przestrzeni kosmicznej, w odległości pięćdziesięciu kilometrów od *Doboru Naturalnego*, rozbłysły trzy małe słońca, tworząc wokół niego trójkąt równoboczny. Ogniste kule wybuchów jądrowych świeciły przez dwadzieścia sekund, wysyłając niewidoczne dla gołego oka fale na częstotliwościach infradźwięków.

Na obrazach przesłanych na Ziemię widać było, że w ostatnich trzech sekundach Zhang Beihai odwrócił się do Dongfang Yanxu, uśmiechnął i powiedział:

– To nie ma znaczenia. Wszystko jedno.

Tych słów tylko się domyślano, bo Zhang nie zdążył ich dokończyć. Z trzech stron uderzyła w nich potężna fala elektromagnetyczna i ogromny kadłub *Doboru Naturalnego* zadrżał jak skrzydła cykady. Energia tych wibracji zamieniła się w fale infradźwiękowe, które na obrazach wyglądały jak spowijająca wszystko krwawa mgła.

Atak przypuściło *Podstawowe Prawo*. Wystrzelono z niego w cztery pozostałe statki dwanaście niewidzialnych pocisków uzbrojonych w głowice termojądrowe. Trzy skierowane na odległy o dwieście tysięcy kilometrów *Dobór Naturalny* odpalono wcześniej niż na jednostki sąsiednie, by trafiły w cel w tym samym czasie. Po samobójstwie kapitana *Podstawowego Prawa* dowództwo przejął jego zastępca, ale nie wiadomo było, kto podjął decyzję o ataku. I nigdy nie będzie wiadomo.

Podstawowe Prawo nie było jedynym statkiem, który pozostał w raju.

Z trzech jednostek pościgowych najlepiej przygotowana na niespodziewane wydarzenia była *Błękitna Przestrzeń*. Zanim została zaatakowana, zamieniła swoje wnętrze w próżnię, a cała załoga włożyła skafandry kosmiczne. Fale infradźwiękowe nie mogły się rozchodzić w próżni, więc nikt nie został ranny, a kadłub doznał tylko nieznacznych uszkodzeń spowodowanych uderzeniem elektromagnetycznym.

Zaraz po wybuchach pocisków termojądrowych *Błękitna Przestrzeń* przystąpiła do kontrataku. Zalała *Podstawowe Prawo* promieniami pięciu laserów gamma i wypaliła w jego kadłubie pięć ogromnych dziur. Wnętrze statku zajęło się ogniem, doszło też do mniejszych wybuchów, wskutek czego stracił on zdolność bojową. *Błękitna Przestrzeń* nie poprzestała na

tym i kontynuowała ostrzał. Pod gradem pocisków jądrowych i kul z dział elektromagnetycznych *Podstawowe Prawo* eksplodowało. Nie ocalał nikt z jego załogi.

Niemal w tym samym czasie, kiedy trwała bitwa ciemności między jednostkami składowymi Statku Ziemia, podobna tragedia rozgrywała się na drugim końcu Układu Słonecznego. *Epoka Brązu* przypuściła nagle atak na *Kwant* z użyciem takich samych infradźwiękowych pocisków termojądrowych, by zabić jego załogę, ale zachować statek w całości. Obie jednostki przesłały na Ziemię tak skąpe informacje, że nikt nie wiedział dokładnie, do czego między nimi doszło. Oba statki bardzo przyspieszyły, by uciec przed atakiem sondy, ale nie wyhamowały potem jak te, które ścigały *Dobór Naturalny*, więc powinny mieć dość paliwa, by powrócić na Ziemię.

Bezmiar przestrzeni kosmicznej trzymał w mrocznych objęciach ponurą nową ludzkość.

W rozszerzającej się metalowej chmurze, która powstała po rozerwaniu się *Podstawowego Prawa*, *Błękitna Przestrzeń* napotkała *Enterprise'a* i *Głębię Kosmosu*, na których nie było żadnych oznak życia, i zabrała całe ich paliwo. Po odarciu ich z wyposażenia przeleciała dzielące ją od *Doboru Naturalnego* dwieście tysięcy kilometrów i tam zrobiła to samo. Statek Ziemia wyglądał teraz jak plac budowy w kosmosie, masywne kadłuby trzech martwych jednostek były usiane iskrami laserowych spawarek. Gdyby Zhang Beihai jeszcze żył, widok ten z pewnością przypomniałby mu lotniskowiec *Tang* sprzed dwóch wieków.

Błękitna Przestrzeń ustawiła szczątki wraków trzech statków w kształcie podobnym do Stonehenge, robiąc grób w przestrzeni kosmicznej. Wyprawiono tam pogrzeb wszystkim ofiarom bitwy ciemności.

W środku zebrało się 1273 członków załogi. Byli to wszyscy obywatele Statku Ziemia, którzy pozostali przy życiu. Wokół nich wznosiły się jak łańcuch górski ogromne resztki statków, a luki między nimi wyglądały jak jaskinie. W tym rumowisku, rzucającym na żywych cień niczym góry w południe na dolinę, spoczęły ciała 4247 ofiar. Jedynym światłem było lodowate lśnienie Drogi Mlecznej, docierające przez wyrwy w murze zbudowanym ze szczątków.

Podczas pogrzebu panował spokój. Skończyło się niemowlęctwo nowych, kosmicznych ludzi.

Zapalono małą lampkę wotywną. Składała się z pięćdziesięciowatowej żarówki i stu zamiennych, które miały po kolei zastępować znajdującą się w lampce. Jej słaby blask był jak świeczka w górskiej kotlinie, rzucająca mały krąg światła na wysokie urwisko złomowiska i odbijająca się w kawałku tytanowej grodzi, na której wyryto nazwiska ofiar. Nie było żadnego epitafium.

Godzinę później kosmiczny grób oświetlił po raz ostatni ogień buchający z silników ruszającej w dalszą drogę *Błękitnej Przestrzeni*. Grób leciał z prędkością jednego procenta prędkości światła. Za kilkaset lat, wskutek hamującego oddziaływania obłoku pyłu międzygwiezdnego, zmniejszy się ona do 0,03 prędkości światła, a za sześćdziesiąt tysięcy lat rumowisko dotrze do NH558J2, ale ponad pięćdziesiąt tysięcy lat wcześniej *Błękitna Przestrzeń* skieruje się już w stronę następnego układu gwiezdnego.

Błękitna Przestrzeń leciała w głąb kosmosu, wyposażona w mnóstwo paliwa i części zapasowe wystarczające do ośmiu napraw. Materiału było tak dużo, że nie sposób było go zmieścić na statku, więc do kadłuba przytroczono kilka zewnętrznych magazynów, co zupełnie zmieniło wygląd jednostki. Jej ogromne, brzydkie, nieregularne cielsko rzeczywiście wyglądało jak objuczony wędrowiec wyruszający w długą podróż.

W poprzednim roku, po drugiej stronie Układu Słonecznego, *Epoka Brązu* odleciała od szczątków *Kwantu* i nabierając coraz większej prędkości, zmierzała w kierunku gwiazdozbioru Byka.

Obie jednostki przybyły ze świata światła, ale teraz stały się statkami ciemności.

Wszechświat też był kiedyś jasny. Przez krótki okres po Wielkim Wybuchu cała materia istniała w formie światła i dopiero kiedy Wszechświat zmienił się w popiół, cięższe pierwiastki wychynęły z ciemności i utworzyły planety i życie. Matką życia i cywilizacji była ciemność.

W kierunku *Błękitnej Przestrzeni* i *Epoki Brązu* popłynął z Ziemi potok wyzwisk i przekleństw, ale żaden z tych statków nie odpowiedział na nie. Zerwały wszelkie kontakty z Układem Słonecznym, bo dla tych dwóch światów Ziemia była już martwa.

Dwa ciemne statki, oddzielone Układem Słonecznym i coraz bardziej się od siebie oddalające, stopiły się w jedno z ciemnością. Unosząc ze sobą całość ludzkich myśli i wspomnień, całą chwałę i wszystkie marzenia Ziemi, cicho zniknęły w czerni wiecznej nocy.

– Wiedziałem!

Było to pierwsze słowo, które wypowiedział Luo Ji, gdy się dowiedział o bitwie ciemności, która rozegrała się na krańcach Układu Słonecznego. Zostawiwszy zaskoczonego Shi Qianga, wybiegł z pokoju, popędził przez osiedle i stanął na skraju pustyni.

– Miałem rację! Miałem rację! – krzyknął do nieba.

Była późna noc i być może dlatego, że wcześniej spadł deszcz, powietrze było przejrzyste. Widać było gwiazdy, chociaż nie były tak wyraźne jak

w dwudziestym pierwszym wieku i znacznie rzadsze niż wtedy, bo można było dostrzec tylko najjaśniejsze. Mimo to nadal przepełniało go to samo uczucie, co w ową mroźną noc na zamarzniętym jeziorze przed dwoma wiekami. Zwykły obywatel Luo Ji znowu stał się Wpatrującym się w Ścianę.

– Da Shi, w moich rękach jest klucz do zwycięstwa ludzi! – rzekł do Shi Qianga, który za nim przyszedł.

– Ach, tak? – rzekł tamten i się roześmiał.

Lekko drwiący śmiech Shi Qianga ostudził emocje Luo Ji.

– Wiedziałem, że mi nie uwierzysz.

– No i co teraz zrobisz? – zapytał Shi Qiang.

Luo Ji usiadł na piasku i jego nastrój gwałtownie się popsuł.

– A co powinienem? Wygląda na to, że nic nie mogę zrobić.

– Mógłbyś przynajmniej jakoś powiadomić o tym górę.

– Nie wiem, czy by to coś dało, ale spróbuję. Nawet jeśli robię to tylko po to, by spełnić swój obowiązek.

– Do jakiego szczebla chcesz dotrzeć?

– Do najwyższego. Do sekretarza generalnego ONZ. Albo do przewodniczącego PKFS.

– Obawiam się, że nie będzie to łatwe. Teraz jesteśmy zwykłymi obywatelami… Mimo to musisz spróbować. Zacznij od władz miejskich. Znajdź burmistrza.

– Dobrze. A więc pojadę do miasta.

– Pojadę z tobą.

– Nie, pojadę sam.

– Nawet na tym stanowisku wciąż jestem urzędnikiem. Mnie będzie łatwiej dostać się do burmistrza.

Luo Ji spojrzał na niebo i zapytał:

– Kiedy ta kropla dotrze do Ziemi?

– W wiadomościach mówią, że za dziesięć do dwunastu godzin.

– Wiesz, po co tu przyleci? Jej zadaniem nie było zniszczenie połączonej floty ani atak na Ziemię. Przybyła tu po to, żeby mnie zabić. Nie chcę, żebyś był ze mną, kiedy to zrobi.

Shi Qiang znowu roześmiał się drwiąco.

– Mamy jeszcze dziesięć godzin, prawda? Wtedy będę się trzymał z dala od ciebie.

Luo Ji potrząsnął głową z cierpkim uśmiechem.

– Nie traktujesz mnie poważnie. Dlaczego więc chcesz mi pomóc?

– Mój chłopcze, od góry zależy, czy ci uwierzą, czy nie. Zawsze działam ostrożnie. Jeśli dwieście lat temu wybrano cię spośród miliardów ludzi, to musiał być jakiś powód, prawda? Czy nie zostanę potępiony na wieki, jeśli cię tutaj zatrzymam? Nic nie stracę, jeśli góra nie potraktuje cię poważnie. To wymaga tylko jazdy do miasta. Ale w jedno absolutnie nie wierzę – że to coś, co leci ku Ziemi, przybywa cię zabić. Dobrze się znam na zabijaniu i byłaby to przesada, nawet jak na Trisolarian.

Dotarli do przejścia ze starego miasta do miasta pod ziemią we wczesnych godzinach rannych i zobaczyli, że windy nadal funkcjonują normalnie. Wychodziło z nich mnóstwo objuczonych bagażem ludzi. Na dół jednak zjeżdżało niewielu i w windzie było oprócz nich tylko dwóch mężczyzn.

– Jesteście hibernatami? Oni wszyscy wyjeżdżają na górę. Po co tam zjeżdżacie? – zapytał jeden z nich, młodzieniec. – W mieście panuje chaos.

Na jego ubraniu ciągle świeciły ogniste kule na czarnym tle. Po bliższym przyjrzeniu się widać było, że jest to obraz zniszczenia połączonej floty.

– No to po co pan tam zjeżdża? – zapytał Shi Qiang.

– Znalazłem na powierzchni mieszkanie, więc jadę zabrać parę rzeczy – odparł. Potem wskazał ich kiwnięciem głowy. – Wy, na powierzchni, będziecie bogaci. Nie mamy tam domów, a prawa własności do nieruchomości na powierzchni należą przeważnie do was. Będziemy musieli je od was odkupić.

– Jeśli podziemne miasto upadnie i wszyscy jego mieszkańcy ruszą na powierzchnię, to pewnie nikt nie będzie sprzedawał i nikt nie będzie kupował.

Przysłuchiwał się im wciśnięty w kąt mężczyzna w średnim wieku. Nagle zakrył twarz rękami i jęknął:

– Och, nie…

Przykucnął i zaczął płakać. Jego ubranie pokazywało klasyczną biblijną scenę: nagich Adama i Ewę pod drzewem w raju i pełznącego między nimi czarownego węża. Mógł to być symbol niedawnej bitwy ciemności.

– Takich jak on jest wielu – powiedział młodzieniec, wskazując z pogardą tego, który szlochał. – Chorych na umyśle. – Zaświeciły mu się oczy. – W rzeczywistości koniec świata to wspaniały czas. Nawet najwspanialszy. Jedyny okres w historii, kiedy ludzie mogą się wyzbyć wszystkich trosk i ciężarów i całkowicie zająć się sobą. To głupie zachowywać się tak jak on. Najbardziej odpowiedzialną postawą jest bawić się, dopóki możemy.

Gdy winda stanęła na dole, Luo Ji i Shi Qiang wysiedli i natychmiast poczuli silny swąd spalenizny. W podziemnym mieście było jaśniej niż przedtem, ale było to drażniące białe światło. Rozejrzawszy się wokół, Luo zobaczył przez luki między drzewami nie błękitne niebo, lecz zupełną pustkę. Wyświetlany na sklepieniu obraz nieba zniknął. Ta pustka przypominała mu kuliste kabiny statków kosmicznych, które widział w wiadomościach. Trawniki były zasłane śmieciami, które spadły

z ogromnych drzew. Niedaleko leżały wraki kilku latających samochodów. Jeden z nich stał w płomieniach, a otaczający miejsce wypadku ludzie wrzucali w nie śmieci, które podnosili z trawnika. Ktoś wrzucił nawet własne ubranie, nadal pokazujące obrazy. Z pękniętej rury wysoko tryskał strumień wody, oblewając ludzi, którzy dokazywali wokół niego jak dzieci. Od czasu do czasu krzyczeli chórem w podnieceniu i odskakiwali, by uniknąć sypiących się z drzew odpadków, po czym znowu się zbierali i kontynuowali zabawę. Luo Ji spojrzał ponownie w górę i w kilku miejscach zobaczył pożary na drzewach. Wyły syreny latających wozów strażackich przedzierających się przez opadające, płonące liście…

Zauważył, że ludzie, których spotykali na ulicach, dzielili się na dwa typy, zupełnie jak ci dwaj, którzy jechali z nimi windą. Jeden typ stanowiły osoby przygnębione, chodzące z pustym wzrokiem albo po prostu siedzące na trawnikach i przeżywające katusze rozpaczy, której przyczyną nie była już klęska ludzkiej floty, lecz obecne trudne warunki życia. Osoby drugiego typu znajdowały się w stanie szalonego podniecenia i upajały się możliwością pofolgowania sobie.

Ruch był bezładny. Przywołanie taksówki zajęło Luo Ji i Shi Qiangowi pół godziny. Gdy latający samochód bez kierowcy przelatywał między ogromnymi drzewami, Luo przypomniał sobie swój pierwszy, straszny dzień w tym mieście i poczuł napięcie, jakby jechał górską kolejką w wesołym miasteczku. Na szczęście samochód wkrótce zatrzymał się przed ratuszem.

Shi Qiang bywał tu wielokrotnie służbowo, więc dobrze znał to miejsce. Po pokonaniu znacznej liczby szczebli dostali w końcu pozwolenie na spotkanie z burmistrzem, ale musieli zaczekać aż do popołudnia. Luo Ji spodziewał się komplikacji, więc zgoda burmistrza go zaskoczyła, tym bardziej że czasy były trudne, a oni byli zwykłymi szarakami. Przy obiedzie

Shi Qiang powiedział mu, że burmistrz objął stanowisko poprzedniego dnia. Przedtem był urzędnikiem zajmującym się sprawami hibernatów, czyli w pewnym sensie zwierzchnikiem Shi Qianga, więc bardzo dobrze go znał.

– To jeden z naszych krajanów.

W tej epoce słowo „krajan” zamiast do położenia geograficznego zaczęło się odnosić do czasu. Ale nie wszyscy hibernaci go używali. Za krajanów uważano tylko tych, którzy poddali się hibernacji mniej więcej w tym samym czasie. Krajanów w czasie łączyła bliższa więź niż dawniej krajanów w przestrzeni geograficznej.

Burmistrz przyjął ich dopiero po czwartej. W tej epoce wysocy urzędnicy wyglądali jak gwiazdy filmowe, wybierano tylko ludzi prezentujących się najbardziej atrakcyjnie, ale burmistrz nie wyróżniał się niczym szczególnym. Był mniej więcej w wieku Shi Qianga, ale dużo szczuplejszy, i miał cechę, po której od pierwszego rzutu oka można w nim było rozpoznać hibernata: nosił okulary. Były niewątpliwie antykiem sprzed dwustu lat, ponieważ nawet soczewki kontaktowe zniknęły już dawno temu. Jednak ludzie, którzy przyzwyczaili się do noszenia okularów, uważali na ogół, że bez nich wyglądają jakoś dziwnie, więc wielu z hibernatów nosiło je nadal, nawet kiedy poprawiono im wzrok.

Burmistrz wyglądał na całkowicie wyczerpanego i zdawało się, że nawet podniesienie się z krzesła sprawia mu trudność. Gdy Shi Qiang przeprosił go za najście i pogratulował awansu, potrząsnął głową.

– Mamy trudne czasy. Znowu przydajemy się my, nieokrzesane dzikusy.

– Jest pan najwyższym rangą hibernatem na Ziemi, prawda?

– Kto wie? W miarę rozwoju sytuacji nasi krajanie mogą zostać awansowani na jeszcze wyższe stanowiska.

– A co się stało z poprzednim burmistrzem? Załamanie nerwowe?

– Nie, nie. Nawet w tej epoce zdarzają się silni ludzie. Dwa dni temu zginął w wypadku samochodowym w dzielnicy, w której doszło do rozruchów.

Burmistrz zauważył stojącego za Shi Qiangiem Luo Ji.

– O, doktor Luo. Witam. Oczywiście poznaję pana. Dwieście lat temu darzyłem pana kultem, bo najbardziej z całej czwórki wyglądał pan na Wpatrującego się w Ścianę. Naprawdę nie mogłem rozszyfrować, co chce pan zrobić. – Ale na następne słowa burmistrza podupadli na duchu. – Jest pan czwartym mesjaszem, który w ostatnich dwóch dniach przyszedł się ze mną zobaczyć. I czekają dziesiątki innych, z którymi nie mam siły się spotkać.

– Panie burmistrzu, on nie jest taki jak oni. Dwieście lat temu…

– Oczywiście. Dwieście lat temu został wybrany spośród miliardów ludzi i z tego powodu postanowiłem spotkać się z wami. – Wycelował palec w Shi Qianga. – Jest jeszcze coś, do czego jest mi pan potrzebny, ale o tym porozmawiamy potem. Mam jednak drobną prośbę – czy może pan nie mówić o swoim planie ocalenia świata? Te plany są zawsze takie długie. Niech pan mi najpierw powie, czego pan ode mnie potrzebuje.

Kiedy Luo Ji i Shi Qiang wyjaśnili, czego chcą, burmistrz od razu potrząsnął głową.

– Nawet gdybym chciał pomóc, nie mogę. Mam na głowie kupę własnych spraw, o których muszę donieść zwierzchnictwu. Ale i to jest niższy szczebel, niż może się wam wydawać. Władze prowincji i kraju. Teraz wszystkim jest ciężko. Powinniście wiedzieć, że wyższe władze zajmują się poważniejszymi problemami.

Luo Ji i Shi Qiang śledzili wiadomości, więc naturalnie wiedzieli, o jakich poważniejszych problemach mówi burmistrz.

Po zniszczeniu połączonej floty szybko odrodził się nieobecny w minionych dwustu latach eskapizm. Wspólnota Europejska przygotowała nawet plan wyboru w drodze losowania w poszczególnych wchodzących w jej skład państwach stu tysięcy kandydatów do odlotu w kosmos, który został przyjęty w powszechnym głosowaniu. Jednak po losowaniu większość tych, których nie wybrano, wpadła we wściekłość i wywołała zamieszki, które objęły duże obszary. Społeczność międzynarodowa jednomyślnie powróciła do traktowania eskapizmu jako zbrodni przeciwko ludzkości.

Po wybuchu bitwy ciemności między ocalałymi z pogromu statkami oskarżenia o eskapizm nabrały nowego znaczenia. Ostatnie wydarzenia dowiodły, że po zerwaniu więzi z Ziemią ludzie w przestrzeni kosmicznej całkowicie wyobcowali się duchowo. Tak więc nawet gdyby ucieczka się powiodła, to, co by przetrwało, nie byłoby już ludzką cywilizacją, lecz czymś ponurym i złym. I podobnie jak Trisolaris byłoby jej antytezą i wrogiem. Nadano nawet nazwę temu zjawisku: negacywilizacja.

Gdy kropla zbliżyła się do Ziemi, uczulenie na eskapizm osiągnęło szczyt. Środki przekazu ostrzegały, że jest bardzo prawdopodobne, iż ktoś będzie próbował uciec, zanim kropla zaatakuje. Koło portów kosmicznych i podstaw wind kosmicznych zebrały się tłumy z zamiarem odcięcia wszystkich kanałów komunikacji z przestrzenią kosmiczną. I naprawdę mogły ten zamiar wprowadzić w czyn. W tej epoce wszyscy obywatele świata mieli prawo posiadania broni i większość dysponowała małymi pistoletami laserowymi. Oczywiście pistolet laserowy nie stanowił żadnego zagrożenia dla kabiny windy kosmicznej czy startującego statku, ale w odróżnieniu od tradycyjnej broni ich duża liczba mogła skupić promienie w jednym punkcie. Gdyby tysiąc laserów wymierzyło jednocześnie w jeden punkt, nie można by się było im oprzeć. Co najmniej jedna trzecia tłumów

liczących dziesiątki tysięcy, a w niektórych miejscach miliony osób, miała przy sobie broń. Gdyby ludzie zobaczyli wznoszącą się kabinę albo startujący statek, natychmiast otworzyliby ogień. Dzięki prostej drodze wiązka laserowa była bardzo precyzyjna, więc większość promieni skupiłaby się na celu i zniszczyła go. Wskutek tego połączenia transportowe Ziemi z przestrzenią kosmiczną zostały prawie całkowicie przerwane.

Chaos się pogłębiał. W ciągu minionych kilku dni celem ataków stały się kosmiczne miasta na orbicie synchronicznej. W sieci krążyło coraz więcej plotek o tym, że niektóre z nich zostały przekształcone w statki ucieczkowe. Z powodu dużej odległości od Ziemi promienie laserowe rozpraszały się i słabły, zanim dotarły do celu, co w połączeniu z siłą grawitacji powstającej w wyniku obrotów tych miast sprawiało, że ataki te nie wyrządziły żadnych szkód materialnych. Ale stały się zbiorową rozrywką. Tego popołudnia celem zmasowanego ataku stało się trzecie miasto kosmiczne Wspólnoty Europejskiej, Nowy Paryż. Promienie dziesięciu milionów laserów z półkuli północnej spowodowały nagły wzrost temperatury i zmusiły mieszkańców miasta do ewakuacji. Widziana stamtąd Ziemia stała się jaśniejsza niż Słońce.

Luo Ji i Shi Qiang nie mieli nic więcej do powiedzenia.

– Byłem pod wrażeniem pańskiej pracy w Biurze Imigracji Hibernacyjnej – rzekł burmistrz do Shi Qianga. – Guo Zhengming też. Zna go pan, prawda? Właśnie został awansowany na dyrektora Biura Bezpieczeństwa Publicznego i polecił mi pana. Mam nadzieję, że przejdzie pan do pracy we władzach miejskich. Potrzebujemy teraz takich ludzi jak pan.

Shi Qiang zastanawiał się przez chwilę, po czym kiwnął głową.

– Kiedy uporządkuję sprawy w moim osiedlu. Jak wygląda sytuacja tutaj?

– Pogarsza się, ale nadal jest pod kontrolą. Teraz skupiamy się głównie na utrzymaniu dostaw energii pola indukcyjnego. Kiedy ustaną, miasto całkowicie upadnie.

– Te zamieszki wyglądają inaczej niż w naszych czasach.

– Tak. Przede wszystkim mają inne źródło. Wywołuje je zupełna utrata nadziei na przyszłość i niewiarygodnie trudno jest je ugasić. Poza tym mamy do dyspozycji mniej środków niż w tamtych czasach. – Wyświetlił na ścianie obraz. – To plac centralny widziany z wysokości stu metrów.

Właśnie na placu centralnym Luo Ji i Shi Qiang schronili się niegdyś przed latającym samochodem. Z punktu, z którego go teraz oglądali, nie było widać pomnika Wielkiego Jaru i otaczającego go piasku. Cały plac był biały, usiany białymi plamkami kręcącymi się jak ziarnka ryżu w garnku.

– To ludzie? – zapytał Shi Qiang.

– Nadzy ludzie. To orgia seksualna z udziałem ponad stu tysięcy osób. I wciąż przybywają nowe.

Akceptacja związków hetero- i homoseksualnych w tej epoce przekraczała wyobraźnię Luo Ji, a pewnych zachowań nie uważano już za niezwykłe. Mimo to widok, który mieli przed sobą, zszokował ich obu. Luo Ji przypomniała się opisana w Biblii scena rozpusty przed otrzymaniem przez ludzi dziesięciorga przykazań. Klasyczna scena sądnego dnia.

– Dlaczego władze nie położą temu kresu? – zapytał ostro Shi Qiang.

– A niby jak? Ani trochę nie łamią prawa. Jeśli podejmiemy jakieś kroki, to my będziemy przestępcami.

Shi Qiang przeciągle westchnął.

– Tak, wiem. W tej epoce policja i wojsko mogą niewiele zrobić.

– Przewertowaliśmy kodeksy prawne i nie znaleźliśmy żadnych przepisów, które odnosiłyby się do obecnej sytuacji – powiedział burmistrz.

– Skoro tak to wygląda, to lepiej by było, gdyby kropla rozwaliła miasto w drobny mak.

Słowa Shi Qianga wyrwały Luo Ji z odrętwienia.

– Ile zostało czasu do jej przybycia na Ziemię? – zapytał pospiesznie.

Burmistrz przełączył obraz spektakularnej rozwiązłości na kanał informacyjny z wiadomościami z ostatniej chwili, który pokazywał symulację Układu Słonecznego. Przyciągająca wzrok czerwona linia oznaczająca drogę kropli wyglądała jak szlak komety, tyle że kończyła się blisko Ziemi. W prawym dolnym rogu ekranu był zegar odliczający czas, który pokazywał, że jeśli kropla nie zmniejszy prędkości, dotrze na Ziemię za cztery godziny i pięćdziesiąt cztery minuty. Pasek wiadomości pokazywał teraz przeprowadzoną przez eksperta analizę kropli. Pomimo panującego na świecie przerażenia społeczność naukowa doszła do siebie po początkowym wstrząsie spowodowanym klęską floty, więc analiza ta była chłodna i rzeczowa. Chociaż ludzie nie wiedzieli absolutnie nic o jej źródle zasilania, analityk uważał, że zużyła już prawie całą energię, bo po zniszczeniu połączonej floty kropla poruszała się ociężale w stronę Słońca. Przeleciała obok Jowisza, ale ignorując trzy statki wojenne w bazie, wykorzystała grawitację planety dla przyspieszenia, co też wskazywało, że jej energia jest bliska wyczerpania. Naukowcy byli przekonani, że myśl, iż uderzy ona w Ziemię, jest absurdalna, ale nie mieli pojęcia, po co właściwie ku niej leci.

– Muszę stąd wyjechać, bo w przeciwnym razie miasto zostanie kompletnie zniszczone – powiedział Luo Ji.

– Dlaczego? – zapytał burmistrz.

– On myśli, że ta sonda chce go zabić – wyjaśnił Shi Qiang.

Burmistrz roześmiał się, ale nie miał rozbawionej miny. Najwyraźniej od dawna się nie śmiał.

– Doktorze Luo, jest pan największym egocentrykiem, jakiego spotkałem.

Luo Ji i Shi Qiang odjechali natychmiast po wydostaniu się na powierzchnię. Z wind nadal wylewały się tłumy mieszkańców podziemnego miasta, wskutek czego na drogach był taki tłok, że wyjazd ze starego miasta na szosę prowadzącą na zachód, gdzie mogli rozwinąć pełną szybkość, zajął im pół godziny.

W telewizorze samochodowym zobaczyli, że kropla zbliża się do Ziemi z prędkością siedemdziesięciu pięciu kilometrów na sekundę i nie wygląda na to, by zwalniała. W tym tempie przyleci za trzy godziny.

Zmniejszenie dostaw energii do pola indukcyjnego sprawiło, że samochód zaczął jechać wolniej, więc Shi Qiang musiał włączyć akumulator, by utrzymać prędkość. Dotarli do terenów zamieszkanych przez dużą liczbę hibernatów, ale minęli Piątą Wieś Nowego Życia bez zatrzymywania się i pojechali dalej na zachód. Przez prawie całą drogę milczeli, skupiając uwagę na wiadomościach telewizyjnych.

Sonda przeleciała bez zwalniania obok orbity Księżyca. Gdyby dalej poruszała się z taką prędkością, dotarłaby na Ziemię już za pół godziny. Nikt nie wiedział, jak się zachowa, więc by uniknąć paniki, nie przewidywano w wiadomościach czasu uderzenia.

Luo Ji zdobył się na wysiłek, by stawić czoło chwili, którą od dawna chciał odwlec, i powiedział:

– Da Shi, stań tutaj.

Shi Qiang zatrzymał samochód i obaj wysiedli. W promieniach słońca zniżającego się nad horyzontem ich postacie rzucały na pustynię długie cienie. Luo Ji odniósł wrażenie, że piasek pod jego stopami ścina się jak krew w jego żyłach. Ledwie trzymał się na nogach.

– Postaram się dotrzeć do rzadko zaludnionego obszaru – powiedział. – Przed nami jest miasto, więc skręcę w drugą stronę. Odejdź jak najdalej ode mnie.

– Zaczekam na ciebie tutaj, mój chłopcze. Kiedy będzie już po wszystkim, wrócimy razem.

Shi Qiang wyjął z kieszeni papierosa i zaczął się rozglądać za zapalniczką, lecz zaraz sobie przypomniał, że tego papierosa nie trzeba przypalać. Podobnie jak inne rzeczy, które zabrał ze sobą z przeszłości, jego nawyki nie zmieniły się ani trochę.

Luo Ji uśmiechnął się ze smutkiem. Miał nadzieję, że Shi Qiang naprawdę wierzy w to, co mówi, ponieważ przynajmniej ułatwiłoby to trochę ich rozstanie.

– Poczekaj, jeśli chcesz. Kiedy nadejdzie czas, lepiej przejdź na drugą stronę wału. Nie wiem, jak silne będzie to uderzenie.

Shi Qiang potrząsnął z uśmiechem głową.

– Przypominasz mi intelektualistę, którego spotkałem dwieście lat temu. Miał taką samą minę winowajcy jak ty teraz. Siedział wczesnym rankiem przed kościołem w Wangfujing i płakał… Ale wyszedł z tego. Sprawdziłem po przebudzeniu się – dożył prawie setki.

– A co powiesz o tym pierwszym facecie, który dotknął kropli, Ding Yi? Wydaje mi się, że się znaliście.

– On pragnął śmierci. Nic z tym nie można było zrobić. – Shi Qiang popatrzył na zachodzące słońce, jakby przypominał sobie twarz fizyka. – Mimo to był człowiekiem o szerokich horyzontach, takim, który pogodzi

się z każdą sytuacją. W całym życiu nie spotkałem drugiego takiego jak on. Poważnie, to był wielki umysł. Powinieneś się od niego uczyć, mój chłopcze.

– No więc powtórzę: teraz ty i ja jesteśmy zwykłymi ludźmi. – Luo Ji spojrzał na zegarek, wiedząc, że nie ma czasu do stracenia. Wyciągnął do Shi Qianga rękę. – Da Shi, dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś przez tych dwieście lat. Żegnaj. Może spotkamy się znowu w jakimś innym miejscu.

Shi Qiang nie uścisnął jego dłoni, tylko machnął ręką.

– Nie gadaj głupot! Wierz mi, mój chłopcze, nic się nie stanie. Jedź, a kiedy będzie po wszystkim, szybko wracaj i zabierz mnie. I nie miej do mnie pretensji, kiedy dziś wieczorem pośmieję się z ciebie przy kielichu.

Luo Ji wsiadł szybko do samochodu, nie chcąc, by Shi Qiang zobaczył łzy w jego oczach. Siedząc w środku, starał się wryć sobie w pamięć widziany w lusterku wstecznym jego obraz, po czym ruszył w ostatnią drogę.

Może znowu gdzieś się spotkają. Ostatnim razem zajęło to dwa wieki. Jak długo potrwa tym razem rozłąka? Podobnie jak Zhang Beihai przed dwustu laty, żałował, że jest ateistą.

Słońce zaszło już zupełnie i piasek po obu stronach drogi wyglądał w słabym świetle zmierzchu jak śnieg. Nagle Luo Ji przyszło do głowy, że jest to ten sam odcinek drogi, którym przed dwoma wiekami jechał hondą accord ze swoją wyimaginowaną kochanką, kiedy to północnochińską równinę pokrywał prawdziwy śnieg. Czuł jej włosy powiewające na wietrze, łaskoczące go w policzek.

„Nie, nie. Nie mów, gdzie jesteśmy. Jeśli się dowiem, gdzie jesteśmy, świat skurczy się do rozmiarów mapy. Gdy tego nie wiemy, świat wydaje się nie mieć końca”.

„Dobrze. No to postarajmy się zgubić”.

Luo Ji zawsze odnosił wrażenie, że sprowadził na świat Zhuang Yan i Xia Xię siłą swej wyobraźni. Na tę myśl poczuł w sercu ukłucie, ponieważ w tej chwili miłość i tęsknota były dla niego najbardziej bolesne ze wszystkiego. Gdy starał się usunąć to z umysłu, łzy przesłoniły mu wzrok. Ale w tej pustce uparcie tkwiły kochane oczy Yan Yan, a towarzyszył im odurzający śmiech Xia Xii. Mógł tylko skupić uwagę na wiadomościach telewizyjnych.

Kropla minęła punkt Lagrange’a[6], ale nadal pędziła w stronę Ziemi.

Luo Ji zaparkował w miejscu, które wydało mu się najbardziej odpowiednie, na granicy między równiną i górami, gdzie jak daleko sięgnął wzrokiem, nie było żadnych ludzi ani budynków. Samochód stał w dolinie otoczonej łańcuchem górskim w kształcie litery U, który wchłonąłby część fal uderzeniowych po ataku sondy. Luo wyjął telewizor z samochodu i usiadł z nim na piasku.

Kropla przecięła geosynchroniczną orbitę na wysokości 34 tysięcy kilometrów i przeleciała obok kosmicznego miasta Nowy Szanghaj, którego wszyscy mieszkańcy wyraźnie widzieli jasny świetlny punkt poruszający się szybko po niebie. W wiadomościach podano, że do jej uderzenia w Ziemię dojdzie za osiem minut. Na koniec podano przewidywaną szerokość i długość geograficzną miejsca uderzenia. Znajdowało się na północny zachód od Pekinu.

Luo Ji wiedział o tym już wcześniej.

Zapadł zmrok i kolory nieba skurczyły się do małego skrawka na zachodzie, który wyglądał jak patrzące obojętnie na świat oko bez źrenicy.

Być może po to, żeby jakoś zabić czas, który mu pozostał, Luo zaczął rozpamiętywać swoje życie.

Dzieliło się na dwie zupełnie różne części. Ta, która nastąpiła po jego wyborze na Wpatrującego się w Ścianę, obejmowała dwa stulecia, ale miał wrażenie, że ten czas został zagęszczony. Pamiętał wszystko tak dokładnie, jakby zdarzyło się wczoraj. Z drugiej strony wydawało mu się, że nie przeżył tego, włącznie z miłością, która zapisała się na trwałe w jego sercu, że tak naprawdę był to tylko ulotny sen. Nie śmiał myśleć o swojej żonie i dziecku.

Wbrew temu, czego się spodziewał, wspomnienia z czasów, zanim został Wpatrującym się w Ścianę, wyblakły. Z morza pamięci zdołał wyłowić tylko nieliczne fragmenty, a im dalej sięgał wstecz, tym było ich mniej. Czy naprawdę chodził do szkoły średniej? Do podstawowej? Czy naprawdę kiedyś zakochał się po raz pierwszy? Niektóre z tych szczątków wspomnień miały wyraźne rysy, co wskazywało, że te wydarzenia rzeczywiście miały miejsce. Szczegóły były żywe, ale towarzyszące im uczucia zniknęły bez śladu. Przeszłość była jak garść piasku, który przeciekał przez palce, pamięć jak rzeka, która dawno temu wyschła i po której pozostał tylko żwir w martwym korycie. Przeżył życie, zawsze czekając na to, co będzie potem, a gdy to dostawał, zaraz tracił i w końcu zostało mu niewiele.

Spojrzał na spowity zmierzchem krajobraz i przypomniał sobie, że przed ponad dwustu laty spędził noc w tych górach, które znużone staniem przez miliony lat położyły się – mówiąc słowami jego wyimaginowanej kochanki – „jak starzy wieśniacy wygrzewający się w promieniach słońca”. Pola i wioski równiny północnochińskiej już dawno temu zamieniły się w pustynię, ale góry wydawały się niezmienione. Nadal miały proste, zwykłe kształty, ze szczelin w szarych skałach nadal uparcie wyrastała zwiędła trawa i niepokalanek, ani bujniejsze, ani rzadsze niż wtedy.

Dwieście lat było za krótkim okresem, by w górach zaszły jakieś dostrzegalne zmiany.

Jak wyglądał świat ludzi w oczach tych gór? Najpierw na równinie pojawia się kilka małych żywych istot. Po chwili te istoty się mnożą, a po następnej wznoszą podobne do mrowisk budowle, które szybko zapełniają cały rejon. Mija jeszcze chwila i pokazuje się światło i dym, małe żyjątka znikają, a później ich budowle przewracają się i zasypuje je piasek. To wszystko. Te ulotne wydarzenia niekoniecznie były najciekawszymi z niezliczonych rzeczy, których świadkami były góry.

W końcu Luo Ji dotarł do najwcześniejszego wspomnienia. Ze zdziwieniem odkrył, że życie, które pamięta, również zaczęło się na piasku. Było to w jego prehistorycznych czasach, w miejscu, którego nie pamiętał, wśród ludzi, których nie mógł sobie przypomnieć, ale wyraźnie zapamiętał piaszczysty brzeg rzeki. Na niebie świecił okrągły księżyc, w jego blasku marszczyła się powierzchnia wody w rzece. On kopał w piasku. Kiedy wykopał dołek, przez dno zaczęła się do niego przesączać woda, a w niej pojawił się mały księżyc. Kopał następne dołki, a w nich pojawiały się kolejne małe księżyce.

Było to jego najwcześniejsze wspomnienie. Przedtem rozciągała się pustka.

W ciemności nocy mały spłachetek piachu wokół niego oświetlał tylko słaby blask ekranu telewizora.

Luo Ji starał się zachować czysty umysł, ale nagle napięła się skóra na jego głowie i poczuł, jakby naciskała na niego ogromna ręka, która zakryła całe niebo. Potem ta ręka powoli się cofnęła.

W odległości dwudziestu tysięcy kilometrów od Ziemi kropla zmieniła kierunek i poleciała prosto w stronę Słońca.

– Północna półkula, uwaga! – krzyknął reporter wiadomości. – Północna półkula, uwaga! Kropla stała się jaśniejsza, możecie zobaczyć ją gołym okiem!

Luo podniósł głowę. Rzeczywiście ją zobaczył. Nie była zbyt jasna, ale dzięki jej dużej prędkości można ją było łatwo odróżnić od innych obiektów na niebie. Przeleciała jak meteoroida i zniknęła na zachodzie.

W końcu zmniejszyła prędkość względem Ziemi do zera i zatrzymała się w punkcie odległym o półtora miliona kilometrów. W punkcie Lagrange'a. Znaczyło to, że w następnych dniach pozostanie nieruchoma względem Ziemi i Słońca, dokładnie w połowie odległości między nimi.

Luo miał przeczucie, że może się zdarzyć coś jeszcze, siedział więc dalej na piachu i czekał. Razem z nim czekały góry jak starcy po jego bokach i z tyłu, dając mu poczucie bezpieczeństwa. Na razie w telewizji nie było więcej ważnych informacji. Świat, niepewny, czy uniknął katastrofy czy nie, czekał w napięciu.

Mijały minuty, ale nic się nie działo. System śledzący kroplę pokazywał, że trwała zawieszona w bezruchu. Zniknęło halo otaczające jej ogon i zwróconą w stronę Słońca okrągłą głowę. Odbijały się w niej promienie słoneczne, tak że jej przednia część zdawała się płonąć. Luo Ji miał wrażenie, że między nią i Słońcem zachodzi jakaś tajemnicza indukcja.

Obraz na ekranie telewizora nagle się zamazał, a dźwięk zaczął trzeszczeć. Luo Ji zobaczył poruszenie w otaczającym go środowisku: spłoszone stado ptaków odleciało w góry, w oddali zaszczekał pies. Może było to fałszywe wrażenie, ale poczuł, że zaczyna go swędzieć skóra. Obraz i dźwięk w telewizorze przez chwilę drgały, a potem wróciły do normy. Później dowiedziano się, że pojawiły się zakłócenia, ale globalny system telekomunikacyjny szybko odfiltrował niespodziewane szumy. Jednak z powodu ogromnej masy danych, które należało pogrupować

i przeanalizować, wiadomości powoli na to reagowały. Zanim pojawiły się bardziej szczegółowe informacje, minęło co najmniej dziesięć minut.

Kropla wysyłała bezpośrednio w stronę Słońca ciągłą, silną falę elektromagnetyczną o natężeniu znacznie przekraczającym próg wzmocnienia gwiazdy i częstotliwości nakładającej się na wszystkie pasma, które mogło wzmocnić.

Luo Ji zaczął chichotać, a potem wybuchnął takim śmiechem, że aż się zakrztusił. Faktycznie był egocentrykiem. Powinno mu to przyjść do głowy już dawno temu. On nie był ważny. Ważne było Słońce. Od tej chwili ludzkość nie mogła już wykorzystywać Słońca jako potężnej anteny, by wysyłać we Wszechświat komunikaty.

Kropla położyła temu kres.

– Ha! No i co, mój chłopcze, nic się nie wydarzyło! Powinienem był się z tobą o to założyć.

W którymś momencie Shi Qiang znalazł się przy Luo Ji. Zatrzymał jakiś samochód, by się tu dostać.

Luo czuł się jak wyżęty. Leżał bezwładnie na piasku, jeszcze ciepłym od słońca. Było mu wygodnie.

– Tak, Da Shi. Teraz możemy stąd jechać i żyć dalej. Wszystko skończone.

– Mój chłopcze, ostatni raz pomagam ci w sprawach Wpatrującego się w Ścianę – oświadczył Shi Qiang w drodze powrotnej. – Pełnienie tej funkcji musi powodować zaburzenia psychiczne i właśnie miałeś ich nawrót.

– Mam nadzieję, że faktycznie tak jest – odparł Luo.

Na zewnątrz zniknęły gwiazdy, które było widać wczoraj, i czerń pustyni i nieba zlały się w jedno. Przednie światła samochodu wydobywały z mroku odcinek szosy przed nimi. Świat przypominał stan jego umysłu: wszędzie ciemność i jedna niewiarygodnie jasna plamka.

– Powrót do normalności będzie dla ciebie łatwy. Czas obudzić Zhuang Yan i Xia Xię. Chociaż nie wiem, czy wskutek panującego obecnie chaosu nie wstrzymano przebudzeń. Ale nawet jeśli tak, nie potrwa to długo. Myślę, że sytuacja szybko się ustabilizuje. W końcu został jeszcze czas dla kilku pokoleń. Czy nie powiedziałeś, że można żyć dalej?

– Pójdę jutro do Biura Imigracji Hibernacyjnej i dowiem się.

Słowa Shi Qianga przypominały Luo Ji tę odrobinę koloru, która została w jego pochmurnym umyśle. Może ponowne połączenie się z żoną i dzieckiem było dla niego jedyną szansą ratunku.

Ale dla ludzkości nie było już nadziei.

Gdy zbliżyli się do Piątej Wsi Nowego Życia, Shi Qiang nagle zwolnił.

– Coś jest nie tak – powiedział.

Idąc za jego spojrzeniem, Luo Ji zobaczył na niebie poświatę rzucaną przez jakieś światło na ziemi, ale wysokie nasypy po obu stronach drogi nie pozwalały im dojrzeć, co było jego źródłem. Poświata się przemieszczała. Nie wyglądała na łunę nad osiedlem.

Kiedy samochód zjechał z szosy w boczną drogę, ich oczom ukazał się dziwny widok. Pustynia między szosą i Piątą Wsią Nowego Życia zamieniła się w gęsty od świateł dywan, który wyglądał jak morze robaczków świętojańskich. Luo Ji dopiero po chwili uświadomił sobie, że jest to tłum ludzi. Wszyscy byli mieszkańcami miasta, a światło pochodziło z ich ubrań.

Gdy samochód powoli zbliżył się do nich, wszyscy przesłonili dłońmi oczy, by nie oślepiały ich jego reflektory, więc Shi Qiang je wyłączył

i znaleźli się na wprost dziwacznego, jaskrawego muru ludzi.

– Wyglądają, jakby na kogoś czekali – rzekł Shi Qiang, spoglądając na Luo Ji, który stężał na te słowa. Shi Qiang zatrzymał samochód i powiedział: – Zostań tu i nie ruszaj się. Pójdę się rozejrzeć.

Wyskoczył z wozu i podszedł do tłumu. Jego masywna postać odznaczała się czernią na tle jarzącego się ludzkiego muru. Luo Ji przyglądał się, jak podchodzi do tłumu, zamienia kilka słów z ludźmi i wraca.

– Okazuje się, że czekają na ciebie – powiedział, opierając się o drzwi. – Idź. – Na widok miny Luo dodał mu otuchy: – Odpręż się. Wszystko będzie dobrze.

Luo Ji wysiadł z samochodu i podszedł do tłumu. Przywykł do świecących ubiorów współczesnych ludzi, ale widząc je na pustyni, odnosił wrażenie, że idzie ku obcym. Gdy podszedł bliżej i zobaczył ich miny, serce zaczęło mu bić szybciej.

Pierwszą rzeczą, z której zdał sobie sprawę po przebudzeniu się z hibernacji, było to, że w każdej epoce ludzie w tłumie mieli inne miny. Różnice między jego czasami i obecnymi rzucały się w oczy – można było łatwo odróżnić współczesnych od hibernatów, którzy dopiero się przebudzili. Ale miny, które widział teraz, nie były ani współczesne, ani typowe dla dwudziestego pierwszego wieku. Nie wiedział, do jakiej epoki można je przyporządkować. Strach omal nie osadził go w miejscu, ale Shi Qiang popchnął go do przodu.

Podszedłszy jeszcze bliżej, w końcu się zatrzymał, bo zobaczył obrazy wyświetlające się na ich ubraniach.

Od czasu, gdy został Wpatrującym się w Ścianę, rzadko pojawiał się w środkach masowego przekazu, więc nie zostawił dużo zapisów wizualnych, ale na ubraniach zebranych ukazywał się prawie kompletny

zbiór tych nagrań. Na niektórych widział nawet swoje zdjęcia z wcześniejszych czasów. To wszystko zostało ściągnięte z internetu, co znaczyło, że obrazy te musiały krążyć po całym świecie. Zauważył też, że nie zostały poddane artystycznej obróbce, w której lubowali się współcześni, a to z kolei świadczyło, że musiały pojawić się w sieci niedawno.

Tłum zobaczył, że Luo Ji stanął, i ruszył ku niemu. Gdy się zbliżył na parę metrów, ci, którzy szli na przedzie, powstrzymali postępującą za nimi resztę i padli na kolana. Rzędy tych, którzy byli za nimi, też po kolei klękały i po piasku przelewała się jarząca się fala.

– Panie, ocal nas! – krzyknął ktoś.

Słowa te zadzwoniły Luo w uszach.

– Och, boże, ocal świat!

– Wielki rzeczniku, zaprowadź sprawiedliwość we Wszechświecie!

– Aniele sprawiedliwości, ocal ludzkość!

Podeszło do niego dwóch mężczyzn. W tym, którego ubranie się nie świeciło, rozpoznał Hinesa. Drugi był żołnierzem z błyszczącymi odznakami i baretkami.

– Doktorze Luo – zwrócił się do niego poważnym tonem Hines – zostałem właśnie mianowany pańskim łącznikiem z Komisją ONZ do spraw programu Wpatrujących się w Ścianę. Moim obowiązkiem jest poinformować pana, że program ten został wznowiony, a pan został nazwany jedynym Wpatrującym się w Ścianę.

– Nazywam się Ben Jonathan i jestem komisarzem specjalnym Połączonego Kolegium Floty Słonecznej – przedstawił się żołnierz. – Spotkaliśmy się, kiedy pan się obudził. Polecono mi poinformować pana, że Flota Azjatycka, Flota Europejska i Flota Północnoamerykańska zgodziły

się na przedłużenie obowiązywania uchwały o Wpatrujących się w Ścianę i uznały pana status.

Hines wskazał tłum klęczący na piasku i powiedział:

– W oczach społeczeństwa ma pan teraz dwie tożsamości. Dla teistów jest pan aniołem sprawiedliwości. Dla ateistów rzecznikiem sprawiedliwej, doskonałej cywilizacji w Drodze Mlecznej.

Potem nastąpiła cisza. Oczy wszystkich były utkwione w Luo Ji. Myślał przez chwilę, ale przyszła mu do głowy tylko jedna możliwość.

– Urok podziałał? – zapytał niepewnie.

Hines i Jonathan pokiwali głowami, a Hines powiedział:

– 187J3X1 została zniszczona.

– Kiedy?

– Pięćdziesiąt jeden lat temu. Zaobserwowano to przed rokiem, ale nikt nie zwracał uwagi na tę gwiazdę, więc dopiero dzisiaj po południu odkryto tę informację. Parę zdesperowanych osób z PKFS chciało znaleźć inspirację w historii. Przypomnieli sobie o programie Wpatrujących się w Ścianę i o rzuconym przez pana uroku. Skierowali więc teleskopy na 187J3X1 i stwierdzili, że już jej nie ma. Na jej miejscu znajdowała się mgławica szczątków. Przejrzeli wszystkie zapisy obserwacji tej gwiazdy aż do jej zniszczenia przed rokiem, a potem wyciągnęli wszystkie dane obserwacyjne 187J3X1 z chwili, gdy wybuchła.

– Skąd wiedzieli, że została zniszczona?

– Wie pan, że 187J3X1 znajdowała się w okresie stabilności, jak Słońce, niemożliwe więc było, by przekształciła się w nową. Poza tym zaobserwowano jej zniszczenie: uderzyło w nią ciało poruszające się z prędkością bliską prędkości światła. Ten mały obiekt – nazywają go „fotoidą” – został zauważony w chwili, gdy przechodził przez skraj atmosfery gwiazdy, dzięki śladom, które tam zostawił. Chociaż miał

niewielkie rozmiary, jego bliska świetlnej prędkość sprawiła, że w momencie uderzenia w cel jego znacznie zwiększona masa względna osiągnęła jedną ósmą masy 187J3X1. Natychmiast zniszczył gwiazdę. Wskutek wybuchu wyparowały też jej cztery planety.

Luo Ji spojrzał na ciemne niebo, na którym gwiazdy były praktycznie niewidoczne. Ruszył naprzód. Ludzie wstawali i w milczeniu schodzili mu z drogi, a po jego przejściu znowu zbierali się za nim. Wszyscy starali się przepchnąć jak najbliżej niego, jakby byli zziębnięci i tęsknili za słońcem, ale zostawiali z szacunku pusty okrąg wokół niego. Wyglądał jak ciemny punkt pośród fluoroscencyjnego oceanu, jak oko burzy. Przez tłum przedarł się jakiś człowiek i padł przed Luo na ziemię, co zmusiło go do zatrzymania się, a wtedy tamten pocałował jego stopy. Kilku innych przerwało krąg i zrobiło to samo. Gdy już wydawało się, że sytuacja wymknie się spod kontroli, z tłumu rozległy się ganiące okrzyki, które skłoniły ich do wycofania się.

Luo Ji poszedł dalej, ale zdał sobie sprawę, że nie wie, dokąd idzie. Zatrzymał się, odnalazł w tłumie Hinesa i Jonathana i podszedł do nich.

– Co powinienem teraz zrobić? – zapytał.

– Jest pan Wpatrującym się w Ścianę, więc oczywiście może pan robić wszystko w granicach zakreślonych uchwałą – odparł z ukłonem Hines. – Chociaż nadal nakłada ona pewne ograniczenia, praktycznie może pan korzystać ze wszystkich zasobów Ziemi Międzynarodowej.

– Obejmuje to również zasoby Floty Międzynarodowej – dodał Jonathan.

Luo Ji zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

– Na razie nie potrzebuję żadnych zasobów, ale jeśli naprawdę odzyskałem władzę, którą dawała mi uchwała o Wpatrujących się w Ścianę…

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości – wtrącił Hines, a Jonathan kiwnął głową.

– …to mam dwa życzenia. Po pierwsze, trzeba przywrócić porządek w miastach, normalne życie. W tym życzeniu nie ma żadnej tajemnicy. Jestem pewien, że to rozumiecie.

Wszyscy skinęli głowami.

– Świat słucha, boże – powiedział ktoś.

– Tak, świat słucha – rzekł Hines. – Przywrócenie porządku będzie wymagało czasu, ale dzięki panu wierzymy, że da się to zrobić.

Jego słowa potwierdził tłum.

– Po drugie, jedźcie wszyscy do domu. Opuśćcie to miejsce w pokoju. Dziękuję.

Po wysłuchaniu tego zapadła cisza, ale wkrótce w tłumie rozległ się gwar, gdy przekazywano jego słowa. Tłum zaczął się rozpraszać, najpierw powoli i z ociąganiem, ale wkrótce nabrało to tempa i samochody ruszały jeden po drugim w stronę miasta. Rzesze ludzi idących poboczem drogi wyglądały w ciemności jak świecąca kolumna mrówek.

Potem pustynia z powrotem opustoszała. Na piasku poznaczonym śladami wielu stóp zostali tylko Luo Ji, Shi Qiang, Hines i Jonathan.

– Jest mi naprawdę wstyd z powodu mojej poprzedniej osobowości – powiedział Hines. – Ludzka cywilizacja liczy zaledwie pięć tysięcy lat, a jednak bardzo cenimy sobie życie i wolność. Gdzieś we Wszechświecie musi istnieć cywilizacja, która liczy miliardy lat. Jaką mają moralność? Czy to pytanie ma w ogóle sens?

– Mnie też jest wstyd. W ostatnich dniach zacząłem nawet wątpić w istnienie Boga – rzekł Jonathan. Gdy zobaczył, że Hines chce coś wtrącić, powstrzymał go podniesieniem ręki. – Nie, przyjacielu. Być może mówimy o tym samym.

Objęli się, a po ich twarzach pociekły łzy.

– Już dobrze, panowie – powiedział Luo Ji, klepiąc ich po plecach. – Możecie już wracać. Jeśli będę was potrzebował, skontaktuję się z wami. Dziękuję.

Patrzył, jak odchodzą, obejmując się niczym para kochanków. Został sam z Shi Qiangiem.

– I co ty na to, Da Shi? – zapytał, odwracając się do niego z uśmiechem.

Shi Qiang stał jak wrośnięty w ziemię, oszołomiony, jakby zobaczył ekscytującą magiczną sztuczkę.

– Jestem cholernie zdezorientowany, mój chłopcze.

– Co? Nie wierzysz, że jestem aniołem sprawiedliwości?

– Musiałbyś mnie pobić na śmierć, żebym to powiedział.

– A rzecznikiem wyższej cywilizacji?

– To brzmi trochę lepiej niż anioł, ale prawdę mówiąc, w to też nie wierzę.

– Nie wierzysz w sprawiedliwość we Wszechświecie?

– Sam nie wiem.

– Ale przecież jesteś członkiem organu odpowiedzialnego za egzekwowanie prawa.

– Powiedziałem, że nie wiem. Naprawdę mam mętlik w głowie.

– Wobec tego jesteś tu najtrzeźwiej myślącą osobą.

– A możesz mi opowiedzieć o sprawiedliwości we Wszechświecie?

– Dobra. Chodź ze mną.

Luo Ji ruszył wprost przed siebie, Shi Qiang poszedł tuż za nim. Przez długą chwilę kroczyli w milczeniu, a potem przeszli przez szosę.

– Gdzie idziemy? – zapytał Shi Qiang.

– Tam, gdzie najciemniej.

Przeszli w miejsce, gdzie wał zasłaniał światła osiedla. Macając w ciemnościach, Luo Ji i Shi Qiang usiedli na piasku.

– Zacznijmy – rozległ się głos Luo Ji.

– Przedstaw mi łatwą wersję. Nie zrozumiem niczego skomplikowanego.

– Każdy może to zrozumieć, Da Shi. Prawda jest prosta. To coś takiego, że kiedy to usłyszysz, zdziwisz się, że sam na to nie wpadłeś. Wiesz, co to są aksjomaty matematyczne?

– W szkole średniej miałem geometrię. „Między dwoma punktami można przeciągnąć tylko jedną linię prostą”. Tego rodzaju rzeczy.

– Tak. Teraz określimy dwa aksjomaty cywilizacji kosmicznej. Pierwszy – podstawową potrzebą cywilizacji jest przetrwanie. Drugi – cywilizacja stale się rozwija i rozszerza, ale ilość materii we Wszechświecie pozostaje stała.

– No i?

– To wszystko.

– I co możesz wysnuć z tych rzeczy?

– Tak samo jak ty możesz na podstawie pocisku albo kropli krwi odtworzyć cały nabój, socjologia kosmiczna może, wyszedłszy z tych dwóch aksjomatów, przedstawić kompletny obraz cywilizacji galaktycznej i kosmicznej. Tak wygląda nauka, Da Shi. Kamień węgielny każdej dyscypliny jest całkiem prosty.

– No to zobaczmy, co z tego wysnujesz.

– Najpierw porozmawiajmy o bitwie ciemności. Uwierzyłbyś mi, gdybym powiedział, że Statek Ziemia był mikrokosmosem kosmicznej cywilizacji?

– Nie. Na Statku Ziemia brakowało takich zasobów jak części zamienne i paliwo, a we Wszechświecie ich nie brakuje. Jest zbyt duży.

– Mylisz się. Wszechświat jest wielki, ale życie jest większe! Takie jest znaczenie drugiego aksjomatu. Ilość materii we Wszechświecie pozostaje stała, ale życie rozwija się w postępie geometrycznym. Postęp geometryczny to diabeł matematyki. Jeśli w oceanie żyje mikroskopijna bakteria, która dzieli się co pół godziny, jej bakterie potomne w ciągu kilku dni zapełnią cały ocean, pod warunkiem że znajdą dość pożywienia. Nie wyciągaj z zachowania ludzi i Trisolarian fałszywych wniosków. Te dwie cywilizacje są małe i obie są jeszcze w okresie niemowlęcym. Gdy cywilizacja przekroczy pewien próg rozwoju, jej ekspansja we Wszechświecie staje się przerażająca. Weźmy na przykład obecną prędkość statków kosmicznych zbudowanych przez ludzi. Za milion lat ludzka cywilizacja mogłaby rozprzestrzenić się na całą Galaktykę. A w skali Wszechświata milion lat to krótki czas.

– Mówisz, że w długookresowej perspektywie cały Wszechświat może mieć taką… jak się to nazywa… „martwą rękę”?

– Nie ma potrzeby przyjmować perspektywy długookresowej. W tej chwili cały Wszechświat dostał tę martwą rękę. Jak powiedział Hines, cywilizacja mogła powstać we Wszechświecie miliardy lat temu. Możliwe, że cały Wszechświat jest już zapchany. Kto wie, ile pustej przestrzeni zostało jeszcze w Drodze Mlecznej albo we Wszechświecie, ile zostało zasobów naturalnych?

– Ale tak nie jest, prawda? Wszechświat wygląda na pusty. Nie dostrzegliśmy innych form obcego życia oprócz Trisolarian, prawda?

– Właśnie o tym teraz porozmawiamy. Daj mi papierosa. – Luo Ji przez chwilę szukał po omacku ręki Shi Qianga. Gdy się znowu odezwał, Shi Qiang zorientował się, że odsunął się od niego na trzy czy cztery metry. – Musimy zwiększyć odległość, żeby bardziej przypominało to przestrzeń kosmiczną.

Potem zapalił papierosa, przekręcając filtr. Shi też zapalił. W ciemnościach pojawiły się w opozycji do siebie dwie małe czerwone planety.

– Dobrze. Dla zilustrowania tego zagadnienia musimy teraz przyjąć najbardziej podstawowe elementy cywilizacji kosmicznej. Te dwa ogniki przedstawiają dwie cywilizowane planety. Wszechświat składa się tylko z nich, nie ma w nim nic więcej. Usuńmy całe otoczenie. Czujesz to?

– Tak. W takim ciemnym miejscu łatwo się tak poczuć.

– Powiedzmy, że cywilizacja na jednym z tych światów jest twoja, a na drugim moja. Dzieli je duża odległość, na przykład sto lat świetlnych. Możesz odkryć moje istnienie, ale nie znasz żadnych szczegółów. Ja jednak nie mam pojęcia o twoim istnieniu.

– Dobrze.

– Teraz musimy zdefiniować dwa pojęcia: dobrą i złą wolę. W sensie naukowym nie są to pojęcia zbyt ścisłe, więc musimy ograniczyć ich zakres znaczeniowy. Dobra wola oznacza niepodejmowanie żadnych kroków w celu napaści na drugą cywilizację i zniszczenia jej. Zła wola jest tego przeciwieństwem.

– To niska poprzeczka dla dobrej woli.

– Następnie rozpatrzmy, jaką możesz przyjąć wobec mnie postawę. Cały czas musisz pamiętać o aksjomatach cywilizacji kosmicznej oraz o odległości między nami i o otoczeniu.

– Wybrałbym kontakt z tobą.

– Gdybyś to zrobił, powinieneś być świadom ceny, jaką za to zapłacisz – ujawnisz mi swoje istnienie.

– Tak. We Wszechświecie to nie jest błahostka.

– Można to zrobić w różnym stopniu. Z najsilniejszą formą ujawnienia się mamy do czynienia wtedy, kiedy dowiaduję się o twoich dokładnych

współrzędnych międzygwiezdnych. Ze słabszą, gdy wiem tylko, w jakiej stronie się znajdujesz, a z najsłabszą, gdy dowiaduję się tylko o tym, że istniejesz. Ale nawet ta najsłabsza umożliwia mi podjęcie poszukiwań ciebie, bo skoro odkryłeś moje istnienie, wiem, że ja też będę mógł cię znaleźć. Z punktu widzenia rozwoju technologicznego to tylko kwestia czasu.

– Ale mimo to mógłbym zaryzykować i porozmawiać z tobą. Jeśli masz złą wolę, to mam pecha. Ale jeśli masz dobrą wolę, moglibyśmy dalej rozmawiać i w końcu połączyć się w jedną cywilizację.

– Dobrze, Da Shi. I tak doszliśmy do sedna. Wróćmy do aksjomatów cywilizacji kosmicznej. Nawet jeśli mam dobrą wolę, to czy jestem w stanie określić na początku komunikacji między nami, czy ty też ją masz?

– Oczywiście, że nie. Naruszałoby to pierwszy aksjomat.

– A więc co powinienem zrobić po otrzymaniu wiadomości od ciebie?

– Naturalnie określić, czy mam dobrą wolę czy złą. Jeśli złą, zniszczysz mnie. Jeśli dobrą, możemy kontynuować rozmowę.

Żarzący się punkt po stronie Luo Ji podniósł się i zaczął się przesuwać tam i z powrotem. Najwyraźniej Luo wstał i się przechadzał.

– Tak można zrobić na Ziemi, ale nie we Wszechświecie. A zatem wprowadźmy nowe, ważne pojęcie: ciąg podejrzeń.

– Dziwny termin.

– Ten termin to wszystko, co miałem na początku. Nie wyjaśniono mi jego znaczenia. Ale później wydedukowałem je z samych tych słów.

– Kto ci tego nie wyjaśnił?

– Później ci powiem. Idźmy dalej. Jeśli przypuszczasz, że mam dobrą wolę, to nie jest to jeszcze powód, żebyś czuł się bezpieczny, ponieważ zgodnie z pierwszym aksjomatem pokojowo nastawiona cywilizacja nie jest w stanie przewidzieć, czy inna ma takie same zamiary. Nie wiesz, czy

przypisuję ci dobrą czy złą wolę. Zresztą nawet jeśli wiesz, że uważam, że masz dobrą wolę, i ja też wiem, że uważasz, że uważasz, że mam dobrą wolę, nie wiem, co myślisz, że ja myślę o tym, że myślisz o mnie. Zawiłe to, prawda? A to dopiero trzeci poziom, bo można tak w nieskończoność.

– Chwytam, o co ci chodzi.

– To jest właśnie ciąg podejrzeń. Nie spotkasz się z czymś takim na Ziemi. Fakt, że wszyscy ludzie należą do tego samego gatunku, podobieństwa kulturowe, wzajemnie połączone ekosystemy i bliska odległość sprawiają, że ciąg podejrzeń wzniesie się na pierwszy czy drugi poziom, a potem dzięki komunikacji wszystko się wyjaśni. Ale w przestrzeni kosmicznej ten ciąg może być bardzo długi. Zanim zdąży się wszystko wyjaśnić, dojdzie do czegoś takiego jak bitwa ciemności.

Shi Qiang zaciągnął się papierosem i na chwilę z mroku wyłoniła się jego zamyślona twarz.

– Wygląda na to, że z tej bitwy możemy się wiele nauczyć.

– Masz rację. Pięć jednostek Statku Ziemia stworzyło namiastkę cywilizacji kosmicznej, namiastkę, nie taką prawdziwą cywilizację, bo obejmowała tylko jeden gatunek, ludzi, którzy byli blisko siebie. Ale i tak, gdy dostały martwą rękę, pojawił się ciąg podejrzeń. W rzeczywistej cywilizacji kosmicznej różnice biologiczne między różnymi grupami mogą być tak duże jak między królestwami, a kulturowe jeszcze większe, w stopniu przekraczającym naszą wyobraźnię. Dodaj do tego ogromne odległości między nimi i masz ciąg podejrzeń, który jest praktycznie nie do usunięcia.

– To znaczy, że wynik jest taki sam bez względu na to, czy nasza cywilizacja ma dobre czy złe zamiary?

– Zgadza się. To najważniejszy aspekt ciągu podejrzeń. Nie ma to związku z moralnością ani strukturą społeczną cywilizacji. Wystarczy

pomyśleć o wszystkich cywilizacjach jako o punktach na końcu tego ciągu. Kiedy cywilizacje znajdą się w sieci utworzonej przez ciąg podejrzeń, wszystkie stają się identyczne, bez względu na to, czy same w sobie są dobroduszne czy złośliwe.

– Ale jeśli jesteś dużo słabszy ode mnie, nie stanowisz dla mnie zagrożenia, więc zawsze mogę się z tobą skomunikować, prawda?

– To też nic nie da. W tym miejscu musimy wprowadzić drugie ważne pojęcie: gwałtowny rozwój technologii. Tego też mi nie wyjaśniono w pełni, ale łatwiej to było rozgryźć niż ciąg podejrzeń. Ludzka cywilizacja ma pięć tysięcy, a życie na Ziemi może kilka miliardów lat, ale współczesna technologia rozwinęła się w ciągu trzech stuleci. W skali Wszechświata to prawdziwa eksplozja! Potencjał do skoków technologicznych jest materiałem wybuchowym ukrytym w każdej cywilizacji i jeśli jakiś czynnik wewnętrzny lub zewnętrzny podpali lont, następuje eksplozja. Na Ziemi zajęło to trzysta lat, ale nie ma powodu, by uważać, że nasza cywilizacja rozwija się najszybciej ze wszystkich cywilizacji kosmicznych. Może są takie, gdzie do eksplozji technologii doszło szybciej. Jestem od ciebie słabszy, ale gdy dostanę od ciebie wiadomość i dowiem się o twoim istnieniu, powstanie między nami łańcuch podejrzeń. Jeśli w jakimś momencie przeżyję eksplozję technologiczną, dzięki której wysforuję się daleko przed ciebie, stanę się od ciebie silniejszy. W skali Wszechświata kilkaset lat to tyle, co pstryknięcie palcami. I może być tak, że iskrą, która doprowadziła do gwałtownego rozwoju, była moja wiedza o tym, że istniejesz, i informacja, którą otrzymałem od ciebie. Oznacza to, że nawet jeśli jestem świeżo narodzoną albo dopiero raczkującą cywilizacją, jestem dla ciebie dużym zagrożeniem.

Shi Qiang patrzył przez kilka sekund na żarzący się w ciemności koniuszek papierosa Luo Ji i zastanawiał się, a potem spojrzał na swój

papieros.

– A więc muszę milczeć.

– Myślisz, że to coś da?

Obaj się zaciągnęli. Żarzące się punkty pojaśniały i ich pogrążone w zadumie twarze wyłoniły się z mroku jak bogowie tego prostego Wszechświata.

– Nie – odparł w końcu Shi Qiang. – Jeśli jesteś ode mnie silniejszy, to skoro mnie udało się znaleźć ciebie, pewnego dnia tobie uda się znaleźć mnie. I wtedy powstanie między nami ciąg podejrzeń. Jeśli jesteś słabszy, w każdej chwili może dojść u ciebie do gwałtownego rozwoju technologii, i tu wracamy do pierwszego przypadku. Podsumowując: zarówno dopuszczenie do tego, byś dowiedział się o moim istnieniu, jak i dopuszczenie do tego, byś dalej istniał, jest dla mnie niebezpieczne i jest pogwałceniem pierwszego aksjomatu.

– Da Shi, masz naprawdę bystry umysł.

– Na razie mój mózg dotrzymuje ci kroku, ale dopiero zaczęliśmy.

Luo Ji długo milczał. Jego twarz wyłoniła się w blasku papierosa dwa czy trzy razy z ciemności, zanim powiedział:

– To nie jest początek, Da Shi. Nasze rozumowanie doprowadziło nas w końcu do pewnego wniosku.

– Do jakiego wniosku? Do niczego nie doszliśmy! Gdzie jest ten obraz cywilizacji kosmicznej, który obiecałeś mi pokazać?

– Jeśli ani komunikacja, ani milczenie nic nie da, gdy już dowiedziałeś się o moim istnieniu, to pozostaje tylko jedna możliwość.

W długiej ciszy, która potem nastąpiła, oba ogniki zgasły. Nie było najlżejszego powiewu wiatru i ponura cisza zgęstniała jak asfalt, łącząc niebo i pustynię w jedną mroczną całość. W końcu Shi Qiang wypowiedział jedno słowo:

– Kurwa!

– Rozszerz tę możliwość na miliardy miliardów gwiazd i setki milionów cywilizacji, a będziesz miał swój obraz – rzekł Luo Ji, kiwając w ciemności głową.

– To… to naprawdę ponury obraz.

– Prawdziwy Wszechświat jest właśnie taki. Mroczny. – Luo machnął ręką. Miał wrażenie, jakby dotknął aksamitu. – Wszechświat to ciemny las. Każda cywilizacja to uzbrojony łowca, który skrada się jak duch między drzewami, delikatnie odgarnia blokujące drogę gałęzie, stara się cicho wytropić zwierzynę. Nawet oddycha cicho. Musi być ostrożny, bo w lesie są inni myśliwi, którzy skradają się tak samo jak on. Jeśli znajdzie jakąś żywą istotę – myśliwego, anioła czy demona, delikatne dziecko albo idącego chwiejnym krokiem starca, wróżkę czy półboga – może zrobić tylko jedno: strzelić i usunąć ją. W tym lesie inni ludzie są piekłem. Zagrożeniem dla każdej żywej istoty, która zostanie szybko unicestwiona, jeśli ujawni swe istnienie. Oto obraz cywilizacji kosmicznej. Wyjaśnienie paradoksu Fermiego.

Shi Qiang zapalił drugiego papierosa, choćby po to, by uzyskać odrobinę światła.

– I w tym lesie znalazło się głupie dziecko, które nazywa się ludzkość. Rozpaliło ognisko, stoi przy nim i krzyczy: „Tutaj jestem! Tutaj jestem!” – ciągnął Luo Ji.

– Ktoś je usłyszał?

– To pewne. Ale na podstawie samych krzyków nie można określić, gdzie się znajduje. Ludzkość nie wysłała jeszcze we Wszechświat informacji o dokładnym położeniu Ziemi i Układu Słonecznego. Z tego, co już zostało wysłane, można się tylko dowiedzieć, w jakiej stronie Drogi Mlecznej się znajduje. Ich dokładne położenie nadal jest tajemnicą.

Ponieważ znajdujemy się na peryferiach Galaktyki, jesteśmy trochę bezpieczniejsi.

– To o co chodziło z tym urokiem?

– Wykorzystując Słońce jako wzmacniacz, wysłałem w kosmos trzy obrazy. Każdy zawierał trzydzieści punktów przedstawiających planarne odwzorowanie trójwymiarowego układu współrzędnych trzydziestu gwiazd. Łącząc na powrót te trzy obrazy w trójwymiarowy układ współrzędnych, otrzymuje się sześcienną przestrzeń, w której znajduje się tych trzydzieści punktów. Pokazuje to względne pozycje 187J3X1 i dwudziestu dziewięciu sąsiadujących z nią gwiazd. Jest tam też etykietka wskazująca 187J3X1. Przemyśl to dokładnie, a zrozumiesz, w czym rzecz. Łowca w ciemnym lesie, skradając się z zapartym tchem, zauważa nagle, że z drzewa przed nim został odłupany kawałek kory. Na tym przyciągającym wzrok białym placku zostało podane miejsce w lesie, zapisane znakami, które potrafi odczytać każdy myśliwy. Co pomyśli o tym miejscu? Na pewno nie wyobrazi sobie, że ktoś zostawił tam dla niego zapasy. Najprawdopodobniej ten znak wskazuje, że w tym miejscu jest żywy łup, istota, którą trzeba unicestwić. Nieważne, co skłoniło kogoś do zostawienia tego śladu. Ważne jest, że ta martwa ręka tak mocno napięła nerwy wszystkich mieszkańców ciemnego lasu, że lada moment mogą pęknąć, a najszybciej temu, który jest najczujniejszy. Załóżmy, że w lesie jest milion łowców, tylu, ile cywilizacji na miliardach miliardów gwiazd w Drodze Mlecznej. Niech ten ślad zignoruje dziewięćset tysięcy. Niech dziewięćdziesiąt tysięcy z pozostałych sprawdzi to miejsce i po upewnieniu się, że nie ma tam żadnego życia, też to zignoruje. Ale zostanie dziesięć tysięcy tych, którzy na pewno postanowią ostrzelać to miejsce, bo dla cywilizacji na pewnym poziomie rozwoju technologicznego atak może być bezpieczniejszym rozwiązaniem i nie niesie ze sobą kłopotów związanych

ze sprawdzaniem. Jeśli w tym miejscu rzeczywiście nic nie ma, to żadna strata. No i teraz – zakończył Luo Ji – pojawił się ten łowca.

– Tego twojego uroku nie da się już więcej przesłać, prawda?

– Prawda, Da Shi. Urok trzeba rozesłać po całej Galaktyce, ale teraz, gdy odcięto nam dostęp do Słońca, nie da się już tego zrobić.

– Czyżby ludzkość była o krok w tyle? – Shi Qiang wyrzucił niedopałek, a ten zatoczył łuk w ciemności, rzucając przez chwilę mały krąg światła na piasek.

– Nie. Pomyśl tylko, co by się stało, gdyby nie odcięto nam dostępu do Słońca i zagroziłbym Trisolarianom, że rzucę na nich urok.

– Zostałbyś ukamienowany jak Rey Diaz. A potem wprowadzono by zakaz myślenia w takich kategoriach.

– Zgadza się, Da Shi. Skoro ujawniliśmy już, jaka jest odległość między Układem Słonecznym i Trisolaris i po jakiej stronie Drogi Mlecznej się znajdujemy, ujawnienie położenia Trisolaris byłoby równoznaczne z ujawnieniem położenia Układu Słonecznego. To samobójcza strategia. Może jesteśmy o krok w tyle, ale ludzkość nigdy nie zrobiłaby tego kroku.

– Powinieneś był wtedy postraszyć Trisolaris.

– To wszystko było zbyt dziwne. Nie byłem pewien, czy mam dobry pomysł, więc musiałem to sprawdzić. Poza tym mieliśmy wtedy dużo czasu. Ale prawdziwy powód był taki, że nie miałem dość siły psychicznej, by to zrobić. I nie sądzę, że miałby ją ktoś inny.

– Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że nie powinniśmy byli odwiedzać dzisiaj burmistrza. Jeśli świat się o tym dowie, sytuacja stanie się jeszcze bardziej beznadziejna. Przypomnij sobie, jak skończyli dwaj pierwsi Wpatrujący się w Ścianę.

– Masz rację. To samo stałoby się ze mną, więc mam nadzieję, że żaden z nas nic nikomu nie powie. Ale jeśli chcesz, możesz. Jak powiedział mi

ktoś kiedyś: „Tak czy inaczej spełniłem swój obowiązek”.

– Nie martw się, mój chłopcze. Nic nie powiem.

– Niezależnie od tego nie ma żadnej nadziei.

Poszli wzdłuż wału do szosy, gdzie było trochę jaśniej. Mimo to oślepiły ich nawet światła osiedla, chociaż były dalekie i rzadkie.

– Jeszcze jedno. Ta osoba, o której wspomniałeś?

Luo Ji zawahał się.

– Mniejsza z tym. Wystarczy, żebyś wiedział, że to nie ja wymyśliłem aksjomaty cywilizacji kosmicznej i teorię ciemnego lasu.

– Jutro jadę do miasta do pracy w magistracie. Jeśli w przyszłości będziesz potrzebował mojej pomocy, daj mi znać.

– Da Shi, pomogłeś mi aż nadto. Ja też jadę jutro do miasta, do Biura Imigracji Hibernacyjnej, żeby zająć się swoją rodziną.

Wbrew oczekiwaniom Luo Ji w Biurze Imigracji Hibernacyjnej powiedziano mu, że obudzenie Zhuang Yan i Xia Xii jest wciąż wstrzymane, a dyrektor biura dał mu jasno do zrozumienia, że jego władza jako Wpatrującego się w Ścianę tam nie sięga. Skonsultował się z Hinesem i Jonathanem, którzy nie znali szczegółów sytuacji, ale powiedzieli mu, że w poprawionej uchwale o Wpatrujących się w Ścianę znajduje się zapis, który mówi, że ONZ i Komisja do sprawy realizacji tego programu mogą podjąć wszelkie niezbędne kroki w celu zadbania o to, by Wpatrujący się w Ścianę skupiał się wyłącznie na swojej pracy. Znaczyło to, że po dwustu latach ONZ znowu wykorzystuje jego sytuację jako narzędzie przymusu i środek kontroli jego poczynań.

Luo Ji wystąpił z żądaniem, by osiedle hibernatów, w którym mieszkał, pozostało w obecnym stanie i by nie nachodził go nikt z zewnątrz.

Dokładnie je spełniono. Środki masowego przekazu i pielgrzymów trzymano z dala od Piątej Wsi Nowego Życia i gdy przywrócono spokój, wszystko tam wyglądało tak, jakby nic szczególnego się nie zdarzyło.

Dwa dni później Luo Ji wziął udział w pierwszym spotkaniu w ramach przywróconego programu Wpatrujących się w Ścianę. Nie poleciał do podziemnej siedziby ONZ w Ameryce Północnej, lecz uczestniczył w zebraniu za pomocą łącza wideo, siedząc w swoim urządzonym po spartańsku mieszkaniu w Piątej Wsi Nowego Życia, oglądając wszystko w zwykłym telewizorze.

– Wpatrujący się w Ścianę Luo Ji, jesteśmy gotowi stawić czoło pańskiej złości – powiedział przewodniczący.

– Moje serce się wypaliło – odparł Luo, półleżąc leniwie na kanapie. – Nie ma w nim już miejsca na złość.

Przewodniczący skinął głową.

– To wspaniałe podejście. Jednak Komisja uważa, że powinien pan wyjechać ze swojej wioski. Ta malutka miejscowość nie jest godna być centrum dowodzenia obroną Układu Słonecznego.

– Słyszał pan o Xibaipo? To jeszcze mniejsza wioska niedaleko stąd. Ponad dwieście lat temu założyciele naszego kraju przypuścili stamtąd największą ofensywę w naszej historii[7].

Przewodniczący potrząsnął głową.

– Najwyraźniej w ogóle się pan nie zmienił. Dobrze. Komisja szanuje pańskie nawyki i wybory. Powinien się pan zabrać do pracy. Chyba nie będzie tak jak dawniej, kiedy mówił pan, że zawsze jest w pracy?

– Nie mogę się zabrać do pracy. Nie ma już do niej warunków. Możecie zaprząc moc gwiazd do tego, by przesłały rzucony przeze mnie urok we Wszechświat?

– Wie pan, że to niemożliwe – powiedział przedstawiciel Floty Azjatyckiej. – Kropla stale blokuje przekazy radiowe na Słońce. I przewidujemy, że nie przestanie wcześniej niż za parę lat, a wtedy do Układu Słonecznego dotrze pozostałych dziewięć.

– Wobec tego nie mogę nic zrobić.

– Nie, Wpatrujący się w Ścianę Luo Ji. Nie zrobił pan do tej pory jednej ważnej rzeczy. Nie ujawnił pan ONZ i PKFS sekretu tego uroku. Jak pan go użył dla zniszczenia gwiazdy?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– A gdyby było to warunkiem obudzenia pańskiej żony i dziecka?

– To podłość.

– To poufne spotkanie. Poza tym we współczesnym społeczeństwie nie ma miejsca dla programu Wpatrujących się w Ścianę. Wznowienie tego programu oznacza, że nadal obowiązują wszystkie decyzje podjęte dwieście lat temu przez Komisję ONZ. Zgodnie z tymi rezolucjami Zhuang Yan i wasze dziecko zostaną obudzone przed bitwą w dniu Sądu Ostatecznego.

– A nie stoczyliśmy niedawno tej bitwy?

– Flota Międzynarodowa i Ziemia Międzynarodowa tak nie sądzą, ponieważ nie przybyła jeszcze główna flota Trisolarian.

– Moim obowiązkiem jako Wpatrującego się w Ścianę jest utrzymanie tego uroku w sekrecie. W przeciwnym razie ludzkość może stracić ostatnią nadzieję, chociaż być może ta nadzieja już zniknęła.

Po zebraniu Luo Ji zamknął się w domu i pił przez wiele dni. Od czasu do czasu widziano, jak wychodzi w zmiętym ubraniu i z długą brodą. Wyglądał jak włóczęga.

Kiedy zwołano następne spotkanie w sprawie programu Wpatrujących się w Ścianę, Luo Ji ponownie wziął w nim udział bez opuszczania mieszkania.

– Wpatrujący się w Ścianę Luo Ji, pana stan nas martwi – powiedział przewodniczący, gdy zobaczył go rozczochranego i zaniedbanego.

Przesunął kamerą po pokoju i zgromadzenie zobaczyło, że jest on zawalony pustymi butelkami.

– Powinien się pan zabrać do pracy, choćby tylko po to, by wrócić do normalnego stanu psychicznego – rzekł przedstawiciel Wspólnoty Europejskiej.

– Wie pan, co przywróci mnie do normalności.

– Obudzenie pana żony i dziecka nie jest aż tak ważne – odezwał się przewodniczący. – Nie chcemy tego wykorzystywać dla sterowania panem. Wiemy, że nie da pan sobą sterować. Ale jest to rezolucja podjęta przez poprzednią Komisję, więc jej zmiana wiąże się z pewnymi trudnościami. Sprowadza się to do jednego: musi pan spełnić pewien warunek.

– Odrzucam ten warunek.

– Nie, nie, doktorze Luo, niech pan mnie posłucha. Mamy teraz inny warunek.

Na te słowa oczy Luo pojaśniały. Usiadł prosto na kanapie.

– A ten warunek to…

– Warunek jest prosty. Nie mógłby być prostszy. Musi pan coś zrobić – cokolwiek.

– Poza wysłaniem uroku we Wszechświat, co jest niemożliwe, nie mogę nic zrobić.

– Musi pan coś wymyślić.

– Chce pan powiedzieć, że może to być coś bez znaczenia?

– Jeśli tylko ogół będzie uważać, że jest to ważne. W jego oczach jest pan albo rzecznikiem siły kosmicznej sprawiedliwości, albo zesłanym przez niebo aniołem pokoju. W najgorszym razie można wykorzystać te

przypisywane panu tożsamości do ustabilizowania sytuacji. Ale jeśli nie zrobi pan nic, po pewnym czasie ogół straci wiarę w pana.

– Stabilizowanie sytuacji w ten sposób jest niebezpieczne. Doprowadzi do niekończących się kłopotów.

– Ale konieczne. Za trzy lata dotrze do Układu Słonecznego dziewięć kropli i musimy się na to przygotować.

– Naprawdę nie chcę trwonić zasobów.

– Wobec tego Komisja da panu pewne zadanie. Takie, które nie doprowadzi do roztrwonienia zasobów. Proszę szefa PKFS, żeby to panu wyjaśnił.

Przewodniczący Komisji skinął do przewodniczącego Połączonego Kolegium, który też brał udział w spotkaniu przez łącze wideo. Znajdował się w jakimś obiekcie w przestrzeni kosmicznej, bo widać było gwiazdy powoli przesuwające się za szerokim oknem za nim.

– Moment przylotu dziewięciu kropli do Układu Słonecznego ustaliliśmy wyłącznie na podstawie obliczeń ich prędkości i przyspieszenia, zrobionych cztery lata temu podczas ich przechodzenia przez ostatni obłok pyłu międzygwiezdnego – zaczął przewodniczący Połączonego Kolegium. – Tamte sondy różnią się od tej, która już tu jest, tym, że ich silniki nie emitują światła. Nie wytwarzają także żadnych innych fal elektromagnetycznych o wysokiej częstotliwości, dzięki którym można by ustalić ich położenie. Prawdopodobnie jest to reakcja na wykrycie przez nas pierwszej kropli. Umiejscowienie i śledzenie takich małych, ciemnych ciał w przestrzeni kosmicznej jest niewiarygodnie trudne, więc nie wiemy, kiedy dotrą do Układu Słonecznego. Nie wiemy nawet, jak odkryć, że już dotarły.

– A co ja mogę zrobić? – zapytał Luo Ji.

– Mamy nadzieję, że pokieruje pan programem Śnieg.

– Co to takiego?

– Z bomb wodorowych i warstewki oleju z pierścieni Neptuna stworzymy obłoki pyłu międzygwiezdnego, w których te krople zostawią ślady podczas przelotu.

– Chyba pan żartuje. Musi pan wiedzieć, że w sprawach przestrzeni kosmicznej nie jestem kompletnym ignorantem.

– Owszem, wiem, że był pan kiedyś astronomem. I właśnie dzięki temu ma pan odpowiednie kwalifikacje do pokierowania tym programem.

– Ostatnim razem udało się nam stworzyć obłok pyłu dlatego, że znana była w przybliżeniu droga obiektu. Teraz jednak nie wiemy nic. Jeśli tych dziewięć kropli przyspieszy albo zmieni kurs, kiedy będą nadal niewidoczne, to mogą wlecieć do Układu Słonecznego z zupełnie innej strony! Gdzie chce pan umieścić ten obłok pyłu?

– Z każdej strony.

– To znaczy, że ma pan zamiar otoczyć obłokiem pyłu cały Układ Słoneczny? W takim razie to pana zesłał tu Bóg.

– To niemożliwe, ale możemy stworzyć pierścień pyłu w płaszczyźnie ekliptyki między pasem asteroid i Jowiszem.

– A jeśli krople wlecą poza tą płaszczyzną ekliptyki?

– Na to nie można nic poradzić. Ale z punktu widzenia aerodynamiki, jeśli grupa kropli chce dotrzeć do każdej planety w Układzie Słonecznym, to największe szanse ma na to, jeśli wejdzie w płaszczyźnie ekliptyki. Tak zrobiła pierwsza kropla. A wtedy w obłoku pyłu zachowają się ich ślady i system śledzenia optycznego będzie mógł je namierzyć.

– Ale po co?

– Będziemy przynajmniej wiedzieli, że wleciały do Układu Słonecznego. Mogą uderzyć w obiekty cywilne w przestrzeni kosmicznej, więc trzeba będzie przywołać wszystkie statki kosmiczne, przynajmniej te, które znajdą

się na ich drodze. No i ewakuuje się na Ziemię mieszkańców kosmicznych miast, bo one będą łatwymi celami.

– Jest jeszcze jedna, ważniejsza sprawa – wtrącił przewodniczący Komisji do spraw Programu Wpatrujących się w Ścianę. – Chodzi o wytyczenie dróg możliwego wycofania naszych statków kosmicznych w głąb kosmosu.

– Wycofania w głąb kosmosu? Czyżbyśmy mówili o eskapizmie?

– Skoro musi pan używać tej nazwy.

– A dlaczego nie zacząć uciekać już teraz?

– Nie pozwalają na to obecne uwarunkowania polityczne. Kiedy jednak grupa kropli zbliży się do Ziemi, ucieczka może zostać zaakceptowana przez społeczność międzynarodową. Oczywiście to tylko możliwość, ale ONZ i floty muszą się do tego przygotować.

– Rozumiem. Ale naprawdę nie jestem potrzebny do realizacji programu Śnieg.

– Jest pan. Rozpylenie obłoku pyłu nawet na orbicie Jowisza jest ogromnym przedsięwzięciem i będzie wymagało rozmieszczenia prawie dziesięciu tysięcy gwiezdnych bomb wodorowych i ponad dziesięciu milionów ton warstewki oleju oraz utworzenia wielkiej floty kosmicznej. Żeby to zrobić w ciągu trzech lat, będziemy musieli wykorzystać pana obecną pozycję i prestiż oraz skoordynować działania i zasoby dwóch organizacji międzynarodowych.

– Kiedy je obudzicie, jeśli się zgodzę podjąć tego zadania?

– Gdy tylko zacznie się realizacja tego programu. Jak powiedziałem, nie będzie to żaden problem.

Ale program Śnieg nie został nigdy w pełni zrealizowany. Nie były nim zainteresowane dwie organizacje międzynarodowe. Ludzie chcieli strategii globalnego ocalenia, nie planu, zgodnie z którym dowiedzieliby się o przybyciu wroga tylko po to, by przed nim uciec. Poza tym wiedzieli, że nie jest to pomysł Wpatrującego się w Ścianę, lecz plan ONZ i PKFS, które tylko wykorzystały jego autorytet. Realizacja tego planu spowodowałaby stagnację w całej gospodarce kosmicznej i doprowadziłaby do recesji w gospodarce na Ziemi i we flocie. Na dodatek, wbrew przewidywaniom ONZ, w miarę zbliżania się kropli eskapizm stawał się w oczach ogółu coraz wstrętniejszą postawą, więc organizacje te nie chciały płacić tak wysokiej ceny za niepopularny plan. W rezultacie zarówno budowanie floty do zebrania warstewki oleju na Neptunie, jak i produkcja bomb wodorowych, które miały uzupełnić istniejące od czasów Wielkiego Jaru, a nieprzekraczające tysiąca sztuk zapasy, posuwały się bardzo wolno.

Ale Luo Ji zaangażował się w to całą duszą. Początkowo ONZ i PKFS chciały tylko wykorzystać jego prestiż dla zdobycia potrzebnych im zasobów, ale on potraktował swoje zadanie poważnie i zajął się wszystkimi szczegółami. Przez niejedną bezsenną noc pracował ramię w ramię z naukowcami i inżynierami z komitetu technicznego i podsuwał im wiele pomysłów. Zaproponował na przykład, by w każdej bombie zainstalowano mały międzygwiezdny silnik jonowy, który dawałby im pewną swobodę w manewrowaniu na orbicie i dostosowywaniu się w ten sposób do gęstości obłoku. Co ważniejsze, mogły też one zostać użyte jako broń zaczepna. Nazwał je „minami kosmicznymi” i dowodził, że chociaż okazały się nieskuteczne wobec kropli, mogą się przydać w starciu ze statkami Trisolarian, bo nie wiadomo było, czy one też zbudowane są z tak odpornego materiału jak sondy. Osobiście wyznaczył miejsca rozmieszczenia wszystkich bomb. Być może z punktu widzenia

współczesnej technologii pomysły te mogły być naiwne i odzwierciedlać stan wiedzy z dwudziestego pierwszego wieku, ale dzięki jego prestiżowi i pozycji Wpatrującego się w Ścianę zostały wcielone w życie.

Program Śnieg stał się dla niego ucieczką od rzeczywistości, ale im więcej się temu oddawał, tym bardziej rosło jego rozczarowanie światem. Wszyscy wiedzieli, że poświęca czas i energię temu w sumie nieważnemu programowi tylko po to, by jak najszybciej ponownie spotkać się z żoną i dzieckiem. Świat czekał na plan zbawienia, który nigdy nie przybrał materialnych kształtów. Luo Ji stale powtarzał w środkach masowego przekazu, że skoro nie może wykorzystać siły Słońca dla przesłania uroku, nie jest w stanie nic zrobić.

Program wstrzymano po półtora roku, a w tym czasie zebrano zaledwie półtora miliona ton warstewki oleju z Neptuna. Nawet łącznie z 600 tysiącami ton zgromadzonych w ramach Parasola Mgły było to dalekie od ilości potrzebnej do realizacji tego programu. Na orbicie oddalonej od Słońca o dwie jednostki astronomiczne rozmieszczono w warstewce oleju 3614 gwiezdnych bomb wodorowych. Nie stanowiło to nawet jednej piątej tego, co zakładano. Po zdetonowaniu utworzyłyby, zamiast ciągłego pasa, wiele niepołączonych ze sobą obłoków orbitujących wokół Słońca, co znacznie ograniczało ich skuteczność jako systemu ostrzegania.

W tej epoce rozczarowanie pojawiało się równie często jak nadzieja, więc po półtora roku ludzie stracili wiarę we Wpatrującego się w Ścianę Luo Ji.

Na zebraniu Międzynarodowej Unii Astronomicznej, ciała, które po raz ostatni przyciągnęło uwagę ogółu w 2006 roku, kiedy odebrało Plutonowi status planety, duża liczba astronomów i astrofizyków przychyliła się do zdania, że unicestwienie 187J3X1 było dziełem przypadku. Według nich Luo Ji, jako astronom, mógł zauważyć oznaki zwiastujące wybuch tej

gwiazdy. W tej teorii było pełno luk, ale zaczynało w nią wierzyć coraz więcej ludzi, co nadwątliło prestiż Luo Ji. Z mesjasza stał się zwykłym człowiekiem, a potem oszustem. Wprawdzie nadal piastował nadaną mu przez ONZ godność Wpatrującego się w Ścianę, ale nie miał już rzeczywistej władzy.

1 Liu Buchan był dowódcą okrętu flagowego floty Beiyang, krążownika *Dingyuan*, podczas wspomnianej wcześniej bitwy pod Weihaiwei w lutym 1895 r.

2 W przypisywanej Ma Zhongxi, pisarzowi z czasów dynastii Ming, baśni *Wilk z Zhongshan* mistrz Dongguo lituje się nad głodnym, tropionym przez myśliwych wilkiem i chowa go do worka. Gdy myśliwi się oddalają i Dongguo wypuszcza wilka z worka, ten grozi, że go zje, ale daje się przekonać, by sprawę rozstrzygnęła trzecia strona. Wysłuchawszy opowieści o tym, co się stało, stary rolnik stwierdza, że jest niemożliwe, by wilk zmieścił się w worku. Wilk wchodzi z powrotem do worka, po czym rolnik zawiązuje worek i tłucze go motyką na śmierć.

3 Xi Shi, zwana również Xizi, była jedną z czterech piękności starożytnych Chin i mieszkała koło Hangzhou. Kojarzone jest z nią Jezioro Zachodnie (Xi Hu) w Hangzhou.

4 Oddziaływanie silne jest jednym z czterech oddziaływań podstawowych i wiąże ze sobą cząstki elementarne. Jest około stu razy silniejsze od elektromagnetyzmu, ale skuteczne tylko na odległość mniejszą od jednego femtometra.

5 Ten popularny cytat to ślubowanie bodhisattwy Ksitigarbhy (chiń. Dizang Pusa), że nie osiągnie stanu Buddy, dopóki nie doprowadzi do oświecenia wszystkich żywych istot.

6 Punkty Lagrange’a to pięć miejsc, w których obiekt o małej masie, podlegający tylko grawitacji, może pozostawać w spoczynku względem dwóch większych ciał.

7 Siły komunistyczne wyparte w 1947 roku z Yan’an przez nacjonalistów założyły bazę w Xibaipo, wiosce u podnóża gór Taihang w północno-zachodniej prowincji Hebei. Stamtąd w latach 1948 i 1949 przeprowadziły kampanie Liaoshen, Huaihai i Pingjin, decydującą ofensywę, która wyparła nacjonalistów z północnych Chin.

208 rok ery kryzysu

Odległość floty trisolariańskiej od Układu Słonecznego: 2,07 lat świetlnych

Pewnego zimnego, deszczowego popołudnia rada mieszkańców Piątej Wsi Nowego Życia podjęła następującą decyzję: Luo Ji zostanie usunięty z osiedla, ponieważ zakłóca normalne życie mieszkańców. Często wyjeżdżał w sprawach związanych z programem Śnieg, ale przez większość czasu przebywał w wiosce i z domu kontaktował się z różnymi jednostkami biorącymi udział w tym projekcie. Gdy osłabła jego pozycja, wzrosła liczba incydentów. Co pewien czas przed jego domem zbierały się tłumy osób, które z niego szydziły albo rzucały w jego okno kamieniami. Były to widowiska tak przyciągające uwagę środków masowego przekazu, że ich wysłanników było tylu, ilu protestujących. Jednak prawdziwym powodem wydalenia Luo Ji było to, że zawiódł hibernatów.

Wieczorem, po zebraniu, do domu Luo Ji przyszła kierowniczka komitetu osiedlowego, by poinformować go o decyzji rady. Po wielokrotnym naciśnięciu dzwonka pchnęła niezamknięte drzwi i omal się nie udusiła od wypełniającej pokój mieszaniny oparów alkoholu, dymu papierosowego i potu. Zauważyła, że ściany zostały przekształcone w powierzchnie informacyjne w miejskim stylu, i wystarczyło stuknąć w którąś z nich, by ukazał się ekran. Pokryte były bezlikiem chaotycznych obrazów, z których większość przedstawiała skomplikowane dane i krzywe, ale na największym widać było zawieszoną w przestrzeni kosmicznej kulę

– gwiezdną bombę wodorową spowitą warstewką oleju. Przypominała ona szklaną kulkę, jakimi grały dzieci w czasach Luo. Powoli się obracała. W jednym miejscu była na niej niewielka wypukłość – silnik jonowy – a w jej gładkiej powierzchni odbijało się małe słońce. Za sprawą wszystkich tych oślepiających ekranów pokój wyglądał jak jarmarczne pudełko. Lampy były wyłączone, więc jedynym źródłem światła były te ekrany. Zalewały pomieszczenie rozmytymi kolorami, tak że trudno było się zorientować, co jest materialnym przedmiotem, a co obrazem.

Kiedy wzrok kierowniczki przystosował się do półmroku, zobaczyła, że mieszkanie wygląda jak nora narkomana – na podłodze walały się butelki i niedopałki papierosów, leżały na niej jak sterty śmieci stosy zabrudzonych popiołem ubrań. W końcu udało się jej dostrzec w tym bałaganie Luo. Leżał skulony w rogu, czarny na tle obrazów jak odrzucona na bok uschnięta gałąź. Najpierw pomyślała, że śpi, ale potem zauważyła, że wpatruje się niewidzącym wzrokiem w stertę śmieci na podłodze. Miał przekrwione oczy, wymizerowaną twarz i był tak wychudzony, że zdawało się, iż jego ciało nie potrafi się utrzymać w pozycji pionowej. Gdy usłyszał kierowniczkę, pozdrowił ją i powoli obrócił się do niej, potem tak samo wolno kiwnął do niej głową, dzięki czemu wiedziała, że jeszcze żyje. Ale przytłaczały go dwa wieki cierpienia.

Kierowniczka nie okazała ani odrobiny współczucia temu całkowicie wyżętemu człowiekowi. Podobnie jak inni ludzie jej epoki, zawsze uważała, że bez względu na to, jak ponury wydaje się świat, w jakimś niewidzialnym miejscu istnieje sprawiedliwość. Luo Ji najpierw uprawomocnił to przekonanie, a potem je zniszczył, więc jej rozczarowanie zmieniło się we wstyd, a następnie złość. Powiadomiła go chłodno o decyzji mieszkańców.

Luo Ji po raz drugi kiwnął głową, a potem z trudem wydusił słowa ze spuchniętego gardła:

– Jutro wyjadę. Powinienem wyjechać. Jeśli zrobiłem coś złego, proszę o wybaczenie.

Kierowniczka pojęła właściwe znaczenie jego ostatnich słów dopiero dwa dni później.

Prawdę mówiąc, Luo i tak miał zamiar wyjechać tego wieczoru. Po wyjściu kierowniczki komitetu osiedlowego wstał niepewnie i poszedł do łazienki po torbę podróżną. Spakował do niej kilka rzeczy, włącznie z łopatą o krótkim trzonku, którą znalazł w rupieciarni. Jej trójkątna rączka wystawała z torby. Potem podniósł z podłogi i włożył brudną kurtkę, zarzucił torbę na plecy i wyszedł. Zostawił włączone ekrany.

Korytarz był pusty, ale u podnóża schodów Luo natknął się na dziecko wracające prawdopodobnie do domu ze szkoły, które popatrzyło na niego z dziwną, nieodgadnioną miną. Na dworze stwierdził, że pada deszcz, ale nie chciał wracać po parasol.

Nie poszedł po swój samochód, bo zwróciłoby to uwagę strażników. Opuścił wioskę, nie spotykając po drodze nikogo. Przeszedł przez chroniący wioskę przed piaskiem pas lasu i znalazł się na pustyni. Krople deszczu gładziły jego twarz jak zimne, pieszczotliwe dłonie. O zmierzchu pustynia i niebo były zamglone jak puste miejsce na tradycyjnym chińskim malowidle. Wyobraził sobie siebie w tej pustej przestrzeni jak na obrazie, który zostawiła mu Zhuang Yan.

Dotarł do szosy i po kilku minutach udało mu się zatrzymać samochód. Podróżująca nim trzyosobowa rodzina chętnie wzięła go do środka. Byli to hibernaci w drodze do starego miasta. Dziecko było małe, jego matka młoda. Siedzieli na przednim fotelu, upchnięci koło ojca i męża, który prowadził, i rozmawiali szeptem. Od czasu do czasu dziecko wtulało głowę

między matczyne piersi i wtedy wszyscy wybuchali śmiechem. Luo Ji przyglądał się im jak zauroczony, ale nie słyszał, co mówili, bo grała muzyka. Były to stare utwory z dwudziestego wieku. Słuchał ich i po pięciu czy sześciu, wśród których były *Katiusza* i *Kalinka*, zapragnął usłyszeć piosenkę *Tonkaja riabina*. Śpiewał ją swej wyimaginowanej kochance na tamtej wiejskiej scenie przed dwustu laty, a potem z Zhuang Yan na brzegu jeziora, w którym odbijały się pokryte śniegiem szczyty.

I wtedy reflektory jadącego z naprzeciwka samochodu oświetliły tylne siedzenie akurat w chwili, gdy dziecko tam spojrzało. Odwróciło się, by mu się lepiej przyjrzeć, i krzyknęło:

– On wygląda jak ten Wpatrujący się w Ścianę!

Jego rodzice też się odwrócili i Luo musiał przyznać, że to rzeczywiście on.

W tym momencie z radia popłynęła *Tonkaja riabina*.

Samochód stanął.

– Wysiadaj – powiedział chłodno ojciec, a dziecko i jego matka przyglądali się mu z minami zimnymi jak jesienny deszcz na zewnątrz.

Luo Ji się nie poruszył. Chciał wysłuchać piosenki.

– Proszę wysiąść – powiedział mężczyzna, a Luo wyczytał w jego oczach: „To nie twoja wina, że nie potrafisz uratować świata, ale danie mu nadziei tylko po to, by ją potem zniszczyć, jest niewybaczalnym grzechem”.

Musiał więc wysiąść. Za nim wyrzucono jego torbę. Gdy samochód odjechał, biegł za nim przez kilka metrów w nadziei, że usłyszy jeszcze kawałek piosenki, ale jej dźwięki zniknęły w zimnej deszczowej nocy.

Luo Ji był już na skraju starego miasta. W oddali widać było wysokie budynki wzniesione w przeszłości, a nieliczne rozproszone światła w ich oknach wyglądały jak samotne oczy. Podszedł do przystanku autobusowego

i chroniony wiatą przed deszczem czekał prawie godzinę na autobus bez kierowcy, który jechał tam, gdzie chciał dotrzeć. W autobusie było prawie pusto, sześć czy siedem osób, które w nim siedziały, wyglądało na hibernatów. Nikt się nie odzywał, siedzieli w milczeniu w mroku jesiennego wieczoru. Podróż przebiegała gładko, aż, po ponad godzinie, znowu ktoś go rozpoznał. Pasażerowie jednogłośnie poprosili go, by wysiadł. Odparł, że zapłacił za bilet, więc na pewno ma prawo jechać, ale wtedy jakiś siwowłosy staruszek wyjął dwie – rzadko widywane w tych czasach – monety i rzucił mu je. Musiał więc w końcu wysiąść.

Kiedy autobus ponownie ruszył, ktoś wychylił głowę przez okno i zapytał:

– Wpatrujący się w Ścianę, po co ci ta łopata?

– Po to, żeby wykopać sobie grób – odparł Luo Ji, wzbudzając śmiech pasażerów.

Nikt z nich nie wiedział, że Luo mówi prawdę.

Nadal siąpił deszcz. Nie mógł już liczyć na żaden samochód, ale na szczęście był blisko celu. Zarzucił torbę na plecy i ruszył przed siebie. Po półgodzinie skręcił z drogi na ścieżkę. Z dala od latarń ulicznych było dużo ciemniej, wyjął więc z torby latarkę, by sobie przyświecić. Ścieżka stawała się coraz trudniejsza, jego przemoczone buty pluskały po ziemi. Co jakiś czas potykał się i padał w błoto, które w końcu pokryło całe jego ciało, więc musiał wyjąć łopatę, by się nią podpierać. Widział przed sobą tylko deszcz i mgłę, ale wiedział, że idzie we właściwym kierunku.

Po godzinie dotarł na cmentarz. Był on w połowie przysypany piaskiem, druga połowa, na nieco wyższym gruncie, była nadal widoczna. Przyświecając sobie latarką, obejrzał rzędy grobów. Na najbardziej okazałe nie zwracał uwagi. Światło latarki odbijało się w mokrych od deszczu kamiennych pomnikach niczym jarzące się oczy. Zauważył, że wszystkie

nagrobki zostały wzniesione pod koniec dwudziestego i na początku dwudziestego pierwszego wieku. Ludzie, którzy tam spoczęli, byli szczęśliwcami – w swoich ostatnich chwilach na pewno wierzyli, że świat, na którym żyli, pozostanie taki wiecznie.

Nie miał wielkiej nadziei, że znajdzie grób, którego szukał, ale okazało się, że się mylił. Dziwne było to, że choć minęło dwieście lat, rozpoznał go, nie przeczytawszy napisu na pomniku. Może spowodował to deszcz, ale nie było na nim widać, że upłynęło tyle czasu. Napis GRÓB YANG DONG wyglądał, jakby wyryto go wczoraj. Obok grobu córki znajdował się grób Ye Wenjie, który różnił się tylko napisem. Na nagrobku Ye Wenjie wypisane były tylko daty jej urodzin i śmierci, co przypomniało mu małą tabliczkę w ruinach bazy Czerwony Brzeg, pamiątkę ku czci tych, których zapomniano. Oba nagrobki stały w milczeniu w nocnym deszczu, jakby czekały na jego przyjście.

Poczuł się zmęczony, więc usiadł przy grobie Ye Wenjie, ale wkrótce zaczął się trząść z zimna. Chwycił łopatę i obok grobów matki i córki zaczął kopać grób dla siebie.

Najpierw kopanie w mokrej ziemi nie wymagało dużego wysiłku, ale głębiej okazała się ona twarda i pełna kamieni. Miał wrażenie, że drąży tunel w zboczu góry. Poczuł jednocześnie moc i niemoc czasu – może przez dwieście lat wiatr naniósł tam tylko cienką warstwę piasku, ale w długiej epoce geologicznej, gdy nie było jeszcze ludzi, powstało wzniesienie, w którym znajdowały się teraz te groby. Kopał z trudem, często robiąc przerwy na odpoczynek.

Koło północy deszcz przestał padać, chmury nieco się przerzedziły, ukazując rozgwieżdżone niebo. Były to najjaśniejsze gwiazdy, jakie zobaczył Luo Ji od chwili przebudzenia się w nowej epoce. Te same gwiazdy, na które przed dwustu dziesięcioma laty patrzył z Ye Wenjie.

Teraz widział tylko je i nagrobki, największe symbole wieczności.

W końcu opuściły go siły. Spojrzawszy na dół, który wykopał, stwierdził, że jest trochę za płytki na grób, ale będzie musiał wystarczyć. W końcu robił to tylko po to, by przypomnieć innym, że chciałby tam być pogrzebany. Najprawdopodobniej i tak znajdzie się w krematorium, gdzie jego ciało zostanie spalone, a prochy porzucone w jakimś nieznanym miejscu. Ale nie było to ważne. Pewnie tuż po śmierci jego szczątki spłoną w dużo większym ogniu, który pochłonie świat, i zostaną zredukowane do pojedynczych atomów.

Oparł się plecami o nagrobek Ye Wenjie i szybko zasnął. Może spowodowało to zimno, ale znowu przyśniły się mu ośnieżone pola. Zobaczył na nich Zhuang Yan w szalu koloru ognia, z Xia Xią na rękach. Mówiły coś do niego bezgłośnie. Krzyknął do nich z rozpaczą, by odeszły, bo uderzy tam kropla, ale jego struny głosowe nie wydawały żadnych dźwięków. Wydawało się, jakby cały świat oniemiał. Odniósł jednak wrażenie, że Zhuang Yan zrozumiała, co chciał jej przekazać, bo odeszła z dzieckiem, zostawiając na śniegu sznur śladów jak delikatne kropki postawione tuszem na tradycyjnym obrazie. Śnieżna płaszczyzna była pusta i o tym, że istnieje Ziemia, świat, świadczyły tylko te kropki. Zbliżała się całkowita zagłada, ale nie miała ona nic wspólnego z kroplą…

Raz jeszcze poczuł, że pęka mu serce. Jego ręce na próżno się zaciskały, chwytając powietrze. W pustce śnieżnej krainy istniała tylko oddalająca się postać Zhuang Yan, teraz wielkości czarnej kropki. Rozejrzał się wokół, licząc na to, że znajdzie jeszcze coś rzeczywistego w tym pustym świecie. Znalazł dwa wystające obok siebie ze śniegu nagrobki. Najpierw przyciągnęły jego wzrok, ale potem ich powierzchnia zaczęła się zmieniać. Stały się lustrami przypominającymi gładką powłokę kropli, a napisy na nich zniknęły. Pochylił się nad jednym z nich, ale to, co zobaczył, nie było

odbiciem. Na zaśnieżonym polu w lustrze nie było postaci Zhuang Yan, lecz tylko linia niewyraźnych śladów. Przekręcił głowę i zobaczył, że ośnieżone pole za lustrem było tylko pustym bezkresem – ślady stóp zniknęły. Gdy odwrócił się z powrotem w stronę luster, były praktycznie niewidzialne, odbijała się w nich tylko pustka. Ale nadal czuł dłońmi ich zimną gładź…

Kiedy się obudził, świtało. W pierwszym brzasku poranka cmentarz widać było wyraźniej. Z miejsca, w którym się znajdował, otaczające go nagrobki wyglądały jak prehistoryczne Stonehenge. Luo miał wysoką gorączkę, trząsł się na całym ciele i szczękał zębami. Był jak wysuszony knot, który sam się spalał. Wiedział, że nadszedł na niego czas.

Oparł się o kamień nagrobny Ye Wenjie i spróbował wstać, ale wtedy jego uwagę przyciągnął mały, czarny, poruszający się punkcik. O tej porze roku mrówki widywało się rzadko, ale naprawdę była to mrówka. Pięła się po kamieniu, zafascynowana jak jej kuzynka przed dwustu laty wyrytym na nim napisem, i badała tajemnicze, krzyżujące się rowki. Gdy Luo Ji to zobaczył, jego serce przeszył po raz ostatni ból, rozpacz nad losem wszystkich form życia na Ziemi.

– Przepraszam, jeśli zrobiłem coś złego – rzekł do mrówki.

Podniósł się z trudem. Był słaby i drżący. Musiał się oprzeć o nagrobek, by się nie przewrócić. Wygładził przemoczone, zabłocone ubranie oraz zmierzwione włosy, a potem wymacał w kieszeni metalowy cylinder – załadowany pistolet.

Stanąwszy twarzą w stronę wschodu, zaczął ostateczną rozgrywkę między cywilizacją Ziemi i cywilizacją Trisolaris.

– Zwracam się do Trisolaris – powiedział.

Nie mówił głośno. Pomyślał, czy by tego nie powtórzyć, ale wiedział, że go usłyszano.

Nic się nie zmieniło. Nagrobki stały spokojnie w ciszy poranka. W kałużach odbijało się niczym w niezliczonych lustrach niebo, stwarzając złudzenie, że Ziemia jest lustrzaną kulą z cienką powłoką ziemi na wierzchu, w której deszcz wyżłobił dziury i ukazał jej gładką powierzchnię.

Był to świat, który jeszcze się nie obudził i nie wiedział, że stał się żetonem rzuconym na kosmiczny stół do gry.

Luo Ji podniósł lewą rękę i pokazał umieszczony na jego przegubie przedmiot wielkości zegarka.

– To monitor sygnałów życiowych połączony przekaźnikiem z kołyską. Pamiętacie Reya Diaza sprzed dwóch wieków, więc na pewno wiecie, co to kołyska. Sygnał z tego monitora wędruje przez łącza systemu do 3614 bomb umieszczonych w przestrzeni kosmicznej w ramach programu Śnieg. Jest wysyłany co minutę i utrzymuje te bomby w stanie nieaktywnym. Jeśli zginę, sygnał się urwie, wszystkie bomby wybuchną i zmienią otaczającą je warstewkę oleju w 3614 obłoków pyłu wokół Słońca. Z daleka widzialne światło Słońca i inne wysokie pasma częstotliwości będą się wydawały migotać przez tę powłokę pyłu. Starannie wybrałem pozycję każdej bomby na orbicie wokół Słońca, żeby to migotanie ułożyło się w sygnał przekazujący trzy proste obrazy, podobne do tych, jakie wysłałem dwieście lat temu – każdy zawiera układ trzydziestu punktów, z jednym nazwanym, i w sumie ułożą się w trójwymiarowy diagram współrzędnych. Ale inaczej niż poprzednio w diagramie tym znajdzie się położenie Trisolaris względem otaczających ją dwudziestu dziewięciu gwiazd. Słońce stanie się rzucającą ten urok galaktyczną latarnią morską. Oczywiście ujawni to też położenie Słońca i Ziemi. Obraz ten zostanie odebrany w każdym punkcie Galaktyki po roku od jego wysłania, ale powinno tam być więcej niż kilka cywilizacji,

które dysponują technologią umożliwiającą obserwację Słońca z wielu punktów widzenia. W takim wypadku uzyskanie wszystkich potrzebnych im informacji zajmie tylko parę dni, a może nawet parę godzin.

Coraz bardziej się rozwidniało i gwiazdy gasły jedna po drugiej, jakby stopniowo zamykały się niezliczone oczy, a w tym samym czasie niebo otwierało powoli jedno ogromne oko. Mrówka kontynuowała wspinaczkę, podążając labiryntem znaków układających się w nazwisko i imię Ye Wenjie na nagrobku. Gatunek, do którego należała mrówka, żył na Ziemi już sto milionów lat przed pojawieniem się hazardzisty, który teraz opierał się na nagrobku. Chociaż gatunek ten nie dbał o to, co się działo, również uczestniczył w tym zakładzie.

Luo odszedł od nagrobków i stanął nad dołem, który wykopał dla siebie. Przyłożył wylot lufy pistoletu do piersi i powiedział:

– Zaraz zatrzymam bicie mego serca. W ten sposób popełnię największą zbrodnię w dziejach naszych dwóch światów. Bardzo przepraszam nasze dwie cywilizacje za ten uczynek, ale nie mam wyrzutów sumienia, ponieważ jest to jedyne wyjście. Wiem, że w pobliżu są sofony, ale ignorowaliście wezwania ludzkości. Milczenie jest najwyższą formą pogardy i znosiliśmy to przez dwa wieki. Możecie nadal milczeć, jeśli tak wolicie. Daję wam trzydzieści sekund.

Liczył czas, mierząc puls i biorąc dwa uderzenia za sekundę, ponieważ serce biło mu szybko, ale w wielkim zdenerwowaniu pomylił się i musiał zacząć od nowa. Nie był więc pewien, ile minęło czasu, zanim ukazały się sofony. Może w czasie obiektywnym mniej niż dziesięć sekund, ale w jego odczuciu trwało to całe życie. Zobaczył, że świat przed jego oczami rozpada się na cztery części: jedną stanowił otaczający go świat rzeczywisty, pozostałe trzy były zdeformowanymi obrazami w trzech kulach, które nagle pojawiły się w górze i których gładkie powierzchnie

wyglądały dokładnie tak samo jak widziane niedawno w snach nagrobki. Nie wiedział, w jakim wymiarze rozwinęły się sofony, ale te trzy kule były tak duże, że zakrywały pół nieba i przesłaniały światło na wschodzie. W odbiciach zachodniej części nieba w ich powierzchni widział kilka świecących jeszcze gwiazd. A na dole zniekształcony obraz grobu i siebie. Chciał wiedzieć, dlaczego było ich trzy. Najpierw pomyślał, że – podobnie jak dzieło sztuki, które zobaczyła Ye Wenjie na ostatnim zgromadzeniu RZT – symbolizowały Trisolaris, ale po bliższym przyjrzeniu się temu, co się w nich odbijało – niezwykle wyraźnemu, chociaż zdeformowanemu obrazowi rzeczywistości – nabrał poczucia, że były wrotami do trzech równoległych światów, sugerującymi trzy możliwe wybory.

Ale zaprzeczyło temu to, co następnie zobaczył, bo na trzech kulach rozbłysło to samo słowo:

Przestań!

– Mogę porozmawiać o warunkach? – zapytał Luo Ji, spoglądając na trzy kule.

Najpierw odłóż pistolet, potem możemy porozmawiać o warunkach.

Słowa te wyświetliły się jednocześnie na kulach jarzącymi się jaskrawoczerwonymi literami. Nie widział w tej linijce tekstu żadnej deformacji. Była prosta i wydawała się wypisana zarówno na ich powierzchniach, jak i w środku. Przypomniał sobie, że patrzy na rzut wielowymiarowej przestrzeni na trójwymiarową.

– To nie są negocjacje. To moje żądania, jeśli mam nadal żyć. Chcę tylko wiedzieć, czy je przyjmiecie, czy nie.

Wymień swoje żądania.

– Niech kropla, a raczej sonda, przestanie wysyłać fale w stronę Słońca.

Twoja prośba została spełniona.

Odpowiedź kul nadeszła szybciej, niż się spodziewał. Nie mógł jej w tej chwili zweryfikować, ale wyczuwał w otoczeniu subtelne zmiany, jakby zniknął szum tła, którego dotychczasowa stała obecność sprawiała, że przestano go zauważać. Oczywiście mogło to być złudzenie, bo ludzie nie odczuwają promieniowania elektromagnetycznego.

– Niech dziewięć kropli kierujących się do Układu Słonecznego zmieni natychmiast kurs i odleci.

Tym razem odpowiedź dotarła po kilku sekundach.

Twoja prośba została spełniona.

– Dajcie ludziom środki, które pozwolą to zweryfikować.

Te dziewięć sond będzie wysyłało światło widzialne. Będzie mógł je wykryć wasz teleskop Ringier–Fitzroy.

Tego też nie mógł sprawdzić, ale uwierzył Trisolarianom.

– Ostatni warunek: flota trisolariańska nie może przekroczyć Obłoku Oorta.

Flota nie ma teraz takiej mocy napędu, by mogła maksymalnie zahamować. Przed dotarciem do Obłoku Oorta nie może zmniejszyć swej względnej prędkości wobec Słońca do zera.

– Wobec tego niech przyjmie taki kurs jak grupa kropli i oddali się od Układu Słonecznego.

Zmiana kursu w którąkolwiek stronę oznacza śmierć. Sprawi, że flota przeleci obok Układu Słonecznego w pustkę przestrzeni kosmicznej. Układ podtrzymania życia we flocie nie wystarczy na powrót na Trisolaris ani poszukiwanie innego nadającego się do zamieszkania układu gwiezdnego.

– Śmierć nie jest pewnikiem. Może przechwycą ją i uratują nasze lub wasze statki.

Będzie to wymagać rozkazu princepsa.

– Jeśli zmiana kursu jest długim procesem, zacznijcie już teraz. Da to mi i innym szansę dalszego życia.

Milczenie trwało trzy minuty, a potem pojawił się nowy tekst:

Flota zacznie zmieniać kurs za dziesięć ziemskich minut. Za dwa lata ludzkie stacje obserwacyjne będą mogły zauważyć tę zmianę.

– Dobrze – powiedział Luo Ji i odsunął pistolet od piersi. Drugą ręką oparł się o nagrobek, by nie upaść. – Wiedzieliście, że Wszechświat jest ciemnym lasem?

Tak. Od dawna. Dziwne, że wy doszliście do tego tak późno… Niepokoi nas stan twojego zdrowia. Nie przerwie to niechcący sygnału wysyłanego do kołyski?

– Nie. To urządzenie jest dużo bardziej zaawansowane technicznie niż to, które miał Rey Diaz. Dopóki żyję, sygnał nie zostanie przerwany.

Powinieneś usiąść. To ci pomoże.

– Dziękuję – rzekł Luo Ji i usiadł, opierając się o nagrobek. – Nie martwcie się. Nie umrę.

Jesteśmy w kontakcie z dwiema organizacjami międzynarodowymi. Chcesz, byśmy wezwali karetkę pogotowia?

Luo Ji uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nie. Nie jestem zbawicielem. Chcę żyć jak zwykły człowiek i iść do domu. Odpocznę trochę i ruszam.

Dwie kule zniknęły. Na tej, która została, pojawił się tekst, który już się nie jarzył. Wydawał się przyćmiony i ponury.

W końcu zawiodła nasza strategia.

Luo Ji kiwnął głową.

– Zasłonięcie Słońca obłokami pyłu w celu wysłania we Wszechświat sygnału to nie był mój pomysł. Wpadli na to astronomowie już w dwudziestym wieku. A wy mieliście wielokrotnie możliwość przejrzenia moich zamiarów. Na przykład podczas trwania programu Śnieg bardzo dbałem o precyzyjne rozmieszczenie bomb na orbicie wokół Słońca.

Spędziłeś całe dwa miesiące w pokoju kontrolnym, sterując zdalnie silnikami jonowymi, by drobiazgowo poprawić pozycje bomb. Nie przejmowaliśmy się tym, bo myśleliśmy, że wykonujesz swoje bezsensowne zadanie, żeby uciec od rzeczywistości. Nie przyszło nam do głowy, co naprawdę znaczą odległości między bombami.

– Druga szansa pojawiła się, gdy zwróciłem się do grupy fizyków z pytaniem o rozwijanie się sofonów w przestrzeni kosmicznej. Gdyby istniał jeszcze RZT, przejrzałby moje zamiary.

Tak. Porzucenie go było błędem.

– Poza tym zażądałem, żeby w ramach programu Śnieg zbudowano tę kołyskę.

To przypomniało nam o Reyu Diazie, ale nie poszliśmy tym tropem. Przed dwustu laty nie był on dla nas zagrożeniem, podobnie jak pozostali dwaj Wpatrujący się w Ścianę. Naszą pogardę dla nich przelaliśmy na ciebie.

– Niesłusznie nimi gardziliście. Ci trzej Wpatrujący się w Ścianę byli wielkimi strategami. Wyraźnie widzieli, że ludzkość poniesie klęskę w bitwie w dniu Sądu Ostatecznego.

Może moglibyśmy zacząć negocjacje.

– To już nie moja sprawa – odparł Luo Ji i przeciągle westchnął. Czuł się jak nowo narodzony.

Tak, wypełniłeś swoje zadanie jako Wpatrujący się w Ścianę. Ale na pewno masz jakieś sugestie.

– Negocjatorzy z ramienia ludzkości niewątpliwie zaproponują najpierw, byście pomogli nam zbudować lepszy system przesyłania sygnałów w celu zyskania możliwości rzucenia w każdej chwili uroku w przestrzeń

kosmiczną. Chociaż kropla zniosła blokadę Słońca, obecny system jest zbyt prymitywny.

Pomożemy zbudować system przekazu neutrino.

– O ile się orientuję, będą raczej skłonni do stworzenia systemu opartego na falach grawitacyjnych. Po przybyciu sofonów była to dziedzina, w której ludzka fizyka dokonała największego postępu. Oczywiście będą potrzebowali systemu, którego zasady będą mogli zrozumieć.

Do przesyłania fal grawitacyjnych potrzebne są ogromne anteny.

– To wasza i ich sprawa. Dziwne, ale nie czuję się teraz członkiem ludzkiego rodzaju. Moim największym pragnieniem jest jak najszybciej się od tego uwolnić.

Następnie poproszą nas o zniesienie sofonowej blokady i podzielenie się całą naszą nauką i technologią.

– To jest ważne również dla was. Wasza technologia rozwija się w stałym tempie i po ponad dwustu latach nadal nie jesteście w stanie wysłać drugiej, szybszej floty. Żeby uratować swoją flotę, która zmieniła kierunek, musicie polegać na przyszłości ludzkości.

Muszę iść. Naprawdę jesteś w stanie wrócić sam? Od twojego życia zależy przetrwanie dwóch cywilizacji.

– Nie ma problemu. Czuję się już dużo lepiej. Jak tylko wrócę, przekażę kołyskę komu innemu i nie będę już miał z tym nic wspólnego. Na koniec

chciałbym wam podziękować.

Za co?

– Za to, że pozwoliliście mi żyć. Albo, ujmując to inaczej, za to, że pozwoliliście żyć sobie i nam.

Kula zniknęła, powracając do swego jedenastowymiarowego, mikroskopowego stanu. Na wschodzie ukazał się zza horyzontu rąbek słońca, rzucając złoty blask na świat, który uniknął zagłady.

Luo Ji podniósł się powoli. Spojrzawszy po raz ostatni na nagrobki Ye Wenjie i Yang Dong, powlókł się z powrotem drogą, którą przyszedł.

Mrówka dotarła na szczyt nagrobka i dumnie wysunęła czułki ku słońcu. Była jedynym spośród wszystkich form życia na Ziemi świadkiem tego, co przed chwilą tam się stało.

Pięć lat później

Luo Ji i jego rodzina widzieli w oddali antenę przesyłającą fale grawitacyjne, ale dzieliło ich od niej jeszcze pół godziny jazdy. Dopiero gdy tam dotarli, zdali sobie sprawę z jej ogromu. Horyzontalny cylinder, o długości półtora kilometra i średnicy pięćdziesięciu metrów, był zawieszony dwa metry nad ziemią. W jego gładkiej jak lustro powierzchni odbijało się niebo i połowa północnochińskiej równiny. Powierzchnia ta przypominała kilka rzeczy: olbrzymie wahadła ze świata *Trzech ciał*, sofony rozwinięte w mniejszej liczbie wymiarów i kroplę. Ten lustrzany obiekt był materialnym wcieleniem trisolariańskiego porzekadła, którego ludzkość nie zdołała jeszcze zrozumieć: „Ukrycie się w wiernym odwzorowaniu Wszechświata jest jedyną drogą do wieczności”.

Antenę otaczała wielka zielona łąka, mała oaza na pustyni północnych Chin, ale nie została tam ona specjalnie zasadzona. Po ukończeniu jej budowy system fal grawitacyjnych zaczął wysyłać ciągłe, niemodulowane przekazy, które nie różniły się od fal grawitacyjnych emitowanych przez supernowe, gwiazdy neutronowe i czarne dziury. Gęstość wiązki fal grawitacyjnych wywierała szczególny wpływ na atmosferę – zbierała się nad nią woda, wskutek czego w sąsiedztwie anteny często padał deszcz. Czasami chmura deszczowa rozpościerała się w promieniu zaledwie trzech albo czterech kilometrów i wisiała nad anteną jak ogromny latający talerz, zza którego wyzierało słońce. Tak więc miejsce to pokryła bujna dzika roślinność. Dzisiaj jednak Luo Ji i jego rodzinie nie było dane stać się świadkami tego spektaklu. Zamiast chmur deszczowych zobaczyli

zbierające się nad anteną białe obłoki, które rozgonił wiatr. Tworzyły się stale nowe chmury, które nadawały okrągłemu kawałkowi sklepienia niebieskiego wygląd tunelu wiodącego do jakiegoś innego chmurnego wszechświata. Xia Xia powiedziała, że wyglądają jak siwe włosy jakiegoś olbrzymiego starca.

Luo Ji i Zhuang Yan ruszyli po trawie ze swoją biegnącą córką i dotarli do anteny. W pierwszych systemach przesyłowych fal grawitacyjnych, które zostały zbudowane w Ameryce Północnej i Europie, wykorzystano lewitację magnetyczną utrzymującą je kilka centymetrów nad podstawą. Natomiast w tej antenie użyto antygrawitacji, dzięki czemu można ją było w razie potrzeby unieść w przestrzeń kosmiczną. Stali we trójkę na trawie przed anteną i przyglądali się ogromnemu cylindrowi zakrzywionemu nad ich głowami jak niebo. Jej duży promień nadawał jej dnu małą krzywiznę, wskutek czego żaden odbijający się w niej obraz nie był zdeformowany. Zachodzące słońce świeciło pod anteną i Luo Ji widział odbicie długich włosów Zhuang Yan i jej białej sukienki powiewającej w promieniach słońca jak szaty anioła, który zstąpił z nieba.

Podniósł dziewczynkę, która dotknęła gładkiej powierzchni anteny i nacisnęła na nią.

– Mogą ją obrócić? – zapytała.

– Możesz, jeśli będziesz pchała dostatecznie długo – powiedziała Zhuang Yan, a potem, spojrzawszy z uśmiechem na Luo, zapytała: – Prawda?

Kiwnął głową.

– Gdybyśmy mieli dość czasu, moglibyśmy obrócić Ziemię.

Jak zdarzyło się już wiele razy, ich spojrzenia spotkały się i splotły w tym samym wyrazie, który miały przed dwustu laty przed portretem uśmiechniętej Mony Lisy. Odkryli, że wymarzony wtedy przez Zhuang Yan język spojrzeń stał się rzeczywistością, a może kochający się ludzie zawsze

porozumiewali się tym językiem. Gdy spoglądali sobie w oczy, widzieli w nich nieskończone bogactwo znaczeń jak w chmurze stworzonej przez wiązkę fal grawitacyjnych. Ale nie był to język tego świata. Stwarzał własny świat i tylko w nim jego słowa miały desygnaty. W tym świecie każdy był bogiem, wszyscy mogli liczyć i zapamiętywać wszystkie ziarnka piasku na pustyni, wszyscy mogli stworzyć z gwiazd kryształową kolię i nałożyć ją na szyję ukochanej…

Czy to miłość?

Wiersz ten wyświetlił się na rozwiniętym w niewielu wymiarach sofonie, który nagle ukazał się przed nimi. Jego lustrzana powierzchnia wyglądała jak kropla, która mogła spaść z jakiegoś stopionego miejsca cylindra. Luo Ji znał kilku Trisolarian i nie wiedział, który z nich mówi do nich, a nawet czy robi to z Trisolaris czy z floty, która coraz bardziej oddalała się od Układu Słonecznego.

– Prawdopodobnie – odparł Luo Ji z uśmiechem.

Doktorze Luo, chcę zaprotestować.

– Przeciwko czemu?

Przeciwko temu, że w swoim przemówieniu ubiegłego wieczoru powiedział pan, iż ludzkość tak późno zdała sobie sprawę z tego, że Wszechświat jest jak ciemny las, bynajmniej nie dlatego, że wasza niedojrzała ewolucja kulturalna nie doprowadziła do wykształcenia się u was świadomości Wszechświata, lecz dlatego, że ludzie mają miłość.

– To nieprawda?

Prawda, chociaż słowo „miłość” jest w dyskursie naukowym zbyt niejednoznaczne. Ale to, co powiedział pan potem, to nieprawda. Stwierdził pan, że ludzie są prawdopodobnie jedynym gatunkiem w kosmosie, który zna miłość, i że świadomość tego dodawała panu sił w najtrudniejszym okresie pełnienia roli Wpatrującego się w Ścianę.

– To był oczywiście tylko taki środek wyrazu. Tylko nienaukowa… analogia.

Wiem, że miłość istnieje przynajmniej na Trisolaris. Ale ponieważ nie przyczyniała się do przetrwania całej cywilizacji, została stłumiona, zaledwie rozkwitła. Ale to ziarno jest niezwykle odporne i zakiełkuje w pewnych jednostkach.

– Mogę zapytać, z kim rozmawiam?

Nigdy się nie poznaliśmy. Jestem operatorem, który dwieście pięćdziesiąt lat temu wysłał na Ziemię ostrzeżenie.

– Mój Boże, i jeszcze żyjesz? – wykrzyknęła Zhuang Yan.

Nie pożyję już długo. Jestem w stanie odwodnienia, ale i odwodnione ciało się starzeje. Zobaczyłem jednak przyszłość, którą miałem nadzieję zobaczyć, i jestem z tego powodu szczęśliwy.

– Przyjmij, proszę, od nas wyrazy szacunku – powiedział Luo Ji.

Pragnę tylko omówić z tobą pewną możliwość. Niewykluczone, że ziarna miłości istnieją w innych rejonach Wszechświata. Powinniśmy zadbać o to, żeby kiełkowały i się rozwijały.

– To cel, dla którego osiągnięcia warto podjąć ryzyko.

Tak, możemy podejmować ryzyko.

– Marzy mi się, że pewnego dnia do ciemnego lasu dotrze blask słońca.

Słońce chowało się za horyzontem. Zza odległych gór widać było tylko jego skraj i w jego świetle szczyty gór wyglądały jak osadzone w olśniewającym drogim kamieniu. Trawa i biegająca po niej dziewczynka skąpane były w jego złotym blasku.

Słońce niedługo zajdzie. Twoje dziecko się nie boi?

– Oczywiście, że nie. Wie, że jutro słońce znowu wzejdzie.

Spis treści

CIEMNY LAS

Dramatis personae

Prolog

CZĘŚĆ I. WPATRUJĄCY SIĘ W ŚCIANĘ
3 rok ery kryzysu

CZĘŚĆ II. UROK
8 rok ery kryzysu
12 rok ery kryzysu
20 rok ery kryzysu

CZĘŚĆ III. CIEMNY LAS
205 rok ery kryzysu
208 rok ery kryzysu
Pięć lat później

Spis treści

Strona redakcyjna

Tytuł: 黑暗森林
Autor: 刘慈欣
Copyright © 2008 by 刘慈欣 (Liu Cixin)
Polish translation rights authorized by China Educational Publications Import & Export Corporation Ltd.
All Rights Reserved

B&R Book Program

Tytuł wydania angielskiego: *The Dark Forest*
(przekład z chińskiego: Joel Martinsen)

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach:
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(https://fedorahosted.org/liberation-fonts/)

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Ilustracja na okładce: Stephan Martiniere

Opracowanie graficzne okładki: Sławomir Folkman

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Ciemny las, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-842-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl